



TANA  
**FRENCH**

**Bez śladu**

# TANA FRENCH

## Bez śladu

Z angielskiego przełożyła

MARIA OLEJNICZAK-SKARSGÅRD



Tytuł oryginału:  
FAITHFUL PLACE

Copyright © Tana French 2010  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros A. Kuryłowicz 2013  
Polish translation copyright © Maria Olejniczak-Skarsgård 2013

Redakcja: Magdalena Koziej

Ilustracja na okładce: Cristi Matei/Shutterstock

Projekt graficzny okładki i serii: Andrzej Kuryłowicz

Skład: Laguna

ISBN 978-83-7885-601-6

Dystrybutor

Firma Księgarska Olesiejuk sp. z o. o, sp. k.-a.  
Poznańska 91, 05-850 Ożarów Maz.  
t./f. 22.535.0557, 22.721.3011/7007/7009  
[www.olesiejuk.pl](http://www.olesiejuk.pl)

Sprzedaż wysypkowa - księgarnie *internetowe*

[www.merlin.pl](http://www.merlin.pl)  
[www.fabryka.pl](http://www.fabryka.pl)  
[www.empik.com](http://www.empik.com)

Wydawca

WYDAWNICTWO ALBATROS A. KURYŁOWICZ  
Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa  
[www.wydawnictwoalbatros.com](http://www.wydawnictwoalbatros.com)

2013. Wydanie I  
Druk: Read Me, Łódź

*Dla Alexa*

# PODZIĘKOWANIE

Fragmenty piosenek *The Rare Ould Times* i *The Ferryman* zostały zamieszczone za zgodą Pete'a St Johna.

# PROLOG

W życiu liczy się tylko kilka chwil. Zazwyczaj można im się lepiej przyjrzeć jedynie z perspektywy czasu, długo po tym, jak przeleciały: chwila, gdy postanowiłeś zagadnąć dziewczynę, zwolnić przed niewidocznym zakrętem, jednak poszukać prezerwatywy... Mnie dopisało szczęście, chyba mogę tak powiedzieć. Wziąłem tę chwilę pod lupę i przekonałem się, jak rzeczywiście było. Poczułem opływającą mnie falę życia, gdy pewnej zimowej nocy czekałem w ciemnościach u wylotu Faithful Place.

Miałem dziewiętnaście lat, na tyle dużo, by zmierzyć się ze światem, i na tyle mało, by robić głupstwa. Tamtej nocy, ledwie moi dwaj bracia zaczęli chrapać, z plecakiem na grzbiecie i martensami w rękę wymknąłem się z naszej sypialni. Zatrzeszczała podłoga, w pokoju moich sióstr któraś mruknęła przez sen, ale tamtej nocy miałem czarodziejską moc, płynąłem na fali, nic, nie mogło mnie powstrzymać; rodzice nawet nie przewrócili się na drugi bok, gdy przechodziłem na wyciągnięcie ręki obok ich rozkładanej kanapy w pokoju od ulicy. Czerwony żar dogasającego ognia szemrał na kominku. W plecaku znajdowały się najważniejsze rzeczy: dzinsy, T-shirty, radio z drugiej ręki, sto funciaków i świadectwo urodzenia. Niczego więcej człowiek nie potrzebował, jadąc do Anglii – w tamtych czasach. Bilety na prom były u Rosie.

Czekałem na nią na końcu ulicy, w mroku, gdzie nie sięgał krąg mętnego żółtego światła latarni. W zimnym jak szkło powietrzu niósł się aromatyczny chmielowo-palony zapach z browaru Guinnessa. Na nogach miałem trzy pary skarpetek i martensy, ręce wetknąłem głęboko w kieszenie niemieckiej wojskowej kurtki z kapturem i po raz

ostatni wsłuchiwałem się w odgłosy życia swojej ulicy, płynące dalej z prądami nocy. Słowa wypowiedziane ze śmiechem przez kobietę: „A kto tu mówi, że możesz”, trzask zamykanego okna. Chrobot szczura biegnącego po ceglany murze, kaszel mężczyzny, świst kół roweru, który przemknął za rogiem; burkliwy głos Wariata Johny'ego Malone'a z sutereny pod czternastym, który gadał do siebie przed snem. Słyszając jakąś parkę, zduszone jęki i miarowy łomot, przypomniałem sobie zapach szyi Rosie i z szerokim uśmiechem spojrzałem w niebo. Rozległy się dzwony wybijające północ – z katedry Kościoła Chrystusowego, katedry Świętego Patryka, kościoła Świętego Michana – potężne, pełne tony spływały z nieba, jakby uroczyście witały nasz potajemny Nowy Rok.

Gdy wybiły pierwszą, ogarnął mnie strach. Lekki szelest, głuchy odgłos niosący się z oddali przez ogrody na tyłach domów, i wyprostowałem się pełen gotowości, ale ona nie przeszła przez mur na końcu ulicy; pewnie ktoś wkraadał się do domu przez okno, z poczuciem winy, że tak późno. Pod siódmką zaczęło płakać najmłodsze dziecko Sallie Hearne, zawodziło słabym, zrezygnowanym głosem, aż w końcu Sallie ocknęła się i zaczęła mu śpiewać: *I know where I'm going... Painted rooms are bonny\**.

\* „Wiem, dokąd zmierzam... Pomalowane pokoje są śliczne...” (z tradycyjnej piosenki irlandzkiej).

Gdy wybiły drugą, z tych nerwów jakbym dostał kopa w tyłek. Przerzuciło mnie przez mur na końcu ulicy do ogrodu przy domu pod szesnastym, który był przeznaczony do rozbiórki jeszcze przed moimi narodzinami, ale mimo straszliwych ostrzeżeń okupowaliśmy go całą gromadą, zostawiając tam puszki po piwie, stopy petów i utracone dziewictwo. Wbiegłem zbutwiałymi schodami na górę, przeskakując po cztery stopnie naraz, nie przejmując się, że ktoś może usłyszeć. Byłem taki pewny, już ją widziałem, grzywa miedzianych kędzierzawych włosów i zaciśnięte w pięści ręce na biodrach: „Gdzieś ty się podziwał, do cholery?”

Połamane deski podłogi, dziury wybite w tynku, kupa śmieci,

podmuchy zimnego wiatru w ciemnościach – poza tym nikogo. W pokoju frontowym na piętrze znalazłem list, właściwie kartkę z zeszytu. Fruwała po gołej podłodze, w prostokącie bladego światła, które wpadało przez okno, i wyglądała tak, jakby leżała tam od stu lat. Wtedy wyczułem, że zaszła zmiana: opływająca mnie fala życia załamała się i nabrała zabójczej siły, zbyt dużej, by z nią walczyć, i już mi niesprzyjającej.

Nie zabrałem listu. Gdy wychodziłem spod szesnastego, znałem treść na pamięć i została mi reszta życia, żeby uwierzyć w to, co tam było napisane. Położyłem go z powrotem na podłodze i wróciłem na koniec ulicy. Czekałem w mroku, przyglądając się obłokom pary ulatującej mi z ust w świetle latarni, a tymczasem dzwony były na trzecią, potem czwartą i piątą. Noc rzedła, nabierała smętnej szarości, za rogiem stukał po bruku wózek mleczarza w drodze do mleczarni, a ja wciąż czekałem na Rosie Daly u wylotu Faithful Place.



# 1

Ojciec powiedział mi kiedyś, że każdy mężczyzna musi wiedzieć przede wszystkim, za co by umarł. „Jeżeli tego nie wiesz – mówil – coś ty wart? Nic. Żaden z ciebie mężczyzna”. Miałem trzynaście lat, a on wypil już trzy czwarte butelki Gordon's Finest, ale co tam, gadał jak z nut. Pamiętam, że umarłby: a) za Irlandię, b) za swoją matkę, która nie żyła od dziesięciu lat, i c) byle dopaść tę sukę Maggie Thatcher.

Jednak od tego dnia mogłem powiedzieć w każdej chwili i bez namysłu, za co konkretnie oddałbym życie. Początkowo odpowiedź była prosta: za rodzinę, za swoją dziewczynę, za kraj. Potem na jakiś czas sprawy się pokomplikowały. Teraz sytuacja jest stabilna, i to mi odpowiada; mam wrażenie, że z tego mężczyzna może być dumny. Oddałbym życie za swoje miasto, pracę i dziecko, niekoniecznie w tej kolejności.

Mam na razie grzeczne dziecko, mieszkam w Dublinie i pracuję jako tajny detektyw w policji, więc to chyba oczywiste, za co najprawdopodobniej w końcu umrę, choć od jakiegoś czasu grozi mi na służbie jedynie fura gównianej roboty papierkowej. Wielkość tego kraju sprawia, że okres przydatności agenta działającego w terenie jest krótki; po dwóch operacjach, może czterech, ryzyko, że zostanie rozpoznany, staje się zbyt duże. Już dawno temu wykorzystałem swoje dziewięć żywotów. Teraz pozostaję za kulisami i prowadzę własne operacje.

Prawdziwe ryzyko w pracy tajnego detektywa, w terenie czy za biurkiem, polega jednak na czym innym: ciągle stwarzasz iluzje, aż w końcu zaczyna ci się wydawać, że panujesz nad sytuacją. Łatwo

dochodzisz do przekonania, że to ty jesteś hipnotyzerem, mistrzem ułudy, cwaniakiem, który rozpoznaje rzeczywistość i wie, jak się robi te wszystkie sztuczki. Ale tak naprawdę wciąż jesteś tylko celem, jednym z widzów gapiących się z rozdziawioną gębą. Nieważne, jak dobrze sobie radzisz, w tej grze świat zawsze będzie lepszy. Jest sprytniejszy od ciebie, szybszy i o wiele bardziej bezwzględny. Co najwyżej możesz starać się dotrzymać mu kroku, poznać swoje słabe punkty i nieustannie spodziewać się ciosu zniecka.

Po raz drugi życie szykowało się do zadania mi ciosu zniecka pewnego piątkowego popołudnia na początku grudnia. Spędziwszy dzień na podtrzymywaniu kilku swoich ówczesnych iluzji – jeden z moich chłopaków (koleś nie miał co czekać na prezent gwiazdkowy od wujka Franka) na własne życzenie wmanewrował się w sytuację, gdy z wielu złożonych powodów musiał znaleźć jakąś starszą panią, którą będzie mógł przedstawić kilku pomniejszonym dealerom narkotyków jako własną babcinę – udawałem się do swojej byłej żony, żeby zabrać nasze dziecko na weekend. Olivia i Holly mieszkają w tak gustownym bliźniaku, że szczeka człowiekowi opada, na wypielegnowanej uliczce w Dalkey. Dostaliśmy go w prezencie ślubnym od ojca Olivii. Gdy się wprowadzaliśmy, dom miał nazwę zamiast numeru. Wyeliminowałem ją szybko, ale powinienem był od razu się zorientować, że to małżeństwo nie wypali. Gdyby moi rodzice wiedzieli, że się żenię, matka zadłużyłaby się po uszy w spółdzielczej kasie pożyczkowej, kupiła nam śliczny kwiecisty komplet wypożyczkowy do salonu i nie posiadałaby się z oburzenia, widząc, że zdjęliśmy plastik z poduszek.

Olivia stała nieporuszenie w drzwiach, na wypadek gdybym wpadł na pomysł, by wejść do środka.

– Holly zaraz będzie gotowa – oznajmiła.

Muszę przyznać z ręką na sercu oraz w równiej mierze z samozadowoleniem i żalem, że Olivia jest wystrzałowa: wysoka, o pociągłej, kształtnej twarzy okolonej masą miękkich popielatoblond włosów, o sylwetce z dyskretnymi krągłościami, których w pierwszej

chwili się nie zauważa, a potem nie można nie zauważyć. Teraz jej figurę modelowała wytworna czarna sukienka, do której włożyła cienkie rajstopy i brylantowy naszyjnik swojej babki, wyjmowany tylko na wielkie okazje. Na widok takiej kobiety sam papież zerwałby z głowy piuskę, żeby otrzeć czoło. Ja zaś, gość nie tej klasy co papież, gwizdnąłem z uznaniem.

- Ważna randka?
- Idziemy na kolację.
- Czy „my” znów oznacza towarzystwo Dermo?

Olivia jest zbyt rozgarnięta, żeby pozwalać mi na takie zagrywki.

– On ma na imię Dermot. Poza tym istotnie jego miałam na myśli.

– To już chyba czwarty weekend z rzędu, prawda? – powiedziałem z udawanym podziwem. – Zdradź mi: dziś nastąpi to doniosłe wydarzenie?

Olivia zawołała w kierunku schodów:

- Holly! Tato przyjechał!

Gdy stała odwrócona do mnie plecami, wsunąłem się do holu. Skropiła się Chanel N° 5, których używała od początku naszej znajomości.

– Tato! Już idę już idę już idę, muszę tylko... – doleciało z góry, a potem zaaferowane trajkotanie, gdy Holly wyjaśniała jakieś zawiłości swego myślenia, obojętna na to, czy ktoś ją słyszy.

– Bez pośpiechu, kochanie! – odkrzyknąłem, kierując się do kuchni.

Olivia poszła za mną.

– Dermot będzie tu lada chwila – rzuciła. Nie wiedziałem, czy to ma być groźba, czy prośba.

Otworzyłem lodówkę i zajrzałem do środka.

– Nie podoba mi się gęba tego gościa. On nie ma mocnego podbródka. Tacy mężczyźni nie budzą mojego zaufania.

– Na szczęście twoje upodobania względem mężczyzn nie są w tym wypadku istotne.

– Wprost przeciwnie. Jeśli traktujesz to poważnie, on będzie dużo przebywał z Holly. Przypomnij mi: jak ma na nazwisko?

Pewnego razu, gdy nasz związek już się rozpadał, Olivia przytrzasnęła mi głowę drzwiami lodówki. Widziałem, że ma ochotę znowu to zrobić. Stałem pochylony, dając jej po temu sposobność, ale zachowała spokój.

– Po co ci ta informacja?

– Muszę go sprawdzić w komputerze. – Wyjąłem karton z sokiem pomarańczowym i wstrząsnąłem. – Co to za świństwo? Przeostałaś kupować porządne produkty?

Usta Olivii, umalowane delikatną szminką w naturalnym odcieniu, się zacisnęły.

– Nie będziesz sprawdzał Dermota w żadnym komputerze, Frank.

– Nie mam wyjścia – odparłem pogodnym tonem. – Dobrze wiedzieć, czy nie gustuje w małych dzieciach, prawda?

– Słodki Panie Jezu! Frank, on nie jest...

– Może nie jest – zgodziłem się. – Prawdopodobnie nie jest. Ale czy można mieć pewność, Liv? Lepiej dmuchać na zimne. – Wypiłem łyk soku prosto z kartonu.

– Holly! – zawołała Olivia jeszcze raz, donośniej. – Pośpiesz się!

– Nie mogę znaleźć konika! – Tupot butów na górze.

– Oni biorą na cel samotne matki ze ślicznymi dzieciaczkami – powiedziałem Olivii. – Zdumiewające, że tak wielu z nich nie ma mocnego podbródka. Nie zauważyłaś?

– Otóż nie zauważyłam, Frank. Nie pozwolę, żebyś wykorzystywał służbowe stanowisko do zastraszania...

– Gdy znowu zobaczysz w telewizji pedofila, dobrze mu się przyjrzyj. Biała furgonetka i brak mocnego podbródka, zapewniam cię. Czym jeździ Dermo?

– Holly!!

Wypiłem jeszcze jeden duży haust soku, wytarłem rękawem otwór i wstawiłem karton do lodówki.

– Smakuje jak kocie siki. Jeśli będę płacił wyższe alimenty, zaczniesz kupować przyzwoity sok?

– Gdybyś płacił trzy razy więcej, a na to cię nie stać – wycodziła słodkim tonem, patrząc na zegarek – starczyłoby na jedno opakowanie w tygodniu. – Kocica pokazuje pazury, gdy zbyt długo ciągnie się ją za ogon.

Przed wzajemną napastliwością uratowała nas Holly, która wypadła ze swojego pokoju, wołając na całe gardło: „Tatotato-tato!”. Zdążyłem dojść do schodów, gdy wystrzeliła jednym susem w powietrze niczym wirujący fajerwerk – mgielka złocistych włosów i jakieś różowe błyski – i objęła mnie nogami w pasie, waląc po grzbiecie plecaczkiem i kędzierzawym konikiem o imieniu Klara, który pamiętał lepsze czasy.

– Cześć, małpiszoniaku – powiedziałem, całując ją w czubek głowy. Była lekka jak motylek. – Co robiłaś przez ten tydzień?

– Mnóstwo rzeczy. I nie jestem małpiszoniakiem – powiedziała surowo, nos w nos. – Co to jest małpiszoniak?

Holly ma dziewięć lat, drobną budowę, skłonność do siniaków, i w ogóle wdała się całkiem w rodzinę swojej matki – my, Mackeyowie, mamy krzepę, grubą skórę i gęste włosy, jesteśmy stworzeni do ciężkiej pracy w dublińskich warunkach pogodowych – z wyjątkiem oczu. Gdy zobaczyłem ją pierwszy raz, spojrziała na mnie moimi własnymi oczami, wielkimi, rozwartymi, intensywnie niebieskimi oczami, które poraziły mnie jak paralizator i wciąż niezmiennie sprawiają, że serce trzepocze mi w piersi. Olivia może zdrapać moje nazwisko jak naklejkę z nieaktualnym adresem, załadować lodówkę sokiem, którego nie lubię, i pozwolić, żeby ten pedofil Dermo zajął moją połowę łóżka, ale nie ma szans nic zrobić z tymi oczami.

– Taka zaczarowana małpka, która zna różne sztuczki i mieszka w zaczarowanym lesie – wyjaśniłem Holly, która obrzuciła mnie spojrzeniem mówiącym jednocześnie: „O rany” i „Ładnie wykombinowałeś”. – Jakie rzeczy?

Zsunęła się ze mnie i klapnęła na podłogę.

– Chloe, Sarah i ja zakładamy zespół. Narysowałam ci w szkole rysunek, bo wymyśliłyśmy taniec, no i mogę dostać białe botki? Sarah ułożyła piosenkę i... – Niemal wymieniliśmy z Olivia rozbawione spojrzenia nad głową naszej córki, ale Olivia zaraz się zreflektowała i znowu popatrzyła na zegarek.

Na podjeździe natknęliśmy się na mojego przyjaciela Dermo, który – wiedziałem o tym na sto procent, bo odkręciłem mu tablicę rejestracyjną, gdy pierwszy raz zabrał Olivię na kolację – jest przykładnym, praworządnym człowiekiem, który nigdy nawet nie zaparkował swojego audi na podwójnej żółtej linii i który chcąc nie chcąc wygląda tak, jakby lada moment miało wydobyć się z niego potężne beknięcie. Powitał mnie porażającym skinieniem głowy połączonym z „dobry wieczór”. Przymiarkuję, że facet ma przede mną stracha. I dorzucił: „Cześć, Holly”.

– Jak się do niego zwracasz? – zapytałem córkę, gdy zapiąłem ją w foteliku, a Olivia, ucieleśnienie Grace Kelly, na progu domu całowała Dermo w policzek.

Holly poprawiła grzywę Klary i wzruszyła ramionami.

– Mama chce, żebym go nazywała wujkiem.

– I tak mówisz?

– Nie. Głośno w ogóle go nie nazywam. A w myślach mówię na niego Brzydal.

Spojrzała w lusterko wsteczne, żeby sprawdzić, czy zamierzam ją wydać. Jej bródka już nabierała nieugiętego wyrazu.

– Pięknie. Zuch dziewczyna – powiedziałem, parskając śmiechem, i zakręciłem na hamulcu ręcznym, tak że Olivia i Brzydal aż się wzdrygnęli.

• • •

Od czasu gdy Olivia nabrała rozumu i wyrzuciła mnie z domu, mieszkam przy nabrzeżu, w ogromnym bloku wybudowanym w latach dziewięćdziesiątych przez Davida Lyncha, jak mogłoby się zdawać. Dywany są tu tak grube, że nigdy nie słyszałem żadnych

kroków, za to nawet o czwartej rano wyczuwa się ze wszystkich stron szmer pięciuset umysłów: ludzie śnią, marzą, zamartwiają się, planują i kombinują. Wychowałem się w czynszówce, więc można by sądzić, że umiem żyć w brojlerni, ale tu wygląda to inaczej. Nie znam tych ludzi, nawet ich nie spotykam. Nie mam pojęcia, jak i kiedy wychodzą z domu i do niego wracają. Z tego co wiem, w ogóle stąd nie wychodzą, tylko barykadują się w mieszkaniach i myślą. Nawet we śnie słyszę jednym uchem ten szmer, gotowy w razie potrzeby wyskoczyć z łóżka i bronić swojego terytorium.

Wystrój mojego prywatnego zakątka Twin Peaks cechują szyk i elegancja właściwe rozwodnikowi, co oznacza, że od czterech lat mieszkanie wygląda tak, jakby bagażówka jeszcze nie dojechała. Wyjątkiem jest pokój Holly, zapelniony wszelkimi pastelowymi pluszakami, jakie są znane człowiekowi. Gdy wreszcie zdołałem wyrwać Olivii jeden weekend w miesiącu i pojechaliśmy z Holly poszukać mebli, chciałem kupić jej wszystko, co wystawiono na trzech piętrach centrum handlowego. Jakąś częścią siebie wciąż byłem przekonany, że więcej jej nie zobaczę.

– Co będziemy robić jutro? – dopytywała się Holly, gdy szliśmy wytłumionym korytarzem. Trzymała Klarę za nogę, wlokąc za sobą po dywanie. Gdy widziałem Holly ostatnim razem, wrzeszczała jak opętana na samą myśl, że ten konik zetknie się z podłogą. Wystarczy mgnienie oka i coś człowiekowi umyka.

– Dałem ci kiedyś latawca, pamiętasz? Jak odrobisz dziś lekcje i jeżeli nie będzie padać, zabiorę cię do Phoenix Park i pokażę ci, jak się puszcza latawca.

– Sarah też może iść?

– Zadzwonimy do jej mamy po kolacji. – Rodzice koleżanek Holly mnie uwielbiają. Nic nie daje większego poczucia odpowiedzialności niż wysłanie własnego dziecka do parku pod opieką detektywa.

– Na kolację pizza! Dobrze?

– Jasne. – Olivia zaopatruje się w żywność uzyskiwaną metodami

naturalnymi, bogatą w błonnik i pozbawioną dodatków spożywczych, więc muszę czynić pewne kroki dla przeciwwagi, inaczej dziecko będzie dwa razy zdrowsze od wszystkich swoich rówieśników i poczuje się obco. – Czemu nie? – powiedziałem i ledwie otworzyłem drzwi, tknęło, że nie zjemy dzisiaj pizzy.

Dioda poczty głosowej migotała jak szalona. Pięć nieodebranych połączeń. Z pracy dzwonią do mnie na komórkę, agenci w terenie i tajni informatorzy dzwonią na drugą komórkę, chłopaki wiedzą, że kiedyś tam zobaczymy się w pubie, a Olivia wysyła SMS-y, gdy już musi. Została rodzina, a konkretnie moja młodsza siostra Jackie, bo tylko z nią rozmawiałem przez ostatnie dwadzieścia lat. Pięć telefonów oznaczało prawdopodobnie, że któreś z rodziców umiera.

– Masz – powiedziałem, dając córce laptopa. – Idź do swojego pokoju i podokuczaj koleżankom przez komunikator. Przyjdę do ciebie za kilka minut.

Holly, która dobrze wie, że dopóki nie skończy dwudziestu jeden lat, nie wolno jej łączyć się z internetem, gdy jest sama, spojrzała na mnie niedowierzająco.

– Jeżeli masz ochotę na papierosa, tato – rzekła w sposób bardzo dojrzały – możesz przecież wyjść na balkon. Wiem, że palisz.

– Ach tak? Skąd to przypuszczenie? – Przyłożyłem rękę do pleców Holly i poprowadziłem ją do jej pokoju. Innym razem byłbym poważnie zaintrygowany. Nigdy nie palę przy dziecku, a Olivia na pewno nic nie powiedziała. To my stworzyliśmy jej umysł, Olivia i ja; myśl, że znalazło się w nim coś, czego tam nie włożyliśmy, wciąż zwala mnie z nóg.

– Po prostu wiem. – Robiąc wyniosłą minę, rzuciła na łóżko Klarę i plecaczek. Z tego dziecka będzie jeszcze detektyw. – Nie powinieneś palić. Siostra Mary Therese mówi, że od palenia całe wnętrzości robią się czarne.

– Siostra Mary Therese ma świętą rację. Mądra z niej kobieta. – Włączyłem laptopa i otworzyłem przeglądarkę. – Gotowe. Muszę do kogoś zadzwonić. Tylko nie kupuj brylantów na eBayu.



– Dzwonisz do swojej dziewczyny?

Wyglądała na drobnutką i nazbyt roztropną istotkę, gdy tak stała w białym pikowanym paltku do kolan, spod którego wystawały chude nogi, i patrzyła na mnie rozszerzonymi oczami, usiłując nie okazać strachu.

– Nie, kochanie. Nie mam dziewczyny.

– Przysięgasz?

– Przysięgam. I nie zamierzam sprawić sobie dziewczyny w najbliższym czasie. Może za kilka lat sama mi ją wybierzesz. Co ty na to?

– Chcę, żeby twoją dziewczyną była mama.

– Tak, wiem. – Musnąłem ręką jej włosy, miękkie jak płatki kwiatu. Zamknąłem za sobą drzwi jej pokoju i poszedłem do salonu, żeby się dowiedzieć, kto umarł.

Nagrała się Jackie, jak przypuszczałem, i gadała jak najęta. Zły znak: Jackie naciska hamulec, gdy ma dobre wiadomości („Nie masz pojęcia, co się wydarzyło. No, zgadnij”) i daje gaz do dechy, gdy dzieje się coś złego. Tym razem pędziła jak rajdowiec Formuły 1. „O Jezu, Francis, odbierz wreszcie ten cholerny telefon. Muszę z tobą porozmawiać, nie dzwonię dla zabawy, czy kiedykolwiek tak było? Tylko się nie wystrasz, nie chodzi o mamusię, dzięki Bogu, z nią wszystko w porządku, jest trochę wstrząśnięta, w końcu jak my wszyscy, z początku serce mało jej nie wyskoczyło, ale usiadła sobie, Carmel dała jej kieliszek brandy, i wszystko jest w porządku, prawda, mamó? Łaska boska, że była tu Carmel, zajrzała jak niemal co piątek po zakupach, zadzwoniła po mnie i Kevina, Shay mówił, żeby do ciebie nie dzwonić, bo i po co? Tak się wyraził, ale powiedziałam mu, żeby się odchrzanił, sprawiedliwość tego wymaga, no więc jeżeli jesteś w domu, to odbierz wreszcie ten telefon i odezwij się. Francis! Jak Boga kocham...”. Zabrakło miejsca na nagranie i rozległo się piknięcie.

Carmel, Kevin i Shay, o rety. Wyglądało na to, że cała rodzina zwała się do rodziców. Mój ojciec, na pewno on.

– Tato! – krzyknęła Holly ze swojego pokoju. – Ile papierosów palisz dziennie?

Pani z poczty głosowej kazała mi nacisnąć guziki; wykonałem polecenia.

– Kto mówi, że palę?

– Muszę wiedzieć! Dwadzieścia? Na początek.

– Możliwe.

Znowu Jackie: „Cholerne sekretarki, jeszcze nie skończyłam! Przyjedź tu, tak powinnam powiedzieć od razu, nie chodzi też o ojca, z nim jak zwykle, nikt nie umarł, nie jest ranny ani nic takiego, z każdym wszystko w porządku. Kevin jest trochę podenerwowany, ale według mnie dlatego, że się martwi, jak to przyjmiesz, on cię bardzo lubi, wiesz, wciąż cię lubi. Może to nic takiego, Francis, tylko zachowaj spokój, dobra? Może jakiś żart albo wygłupy, tak myśleliśmy na początku, choć moim zdaniem to gówniany żart, przepraszam za wyrażenie...”.

– Tato! Ile czasu poświęcasz na ćwiczenia fizyczne? Co się dzieje, do diabła...?

– Jak nikt nie widzi, ćwiczę balet.

– Neeee, tato, mów poważnie. Ile czasu?

– Za mało.

„...no i oczywiście nikt z nas nie ma zielonego pojęcia, co z tym zrobić, więc zadzwoń do mnie, gdy tylko to odsłuchasz. Proszę cię, Francis. Cały czas trzymam w ręku komórkę”.

Coś zabrzączało, piknęło, odezwała się babeczka z poczty głosowej. W tym momencie już powinienem był się domyślić, a przynajmniej mieć ogólne wyobrażenie.

– Tato? Ile jesz warzyw i owoców?

– Tony.

– Nieprawda!

– Trochę jem.

Następne trzy wiadomości mniej więcej się powtarzały, w półgodzinnych odstępach. Ostatnim razem głos Jackie przybrał taki ton,

jaki słyszą tylko małe psy.

- Tato?
- Za chwilę, skarbie.

Stałem z komórką na balkonie z widokiem na ciemną rzekę w dole, rozmazane pomarańczowe światła oraz płataninę zakorkowanych ulic i zadzwoniłem do Jackie. Odpowiedziała po pierwszym sygnale.

– Francis? Jezusie, Maryjo, Józefie święty, odchodziłam od zmysłów. Gdzieś ty był?

Zwolniła do jakichś osiemdziesięciu mil na godzinę.

- Pojechałem po Holly. Co się dzieje, do diabła?

Hałas w tle. Nawet po tylu latach natychmiast rozpoznałem porowczą zgryźliwość w głosie Shaya. Na dźwięk strzępu słowa wypowiedzianego przez matkę ścisnęło mnie w gardle.

– O Boże... Francis, usiądź, dobrze? I weź sobie kieliszek brandy czy coś.

– Jackie, jeżeli nie powiesz mi, co się stało, przysięgam, że zaraz przyjadę i cię uduszę.

– Poczekaj chwilę... – Trzask zamykanych drzwi. – Już – odezwała się Jackie, gdy nagle zrobiło się cicho. – No więc... pamiętasz, jakiś czas temu opowiadałam ci o człowieku, który kupił trzy domy u wylotu naszej ulicy? Żeby przerobić na mieszkania.

- Aha.

– W końcu zrezygnował z budowy mieszkań. Teraz wszyscy martwią się cenami nieruchomości. Poczekaj i zobaczy, co będzie. Ściągnął robotników, żeby usunęli kominki, gzymsy i różne takie, na sprzedaż. Są ludzie, którzy dobrze zapłacą za te rzeczy, wariaci. No i dziś zaczęli, w domu na rogu. Tej ruinie, pamiętasz?

- Pod szesnastym.

– Zgadza się. Zabierali kominki i znaleźli w kominie walizkę. Pełna napięcia cisza. Narkotyki? Broń? Forsa? Jimmy Hoffa\*?

\* Jimmy Hoffa, przywódca amerykańskich związków zawodowych. Zniknął bez śladu w 1975 r.

- Kurna, Jackie, i co?
- To jest walizka Rosie Daly.

Hałas uliczny zanikł w sekundę. Pomarańczowa luna na niebie przypominała drapieżny i żarłoczny pożar lasu, osłepiający, rozszalały.

– Nie, nie jej – odparłem. – Nie wiem, kto ci nagadał takich głupot.

- Francis, tylko spokojnie...

Słyszac ociekający troską i współczuciem głos, miałem ochotę jej przyłożyć.

– Wpuszczasz mnie w maliny. Razem z matką wpadłyście w histerię z powodu jakichś dupereli i próbujesz mnie w to wkręcić...

- Posłuchaj, wiem, że ty...

– Albo podstępem tam ściągnąć. Tak, Jackie? Szykujesz wielkie rodzinne pojednanie? Ostrzegam cię, kurwa, to nie jest telenowela, ta zabawa źle się skończy.

– Ty debilu – warknęła Jackie. – Weź się w garść. Za kogo mnie masz? W tej walizce jest koszula, fioletowa w tureckie wzory, Carmel ją rozpoznała...

Widziałem Rosie w tej koszuli setki razy, dotykałem palcami guzików.

– Jasne, każda dziewczyna w mieście nosiła taką koszulę w latach osiemdziesiątych. Carmel rozpoznałaby Elvisa na Grafton Street, żeby puścić plotkę. Myślałem, że masz więcej rozumu, ale najwyraźniej...

– ...i jest tam świadectwo urodzenia na nazwisko Rose Bernadette Daly.

Po tym dalsza wymiana zdań w tym stylu była zbędna. Znalazłem fajki, oparłem łokcie na balustradzie i wziąłem najdłuższego sztachy w swoim życiu.

– Przepraszam, że naskoczyłam na ciebie – powiedziała Jackie, już łagodniej. – Francis?

- Jestem.

– W porządku?  
– Tak. Słuchaj, czy państwo Daly o tym wiedzą?  
– Nie ma ich w domu. Nora przeprowadziła się do Blanchardstoun, jak mi się zdaje, parę lat temu. W piątki wieczorem państwo Daly jeżdżą do niej zobaczyć się z maluchem. Mama mówi, że chyba ma gdzieś telefon, ale...

– Dzwoniłaś na policję?  
– Tylko do ciebie, wiadomo.  
– Czy jeszcze ktoś o tym wie?  
– Robotnicy, nikt więcej. Dwóch młodych Polaków. Po pracy poszli naprzeciwko pod piętnasty i spytali, komu mają oddać walizkę, ale tam mieszkają teraz studenci i odesłali ich do naszych rodziców.

– A matka nie rozpowiedziała wszystkim sąsiadom? Na pewno?  
– Faithful Place już nie jest taka, jak ją pamiętasz. Dzisiaj połowa sąsiadów to studenci i japiszony, których nawet nie znamy z nazwiska. Cullenowie wciąż mieszkają, Nolanowie też, no i zostało jeszcze paru Hearne'ów, ale nie chciała im nic mówić, dopóki nie powie Dalym. To by było nie w porządku.

– Dobrze. Gdzie jest ta walizka?  
– W salonie. Może ci robotnicy nie powinni jej zabierać? Ale przecież musieli wykonać swoją robotę...

– Świetnie. Nie dotykajcie walizki, chyba że to będzie konieczne. Postaram się przyjechać jak najszybciej.

Zapadła cisza. Po chwili:

– Francis. Nie chcę krakać, niech Bóg ma nas w opiece, ale czy to nie znaczy, że Rosie...

– Jeszcze nic nie wiemy – powiedziałem. – Nie ruszajcie się z domu, z nikim nie rozmawiajcie i czekajcie na mnie.

Rozłączyłem się i zerknąłem przez ramię w głąb mieszkania. Drzwi do pokoju Holly nadal były zamknięte. Dopaliłem papierosa kolejnym gigantycznym sztachem, wyrzuciłem peta za barierkę, zapaliłem następnego papierosa i zadzwoniłem do Olivii.

Nie witając się, powiedziała od razu:

- Nie, Frank. Nie tym razem. W żadnym wypadku.
- Nie mam wyjścia, Liv.
- Prosiłeś o każdy weekend. Błagałeś. Jeżeli ci nie zależało...
- Wciąż mi zależy. Sytuacja jest wyjątkowa.
- Jak zwykle. Wydział przetrwa bez ciebie dwa dni. Nie jesteś niezastąpiony, choć tak ci się może wydaje.

Każdy w promieniu kilku kroków uznałby, że to luźna pogawędka, ale Olivia była wściekła. Brzęk sztućców, salwy śmiechu rozbawionych gości, coś jakby, Boże ucho, plusk fontanny.

- Tym razem to nie jest sprawa służbowa, lecz rodzinna.
- Naturalnie. Czy ma może jakiś związek z faktem, że jestem na czwartej randce z Dermotem?
- Posłuchaj, Liv, z przyjemnością dołożyłbym starań, żeby zepsuć ci czwartą randkę z Dermotem, ale za nic nie poświęciłbym czasu spędzonego z Holly. Na tyle mnie przecież znasz.

Chwila milczenia niepozbawiona podejrzeń.

- Co to za wyjątkowa sprawa rodzinna?
- Jeszcze nie wiem. Dzwoniła Jackie, w hysterii, od rodziców, ale nie znam szczegółów. Muszę tam jak najszybciej pojechać.

Znowu cisza. W końcu Olivia westchnęła ze znużeniem i powiedziała:

- Dobrze. Jesteśmy w Coterie. Przywieź ją.

Coterie ma szefa kuchni, który występuje w telewizji, i jest dopieszczana w wielu weekendowych dodatkach do gazet. Najwyższy czas zrzucić na nią bombę zapalającą.

- Dzięki, Olivio. Mówię szczerze. Przyjadę po nią wieczorem, jeśli dam radę, albo jutro rano. Zadzwoń do ciebie.
- Przyjedź – powiedziała Olivia. – Oczywiście, jeśli dasz radę. – Rozłączyła się, a ja wyrzuciłem papierosa i wszedłem do mieszkania, żeby wkurzyć kolejną kobietę w swoim życiu.

Holly siedziała ze skrzyżowanymi nogami na łóżku, z komputerem na kolanach i zaniepokojoną miną.

- Kochanie, mamy kłopot – zacząłem.

Wskazała laptopa, mówiąc:

– Spójrz, tato.

Duże purpurowe litery otoczone migającą grafiką tworzyły na ekranie napis: UMRZESZ W WIEKU 52 LAT. Dzieciak był naprawdę przybity. Usiadłem na łóżku, przyciągnąłem do siebie Holly i przenieśliśmy komputer na swoje kolana.

– Co to takiego?

– Sarah znalazła tę ankietę w sieci. Wypełniłam ją za ciebie i wyszedł taki wynik. A ty masz czterdzieści jeden lat!

Panie Jezu, nie teraz.

– Ptaszynko, do internetu każdy może wrzucić cokolwiek i to wcale nie musi być prawda.

– Tak jest napisane! Wszystko wyliczyli!

Olivia będzie zachwycona, gdy oddam jej szlochające dziecko.

– Coś ci pokażę – powiedziałem. Obejmując Holly ręką, usunąłem swój wyrok śmierci, otworzyłem Worda i napisałem: JESTEŚ KOSMITKĄ. CZYTASZ TO NA PLANECIE BONGO. – No i jak? To prawda?

Holly zaśmiała się płaczliwie.

– Pewnie że nie.

Zmieniłem kolor liter na purpurowy i czcionkę na bardziej fantazyjną.

– A teraz?

Pokręciła głową.

– A gdybym kazał komputerowi zadać ci masę pytań, zanim to powie? Wtedy byłaby to prawda?

Już sądziłem, że do niej dotarło, ale raptem jej wąskie ramiona zeszywniały.

– Mówiłeś o kłopotcie.

– No właśnie. Będziemy musieli wprowadzić małą zmianę do naszych planów.

– Mam wracać do mamy – powiedziała Holly, zwracając się do laptopa. – Zgadza się?

– Ano tak, skarbie. Jest mi naprawdę bardzo, bardzo przykro. Przyjadę po ciebie, gdy tylko będę mógł.

– Znowu potrzebują cię w pracy?

To „znowu” było gorsze od wszystkich ochrzanów Olivii.

– Nie, to nie ma związku z pracą – odparłem, przechylając się na bok, żeby widzieć buzię Holly. – Praca nie zajac, mam rację? – To wywołało słaby uśmiech. – Twoja ciocia Jackie, wiesz która, ma duży kłopot i chce, żebyśmy jej natychmiast pomogli.

– A nie mogę pójść z tobą?

Zarówno Jackie, jak i Olivia napomykały od czasu do czasu, że Holly powinna poznać rodzinę swojego taty. Nawet gdyby nie ta ponura sprawa z walizką, po moim trupie Holly zajrzy do tego kipiącego szaleństwem kotła, jakim są Mackeyowie w swoim najlepszym wydaniu.

– Nie tym razem. Gdy wszystko załatwię, zabierzemy ciocię Jackie gdzieś na lody i poprawimy sobie nastrój, dobrze?

– Dobrze – zgodziła się Holly, wzdychając ze znużeniem zupełnie jak Olivia. – Będzie fajnie. – Zeszła z moich kolan i zaczęła wkładać swoje rzeczy z powrotem do plecaczka.

• • •

Po drodze Holly cały czas mówiła coś do Klary stłumionym głosem, tak cicho, że nic nie słyszałem. Stojąc na czerwonym świetle, za każdym razem spoglądałem na nią w lusterku wstecznym i przysięgałem sobie, że jej to wynagrodzę: zdobędę numer telefonu Dalych, zostawię tę cholerną walizkę na ich progu i zawiozę Holly na El Rancho Lyncho, zanim przyjdzie pora kłaść się spać. Wiedziałem jednak, że tak się nie stanie. Ta ulica i ta walizka długo czekały na mój powrót. Skoro już mnie dopadły, nie popuszczą i to, co mnie czeka, nie skończy się tego wieczoru.

W liście trzymała się jak najdalej od dziewczynskiego sentymentalizmu; to była duża zaleta Rosie, trzeba przyznać. „Wiem, że to będzie szok, bardzo mi przykro, ale daję słowo, że nie kręciłam



umyślnie. Nigdy nie chciałam tego robić. Dobrze się nad wszystkim zastanowiłam i wiem, że jedynie w ten sposób mam szansę przeżyć życie, jak chcę. Żałuję tylko, że sprawiam przykrość, niepokój i zawód. Chciałabym usłyszeć życzenia pomyślności w moim nowym życiu w Anglii!!! Ale jeżeli nie, to też zrozumieć. Przysięgam, że na pewno wrócę. Tymczasem ściskam bardzo, bardzo mocno, Rosie”.

Po tym, jak zostawiła ten list na podłodze w domu pod szesnastym, w pokoju, gdzie pocałowaliśmy się pierwszy raz, i zanim ruszyła, żeby przerzucić walizkę przez mur i dać stąd dyla, coś się wydarzyło.

Nie traficie na Faithful Place, jeżeli nie będziecie wiedzieli, gdzie jej szukać. Liberties rozwijała się przez wieki samodzielnie, bez pomocy urbanistów; Faithful Place jest wąską ślepą uliczką, ukrytą w środku dzielnicy i przypominającą odnogę labiryntu. O dziesięć minut spacerem znajdują się Trinity College i ekskluzywne sklepy na Grafton Street, ale za czasów mojej młodości nie chodziliśmy do Trinity College ani ludzie z Trinity nie natykali się na nas. Dzielnica właściwie nie była szemrana – mieszkali tu robotnicy, murarze, piekarze, ludzie na zasiłku i kilku farciarzy, którzy pracowali u Guinnessa, mieli ubezpieczenie zdrowotne i chodzili na kursy wieczorowe – po prostu stanowiła odrębną całość. Od stuleci nazywała się Liberties, ponieważ szła swoją drogą i rządziła się swoimi prawami. Na mojej ulicy obowiązywały następujące zasady: choćbyś był kompletnie splukany, to jeżeli idziesz do pubu, stawiasz kolejkę; gdy twój kumpel wda się w bójkę, trzymasz się w pobliżu i na widok pierwszej kropli krwi odciągasz go, a wtedy nikt nie straci twarzy; heroinę zostawiasz tym z blokowisk; nawet jeżeli w danym miesiącu akurat jesteś anarchistą i punkrockowcem, idziesz w niedzielę do kościoła; i choćby nie wiadomo co, nigdy, przenigdy na nikogo nie kablujesz.

Zaparkowałem samochód w odległości pięciu minut od domu i dalej poszedłem pieszo; rodzina nie musi wiedzieć, czym jeżdżę ani że mam fotelik dla dziecka na tylnym siedzeniu. Atmosfera w Liberties nocą się nie zmieniła – była ożywiona i niespokojna, opakowania po chipsach i bilety autobusowe wirowały na wietrze, z pubów dolatywał zgiełk podochoconych głosów. Wystający na rogach ulic

ćpuni zaczęli nosić do dresów błyskotki, chcąc zwrócić uwagę na swoje skromne osoby. Dwóch takich otaksowało mnie wzrokiem i ruszyło w moim kierunku, ale posłałem im szeroki uśmiech rekina i się rozmyśliли.

Po każdej stronie Faithful Place stoi osiem starych domów z czerwonej cegły, ze schodami prowadzącymi do drzwi wejściowych. W latach osiemdziesiątych taki dom zajmowały trzy albo cztery rodziny, czasem więcej. Za rodzinę uznawało się na przykład Wariata Johnny'ego Malone'a, który walczył w pierwszej wojnie światowej i pokazałby wam swój tatuaż z Ypres, albo Sallie Hearne, która właściwie nie była dziwką, ale musiała jakoś utrzymywać gromadę dzieciaków. Jeżeli człowiek żył z zasiłku, to miał mieszkanie w suterenie i niedobór witaminy D; jeżeli był zatrudniony, miał przynajmniej część wysokiego parteru; jeżeli jego rodzina mieszkała tu od kilku pokoleń, prawem starszeństwa dostawał mieszkanie na górze, gdzie nikt nie chodził mu nad głowę.

Gdy po latach wraca się do jakiegoś miejsca, podobno wydaje się mniejsze. Moja ulica wyglądała jednak wprost schizofrenicznie. Kilka budynków przeszło mały lifting i nieźle się prezentowało – podwójne szyby w oknach i zabawne pastelowe ściany zrobione „na staro” – ale w większości jak stały, tak stały. Dom pod szesnastym ledwie się trzymał: dach przeciekał, przy schodach od frontu zwalono stos cegieł i zepsute taczki, kiedyś w minionym dwudziestoleciu podpalono tu drzwi. Pod ósmym, w oknie na parterze paliło się światło, złociste, przytulne i diabelnie groźne.

Carmel, Shay i ja przyszliśmy na świat zaraz po ślubie rodziców, rok po roku, jak można się spodziewać w kraju, gdzie prezerwatywy pochodzą z przemytu. Kevin urodził się po pięcioletniej przerwie, gdy rodzice złapali oddech, a Jackie pięć lat po nim, pewnie dlatego, że przestali na chwilę ziać do siebie nienawiścią. Zajmowaliśmy cały parter pod ósmym, cztery pomieszczenia: pokój dziewcząt, pokój chłopców, kuchnia, salon od frontu – wychodek znajdował się na końcu ogrodu, a mylił się w blaszanej misce w kuchni. Teraz

matka i ojciec mają całą tę powierzchnię dla siebie.

Widuję się z Jackie co kilka tygodni i dzięki niej jestem na bieżąco, cokolwiek przez to rozumieć. Ona uważa, że powinienem wiedzieć z detalami wszystko o wszystkich, natomiast mnie wystarczy wiadomość, czy ktoś umarł, więc trochę czasu zajęło nam osiągnięcie kompromisu. Gdy szedłem na Faithful Place, wiedziałem, że Carmel ma czworo dzieci i tyłek jak szafa, że Shay mieszka nad naszymi rodzicami i pracuje w tym samym sklepie rowerowym, dla którego rzucił szkołę, że Kevin sprzedaje płaskie telewizory i co miesiąc ma inną dziewczynę, że ojcu stało się coś bliżej nieokreślonego w plecy i że matka jest taka jak zawsze. Jackie, dodam dla pełnego obrazu, jest fryzjerką i mieszka ze swoim facetem, Gavinem, za którego może kiedyś wyjdzie, jak twierdzi. Jeżeli Jackie stosowała się do poleceń – w co wątpię – to tamci nic nie wiedzieli o mnie.

Drzwi wejściowe do korytarza nie były zamknięte na klucz, podobnie drzwi do mieszkania. W dzisiejszych czasach dublińscy już nie zostawiają otwartych drzwi. Jackie miała dość wyczucia, żeby umożliwić mi wejście w dogodny dla mnie sposób. Z salonu dobiegały głosy: krótkie zdania przerywane długim milczeniem.

– Jak się macie? – odezwałem się, stając na progu.

Filizanki lądują na stole jedna po drugiej, odwracają się głowy. Wpatrują się we mnie zjadliwe czarne oczy matki i pięć par intensywnie niebieskich oczu dokładnie takich jak moje.

– Chować heroinę – powiedział Shay. Z rękami w kieszeniach stał oparty o okno, skąd obserwował moje nadejście. – Przyszły psy.

Właściciel domu wreszcie położył nowy dywan, zielono-różowy, w kwiaty. Pokój jak dawniej wypełniały zapachy grzanek, wilgoci i pasty do mebli, czułem też lekki odór czegoś brudnego, niedającego się dokładnie określić. Na stole leżała taca z koronkowymi serwetkami z papieru i pełnoziarnistymi herbatnikami. Ojciec i Kevin siedzieli w fotelach, matka ulokowała się na kanapie, między Carmel i Jackie, niczym wódz naczelny dumnie prezentujący dwójkę ważnych jeńców.

Moja mama jest typową dublińską mamuszką: pięć stóp wzrostu w kapeluszu, włosy na wałkach, gruba jak beczka, całą sobą mówi: „Nie zadzieraj ze mną” i napędza się zrzędzeniem, do którego zawsze znajdzie powód. Powitanie syna marnotrawnego przebiegało tak:

– O, Francis – rzekła matka. Oparła się plecami o kanapę, skrzyżowała ręce w miejscu, gdzie powinna być talia, i zmierzyła mnie wzrokiem z góry na dół. – Nawet nie chciało ci się włożyć przyzwoitej koszuli?

– Cześć, mamó.

– „Mamusiu”, nie „mamó”. Jak ty wyglądasz! Sąsiedzi pomyślą, że wychowałam menela.

W którymś momencie zmieniłem niemiecką wojskową kurtkę na brązową ze skóry, ale poza tym od wyjścia z domu mój image pozostał taki sam. Gdybym włożył garnitur, zrobiłaby mi awanturę, że mam zadęcia. Z moją matką nigdy się nie wygra.

– Jackie dała mi do zrozumienia, że sprawa jest pilna. Cześć, tato.

Ojciec wyglądał lepiej, niż się spodziewałem. Dawniej byłem do niego najbardziej podobny – takie same gęste brązowe włosy, takie same ostre rysy – ale z upływem lat podobieństwo prawie zanikło, co stwierdziłem z zadowoleniem. Ojciec zaczynał się starzeć – siwe włosy, spodnie nad kostkę – ale wciąż miał tyle krzepy, że każdy dwa razy pomyślał, zanim wdał się z nim w bójkę. Zdaje się, że był zupełnie trzeźwy, ale w jego wypadku można było mieć co do tego pewność dopiero poniewczasie.

– To miłe, że nas zaszczyciłeś – rzekł. Miał głębszy i bardziej chrapliwy głos, niż pamiętałem. Przez te camele. – Nadal nie brak ci tupetu.

– Tak mówią. Cześć, Carmel, Kev, Shay.

Shay nie raczył odpowiedzieć.

– Cześć, Francis – odezwał się Kevin z miną, jakby zobaczył ducha. Wyrósł z niego wysoki facet, jasnowłosy, masywny i przystojny, potężniejszy ode mnie. – O Jezu.

– Nie wyrażaj się – warknęła mama.

– Świetnie wyglądasz – powiadomiła mnie Carmel. Klasyczna odzywka. Gdyby któregoś ranka objawił się jej powstały z martwych Jezus Chrystus, powiedziałaaby mu, że świetnie wygląda. Jej tyłek rzeczywiście robił wrażenie, poza tym nabrała dystyngowanego nosowego akcentu, co ani trochę mnie nie zdziwiło. Ten dom był w dwustu procentach taki jak dawniej.

– Bardzo dziękuję. Ty też.

– Chodź tutaj – powiedziała do mnie Jackie. Jackie ma niesforne tlenione włosy i ubiera się jak bywalcy baru nocnego w piosence Toma Waitsa. Tego wieczoru włożyła białe rybaczki i czerwoną bluzkę w kropki, marszczoną w dziwnych miejscach. – Siadaj i napij się herbaty. Przyniosę filiżankę. – Idąc do kuchni, lekko mnie uszczypnęła i puściła oko, dla otuchy.

– Dziękuję, nie trzeba. – Powstrzymałem ją, bo na samą myśl, że miałbym usiąść obok matki, włosy zjeżyły mi się na karku. – Zobaczymy tę słynną walizkę.

– Po co ten pośpiech? – wtrąciła stanowczym tonem mama. – Siadaj.

– Najpierw obowiązki, później przyjemność. Gdzie jest walizka? Shay kiwnął głową, wskazując podłogę koło siebie.

– Jest do twojej dyspozycji – powiedział.

Jackie ciężko usiadła na kanapie. Obserwowany przez wszystkich, obszedłem niski stół, kanapę i krzesła.

Walizka stała pod oknem – jasnoniebieska, z zaokrąglonymi rogami i dużymi czarnymi płatami pleśni. Była niedomknięta. Ktoś wyłamał nędzne blaszane zamki. Ścisnęło mnie za serce, gdy zobaczyłem, że jest taka mała. Olivia pakowała dosłownie cały nasz dobytek, łącznie z czajnikiem elektrycznym, gdy wyjeżdżaliśmy na weekend. A Rosie wybierała się w świat, żeby rozpocząć zupełnie nowe życie, z bagażem, który mogła nieść jedną ręką.

– Kto jej dotykał? – zapytałem.

Shay prychnął oschłym, gardłowym śmiechem.

– Jezu, słyszeliście? Porucznik Columbo! Weźmiesz od nas od-

ciski palców?

Shay był ciemnowłosy, szczupły, ale umięśniony, i nie mógł ustać w miejscu. Przez te lata zapomniałem, jak to jest, gdy się podejdzie do niego za blisko. Człowiek ma wrażenie, jakby się znalazł przy słupie wysokiego napięcia, jest cały podminowany. Na twarzy porobiły mu się głębokie, ostre bruzdy: biegingy od nosa do ust i między brwiami.

– Tylko wtedy, gdy ładnie poprosicie – odpowiedziałem. – Wszyscy dotykaliście tej walizki?

– Nie zbliżyłabym się do niej – odparła natychmiast Carmel, lekko się wzdrygając. – Brudna jak diabli.

Uchwyciłem spojrzenie Kevina. Przez ułamek sekundy wydawało mi się, że nigdy nie opuściłem tego domu.

– Razem z twoim ojcem próbowałam ją otworzyć – powiedziała mama – ale była zamknięta na kluczyk. No to ściągnęłam z góry Shaya, żeby podważył wieko śrubokrętem. Nic tam nie było napisane, więc niby jak mieliśmy wiedzieć, do kogo należy?

Rzuciła mi bojowe spojrzenie.

– Bardzo słusznie – przytaknałem.

– Gdy zobaczyliśmy, co jest w środku... Mówię ci, w życiu nie byłam tak wstrząśnięta. Serce wyskakiwało mi z piersi. Myślałam, że mam zawał. Powiedziałam Carmel: „Bogu dzięki, że jesteś samochodem. A nuż trzeba będzie zawieźć mnie do szpitala”.

Popatrzyła na mnie tak, jakbym to ja wpędził ją w ten stan, choć jeszcze nie wymyśliła, jak mógłbym tego dokonać.

– W sytuacji wyjątkowej Trevor bez słowa da dzieciom podwieczorek – dodała Carmel, zwracając się do mnie. – Pod tym względem jest bez zarzutu.

– Kevin i ja, gdy tu przyjechaliśmy, też zajrzeliśmy do środka – powiedziała Jackie. – Wzięliśmy do ręki to i owo, dokładnie nie pamiętam...

– Masz proszek do zdejmowania odcisków palców? – zapytał Shay oparty nonszalancko o framugę okna, obserwując mnie spod na wpół przymkniętych powiek.

– Jak będziesz grzeczny, to kiedyś przyniosę. – Z kieszeni kurtki wyjąłem rękawiczki chirurgiczne. Gdy je włożyłem, ojciec ryknął nieprzyjemnym, chrapliwym śmiechem, po czym zaniósł się kaszlem, od którego zatrzęsł się cały fotel.

Śrubokręt Shaya leżał na podłodze obok walizki. Przyklęknąłem i podniosłem nim wieko. Dwóch chłopaków z laboratorium kryminalistycznego miało wobec mnie długi wdzięczności, a kilku uroczym paniom wpadłem w oko, więc ktoś z nich przeprowadzi dla mnie parę badań na boku, doceniając fakt, że nie dłużyłem przy dowodach bardziej niż to konieczne.

Walizka była wypchana zbitymi w kłęb tkaninami, czarnymi od pleśni i rozlatującymi się ze starości. Bił od nich intensywny, ponury zapach, jakby wilgotnej ziemi, ten sam, który poczułem, wchodząc do pokoju.

Wolno wyjmowałem jedną rzecz po drugiej i kładłem na wieku, żeby ich nie zanieczyścić. Workowate dżinsy przedarte na kolanach i podszyte łątą w szkocką kratę. Zielony wełniany sweter. Jeszcze jedne dżinsy tak obcisłe, że przy kostkach miały suwaki – Boże Wszchemogący, jak ja znałem te spodnie! Na wspomnienie Rosie, gdy szła w nich, kołysząc biodrami, poczułem się tak, jakbym dostał cios w brzuch. Nie mrugnawszy powieką, przeglądałem zawartość walizki. Flanelowa męska koszula bez kołnierzyka, cienkie niebieskie paski na niegdyś kremowym tle. Sześć par białych bawełnianych majtek. Fioletowo-niebieska koszula w tureckie wzory, z rozcięciami po bokach, cała w strzępach. Gdy ją uniosłem, wypadło świadectwo urodzenia.

– No widzisz – odezwała się Jackie, przechylając się przez boczne oparcie kanapy i patrząc na mnie z niepokojem. – Dopóki tego nie zobaczyliśmy, też nam się wydawało, że to nic wielkiego. Bo ja wiem? Dzieciaki się wygłupiały, złodziejasek chciał gdzieś schować towar albo może jakaś biedaczka zadręczana przez faceta przygotowała sobie rzeczy, gdyby któregoś dnia zebrała się na odwagę i go rzuciła, no wiesz, w czasopismach tak radzą robić. – Jackie znowu się



nakręcała.

Rose Bernadette Daly, urodzona trzydziestego lipca 1966 roku. Papier zaczął się kruszyć.

– No tak. Jeśli to miały być wyglupy dzieciaków, nie zapomniały o niczym – zauważyłem.

T-shirt fana U2, pewnie wart setki funtów, gdyby nie zbutwiał. T-shirt w niebiesko-białe paski. Czarna męska kamizelka; była wtedy moda na styl Annie Hall. Fioletowy wełniany sweter. Różaniec z jasnoniebieskimi paciorkami. Dwa białe bawełniane staniki. Walkman bez marki, na który oszczędzałem długie miesiące; na tydzień przed jej osiemnastymi urodzinami zarobiłem brakujące dwa funty, pomagając Nosalowi Murrayowi sprzedawać przemycone magnetywidy, którymi handlował na Iveagh Market. Dezodorant Sure w sprayu. Kilkanaście kaset magnetofonowych z przegraną muzyką; rozpoznawałem okrągły charakter pisma na etykietkach: *Murmur* R.E.M., *Boy* U2; Thin Lizzy, Boomtown Rats, Stranglers, Nick Cave and the Bad Seeds. Rosie wyjechałaby, zostawiając wszystko, ale ze swoją kolekcją płyt za nic by się nie rozstała.

Na dnie walizki leżała brązowa koperta. Znajdujące się w niej kartki papieru nasiąkały wilgocią przez dwadzieścia dwa lata i skleiły się w jednolitą masę. Gdy pociągnąłem ostrożnie za brzeg, został mi w palcach jakby mokry skrawek papieru toaletowego. Jeszcze jedna przysługa wyświadczona laboratorium. Przez folię w okienku koperty widać było kilka słów napisanych na maszynie, zamazanych, ale wciąż czytelnych.

„...Laoghaire-Holyhead... odjazd... 30...”. Dokądkolwiek udała się Rosie, dotarła tam bez naszych biletów na poranny prom.

Wszyscy utkwili we mnie wzrok. Kevin wyglądał na szczerze zmartwionego.

– Rzeczywiście należała do Rosie Daly – oświadczyłem. Zacząłem przekładać rzeczy z powrotem do walizki, zostawiając na wierzchu kopertę z papierami, żeby się nie zgniotły.

– Wzywamy policję? – odezwała się Carmel. Ojciec odchrząknął

efektownie, jakby zamierzał splunąć, a mama spiorunowała go wzrokiem.

– I co powiemy? – zapytałem.

Najwyraźniej nikt się nad tym nie zastanawiał.

– Dwadzieścia parę lat temu ktoś wetknął walizkę do kominka – mówiłem dalej. – To nie jest przestępstwo stulecia. Państwo Daly, jeśli będą chcieli, sami mogą zawiadomić policję. Uprzedzam was jednak, że policja nie wytoczy ciężkich dział, by rozwikłać tajemnicę zatkanego kominka.

– Ale tu chodzi przecież o Rosie – wtrąciła się Jackie. Szarpała za kosmyk włosów, wystawiając królicze zęby i z zatroskaniem wlepiając we mnie duże niebieskie oczy. – Dziewczyna zaginęła. A te rzeczy... to jakiś trop, może dowód, czy jak wy tam mówicie. Nie powinniśmy...?

– Ktoś zgłosił jej zaginięcie?

Obrzucili się spojrzzeniami: żadne z nich nie miało pojęcia. Poważnie powątpiewałem. W Liberties traktuje się gliniarzy jak duszki w Pacmanie – biorą udział w grze, uczysz się ich unikać i zdecydowanie nie szukasz z nimi kontaktu.

– Jeżeli nie zgłosił, to teraz jest trochę za późno – dodałem, pstryknięciem palcami zamykając sprawę.

– Zaraz, zaraz – nie ustępowała Jackie. – Czy to nie znaczy, że... no wiecie, że ona jednak nie wyjechała do Anglii? Nie wygląda na to, że ktoś mógł...?

– Jackie chce powiedzieć – zwrócił się do mnie Shay – że wygląda to tak, jakby ktoś załatwił Rosie, zapakował do worka na śmieci, zawłókł do chlewni i tam zostawił, a walizki pozbył się, wsadzając ją do kominka.

– Jak możesz, Seamusie! – krzyknęła mama. – Boże, miej nas w opiece! – Carmel się przeżegnała.

Taka ewentualność i mnie przyszła do głowy.

– Pewnie, że mogło tak być. Albo porwali ją kosmici i wysadzili przez pomyłkę w Kentucky. Osobiście skłaniam się ku najprostszemu

wyjaśnieniu, a mianowicie: sama wpakowała tę walizkę do kominka, potem nie miała możliwości jej wyjąć i wyruszyła do Anglii bez drugiej pary majtek na zmianę. Ale jeśli brak wam w życiu rozrywek, kombinujcie dalej.

– Akurat! – powiedział Shay. Shay ma dużo wad, ale głupi nie jest. – I pewnie dlatego był ci potrzeby ten szajs. – Chodziło mu o rękawiczki, które wkładałem do kieszeni. – Bo według ciebie nie popełniono tu żadnego przestępstwa.

– Po prostu nawyk – odrzekłem z szerokim uśmiechem. – Pies jest psem dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, prawda? – Shay burknął coś, pełen obrzydzenia.

– Theresa Daly zwariuje. Normalnie zwariuje – odezwała się mama z pewną dozą poważania ładnie połączonego z zawiścią i żądzą krwi.

Z wielu różnych powodów chciałem pójść do Dalych, zanim pojawi się tam ktoś inny.

– Pogadam z nią i jej mężem, zobaczę, co zamierzają zrobić. O której wracają w sobotę do domu?

– Różnie – powiedział Shay, wzruszając ramionami. – Czasem dopiero po lunchu, czasem z samego rana. Zależy, kiedy Nora ma czas ich odwiedzić.

Niedobrze, cholera. Z twarzy matki mogłem wyczytać, że już kombinuje, żeby ich dopaść, zanim zdążą włożyć klucz w drzwi. Przyszło mi na myśl, że prześlę się w samochodzie i odetnę jej drogę, ale w zasięgu inwigilacji nie było miejsca do zaparkowania. Shay obserwował mnie z widoczną przyjemnością.

Wtedy mama podciągnęła biust i zaproponowała:

– Możesz przenocować, Francis. Kanapa jeszcze się rozkłada.

Wiedziałem, że nie należy tego uznać za przejaw czułości i wzruszenia po długim niewidzeniu. Moja matka lubi, gdy inni są jej dłużnikami. Ten pomysł w żadnych okolicznościach nie jest dobry, ale nie wpadłem na lepszy. Mama szybko dodała: „Jeżeli to ci nie przyniesie teraz ujmy” – żebym nie przypuszczał, że zmiękla.

– Skądże – odrzekłem, szczerząc się do Shaya. – Bardzo chętnie. Dzięki, mamó.

– „Mamusiu”, nie „mamó”. Pewnie będziesz chciał dostać śniadanie i w ogóle.

– Ja też mogę zanocować? – spytał Kevin ni stąd, ni zowąd.

Mama spojrzała na niego podejrzliwie. Miał równie zaskoczoną minę jak ja.

– Przecież cię nie powstrzymam – w końcu oświadczyła. – Nie zniszczcie moich porządných prześcieradeł. – Podniosła się z kanapy i zaczęła zbierać filizanki.

Shay roześmiał się, ale nie zabrzmiało to przyjemnie.

– W Waltons' Mountain nastał pokój – rzekł, trącając czubkiem buta walizkę. – W sam raz na Boże Narodzenie.

• • •

Mama nie pozwala palić w domu. Shay, Jackie i ja wynieśliśmy się z naszym nałogiem na dwór, za nami podążyli Kevin i Carmel. Usiedliśmy na schodach przed domem, tak jak siadaliśmy po podwieczorku w dzieciństwie, każde z lizakiem w ręku, czekając, aż coś się wydarzy. Dopiero po chwili uprzytomniłem sobie, że teraz też na to czekam – dzieciaki wyjdą z piłką, małżeństwo zacznie się kłócić, kobieta przebiegnie przez ulicę, żeby podzielić się plotką w zamian za herbatę ekspresową albo cokolwiek innego – ale nic się nie działo. Pod jedenastym paru kudłatych studentów coś pichciło, puszczać Keane, nawet niezbyt głośno, a pod siódmym Sallie Hearne prasowała i ktoś oglądał telewizję. Najwyraźniej na tym kończyła się w dzisiejszych czasach aktywność mieszkańców Faithful Place.

Wylądowaliśmy na swoich dawnych miejscach: Shay i Carmel na końcach górnego schodka, Kevin i ja niżej, Jackie najniżej, między nami. Każde z nas pozostawiło na tych stopniach wytarty ślad swojego tyłka.

– Jezu, na dworze jest ciepło jak w domu – westchnęła Jackie. – Jakby to nie był grudzień, prawda? Dziwnie się człowiek czuje.

– Globalne ocieplenie – rzucił Kevin. – Dacie mi fajkę? Jackie podała mu paczkę.

– Nie zaczynaj palić. Obrzydliwy nałóg.

– Tylko w wyjątkowych okolicznościach.

Pstryknąłem zapalniczką i Kevin pochylił się w moją stronę. W blasku ognia cienie rzęs spłynęły na jego policzki i przez chwilę wyglądał jak śpiące dziecko o niewinnej różowej buzi. Kevin uwielbiał mnie za dawnych czasów; chodził za mną wszędzie. Pewnego razu przyłożyłem Bystrzakowi Hearne'owi w nos, bo zabrał Kevinowi zelki. Teraz mój brat pachniał płynem po goleniu.

– Sallie – powiedziałem, kiwając głową w stronę jej domu. – Ile ona ma w końcu dzieci?

Jackie sięgnęła przez ramię po swoje papierosy.

– Czternaścioro. Na samą myśl boli mnie cipka.

Zachichotałem i uchwyciłem spojrzenie szczerzącego się do mnie Kevina.

– Ja mam czworo. Darrena, Louise, Donnę i Ashley – poinformowała mnie po chwili Carmel.

– Słyszałem od Jackie. Dobrze ci poszło. Do kogo są podobne?

– Louise wygląda jak ja, niech jej Bóg dopomoże. Darren wdał się w ojca.

– Donna jakby skórę zdjął z Jackie – dodał Kevin. – Wystające zęby i cała reszta.

– Zamknij się – mruknęła Jackie i walnęła go pięścią.

– Pewno są już spore – powiedziałem.

– Ano szybko rosną. Darren zdaje w tym roku maturę. Chce studiować inżynierię w UCD, wyobrażasz sobie?

Nikt nie zapytał o Holly. Może nie doceniłem Jackie. Chyba jednak umiała trzymać język za zębami.

– Poczekaj. – Carmel zaczęła grzebać w torebce. Wyjęła komórkę, nacisnęła parę guzików i wyciągnęła rękę. – Chcesz je zobaczyć?

Obejrzałem zdjęcia. Czwórka niezbyt ładnych, piegowatych dzie-

ciaków; Trevor taki jak zawsze, tyle że z zakolami nad czołem; wykończony tynkiem kamyczkowym bliźniak z lat siedemdziesiątych na przygńbiającym przedmieściu przedmieścia, którego nazwa wyleciała mi z głowy. Carmel wiodło się dokładnie tak, jak sobie wymarzyła. Niewielu ludzi może to powiedzieć. Udało się dziewczynie, ale gdybym ja miał tak żyć, tobym chyba poderżnął sobie gardło.

– Świetne dzieciaki – powiedziałem, oddając jej telefon. – Moje gratulacje, Melly.

Cichy świst wciąganego powietrza nade mną.

– Melly. O Boże... Od lat nikt tak nie mówił.

W tym świetle wyglądali jak za dawnych czasów. Zniknęły zmarszczki i pasemka siwizny, wydelikatniała ciężka szczeka Kevina, zszedł makijaż Jackie – została nasza piątka: żwawi, niecierpliwi, z kocim wzrokiem przebijającym mrok, snujemy każdy swoje marzenia. Gdyby Sallie wyjrzała przez okno, zobaczyłaby dzieciarnię Mackeyów na schodach ich domu. Przez jedną szaloną sekundę cieszyłem się, że tu jestem.

– Ojej – sieknęła Carmel i zaczęła się wiercić. Milczenie zawsze jej ciążyło. – Strasznie boli mnie tyłek. Jesteś przekonany, Francis, że było tak, jak mówiłeś tam w mieszkaniu? Że Rosie zamierzała przyjść po walizkę.

Z cichym prychnięciem, może śmiechem, Shay wypuścił przez zęby dym.

– Gada pierdoły. Wie tyle co ja.

– Nie wyrażaj się. – Carmel klepnęła go w kolano. Nie drgnął. – O co ci chodzi? Dlaczego miałyby to być pierdoły? – Wzruszył ramionami.

– Niczego nie jestem pewny – przyznałem. – Ale tak, moim zdaniem to całkiem prawdopodobne, że dotarła do Anglii, gdzie czekało ją długie i szczęśliwe życie.

– Bez biletu i dowodu tożsamości? – rzucił z powątpiewaniem Shay.

– Miała zaoszczędzone pieniądze. Jeżeli nie udało jej się zabrać biletu, mogła kupić drugi. A dowodu tożsamości nie wymagano wtedy przy wjeździe do Anglii. – To wszystko była prawda. Postanowiliśmy wziąć ze sobą świadectwa urodzenia, ponieważ wiedzieliśmy, że być może będziemy musieli zarejestrować się jako bezrobotni, zanim znajdziemy pracę, no i dlatego, że chcieliśmy wziąć ślub.

– Tak czy siak, dobrze, że do ciebie zadzwoniłam, prawda? A może powinnam była po prostu... – zapytała cicho Jackie.

Atmosfera zgęstniała.

– Dać sobie spokój – dokończył Shay.

– Nie – odparłem. – Postąpiłaś dokładnie tak, jak należało, od początku do końca, mała. Masz genialną intuicję, przecież wiesz.

Jackie wyciągnęła nogi i zaczęła przyglądać się obcasom swoich szpilek. Widziałem tylko jej kark.

– Możliwe – mruknęła.

Siedzieliśmy w milczeniu, ćmiąc papierosy. Znikł palony słodowo-chmielowy zapach; browar Guinnessa podjął jakieś proekologiczne działania w latach dziewięćdziesiątych i teraz unosił się tu zapach spalin, co miało być zmianą na lepsze. Ćmy krążyły dokoła latarni u wylotu ulicy. Ktoś zabrał linę uwiązaną dawniej u góry latarni, żeby dzieci mogły się bujać.

Jedna sprawa nie dawała mi spokoju.

– Ojciec dobrze wygląda – zauważyłem.

Cisza. Kevin wzruszył ramionami.

– Z kręgosłupem jest kiepsko – odezwała się Carmel. – Czy Jackie...?

– Mówiła, że mu dokuczają. Ale jest lepiej, niż się spodziewałem.

– Ma dobre i złe dni, to jasne – westchnęła. – Dzisiaj ma dobry dzień, wygląda świetnie. W złe dni...

Shay pociągnął papierosa; swoim zwyczajem wciąż trzymał go między kciukiem a palcem wskazującym, jak gangsterzy na starych filmach.

– W złe dni muszę go nosić do ubikacji – powiedział bezna-

miętym tonem.

- Wiadomo, co mu jest? – zapytałem.
- Nie. Być może nabawił się tego w pracy albo... Lekarze nie mogą dojść. W każdym razie stan się pogarsza.
- Przestał pić?
- A co to ma z tobą wspólnego? – burknął Shay.
- Czy ojciec przestał pić? – powtórzyłem.
- Zachowuje się w porządku – powiedziała Carmel, wierząc się na schodku.

Shay zaśmiał się cierpko, szczekliwie.

- Dobrze traktuje mamę?
- Nie twój zasrany interes – bluzgnął Shay.

Pozostała trójka nabrała powietrza i patrzyła, czy rzucimy się na siebie. Gdy miałem dwanaście lat, Shay rozwalil mi głowę właśnie tu, na tych schodach; do dziś została blizna. Niedługo potem go przerosłem. On też ma blizny.

Niespiesznie odwróciłem się przodem do niego, mówiąc:

- Kulturalnie zadaję wam pytanie.
- Którego nie raczyłeś zadać przez dwadzieścia lat.
- Mnie pytał – odezwała się cicho Jackie. – Mnóstwo razy.
- I co z tego? Ty też już tu nie mieszkasz. Wiesz tyle samo co on.
- Właśnie dlatego pytam ciebie – ciągnąłem. – Czy teraz ojciec dobrze traktuje matkę?

W półmroku mierzyliśmy się wzrokiem. Byłem gotów błyskawicznie wyrzucić niedopałek.

- Jeżeli powiem, że nie traktuje jej dobrze, to co? Zostawisz swoją komfortową garsonierę i zamieszkaż tu, żeby się nią opiekować?
  - Piętro niżej od ciebie? Och, Shay, aż tak się za mną stęskniłeś?
- Nad naszymi głowami otworzyło się gwałtownie okno i rozległ się krzyk mamy:

- Francis! Kevin! Idziecie czy nie?
- Zaraz! – odkrzyknęliśmy wszyscy razem. Jackie parsknęła pi-



skliwym, niepohamowanym śmiechem. – Nic się nie zmieniło!

Mama zatrzasnęła okno. Po chwili Shay odchylił się do tyłu i splunął przez pręty balustrady. Ledwie oderwał ode mnie wzrok, wszyscy się rozluźnili.

– Na mnie i tak czas – powiedziała Carmel. – Ashley lubi, gdy mamusia kładzie ją spać. Jeżeli spada to na Trevora, ma z nią krzyż pański, bo dziecko uważa, że to świetna zabawa.

– Jak wrócisz do domu? – spytał Kevin.

– Zaparkowałam kię za rogiem. To mój samochód – wyjaśniła. – Trevor ma range rovera.

Trevor zawsze był przygnębiającym dupkiem. Miło słyszeć, że rozwinął swój potencjał.

– Fantastycznie – powiedziałem.

– Odwieszysz mnie? – poprosiła Jackie. – Przyleciałam tu prosto z pracy, a dziś jest dzień, kiedy Gav bierze samochód.

Carmel wciągnęła podbródek i cmoknęła z dezaprobatą.

– Mógłby po ciebie przyjechać.

– Ależ skąd. Samochód stoi już pod domem, a Gav jest z kumplami w pubie.

Carmel dźwignęła się, chwytając balustradę, i z pedanterią obciągnęła spódnice.

– Dobra, podrzucę cię. Skoro ten twój Gavin chce, żebyś pracowała, powiedz mu, niech kupi ci samochód na dojazdy. Z czego się śmiejecie?

– Feminizm kwitnie – zauważyłem.

– Nigdy do mnie nie przemawiał. Lubię nosić porządny, solidny biustonosz. Szanowna pani przestanie się śmiać i idzie, bo zostawię ją z tą zgrają.

– Już idę, poczekaj... – Jackie schowała papierosy do torebki i założyła pasek na ramię. – Wpadnę jutro. Zobaczymy się, Francis?

– Może ci się poszczęści. Jeśli nie, pogadamy.

Ścisnęła mnie mocno za rękę.

– W każdym razie ciesz się, że zadzwoniłam do ciebie – po-

wiedziała trochę wyzywająco i jakby w zaufaniu. – I że przyjechałeś. Kochany jesteś, naprawdę. Uważaj na siebie, dobrze?

– Z ciebie też dobra dziewczyna. Cześć, Jackie.

– Francis, czy my...? – wyjąkała Carmel, drepcząc w miejscu. – Przyjdiesz tu znowu? Skoro...

– Załatwmy najpierw tę sprawę – powiedziałem, z uśmiechem unosząc głowę. – Potem będziemy wiedzieć, na czym stoimy, co nie?

Carmel zeszła ze schodów i we trzech patrzyliśmy, jak dziewczyny idą do wylotu Faithful Place – Jackie postukuje obcasami szpilek, których echo odbija się od ścian domów; Carmel człapie obok, starając się dotrzymać jej kroku. Jackie jest dużo wyższa od Carmel, nawet jeśli nie liczyć fryzury i obcasów, za to Carmel bije ją na głowę pod względem obwodu ciała. To niedopasowanie sprawia, że wyglądają jak głupkowaty duet z komiksu, który ma przed sobą wiele niefortunnych i zabawnych przygód, nim schwyta złoczyńcę i uratuje sytuację.

– Porządne z nich kobiety – powiedziałem półgłosem.

– No pewnie – przytaknął Kevin.

– Jeżeli chcesz zrobić dla nich coś dobrego – rzekł Shay – więcej tu nie przychodź.

Pomyślałem, że prawdopodobnie ma rację, ale i tak puściłem te słowa mimo uszu. Mama jeszcze raz wykonała numer w oknie.

– Francis! Kevin! Muszę zamknąć drzwi na klucz. Albo wchodźcie, albo będziecie spali na schodach.

– Idźcie – mruknął Shay. – Bo obudzi całą ulicę. Kevin wstał i zaczął rozciągać mięśnie szyi, aż trzeszczały kości.

– A ty?

– Zapalę jeszcze jednego papierosa.

Gdy zamykałem drzwi do korytarza, wciąż siedział na schodach plecami do nas, pstrykając zapalniczką i obserwując płomień.

• • •

Mama poszła już spać, rzuciwszy na kanapę dwie poduszki, kilka

prześcieradeł i kołdrę, by zaznaczyć, co myśli o naszym wystawianiu przed domem. Rodzice przenieśli się do dawnego pokoju chłopców, pokój dziewcząt został przerobiony na łazienkę, zapewne w latach osiemdziesiątych, sądząc po przyciągającej wzrok ceramice sanitarnej w kolorze awokado. Gdy Kevin pluskał się w łazience, wyszedłem na podest – mama ma słuch jak nietoperz – i zadzwoniłem do Olivii.

Było dobrze po dwudziestej trzeciej.

– Zasnęła – powiedziała Olivia. – Bardzo zawiedziona.

– Domyślam się. Chcę ci jeszcze raz podziękować. I jeszcze raz przeprosić. Czy zupełnie zepsułem ci randkę?

– Tak. A co sobie wyobrażałeś? Że w Coterie dostawią krzesło i przy łosiosiu *en croûte* Holly będzie z nami dyskutowała o kandydatkach do Nagrody Bookera?

– Jutro mam jeszcze parę spraw do załatwienia tu w okolicy, ale postaram się zabrać Holly przed kolacją. Może da się przełożyć twoje i Dermota plany.

Olivia westchnęła.

– Co tam u nich? W porządku?

– Jeszcze nie wiem. Próbuję to rozgryźć. Jutro powinienem mieć lepsze rozeznanie.

Milczenie. Sądziłem, że jest wkurzona, bo unikam odpowiedzi, ale po chwili zapytała:

– A u ciebie, Frank? Wszystko dobrze?

Głos jej złagodniał. Po takim dniu tylko tego mi brakowało, żeby Olivia była dla mnie miła. Miałem wrażenie, że jej głos muska mnie jak fala, kojąco i podstępnie.

– Świetnie. Muszę kończyć. Rano ucałuj ode mnie Holly. Zadzwonię jutro.

Pościeliliśmy z Kevinem rozkładaną kanapę i położyliśmy się na waleta, żeby się czuć jak dwaj balangowicze po szalonej nocy, a nie jak mali chłopcy, którzy muszą spać razem. Światło przenikające przez firanki tworzyło niewyraźne wzory na kołdrze. Słychać było nasze oddechy. Stojąca w rogu pokoju figura Najświętszego Serca

Jezusowego roztaczała jaskrawoczerwony blask. Wyobraziłem sobie minę Olivii, gdyby to zobaczyła.

– Cieszę się, że cię znowu widzę, wiesz? – odezwał się cicho Kevin.

Jego twarz zakrywał mrok, majaczyły tylko ręce na kołdrze i widać było, jak pociera bezwiednie kciukiem knykcieć.

– Ja również. Dobrze wyglądasz. Nie mogę uwierzyć, że jesteś większy ode mnie.

Krótki śmiech.

– Mimo to nie zmierzyłbym się z tobą.

Też się zaśmiałem.

– I słusznie. Zostałem mistrzem walki wręcz.

– Poważnie?

– Co ty! Jestem mistrzem grzebania w papierkach i pakowania się w kłopoty.

Kevin przewrócił się na bok, żeby mnie widzieć, i podłożył rękę pod głowę.

– Mogę cię o coś zapytać? Dlaczego policja?

To z powodu takich gliniarzy jak ja nigdy nie jesteśmy delegowani do służby w rejonie, z którego pochodzimy. W praktyce sprawa przedstawia się następująco: dorastałem wśród ludzi, z których każdy tak czy owak był prawdopodobnie drobnym przestępcą, nie dlatego, że miał zły charakter, ale dlatego, że tak ludzie radzili sobie w życiu. Połowa sąsiadów na Faithful Place dostawała zasiłek dla bezrobotnych, a wszyscy łapali fuchy, zwłaszcza przed rozpoczęciem roku szkolnego, gdy trzeba było kupić dzieciom książki i mundurki. Pewnej zimy, gdy Kevin i Jackie mieli bronchit, Carmel, która pracowała w sklepie Dunne's, przynosiła do domu mięso, żeby nabrali siły, i nikt nie pytał, jak za to płaci. Gdy miałem siedem lat, umiałem już majstrować przy liczniku gazu, żeby mama mogła ugotować obiad. Mierny doradca zawodowy nie widziałby we mnie przyszłego policjanta.

– Bo wyglądało ciekawie – powiedziałem. – Po prostu. Człowiek

dostaje pieniądze za to, że jest w środku wydarzeń. Czego tu nie lubić?

– I co? Jest ciekawie?

– Czasami.

Kevin przyglądał mi się wyczekująco.

– Ojca szlag trafił – napomknął. – Gdy Jackie nam powiedziała.

Mój ojciec zaczynał jako tynkarz, ale gdy pojawiliśmy się na świecie, pił już w pełnym wymiarze godzin, a na boku zajmował się rzeczami, które spadały z naczep ciężarówek. Sądzę, że w jego odczuciu byłoby lepiej, gdybym został męską prostytutką.

– Dodatkowy plus. Teraz ty mi coś powiedz. Co się działo następnego dnia po moim zniknięciu?

Kevin przewrócił się na plecy i zaplótł ręce pod głowę.

– Nie pytałeś Jackie?

– Jackie miała dziewięć lat. Miesza jej się to, co zapamiętała, z tym, co sobie wymyśliła. Mówi na przykład, że doktor w białym fartuchu zabrał panią Daly.

– Nie było żadnych lekarzy. A przynajmniej ja ich nie widziałem – oświadczył Kevin.

Patrzył w sufit. Wpadające przez okno światło latarni sprawiało, że oczy lśniły mu jak ciemna woda.

– Pamiętam Rosie – mówił dalej. – Byłem wtedy smarkaczem, ale... No wiesz, wyraźnie ją pamiętam. Jej włosy, śmiech, sposób chodzenia... Śliczna dziewczyna.

– To prawda.

W tamtych latach cały Dublin tonął w borych, szarych i beżowych barwach, a Rosie mieniła się jaskrawymi kolorami: gęstwina miedzianych loków do pasa, oczy jak kawałki zielonego szkła, gdy się patrzy przez nie pod słońce, koralowe usta, biała skóra i złote piegi. Połowa Liberties gustowała w Rosie Daly, tym bardziej że ona miała to w nosie; mimo tak wielkiej popularności wcale nie uważała, że jest wyjątkowa. Na widok jej krągłości kręciło się człowiekowi w głowie, ale ona obnosiła je z taką samą swobodą, jak nosiła swoje połatanie

dżinsy.

Pokażę wam Rosie z czasów, gdy zakonnice wmawiały dziewczętom nawet w połowie nie tak ładnym, że ich ciała są krzyżówką szamba ze skarbcem, a chłopcy to plugawi włamywacze. Pewnego letniego wieczoru – gdy mieliśmy mniej więcej po dwanaście lat i zanim dotarło do nas, że jesteśmy w sobie zakochani – bawiliśmy się „w pokazywanie”. Do tamtego dnia jedynym nagim kawałkiem kobiecego ciała, jaki udało mi się zobaczyć, był czarno-biały głęboki dekolt. Rosie rzuciła ubranie w kąt, jakby tylko zawadzało, i zrobiła obrót na środku mrocznego pomieszczenia pod szesnastym, świetlistą, roześmianą, odwracając dłonie wnętrzem ku górze i stojąc prawie na wyciągnięcie ręki. To wspomnienie nadal zapiera mi dech w piersiach. Byłem za młody, by wiedzieć, co mógłbym z nią robić, ale nie miałem wątpliwości, że nic na świecie – nawet Mona Lisa idąca Wielkim Kanionem ze Świętym Graalem w jednej ręce i wygranym kuponem w Lotto w drugiej – nie dorówna Rosie pięknnością.

Kevin mówił cicho, twarzą do sufitu:

– Z początku w ogóle nie przyszło nam do głowy, że na coś się zanosz. Po przebudzeniu zauważyliśmy z Shayem, że nie leżysz w łóżku, to jasne, ale uznaliśmy, że gdzieś się wybrałaś. Aż tu przy śniadaniu wpada z wrzaskiem pani Daly i pyta o ciebie. Gdy powiedzieliśmy, że cię nie ma, o mało nie dostała zawału. Darła się, że rzeczy Rosie zniknęły, że uciekłeś z jej córką, może ją porwał, nie wiedziałem, o co chodzi. Ojciec wydzierał się na panią Daly, a mama próbowała uciszyć ich oboje, zanim usłyszą sąsiedzi...

– Akurat by się jej udało – wtrąciłem. Pani Daly szaleje inaczej niż nasza matka, ale co najmniej tak samo głośno.

– No właśnie. Usłyszeliśmy wrzaski po drugiej stronie ulicy, więc wyszedłem z Jackie na dwór. Pan Daly wychrzaniał resztę rzeczy Rosie przez okno. Wszyscy sąsiedzi wychodzili z domów, żeby zobaczyć, co się dzieje... Szczerze mówiąc, myślałem, że pękne ze śmiechu. – Wyszzerzył się od ucha do ucha.

– Dużo bym zapłacił, żeby to zobaczyć – powiedziałem, mimo

woli też uśmiechając się szeroko.

– Warto było. Zaczynała się niezła pyskówka. Pani Daly nazwała cię młodocianym kanciarzem, a mama nazwała Rosie młodocianą zdziurą, która idzie w ślady matki. Panią Daly krew załała.

– Postawiłbym na mamę. Przewaga masy.

– Lepiej, żeby tego nie usłyszała.

– Mogłaby zwyczajnie usiąść na pani Daly i czekać, aż tamta się podda.

W mroku uśmiechaliśmy się pod nosem jak para dzieciaków.

– Tyle że pani Daly była uzbrojona – dodał Kevin. – Te jej paznokcie...

– O cholera. Wciąż ma takie długie?

– Jeszcze dłuższe. Wypisz wymaluj... No jakże to się nazywa...?

– Gracie?

– E tam! Ten wojownik ninja, który rzuca gwiazdkami.

– Więc kto wygrał?

– Mama, mniej więcej. Wypchnęła panią Daly na podest i zamknęła się w mieszkaniu. Tamta zaczęła wrzeszczeć, kopać w drzwi i w ogóle się ciskać, ale w końcu odpuściła. Poszła rozprawić się z panem Dalym za to, że wyrzucił rzeczy Rosie. Mówię ci, można było sprzedawać bilety. *Dallas* się nie umywa.

Z naszej dawnej sypialni doleciał charkot ojca, który tak mocno zanosił się kaszlem, że łóżko uderzało w ścianę. Znieruchomieliśmy, nasłuchując. Gdy wracał mu oddech, słychać było przeciągłe poświśtywanie.

– W każdym razie awantura się skończyła – mówił Kevin trochę ciszej. – Plotkowano na ten temat jeszcze ze dwa tygodnie, a potem wszyscy tak jakby zapomnieli o sprawie. Mama i pani Daly nie odzywały się do siebie przez kilka lat. Ojciec i tak nie rozmawiał z panem Dalym, więc tu nie zaszła wielka zmiana. Mama wściekała się w każde Boże Narodzenie, że nie przysyłasz kartki z życzeniami, ale...

Ale w latach osiemdziesiątych emigracja była jednym z trzech głównych sposobów ułożenia sobie życia, poza zatrudnieniem się w

firmie tatusia i pójściem na zasilek. Mama musiała się spodziewać, że któregoś z nas koniec końców kupi bilet w jedną stronę na prom.

– Nie sądziła, że leżę martwy w rowie?

– Gdzie tam! – prychnął Kevin. – Zawsze mówiła, że jeśli komuś ma się coś stać, to na pewno nie tobie. Nie wezwaliśmy glin ani nie zgłosiliśmy zaginięcia, nic takiego, ale nie myśl... Nie żeby to nas nie obchodziło. Po prostu uznaliśmy... – Materac drgnął, gdy Kevin wzruszył ramionami.

– Że uciekłem z Rosie.

– No tak. Wszyscy wiedzieli, że szalejecie za sobą, co nie? I wiadomo było, jakie jest nastawienie pana Daly'ego. Więc rozumiesz, dlaczego nie?

– Właśnie. Dlaczego nie?

– Poza tym był list. Chyba dlatego pani Daly dostała białej gorączki: ludzie kręcili się pod szesnastym i znaleźli ten list. Od Rosie, wiesz. Może Jackie ci nie mówiła...

– Czytałem.

Kevin przekręcił głowę w moją stronę.

– Widziałeś ten list?

– Tak.

Kevin zastygł w oczekiwaniu, ale nie wszedłem w szczegóły.

– Kiedy...? Znaczy się, zanim go zostawiła? Pokazała ci?

– Potem. Późną nocą.

– No i... co? Tobie go zostawiła? Nie swojej rodzinie?

– Tak myślałem. Mieliśmy się spotkać tamtej nocy, nie przyszła, znalazłem list. Uznałem, że napisała do mnie.

Gdy wreszcie dotarło do mnie, że klamka zapadła, że Rosie nie przyjdzie, bo już wyjechała, zarzuciłem plecak i ruszyłem w drogę. Poniedziałek rano, przed świtem; miasto oszronione i opustoszałe, tylko ja, jakiś zamiatacz ulic i kilku zmęczonych robotników o mroźnym brzasku wracających z nocnej zmiany do domów. Zegar na Trinity College wydzwaniał godzinę odjazdu pierwszego promu z Dun Laoghaire.



Wylądowałem na squacie przy bocznej ulicy od Baggot Street, zajęтым przez bandę cuchnących rockersów oraz Keitha Moona, głupola z jednym okiem na Maroko, a drugim na Kaukaz, którzy dysponowali imponującą ilością haszu. Znałem ich o tyle o ile z koncertów. Wszyscy sądzili, że ktoś z paczki zaproponował mi tymczasowe lokum. Jeden z chłopaków miał siostrę, która niczym nie cuchnęła, miała mieszkanie w Ranelagh i pozwalała znajomym – jeżeli ich lubiła, a mnie polubiła ogromnie – podawać swój adres w urzędzie pracy, żeby przysyłano tam zasiłki dla bezrobotnych. Gdy umieściłem jej adres na podaniu o przyjęcie do szkoły policyjnej, właściwie nie minąłem się z prawdą. Po otrzymaniu wiadomości, że zostałem przyjęty i wyjeżdżam na szkolenie do Templemore, odechnąłem z ulgą. Dziewczyna zaczęła już napomykać o ślubie.

Co za suka z tej Rosie; wierzyłem jej, wierzyłem każdemu jej słowu. Nigdy nie uprawiała gierki; po prostu otwierała usta i mówiła, co myśli, prosto z mostu, nawet jeżeli to bolało. Również dlatego ją kochałem. Po doświadczeniach z rodziną taką jak moja spotkanie człowieka, który nie prowadzi intryg, jest najbardziej intrygującą rzeczą na świecie. Więc gdy powiedziała: „Przysięgam, że kiedyś tu wrócę”, uwierzyłem jej i nie przestałem wierzyć przez dwadzieścia dwa lata. Cały czas – gdy spałem z siostrą cuchnącego rockersa, gdy umawiałem się z różnymi zadziornymi ślicznotkami, które zasługiwały na lepszego faceta, gdy byłem mężem Olivii i udawałem, że moje miejsce jest w Dalkey – czekałem, aż Rosie Daly stanie na progu.

– A teraz? – zapytał Kevin. – Po dzisiejszym dniu. Co myślisz?

– Bo ja wiem? Teraz naprawdę nie mam pojęcia, co jej się roilo w głowie.

– Shay uważa, że ona nie żyje, wiesz? – powiedział cicho. – Jackie też tak myśli.

– Dało się zauważyć.

Nabrał powietrza, jakby zamierzał coś powiedzieć. Po chwili zrobił jednak wydech.

- No, mów. Pokręcił głową.
- Co takiego, Kev?
- Nic. Czekałem.
- Po prostu... Och, sam nie wiem. – Poruszył się niespokojnie na łóżku. – Shay nie mógł się pogodzić z tym, że się wyniosłeś.
- Niby dlatego, że byli z nas tacy świetni kumple?
- Wiem, że się ciągle żarliście. Ale w głębi serca... no wiesz, nadal jesteście braćmi.

Oczywiście gadał głupoty – moim najwcześniejszym wspomnieniem jest to, jak budzę się, bo Shay wtyka mi ołówek do ucha i usiłuje przebić bębenek – i oczywiście wygadywał je, by odwrócić moją uwagę od tego, co tak naprawdę zamierzał powiedzieć. Jeszcze chwila, a bym to z niego wyciągnął. Wciąż się zastanawiam, jak potoczyłyby się wypadki, gdyby mi się udało. Zanim go przycisnąłem, rozległ się słaby trzask spokojnie zamykanych drzwi na klatkę schodową: Shay wszedł do domu.

Leżeliśmy nieruchomo, nasłuchując. Ciche kroki, krótki postój przy salonie na podeście, wejście na górę, stuk następnych drzwi i trzeszczenie podłogi nad naszymi głowami.

- Kev – powiedziałem.

Udał, że śpi. Po chwili rozchyliły mu się usta i zaczął lekko posapywać.

Minęło sporo czasu, zanim Shay przestał chodzić po mieszkaniu. Gdy w domu zaległa cisza, odczekałem piętnaście minut, po czym z wolna usiadłem – świecący w kącie Pan Jezus obrzucił mnie spojrzeniem, które mówiło, że zna facetów mojego pokroju – i wyjrzałem przez okno. Zaczął padać deszcz. Na Faithful Place zgaszono wszystkie światła prócz jednego: mokre żółte smugi padały znad mojej głowy na bruk.

### 3

Potrzebę snu zaspokajam sposobem wielbłąda: gromadzę zapasy przy każdej okazji, ale mogę długo nie spać, jeżeli trzeba coś zrobić. Przez całą noc wpatrywałem się w ciemną bryłę walizki pod oknem, słuchałem chrapania ojca i układałem sobie w głowie plan działania na następny dzień.

Sytuacja była zagmatwana jak nitki gotującego się spaghetti, ale wyłaniały się dwie możliwości. Jedną już podsunąłem rodzinie, nieznacznie zmodyfikowaną starą wersję przebiegu wydarzeń. Rosie postanowiła wyjechać w pojedynkę, wobec tego zawczasu schowała walizkę, chcąc szybko uciec i ograniczyć ryzyko, że przyłapie ją ktoś z rodziny albo ja; żeby zabrać walizkę i zostawić list, musiała przejść ogrodami od tyłu, bo ulica była pod moją obserwacją. Przerzucanie walizki przez murowane ogrodzenia wywołałoby za wiele hałasu, dlatego ją zostawiła i wyruszyła w drogę – słyszałem szelest i stąpanie dolatujące z ogrodów – by rozpocząć nowe, wspaniałe życie.

Historia w zasadzie trzymała się kupy. Wyjaśniała wszystko oprócz kwestii biletów na prom. Nawet gdyby Rosie zamierzała zrezygnować z wyjazdu o świcie i zaszyć się gdzieś na dzień lub dwa, bym nie dopadł jej w porcie niczym wierna kopia Stanleya Kowalskiego, na pewno spróbowałaby coś zrobić ze swoim biletem: sprzedać, zamienić. Wydaliśmy na nie większą część tygodniowych zarobków każdego z nas. Przenigdy by ich nie zostawiła, żeby zgniły w kominku – chyba że nie miała wyboru.

Na drugą możliwość wskazali Shay i Jackie, każde z właściwym sobie, odmiennym wdziękiem. Ktoś zatrzymał Rosie, albo gdy przeprowadzała plan samodzielnej ucieczki, albo gdy szła na spotka-

nie ze mną.

Pogodziłem się z teorią numer jeden. Przez ponad połowę mojego życia spoczywała w przytulnym zakątku umysłu niczym pocisk, który utkwił tak głęboko, że nie dało się go wydobyć. Nie wyczuwałem ostrych kantów, zazwyczaj, wystarczyło ich nie dotykać. Teoria numer dwa mnie powaliła.

Był sobotni wieczór, niewiele ponad dobę przed godziną zero – wtedy ostatni raz widziałem Rosie. Szedłem do pracy. Miałem kumpla, wołano na niego Świrus, który pracował jako stróż nocny na parkingu, a ten miał kumpla, który nazywał się Stevo i pracował jako wykidajło w klubie nocnym. Gdy Stevo chciał mieć wolną noc, Świrus wykonywał jego robotę, a ja robotę Świrusa; każdy z nas dostawał gotówkę i szedł do domu zadowolony.

Rosie stała oparta o balustradę pod czwartym, razem z Imeldą Tierney i Mandy Cullen – uroczą rozchichotana gromadka przyciągająca uwagę kwiatowymi zapachami, szopą włosów i błyszczkiem na ustach – czekały, aż zejdzie Julie Nolan. Było zimno, snuła się mgła. Rosie naciągnęła rękawy na ręce i chuchała do środka, Imelda podrygiwała w miejscu, żeby się rozgrzać. Troje małych dzieci bujało się na linie uwiązanej na górze latarni u wylotu ulicy; z okna Julie dolatywały dźwięki *Tainted Love* puszczonej na pełny regulator i czuło się charakterystyczną dla sobotniego wieczoru atmosferę podekscytowania, musującą i wonną jak cydr, kuszącą.

– O, idzie Francis Mackey – powiedziała w powietrze Mandy, szturchając koleżanki. – Ale fryzura. Wydaje mu się, że świetnie wygląda, co?

– Cześć, dziewczyny. – Uśmiechnąłem się szeroko.

Mandy była drobna i ciemnowłosa, miała pierzastą grzywkę i nosiła specjalnie sprane dżinsowe ubrania. Nie zaszczyciła mnie spojrzeniem.

– Gdyby był lodem, zalizalby się na śmierć – oświadczyła, zwracając się do pozostałych.

– Wolałbym, żeby ktoś zrobił to za mnie – odrzekłem, poruszając

brwiami.

Wszystkie trzy podniosły krzyk.

– Chodź tu, Frankie! – zawołała Imelda, potrząsając trwałą. – Mandy chce się dowiedzieć...

Mandy wrzasnęła i rzuciła się na Imeldę, żeby zasłonić jej ręką usta, ale tamta zrobiła unik.

– Mam cię zapytać...

– Zamknij się!

Rosie się śmiała. Imelda chwyciła Mandy za ręce i je unieruchomiła.

– Mam cię zapytać, czy twój brat chciałby iść do kina i nie oglądać filmu.

Imelda i Rosie skręcały się ze śmiechu. Mandy zasłoniła twarz rękami.

– Jak mogłaś, małpo! Jestem cała purpurowa!

– Dobrze ci tak – powiedziałem. – Amatorka kwaśnych jabłek.

Przecież on dopiero co zaczął się golić.

– Nie on! Nie Kevin! – zawołała Rosie, zginając się w pół ze śmiechu.

– Jej chodzi o Shaya! – wykrztusiła Imelda. – Czy Shay poszedłby do... – Nie mogła dokończyć zdania. Mandy zapiszczała i skuliła ramiona.

– Wątpię – odparłem, kręcąc ze smutkiem głową. Mackeyowie zawsze mieli powodzenie u kobiet, ale Shay stanowił klasę dla siebie. Kiedy podrosłem na tyle, by samemu podejmować działania, uznałem za pewnik, obserwując starszego brata, że gdy masz ochotę na dziewczynę, ona natychmiast przybiega. Rosie powiedziała kiedyś, że ledwie Shay spojrzy na dziewczynę, jej już się rozpina stanik. – Naszego Shaya chyba bardziej interesują faceci, rozumiemy się?

Wszystkie trzy znowu krzyknęły. Boże, cóż to za widok, gdy dziewczyny całą paczką wybierają się na miasto, tęczo kolorowe, wspaniałe jak starannie zapakowane prezenty; chce ci się je tylko pomacać i zobaczyć, czy któraś jest dla ciebie. Mając pewność, że

najlepsza z nich jest cała moja, czułem się jak Steve McQueen, porwałbym ją i wsadził na tylne siedzenie motoru – gdybym go miał – i poleciał nad dachami domów.

– Powtórzę to Shayowi! – odgryzła się Mandy.

Rosie rzuciła mi krótkie, ukradkowe spojrzenie: zanim Mandy o czymkolwiek doniesie Shayowi, nas będzie dzieliło od nich morze.

– Wolna wola – powiedziałem. – Tylko nie mów mojej mamie.

Musimy ogłędnie ją poinformować.

– Ona go przekabaci, prawda, Mandy?

– Melda, przysięgam...

Otworzyły się drzwi pod trzecim i stanął w nich pan Daly. Podciągnął spodnie, skrzyżował ramiona na piersi i oparł się o futrynę.

– Dobry wieczór panu – odezwałem się, ale potraktował mnie jak powietrze.

Mandy i Imelda stanęły prosto i spojrzały w bok na Rosie.

– Czekamy na Julie – wyjaśniła Rosie.

– Świetnie. No to poczekam z wami – powiedział pan Daly.

Z kieszeni koszuli wyjął zgniecionego papierosa i zaczął go ostrożnie prostować. Mandy zdjęła paproszek ze swojego swetra i uważnie go oglądała; Imelda obciągnęła spodnicę.

Tego wieczoru nawet pan Daly wprawiał mnie w dobry nastrój, nie tylko na myśl, jaką będzie miał minę, gdy się obudzi w poniedziałek rano.

– Jaki pan dzisiaj elegancki. Też wybiera się pan do dyskoteki? – zapytałem.

Drgnął mu mięsień na szczęce, ale nadal pilnował dziewczyn.

– Hitler, psiakrew – mruknęła Rosie, wbijając ręce w kieszenie dżinsowej kurtki.

– Zobaczymy, co zatrzymało Julie? – zaproponowała Imelda.

– Możemy. – Rosie wzruszyła ramionami.

– Cześć, Frankie. – Mandy posłała mi szeroki, hardy uśmiech, przy którym zrobiły jej się dołeczki w policzkach. – Pozdrów ode mnie Shaya.

Gdy Rosie się odwracała, przymknęła powiekę i ściągnęła usta, ledwo, ledwo – mrugnięcie i pocałunek. Wbiegła po schodach do domu pod czwartym i zniknęła: w ciemnym korytarzu i z mojego życia.

Spędziłem setki bezsennych nocy, leżąc w śpiworze, obok cuchnących rockersów i Keitha Moona, rozpamiętując te ostatnie pięć minut w najdrobniejszych szczegółach i doszukując się jakiegoś znaku. Myślałem, że tracę zmysły: jasna cholera, na pewno był jakiś znak, musiał być, ale mogłem przysiąc na wszystkich świętych w kalendarzu, że niczego nie przegapiłem. No i raptem okazało się, że może jednak wcale nie świrowałem, może wcale nie byłem największym frajerem na świecie, wyrolowanym przez dziewczynę; być może miałem zwyczajnie rację. Granica jest bardzo cienka.

W tym liście nie było nic, ani słowa, świadczącego o tym, że napisała go do mnie. Tak założyłem, bo w końcu to mnie porzuciła. Ale według naszych pierwotnych zamierzeń mieliśmy przecież porzucić wiele osób tamtej nocy. List mógł być przeznaczony dla jej rodziny, dla dziewczyn, dla wszystkich na Faithful Place.

Z naszego dawnego pokoju doleciały pomruki ojca, przypominające charkot bawołu przy duszeniu; Kevin wymamrotał coś przez sen i przewrócił się na bok, zamasyście waląc mnie ręką w kostki. Rozpadało się na dobre, grube krople stukały miarowo.

Jak mówiłem, w miarę możliwości jestem przygotowany na to, że dostanę cios znienacka. Na resztę weekendu, co najmniej, musiałem przyjąć założenie, że Rosie nie opuściła Faithful Place żywa.

Rano, gdy tylko przekonam Dałych, że chcą przekazać walizkę kompetentnej osobie, czyli mnie, i wołą nie wzywać policji, będę musiał porozmawiać z Imeldą, Mandy i Julie.

• • •

Mama wstała koło siódmej; w szumie deszczu usłyszałem trzeszczenie sprężyn łóżka. W drodze do kuchni zatrzymała się na progu salonu, długą chwilę patrząc na mnie i na Kevina i myśląc Bóg wie co.

Leżałem z przymkniętymi oczami. W końcu prychnęła krótko z przekąsem i poszła.

Śniadanie ścinało z nóg: jajka, plasterki bekonu, kielbaski, kaszanka, podsmażany chleb, smażone pomidory. Ostentacyjnie coś okazywała, ale nie wiedziałem, czy należy to rozumieć jako: „Widzisz, doskonale sobie radzimy bez ciebie”. A może: „Wciąż tyram jak wół, choć na to nie zasługujesz”. Albo: „Rachunki się wyrównają, gdy po tym wszystkim dostaniesz zawału”. Nikt nie wspomniał o walizce; najwyraźniej odgrywaliśmy scenę „szczęśliwa rodzinka przy śniadaniu” – mnie to odpowiadało. Kevin pochłaniał wszystko, co było w jego zasięgu, i ukradkiem zerkał na mnie przez stół, jak dzieciak podpatrujący kogoś obcego. Ojciec jadł w milczeniu, tylko od czasu do czasu bureczał, domagając się dokładki. Ja zaś spoglądałem jednym okiem w okno i szykowałem się do urabiania mamy.

Gdybym zaczął zadawać bezpośrednio pytania, skorzystałaby z okazji, żeby wpędzić mnie w poczucie winy: „Ni stąd, ni zowąd zainteresowałeś się Nolanami, a przez dwadzieścia dwa lata nie obchodziło cię, co się dzieje z kimkolwiek z nas”. Wałkowałaby temat do skutku. Droga do banku informacji mojej matki prowadzi przez wzbudzenie jej dezaprobaty. Poprzedniego wieczoru zauważyłem, że dom pod piątym pomalowano na śmiały kolor w odcieniu dziecięcego różu, który z pewnością spowodował niejeden napad furii.

– Ładnie odnowiono ten dom pod piątym – zauważyłem, dając matce pretekst, by mogła zaprzeczyć.

Zaskoczony Kevin spojrzał na mnie jak na wariata.

– Wygląda jak rzygi teletubisia – oświadczył z ustami pełnymi podsmażanego chleba.

Mamie zbielały usta.

– Japiszony – rzuciła takim tonem, jakby to była choroba. – Obje pracują w IT, cokolwiek to znaczy. Nie uwierzysz: mają pomoc do dziecka. Słyszałeś coś podobnego? Jakąś młodą dziewczynę z Rosji czy któregoś z tych krajów; przez resztę życia nie nauczyłabym się wymawiać jej imienia. Dziecko ma zaledwie rok, niech Bóg mu



sprzyja, i nie widuje mamusi ani tatusia od weekendu do weekendu. Nie wiem, po co im ono było.

Wydawałem pomruki oburzenia, gdy należało.

– A co się stało z Halleyami, z panią Mulligan?

– Halleyowie przeprowadzili się do Tallaght, gdy właściciel sprzedał dom. Wychowałam pięcioro dzieci w tym mieszkaniu i nie potrzebowałam opiekunki. Dam sobie głowę uciąć, że ta kobieta miała przy porodzie znieczulenie do kręgosłupa. – Rozbiła kolejne jajko na patelni.

Ojciec uniósł wzrok znad kielbasek.

– Straciłeś poczucie czasu? – zwrócił się do mnie. – Pani Mulligan umarła piętnaście lat temu. Miała, psiakrew, osiemdziesiąt dziewięć lat.

To odwróciło uwagę mamy od japiszonów rodzących ze znieczuleniem. Ona uwielbia zgon.

– Zgadnij, kto jeszcze umarł? – zapytała, na co Kevin przewrócił oczami.

– Kto? – zdobyłem się na uprzejmość.

– Pan Nolan. Nigdy w życiu nie chorował, a tu nagle pada trupem w środku mszy, wracając od komunii. Rozległy atak serca. I co ty na to?

Pięknie, pan Nolan: miałem punkt zaczepienia.

– Straszne – powiedziałem. – Niech spoczywa w pokoju. Kum-płowałem się z Julie Nolan, dawno temu. Co z nią?

– Mieszka w Sligo – wyjaśniła z ponurą satysfakcją, jakby znajdowało się na Syberii. Jak cierpiętница nałożyła sobie skromniutką porcję smaženiny i usiadła z nami przy stole. Z powodu chorego biodra zaczęła powłóczyć nogą. – Po przeniesieniu fabryki. Przyjechała na pogrzeb. Ma twarz jak zadek słonia, od smażenia się w solarium. Gdzie chodzisz teraz na mszę, Francis?

Ojciec prychnął.

– Raz tu, raz tam – odrzekłem. – A Mandy Cullen? Wciąż tu jest? Taka drobna, ciemnowłosa, interesowała się Shayem.

– Wszystkie się nim interesowały – wtrącił z szerokim uśmiechem Kevin. – Gdy dorastałem, wprawiałem się na dziewczynach, które nie dostały w swoje ręce Shaya.

– Mali dziwkarze, co do jednego – oświadczył ojciec, ale chyba z życzliwością, tak mi się zdaje.

– No i popatrzcie na niego teraz – rzekła mama. – Mandy wyszła za uroczego gościa z New Street i nazywa się Mandy Brophy, mają parkę maluchów i samochód. Tak mógł sobie ułożyć życie nasz Shay, gdyby chciało mu się ruszyć dupę. A ty, młodzieńcze – wycelowała widelcem w Kevina – skończysz jak on, jeżeli nie będziesz uważał.

– U mnie jest super – bąknął Kevin, skupiony na swoim talerzu.

– Prędzej czy później będziesz musiał się ustatkować. Nie można wiecznie być szczęśliwym. Pomyśl, ile masz lat.

Widząc, że ta kanonada nie jest wymierzona we mnie, lekko się zaniepokoiłem; nie żebym poczuł się zignorowany, tylko znów przemknęło mi przez myśl, że Jackie chyba nie trzymała języka za zębami.

– Mandy wciąż mieszka w sąsiedztwie? – zapytałem. – Wpadłbym do niej, skoro tu jestem.

– Wciąż pod dziewiątym – odrzekła natychmiast mama. – Państwo Cullenowie zajmują suterene, a ona z rodziną parter i piętro. Opiekuje się mamusią i tatusiem. Dobra dziewczyna ta Mandy. Co środa zawozi swoją mamusią do lekarza, z powodu kości, i co piątek z powodu...

Z początku doleciał mnie jedynie cichy trzask na tle miarowego szumu deszczu, gdzieś na końcu Faithful Place. Już nie słuchałem mamy. Potem kroki, rozbryzgi wody, kilka osób, głosy. Odłożyłem sztućce i podszedłem do okna, szybko („Francis, na miłość boską, co ty wyrabiasz?”), po tylu latach Nora Daly nadal miała chód jak jej siostra.

– Daj mi worek foliowy na śmieci.

– Zrobiłam ci śniadanie. Siadaj i skończ – warknęła mama, wskazując nożem mój talerz.

– Zjem później. Gdzie trzymasz worki?

Mama już przyciągnęła wszystkie podbródki do piersi, gotowa podjąć walkę.

– Nie wiem, jak ty teraz żyjesz, ale pod moim dachem nie będziesz marnował dobrego jedzenia. Gdy zjesz, możesz mnie zapytać jeszcze raz.

– Mamo, nie mam na to czasu. Przyjechali państwo Daly. – Wysunąłem szufladę, w której kiedyś leżały worki na śmieci, a teraz masa złożonego koronkowego Bóg wie czego.

– Zamknij szufladę. Zachowujesz się tak, jakbyś tu mieszkał...

Kevin, bystry chłopak, pochylił się nad talerzem.

– Skąd ci przyszło do głowy, że państwo Daly będą chcieli oglądać twoją wstrętną gębę? – zapytał ojciec. – Prawdopodobnie uważają, że to wszystko przez ciebie.

– ...wchodzisz do tego domu jak wielmożny pan.

– Być może – przytaknąłem, otwierając jedną szufladę po drugiej – ale i tak zamierzam pokazać im tę walizkę, więc nie chcę, żeby zmokła na deszczu. Gdzie, do cholery... – Co rusz natrafiałem na zapasy pasty do mebli, w ilościach przemysłowych.

– Nie wyrażaj się! Jeżeli jesteś za ważny, żeby jeść smażeninę...

– Poczekaj – odezwał się ojciec – włożę buty i pójde z tobą. Chcę zobaczyć minę Matta Daly'ego.

A Olivia uważała, że Holly powinna poznać tę rodzinę.

– Lepiej zostań – odparłem.

– Co ty jesz na śniadanie u siebie w domu? Kawior?

– Pod zlewem, Frank – nie wytrzymał Kevin.

Otworzyłem szufladę i, łaska boska, znalazłem sezam z workami. Oderwałem jeden i skierowałem się do salonu. Po drodze zapytałem Kevina:

– Wybierzesz się ze mną?

Ojciec miał rację: państwo Daly zapewne nie byli moimi wielbicielami, natomiast mój młodszy brat, o ile nic się nie zmieniło, nie budził w nikim nienawiści.

Kevin odsunął do tyłu krzesło.

– Wielkie dzięki.

Jak najostrożniej nasunąłem worek na walizkę.

– O Jezu – westchnąłem. Matka ciągnęła swoje („Kevin! Wracaj w tej chwili i...”). – Takiego domu wariatów ja tu nie pamiętam.

Kevin wzruszył ramionami i włożył kurtkę.

– Uspokoją się, gdy wyjdziemy.

– Pozwoliłam wam wstać od stołu? Francis! Kevin! Czy wy mnie słyszycie?

– Zamknij się, do cholery – burknął ojciec do matki. – Nawet nie można zjeść w spokoju.

Nie podniósł głosu, jeszcze nie, ale na sam dźwięk zacisnąłem jak dawniej zęby, a Kevin na ułamek sekundy zamknął oczy.

– Idziemy – powiedziałem. – Chcę złapać Norę, zanim odjedzie.

Zniosłem walizkę po schodach, trzymając ją na wyciągniętych przed siebie rękach w trosce o stan dowodu. Kevin otworzył mi drzwi. Faithful Place była pusta, rodzina Dalych już weszła do domu pod trzecim. Wiatr gnał ulicą, uderzając mnie w pierś niczym wielką łapą i rzucając mi wyzwanie, czy ośmielę się pójść dalej.

• • •

Jak sięgnę pamięcią, moi rodzice i państwo Daly ziali do siebie nienawiścią z tak wielu rozmaitych powodów, że próby ich zrozumienia mogły przyprawić osobę postronną o wylew. W czasach gdy Rosie i ja zaczęliśmy ze sobą chodzić, usiłowałem zasięgnąć języka, dlaczego na myśl o nas pan Daly wyskakuje pod sufit, ale jestem całkiem pewny, że tylko ślizgałem się po powierzchni. Powodem kwasów było w pewnej mierze to, że w tamtej rodzinie mężczyźni pracowali u Guinnessa, przez co stali o szczebel wyżej od reszty nas: mieli porządną pracę, znaczące dodatki do pensji i szanse poprawienia swojej pozycji. Ojciec Rosie chodził na kursy wieczorowe, mówił o awansie ze stanowiska przy taśmie – wiem od Jackie, że teraz jest jakimś kierownikiem i że państwo Daly wykupili dom pod trzecim od

właściciela. Moim rodzicom nie podobali się ludzie z zadęciami; Dalym nie podobali się bezrobotni wałkonie nadużywający alkoholu. Zdaniem mojej matki pewną rolę w tym wszystkim odgrywała zazdrość – pięć porodów poszło jej jak po maśle, natomiast Theresa Daly urodziła swojemu chłopu tylko dwie córki, nie dała rady urodzić syna; jeżeli wałkowało się ten temat za długo, mama zaczynała opowiadać o poronieniach pani Daly.

Matka i pani Daly rozmawiały ze sobą, na ogół; kobiety chętniej nienawidzą się z bliska, bo wtedy jest lepszy efekt w stosunku do nakładów. Nigdy nie widziałem, żeby ojciec i pan Daly zamienili ze sobą dwa słowa. Sytuacja najbardziej zbliżona do jakiejś tam formy kontaktu – nie wiem, jak to się miało do kwestii zatrudnienia czy przebytych porodów – występowała raz czy dwa razy w roku, gdy ojciec wracał zalany bardziej niż zwykle, chwiejnym krokiem mijał nasz dom i zatrzymywał się pod trójką. Zataczając się, kopał w balustradę i wrzeszczał do Matta Daly'ego, by stanął do walki, jak przystało na mężczyznę. Wtedy mama i Shay – albo Carmel, Shay i ja, jeżeli mama akurat tego wieczoru sprzątała biura – szli namówić go do powrotu do domu. Czuło się, że cała ulica słucha, szepcze, bawi się w najlepsze, tylko państwo Daly ani razu nie otworzyli okna ani nie zapalili światła. Najtrudniej było przepchnąć ojca na zakręcie schodów.

– Jak będziemy w środku – powiedziałem, gdy przeszliśmy w deszczu na początek ulicy i Kevin zapukał do drzwi pod trójką – gadaj ty.

– Ja? Dlaczego? – zdziwił się.

– Żeby zrobić mi przyjemność. Opowiesz im, skąd się wzięła walizka, a ja pociągnę temat.

Nie wyglądał na zadowolonego, ale nasz Kev zawsze starał się przypodobać innym i zanim wymyślił jakąś zgrabną odpowiedź, każąc mi wykonywać własną brudną robotę, drzwi się otworzyły i wyjrzała pani Daly.

– Kevin, jak się... – urwała, rozpoznając mnie. Przewróciła

oczami i wydała dźwięk podobny do czkawki.

– Przepraszam, że przeszkadzamy, pani Daly – powiedziałem bez zająknięcia. – Możemy wejść na chwilę?

Przyłożyła rękę do piersi. Kev nie mylił się co do paznokci.

– Nie wiem...

Każdy gliniarz potrafi precyzyjnie się w drzwiach obok niezdecydowanej osoby.

– Lepiej, żeby to nie mokło na deszczu – powiedziałem, manewrując walizką. – Sądzę, że państwo powinni zobaczyć te rzeczy.

Kevin podążał za mną trochę skrępowany.

– Matt! – krzyknęła pani Daly w kierunku schodów, nie odrywając od nas wzroku.

– Mamo? – Nora wyszła z salonu, w każdym calu dorosła kobieta, co podkreślała jej sukienka. – Kto... O Jezu! Francis?!  
– We własnej osobie. Jak się masz, Nora?

– Boże święty. – Przeniosła wzrok za moje ramię, w stronę schodów.

Pan Daly zachował się w mojej pamięci jako Schwarzenegger w rozpinanym swetrze, ale okazało się, że jest raczej niskim, umięśnionym, trzymającym się prosto gościem z krótkimi włosami i zaciętą szczęką, która napinała się jeszcze bardziej, gdy przyglądał mi się badawczo i niespiesznie.

– Nie mamy ci nic do powiedzenia – oświadczył w końcu.

Zerknąłem na Kevina.

– Panie Daly – wtrącił się szybko Kevin – przyszliśmy państwu pokazać coś bardzo, bardzo ważnego.

– Ty możesz nam pokazać, co zechcesz. Twój brat niech się wynosi z mojego domu.

– Tak, wiem, on by tu nie przyszedł, ale nie mieliśmy wyboru, daję słowo. To ważne. Naprawdę. Czy moglibyśmy...? Pozwoli pan?

Odgrywał swoją rolę perfekcyjnie: przestępował z nogi na nogę, odgarniał grzywkę z oczu, naciskał na nich nieporadnie, z zażenowaniem; wyrzucając go za drzwi, człowiek czułby się tak, jakby

wyrzucał dużego puszystego owczarka. Nic dziwnego, że chłopak był handlowcem.

– Nie przeszkadzalibyśmy państwu – dorzucił dla pewności – tylko że nie wiemy, co zrobić. Pięć minut, można?

Po chwili pan Daly kiwnął głową sztywno i niechętnie. Dałbym duże pieniądze, żeby jeździć po mieście z sobowtórem Kevina na tylnym siedzeniu i wyciągać go w sytuacjach podbramkowych.

Wprowadzili nas do salonu, który był jasny i nie tak zagracony jak u mamy: gładki beżowy dywan, ściany pomalowane na kremowo, a nie wytapetowane, portret Jana Pawła II i stary plakat związków zawodowych, w ramach, na ścianie, żadnej koronkowej serwetki z papieru czy gipsowej kaczuszki w polu widzenia. Gdy wszyscy byliśmy jeszcze dziećmi i biegaliśmy z domu do domu, nigdy nie znalazłem się w tym pokoju. Przez długi czas dręczyło mnie gorące, zaciekle pragnienie, żeby zostać tu zaproszonym, pragnienie tak silne, jak wtedy gdy człowiek chce dostać coś, czego, jak mu powiedziano, jest niewart. Inaczej wyobrażałem sobie tę chwilę: obejmowałem Rosie, a ona miała pierścionek na palcu i kosztowny płaszcz na ramionach, była w ciąży i uśmiechała się szeroko.

Nora posadziła nas przy niskim stoliku; widziałem, że miała chęć podać herbatę i ciasteczka, ale się rozmyśliła. Położyłem walizkę na blacie i z namaszczeniem włożyłem rękawiczki – pan Daly był chyba jedynym członkiem naszej parafii, który wolał przyjąć w salonie gliniarza niż kogoś z Mackeyów – po czym zsunąłem worek.

– Czy ktoś z państwa widział ją kiedyś? – zapytałem.

Cisza. Po sekundzie z ust pani Daly wyrwało się coś między westchnieniem a jękiem. Już miała chwycić walizkę, ale w porę ją powstrzymałem, wyciągając rękę.

– Muszę państwa prosić, żebyście nie dotykali.

– Gdzie... – odezwał się ostro pan Daly i wciągnął powietrze przez zęby. – Gdzie ją znalazłeś?

– Poznaje pan?

– To moja walizka – wyszeptała pani Daly, przykładając zaci-

śniętą dłoń do ust. – Zabrałam ją w podróż poślubną.

– Gdzie ją znalazłeś?! – powtórzył z krzykiem pan Daly. Na jego twarzy pojawiły się niezdrowe czerwone plamy.

Ruchem brwi dałem znak Kevinowi. W sumie nieźle opowiedział całą historię: robotnicy, świadectwo urodzenia, telefony. Dla ilustracji pokazywałem poszczególne przedmioty niczym stewardesa, która demonstruje sposób wkładania kamizelki ratunkowej, a przy tym obserwowałem Dalych.

Gdy opuszczałem dom, siostra Rosie była trzynasto-, może czternastoletnią dziewczyną, pękata, przygarbioną, o gęstych kędzierzawych włosach, która wcześniej zaczęła się rozwijać i wcale nie była z tego powodu szczęśliwa. W końcu wszystko ułożyło się dla niej dobrze: miała ścinającą z nóg figurę jak Rosie, niepozabawioną krągłości, ale nadal sexy, rzadkość w dzisiejszych czasach, gdy dziewczyny głodzą się do rozmiaru zero i pakują w stan nieustannego wkurzenia. Choć nieco niższego wzrostu i mniej dramatycznej karnacji – ciemnobrązowe włosy, szare oczy – miała w sobie coś z Rosie. Nie wtedy, gdy patrzyło się jej prosto w twarz, lecz gdy szybko zerkało się na nią z boku. Nieuchwytnie podobieństwo, coś w kącie nachylenia ramion, w linii zakola szyi i w sposobie słuchania: w bezruchu, jedną ręką obejmując łokieć drugiej, ze wzrokiem wbitym w Kevina. Niewiele osób potrafi zastygnąć i słuchać. Rosie nikt w tym nie dorównywał.

Pani Daly też się zmieniła, ale na niekorzyść. Pamiętałem, że była zadziorna, paliła papierosy na schodach przed domem, opierając się biodrem o balustradę i głośno rzucając pod adresem nas, chłopców, dwuznaczne aluzje, które sprawiały, że zaczerwieniem po uszy uciekałimy, ścigani jej gardłowym śmiechem. Wyjazd Rosie albo po prostu dwadzieścia dwa lata życia i pan Daly sprawiły, że uszła z niej para: z zaokrąglonymi plecami i zapadniętymi oczami wyglądała tak, jakby przydał jej się koktajl mleczny zaprawiony xanaxem. Najbardziej poruszyło mnie coś innego – właśnie tego mi u niej brakowało w dawnych czasach, gdy my byliśmy młodzi, a ona wiekowa – a mia-



nowicie, jeśli pominąć niebieskie cienie na powiekach, nastroszone włosy i pewną dozę wariactwa, pani Daly łudząco przypominała Rosie. Gdy już zauważyłem to podobieństwo, widziałem je nieustannie, kątem oka, niczym wyłaniający się i znikający obraz na hologramie. Na myśl, że z upływem lat Rosie mogła się upodobnić do swojej matki, dostałem gęsiej skórki.

Z kolei im dłużej przyglądałem się panu Daly'emu, tym bardziej dostrzegałem jego niezależną naturę. Parę guzików zostało ponownie przyszytych do dzianinowej kamizelki, będącej zbrodnią na modzie; włoski w uszach miał starannie przycięte; twarz świeżo ogoloną: jadąc poprzedniego wieczoru do Nory, na pewno zabrał maszynkę i ogolił się przed powrotem do domu. Pani Daly trzęsła się, pojękiwała i przygryzała kant dłoni, patrząc, jak wyjmuję kolejne rzeczy z walizki. Nora wzięła parę głębokich oddechów, odgięła do tyłu głowę i mocno zamrugała powiekami. Pan Daly miał kamienną twarz. Robił się coraz bledszy i na policzku zdrzął mu mięsień, gdy uniosłem świadectwo urodzenia – ale nic więcej.

Kevin skończył mówić i zerknął na mnie, żeby się upewnić, czy dobrze mu poszło. Włożyłem do walizki koszulę w tureckie wzory i zamknąłem wieko. Przez chwilę w pokoju zalegała głucha cisza.

– Ale jak ona się znalazła pod szesnastym? Przecież Rosie zabrała ją do Anglii – odezwała się pani Daly niemal bez tchu.

Powiedziała to z takim przekonaniem, że zamarło we mnie serce.

– Skąd pani wie?

Wbiła we mnie wzrok.

– Walizka zniknęła razem z nią.

– Jest pani pewna, że Rosie wyjechała do Anglii?

– No jak to? Zostawiła nam list, pożegnała się. Chłopaki Shau-ghnessych i jeden z synów Sallie Hearne przynieśli go następnego dnia z domu pod szesnastym. Było tam wyraźnie napisane, że jedzie do Anglii. Z początku myśleliśmy, że wy dwoje... – Pan Daly szarpnął się gwałtownie, ze złością. Pani Daly zamrugała i umilkła.

Udałem, że tego nie widzę.

– Chyba wszyscy tak myśleli – zauważyłem. – Kiedy państwo się dowiedzieli, że nie jesteśmy razem?

Gdy nikt nie odpowiedział, odezwała się Nora.

– Wieki temu. Będzie z piętnaście lat, jeszcze przed moim ślubem. Któregoś dnia natknęłam się na Jackie w sklepie i powiedziała, że nawiązała z tobą kontakt i że mieszkasz w Dublinie. Twierdziła, że Rosie wyjechała bez ciebie. – Jej oczy przeskakiwały ode mnie do walizki i z powrotem, rozszerzając się coraz bardziej. – Czy twoim zdaniem... Gdzie ona jest, jak sądzisz?

– Za wcześnie, żebym cokolwiek sądził – zwróciłem się do niej swoim najsympatyczniejszym oficjalnym tonem, jakby chodziło o jakąkolwiek zaginioną dziewczynę. – Musimy wiedzieć więcej. Czy były jakieś wieści od niej po wyjeździe? Telefon, list, wiadomość od kogoś, kto gdzieś się na nią natknął?

Pani Daly wypaliła jednym tchem:

– Przecież nie mieliśmy wtedy telefonu, więc jak mogła zadzwonić? Gdy go podłączyli, dałam twojej mamusi, Jackie i Carmel kartkę z numerem i powiedziałam: „Zawiadomcie mnie, jeżeli dostaniecie jakąś wiadomość od waszego Francisa, przekazcie mu ten numer i powiedzcie mu, a on niech powie Rosie, żeby zadzwoniła, choćby parę słów na Boże Narodzenie albo...”. Gdy się okazało, że ona nie jest z tobą, to wiadomo było, że nie zadzwoni, w ogóle nie dostanie tego numeru, prawda? Mogła jednak napisać, ale ona zawsze robiła wszystko we własnym tempie. Zbliżały się moje sześćdziesiąte piąte urodziny, w lutym, mogła wysłać kartkę, nie zapomniaby...

Mówiła coraz szybciej, coraz bardziej piskliwym, łamiącym się głosem. Przygryzła wargę, gdy pan Daly na chwilę ścisnął ją za rękę. Kevin wyglądał tak, jakby chciał rozpląnąć się między poduszkami na kanapie i zniknąć.

– Nie, ani słowa – powiedziała cicho Nora. – Najpierw myśleliśmy... – Obrzuciła ojca szybkim spojrzeniem: jej zdaniem Rosie uważała za oczywiste, że rodzina wyrzeknie się jej z powodu ucieczki ze mną. – Nawet gdy się dowiedzieliśmy, że nie jesteś z nią. Przez

cały czas sądziliśmy, że mieszka w Anglii. – Pani Daly odchyliła do tyłu głowę i otarła łzę.

To tyle: nie wykonam szybkiego odwrotu, nie pomacham na do widzenia swojej rodzinie i nie wymażę z pamięci wczorajszego wieczoru, żeby móc wrócić do normalności w moim prywatnym wydaniu, i nie spiję Nory, licząc, że wydobędę z niej numer telefonu Rosie.

– Będziemy musieli zadzwonić na policję – westchnął ciężko pan Daly, nie patrząc na nikogo w szczególności.

Niemal udało mi się nie spojrzeć na niego z powątpiewaniem.

– Naturalnie, można zadzwonić. W pierwszej chwili też tak pomyśleliśmy u nas w domu, ale uważałem, że to państwo powinni zdecydować, czy rzeczywiście tego chcą.

– A dlaczego mielibyśmy nie chcieć? – Spojrzał na mnie podejrzliwie.

– Posłuchajcie – westchnąłem i przeczesałem palcami włosy. – Chętnie bym wam powiedział, że gliny potraktują tę sprawę z należytą uwagą, ale nie mogę. Najbardziej by mi odpowiadało, gdyby zbadano to pod kątem zostawionych odcisków palców i śladów krwi, tak na początek... – pani Daly wydała okropny pisk, zasłaniając usta dłońmi – ...ale najpierw sprawa otrzymuje numer, zostaje przydzielona detektywowi i dopiero ten występuje o przeprowadzenie badań. Już teraz mogę wam powiedzieć, że nie zostaną przeprowadzone. Nikt nie będzie marnotrawił cennych środków na coś, co może w ogóle nie jest przestępstwem. Wydziały osób zaginionych i spraw niewyjaśnionych oraz sekcja ogólna będą przysyłać sobie akta w tę i we w tę przez kilka miesięcy, aż ich to znudzi i złożą je gdzieś w piwnicy. Musicie być na to przygotowani.

– A ty? – zapytała Nora. – Nie mógłbyś wystąpić o przeprowadzenie badań?

Pokręciłem ze smutkiem głową.

– Oficjalnie się nie da. Nawet gdybym naciągnął sytuację, ta sprawa i tak nie mieści się w zakresie działań mojego wydziału. Gdy

już trafi do systemu, nic nie mogę zrobić.

– Zaraz, zaraz. – Nora wyprostowała się i spojrzała na mnie baczny wzrokiem. – A gdyby nie trafiła do systemu, no wiesz, gdybyś wziął ją w swoje ręce? Mógłbyś...? Nie ma sposobu, żeby...?

– Poprosić kogoś o przysługę, po cichu? – Uniosłem brwi. Chwilę się zastanawiałem. – Chybaby się dało. Ale wszyscy musicie mieć pewność, że tego chcecie.

– Ja chcę – odrzekła natychmiast Nora. Szybko podejmowała decyzje, jak Rosie. – Proszę, zrób to dla nas, Francis. Zechciałbyś?

Pani Daly kiwnęła głową. Wyjęła chusteczkę higieniczną z rękawa i wydmuchała nos.

– Może ona jednak jest w Anglii. To możliwe, prawda?

Zwracała się do mnie z błaganiem. Kevin się skrzywił, tak przykro było jej słuchać.

– Możliwe – powiedziałem miękko. – Jeżeli chcą państwo zostawić mi całą sprawę, to też mógłbym sprawdzić.

– O Boże, o Boże... – powtarzała cicho pani Daly.

– Co pan na to? – zapytałem pana Daly'ego.

Zapadła długa cisza. Siedział, trzymając splecione dłonie między kolanami i wpatrując się w walizkę, tak jakby w ogóle nie dotarły do niego moje słowa. W końcu odezwał się do mnie:

– Nie lubię cię. Ani twojej rodziny. Nie ma co udawać.

– No tak. Zauważyłem, z upływem czasu. Ale nie przyszedłem tu jako Mackey. Jestem funkcjonariuszem policji, który może pomóc wam w znalezieniu córki.

– Po cichu, na boku, za plecami. Ludzie się nie zmieniają.

– Najwyraźniej. – Posłałem mu miły uśmiech. – Ale zmieniają się okoliczności. Teraz stoimy po tej samej stronie.

– Czyżby?

– Powinien pan na to liczyć, bo nikt lepszy się panu nie trafi. Decyzja należy do pana.

Spojrzał mi w oczy i długo świdrował mnie wzrokiem. Siedziałem wyprostowany, z poważną miną wyćwiczoną na wywiadówkach. W

końcu kiwnął głową, raz i zdecydowanie, po czym rzekł, nie tak znowu uprzejmie:

- Zajmij się tym. Zrób, co się da. Proszę.
- Dobrze. – Wyjąłem notes. – Musicie mi opowiedzieć o wyjeździe Rosie. Zaczynając od tego, co się działo dzień wcześniej. Możliwie najdokładniej.

Pamiętali wszystko, jak każda rodzina, która straciła dziecko – kobieta pokazała mi kiedyś szklanę, z której pił jej syn rano w dniu, gdy przedawkował. Niedziela adwentowa, zimny ranek, szarobiałe niebo, para ulatująca z ust jak mgła. Poprzedniego wieczoru Rosie wróciła do domu wcześniej, więc o dziewiątej rano poszła z całą rodziną na mszę, nie o dwunastej, jak to bywało, gdy odsypiała zarwaną noc. Po kościele zrobili smażeninę na śniadanie – w tamtych czasach za jedzenie przed przyjęciem komunii świętej dostawało się podczas następnej spowiedzi kilkanaście zdrowasiek za pokutę. Potem Rosie prasowała, jej matka zmywała i razem zastanawiały się, kiedy kupić szynkę na świąteczny obiad. Na moment odebrało mi dech w piersiach na myśl, że Rosie spokojnie rozmawiała o posiłku, którego nie miała zamiaru zjeść, i jednocześnie wyobrażała sobie Boże Narodzenie, które spędzimy tylko we dwoje. Niedługo przed dwunastą siostry poszły na New Street, żeby przyprowadzić babcię Daly na niedzielny obiad. Przez jakiś czas po południu wszyscy oglądali telewizję – to była kolejna rzecz, która stawiała Dalych ponad takimi kmiotkami jak my: mieli telewizor. Manifestowanie dumy z własnego niskiego pochodzenia jest zawsze zabawne; teraz na nowo odkrywałem drobnostki, o których istnieniu prawie zapomniałem.

Przez resztę dnia też nic się nie działo. Siostry odprowadziły babcię do domu, Nora poszła spotkać się ze znajomymi, Rosie udała się do pokoju dziewcząt, żeby poczytać – najprawdopodobniej jednak pakowała się albo pisała list, który potem został znaleziony, albo długo siedziała na krawędzi łóżka i głęboko oddychała. Podwieczorek, znowu jakieś domowe zajęcia, znowu oglądanie telewizji, pomaganie Norze przy odrabianiu pracy domowej z matematyki; przez

cały dzień nie wydarzyło się nic, co mogłoby świadczyć o tym, że Rosie coś knuje.

– Aniołek – powiedział ponuro pan Daly. – Przez cały tydzień zachowywała się jak aniołek. Powinienem był się domyślić.

Nora położyła się do łóżka koło wpół do jedenastej, reszta rodziny niedługo po jedenastej – Rosie i jej ojciec szli rano do pracy. Siostry miały wspólną sypialnię od ogrodu, rodzice spali w swoim pokoju; u Dalych nie było żadnej rozkładanej kanapy, gdzieżby tam. Nora zapamiętała szmer, gdy Rosie wkładała piżamę, potem jej ciche „dobranoc”, gdy wślizgnęła się pod kołdrę, i nic więcej. Nie słyszała, jak Rosie wstała z łóżka i ubrała się, jak wymknęła się z pokoju i z mieszkania.

– W tamtych latach spałam jak zabita – próbowała się usprawiedliwić, jak zapewne robiła wiele razy w odpowiedzi na spadające na nią gromy. – Wiesz, jak to jest z nastolatkami...

Rano, gdy pani Daly przyszła obudzić córki, Rosie już nie było.

Z początku zbytnio się nie martwili, nie bardziej niż moi rodzice po przeciwnej stronie ulicy – miałem wrażenie, że pan Daly traktował nierozważną współczesną młodzież z góry, i tyle. W latach osiemdziesiątych Dublin był całkowicie bezpiecznym miastem. Państwo Daly uznali, że Rosie wyszła wcześniej, bo miała coś do załatwienia, może z jakiegoś tajemniczego dziewczynskiego powodu chciała się zobaczyć z koleżankami. Potem, gdy przyszła pora śniadania, a Rosie wciąż nie było, pojawili się z listem chłopcy Shaughnessych i Barry Hearne.

Nie wiadomo, co ta trójka robiła w domu pod szesnastym tak wcześniej rano w zimny poniedziałek, ale postawiłbym albo na hasz, albo na pornosy – wśród chłopców krążyło parę cenionych pisemek, które czyjś kuzyn przemycił z Anglii rok wcześniej. Tak czy owak, wtedy rozpętało się prawdziwe piekło. Relacja Dalych nie była taka barwna jak Kevina – kilka razy zerknął na mnie kątem oka i wymieniłmy spojrzenia, słuchając, jak państwo Daly przedstawiają swoją wersję wydarzeń – ale pokrywały się w ogólnym zarysie.

Ruchem głowy wskazałem walizkę.

– Gdzie ją trzymaliście?

– W pokoju dziewcząt – powiedziała pani Daly, przykładając zaciśniętą dłoń do ust. – Rosie przechowywała w niej rzadko używane ubrania, stare zabawki i inne takie rzeczy... no bo wtedy nie mieliśmy wbudowanych szaf, nikt ich nie miał...

– Spróbujcie przypomnieć sobie, kiedy widzieliście walizkę ostatni raz.

Żadne z nich nie pamiętało.

– Może nawet wiele miesięcy wcześniej – przyznała Nora. – Leżała pod łóżkiem Rosie. Widziałam ją tylko wtedy, gdy Rosie coś z niej wyjmowała.

– A zawartość? Może pamiętacie, kiedy ostatni raz Rosie używała tych rzeczy? Puszczala taśmy, nosiła ubrania.

Cisza. Nagle Nora wyprostowała się i powiedziała o ton głośniej:

– Walkman. Widziałam go w czwartek, trzy dni przed jej wyjazdem. Często wyjmowałam go z jej szafki nocnej, po powrocie ze szkoły, i słuchałam jej taśm, dopóki nie wróciła z pracy. Gdy mnie na tym przyłapała, dostawałam w ucho, ale było warto, Rosie miała najlepsze nagrania...

– Skąd wiesz, że to był czwartek?

– Wtedy pożyczałam walkmana. W czwartki i piątki Rosie chodziła do pracy i wracała do domu z Imeldą Tierney. Pamiętasz Imeldę? Razem szyły w fabryce. Wtedy Rosie nie zabierała walkmana. Przez resztę tygodnia Imelda pracowała na inną zmianę i Rosie nie miała towarzystwa w drodze do i z pracy, więc słuchała muzyki na walkmanie.

– A zatem mogłaś go widzieć albo w czwartek, albo w piątek?

Nora pokręciła głową.

– W piątek po szkole chodziliśmy do kina, całą paczką. W tamten piątek byłam w kinie. Pamiętam, bo... – Urwała zaczerwieniona i zerknęła kątem oka na ojca.

– Zapamiętała ten dzień, bo po ucieczce Rosie przez długi czas

nie pozwalaliśmy Norze zabawiać się na mieście. Za bardzo pobłażaliśmy jednej córce i wolałem nie ryzykować utraty drugiej – wyjaśnił beznamiętnym tonem pan Daly.

– Zrozumiałe. – Kiwnąłem głową, jakby to było najzupełniej rozsądne stwierdzenie. – I nikt z was nie przypomina sobie, żeby widział którąś z tych rzeczy później, po czwartku po południu?

Wszyscy pokręcili głowami. Jeżeli Rosie nie spakowała się do czwartku po południu, to zostawiła sobie niewiele czasu na schowanie walizki, zwłaszcza gdy uwzględnić jej tatusia zapędy do stróżowania. Pojawiała się ewentualność, choć słaba, że walizkę schował ktoś inny.

– Nie zauważyliście, że ktoś się koło niej kręci, zawraca jej głowę? Nic nie wzbudzało waszego niepokoju?

Pan Daly obrzucił mnie spojrzeniem, które mówiło: „To znaczy oprócz ciebie?!”, ale nie wypowiedział tego na głos, tylko odrzekł spokojnie:

– Gdybym zobaczył, że ktoś się jej naprzykrza, toby m się z nim rozprawił.

– Jakieś kłótnie, kłopoty?

– O niczym nie wspominała. Prędeż ty byś o tym wiedział niż my. Wiadomo, ile dziewczęta w tym wieku mówią swoim rodzicom.

– Jeszcze jedno, na koniec. – Z kieszeni kurtki wyjąłem plik kopert wystarczająco dużych, żeby zmieściła się w nich fotografia, i podałem im trzy. – Poznajecie tę kobietę?

Państwo Daly dołożyli wszelkich starań, ale w ich oczach nie rozbłysły fajerwerki, prawdopodobnie dlatego, że Papilarna Fifi jest nauczycielką matematyki w szkole średniej w Nebrasce, a jej fotkę ściągnąłem z internetu. Bez Fifi nigdzie się nie ruszam. Zdjęcie ma ładną, szeroką białą obwódkę, więc nie trzeba go trzymać nazbyt delikatnie, poza tym przedstawia chyba najbardziej nijaką istotę ludzką na tej ziemi i dlatego, przyglądając się uważnie – a przy tym zapewne trzymając fotografię oboma kciukami i palcami wskazującymi – raczej nikt jej nie rozpozna. Zawdzięczam drogiej Fifi niejedną subtelnie przeprowadzoną identyfikację. Teraz miała mi powiedzieć,



czy ktoś z tej rodziny zostawił odciski palców na walizce.

Moje antenki były nastawione na tę trójkę dlatego, że istniała niewielka, ale przyprawiająca o zawrót głowy szansa, iż Rosie jednak zamierzała się ze mną spotkać. Jeżeli trzymała się naszego planu, jeżeli nie chciała puścić mnie kantem, wybrałaby tę samą drogę co ja: przez drzwi z mieszkania, schodami na dół, prosto na ulicę. Ale ja miałem doskonały widok na ulicę, od jednego końca do drugiego, przez całą noc, i widziałem, że ich drzwi frontowe w ogóle się nie otworzyły.

W tamtych czasach rodzina Dalych zajmowała parter domu pod trzecim. Na piętrze mieszkały siostry Harrison, trzy wiekowe, nazbyt pobudliwe stare panny, które dawały ci kromkę chleba posypaną cukrem za zrobienie im sprawunków. W suterenie mieszkała smutna, niedomagająca, drobna Veronica Crotty, która twierdziła, że jej mąż jest komiwojażerem, oraz jej smutny, niedomagający, drobny syn. Innymi słowy, jeżeli ktoś zatrzymał Rosie, gdy szła na spotkanie ze mną, to ten ktoś siedział teraz przy niskim stoliku, naprzeciwko mnie i Kevina.

Widziałem, że wszyscy troje są szczerze przejęci i przygnębieni, ale nastroje mogą się zmieniać. Nora była wtedy dużym dzieckiem w trudnym wieku, dla pani Daly znalazłoby się konkretne miejsce na skali szaleństwa, a pan Daly miał pięciogwiazdkowy temperament, pięciogwiazdkowy konflikt ze mną i wyrobione mięśnie. Rosie nie zaliczała się do zawodniczek wagi lekkiej; jej ojciec może i nie był Schwarzeneggerem, ale jako jedyny w tym domu odznaczał się siłą potrzebną do pozbycia się jej ciała.

– Co to za kobieta? Nigdy jej tu nie widziałam – odezwała się pani Daly, z niepokojem przyglądając się zdjęciu. – Myślisz, że ona mogła zrobić krzywdę naszej Rosie? Wygląda na bardzo drobną kobietę, prawda? Rosie była silną dziewczyną, nie dałaby...

– Sądzę, że ona nie ma z tym nic wspólnego – odparłem zgodnie z prawdą, zabierając koperty ze zdjęciami i wkładając je do kieszeni, po kolei. – Rozpatruję wszelkie ewentualności.

- Ale sądzisz, że ktoś zrobił Rosie krzywdę – powiedziała Nora.
- Jest za wcześnie na takie przypuszczenia. Poczynię pewne kroki i będę państwa informować. Sądzę, że na początek mam dość informacji. Dziękuję, że państwo poświęcili mi swój czas.

Kevin poderwał się jak sprężyna. Zdjąłem rękawiczki i pożegnałem się, ściskając im dłonie. Nie poprosiłem o numery telefonów – lepiej się nie narzucać – i nie zapytałem, czy przechowują ten list. Na myśl, że miałbym go znów zobaczyć, zacisnęły mi się zęby.

Pan Daly odprowadził nas do wyjścia. Przy drzwiach nagle zwrócił się do mnie:

- Gdy nie mieliśmy od niej żadnych wiadomości, myśleliśmy, że zabraniasz jej pisać.

Można to było uznać za swego rodzaju przeprosiny albo po prostu wbicie ostatniej szpili.

- Rosie nigdy nikomu nie pozwoliłaby się od niczego odwieść – powiedziałem. – Jak tylko będę miał jakiegokolwiek informacje, zaraz się z państwem skontaktuję.

Kiedy pan Daly zamykał za nami drzwi, usłyszałem płacz którejś z kobiet.

Po deszczu wisiała lekka mgła, ale chmury gęstniały i ciemniały; znowu miało padać. Mama przyłgnęła do okna w pokoju od frontu, płonąc z ciekawości, której żar dosłownie parzył mnie w twarz. Gdy zauważyła, że patrzę w jej stronę, zaczęła zaciekle czyścić szybę ścierką.

– Ładnie ci poszło. Jestem wdzięczny – odezwałem się do Kevina.

– Dziwnie się czułem – rzekł, zerkając na mnie kątem oka.

Jego własny starszy brat, który kiedyś podkrażał dla niego chipsy w sklepie, w całej policyjnej okazałości.

– Nie było widać – dodałem z aprobatą. – Zachowałeś się bardzo profesjonalnie. Masz do tego dryg, wiesz.

Wzruszył ramionami.

– Co teraz?

– Zamknę ją w samochodzie, na wypadek gdyby Matt Daly zmienił zdanie – powiedziałem, niosąc chyboczącą się walizkę na jednej ręce i z szerokim uśmiechem machając do mamy – a potem pogadam sobie z dawną znajomą. A tymczasem ty będziesz dla mnie urabiał matkę i ojca.

Kevin wybałuszył oczy z przerażenia.

– O Jezu, nie. Za nic. Ona wciąż będzie się pieklić o to śniadanie.

– Daj spokój, Kev. Włóż ochraniacze i poświęć się dla drużyny.

– Dla drużyny, akurat! Najpierw sam ją wkurzyłeś, a teraz chcesz, żeby wszystko spadło na mnie. – Włosy stanęły mu dęba z oburzenia.

– Trafieś w dziesiątkę – odrzekłem. – Niech nie zawraca głowy

Dalym i niczego nie rozgłasza, przynajmniej na razie. Potrzebuję około godziny, zanim zaczniesz wyrządzać szkody. Mogę na ciebie liczyć?

– A jeżeli będzie chciała wyjść z domu? Mam ją powalić chwytem za nogi?

– Podaj mi numer komórki. – Wyjąłem swoją, tę, na którą dzwonią moi chłopcy i informatorzy, i wysłałem do Kevina SMS-a o treści: „hej”. – Załatwione. Jeśli mama ucieknie, odpowiadasz na tego SMS-a, a wtedy przyjdę i sam powalę ją chwytem za nogi. W porządku?

– Ożesz kurwa – mruknął Kevin, patrząc w okno.

– Brawo! – Poklepałem go po plecach. – Równy z ciebie gość. Spotkamy się tu za godzinę, a wieczorem postawię ci parę piw. Może być?

– Będę potrzebował więcej niż parę – jęknął Kevin. Wyprostował ramiona i poszedł na spotkanie z plutonem egzekucyjnym.

Schowałem walizkę do bagażnika, gdzie miała bezpiecznie czekać, aż zawiozę ją do uroczej pani z laboratorium kryminalistycznego, której adres domowy przypadkiem znalazłem. Grupa dziesięciolatek z identycznymi fryzurami i wygolonymi brwiami stała oparta o mur, filując na samochody i myśląc o drucianych wieszakach. Tylko tego brakowało, żeby walizka zniknęła pod moją nieobecność. Oparłem się tyłkiem o bagażnik, oznaczyłem koperty z Papilarną Fifi i zapaliłem papierosa, patrząc na przyszłość naszego kraju tak długo, aż teren był czysty i maślaki zmyły się, żeby zniszczyć samochód komuś, kto nie będzie ich szukał.

Mieszkanie Dalych było lustrzanym odbiciem naszego; nie dałoby się tam ukryć ciała, a już na pewno nie przez długi czas. Jeżeli Rosie umarła w tym mieszkaniu, państwo Daly mogli zrobić dwie rzeczy. O ile pan Daly miał jaja, a tego nie należało wykluczyć, to mógł ją w coś zawinąć, wynieść z domu drzwiami frontowymi, wywieźć i wrzucić do rzeki, zostawić gdzieś na pustkowiu albo w chlewni, jak uroczo zasugerował Shay. Ale wiadomo, jak to jest w Liberties – można

przypuścić z dużym prawdopodobieństwem, że ktoś by coś zauważył, zapamiętał i zaczął gadać. Pan Daly nie wyglądał mi na ryzykanta.

Człowiek nieskłonny do ryzyka wybrałby drogę przez ogród za domem. Prawdopodobnie połowę tych ogrodów zdobyły obecnie krzewy, drewniane tarasy i rozmaite bzdety z kutego żelaza, ale dawniej były zapuszczone i zaśmiecone: wątła trawa, deski, połamane meble i jakieś nędzne resztki roweru. Nikt tam nie chodził – chyba żeby skorzystać z wygodki albo latem powiesić pranie – cały ruch odbywał się od frontu, na ulicy. Tamtego roku było zimno, ale ziemia nie zamarzła. Godzina jednej nocy na wykopanie grobu, może godzina następnej nocy na dokończenie roboty, no i godzina trzeciej nocy na zakopanie zwłok. Nikt by człowieka nie zauważył; ogrody były nieoświetlone, w ciemną noc do kibelka szło się z latarką. Nikt by nic nie usłyszał; siostry Harrison były głuche jak pień, tylne okna sutereny Veroniki Crotty zostały zabite deskami, żeby nie uciekało ciepło, reszta mieszkańców na pewno zamknęła okna na mur w zimną grudniową pogodę. Na koniec wystarczyło w ciągu dnia położyć na grobie kawałek blachy falistej, blat stołu albo cokolwiek, co walało się w pobliżu. Nikt by nawet nie zwrócił uwagi.

Żeby wejść do ich ogrodu, musiałem mieć nakaz. A żeby dostać nakaz, musiałem podać w miarę prawdopodobny powód. Wyrzuciłem niedopałek i udałem się z powrotem na Faithful Place, na rozmowę z Mandy Brophy.

• • •

Mandy była pierwszą osobą, która ewidentnie i bezsprzecznie ucieszyła się na mój widok. Wydała okrzyk tak donośny, że wypełnił całą ulicę; nie miałem wątpliwości, że moja matka znowu pognąła do okna.

– Francis Mackey! Jezusie, Maryjo, Józefie święty! – Mandy rzuciła się na mnie z uściskami, po których miałem siniaki. – O mało nie dostałam ataku serca! Nie myślałam, że kiedykolwiek zobaczę cię w tej okolicy. Co tu robisz?

Miała teraz mamuszkowate kształty i mamuszkowatą fryzurę do kompletu, ale dołeczki w policzkach się nie zmieniły.

– To i owo – odrzekłem, odpowiadając uśmiechem na uśmiech. – Uznałem, że czas zobaczyć, jak się wszyscy mają.

– Najwyższy czas, psiakrew, moim zdaniem. Chodź do środka. A wy... – dwie małe dziewczynki o ciemnych włosach i okrągłych oczach leżały wyciągnięte na podłodze w salonie – pobawcie się u siebie na górze, żebym w spokoju porozmawiała z tym panem. No już! – Wygoniła je machnięciem ręką.

– Wykapana mamusia. – Kiwnąłem głową za dziewczynkami.

– Małe diabllice, i tyle. Wykańczają mnie. Nie żartuję. Moja matka twierdzi, że mam za swoje, bo tyle razy napędziłam jej strachu w młodości. – Zgarnęła z kanapy na wpół ubrane lalki, papierki po cukierkach i połamane kredki. – Wejdz dalej. Słyszałam, że jesteś w policji. Stałeś się ważny.

Trzymając naręcze zabawek, uniosła twarz i uśmiechnęła się, ale jej czarne oczy patrzyły czujnie i przenikliwie: sprawdzała mnie.

– Można by tak sądzić. – Spuściłem głowę i posłałem jej swój najwspanialszy łobuzerski uśmiech. – Po prostu dorosłem. Ty też.

Wzruszyła ramionami.

– Jestem taka sama jak zawsze. Rozejrzyj się.

– Ja też. Można wyrwać człowieka z korzeniami...

– Ale nie można pozbawić go korzeni. – Jeszcze przez chwilę przyglądała mi się uważnie, a potem kiwnęła głową, szybko, zdecydowanie, i wskazała kanapę nogą lalki Bratz. – Siadaj. Napijesz się herbaty, co?

Zostałem przyjęty. Najlepszą przepustką jest twoja własna przeszłość.

– Jezu, o nie. Ledwie zjadłem śniadanie.

Mandy wrzuciła zabawki do różowego plastikowego pudła i zatrzasnęła wieko.

– Na pewno? Przeszkadzałoby ci, gdybym składała pranie i rozmawiała z tobą? Zanim te dwie panienki przyjdą tu i znów wy-

wrącą wszystko do góry nogami. – Opadła koło mnie na kanapę i przysunęła sobie kosz z wypranymi rzeczami. – Słyszałeś, że wyszłam za Gera Brophy'ego? Teraz jest szefem kuchni. Zawsze lubił dobrze zjeść.

– Drugi Gordon Ramsay\*, co? – Uśmiechnąłem się szelmowsko.  
– Powiedz mi, czy on zabiera do domu swoją drewnianą łopatkę, na wypadek gdybyś zaczęła dokazywać?

\* Gordon Ramsay, szkocki kucharz i restaurator. Pisze książki kucharskie i prowadzi telewizyjne programy kulinarne.

Mandy pisnęła i klepnęła mnie po ręce.

– Ty świntuchu! W ogóle się nie zmieniłeś. Żaden z niego Gordon Ramsay, pracuje w jednym z tych nowych hoteli przy lotnisku. Mówi, że przychodzą tam przede wszystkim rodziny, które spóźniły się na samolot, i biznesmeni, którzy nie chcą dać się przyłapać z kochanicami. Jedzenie nikogo nie obchodzi. Któregoś ranka, przysięgam, tak było, z nudów wkroił banany do smażeniny na śniadanie, żeby zobaczyć, co będzie. Nikt nie powiedział marnego słowa.

– Pewnie myśleli, że to *nouvelle cuisine*. Brawo dla Gera.

– Nie wiem, co pomyśleli, ale zjedli. Jajka, kiełbaski i banany.

– Niezły z niego gość. Oboje dobrze sobie poradziliście.

Mandy strzepnęła małą różową bluzę.

– Tak, Ger jest w porządku. Umie człowieka rozbawić. Poza tym to było do przewidzenia. Gdy zawiadomiliśmy moją mamę o zaręczynach, powiedziała, że jej zdaniem zanosilo się na to, gdy jeszcze nosiliśmy pieluchy. Tak samo... – Szybko podniosła wzrok. – Tak samo było z większością tutejszych ślubów.

Dawniej Mandy już by wiedziała wszystko o tej walizce, łącznie z drastycznymi przypuszczeniami. Podupadła poczta pantoflowa plus znakomita praca mojego człowieka Kevina nad mamą sprawiły, że Mandy nie była spięta ani nazbyt ostrożna; starała się tylko zachowywać z taktem, żeby nie dotknąć moich starych ran. Usadowiłem się na kanapie i delektowałem sytuacją, jak długo się dało. Uwielbiam bałaganiarskie domy, w których wszędzie widać ślady pozostawione

przez mieszkającą tam kobietę z dziećmi: lepkie odciski palców na ścianach, świecidełka i pastelowe spinki do włosów na półce nad kominkiem, zapach kwiatowych perfum i prasowania.

Przez pewien czas gawędziliśmy o tym i owym: o jej i moich rodzicach, o sąsiadach, którzy wzięli ślub, doczekali się dzieci, wyprowadzili na przedmieścia czy nabawili jakichś dziwnych chorób. Imelda wciąż mieszkała w okolicy, na Hallows Lane, dwie minuty stąd, ale w kącikach ust Mandy było coś, co mówiło mi, że już się nie widują tak często, więc jej nie wypytywałem. Wolałem ją rozbawić – gdy doprowadzisz kobietę do śmiechu, to już niewiele potrzeba, by zaczęła mówić. Mandy śmiała się jak dawniej, takim samym perlistym śmiechem, który wyrwał się z gardła i był zaraźliwy.

Po mniej więcej dziesięciu minutach rzuciła od niechcienia:

- Miałeś przez ten czas jakąś wiadomość od Rosie?
- Ani słowa – odrzekłem równie swobodnym tonem. – A ty?
- Też nic. Myślałam... – Znowu to spojrzenie. – Myślałam tylko,

że może ty.

- Wiedziałaś? – zapytałem.

Spuściła wzrok na zwijane skarpetki, ale zatrzepotały jej rzęsy.

- Nie rozumiem.
- Byłaś blisko z Rosie. Sądziłem, że mogła ci powiedzieć.
- Że uciekacie? Czy że ona...?
- Jedno z dwojga.

Wzruszyła ramionami.

– O Jezu, Mandy – przybrałem żartobliwy ton – minęło dwadzieścia parę lat. Daję słowo, nie wpadnę w histerię tylko dlatego, że dziewczyny mówią sobie różne rzeczy. Tak się zastanawiałem.

– Nie przyszło mi do głowy, że ona chce zerwać. Jak Boga kocham, nie miałam zielonego pojęcia. Gdy się dowiedziałam, że nie jesteście razem, po prostu mnie zatkało. Byłam stuprocentowo pewna, że się pobraliście, macie kilkoro dzieci, które zmusiły was do zwolnienia tempa.

- Więc wiedziałaś, że zamierzamy razem wyjechać.



– Przecież zniknęliście tej samej nocy. Wszyscy się domyślili.

Uśmiechnąłem się do niej szeroko, kręcąc głową.

– „Zerwać” mówisz. No to wiedziałaś, że wciąż chodzimy ze sobą. A myśmy prawie dwa lata trzymali to w tajemnicy, przynajmniej tak mi się wydawało.

Po chwili Mandy spojrzała na mnie krzywo i wrzuciła skarpetki do koszyka.

– Przemądrzały duppek. Ona nie puściła pary z ust, nic takiego... nie powiedziała słowa do czasu, gdy... Czy wyście poszli razem na piwo może tydzień przed waszym wyjazdem? To było chyba gdzieś w mieście.

W O'Neill's na Pearse Street. Wszyscy studenci z college'u oglądali się za Rosie, gdy szła do naszego stolika ze szklanką piwa w każdej ręce. Była jedyną znaną mi dziewczyną, która piła duże piwo i zawsze stawiała kolejkę.

– A tak, poszliśmy.

– Wtedy się wydało. Widzisz, ona powiedziała swojemu ojcu, że umówiła się ze mną i z Imeldą, a nam o tym nie wspomniała, nie poprosiła, żebyśmy ją kryły, rozumiesz? Masz rację, wasze sprawy trzymała w tajemnicy, o niczym nie wiedziałyśmy. Ale tamtego wieczoru wróciliśmy z Imeldą dość wcześnie. Pan Daly stał w oknie i widział, że wracamy same, bez Rosie. Przyszła do domu dosyć późno. – Mandy uśmiechnęła się do mnie. – Pewnie mieliście masę rzeczy do przegadania, co?

– Aha. – Pocałunek na dobranoc, gdy przyparłem ją do muru Trinity College, trzymając ręce na jej biodrach i przytulając się do niej.

– W każdym razie pan Daly czekał na Rosie. Wpadła do mnie następnego dnia, to była sobota, i powiedziała, że ojciec dostał szału.

A więc wróciliśmy do dużego, złego pana Daly'ego.

– Wyobrażam sobie.

– Zapytałyśmy ją, gdzie się podziewała, ale niczego nam nie wyjawiała. Powiedziała tylko, że ojciec się wściekł. Więc się domy-

śliłyśmy, że byliście razem.

– Tyle razy się zastanawiałem, co, u licha, Matt Daly ma przeciwko mnie.

Mandy zamruwała powiekami.

– Bo ja wiem? On i twój stary są w złych stosunkach. Może stąd ta niechęć. Ale to przecież bez znaczenia. Już tu nie bywasz, nie widzisz go...

– Rosie mnie rzuciła, Mandy. Puściła mnie kantem ni stąd, ni zowąd, a ja do dziś nie rozumiem dlaczego. Jeśli jest jakieś wyjaśnienie, gdzieś tutaj, chciałbym je poznać. Chciałbym się dowiedzieć, czy mogłem cokolwiek zrobić, żeby sprawy potoczyły się inaczej.

Zawarłem w tych słowach taką siłę i tyle cierpienia, że usta Mandy zadrżały ze współczucia.

– Och, Francis... Rosie miała w nosie sądy swojego ojca na twój temat. Dobrze o tym wiesz.

– Może i miała w nosie. Ale jeżeli czymś się martwiła, coś przede mną ukrywała albo kogoś się obawiała... Jak bardzo ojciec wkurzał się na nią, tak naprawdę?

Mandy obrzuciła mnie zdumionym, może nieufnym spojrzeniem, trudno wyczuć.

– O co ci właściwie chodzi?

– Pan Daly łatwo wpadał w złość. Gdy się dowiedział, że Rosie zaczęła ze mną chodzić, jego ryk niósł się po całej ulicy. Ciągle się zastanawiałem, czy kończyło się na wrzaskach, czy też... no wiesz, czy on ją bił.

Mandy przyłożyła rękę do ust.

– Chryste Panie! Coś ci mówiła?

– Mnie nie. Zwierzyłyby się tylko wtedy, gdyby chciała, żebym mu dołożył. Myślałem, że napomknęła tobie albo Imeldzie.

– Skądże, Boże drogi, nie. O niczym takim nie wspomniała. Wydaje mi się, że powiedziałyby, ale... no wiesz, nigdy nie można mieć pewności. – Mandy zamyśliła się, wygładzając niebieski szkolny fartuszek, który leżał na jej kolanach. – Sądzę, że nie tknął jej palcem

– doszła do wniosku. – I nie twierdzą tak tylko dlatego, że chcesz to usłyszeć. Kłopoty pana Daly'ego wynikały w dużej mierze z faktu, że nie dotarło do niego, jak szybko Rosie dorosła. Rozumiesz, co mam na myśli? Tamtej soboty, gdy przyszła do mnie, następnego dnia po awanturze z ojcem o ten późny powrót do domu, wybierałyśmy się wieczorem we trzy do Apartments Disco. Ale Rosie nie mogła pójść, bo ojciec zabrał jej klucze, dasz wiarę? Jakby była dzieckiem, a nie dorosłą kobietą, która co tydzień kładzie na stole zarobione przez siebie pieniądze. Powiedział, że punkt o jedenastej zamknie drzwi na klucz, a jeśli nie będzie jej w domu, może spać na ulicy. Sam wiesz, że o jedenastej dyskoteka w Apartments dopiero się zaczyna. Teraz rozumiesz, o co mi chodzi? Gdy pan Daly złościł się na nią, nie dawał jej klapsa, tylko posyłał ją do kąta. Zrobiłabym to samo, gdyby któraś z moich panienek zaczęła się stawiać.

A zatem światła reflektorów już nie padały wyłącznie na pana Daly'ego, uzyskanie nakazu rewizji już nie było sprawą bezwzględnie priorytetową, a pławienie się w ciepłe domowego ogniska u Mandy już przestało być takie zabawne. Choć Rosie nie wyszła ze swojego domu drzwiami frontowymi, nie musi to oznaczać, że zamierzała puścić mnie kantem albo że tatuś przyłapał ją na gorącym uczynku i w melodramatycznym geście chwycił za tępe narzędzie. Możliwe, że postawił ją w sytuacji bez wyjścia. Drzwi frontowe były zamknięte w nocy na klucz; na tylnych drzwiach była zasuwka od wewnątrz, żeby idący do wygodki nie musiał korzystać z klucza ani nie zatrzasnął drzwi, będąc na dworze. Ponieważ Rosie nie miała kluczy do mieszkania, nieistotne było to, czy uciekała ode mnie, czy do mnie: musiała wyjść tylnymi drzwiami, a potem przejść przez jeden mur po drugim i ogrody od tyłu. Ewentualności przybywało w miarę oddalania się od domu pod trzecim.

Zmniejszyło się prawdopodobieństwo, że coś da zdjęcie odcisków palców z walizki. Skoro Rosie wiedziała, że będzie musiała przełazić przez mury ogrodów, zapewne schowała ją wcześniej, by mieć w pogotowiu i zabrać przed opuszczeniem miasta. Jeżeli ktoś dopadł

Rosie gdzieś po drodze, mógł nawet nie wiedzieć o istnieniu tej walizki.

Mandy przyglądała mi się z lekko zaniepokojoną miną, chcąc się przekonać, czy dobrze ją zrozumiałem.

– Brzmi sensownie – odrzekłem. – Ale nie wyobrażam sobie, żeby Rosie była zachwycona perspektywą stania w kącie. Sądziś, że obmyśliła jakiś plan awaryjny? Zamierzała wykraść ojcu klucze?

– Nic z tych rzeczy. Dlatego czułyśmy, że coś się szykuje. Powiedziałyśmy jej, Imelda i ja: „Chrzań go i chodź z nami. Jeżeli nie wpuści cię do domu, możesz spać tutaj”. Nie zgodziła się, bo chciała być wobec niego miła. Zapytałyśmy, dlaczego tak się przejemuje. Przecież, jak sam powiedziałeś, to nie było w jej stylu. „Długo to nie potrwa”, odparła, natychmiast wzbudzając naszą ciekawość. Rzuciłyśmy wszystko i doskoczyłyśmy do niej, pytając, co ma na myśli, ale nie chciała nic wyjawić. Zachowywała się tak, jakby była przekonana, że ojciec szybko odda jej klucze. Domyślałyśmy się jednak, że chodzi o coś więcej, tylko co? Na pewno szykowało się coś ważnego.

– Nie próbowaliście wyciągnąć z niej szczegółów? Co planuje, kiedy, czy ze mną?

– Boże, ile to czasu ją maglowałyśmy, dostawała ode mnie szturchańce, Imelda rzucała w nią poduszką, żeby zaczęła gadać. I nic. W końcu dałyśmy spokój i zaczęłyśmy szykować się do wyjścia. Ona była... O Jezu. – Mandy zaśmiała się pod nosem, cicho i krótko; ustały zwawe ruchy rąk składających pranie. – Byłyśmy o tam, w jadalni, gdzie dawniej mieścił się mój pokój. Ja jedna miałam własny pokój, więc nasze spotkania zawsze odbywały się u mnie. Robiłyśmy sobie fryzury, a mówiąc ściślej, zaczesywałyśmy włosy do tyłu... O rany, jak my wyglądałyśmy, i te turkusowe cienie na powiekach, pamiętasz? Chciałyśmy być jak Bangles, Cyndi Lauper i Bananarama w jednej postaci.

– Byłyście pięknościami – powiedziałem szczerze. – Wszystkie trzy. Nigdy nie widziałem ładniejszych dziewczyn.

– Na pochlebstwach daleko nie zajedziesz. – Zwróciła się w moją

stronę, marszcząc nos, ale duchem była gdzieś indziej. – Naśmiewaliśmy się z Rosie, pytałyśmy, czy idzie do klasztoru, mówiłyśmy, że wyglądałaby ślicznie w habicie, że pewnie wpadł jej w oko ojciec McGrath i stąd to wszystko... Leżała na moim łóżku, patrząc w sufit i obgryzając paznokiec. Pamiętasz, jak to robiła? Tylko jeden paznokieć.

Wskazującego palca prawej ręki. Obgryzała paznokieć, gdy intensywnie nad czymś myślała. Przez te ostatnie kilka miesięcy, kiedy układaliśmy nasz plan, nieraz leciała jej z tego palca krew.

– Pamiętam.

– Obserwowałam ją w lustrze toaletki. Rosie, dziewczyna, którą znałam od małości, nagle jakby stała się nowym człowiekiem. Jakby była starsza od nas, już wyruszyła w drogę. Czułam, że powinnyśmy jej coś podarować: może kartkę pożegnalną albo medalion ze świętym Krzysztofem. Żeby bezpiecznie dotarła na miejsce.

– Mówiłaś komuś o tym? – zapytałam.

– W życiu bym jej nie zakablowała – burknęła Mandy. – Przecież wiesz.

Wyprostowała się, najeżona.

– Wiem, dziecinko. – Uśmiechnąłem się do niej. – Pytam dla pewności, z przyzwyczajenia. Nie przejmuj się.

– Rozmawiałam z Imeldą. Doszłyśmy do wniosku, że chcecie uciec. To było takie romantyczne... nastolatki, sam wiesz... Ale nikomu nic nie powiedziałam, nawet potem. Byłyśmy po waszej stronie, Francis. Życzyłyśmy wam szczęścia.

Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że wystarczy się obrócić, a w pokoju obok zobaczą te trzy dziewczyny: zniecierpliwione czekają na progu, za którym wszystko może się zaraz wydarzyć, świat mieni się kolorami, iskrzy się, jest pełen możliwości.

– Dziękuję, kochanie. Jestem wdzięczny.

– Nie mam pojęcia, dlaczego zmieniła zdanie. Powiedziałabym ci, gdybym się czegoś domyślała. Wy dwoje pasowaliście do siebie idealnie. Byłam przekonana...

Umilkła.

– Ja też.

– O Boże, Francis... – wyszeptała. Jej ręce leżały nieruchomo wciąż na tym samym szkolnym fartuszk. W jej głosie pobrzmiewała przeciągła nuta przemożnego smutku. – Boże, to było strasznie dawno temu, prawda?

Na ulicy panował spokój. Ciszę mąciły śpiewne głosy dziewczynek, które wyjaśniały coś jedna drugiej na piętrze, oraz drobny deszcz, który zacinał w okna przy porywistym wietrze.

– O tak. Sam nie wiem, jak to się stało, że minęło tyle czasu.

Nie powiedziałem jej. Niech zrobi to moja matka – będzie miała frajdę. W drzwiach uścisnąłem Mandy na pożegnanie, pocałowałem w policzek i obiecałem, że niedługo znowu wpadnę. Pachniała słodkimi, bezpiecznymi rzeczami, których zapachu nie czułem od lat. Mydłem Pearsa, markizami i tanimi perfumami.

Kevin stał przed domem, oparty niedbale o barierkę, i wyglądał jak za naszego dzieciństwa, gdy nie zabieraliśmy go ze sobą, bo był za mały, z tą różnicą, że teraz trzymał komórkę i błyskawicznie pisał SMS-a.

– Do dziewczyny? – zapytałem, ruchem głowy wskazując telefon.

– Tak jakby. – Wzruszył ramionami. – Właściwie nie. Jeszcze nie myślę o stabilizacji.

– Z tego wynika, że masz ich kilka jednocześnie, ty zboreźniku.

– No i co? – Uśmiechnął się szeroko. – Wszystkie o tym wiedzą. One też nie zamierzają się ustabilizować. Po prostu dobrze się bawimy. To nic złego.

– Nic a nic – odrzekłem. – Tylko że miałeś urabiać mamę, a nie wystukiwać wyznania miłosne do aktualnej rozrywkowej panienki. Dlaczego nie jesteś na stanowisku?

– Mamy pilnuję stąd. Działała mi na nerwy. Dopadnę ją po drodze, gdyby wybrała się do Dalych.

– Nie chcę, żeby obdzwoniła pół świata.

– Do nikogo nie zadzwoni, dopóki nie odwiedzi pani Daly i nie wywie się wszystkiego. Teraz zmywa naczynia i ciska gromy. Chciałem jej pomóc, ale się wkurzyła, bo złym końcem włożyłem widelec do suszarki, w rezultacie ktoś mógłby się na niego nadziać i stracić oko. Więc się ulotniłem. A ty gdzie byłeś? U Mandy Brophy?

– Przypuścimy, że chciałbyś się przedostać z domu pod trzecim na koniec ulicy, ale drzwi frontowe byłyby zamknięte na klucz. Co byś zrobił?

– Wyszedłbym tylnymi drzwiami – odrzekł natychmiast Kevin, pisząc dalej SMS-a – i przeskoczył mury ogrodów. Robiłem to milion razy.

– Ja też. – Powiodłem palcem wzdłuż linii domów od numeru trzy do numeru piętnaście u wylotu Faithful Place. – Sześć ogrodów. Siedem, licząc ogród Dalych. – Rosie może wciąż czekała na mnie w którymś z nich.

– Zaraz, zaraz. – Kevin podniósł wzrok znad komórki. – Pytałeś, co zrobiłbym teraz czy wtedy?

– Jaka różnica?

– Cholerny pies Halleyów, taka różnica. Pamiętasz Rambo? Gdy ten mały drań ugryzł mnie w tyłek przez spodnie?

– Jezu, zapomniałem o tym skurwielu. Kiedyś mu przykopałem.

Rambo był kundlem z przewagą teriera, ważył może pięć funtów z futrem. Otrzymał takie imię, popadł w kompleks Napoleona, a ponadto miał zakusy terytorialne.

– Teraz, gdy dom pod piątym zajmują ci kretyni, co go pomalowali na teletubisiowy kolor, postąpiłbym, jak powiedziałeś – Kevin powtórzył mój wcześniejszy gest – ale wtedy, gdy Rambo czekał, by znowu mnie Chapman, za nic w świecie. Poszedłbym tędy. – Odwrócił się, a ja śledziłem ruch jego palca: obok domu pod jedyneką, po wysokim murze zamykającym ulicę, z powrotem ogrodami wzdłuż domów z parzystą numeracją, przez mur domu pod szesnastym i do latarni.

– Dlaczego nie przelazłbyś przez mur domu pod jedyneką i nie poszedł prosto ulicą do końca? Dlaczego przedzierałbyś się przez ogrody po naszej stronie?

– Naprawdę nie wiesz, jak wyglądało to cholerstwo? Trudno mi uwierzyć – powiedział z uśmiechem. – Nie chodziłeś rzucać kamkami w okno Rosie?

– Z panem Dalym w pokoju obok? Jeszcze urwałby mi jaja!

– Zadawałem się przez pewien czas z Lindą Dwyer. Mieliśmy wtedy może szesnaście lat. Pamiętasz Dwyerów spod jedynek?



Spotykaliśmy się wieczorami w ogrodzie za ich domem, bo wtedy Linda mogła pozwolić, żebym włożył rękę pod jej bluzkę. Druga strona tego muru – wskazał palcem koniec ulicy – jest gładka. Nie ma oparcia dla nóg. Można przez niego przejść tylko w rogach, wykorzystując boczną ścianę, żeby się wspiąć na górę. A to znaczy, że trzeba iść ogrodami.

– Jesteś kopalnią wiedzy – powiedziałem. – Dostałeś się w końcu pod stanik Lindy?

Kevin przewrócił oczami i zaczął wyjaśniać skomplikowane związki Lindy z Legionem Maryi, ale nie słuchałem go, pogrążony w myślach. Trudno mi było sobie wyobrazić, że jakiś psychol o morderczych skłonnościach albo zwichrowany seksualnie napastnik pałęta się po ogrodach w niedzielną noc, licząc, że akurat tamtędy będzie przechodzić jego ofiara. Jeśli ktoś dopadł Rosie, na pewno ją znał, spodziewał się jej, miał przygotowany plan działania, choćby z grubsza.

Za murem zamykającym naszą ulicę biegła Copper Lane, podobna do Faithful Place, tylko większa i ruchliwsza. Gdybym chciał urządzić potajemne spotkanie, zasadzkę albo coś w tym rodzaju wzdłuż linii wytyczonej przez Kevina, zwłaszcza potajemne spotkanie, które wymagałoby stoczenia walki i pozbycia się zwłok, wybrałbym dom pod szesnastym.

Przypomniałem sobie dźwięki, które słyszałem, stojąc zziębnięty pod latarnią, przestępując z nogi na nogę. Sapanie mężczyzny, stłumione jęki dziewczyny, miarowy łomot. Zakochany nastolatek jest napędzany testosteronem i nosi różowe okulary: dla mnie miłość była wtedy wszędzie. Ponieważ Rosie i ja szaleliśmy za sobą, zapewne uważałem, że to namiętność niesie się w rozedrganym powietrzu tamtej nocy, gdy wszystko się splatało w jedno, i płynie przez Liberties, doprowadzając do szaleństwa każdego, kto żyje: steranych robotników, którzy wyciągają do siebie ręce we śnie, nastolatków całujących się na rogach ulic tak, jakby od tego zależało ich życie, starszków, którzy wypluwają protezy i zrywają z siebie koszule

nocne... Uznałem za oczywiste, że słyszę kochającą się parę. Mogłem być w błędzie.

Wysiłkiem woli, który przyprawiał o zawrót głowy, dopuściłem do siebie myśl, tylko na sekundę, że Rosie jednak zmierzała na spotkanie ze mną. W takim razie list świadczył o tym, że najprawdopodobniej wybrała drogę, którą wskazał Kevin, i dotarła do domu pod szesnastym. Walizka zaś oznaczała, że nigdy z niego nie wyszła.

– Wiesz co? – przerwałem rozgadaniem Kevinowi („...dałbym sobie spokój, ale ona miała największe cycki na...”). – Chodźmy pobawić się tam, gdzie nie pozwalała nam mamusia.

• • •

Nie sądziłem, że dom pod szesnastym jest w tak złym stanie. W schodach zewnętrznych od góry do dołu były głębokie wyrwy po wyciąganiu kominków; zniknęły kute żelazne balustrady z obu stron – pewnie je ukradziono albo zostały sprzedane przez króla deweloperów. Ogromna tablica z napisem: „Prace budowlane. PJ Lavery” spadła pod okna sutereny i nikomu nie chciało się jej wyciągnąć.

– Co robimy? – zapytał Kevin.

– Jeszcze nie wiem – oświadczyłem zgodnie z prawdą. Wiedziałem tylko tyle, że idziemy śladami Rosie, na wycucie, patrząc, dokąd nas zaprowadzi. – Przekonamy się po drodze, dobra?

Kevin pchnął drzwi i ostrożnie zajrzał do środka.

– O ile nie wylądujemy w szpitalu – rzucił.

W korytarzu krzyżowały się bezładnie cienie, kładły się jeden na drugim w smugach słabego światła, które wpadało zewsząd – przez wiszące na jednym zawiasie drzwi pustych pokoi i przez brudną szybę w oknie na podeście – i spływało w dół klatką schodową wraz z zimnymi podmuchami wiatru. Wyjąłem latarkę. Nawet gdy nie pracuję w terenie, oficjalnie, wolę być przygotowany na wszystko. Ubrałem się w skórzaną kurtkę, która jest tak wygodna, że prawie jej nie zdejmuję, i ma mnóstwo kieszeni na niezbędne rzeczy: Papilarną Fifi, trzy plastikowe torebki na materiał dowodowy, notes i pióro,

szwajcarski scyzoryk, kajdanki, rękawiczki i płaską, silną latarkę Maglite. Rewolwer Colt Detective Special noszę w specjalnej kaburze, która idealnie mieści się w zagłębieniu pleców, niewidoczna pod paskiem dżinsów.

– Nie żartuję – dodał Kevin. – Źle to wygląda. Wystarczy kichnąć i wszystko się na nas zwali.

– Wszczepiono mi w szyję lokalizator GPS. Ludzie z wydziału nas odkopią.

– Naprawdę?

– No coś ty! Weź się w garść, Kev. Nic się nie stanie.

Zapaliłem latarkę i wszedłem do domu. Poczulem nagromadzone przez dziesięciolecia drobiny kurzu, które zaczęły poruszać się i wirować dookoła nas, unoszone zimnymi prądami.

Schody trzeszczały i uginały się niebezpiecznie, ale wytrzymały nasz ciężar. Zacząłem od salonu na górze, gdzie przed laty znalazłem list Rosie i gdzie według matki i ojca polscy robotnicy znaleźli walizkę. Po kominku został duży, nierówny wyłom; ścianę pokrywało wyblakłe graffiti, które mówiło, kto kogo kocha, kto jest gejem i kto powinien spierdalać. Gdzieś na tym kominku, transportowanym do czyjejś rezydencji w Ballsbridge, znajdowały się moje i Rosie inicjały.

Jak było do przewidzenia, na podłodze leżały te same co dawniej śmieci, puszki, pety, papierki po słodyczach, ale niemal wszystko pokrywała gruba warstwa kurzu – teraz dzieciaki spotykały się w ciekawszych miejscach i miały dość pieniędzy, żeby się tam dostać – a dodatkową atrakcję stanowiły zużyte prezerwatywy. Za moich czasów ten towar był nielegalny: jeżeli szczęśliwym trafem znalazłeś się w sytuacji, gdy taka rzecz byłaby przydatna, podejmowałeś ryzyko i przez następne kilka tygodni robiłeś w portki ze strachu. We wszystkich rogach pod sufitem wisały pajęczyny. Przez szpary w otwieranych pionowo oknach wpadało z poświsem zimne powietrze. Tylko patrzeć, jak te okna znikną, zostaną sprzedane jakiemuś palantowi, którego żonie zamarzy się taki uroczy, oryginalny akcent w

wystroju domu.

– W tym pokoju przestałem być prawiczkim – odezwałem się szeptem, ulegając atmosferze pomieszczenia.

Kevin obrzucił mnie pytającym spojrzeniem, ale nie zaspokoił swojej ciekawości, mówiąc jedynie:

– Mogę sobie wyobrazić wygodniejsze warunki.

– Mieliśmy koc. Poza tym wygoda nie jest najważniejsza. Nie zamieniłbym tej nory na luksusową mansardę w Shelburne.

Po chwili Kevinem wstrząsnął dreszcz.

– Boże, co za przygnębiające miejsce.

– Ale klimatyczne. Powrót do przeszłości.

– Mam to gdzieś. Wolę się trzymać jak najdalej od przeszłości.

Słyszałeś, co mówili państwo Daly? O tych żalonych niedzielach w latach osiemdziesiątych. Msza, a potem główniany niedzielny obiad. O ile się założysz, że jedli gotowany bekon z pieczonymi ziemniakami i kapustą?

– No i jeszcze deser z torebki. – Skierowałem światło latarki na podłogę: gdzieniegdzie małe dziury, zmurszałe końce desek, ani śladu reperacji. Wszelkie naprawy byłyby tu po oczach. – Co tydzień Angel Delight. Przypominał kredę o smaku truskawkowym. Jeżeli nie chciałeś tego jeść, przez ciebie małe Murzyniątka cierpiały głód.

– Ano tak. I cały dzień człowiek nie wiedział, co ze sobą zrobić, tylko wystawał w zimnie na rogu ulicy, chyba że mógł zadekować się w kinie albo wolał znosić towarzystwo matki i ojca. Nic w telewizji prócz kazania ojca jakiegoś tam o tym, że środki antykoncepcyjne powodują ślepotę, ale nawet żeby go wysłuchać, trzeba było godzinami manewrować tą cholerną anteną pokojową... Bywały takie niedziele, daję słowo, że z nudów chciało mi się już iść do szkoły.

Nic w miejscu po kominku ani w górze komina; jedynie ptasie gniazdo na szczycie i białe smugi odchodów gromadzących się latami na ścianach kanału. Jego szerokość ledwie pozwalała na wciśnięcie walizki. W żaden sposób nie dałoby się umieścić tam ciała dorosłej kobiety, choćby tymczasowo.

– Mówię ci, chłopie, powinieneś był tu przychodzić – oświadczyłem. – Tu wszystko się działo. *Sex, drugs and rock and roll*.

– Gdy do tego dorosłem, nikt tu już nie przychodził. Biegały tylko szczury.

– Zawsze biegały. Stwarzały klimat. Chodź. – Kiwnąłem głową w stronę następnego pokoju.

Kevin podążył za mną.

– Raczej roznosiły zarazki. Już cię tu nie było, gdy ktoś rozrzucił trutkę albo coś w tym rodzaju, chyba Wariat Johnny, miał hopla na punkcie szczurów, pamiętasz? Może przez to siedzenie w okopach. W każdym razie gromada szczurów wcisnęła się w szpary w ścianach i zdechła. Jezu, ale śmierdziało. Gorzej niż w chlewni. Umarlibyśmy na tyfus.

– Pachnie normalnie – zauważyłem.

Znowu omiotłem podłogę snopem światła. Przemknęło mi przez myśl, czy jak ten głupek nie szukam wiatru w polu. Wystarczył jeden wieczór z moją rodziną, żeby udzieliła mi się paranoja.

– Jasne, z czasem smród się ulotnił. Ale wtedy przenieśliśmy się już na pustą działkę na rogu Copper Lane, wiesz którą, co? Też była gówniana: zimą zmarł człowiekowi tyłek. Mnóstwo pokrzyw i drutu kolczastego, ale złożyły się tam wszystkie dzieciaki z Copper Lane i ze Smith's Road, więc miałeś spore szanse wypić coś, dostać całusa czy co tam chciałeś. Tu nie przychodziliśmy właściwie nigdy.

– Dużo straciłeś.

– Możliwe. – Kevin rozejrzył się z powątpiewaniem dokoła. Trzymał ręce w kieszeniach, ciasno owinięty kurtką, żeby niczego nie dotknąć. – Przeżyję. Właśnie dlatego nie mogę słuchać nostalgicznych opowieści o latach osiemdziesiątych. Wynudzone na śmierć dzieciaki, zabawy drutem kolczastym, bzykanko w jakiejś szczurzej norze... Co tu było do stracenia?

Spojrzałem na brata, który stał w ciuchach od Ralpa Laurena, miał szpanerski zegarek oraz wymuskaną, elegancką fryzurę i z wyrazem słusznego oburzenia na twarzy kompletnie tu nie pasował.

Przypomniałem sobie chudego chłopaka ze zmierzwionymi włosami, który nosił łatanę, odziedziczone po mnie ubrania, wbiegał jak dziki do tego domu i wypadał z niego, ani przez chwilę nie myśląc, że to miejsce jest do kitu.

– Tu się działo dużo więcej.

– Na przykład co? Co jest takiego wspaniałego w tym, że masz swój pierwszy seks w takiej norze?

– Nie twierdzę, że chciałbym powrotu lat osiemdziesiątych, gdyby to ode mnie zależało, ale nie wylewaj dziecka z kąpielą. Nie wiem jak ty, ale ja nigdy się nie nudziłem. Nigdy. Może to da ci trochę do myślenia.

Kevin wzruszył ramionami i mruknął coś, co mogło znaczyć: „Nie wiem, o co ci chodzi”.

– Zastanów się. W końcu zrozumiesz.

Nie czekając na niego, ruszyłem w stronę pokoi od ogrodu – jeżeli w ciemnościach nastąpi na zbutwiałą deskę i wpadnie w dziurę, to niech się sam martwi. Nadąsany ruszył po chwili za mną.

Nic ciekawego w pokojach od tyłu ani w pokojach wychodzących na podest parteru, pomijając skład butelek po wódce, których ktoś najwyraźniej nie miał ochoty wyrzucić do śmieci. Na szczycie schodów do sutereny Kevin się zaparł.

– W żadnym wypadku. Nie zejść na dół. Poważnie, Frank.

– Bóg cię skarże, jeśli będziesz się sprzeciwiał starszemu bratu.

Idziemy.

– Shay zamknął nas kiedyś na dole – powiedział Kevin. – Ciebie i mnie... byłem małym szkrabem. Pamiętasz?

– Nie pamiętam. Dlatego wpadasz tu w histerię?

– Nie wpadam, kurwa, w histerię. Ni diabła nie rozumiem, dlaczego bez powodu mamy pogrzebać się żywcem.

– To zaczekaj na mnie na dworze.

Po chwili pokręcił przecząco głową. Poszedł za mną z tego samego powodu, z którego ja chciałem od początku mieć go przy sobie: stare przyzwyczajenie staje się drugą naturą.

Byłem w tej suterenie w sumie może ze trzy razy. Miejscowa legenda głosiła, że facet zwany Nożownikiem Higginsem podciął gardło swojemu głuchoniememu bratu i właśnie w tym miejscu go zakopał; jeżeli wkroczysz na teren Kaleki Higginsa, rzuci się na ciebie, wymachując gnijącymi rękami i wydając przerażające pomruki, tu następował pokaz. Braci Higginsów prawdopodobnie wymyślili zaniepokojeni rodzice. Nikt z nas nie wierzył w tę historię, ale trzymaliśmy się z daleka od sutereny. Shay i jego kumple czasem kręcili się tam, żeby pokazać, jacy z nich twardziele, albo szła tam jakaś parka desperacko spragniona seksu, gdy inne pomieszczenia były zajęte; natomiast fajne sprawy działały się na górze: paczki marlboro po dziesięć sztuk i dwulitrowe butelki taniego cydru, jointy grubości zapalki i gry w rozbieranego pokera, które zawsze kończyły się w połowie. Któregoś razu Bystrzak Hearne i ja, wówczas dziewięciolatki, rzuciliśmy sobie nawzajem wyzwanie, czy dotkniemy tylnej ściany sutereny. Mam również mętne wspomnienie, że kilka lat później zaciągnąłem tam Michelle Nugent, licząc na to, że ze strachu obejmie mnie i może pocałuje. Nic z tego. Nawet w tak młodym wieku gustowałem w mało strachliwych dziewczynach.

Za trzecim razem mnie i Kevina zamknął tam Shay. Zostawił nas na jakąś godzinę, ale wydawało mi się, że mijają dni. Kevin miał wtedy może dwa, trzy lata i ze strachu nawet nie pisnął. Za to zsiąkał się w majtki. Pocieszałem go, że wszystko będzie dobrze, próbowałem kopniakami wyważyć drzwi, oderwać deski w oknach, na koniec przysięgłem sobie, że spiorę Shaya na kwaśne jabłko.

Powoli przesuwalem latarkę. Suterena wyglądała w dużej mierze tak jak we wspomnieniach, tyle że teraz doskonale rozumiałem, dlaczego rodzice nie pozwalali nam tu przychodzić. Okna wciąż były zabite deskami, niezdarnie, do środka sączyły się wąskie smużki słabego światła; sufit opuścił się dość nieprzyjemnie, tynk odchodził z niego wielkimi płatami, odsłaniając wygięte i spróchniałe belki. Ściany działowe wykrzywiły się i pokruszyły tak bardzo, że w zasadzie powstało jedno wielkie pomieszczenie. Podłoga zapadła się w

wielu miejscach, aż do fundamentów – dom może osiadł, z jednej strony pozbawiony oparcia jako ostatni w szeregu. Bardzo dawno temu ktoś zdobył się na mało spektakularny wysiłek – zanim w końcu postawiono krzyżyk na tym budynku – załatał kilka największych dziur betonowymi płytami, mając nadzieję, że jakoś to będzie. Wszędzie unosił się taki zapach jak dawniej – sików, pleśni i brudu – tylko jeszcze mocniejszy.

– O rany... – jęczał przybity Kevin, stojąc u stóp schodów. – O rany... – Jego głos rozchodził się po pomieszczeniu, odbijał od ścian pod dziwnymi kątami, więc miało się wrażenie, że ktoś mamrocze gdzieś daleko w ciemności. Po chwili Kevin skrzywił się i zamknął twarz.

Dwie betonowe płyty były całkiem spore, zalane na obrzeżach grudkowatym cementem, co zapewne miało dać poczucie dobrze wykonanego zadania. Trzecia płyta wyglądała jeszcze marniej: kawał betonu jakieś trzy stopy na cztery, położony krzywo, chrzanić cement.

– No dobra – odezwał się Kevin za moimi plecami, ciut za głośno. – Przekonałeś się. Chałupa stoi, wciąż zapuszczona.

Możemy już iść?

Ostrożnie przeszedłem na środek pomieszczenia i czubkiem buta nadepnąłem na róg płyty. Nagromadzony latami brud przytrzymał ją na miejscu, ale gdy stanąłem całym ciężarem, płyta trochę się poruszyła i zakołysała. Gdybym miał coś w rodzaju dźwigni, gdybym znalazł w stosie śmieci jakiś łom albo metalowy pręt, zdołałbym ją podnieść.

– Kev, spróbuj sobie przypomnieć – powiedziałem. – Te zdechłe szczury w załomkach ścian. Czy to było tej zimy, gdy zniknąłem?

Oczy Kevina powoli się rozszerzały. Smugi mdłego szarego światła sprawiły, że jego postać stała się jakby przezroczysta, niczym obraz rzucony na ekran.

– O Jezu, Frank. Przestań.

– Zadaję ci proste pytanie. Po tym, jak się ulotniłem, tak czy nie?

– Frank...



- Tak czy nie?
- To były tylko szczury, Frank. Biegały wszędzie. Widzieliśmy je, mnóstwo razy.

A zatem po nadejściu cieplejszych dni nie pozostałoby nic, co wydawałoby smród na tyle przenikliwy, że ludzie zaczęliby się uskarżać właścicielowi budynku albo pracownikom urzędu miasta.

- I czuliście zapach. Zgnilizny.
- Tak – odezwał się po dłuższej chwili.
- Chodź.

Wziąłem go za ramię – trochę za mocno, ale nie mogłem rozluźnić uścisku – i szybko poprowadziłem przodem na górę, czując, jak gną się i pękają pod nami deski. Gdy znaleźliśmy się na schodach przed domem, gdzie owiało nas zimne, wilgotne powietrze i zmoczył drobny deszcz, w drugiej ręce już miałem telefon i wybierałem numer laboratorium kryminalistycznego.

• • •

Technik, do którego się dodzwoniłem, nie był uszczęśliwiony, że przypadło mu pracować w weekend ani że wyciągają go z miłego, ciepłego siedliska maniaków komputerowych. Powiedziałem gościowi, że według mojej wiedzy pod betonową płytą w suterenie domu numer szesnaście przy Faithful Place ukryto zwłoki – pominąłem szczegóły, na przykład o tym, jak długo tam leżą – że jest mi potrzebna ekipa techników i paru mundurowych i że będę, a może nie będę na miejscu, gdy się tam pojawią. Technik wykręcał się, mówiąc o nakazie rewizji, aż poinformowałem go, że ewentualny podejrzany wtargnął na ten teren nielegalnie, więc respektowanie prawa prywatności nie ma tu zastosowania, no i że – gość nadal wyrzekał – budynek był obiektem powszechnego użytku przez co najmniej trzydzieści lat, a zatem może być potraktowany jako de facto miejsce publiczne zgodnie z odwiecznym prawem władania nieruchomością, wobec tego nakaz jest w tej sytuacji niepotrzebny. Nie miałem pewności, czy moje argumenty przekonałyby sąd – tę kwestię mogłem

odłożyć na później – natomiast zamknęły usta technikowi, którego zapisałem sobie w pamięci jako nieużytego fiuta, tak na przyszłość.

Czekając razem z Kevinem na przyjazd technika i jego kumpli, ulokowałem się na schodach chałupy studentów, pod jedenastym, która znajdowała się na tyle blisko, że stanowiła dobry punkt obserwacyjny, i na tyle daleko, że przy odrobinie szczęścia moja osoba mogła nie zostać skojarzona z tym, co wkrótce miało się tu dzieć. Jeśli wszystko pójdzie po mojej myśli, mieszkańcy Faithful Place potraktują mnie jak swojaka, który wrócił do domu, a nie jak gliniarza.

Zapaliłem papierosa i poczęstowałem Kevina, ale pokręcił głową.

- Co tu robimy? – zapytał.
- Trzymamy się na uboczu.
- Nie powinieneś tam być?
- Technicy są dużymi chłopcami – odrzekłem. – I dziewczynkami. Zrobią, co do nich należy, bez mojego dozoru.

Kevin wciąż nie był przekonany.

- Może należało... no wiesz... sprawdzić, czy tam w ogóle coś jest, zanim wezwaliśmy policję?

O dziwo, i mnie zaświtała już ta myśl. Całą siłą woli powstrzymałem się, żeby nie podnieść tej płyty, choćby własnymi rękami w razie potrzeby. Nie urwałem jednak Kevinowi głowy.

- Materiał dowodowy – wyjaśniłem. – Technicy mają odpowiedni sprzęt, w przeciwieństwie do nas. Tylko tego brakowało, żebyśmy schrzaniili im robotę. Zakładając, że coś tam jest.

Kevin przechylił się na bok, żeby obejrzeć siedzenie swoich spodni: schody były mokre, a on wciąż miał na sobie porządne ubranie, w którym poprzedniego dnia poszedł do pracy.

- Przez telefon rozmawiałeś dość stanowczo.
- Chciałem, żeby przyjechali. Dzisiaj, a nie któregoś dnia w następnym tygodniu, gdy zachce im się spędzić popołudnie na powietrzu.

Kątem oka zobaczyłem, że Kevin zerka na mnie z ukosa, zdeorientowany i trochę nieufny. Potem już siedział w milczeniu, ze

spuszczoną głową – co mi odpowiadało – strzepując ze spodni kurz i nitki pajęczyny. Ta praca wymaga cierpliwości, a ja podobno mam ten dar. Mimo to czas mi się dłużył i czułem, że lada chwila wybiorę się do laboratorium, złapię tego technika za zwiotczone jaja i odciągnę go od World of Warcraft.

Shay wyszedł przed dom, dłubiąc w zębach, i wolnym krokiem ruszył w naszą stronę.

– Coś się dzieje? – zapytał.

Kevin już miał się odezwać, ale go uprzedziłem.

– Niewiele.

– Widziałem, jak wchodziłeś do Cullenów.

– Bardzo możliwe.

Shay spojrzał w lewo i w prawo. Zauważyłem, że zwrócił uwagę na drzwi domu pod szesnastym, wciąż półotwarte i kiwające się na zawiasie.

– Czekasz na coś?

– Zostań tu – uśmiechnąłem się szeroko i poklepałem miejsce koło siebie – to może się dowiesz.

Shay prychnął, ale po chwili wszedł po schodach i usiadł na górnym stopniu, z nogami przy mojej twarzy.

– Mama cię szuka – powiedział do Kevin.

Kevin jęknął. Shay roześmiał się i postawił kołnierz, chroniąc się przed zimnem.

Wtedy usłyszałem tarcie opon o bruk za rogiem. Zapaliłem następnego papierosa i rozparłem się na schodach, starając się zachować anonimowość i upodobnić do lekko podejrzanego osobnika – kochany Shay znacznie mi w tym pomógł samą swoją obecnością. Okazało się, że te zabiegi były zbędne: dwaj mundurowi wyskoczyli z radiowozu, trzech chłopaków z laboratorium wypadło z furgonetki – żadnego z nich nie znałem.

– Jezu – szepnął ze skrzepowaniem Kevin. – Ale ich się zjechało! Czy tak zawsze...?

– Tylu to mniej więcej minimum. Potem mogą wezwać posiłki,

zależy od sytuacji.

Shay gwizdnął przeciągle, z udawanym podziwem.

Dawno nie przyglądałem się akcji prowadzonej na miejscu przestępstwa, znajdując się za taśmą jak tajniak albo cywil. Zapomniałem, jak wygląda machina wprawiona w ruch. Na widok techników, od stóp do głów w bieli, z ciężkimi walizkami umożliwiającymi dokonywanie groźnych sztuczek, błyskawicznie zakładających maski, gdy wchodzili po schodach pod szesnastym i znikali w środku, włos mi się zjeżył na karku jak psu. Shay zanucił cicho pod nosem:

– *Three big knocks came knocking at the door, weela weela waile; two policemen and a Special Branch man, down by the River Saille\*...*

\* „Trzech policjantów waliło do drzwi, *weela weela waile*; jeden tajniak i dwaj mundurowi, tuż nad rzeką Saille” (z tradycyjnej piosenki irlandzkiej).

Mundurowi otoczyli teren taśmą i zanim zdążyli przywiązać ją do balustrady, ludzie już wyczuli krew w powietrzu i ściągali, żeby jej posmakować. Staruszki w lokówkach i chustkach wychynęły z domów i stanęły w grupkach, wymieniając uwagi i snując podejrzenia („Jakaś dziewczyna urodziła dziecko i zostawiła tam”, „Jezusie przenajświętszy, coś strasznego! Zaraz, zaraz, Fiona Molloy sporo ostatnio przytyła. Myślisz, że...”). Mężczyznom nagle zachciało się wyjść na dwór na papierosa i zobaczyć, jaka jest pogoda; małoletnie matki z dziećmi w wózkach i krostowate chłopaczki przystanęły, opierając się o mur zamykający ulicę i udając brak zainteresowania. Kilkoro ogolonych na tyso dzieciaków śmignęło tam i z powrotem na deskorolkach, gapiąc się z otwartymi ustami na dom pod szesnastym, aż któryś najechał na Sallie Hearne i dostał od niej klapsa. Państwo Daly stali na schodach przed swoim domem; pan Daly ręką zagradzał drogę żonie. Nieco spięty patrzyłem na to wszystko. Źle się czuję, gdy nie wiem, ilu ludzi znajduje się koło mnie.

Mieszkańcy Liberties zawsze karmili się plotkami jak wygłodniałe piranie. W Dalkey, jeśli policja odważyłaby się pojawić na miejscu przestępstwa bez wcześniejszych ustaleń, nikt nie okazałby cieka-

wości, uznając, że to prostackie. Jakaś śmiała istota być może poczułaby nagłą potrzebę przycięcia kwiatów w ogrodzie od frontu, by potem podzielić się zasłyszаныmi wiadomościami ze znajomymi przy filiżance ziołowej herbaty, ale zazwyczaj wiedzę o tym, co się wydarzyło, czerpano z gazety dostarczonej następnego ranka. Natomiast na Faithful Place udawano się prosto do źródła informacji. Stara pani Nolan, mocno trzymając za rękaw jednego z mundurowych, wyglądała tak, jakby żądała wyczerpujących wyjaśnień. Mina funkcjonariusza dowodziła, że szkolenie zasadnicze nie przygotowało go na tego rodzaju sytuacji.

- Francis – odezwał się Kevin – tam prawdopodobnie nic nie ma.
- Możliwe.
- Serio. Pewnie mi się zdawało. Czy jest już za późno, żeby...
- Co ci się zdawało? – spytał Shay.
- Nic – odparłem.
- Kev.
- Nic. Przecież mówię. Pewnie mi się zdawało...
- Czego oni szukają?
- Moich jaj – rzuciłem w stronę Shaya.
- Mam nadzieję, że zabrali mikroskop.
- Jasna cholera – jęknął Kev, pocierając czoło i wpatrując się w policjantów. – Ta zabawa przestała mi się podobać, chłopaki. Powinienem był...
- Uwaga – nagle powiedział Shay. – Mama.

Wszyscy trzej błyskawicznie przyłgnęliśmy do schodów, idealnie zsynchronizowani, opuszczając głowy dużo poniżej linii tłumu. Wśród gapiów mignęła mi mama: stała na schodach przed naszym domem, z rękami założonymi pod biustem, wodząc przenikliwym wzrokiem po ulicy, jakby dobrze wiedziała, że ponoszę odpowiedzialność za całe zamieszanie i jeszcze jej za to zapłacę. Ojciec stał z tyłu, ćmiąc papierosa i obserwując wydarzenia z kamienną twarzą.

Chrobot wewnątrz domu. Jeden z techników wyszedł na dwór i wskazał kciukiem za siebie, z miną ważniaka mówiąc coś do mun-

durowych, którzy zarzeli śmiechem. Otworzył kluczykiem furgonetkę, pogrzebał w środku i z łomem w ręku wbiegł z powrotem do domu.

- Jeśli tego użyje – zauważył Shay – chałupa zwali mu się na łeb. Kevin wciąż się wiercił, jakby schody uwierały go w tyłek.
- Co będzie, gdy nic nie znajdą?
- Nasz Francis trafi do czarnej księgi – odrzekł Shay. – Za marnowanie czasu tych ludzi. Przykra sprawa, prawda?
- Dzięki za troskę – powiedziałem. – Poradzę sobie.
- O tak. Jak zawsze. Czego oni szukają?
- Idź i zapytaj.

Kudłaty student w podkoszulku zespołu Limp Bizkit wyszedł z domu pod jedenastym, masując sobie głowę z miną człowieka na ciężkim kacu.

- Co jest grane? – zapytał.
  - Wracaj do mieszkania.
  - To nasze schody.
- Pokazałem mu legitymację.
- No dobra. – Powlókł się z powrotem, przygnieciony niesprawiedliwością tego świata.
  - Pięknie. Zastrasz go odznaką – mruknął Shay. Wiedziałem, że powiedział to odruchowo, bo jego zmrużone w zapadającym zmierzchu oczy spoczywały na domu pod szesnastym.

Głuchy grzmot podobny do wystrzału armatniego rozniósł się echem po ulicy, odbił od domów i rozszedł po Liberties. Na pewno upadła ta betonowa płyta. Norą wstrząsnął dreszcz i pisnęła nerwowo; Sallie Hearne zacisnęła kołnierz swetra wokół szyi i się przeżegnała.

Wtedy poczułem drżenie powietrza, prąd elektryczny wypływający z bebeczków domu pod szesnastym – głosy techników przybrały na sile i ucichły, mundurowi z zaciekawieniem zwrócili głowy, tłum napierał, nad dachami gęstniały chmury.

Kevin mówił coś za moimi plecami, wymieniając moje imię. Uprzytomniłem sobie, że wszyscy stoimy, że jego ręka leży na moim

ramieniu.

– Odczep się – burknąłem.

– Frank...

Wewnątrz domu wydano polecenie, ostrym, szczekliwym tonem. Już mi było wszystko jedno, kto się dowie, że jestem gliną.

– Zostańcie tu – powiedziałem.

Policjant, który bronił przejścia za taśmę, tkwiąc przy balustradzie, był pucołowaty i miał minę nadętej ciotuni.

– Idź stąd, synu. Tu nie ma nic do oglądania – odezwał się z silnym wiejskim akcentem.

Pokazałem mu legitymację, którą przeczytał, poruszając ustami. Czyjeś kroki po schodach w domu, twarz przemykająca na tle okna na podeście. Gdzieś krzyk pana Daly'ego, przeciągły, z oddali, jakby głos dolatywał przez długą metalową rurę.

– To należy do tajniaka – oświadczył, oddając mi legitymację. – Nie mówiono mi, że pojawi się tu tajniak.

– Teraz już wiesz.

– Muszę się porozumieć z oficerem śledczym. Może jest nim mój sierżant, a może któryś chłopak z wydziału zabójstw, to zależy od...

– Złaż mi z drogi.

Usta mu się ściągnęły.

– Po co ten ton? Poczekaj tam, gdzie stałeś, aż pozwoli ci...

– Złaż mi z drogi, bo policzę ci zęby.

Oczy wyszły mu na wierzch, ale byłem przekonujący i się odsunął. Nie przestawał grozić złożeniem meldunku, gdy wbiegłem na schody, przeskakując po trzy stopnie, i przepchnąłem się w drzwiach obok jego zdumionego kolegi.

Można się uśmieć: w głębi duszy nawet przez sekundę nie przypuszczałem, że coś znajdą. Prześiąknięty cynizmem i cwaniactwem – którymi sprytnie się wykazywałem przed żółtodziobami, puszczać gadkę, jak to świat zawsze jest bardziej brutalny, niż zakładamy – nigdy nie sądziłem, że wytnie mi taki numer; ani gdy otwierałem tę walizkę, ani gdy dotknąłem rozchwianej betonowej płyty w mrocznej

suterenie, ani gdy poczułem prąd elektryczny w wieczornym powietrzu. W głębi duszy, głębiej niż pokłady wiedzy zdobytej przedtem lub potem, wciąż wierzyłem Rosie. Wierzyłem jej nieustannie, również wtedy, gdy schodziłem rozpadającymi się schodami do sutereny, wierzyłem jej, widząc krąg twarzy w maskach, które zwracały się do góry, ku mnie, w oślepiającym białym świetle lamp, wierzyłem jej, widząc betonową płytę, wyciągniętą i postawioną pod dziwnym kątem wśród kabli i łomów, i czując intensywny smród wydobywający się z ziemi, który świadczył o tym, że stało się coś potwornie złego. Wierzyłem jej nawet wtedy, gdy wepchnąłem się między przykucniętych techników i zobaczyłem dół o nierównych brzegach, ciemną taflę splątanych włosów, strzępy czegoś, co mogło być dzinsami, i gładkie brązowe kości z rysami po małych zębach. Dostrzegłem delikatnie wygięty szkielet ręki i wiedziałem, że gdy znajdą paznokcie, gdzieś w warstwach martwych owadów, odchodów zwierząt i zgniętego szlamu, wskazujący palec prawej ręki będzie obgryziony do żywego.

Szczęki zacisnęły mi się tak mocno, że byłem pewny, iż złamią mi się zęby. To nic; chciałem poczuć, jak pękają. Postać w dole leżała zwinięta w kłębek jak śpiące dziecko, z głową wtuloną w ramiona. Może dlatego nie postradałem zmysłów. Usłyszałem głos Rosie: „Francis”, wyraźny i zdumiony, przy moim uchu, gdy kochaliśmy się pierwszy raz.

Ktoś mruknął o ryzyku zatrucia i przyłożono mi do twarzy maskę. Cofnąłem się, mocno przyciskając nadgarstek do ust. Pęknięcia w stropie latały mi przed oczami jak paski na ekranie zepsutego telewizora. Chyba usłyszałem, jak z moich ust wyrwało się ciche: „O cholera”.

– W porządku? – zapytał jeden z techników.

Stał obok mnie, o wiele za blisko. Jego pytanie zabrzmiało tak, jakby zadał je po raz kolejny.

– Aha – bąknąłem.

– W pierwszej chwili zwała z nóg, co? – wtrącił z pewnością



siebie ktoś z ekipy. – Widzieliśmy o wiele gorsze rzeczy.

- To ty nas wezwalesz? – zapytał technik.
- Tak. Frank Mackey, jestem detektywem.
- Od zabójstw?

Dopiero po chwili rozumiałem, o co mu chodzi. Moje myśli stanęły w miejscu.

- Nie – odparłem.

Dziwnie na mnie popatrzył. Maniak komputerowy marnej postury, o połowę młodszy ode mnie i o połowę niższy – przypuszczalnie był to ten sam nieużyty fiut, z którym rozmawiałem wcześniej.

– Zadzwoniliśmy do wydziału zabójstw – oznajmił. – No i do lekarza sądowego.

– Niemal pewne, że to ich działka – dodał wesoło jego pomagier.  
– Sama tam nie weszła.

Trzymał w ręku torebkę z materiałem dowodowym. Gdyby któryś z nich dotknął jej w mojej obecności, bez wątpienia stłukłbym go na miazgę.

– Słusznie – powiedziałem. – Na pewno zaraz przyjadą. Idę pomóc mundurowym.

Wchodząc na schody, słyszałem, że maniak komputerowy powiedział coś o tutejszych mieszkańcach, którzy nie mogą znaleźć sobie miejsca, i wywołał tym chichot pozostałych. Śmiali się jak banda nastolatków; przez ułamek sekundy przysiągłbym, że słyszę Shaya z kolegami, którzy palą w suterenie jointy i opowiadają makabryczne dowcipy, że w otwartych drzwiach korytarza widzę rzeczywistość, w której się urodziłem, i że zdarzenia wokół mnie nie toczą się naprawdę.

• • •

Krąg zgromadzonych na dworze i wyciągających szyje ludzi zgęstniał i zacieśnił się, zaledwie o krok od mojego znajomego psa stróżującego. Jego kolega opuścił posterunek w drzwiach i stanął razem z nim przy balustradzie. Chmury zawisły jeszcze niżej nad

dachami, a światło przybrało złowieszczo siny, fioletowawobiały odcień.

Coś się poruszyło w ostatnim rzędzie gapiów. Pan Daly przeciskał się do przodu, wyciągniętą ręką rozgarniając ludzi, tak jakby w ogóle ich nie widział, i wbijając we mnie wzrok.

– Mackey... – Chciał krzyknąć, ale załamał mu się głos i z gardła wydobył się głuchy charkot. – Co tam jest?

– Ja kontroluję tu sytuację – oznajmił opryskliwie wsiok. – Proszę się cofnąć.

Pragnąłem tylko jednego: żeby któryś z nich, wszystko jedno który, spróbował mnie uderzyć.

– Niczego nie kontrolujesz, nawet swojego fiuta obiema rękami – powiedziałem mundurowemu prosto w puciołowatą twarz i gdy spuścił wzrok, odepchnąłem go na bok i podszedłem do pana Daly'ego.

Ledwie wydostałem się za taśmę, chwycił mnie za kołnierz i przyciągnął do siebie tak blisko, że niemal zetknęliśmy się brodami. Rozjarzył się we mnie czerwony ognik czegoś w rodzaju radości. Pan Daly miał więcej ikry niż mundurowy i nie ustąpiłby jakiemuś tam Mackeyowi, a ja miałem przewagę nad oboma.

– Co tam jest? Czego się dowiedziałeś? – zaskrzeczał poruszony. Rozległy się małpie wrzaski dresiarzy.

Donośnym głosem, tak żeby dużo osób mnie słyszało, zwróciłem mu uwagę:

– Trzymaj ręce przy sobie, staruszk.

– Ani się waż, ty gnojku, nie waż się mówić mi... Czy tam jest moja Rosie? Jest tam?

– Moja Rosie, staruszk. Moja dziewczyna. Moja. Powtarzam ostatni raz: ręce przy sobie.

– To twoja wina, bezecny cyganie. Jeżeli ona tam jest, to przez ciebie. – Napierał na mnie czołem i z taką siłą ciągnął za kołnierz, że koszula wpijała mi się w szyję.

Dresiarze zaczęli skandować:

– Dołóż mu! Dołóż mu!

Mocno chwyciłem go za nadgarstek i już miałem wykręcić mu rękę, gdy poczułem zapach jego potu, jego oddechu: gorący, ostry, zwierzęcy zapach, który znałem na pamięć. Facet był tak przerażony, że prawie odchodził od zmysłów. W tej samej chwili stanęła mi przed oczami Holly.

Czerwone ogniki zgasły. Poczułem, jakby coś we mnie pękło, głęboko pod żebrami.

– Panie Daly – odezwałem się jak najłagodniej – gdy tylko będą coś wiedzieli, przyjdą do pana. A teraz powinien pan iść do domu.

Policjanci starali się oderwać go ode mnie, głośno pokrzykując po wsiowemu. Obaj nie zwracaliśmy na nich uwagi. Wokół dzikich oczu pana Daly'ego pojawiły się białe obwódki.

– Czy tam jest moja Rosie?!

Wbiłem kciuk w nerw na jego nadgarstku. Pan Daly stracił na chwilę oddech i puścił mój kołnierz, ale zanim mundurowy pomagier zdążył go odciągnąć, przytknął twarz do mojej i z bliska jak kochanek syknął mi w ucho:

– Twoja wina.

Ni stąd, ni zowąd pojawiła się pani Daly, zawodząc coś, i rzuciła się ku mężowi i policjantowi. Pan Daly przestał się szamotać i z pomocą żony został poprowadzony w stronę trajkoczącego tłumu.

Nie wiedzieć dlaczego, wsiok uczeplił się pleców mojej kurtki. Zrzuciłem go z siebie silnym uderzeniem łokcia. Oparłem się o balustradę, poprawiłem koszulę i pomasaowałem kark. Szybko wracał mi normalny oddech.

– Na tym się nie skończy, synu – postraszył mnie wsiok. Jego twarz przybrała niezdrowy fioletowy odcień. – Złożę meldunek, masz to jak w banku.

– Napisz wyraźnie: Frank Mackey. E-Y na końcu. Powiedz im, żeby odłożyli na kupkę.

Mundurowy prychnął z oburzeniem jak stara panna i poszedł wyładować się na swoim kompanie, krzycząc, żeby natychmiast wracał, i

wymachując rękami. Mignęła mi Mandy, która trzymała młodszą córkę na biodrze i starszą za rękę – trzy pary okrągłych ze zdumienia oczu. Państwo Daly, obejmując się ramionami, weszli chwiejnym krokiem po schodach domu pod trzecim i zniknęli za drzwiami. Nora, z ręką na ustach, oparła się o ścianę przy wejściu.

Poszedłem z powrotem na schody domu pod jedenastym, uznając, że jest to miejsce równie dobre jak każde inne. Shay zapalał kolejnego papierosa. Kevin miał taką minę, jakby było mu niedobrze.

– Znaleźli coś, tak? – wykrztusił.

Lada moment należało się spodziewać lekarza sądowego i furgonetki z kostnicy.

– Znaleźli – odrzekłem.

– Czy...? – Zaległo milczenie. – Co tam jest?

Wyrzebałem swoje papierosy. Shay podał mi ogień, co można było potraktować jako gest współczucia. Po chwili Kevin zapytał:

– Jak się czujesz?

– Znakomicie.

Przez długi czas żaden z nas się nie odzywał. Kevin wziął ode mnie papierosa; ludzie powoli się uspokoili, zaczęli przerzucać się opowieściami o brutalności policji i zastanawiać, czy są podstawy, żeby pan Daly wniósł skargę. Niektórzy rozmawiali półgłosem i widziałem spojrzenia rzucane przez ramię w moją stronę. Odpowiadałem na nie bez mrugnięcia, aż było ich tyle, że nie nadążałem.

– Mieście się na bacności – powiedział cicho Shay, podnosząc wzrok ku zachmurzonemu niebu. – Stary Mackey wrócił do miasta.

## 6

Cooper, lekarz sądowy, zrzędlawy gość z kompleksem Pana Boga, dotarł na miejsce najszybciej. Zajechał swoim dużym czarnym mercedesem, popatrzył surowo ponad głowami tłumu, aż wody rozstały się przed nim, i wkroczył do domu, wkładając rękawiczki i nie zwracając uwagi na coraz głośniejsze pomruki za plecami. Kilku dresiarzy okrążyło jego samochód, ale wsiok krzyknął do nich coś niezrozumiałego i ulotnili się z kamiennymi twarzami, udając, że ich to nie obeszło. Faithful Place była przepelniona i skupiona, wrzała gwarem, jakby tylko czekano na właściwy moment, by wszcząć zamieszki.

Faceci z kostnicy przybyli w następnej kolejności. Wysiedli z brudnej białej furgonetki i poszli w stronę domu, niedbale niosąc niebieskie płócienne nosze, i wtedy, tak po prostu, zmieniły się nastroje gapiów. Zapaliła się zbiorowa żarówka: to, co widzieli, nie tylko stanowiło lepszą rozrywkę niż wszelkie reality show nadawane niby na żywo, ale działo się naprawdę: prędzej czy później ktoś rzeczywiście zostanie wyniesiony na tych noszach. Już nie przestępowano z nogi na nogę, po ulicy niósł się cichy szmer, jakby lekki podmuch wiatru, coraz słabszy i słabszy, aż zapadła cisza. I wtedy, jak zwykle z doskonałym wyczuciem czasu, pojawili się chłopcy z wydziału zabójstw.

Jedną z wielu różnic między wydziałem zabójstw a wydziałem tajnych operacji jest finezja naszego działania. Tajniacy są w tym jeszcze lepsi, niż się powszechnie sądzi, i gdy chcemy się pośmiać, chętnie się przyglądamy, jak chłopcy z zabójstw celebryją swoje „wejścia”. Ci dwaj zamasyście wyjechali z za rogu nieoznakowanym

srebrnym bmw, które nie potrzebowało oznakowania, ostro zahamowali, stanęli pod dramatycznym kątem, trzasnęli równocześnie drzwiami – najprawdopodobniej efekt ćwiczeń – i rozbujanym krokiem pomaszzerowali w stronę domu pod szesnastym, słysząc w głowie muzykę z *Hawaii Five-O* rozbrzmiewającą na pełny regulator, w systemie surround.

Jeden był blondynem o szczurzej twarzy, który jeszcze nie opanovał kroku i z trudem nadażał. Drugi był w moim wieku, niósł lśniącą skórzaną teczkę, lekko nią machając, a jego rozkołysany chód miał w zamyśle stanowić uzupełnienie odłotowego garnituru. Kawaleria przybyła – pod wodzą Rewelki Kennedy'ego.

Znamy się z Rewelką ze szkoły policyjnej. Był moim najbliższym kolegą na kursie, co wcale nie znaczy, że się lubiliśmy. Większość uczniów pochodziła z miejscowości, o których nigdy nie słyszałem i wołałem nie słyszeć; za cele, na polu zawodowym, stawiali sobie noszenie uniformu, którego częścią nie były gumki, i spotkanie dziewczyn, z którymi nie byli spokrewnieni. Zarówno Rewelka, jak i ja pochodziliśmy z Dublina i obaj mieliśmy dalekosiężne plany, w których w ogóle nie figurowały mundury. Wypatrzyliśmy się już pierwszego dnia i przez następne trzy lata staraliśmy się dołożyć jeden drugiemu przy każdej sposobności, czy to na testach sprawnościowych, czy podczas gry w snookera.

Rewelka tak naprawdę ma na imię Mick. Przezwisko wymyśliłem ja i uważam, że okazałem pobłażliwość. Nasz Mick lubił wygrywać; ja też lubię, ale umiem to robić w sposób wyrafinowany. Kennedy miał brzydki zwyczaj, gdy zajmował pierwsze miejsce w czymkolwiek – wyrzucał pięść w górę i mamrotał prawie pod nosem, choć nie całkiem: „Gol!”. Znosiłem to przez parę tygodni, a potem zacząłem robić sobie z niego jaja: „Zasłałeś łóżko, Mikey. Sukces, prawda?”, „Fantastyczna sprawa, co nie? Bez dwóch zdań, rewelka”, „Zdobyłeś bramkę?”, „Udał ci się wślizg od tyłu w dogrywce?”. Z wsiokami dogadywałem się lepiej niż on; wkrótce wszyscy mówili do niego „Rewelka”, nie zawsze miłym tonem. Nie był zadowolony, ale dobrze

to ukrywał. Jak już powiedziałem, mogłem wybrać coś gorszego i on o tym wiedział. Zastanawiałem się nad „Michelle”.

Po powrocie do wielkiego, złego świata nie staraliśmy się podtrzymywać znajomości, ale nasze przypadkowe spotkania kończyły się pójściem na drinka, głównie po to, żeby się przekonać, który z nas jest górą. Rewelka został detektywem pięć miesięcy przede mną, z kolei ja przestałem być dyspozycyjny i zacząłem pracować w wydziale półtora roku przed nim, natomiast on pierwszy się ożenił, ale i pierwszy rozwiódł. Ogólnie rzecz biorąc, bilans był wyrównany. Widok młodego blondyna mnie nie zaskoczył. Podczas gdy w wydziale zabójstw większość detektywów pracuje z partnerem, Rewelka oczywiście wolał mieć pacholka.

Gość ma prawie sześć stóp wzrostu, jest odrobinę wyższy ode mnie, ale trzyma się tak, jakby był niski: klatka piersiowa wypchnięta do przodu, łopatki ściągnięte, szyja wyprostowana. Ma dość ciemne włosy, wąskie ramiona, silnie umięśnioną szczękę i dryg do przyciągania kobiet, które w dorosłym życiu chcą być atrybutem statusu społecznego i nie mają takich nóg, żeby usidlić zawodnika rugby. Mogę się założyć, że jego rodzice podczas jedzenia używają serwetek z materiału, a nie z papieru i że prędzej by głodowali, niż mieszkali bez firanek. Rewelka pilnuje się, żeby mówić z akcentem wyższej klasy średniej, ale zdradza go sposób noszenia garnituru.

Gdy wszedł na schody domu pod szesnastym, odwrócił się i objął szybkim spojrzeniem Faithful Place, mierząc temperaturę sprawy, z którą ma tu do czynienia. Oczywiście spostrzegł mnie, ale jego wzrok prześlizgnął się jak po obcej osobie. Jedną z wielu radości bycia tajniakiem polega na tym, że policjanci z innych wydziałów nigdy nie mają całkowitej pewności, czy jesteś na służbie, czy na przykład rzeczywiście spotykasz się na mieście z kumplami, więc na wszelki wypadek zostawiają cię w spokoju. Jeśli doszłoby do pomyłki i zostałbyś zdemaskowany, opieprz, który dostaliby w pracy, byłby niczym w porównaniu z obrabianiem im tyłka w pubie, które musieliby znosić do końca życia. Gdy Rewelka zniknął razem ze swoim

przydupasem w ciemnym korytarzu, powiedziałem:

- Zaczekajcie tutaj.
  - Czy ja wyglądam jak twój sługus? – odezwał się Shay.
  - Poniekąd. Niedługo wrócę.
  - Przestań – powiedział Kevin do Shaya, nie podnosząc wzroku.
- On pracuje.
- Gada jak pieprzony gliniarz.
  - No jasne. – Kevin w końcu stracił cierpliwość; to był dla niego długi dzień, jeśli chodzi o przebywanie z braćmi. – Co za spostrzegawczość, do kurwy nędzy. – Zamaszyście wstał ze schodów, roze-pchnął gromadkę Hearne'ów, poszedł ulicą do końca i zniknął za rogiem. Shay wzruszył ramionami. Zostawiłem go i poszedłem po walizkę.

Kevena nie było w polu widzenia, mój samochód stał nietknięty, a gdy wróciłem, Shay też wyparował, udając się w sobie wiadomym kierunku. Mama wspinała się na palce przy naszych drzwiach, wymachując do mnie ręką i wydając ponagląjące krzyki, jak to ona. Udałem, że jej nie widzę.

Na schodach domu pod szesnastym Rewelka prowadził wielce niezadowolającą, jak można było sądzić, rozmowę z moim ulubieńcem wsiokiem. Wsadziłem walizkę pod pachę i wszedłem między nich.

– Cześć, Rewelka – przywitałem się, klepiąc go po plecach. – Miło cię widzieć.

– Cześć, Frank! – Potrząsnął moją dłoń obiema rękami, jak prawdziwy macho. – Kopę lat! Jak słyszę, znalazłeś się tu przede mną.

– Tak się złożyło – powiedziałem, posyłając mundurowemu szeroki uśmiech. – Chciałem tylko zerknąć. Wygląda na to, że po znajomości dowiedziałem się czegoś.

– Chryste Panie, nie drocz się ze mną. To zmurzała sprawa. Jeśli masz coś, co naprowadzi nas na trop, będę twoim dłużnikiem.

– To lubię. – Odprowadziłem go na bok, zostawiając wsioka z otwartymi ustami i nastawionymi uszami. – Mam dla ciebie praw-



dopodobną tożsamość ofiary. Według mojej wiedzy to może być niejaka Rose Daly, która mieszkała pod trzecim i zniknęła jakiś czas temu.

Rewelka gwizdnął i uniósł brwi.

– Super. Masz opis?

– Dziewiętnaście lat, pięć stóp siedem cali wzrostu, krągła sylwetka, średnia waga, długie, kręcone, rude włosy, zielone oczy. Trudno mi powiedzieć z całkowitą pewnością, w co była ubrana, gdy widziano ją po raz ostatni, ale najprawdopodobniej miała dżinsową kurtkę i brąznoczerwone martensy z czternastoma dziurkami. – Rosie praktycznie ich nie zdejmowała. – Zgadza się z tym, co znaleźliście?

– Niewykluczone – rzekł ostrożnie.

– Daj spokój. Stać cię na więcej.

Wzdychając, przecesał ręką włosy i lekkim klepinięciem doprowadził fryzurę do porządku.

– Zdaniem Coopera jest to młoda dorosła kobieta, leżała tam może pięć lat, a może pięćdziesiąt. Ten lekarz nie powie ci więcej, dopóki nie położy jej na stole. Technicy znaleźli jakiś niezidentyfikowany szajs, guzik od dżinsów i garść metalowych kółek, możliwe, że to dziurki tych martensów. Włosy miała może i rude, trudno stwierdzić. Ciemna płatanina nasiąknięta Bóg wie czym.

– Co było przyczyną śmierci? – zapytałem.

– Chciałbym wiedzieć. Ten cholerny Cooper... znasz go? Potrafi być upierdliwy, gdy kogoś nie lubi, a mnie jakoś nigdy nie polubił. Niczego nie chce potwierdzić oprócz oczywistego faktu, że dziewczyna nie żyje. Jak dla mnie wygląda to tak, że ktoś przywalił jej parę razy w głowę cegłą, ma wgniecioną czaszkę, ale co taki zwykły detektyw jak ja może wiedzieć? Cooper głądził coś o uszkodzeniach pośmiertnych i złamaniach uciskowych... – Nagle urwał, rozejrzał się dokoła i wbił we mnie wzrok. – Skąd takie zainteresowanie? Mam nadzieję, że to nie jest jakaś informatorka, która dla ciebie wpakowała się w gówno.

Nie mogę się nadziwić, że Rewelka tak rzadko chodzi z obitą twarzą.

– Moi informatorzy nie dostają cegłą w głowę. Nigdy. Wiodą długie, udane, szczęśliwe życie i umierają ze starości.

– Przystopuj – powiedział Rewelka, unosząc rękę. – Przepraszam, że żyję. Skoro nie jest jedną z twoich, dlaczego tak się przejmujesz jej śmiercią? A poza tym... wiem, że darowanemu koniowi nie patrzy się w zęby, ale jak wpadłeś na ten ślad?

Powiedziałem mu wszystko, co i tak by gdzieś wygrzebał: młodzięcza miłość, schadzka o północy, porzucony bohater zmyka w świat, zimny i okrutny, walizka, błyskotliwy proces dedukcji. Gdy skończyłem, patrzył na mnie wybałuszonymi oczami, z podziwem niepozabawionym cieniem współczucia, co wcale mi się nie spodobało.

– Cholera – mruknął, dość dobrze podsumowując całą sprawę.

– Aż tak się nie przejmuj, Rewelka. Minęły dwadzieścia dwa lata. Ogień wypalił się dawno temu. Jestem tu tylko dlatego, że moja ukochana siostra rozmawiała ze mną tak, jakby miała zaraz dostać ataku serca, a to zepsułoby mi weekend.

– Mimo to wołałbym nie być na twoim miejscu.

– Zadzwoń, jak będę chciał wypłakać ci się na piersi.

Wzruszył ramionami.

– Tak tylko mówię. Nie wiem, jak to jest na twoim poletku, ale niechętnie opowiadałbym tę historię swojemu nadinspektorowi.

– Mój szef jest bardzo wyrozumiałym człowiekiem. Radzę ci, żebyś był dla mnie miły, Rewelka. Przyniosłem ci prezenty gwiazdkowe.

Podąłem mu walizkę i koperty z Papilarną Fifi – on załatwi sprawę szybciej niż ja i będzie mniej fatygi, poza tym pan Daly chyba już przestał być dla mnie bezwzględny priorytetem. Rewelka spojrzał na to wszystko z taką miną, jakby miał się czymś zarazić, i powiedział:

– Co zamierzałeś z tym zrobić? Jeśli wolno zapytać.

– Pokazać kilku znajomym w spelunkach. Żeby się zorientować,

z czym możemy mieć do czynienia.

Rewelka uniósł brew, ale się nie odezwał. Przeglądał koperty, czytając moje oznaczenia: Matthew Daly, Theresa Daly, Nora Daly.

– Stawiasz na rodzinę?

– Najbliżsi i najukochańsi – powiedziałem obojętnym tonem. –

Od czegoś trzeba zacząć.

Rewelka spojrział w niebo. Nadszedł ciemny wieczór i zaczął padać deszcz, wielkimi kroplami, na poważnie. Tłum się przerzedzał, ludzie wracali do swoich zajęć, oprócz grupy zatwardziałców: tych w bluzach z kapturem i tych w chustkach na głowach.

– Chcę tu dokończyć parę rzeczy i wstępnie pogawędzić z rodziną tej dziewczyny. Potem pójdziemy na piwo, co? Pogadamy, jak leci. Młody zostanie na posterunku: niech nabiera doświadczenia.

Zza jego pleców, z głębi domu, zaczęły dochodzić inne niż dotąd odgłosy: przeciągłe, zgrzytliwe szuranie, jakieś stęknienie, dudnienie ciężkich butów o deski podłogi. Poruszały się niewyraźne białe sylwetki przykryte to gęstym cieniem, to piekielnym ogniem wydobywającym się z sutereny. Chłopcy z kostnicy wynosili swój łup.

Starzy ludzie gwałtownie wciągnęli powietrze i zrobili znak krzyża, delektując się każdą chwilą. Chłopcy przeszli obok mnie i Rewelki, chowając twarze przed coraz większym deszczem, jeden z nich rzucił przez ramię jakąś cierpką uwagę na temat korków na ulicach. Byli tak blisko, że mógłbym dotknąć worka ze szczątkami. Przypominał niekształtny tobołek, prawie płaski, jakby nic nie zawierał, i taki lekki, że nieśli go bez najmniejszego wysiłku.

Rewelka patrzył, jak wsuwają nosze do furgonetki.

– Wróć za parę minut – powiedział. – Poczekaj tu.

• • •

Poszliśmy do Blackbird, położonego w odległości kilku przecznic; ponieważ znajdował się dość daleko i ściągał wyłącznie mężczyzn, wiadomość jeszcze tam nie dotarła. W tym pubie zostałem po raz pierwszy w życiu obsłużony – miałem wtedy piętnaście lat i za sobą

pierwszy dzień pracy na budowie, gdzie zatrudniłem się dorywczo przy przenoszeniu cegieł. Barman Joe uważał, że jeśli człowiek pracuje jak dorosły, to ma prawo wypić kufel piwa jak dorosły. Za barem stał teraz gość z tupecikiem identycznym z tym, jaki nosił Joe, a kłęby dymu papierosowego tak nasiąkły stęchłą wonią potu i alkoholu, że aż falowały, poza tym prawie nic się tam nie zmieniło: na ścianach te same czarno-białe popękane zdjęcia jakichś drużyn sportowych, te same upstrzone muchami lustra za barem, ta sama skóropodobna tapicerka z wyłazającymi bebechami, kilku leciwych bywalców na swoich zastrzeżonych wysokich stołkach i grupka kolesiów w robociarskich butach, w połowie Polacy, po części zdecydowanie niepełnoletni.

Posadziłem Rewelkę, który zawód ma wypisany na twarzy, przy nierzucającym się w oczy stoliku w kącie, a sam podszedłem do baru. Gdy wróciłem z piwami, zapisywał coś w notesie smukłym markowym piórem – najwyraźniej chłopcy z wydziału zabójstw mieli w pogardzie zwykle długopisy.

– A więc tu dorastałeś – powiedział, zatraskując notes jedną ręką, a drugą biorąc ode mnie szklankę. – Kto by pomyślał?

– Przypuszczałeś, że w rezydencji w Foxrock? – zapytałem z szerokim i zarazem lekko ostrzegawczym uśmiechem.

– Gdzie tam. – Roześmiał się. – Nigdy nie ukrywałeś, że jesteś, hmm, solą ziemi, ale szczegóły trzymałeś w tajemnicy, więc sądziłem, że mieszkałeś w jakimś okropnym blokowisku. Nie przypuszczałem, że wychowałeś się w takim... jak to ująć... barwnym miejscu.

– Można i tak powiedzieć.

– Matthew i Theresa Daly twierdzą, że nie widziano cię tu od tamtej nocy, gdy ty i Rose wyfrunęliście z gniazda.

Wzruszyłem ramionami.

– Koloryt lokalny da się znieść w ograniczonej ilości.

Rewelka zręcznie narysował uśmiechniętą buźkę na pianie piwa.

– A więc? Przyjemnie jest wrócić do domu? Nawet jeśli wyobrażałeś to sobie inaczej?

– Jeżeli jest w tym jakiś plus, a wątpię, to na pewno nie to, co się stało.

Spojrzał na mnie z urazą, jakbym puścił baka w kościele.

– Powinieneś to sobie przedstawić w pozytywnym świetle – usiłował mnie przekonać.

Wbiłem w niego wzrok.

– Mówię poważnie. Nie patrz na negatywy, tylko spróbuj spojrzeć z innej strony i zobaczyć pozytywy. – Wziął podkładkę pod szklanę i obrócił ją, ilustrując swoją myśl.

W innych okolicznościach dałbym mu wyraźnie do zrozumienia, co sędzę o tym poronionym pomysle, ale ponieważ chciałem, żeby coś dla mnie zrobił, trzymałem język za zębami.

– Oświeć mnie – powiedziałem.

Rewelka zburzył uśmiechniętą bużkę jednym dużym łykiem i pogroził mi palcem.

– Wszystko zależy od sposobu postrzegania otoczenia – rzekł, odzyskawszy oddech. – Jeżeli wierzysz, że na tym skorzystasz, to tak będzie. Rozumiesz?

– Nie bardzo. – Rewelka robi się wymowny pod wpływem adrenaliny, tak jak niektórzy rozklejają się pod wpływem ginu. Powinieniem był zamówić jeszcze kieliszek czegoś mocniejszego.

– Najważniejsza jest wiara. Cały sukces tego kraju oparty jest na wierze. Czy nieruchomości w Dublinie rzeczywiście są warte tysiąc funtów za stopę kwadratową powierzchni? Akurat! Ale tyle kosztują, bo ludzie wierzą, że tyle są warte. Ty i ja, Frank, wyprzedziliśmy trend. W latach osiemdziesiątych ten kraj siedział po szyję w gównie, bez żadnych szans, ale my dwaj wierzyliśmy w siebie. I dlatego doszliśmy do czegoś w życiu.

– Ja doszedłem do czegoś, ponieważ jestem dobry w swoim fachu. I, na Boga, spodziewam się, że ty też, kolego, bo chcę, żebyś rozwiązał tę sprawę.

Rewelka spojrzał na mnie tak, jakbyśmy zaraz mieli siłować się na rękę.

– Jestem, kurwa, bardzo dobry w swoim fachu. Cholernie dobry. Wiesz, jaki jest wskaźnik wykrywalności w wydziale zabójstw? Siedemdziesiąt dwa procent. A wiesz, jaki jest mój prywatny wskaźnik?

Umilkł, pozwalając mi pokręcić przecząco głową.

– Osiemdziesiąt sześć procent rozwiązanych spraw, synku. Słownie: osiemdziesiąt sześć. Miałeś szczęście, że na mnie trafiłeś.

Z niechętnym podziwem uśmiechnąłem się i kiwnąłem głową, ustępując mu pola.

– Chyba tak.

– Na pewno tak. – Dopiąwszy swego, Rewelka rozparł się na ławie, po czym skrzywił się i spojrzał ze złością na pękniętą sprężynę.

– Może... – uniosłem szklankę pod światło i zmrużyłem w zadumie oko – może to był szczęśliwy dzień dla nas obu.

– To znaczy? – zapytał stanowczym tonem, nie kryjąc podejrzliwości. Rewelka na tyle mnie zna, że z zasady jest podejrzliwy.

– Zastanów się. Gdy zaczynasz rozpracowywać sprawę, czego chcesz najbardziej?

– Mieć całkowite przyznanie się do winy, poparte zeznaniami świadków i wynikami badań medyczno-sądowych.

– Nie o to mi chodzi. Myślisz konkretnie, a ja chcę, żebyś pomyślał ogólnie. Krótko mówiąc, co jest największym atutem w pracy detektywa? Co jest twoją ulubioną rzeczą na świecie?

– Głupota ludzka. Wystarczy pięć minut z jakimś tępakiem, żeby...

– Informacja! Każda, bez względu na ilość i jakość, zawsze jest dobra. Informacja równa się amunicja. Informacja równa się paliwo. Bez tępaków i tak damy sobie radę, a bez informacji jesteśmy w lesie.

Rewelka pomyślał chwilę, po czym zapytał niepewnie:

– No i?

Rozpostarłem ramiona i uśmiechnąłem się szeroko.

– Odpowiedź na twoje modły, chłopie.

– Kylie w stringach.

– Zawodowe modły. Wszelkie informacje, jakich możesz potrzebować. Wszelkie informacje, jakich sam nigdy nie zdobędziesz, bo nikt stąd nic ci nie powie. Wszystko podane na tacy przez twojego ulubionego obserwatora o wysokich kwalifikacjach. Czyli mnie.

– Bądź tak uprzejmy i zniż się na chwilę do mojego poziomu, Frank. Mów wyraźnie. Czego chcesz?

Pokręciłem głową.

– Nie chodzi o mnie. W tej sytuacji obaj wygrywamy. Jeżeli mamy zobaczyć jej pozytywy, to najlepiej wspólnie.

– Chcesz uczestniczyć w śledztwie.

– Nieważne, czego chcę. Ważne, że będzie to z korzyścią i dla ciebie, i dla mnie, nie wspominając o śledztwie. Obaj chcemy rozwiązać tę sprawę, tak? Czy nie na tym zależy wszystkim najbardziej?

Przez minutę udawał, że się zastanawia. Potem pokręcił głową, powoli, z żalem.

– Nie da rady, kolego. Przykro mi.

Takiej odpowiedzi nie przyjmuję do wiadomości. Rzuciłem mu wyzywające spojrzenie.

– Nie martw się. Nadal będziesz prowadził sprawę. Wynik zapisze się na twój rachunek. W tajnych operacjach nie prowadzimy statystyki wykrywalności.

– Dobrze macie – odrzekł gładko Rewelka, nie dając się złapać na haczyk. Przez te lata nauczył się panować nad swoim ego. – Wiesz, że chciałbym mieć cię w zespole, Frank, ale mój naczelnik nigdy się nie zgodzi.

Naczelnik wydziału zabójstw istotnie nie darzy mnie szczególną sympatią, ale wątpię, żeby Rewelka o tym wiedział. Uniosłem brew i zrobiłem rozbawioną minę.

– Szef nie pozwala ci dobierać sobie ludzi?

– Pozwala, gdy potrafię uzasadnić swój wybór. Daj mi jakiś twardy argument, Frank. Podziel się informacjami, które tak zachwalasz. Czy Rose Daly miała wrogów?

Obaj wiedzieliśmy, że nie znajduję się w położeniu pozwalającym

przypomnieć mu, iż już podzieliłem się całą masą informacji.

– Nic mi o tym nie wiadomo. Choćby z tego powodu nigdy nie przyszło mi do głowy, że ona może nie żyć.

Zrobił niedowierzającą minę.

– Była kretynką?

– Była dużo bystrzejsza, niż ty kiedykolwiek będziesz – powiedziałem przyjemnym tonem: niech sam się domyśli, czy żartuję.

– Była nudziarą?

– Ani trochę.

– Brzydulą?

– Tutejszą ślicznotką. Myślisz, u licha, że ja w ogóle nie mam gustu?

– No to gwarantuję, że miała wrogów. Nudziara albo paskuda może nie zalazłaby nikomu za skórę, a gdy dziewczyna ma rozum, urodę i charakter, to prędzej czy później na pewno kogoś wkurzy. – Spojrzał na mnie z zaciekawieniem, znad piwa. – Różowe okulary nie są w twoim stylu, Frank. Straciłeś głowę dla tej panny, co?

Śliski grunt.

– Pierwsza miłość – powiedziałem, wzruszając ramionami. – Dawno temu. Zapewne ją wyidealizowałem, ale naprawdę była miłą dziewczyną. Nie słyszałem, żeby ktoś miał coś do niej.

– Jej dawni chłopcy z zadrą w sercu? Skłócone dziewczęta?

– Chodziliśmy ze sobą dobrych parę lat. Od szesnastego roku życia. Chyba miała paru chłopaków przede mną, ale to wszystko była dziecinada: trzymanie się za ręce w kinie, rycie imion na ławce szkolnej, rozstanie po trzech tygodniach, bo nie wytrzymało się ciężaru zaangażowania.

– Nazwiska.

Już wyciągnął swoje błyszczące pióro do detektywistycznej roboty. Paru Bogu ducha winnych dupków będzie miało nieproszonego gościa.

– Martin Hearne, znany wówczas jako Bystrzak, teraz może nie zareagować na ksywkę. Mieszkał pod siódmym. Przez chwilę, gdy



mieliśmy jakieś piętnaście lat, uważał się za chłopaka Rosie. Przed nim był koleś o imieniu Colm, chodził z nami do szkoły, aż jego rodzice przeprowadzili się z powrotem na wieś. Kiedy mieliśmy z osiem lat, odpowiedziała na wyzwanie i pocałowała Larry'ego Sweeney'ego ze Smith's Road. Mam poważne wątpliwości, czy któryś z nich wciąż do niej wzdycha.

– Zazdrosne koleżanki?

– Niby o co? Rosie nie była typem *femme fatale*, nie flirtowała z chłopakami innych dziewczyn. Z kolei ja mogę uchodzić za przystojniaka, ale, zakładając, że ktoś w ogóle wiedział o naszym związku, co jest wykluczone, wątpię, czy jakaś dziewczyna załatwiłaby Rosie, żeby dobrać się do takiego ponętnego chłopca.

– Tu się z tobą zgodzę – prychnął Rewelka. – Ale, Frank, na Boga, masz mi pomóc. To, co mówisz, wyciągnąłbym od każdej starej plotkary w promieniu mili. Jeżeli mam przekonać naczelnika, muszę mieć coś ekstra. Podaj mi jakieś motywy albo wyjaw pikantne sekrety ofiary, albo... Otóż to. – Pstryknął palcami, wskazując na mnie. – Opowiedz, co się działo tamtej nocy, gdy mieliście się spotkać. Relacja naoczego świadka. Potem zobaczymy, co da się zrobić.

Innymi słowy, gdzie byłeś wieczorem piętnastego, chłoptysiu. Nie miałem pewności, czy Rewelka naprawdę bierze mnie za głupka, który nie widzi jego podchodów.

– W porządku – zgodziłem się. – Noc z niedzieli na poniedziałek, z piętnastego na szesnastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku. Około wpół do dwunastej wyszedłem ze swojego domu pod ósmym przy Faithful Place i udałem się na koniec ulicy, gdzie umówiłem się z Rose Daly koło północy, zależnie od tego, kiedy zasną nasze rodziny i będziemy mieli sposobność wyjść niezauważenie. Stałem u wylotu ulicy do jakiejś piątej, może szóstej nad ranem, nie pamiętam dokładnie. Odszedłem stamtąd tylko raz, na pięć minut, tuż po drugiej, i zajrzałem do domu pod szesnastym, żeby sprawdzić, czy na skutek nieporozumienia co do miejsca spotkania Rosie tam na mnie nie czeka.

– Dlaczego mogłaby czekać akurat tam? – Rewelka robił notatki, stosując jakiś sobie tylko znany skrótowy zapis.

– Rozmawialiśmy o tym wcześniej, przed podjęciem decyzji o spotkaniu na końcu ulicy. To była kryjówka miejscowych dzieciaków, ciągle tam przesiadywały. Jeśli chciałeś popробować alkoholu albo papierosów, całować się z dziewczyną albo robić coś, na co nie pozwalali rodzice, i z powodu młodego wieku nie mogłeś udać się gdzieś indziej, to przychodziłeś pod szesnasty.

Rewelka kiwnął głową.

– Więc tam szukałeś Rose. Do których pokoi wszedłeś?

– Zajrzałem do wszystkich na parterze. Nie mogłem jej zawołać, żeby nie narobić hałasu. Nikogo tam nie było, nie widziałem walizki, nie widziałem i nie słyszałem nic szczególnego. Potem poszedłem na górę i w pokoju od frontu, po prawej stronie, znalazłem na podłodze list podpisany przez Rose Daly. Wynikało z niego, że postanowiła jechać do Anglii sama. Zostawiłem go tam, gdzie leżał.

– Widziałem ten list. Nie był zaadresowany. Dlaczego sądziłeś, że napisała do ciebie?

Na myśl, że ślini się nad tym listem i delikatnie go zabezpiecza, znowu miałem ochotę mu dołożyć, i to jeszcze zanim padła niezbyt subtelna aluzja, że Rosie miała wątpliwości. Zacząłem się zastanawiać, co konkretnie powiedzieli mu o mnie państwo Daly.

– Wydawało się logiczne – wyjaśniłem. – To ze mną miała się spotkać. Skoro zostawiła list, to uznałem, że najprawdopodobniej był do mnie.

– Nie napomykała wcześniej, że się waha?

– Ani razu – odparłem z szerokim uśmiechem. – I nie mamy żadnym podstaw, by sądzić, że tak było, zgadza się?

– Być może. – Rewelka zapisał coś w notesie i spojrzał na kartkę, mrużąc oczy. – Nie zszedłeś do sutereny?

– Nie. Nikt tam nie chodził, bo i po co: ciemnica, chwiejne schody, szczury, wilgoć, no i piekielny smród. Nie miałem powodu sądzić, że Rosie może tam być.

Stukając końcem pióra w zęby, Rewelka przeglądał notatki. Wlałem w siebie prawie pół piwa i przyszła mi do głowy myśl, którą jak najszybciej porzuciłem, że Rosie znajdowała się w tej suterenie, gdy ja usychałem z nieodwzajemnionej miłości na górze, w odległości kilku jardów.

– A więc – odezwał się Rewelka – choć uznałeś, że Rose informuje cię w liście o zerwaniu, wróciłeś na koniec ulicy i wciąż czekałeś. Dlaczego?

Powiedział to lekkim, łagodnym tonem, ale dostrzegłem w jego spojrzeniu nagły przypływ energii. Ten palant bawił się w najlepsze.

– Człowiek żyje nadzieją – odrzekłem, wzruszając ramionami. – A kobiety zmieniają zdanie. Doszedłem do wniosku, że dam jej szansę powrócić do pierwotnej decyzji.

Rewelka prychnął krótko i po męsku.

– Kobiety, mówisz? Zatem dałeś jej jeszcze trzy, może cztery godziny i uznałeś, że z tego nic nie będzie. Co było potem?

W paru słowach opowiedziałem o squacie, cuchnących rockersach i wspianiałomyślniej siostrze, nie wymieniając nazwisk, na wypadek gdyby przyszło mu do głowy kogoś nękać. Wszystko zapisywał i na koniec zapytał:

– Dlaczego najzwyczajniej nie wróciłeś do domu?

– Z rozpędu... i z dumy. I tak chciałem się wynieść; decyzja Rosie niczego nie zmieniła. Anglia w pojedynkę już mnie nie pociągała, podobnie jak powrót do domu z podwiniętym ogonem. Byłem spakowany do wyjazdu, więc ruszyłem w drogę.

– Hmm – mruknął Rewelka. – Cofnijmy się do tych około sześciu godzin, gdy stałeś u wylotu ulicy... to się nazywa miłość, na dodatek w grudniu... Czy ktoś cię mijał, wchodził do któregoś z domów albo wychodził, coś w tym rodzaju?

– Kilka rzeczy utkwilo mi w pamięci. Koło północy, nie wiem dokładnie o której, słyszałem jakąś parkę zajętą sobą gdzieś niedaleko. Z perspektywy czasu powiedziałbym jednak, że mogły to być równie dobrze odgłosy bzykania, jak i szamotaniny. Potem, może

między piętnaście po pierwszej a wpół do drugiej, ktoś szedł przez ogrody za domami po parzystej stronie. Nie wiem, czy to ważne, po tylu latach, ale może będzie miało dla ciebie jakąś wartość.

– Wszystko może się przydać, sam wiesz – mruknął, nie przestając notować. – Nie zauważyłeś żadnych innych przejawów ludzkiej aktywności? Przez całą noc, w takiej dzielnicy? Bądźmy szczerzy, to nie jest ciche, zielone przedmieście.

Zaczął mnie wkurzać, prawdopodobnie do tego zmierzał, więc rozluźniłem łopatki i powoli piłem piwo.

– Była niedziela w nocy. Gdy się znalazłem na ulicy, wszystko już pozamykano, większość mieszkańców leżała w łóżkach, w przeciwnym razie wyszedłbym później. Na Faithful Place nic się nie działo, w kilku domach ludzie jeszcze nie spali, prowadzili rozmowy, ale nikt nie szedł ulicą, nie wchodził do domu ani nie wychodził na dwór. Słyszałem przechodniów za rogiem, zmierzających w kierunku New Street, paru przechodziło tak blisko, że usuwałem się spod latarni w mrok, żeby mnie nie zauważyli, ale nie widziałem nikogo znajomego.

Rewelka w zamyśleniu bawił się piórem, obserwując ruchome refleksy światła na jego powierzchni.

– Żeby cię nie zauważyli – powtórzył. – Bo nikt nie wiedział, że jesteście parą. Tak powiedziałaś?

– Zgadza się.

– Tajemniczość jak z filmu płaszcz i szpady. Był po temu jakiś powód?

– Ojciec Rosie mnie nie lubił. Dostał białej gorączki na wiadomość, że zaczęliśmy się spotykać. Dlatego od tamtej pory ukrywaliśmy nasz związek. Gdybyśmy mu powiedzieli, że chcę wywieźć jego dziewczynkę do Londynu, wybuchłaby święta wojna. Doszedłem do wniosku, że łatwiej będzie uzyskać wybaczenie niż pozwolenie.

– Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają – zauważył z lekką goryczą. – Dlaczego cię nie lubił?

– Bo ma kiepski gust – powiedziałem z uśmiechem. – Jak taka

twarz może nie budzić sympatii?

- A serio? – zapytał, nie odwzajemniając uśmiechu.
- Zapytaj go. Nie podzielił się ze mną swoimi przemyśleniami.
- Zapytam. Ktoś wiedział o waszych planach?
- Ja nie mówiłem nikomu. O ile wiem, Rosie też. – O Mandy nie zamierzałem wspominać. Niech sam z nią pogada, powodzenia; chciałbym być świadkiem tej rozmowy.

Popijając piwo, Rewelka niespiesznie przeglądał notatki. W końcu się odezwał:

- No dobra. Na teraz wystarczy.
- Zobaczymy, co powie twój naczelnik. – Nie było najmniejszej szansy, że z nim pogada, ale gdybym odpuścił za łatwo, zaczęłyby się zastanawiać, jaki plan B chowam w zanadru. – To wszystko powinno go dobrze nastroić do podjęcia współpracy.

Rewelka wytrzymał moje spojrzenie, ciut za długo nie mrugając. Myślał o tym, co ja uprzytomniłem sobie, gdy tylko usłyszałem o walizce. Oczywiście podejrzanym był gość obecny na miejscu zdarzenia, z motywem i sposobnością do zbrodni, i bez żadnego alibi, gość, który czekał na Rosie Daly, którego ona prawdopodobnie zamierzała porzucić tamtej nocy, który twierdził – jak Boga kocham, panie oficerze, przysięgam – że nie przyszła na spotkanie.

Żaden z nas nie chciał pierwszy wyłożyć tego na stół.

- Zrobię, co w mojej mocy – powiedział Rewelka. Schował notes do kieszeni. Nie spojrzął na mnie. – Dzięki za informacje, Frank. Możliwe, że będę chciał porozmawiać z tobą o tamtej nocy jeszcze raz, w późniejszej fazie.

- Nie ma sprawy. Wiesz, gdzie mnie szukać.

Opróżnił szklanekę jednym długim łykiem.

- I pamiętaj, co ci mówiłem. Zobacz pozytywy. Spójrz z innej strony.

- Posłuchaj, Rewelka, twoi koledzy właśnie zabrali w worku szczątki mojej dziewczyny. Sądziłem, że jest za morzem, używa życia, szczęśliwa jak nigdy. Wybacz, ale trudno mi teraz dostrzec

pozytywy.

Westchnął.

– W porządku. Rozumiem. Chcesz, żebym nakreślił ci obraz sytuacji?

– Niczego bardziej nie pragnę.

– Masz dobrą opinię w pracy, Frank, świetną, jest tylko jedno drobne ale: krążą pogłoski, że lubisz solowe występy. Że... jak to ująć... przykładasz odrobinę mniejszą wagę do regulaminu, niż należy. Ta walizka jest tego doskonałym przykładem. A szefostwo przychylniej patrzy na tych, którzy umieją pracować w zespole, niż na wybitnych solistów. Indywidualiści są zabawni tylko w wydaniu Mela Gibsona. Jeśli zachowasz się właściwie podczas tego śledztwa, a wiadomo, jak bardzo jest dla ciebie stresujące, jeśli pokażesz wszystkim, że dla dobra zespołu możesz siedzieć na ławce, to wtedy twoje akcje pójną ostro w górę. Myśl długofalowo. Rozumiesz, co chcę powiedzieć?

Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, byle mu nie dolożyć.

– Zaserwowałeś mi pokazną porcję banałów, Rewelka. Przygotuj się na to, że upłynie trochę czasu, zanim wszystko przetrawię.

Patrzył na mnie przez chwilę i w końcu, nie mogąc nic wyczytać z mojej twarzy, wzruszył ramionami.

– No cóż, usłyszałeś słowo przestrogi. – Wstał i poprawił kłapy marynarki. – Odezwę się – powiedział tonem ledwie wyczuwalnego ostrzeżenia, po czym wziął swoją pretensjonalną teczkę i wymaszerował z pubu.

Nie zamierzałem szybko się stąd ruszyć. Już zaplanowałem sobie wolne na resztę weekendu. Po pierwsze, z powodu Rewelki. Przez następne kilka dni razem z kolegami z zabójstw będzie latał po Faithful Place jak Jack Russell terrier na speedzie, przewąchał wszystkie kąty i wtykał nos w czułe miejsca, działając wszystkim na nerwy. Musiałem dać jasno do zrozumienia całej ulicy, że nie mam z nimi nic wspólnego.

Po drugie, znowu z powodu Rewelki, tyle że patrząc z innej strony.

Miałem wrażenie, że odnosi się do mnie z leciutką nieufnością, i niewchodzenie mu w drogę przez dwadzieścia cztery godziny wydatnie przyczyniłoby się do tego, że on nie będzie wchodził w drogę mnie. Gdy spoglądasz na człowieka poznanego w młodości, zawsze widzisz go takim, jaki był wówczas, i dlatego Rewelka wciąż widział we mnie pobudliwego chłopaka, który działa szybko albo nie robi nic. Nie przyszło mu do głowy, że gdy on coraz lepiej poskramia swoje ego, ja jestem coraz cierpliwszy. Jeżeli chcesz polować jak mały, zasapany szczeniak, gonić za tropem, gdy tylko spuszcza cię ze smyczy, pracuj w wydziale zabójstw. Jeżeli chcesz być tajniakiem, jak ja zawsze chciałem, naucz się polować tak, jak to robią wielkie koty: zastaw pułapkę, przyczaj się tuż przy ziemi i posuwaj się do przodu cal po calu, do skutku.

Trzeci powód zapewne pieklił się w Dalkey, maksymalnie na mnie rozszoszony. Wkrótce będę musiał zająć się zarówno nią, jak i, Boże, miej nas w opiece, Olivia. Są jednak granice tego, co może znieść mężczyzna. Nie upijam się, ale po takim dniu uznałem, że mam wszelkie prawo przeznaczyć ten wieczór na obserwację, jak bardzo mogę się urznąć, zanim zlecę na podłogę. Zwróciłem na siebie uwagę barmana i powiedziałem:

– Jeszcze raz to samo.

Pub opustoszał, przypuszczalnie na skutek obecności Rewelki. Stojąc za ladą i wycierając szklanki, barman niespiesznie lustrował mnie wzrokiem. Po chwili wskazał ruchem głowy drzwi.

– Twój przyjaciel?

– Tak bym go nie nazwał.

– Nie widziałem cię tu wcześniej.

– Możliwe.

– Coś cię łączy z Mackeyami z Faithful Place? Takie same oczy.

– Długa historia – odrzekłem.

– Aha – mruknął, jak gdyby domyślił się całej prawdy o mnie – wszyscy mamy jakąś historię – dodał i zgrabnym, zamaszystym ruchem podsunął szklankę pod kurek.

• • •

Ostatni raz Rosie i ja przytulaliśmy się do siebie w piątek, dziewięć dni przed godziną zero. Tamtego wieczoru w mieście było zimno, rzeško i tłoczno, paliły się lampki bożonarodzeniowe, ludzie biegali po sklepach, uliczni sprzedawcy handlowali papierem pakunkowym: pięć rolek za funta. Tak w ogóle to nie byłem wielkim fanem świąt – szaleństwo mojej matki corocznie osiągało punkt kulminacyjny podczas bożonarodzeniowego obiadu, podobnie jak pijaństwo ojca, zawsze coś się koniec końców potłukło i zawsze przynajmniej jedna osoba zalała się łzami – ale tamtego roku wszystko było nierzeczywiste, gładkie i szkliste, gdzieś na granicy magii i grozy: dziewczynki o błyszczących włosach, uczennice prywatnych szkół, które śpiewały kolędę *Joy to the World*, zbierając datki na cele dobroczynne, wyglądały trochę za porządnie i miały tępe twarze; dzieciaki, które przykleiły nosy do szyb domu towarowego Switzer's i przyglądały się bajkowym wystawom, sprawiały wrażenie odurzonych kolorami i muzyką. Szedłem w tłumie ludzi, nie wyjmując ręki z kieszeni kurtki wojskowej; ostatnia rzecz, jakiej mi było potrzeba, to napad rabunkowy akurat tego dnia.

Zawsze spotykaliśmy się w O'Neill's przy Pearse Street, pubie studentów Trinity, co oznaczało nadmierną liczebność palantów, ale dawało nam możliwość wtopienia się w tło i nie narażało nas na spotkanie z kimś znajomym. Państwo Daly sądzili, że Rosie wybrała się gdzieś z koleżankami, a moich rodziców w ogóle nie interesowało, gdzie się podziewam. W pubie, choć dużym, szybko narastał tłok, robiło się gorąco, szaro od dymu i głośno od śmiechu, ale i tak od razu zobaczyłem Rosie, burzę jej miedzianych włosów: stała oparta o ladę, mówiąc coś do barmana, który uśmiechał się szeroko w odpowiedzi. Gdy zapłaciła za nasze duże piwa, ja już znalazłem stolik w przyjemnym, spokojnym kącie.

– Co za pacan – powiedziała, stawiając szklanki i kiwając głową w tył, w stronę grupy studentów rechoczących przy ladzie. – Próbował zająrzeć mi za bluzkę, gdy się pochyliłam.



– Który?

Już wstawałem, ale Rosie powstrzymała mnie wzrokiem i przysunęła mi piwo.

– Siedz i pij. Sama to załatwię. – Usiadła przy mnie na ławce, tak blisko, że dotykaliśmy się udami. – Tamten facet, widzisz?

Koszulka klubu rugby, byczy kark, koleś odchodził od baru, niepewnie trzymając w obu rękach duże piwa. Rosie pomachała mu, żeby znowu przyciągnąć jego uwagę, po czym zatrzepotała rzesami, pochyliła się do przodu i czubkiem języka zatoczyła parę kółek w pianie na piwie. Kibicowi rugby oczy wyszły na wierzch, opadła szczeka, nogi zahaczyły o stółek barowy i połowa zawartości szklanek spłynęła po czyichś plecach.

– No i jak? – powiedziała Rosie, pokazując mu środkowy palec i natychmiast zapominając o koleśiu. – Kupiłeś?

Wsadziłem rękę do kieszeni kurtki, przewieszanej przez poręcz ławki, gdzie miałem ją na oku, i wymacałem kopertę.

– Są nasze. – Wyjąłem dwa bilety i rozłożyłem jak wachlarz na zniszczonym drewnianym stoliku. „Dun Laoghaire-Holyhead, odjazd 06.30, poniedziałek 16 grudnia. Prosimy o przybycie najpóźniej pół godziny przed odjazdem”.

Na widok tych biletów znowu skoczyła mi adrenalina. Rosie wypuściła powietrze ze zdumienia i zaśmiała się cicho.

– Pomyślałem, że ranny prom będzie lepszy. Jest nocny, ale wieczorem trudniej byłoby spakować się i wyjść z domu. A tak ruszymy do portu w niedzielę w nocy, przy pierwszej okazji, i tam poczekamy do odjazdu, co ty na to?

– Boże – odezwała się po chwili, wciąż osłupiała. – O Boże. Wydaje mi się, że byłoby lepiej, gdybyśmy... – Położyła zgiętą rękę na blacie, zasłaniając bilety przed spojrzeniami ludzi przy sąsiednich stolikach. – No wiesz.

Splotłem palce z jej palcami.

– Tu jest w porządku. Nie widzieliśmy nikogo znajomego, prawda?

– Ale to wciąż Dublin. Poczuję się bezpiecznie dopiero wtedy, gdy ten prom wypłynie z Dun Laoghaire. Schowaj je, dobrze?

– Lepiej ty je weź. Matka szpera w moich rzeczach.

– Wcale mnie to nie dziwi – zauważyła z uśmiechem. – I nie zdziwiłabym się, gdyby ojciec grzebał w moich, tylko że on nie tknie szuflady z majtkami. Daj te bilety. – Wzięła je do ręki tak ostrożnie, jakby były zrobione z delikatnej koronki, wsunęła do koperty i włożyła do górnej kieszeni kurtki dżinsowej. Przez chwilę trzymała tam rękę, na piersi. – O rany. Jeszcze dziewięć dni i...

– I... – uniosłem szklankę – wypijmy za ciebie, za mnie i za nasze nowe życie.

Stuknęliśmy się, upiliśmy łyk i pocałowałem ją. Piwo było świetne, w ciepłym pubie zaczynały tajać mi stopy po wędrowce przez miasto, obrazki na ścianach obwieszono lametą, zawiani studenci przy sąsiednim stoliku wybuchnęli głośnym śmiechem. Powinienem być największym szczęśliwcem w całym pubie, ale ten wieczór wciąż miał w sobie coś groźnego, jak wspaniały, promienny sen, który w mgnieniu oka może zrobić się nieprzyjemny. Wypuściłem Rosie z objęć, bo bałem się, że zacznę ją całować za mocno i sprawię jej ból.

– Spotkamy się w nocy – powiedziała Rosie, zahaczając nogą o moje kolano. – Koło dwunastej, może po. Mój ojciec nie kładzie się spać przed jedenastą. Będę musiała poczekać, aż zaśnie.

– W niedzielę moja rodzina pada o wpół do jedenastej. Czasem Shay wraca późno do domu. O ile nie zderzę się z nim w drzwiach, nie ma problemu. A nawet jeżeli wpadnę na niego, to nas nie powstrzyma. Będzie zachwycony, że się mnie pozbędzie. – Rosie uniosła brew i upiła trochę piwa. – Wyjdę o północy. Jeżeli ty będziesz potrzebowała więcej czasu, nie ma sprawy.

Kiwnęła głową.

– Przypuszczam, że nie przyjdę dużo później. Tylko że ostatni autobus już odjedzie. Jesteś gotów iść pieszo do Dun Laoghaire?

– Na pewno nie z naszymi rzeczami. Nie czulibyśmy nóg, do-

chodząc do portu. Będziemy musieli wziąć taksówkę.

Spojrzała na mnie z podziwem, który nie był do końca udawany.

– O la la!

Uśmiechnąłem się i owinąłem na palcu pasemko jej kędzierzawych włosów.

– Podłapałem parę fuch na ten tydzień. Dorobię sobie. Dla mojej dziewczyny wszystko, co najlepsze. Sprowadziłbym ci limuzynę, gdybym mógł, ale z tym musimy poczekać. Może do twoich urodzin, co?

Odpowiedziała uśmiechem, ale bez przekonania. Nie była w nastroju do flirtów.

– Umawiamy się pod szesnastym?

Pokręciłem głową.

– Ostatnio często przesiadywały tam chłopaki Shaughnessych. Nie chciałbym się na nich natknąć. – Bracia Shaughnessy byli niegroźni, ale za to hałaśliwi, tępi i zwykle naćpani; zbyt dużo czasu zajęłoby wbijanie im do łbów, dlaczego mają się zamknąć i udać, że nas nie widzieli. – Na końcu ulicy?

– Ktoś nas zobaczy.

– Nie w niedzielę po północy. Kto będzie poza domem oprócz nas i tych kretynów Shaughnessych?

– Wystarczy, że znajdzie się jedna osoba. A jeżeli będzie padać?

Taka nerwowość nie pasowała do Rosie; zazwyczaj w ogóle nie wiedziała, co to nerwy.

– Można poczekać z tymi ustaleniami. Zobaczymy, jaka będzie pogoda w przyszłym tygodniu, i wtedy zdecydujemy.

Pokręciła głową.

– Lepiej się nie spotykajmy do wyjazdu. Nie chcę, żeby ojciec nabrał podejrzeń.

– Skoro do tej pory nie...

– Wiem, wiem, ale... Mój Boże, Francis, te bilety... – Znowu dotknęła kieszeni. – Tak niewiele brakuje, żeby to się spełniło. Nie możemy stracić czujności, choćby na sekundę, bo jeszcze stanie się

coś złego.

– Co na przykład?

– Bo ja wiem? Ktoś nam przeszkodzi.

– Nikt nam nie przeszkodzi.

– Uhm – mruknęła. Przygryzła paznokcie i na sekundę spojrzała w bok. – Wiem. Wszystko się uda.

– Co jest? – zapytałem.

– Nic. Spotkajmy się na końcu ulicy, jak mówiłeś. A jeżeli będzie lało, to pod szesnastym. Chłopaki nie przyjdą w taką wstrętną pogodę, zgadza się?

– Zgadza – przytaknąłem. – Rosie, spójrz na mnie. Masz z tego powodu poczucie winy?

Uśmiechnęła się krzywo kącikiem ust.

– Gdzie tam! Przecież nie robimy tego dla hecy. Gdyby mój ojciec nie zachowywał się wobec nas tak kretyńsko, nawet nie przyszłoby mi to do głowy. A co? Ty masz?

– W życiu. Kevin i Jackie są jedynymi osobami, za którymi będę tęsknił. Kupię im coś ładnego z pierwszej wypłaty, ucieszą się. Będziesz tęsknić za rodziną, w tym problem, tak? Za dziewczynami?

Zamyśliła się.

– Za dziewczynami, o tak. I za rodziną... trochę. Ale przecież... Od zawsze wiedziałam, że niedługo się stąd wyniosę. Jeszcze w szkole zastanawialiśmy się z Imeldą, czy nie wyjechać do Londynu, ale potem... – Uśmiechnęła się do mnie kącikiem ust, przelotnie. – Potem my wpadliśmy na lepszy pomysł. Bez względu na wszystko, prędzej czy później bym wyjechała. A ty?

Wiedziała, że lepiej nie pytać, czy będę tęsknił za rodziną.

– Ja też. – Nie miałem pewności, czy to prawda, ale taką odpowiedź oboje chcieliśmy usłyszeć. – Znalazłbym jakiś sposób, żeby się stąd wydostać. Ale ten bardzo mi się podoba.

Znowu przebłysk uśmiechu, nie taki, jaki rozpromienia całą twarz.

– I mnie.

– Więc co jest grane? Ledwie usiadłaś, zachowujesz się tak,

jakby ławka gryzła cię w tyłek.

Wtedy skupiła na mnie całą uwagę.

– I kto to mówi? Sypiesz dzisiaj dowcipami jak z rękawa. Mam wrażenie, że umówiłam się z Oskarem, psiakrew, Zrędə...

– Jestem w stanie wrzenia, bo ty jesteś w stanie wrzenia. Myślałem, że będziesz szczęśliwa jak skowronek, widząc te bilety, ale ty...

– Gówno prawda. W takim humorze tu przyszedłeś. Tylko czekałeś, żeby przyłożyć temu żalotnemu kretynowi...

– Ty też. Rozmyśliłaś się? O to chodzi?

– Jeżeli chcesz ze mną zerwać, Francis, zachowuj się jak mężczyzna i sam odpowiadaj za swoją brudną robotę. Nie próbuj się mną wyręczać.

Patrzyliśmy na siebie ze złością, balansując na krawędzi zwyczajnej kłótni. Po chwili Rosie wypuściła powietrze, opadła na oparcie ławki i przeczesała włosy obiema rękami.

– Powiem ci, o co chodzi, Francis. Oboje jesteście zdenerwowani, bo sięgnęliśmy za wysoko.

– Mów za siebie.

– Tak uważam. Popatrz na nas: zamierzamy pojechać do Londynu i zatrudnić się w przemyśle muzycznym, ni mniej, ni więcej. Fabryki już nie dla nas, gdzie tam, to nie w naszym stylu, będziemy pracować dla zespołów rockowych. Co powiedziałyby twoja mama, gdyby to usłyszała?

– Zapytałyby, za kogo ja się, do cholery, mam. Potem dałyby mi w ucho, nazwała mnie beznadziejnym głupkiem i kazała wziąć się w garść. Ale byłoby wrzasku.

– I dlatego – ciągnęła Rosie – właśnie dlatego jesteście w stanie wrzenia. Chyba każdy, z kim się zetknęliśmy w całym naszym życiu, powie to samo: że sięgamy za wysoko. Jeżeli damy się nabrać na taką gównianą gadkę, będziemy tylko narzekać jedno na drugie i się unieszczęśliwimy. Dlatego musimy dorosnąć, i to szybko. Jasne?

W głębi duszy nadal jestem dumny, że Rosie i ja potrafililiśmy się tak kochać. Nie mieliśmy nikogo, kto by nas tego nauczył – żadne z

naszych rodziców nie odniosło wybitnych sukcesów w budowaniu związków – więc nauczyliśmy się od siebie nawzajem: gdy kochana osoba potrzebuje tego od ciebie, trzymasz na wodzy swój ognisty temperament, panujesz nad bezkształtnymi tworam, które budzą w tobie paniczny strach, zachowujesz się jak człowiek dorosły, a nie nastoletni kromaniończyk, którym jesteś, stać cię na zrobienie milionów rzeczy, o jakie nigdy byś siebie nie podejrzewał.

– Chodź tutaj – powiedziałem. Powiodłem rękami po jej ramionach i objąłem jej twarz, Rosie pochyliła się do przodu i oparła czołem o moje czoło, tak że cały świat zniknął pod gęstwiną jej lśniących włosów. – Masz zupełną rację. Przepraszam, ciołek ze mnie.

– Może to schrzanimy, ale nie ma powodu, żebyśmy nie zrobili wszystkiego, na co nas stać.

– Jesteś mądrą kobietą, wiesz?

Z tak bliska widziałem złote punkciki jej zielonych oczu i cieniutkie zmarszczki w kącikach, gdzie zaczynała się uśmiechać.

– Dla mojego chłopaka wszystko, co najlepsze – powiedziała.

Tym razem pocałowałem ją, jak należy. Czulem bilety, ściśnięte między szalonymi uderzeniami naszych serc, miałem wrażenie, że syczą i trzeszczą, i lada chwila strzelą pod sufit snopem złocistych iskier. Wtedy ten wieczór nabrał właściwego klimatu i nie trącił już czymś groźnym, w tym momencie wezbrała we mnie fala życia niczym dreszcz w głębi ciała. Od tej chwili mogłem jedynie dać się nieść, wierząc, że poprowadzi nas w dobrą stronę, powiedzie przez podstępne prądy i zgubne rozpadliny w stronę bezpiecznych brodów.

Gdy się zegnaliśmy, trochę później, Rosie powiedziała:

– Nie ty jeden miałeś zajęty czas. Poszłam do księgarni Eason's i przejrzałam wszystkie ogłoszenia w angielskich gazetach.

– Są oferty pracy?

– Trochę. W większości nie dla nas: operator wózka widłowego i nauczyciele na zastępstwo. Ale potrzebują też kelnerek i ludzi do pracy w pubach. Możemy powiedzieć, że mamy doświadczenie, przecież nie będą sprawdzać. Nikt nie szukał oświetleniowców ani

techników do obsługi tras koncertowych, jak było do przewidzenia. Rozejrzemy się po przyjeździe. No i jest masa mieszkań, setki.

– Na naszą kieszeń?

– Damy radę. Nawet gdybyśmy nie znaleźli pracy od razu. To, co zaoszczędziliśmy, wystarczy na kaucję, a gdy będziemy na zasiłku, wynajmiemy jakieś gówniane mieszkanie. Naprawdę gówniane, kawalerkę ze wspólną łazienką, ale lepsze to niż wyrzucanie pieniędzy na schronisko młodzieżowe.

– Mogę dzielić z kimś kłopot, kuchnię i wszystko inne, nie ma problemu. Tylko nie chcę, żebyśmy mieszkali w schronisku dłużej, niż to będzie konieczne. Nie ma sensu spać w oddzielnych sypialniach, gdy...

Rosie odwzajemniła mój uśmiech, a blask w jej oczach sprawił, że niemal stanęło mi serce.

– Gdy możemy mieć swoje mieszkanie.

– No właśnie – westchnąłem – swoje mieszkanie. Tego pragnąłem: łóżka, w którym będziemy spali razem przez całą noc, przytuleni do siebie, i budzili się rano jedno w objęciach drugiego. Tylko za to dałbym wszystko, dosłownie wszystko. Inne rzeczy, które świat miał do zaoferowania, były dodatkiem. Gdy słyszę, czego ludzie spodziewają się dzisiaj po miłości, mózg mi staje. Siedzę w pubie z chłopakami z wydziału, a oni opowiadają z detalami, jak kobieta powinna wyglądać, jak i gdzie być wygolona, jakie numerki robić na kolejnych randkach, jak zawsze się zachowywać, co mówić i czego chcieć, a czego nigdy nie robić, nie mówić ani nie chcieć. Pod słuchuję kobiety w kawiarniach, gdy wyliczają zawody, jakie mężczyzna może wykonywać, jakie może mieć samochody, które marki, kwiaty, restauracje i kamienie szlachetne zasługują na uznanie. I chce mi się krzyknąć: „Straciliście do reszty te małe rozumki?!”. Ani razu nie kupiłem Rosie kwiatów – nie wiedziałaby, co powiedzieć w domu – i ani przez chwilę nie zastanawiałem się, czy ma takie kostki, jak należy. Pragnąłem jej, chciałem, żeby była cała moja, i wierzyłem, że ona pragnie mnie. Do dnia, gdy urodziła się Holly, już nic w moim

życiu nie było takie proste.

– Niektórzy nie będą chcieli wynająć mieszkania Irlandczykom – zauważyła Rosie.

– Chrzanić ich. – Fala wzbierała, stawała się coraz mocniejsza. Wiedziałem, że pierwsze mieszkanie, do którego wejdziemy, będzie idealne, bo ta siła przyciągnie nas jak magnes prosto do naszego domu. – Powiemy, że pochodzimy z Mongolii. Masz dobry mongolski akcent?

– Po co mi jakiś akcent? – zapytała, uśmiechając się szeroko. – Będziemy mówić po irlandzku i podawać się za Mongołów. Myślisz, że się zorientują?

Wykonałem fantazyjny ukłon i oświadczyłem:

– *Póg mo thóin*. – Co znaczy: pocałuj mnie w dupę. Na tym właściwie kończy się moja znajomość irlandzkiego. – Tradycyjne mongolskie pozdrowienie.

– Skończ z żartami. Powiedziałam to tylko dlatego, że nie słyszysz z cierpliwości. Jeżeli nie znajdziemy mieszkania pierwszego dnia, nic się nie stanie. Mamy mnóstwo czasu.

– Wiem. Niektórzy nie będą nas chcieli, bo pomyślą, że jesteśmy pijakami albo terrorystami. Inni... – Wyjąłem jej szklankę z rąk i pogładziłem kciukami jej palce: mocne, zgrubiałe od szycia, z tanimi srebrnymi pierścionkami kupionymi na straganie, które miały kształt kociego łba i celtyckich zawijasów. – Inni nie zgodażą się, bo będziemy żyć w grzechu.

– Tych też chrzanić. – Wzruszyła ramionami.

– Jeżeli chcesz, możemy udawać. Kupimy żółte obrączki i będziemy mówić, że jesteśmy małżeństwem, dopóki nie...

Rosie natychmiast pokręciła głową, bardzo stanowczo.

– Nie. W żadnym wypadku.

– Tylko na krótko, aż zarobimy pieniądze, żeby się pobrać. To nam zdecydowanie ułatwi życie.

– Nieważne. Ani mi się śni oszukiwać w tej sprawie. Człowiek albo ma ślub, albo go nie ma. Nie chodzi o to, co myślą sobie ludzie.



– Rosie – ścisnąłem ją za ręce – wiesz, że się pobierzemy, tak? Wiesz, że chcę się z tobą ożenić. Niczego bardziej nie pragnę.

Na te słowa zaczęła się uśmiechać.

– Mam nadzieję. Gdy zaczynaliśmy chodzić ze sobą, byłam porządną dziewczyną, jak nauczyły mnie zakonnice, a teraz jestem gotowa zostać twoją kochanką...

– Mówię poważnie. Posłuchaj. Wielu ludzi na wiadomość, że chodzimy ze sobą, powiedziałyby, że zwariowałeś. Że Mackeyowie to banda drani. Że gdy dasz mi to, czego chcę, zostawię cię na lodzie i będziesz panną z dzieckiem i ze złamanym życiem.

– Wykluczone. W Anglii mają gumki.

– Chcę tylko, żebyś wiedziała, że nie będziesz żałować tej decyzji, jak Boga kocham, jeśli ode mnie będzie to zależało.

– Wiem, Francis – rzekła spokojnie Rosie.

– Nie jestem taki jak mój ojciec.

– Gdybym tak uważała, nie byłoby mnie tutaj. A teraz idź po chipsy. Jestem głodna.

Tego wieczoru siedzieliśmy w O'Neill's tak długo, aż wszyscy studenci poszli do domów i barman zaczął odkurzać nam stopy. Powoli sączyliśmy każde piwo, rozmawialiśmy o zwykłych, codziennych sprawach, rozśmieszaliśmy się nawzajem. Zanim się rozstaliśmy – szliśmy do domu osobno, żeby nikt nas nie widział, ja w bezpiecznej odległości za Rosie, mając ją na oku – długo całowaliśmy się na dobranoc, oparci o mur na tyłach Trinity College. Potem staliśmy nieruchomo w objęciach, przytuleni do siebie od policzków po stopy. Było tak zimno, że gdzieś wysoko, wysoko nad nami niosło się dźwięczne dzwonienie podobne do pękającego kryształu; chrapliwy oddech Rosie ogrzewał mi szyję, rude włosy pachniały landrynkami cytrynowymi i czułem, jak drży jej serce, uderzając w moje żebra. Gdy wypuściłem ją z objęć, stałem i patrzyłem, jak odchodzi, po raz ostatni.

Pewnie, że jej szukałem. Gdy pierwszy raz zostałem sam z komputerem policyjnym, wpisałem jej nazwisko i datę urodzenia i

sprawdziłem w rejestrach: nigdy nie trafiła do aresztu w Republice Irlandii. Ta wiadomość raczej nie ścięła mnie z nóg – nie spodziewałem się, że Rosie zostanie drugą Ma Barker\* – ale przez resztę dnia byłem ostro nakręcony i podminowany po zrobieniu pierwszego kroku na jej tropie. Im lepsze miałem kontakty, tym bardziej rozszerzały się moje poszukiwania: nie aresztowano jej w Irlandii Północnej, nie aresztowano w Anglii, Szkocji ani Walii, ani w Stanach, nigdzie nie otrzymała zasiłku dla bezrobotnych, nie wystąpiła o wydanie paszportu, nie umarła, nie wyszła za mąż. Co kilka lat ponawiałem wszystkie poszukiwania, zwracając się do tych ludzi wśród moich kontaktów, którzy mieli wobec mnie długi wdzięczności. Nigdy nie zadawali pytań.

\* Ma Baker, szefowa rodzinnego gangu w latach 20. i 30. XX wieku w Ameryce.

Później – po narodzinach Holly trochę się uspokoiłem – najczęściej miałem nadzieję, że mój radar namierzy Rosie i okaże się, iż prowadzi uczciwe, satysfakcjonujące życie jak ludzie, którzy nigdy nie trafiają do rejestrów policyjnych, i że czasem wspomina mnie z lekkim ukłuciem w sercu na myśl, co by było, gdyby... Niekiedy wyobrażałem sobie, że ona znajduje mnie: telefon dzwoni w środku nocy, rozlega się pukanie do drzwi, gdy jestem w pracy. Że siedzimy obok siebie na ławce w parku i w milczeniu zaprawionym kroplą goryczy patrzymy, jak Holly bawi się na drabinkach razem z dwoma rudowłosymi chłopaczkami. Że spędzamy niekończący się wieczór w jakimś mrocznym pubie, zagadani i roześmiani pochylamy głowy coraz bardziej ku sobie, nasze palce zbliżają się cal po calu na zniszczonym drewnianym stoliku. Wyobrażałem sobie w najdrobniejszych szczegółach, jak wygląda: kurze łapki od śmiechu, którego nie słyszałem, zwiotczały brzuch po urodzeniu dzieci, które nie były moje, całe jej życie, które toczyło się beze mnie, zapisane brajlem na jej ciele, żebym mógł je odczytać czubkami palców. Jak daje mi odpowiedzi, które nigdy nie przyszłyby mi do głowy, które przywracają wszystkiemu sens, sprawiają, że wszystkie elementy układanki trafiają na swoje miejsce. Wyobrażałem sobie, wierzcie lub nie,

że mamy drugą szansę.

Bywały takie noce – nawet po upływie lat – kiedy wciąż pragnąłem tego samego co wtedy, gdy miałem dwudziestkę: żeby zobaczyć jej nazwisko powtarzające się w aktach wydziału do spraw przemyocy domowej, w rejestrze prostytutek zarażonych HIV-em, w ewidencji narkomanów przywiezionych do kostnicy z jakiejś niebezpiecznej dzielnicy Londynu. Przez ten długi czas przeczytałem setki opisów niezidentyfikowanych kobiet.

Wszystkie moje drogowaskazy runęły na skutek jednej oślepiającej, oszałamiającej eksplozji: moje drugie szanse, moja zemsta, moja porządna, szeroka Linia Maginota oddzielająca mnie od rodziny. Rosie Daly, która puściła mnie w trąbę, dotychczas była punktem orientacyjnym w moim życiu, niezmiennym i niezniszczalnym. Teraz znikwała jak fatamorgana, a dokoła zmieniał się pejzaż, przewracał się do góry nogami, już nic nie wyglądało znajomo.

Zamówiłem następne duże piwo i dodatkowo podwójnego jame-sona, co moim zdaniem było jedyną szansą dotrwania do rana. Tylko tak mogłem wymazać z pamięci koszmarny obraz oślizgłych brązowych kości leżących w dole i przysypywanych ziemią, czemu towarzyszył dźwięk przypominający tupot małych łapek.

Pozwolili mi spędzić w samotności kilka godzin – zaskakujący przejaw taktu z ich strony – zanim rozpoczęli poszukiwania. Najpierw pojawił się Kevin: wychylił głowę zza drzwi jak dzieciak, który bawi się w chowanego, chyłkiem wysłał krótkiego SMS-a, podczas gdy barman nalewał mu piwo, po czym stanął przy moim stoliku, przestępując z nogi na nogę, aż w końcu wybawiłem go z udręki i dałem znak, żeby usiadł. Nie zamieniliśmy słowa. Po trzech minutach dołączyły do nas dziewczyny, otrząsając mokre od deszczu płaszcze, chichocząc i rzucając spojrzenia na lewo i prawo.

– O Jezu – odezwała się Jackie, przekonana, że mówi szeptem, i zdjęła chustkę. – Pamiętam, jak bardzo kiedyś chciałyśmy tu przyjść. Wszystko dlatego, że nie wpuszczano kobiet. I całe szczęście, prawda?

Carmel obrzuciła stołek podejrzliwym spojrzeniem i przetarła serwetką, zanim usiadła.

– Łaska boska, że mamusia nie przyszła. Dostałaby ataku serca.

– Chryste Panie! – Kevin gwałtownie podniósł głowę. – Mama chciała tu przyjść?

– Martwi się o Francisca.

– Akurat! Prędzej chce go wypytać. Chyba nie postanowiła was śledzić ani nic takiego?

– To byłoby w jej stylu – zauważyła Jackie. – Tajna agentka Mama Mackey.

– Nie przyjdzie. Powiedziałam jej, że pojechałeś do domu – zwróciła się do mnie Carmel, przykładając palce do ust z miną trochę skruszoną i trochę psotną. – Wybacz mi, Panie Boże.

– Jesteś genialna – oświadczył z przekonaniem Kevin, znów przyjmując swobodną pozę.

– On ma rację. Tylko by nam zawracała głowę. – Jackie wyciągała szyję, starając się przyciągnąć uwagę barmana. – Czy mogę się spodziewać, że teraz zostanę tu obsłużona?

– Ja zamówię – zgłosił się Kevin. – Co chcecie?

– Dla mnie gin z tonikiem.

Carmel przysunęła się ze stołkiem do stolika.

– Jak myślisz, mają tu gruszczenik?

– Carmel, na miłość boską!

– Wiesz, że nie mogę pić mocnych alkoholi.

– Ani mi się śni zamawiać jakiś babski sikacz. Chcesz, żeby mi dokopali?

– Nic ci nie będzie – powiedziałem. – Tu są wciąż lata osiemdziesiąte. Pewnie mają na zapleczu całą skrzynkę gruszczenika.

– I kij bejsbolowy dla każdego faceta, który to zamówi.

– Sam to zrobię.

– O, przyszedł Shay. – Jackie lekko się podniosła i pomachała ręką, żeby nas zauważył. – Niech on zamówi. Jest na nogach.

– Kto go zaprosił? – spytał Kevin.

– Ja – odrzekła Carmel. – A wy dwaj zachowujcie się choć raz jak kulturalni dorośli ludzie. Dzisiejszego wieczoru ważny jest Francis, nie wy.

– Moje zdrowie – powiedziałem. Byłem przyjemnie ubzdryngolony, dochodziłem do takiego stanu, gdy widzi się kolorowy świat pozbawiony ostrych kantów, nic nie mogło mnie zdenerwować, nawet widok Shaya. Zwykle jest tak, że gdy tylko czuję przyjemne wibracje, przerzucam się na kawę, i to szybko. Lecz tego wieczoru zamierzałem rozkoszować się każdą chwilą.

Shay ruszył wolnym krokiem w stronę naszego kąta, strzepując z włosów krople deszczu.

– Nigdy bym nie przypuszczał, że ten lokal odpowiada twoim standardom – odezwał się do mnie. – Przyprowadziłeś tu swojego

kolegę z policji?

- Wszyscy powitali go jak brata. Serce rosło.
- Wiele bym dał, żeby to widzieć. Co pijecie?
- Stawiasz?
- Czemu nie.
- Wspaniale – powiedziałem. – Guinness dla mnie i Kevina, dla Jackie gin z tonikiem, dla Carmel gruszczenik.
- Chcemy, żebyś tylko zamówił – dodała Jackie.
- Nie ma problemu. Patrz i ucz się.

Shay podszedł do lady, szybko przyciągnął uwagę barmana, co świadczyło, że jest tu częstym gościem, i triumfalnie pomachał butelką gruszczenika.

- Cholerny efekciarz – mruknęła Jackie.

Przyniósł wszystkie szklanki naraz ze zręcznością, która dowodzi dużego doświadczenia, i postawił na stoliku.

– Gadaj, Francis, znaleźli twoją dziewczynę i stąd całe zamieszanie? – Wszyscy zamarli. – Po co te wygłupy? Wiadomo, że świerzbi was język, żeby o to zapytać. No jak, Francis?

– Daj mu spokój – odrzekła Carmel, przybierając ton mamuśki. – Już mówiłam Kevinowi, że dzisiaj macie się zachowywać przyzwoicie.

Shay parsknął śmiechem i przysunął sobie stołek. W ciągu ostatnich kilku godzin, gdy się jeszcze nie zaprawiłem, miałem dość czasu na podjęcie decyzji, ile zamierzam wyjawić sąsiadom albo rodzinie, co i tak na jedno wychodzi.

– W porządku, Melly – odezwałem się. – Jeszcze nic pewnego, ale chyba to była Rosie.

Jackie raptownie wciągnęła powietrze i zapadła cisza. Shay gwizdnął cicho, przeciągle.

– Niech spoczywa w pokoju – szepnęła Carmel. Dziewczyny się przeżegnały.

– Taką wiadomość przyniósł Dalym wasz człowiek – rzekła Jackie. – Ten, z którym rozmawiałeś. Ale nikt nie jest pewny, czy

można mu wierzyć... Wiadomo, gliniarze... Powiedzą wszystko. To znaczy nie ty, tamci. Mogło mu zależeć na tym, żebyśmy tak myśleli.

– Skąd oni to wiedzą? – zapytał Kevin z taką miną, jakby robiło mu się niedobrze.

– Jeszcze nie wiedzą – odparłem. – Stwierdzą na podstawie badań.

– Na przykład DNA i takie tam?

– Nie wiem. Nie moja działka.

– Nie twoja działka – powtórzył Shay, obracając szklankę. – Ciekaw jestem, czym ty się konkretnie zajmujesz.

– Różnymi rzeczami. – Z oczywistych względów tajniacy na ogół mówią cywilom, że są specjalistami od prawa własności intelektualnej albo czegoś, co brzmi równie nudno i tłumi rozmowę w zarodku. Jackie jest przekonana, że wdrażam metody wykorzystania personelu strategicznego.

– Czy oni potrafią stwierdzić... no wiesz... – zapytał Kevin – co jej się stało?

Otworzyłem usta, zamknąłem, wzruszyłem ramionami i upiłem duży łyk piwa.

– Czy Kennedy nie rozmawiał o tym z państwem Daly?

– Nie powiedział ani słowa – włączyła się Carmel i ściągnęła usta. – Błagali go, pytali, co się wydarzyło, a on nic. Wyszedł, zostawiając ich w domysłach.

Jackie siedziała wyprostowana jak struna, pełna oburzenia, nawet fryzura jakby się jej podniosła.

– Chodzi o ich własną córkę, a on mówi, że to nie ich sprawa, czy została zamordowana, czy nie. Mam w nosie, czy on jest twoim kolegą, Francis, ale to zwyczajne świństwo, i tyle – oświadczyła.

Rewelka zrobił jeszcze lepsze pierwsze wrażenie, niż się spodziewałem.

– Kennedy nie jest moim kolegą – wyjaśniłem. – To kutafon, z którym muszę czasem pracować.

– Założę się, że takiemu dobremu kumpłowi jak ty powiedział, co

się przydarzyło Rosie – odezwał się Shay.

Rzuciłem okiem na salę. Rozmowy trochę się rozkręciły – nie były głośniejsze, ale mówiono szybciej i z większym zainteresowaniem: wiadomość wreszcie dotarła tutaj. Nikt na nas nie patrzył, częściowo z grzeczności wobec Shaya, a częściowo dlatego, że w takim pubie większość ludzi ma swoje problemy i ceni sobie prywatność. Opierając się na łokciach, pochyliłem się do przodu i powiedziałem przyciszonym głosem:

– No dobra. Za coś takiego mogą mnie wylać, ale państwo Daly powinni wiedzieć wszystko, co nam wiadomo. Tylko obiecacie mi, że to nie dotrze do Kennedy'ego.

Shay obejmował mnie sceptycznym spojrzeniem o mocy tysiąca watów, lecz trójka pozostałych zgadzała się ze mną całkowicie, kiwała głowami dumna jak paw: oto nasz Francis, choć upłynęło tyle lat, nadal jest przede wszystkim chłopakiem z Liberties i w drugiej kolejności gliną, tacy wspaniali z nas ludzie, tacy zżyci ze sobą. Tę opinię dziewczyny rozgłoszą w sąsiedztwie, w tym sosie będą pływały moje smakowite kąski informacji: Francis jest po naszej stronie.

– Wiele świadczy o tym, że ktoś ją zabił – powiedziałem.

Carmel wciągnęła gwałtownie powietrze i znowu się przeżegnała.

– Boże, miej nas w opiece – wyszeptała Jackie. Kevin wciąż był blady.

– Jak? – zapytał.

– O tym się jeszcze nie mówi.

– Ale się dowiedzą, tak?

– Zapewne. Po tak długim czasie nie będzie to łatwe, lecz ludzie z laboratorium znają się na rzeczy.

– Jak ci z GS7? – Carmel miała oczy jak filizanki.

– Zgadza się – przytaknąłem. Słyszac te słowa, nieużyty technik dostałby apopleksji, gdyż dzisiejsi pracownicy laboratorium kryminalistycznego nie znoszą serialu do tego stopnia, że występuje im piana na usta, ale starzy byliby uszczęśliwieni. – Właśnie tak.

– Ale nie czynią cudów – burknął Shay do szklanki.



– Zdziwiłbyś się. Ci chłopcy potrafią znaleźć niemal wszystko, co postawią sobie za cel: ślady starej krwi, maleńkie ilości DNA, setki najrozmaitszych urazów, co tylko chcesz. Gdy oni będą główkować, co się stało Rosie, Kennedy i jego ludzie będą kombinować, kto to zrobił. Porozmawiają ze wszystkimi, którzy wtedy mieszkali w sąsiedztwie. Zaczną się dopytywać, z kim się przyjaźniła, z kim się kłóciła, kto ją lubił, a kto nie i dlaczego, co robiła godzina po godzinie przez kilka ostatnich dni swojego życia, czy ktoś zauważył coś dziwnego tamtej nocy, gdy zniknęła, czy ktoś zauważył kogoś, kto zachowywał się dziwnie w tamtym czasie albo wkrótce potem... Będą pracować cholernie dokładnie i tak długo, jak potrzeba. Wszystko, byle drobiazg, może mieć decydujące znaczenie.

– Matko Przenajświętsza – sapnęła Carmel. – Zupełnie jak w telewizji, co nie? Niesamowite.

Dokoła nas, w pubach, kuchniach i salonach, już prowadzono rozmowy: ludzie przypominali sobie tamte dni, przywoływali wspomnienia, odnajdywali w nich podobieństwa i różnice, na ich podstawie budowali miliony teorii. W mojej dzielnicy plotkowanie jest sportem wyczynowym na poziomie olimpijskim; nigdy nie lekceważę plotek – wręcz przeciwnie, wielbię je całym sercem. Jak mówiłem Rewelce, informacja równa się amunicja; byłem przekonany, że dookoła na pewno krąży masa ostrej amunicji, przemieszanej z niewypałami. Chciałem, żeby całe to dobre plotkowanie zogniskowało się na wygrzebywaniu ostrych naboju, i chciałem mieć pewność, że one dotrą do mnie, w ten czy inny sposób – jeżeli Rewelka potraktował Dallych przez nogę, to okropnie się namęczy, żeby wydobyć jakieś informacje od kogokolwiek w promieniu pół mili. Zależało mi – zakładając, że w okolicy jest osoba, która ma powody do zmartwień – żeby ta osoba zaczęła się poważnie martwić.

– Gdy usłyszę coś, o czym państwo Dally powinni wiedzieć, nie pozwolę, żeby nie zostali poinformowani – oświadczyłem.

Jackie położyła rękę na mojej.

– Tak mi przykro, Francis. Miałam nadzieję, że to potoczy się

inaczej... okaże się, że zaszła pomyłka albo... sama nie wiem...

– Szkoda dziewczyny – powiedziała cicho Carmel. – Ile miała lat? Osiemnaście?

– Dziewiętnaście z kawalkiem – odrzekłem.

– Boże drogi, niewiele więcej od mojego Darrena. I przez te wszystkie lata leżała w tym okropnym domu. Jej rodzice odchodzili od zmysłów ze zmartwienia, nie wiedząc, co się z nią dzieje, a tymczasem...

– Nigdy nie sądziłam, że to powiem – przerwała jej Jackie – ale przydał się ten PJ Lavery.

– Oby – rzucił Kevin i dopił piwo. – Komu jeszcze drinka?

– Czemu nie – zgłosiła się Jackie. – Co znaczy „oby”? Kevin wzruszył ramionami.

– Oby wszystko skończyło się dobrze. To miałem na myśli.

– Rany Julek, Kevin, niby jak ma się skończyć dobrze? To biedactwo nie żyje! Przepraszam, Francis.

– Kevin pomyślał tak: Oby gliniarze nie wygrzebali czegoś, co każe nam żałować, że chłopcy Lavery'ego nie wyrzucili tej walizki na śmietnik, zamiast wywoływać wilka z lasu – wyjaśnił Shay.

– Na przykład czego? – zapytała stanowczym tonem Jackie. – No, mów, Kev!

Kevin odsunął do tyłu stół i oświadczył z zaskakującą pewnością siebie:

– Mam po dziurki w nosie tej rozmowy. Frank pewnie też. Idę do baru. Jeżeli po moim powrocie będziecie dalej wałkować ten temat, zostawię wam drinki i pójdę do domu.

– Patrzcie państwo, mysz ryknęła. – Kącik ust Shaya uniósł się w lekkim uśmiechu. – Brawo, Kev, masz zupełną rację. Będziemy rozmawiać o *Rzykantach*. A teraz przynieś mi piwo.

Wypiliśmy następną kolejkę, a potem jeszcze jedną. Ulewny deszcz zaczął w szyby, ale ogrzewanie w pubie było rozkręcone na pełny regulator, więc pogoda dokuczała nam tylko wtedy, gdy przy otwieraniu drzwi wpadał zimny wiatr. Carmel zdobyła się na odwagę i

poszła do baru, żeby zamówić sześć kanapek na opiekany chlebie, a ja uprzytomniłem sobie, że moim ostatnim posiłkiem była zjedzona do połowy smażenina mamy i że rzuciłbym się na byle co. Na przemian z Shayem opowiadaliśmy dowcipy, na co Jackie parskala ginem z tonikiem, a Carmel, gdy już zrozumiała puentę, piszczała i klepała nas po rękach. Kevin sparodiował mamę przy obiedzie bożonarodzeniowym tak udanie i złośliwie, że wszystkich rozbolały boki z niepohamowanego śmiechu.

– Przestań – wysapała Jackie, machając ręką – mój pęcherz tego nie wytrzyma, daję słowo. Posikam się, jeżeli nie przestaniesz.

– Naprawdę się posika – wykrztusiłem, próbując złapać oddech – a wtedy będziesz musiał iść po ścierkę i posprzątać.

– Nie wiem, co cię tak bawi – zwrócił się do mnie Shay. – W tym roku przecierpisz Boże Narodzenie razem z nami.

– Akurat! Będę popijał dobrą whisky we własnym domu i zaśmiewał się na myśl, że siedzicie przy stole jak frajerzy.

– Zobaczysz, koleś. Gdy mama wreszcie cię dopadła, szybko się nie wyrwiesz, zwłaszcza że święta za pasem. Nie przepuści okazji, żeby zgnębić nas wszystkich naraz. Jeszcze zobaczysz.

– Chcesz się założyć?

Shay wyciągnął rękę.

– O pięćdziesiąt funciaków. Że zasiądziesz naprzeciwko mnie przy świątecznym stole.

– Zgoda. – Podaliśmy sobie ręce. Miał suchą, twardą, zgrubiałą dłoń. Przeszedł nas prąd, ale żaden się nie skrzywił.

– Wiesz, Francis – odezwała się Carmel – mieliśmy cię o to nie pytać, ale nie mogę się powstrzymać... Jackie, przestań mnie szczy-pać!

Jackie odzyskała kontrolę nad pęcherzem i obrzuciła siostrę piorunującym spojrzeniem.

– Jeżeli on nie chce o tym rozmawiać – dodała z godnością Carmel – niech sam powie. Francis, dlaczego tyle czasu cię nie było?

– Bałem się, że mama wyciągnie drewnianą łyżkę i stłucze mnie

na kwaśne jabłko. Dziwicie się?

Shay prychnął.

– Ale tak poważnie, Francis – naciskała Carmel. – Dlaczego?

Carmel, Kevin i nawet Jackie, która zadawała mi to pytanie wiele razy i nigdy nie uzyskała odpowiedzi, wbili we mnie wzrok, wstawieni, skrępowani, może również trochę dotknięci. Shay wybierał jakiś paproch z piwa.

– O coś was spytam – powiedziałem. – Za co bylibyście gotowi umrzeć?

– O Jezusa, to ma być śmieszne? – burknął Kevin.

– Daj mu spokój – wtrąciła Jackie. – Zważywszy na okoliczności.

– Ojciec powiedział mi kiedyś, że oddałby życie za Irlandię. Wy też? – ciągnąłem temat.

Kevin przewrócił oczami.

– Ojciec wciąż żyje w latach siedemdziesiątych. Teraz nikt tak nie myśli.

– Zastanów się chwilę, dla zabawy. No?

– Niby z jakiego powodu? – Kevin patrzył na mnie z rozbawieniem.

– Na przykład znowu najechali na nasz kraj Anglicy.

– Dupy nie chciałoby im się ruszyć.

– To tylko przykład, Kev. Cierpliwości.

– Nie wiem. Nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

– Tacy jak on – odezwał się Shay, niezbyt napastliwie, i machnął szklanką w stronę Kevina – doprowadzili ten kraj do ruiny.

– Co ja takiego zrobiłem?

– Ty i tobie podobni. Wasze cholerne pokolenie. Co jest dla was ważne? Tylko rolexy i Hugo Boss. Na czym jeszcze wam w ogóle zależy? Francis ma rację, choć raz. Najwyższy czas, żebyś miał coś, za co gotów jesteś umrzeć, koleś.

– A ty, do kurwy nędzy, za co byś umarł? – warknął Kevin. – Za guinnessa? Za dobre bzykanko?

Shay wzruszył ramionami.

- Za rodzinę.
- Co takiego?! Przecież ty nie znosisz mamy i taty – zauważyła Jackie.

Cała nasza piątka wybuchnęła śmiechem. Carmel odchyliła do tyłu głowę, ocierając łzy wierzchem dłoni.

- Zgadza się – przyznał Shay. – Ale to nie ma nic do rzeczy.
- A ty oddałbyś życie za Irlandię? – zwrócił się do mnie Kevin, nadal trochę urażony.

– Po moim trupie – oświadczyłem, co znowu wywołało chórny śmiech. – Na jakiś czas oddelegowano mnie do Mayo. Byliście tam? Tylko wsioki, owce i ładne krajobrazy. Nie zamierzam za to umierać.

- Więc za co?
- Jak powiedział mój przedmówca – machnąłem szklanką w stronę Shaya – to nie ma nic do rzeczy. Ważne jest, żeby wiedzieć.
- Ja umarłabym za swoje dzieci – powiedziała Carmel. – Niech Bóg ma je w opiece.

– A ja chyba za Gavina. Ale, zaznaczam, tylko wtedy, gdyby naprawdę było z nim źle – odezwała się Jackie. – Co za makabryczny temat. Nie wolałbyś porozmawiać o czymś innym, Francis?

– Dawno temu umarłbym za Rosie. To staram się wam uzmysłowić.

Zapadła cisza. Po chwili Shay uniósł szklankę.

– Wypijmy za wszystko, za co gotowi jesteśmy umrzeć.

Stuknęliśmy się, po czym każdy upił duży łyk i rozsiadł się wygodnie. Zdawałem sobie sprawę, że mam dobrze w czubie i pewnie dlatego cieszę się jak diabli, widząc ich tutaj, nawet Shaya. Co więcej, jestem wdzięczny, że są ze mną. Może oni są dokumentnie uwaleni i nie wiadomo, co sobie o mnie myślą, ale ta czwórka porzuciła wszystkie plany na ten wieczór, w jednej chwili zrezygnowała z własnego życia i przyszła tu, żeby pomóc mi przeżyć tę noc. Pasowaliśmy do siebie jak elementy układanki i przez to czułem, jakby okrywała mnie ciepła, złocista poświata, jakbym na skutek idealnego zbiegu okoliczności znalazł się we właściwym miejscu. Pozostała mi

jednak odrobina przytomności umysłu, by nie wyrażać swoich odczuć słowami.

Carmel pochyliła się ku mnie i powiedziała z pewną nieśmiałością:

– Gdy Donna była mała, chorowała na nerki i lekarze uważali, że może być konieczna transplantacja. Od razu im powiedziałam, że nie ma sprawy, mogą wziąć obie ode mnie. Pięciu minut się nie zastanawiałam. Skończyło się dobrze, poza tym potrzebowali tylko jednej, ale nigdy tego nie zapomnę. Rozumiesz?

– Jasne. – Uśmiechnąłem się do niej.

– Donna jest słodka – włączyła się Jackie. – Urocza dzidzia, zawsze roześmiana. Musisz ją zobaczyć, Francis.

– Gdy patrzę na Darrena, widzę ciebie, wiesz? – mówiła dalej Carmel. – Zawsze tak było, od dzieciństwa.

– Niech Bóg ma go w opiece! – zawołaliśmy chórem, Jackie i ja.

– Miałam na myśli twoje dobre strony. Wybiera się do college'u. Nie pod moim wpływem czy Trevora, bylibyśmy zadowoleni, gdyby pracował jako hydraulik razem ze swoim tatą. O nie, Darren sam tak zdecydował, nic nam nie mówił: po prostu zapisał się na zajęcia z przedmiotów, na których mu zależało, i uczył się jak dziki, żeby móc zdawać je na maturze. Zapał się i dopiął swego. Jak ty. Zawsze chciałam być taka.

Wydawało mi się, że jej twarz pokrył cień smutku.

– O ile pamiętam, umiałaś postawić na swoim, gdy ci zależało – powiedziałem. – A Trevor?

Smutek zniknął i zaśmiała się figlarnie, jak dawniej, gdy była młodą dziewczyną.

– Prawda, że umiałaś? Wtedy na potańcówce, gdy pierwszy raz go zobaczyłam, wystarczyło jedno spojrzenie i powiedziałam do Louise Lacey: „Ten będzie mój”. Nosił dzwony, które były ostatnim krzykiem mody...

Jackie zaczęła się śmiać.

– A ty się nie nabijaj – upomniała ją Carmel. – Twój Gavin ciągle chodzi w obszarpanych starych dżinsach. Moim zdaniem facet

powinien się trochę wysilić. Trevor miał taką śliczną dupkę w tych dzwonach. A jak cudownie pachniał! Z czego wy dwoje się śmiejecie?

– Bezwstydna z ciebie latawica – powiedziałem. Carmel upiła skromny łyżeczek gruszcznika.

– Wcałe nie. W tamtych czasach było inaczej. Gdy facet wpadł dziewczynie w oko, prędzej by umarła, niż pokazała po sobie, że jej na nim zależy. To on musiał uganiać się za nią.

– O Jezu, *Duma i cholerne uprzedzenie* – zauważyła Jackie. – A ja sama zaproponowałam Gavinowi randkę, naprawdę!

– To działało, mówię wam, bardziej niż te dzisiejsze głupoty: dziewczyny chodzą bez majtek do klubów. Złapałam faceta, co nie? Zaręczyłam się w swoje dwudzieste pierwsze urodziny. Byłeś tu wtedy, Francis?

– Jeszcze trochę. Uciekłem ze trzy tygodnie później.

Pamiętałem przyjęcie zaręczynowe: obie rodziny tłoczyły się w naszym salonie, mamuśki mierzyły się wzrokiem jak dwa otyłe pitbule, Shay jak zwykle odgrywał starszego brata i obrzucał Trevora wrednym spojrzeniem, Trevor miał wystające jabłko Adama i wytrzeszczone ze strachu oczy, Carmel, z rumieńcami na twarzy i triumfującą miną, wbiła się w różowy plisowany koszmar i wyglądała jak ryba odarta ze skóry. Wtedy to dopiero był ze mnie arogancki dupek; siedziałem na parapecie, obok prosiaczkowatego młodszego brata Trevora, w ogóle nie zwracając na niego uwagi, bezgranicznie zadowolony, że postanowiłem dać stąd dyla i że nigdy nie będę miał przyjęcia zaręczynowego, na którym podaje się kanapki z jajkiem. Uważajcie, o co prosicie, bo może się spełnić. Patrząc na tę czwórkę przy stoliku w pubie, czułem, że coś mnie ominęło tamtego wieczoru, że przyjęcie zaręczynowe może jednak warto było mieć, przynajmniej w planach.

– Miałam różową sukienkę – snuła z zadowoleniem Carmel. – Wszyscy mówili, że wyglądam fantastycznie.

– Nie bez racji. Gdybyś nie była moją siostrą, też miałbym na ciebie chrapkę. – Puściłem do niej oko.

Dziewczyny zapiszczały zde gustowane, ale moja uwaga już się odwróciła. Kevin, który gawędził z Shayem przy drugim końcu stolika, podniósł głos i przybrał defensywny ton.

– Taka praca. Co ci się w niej nie podoba?

– Wypruwasz sobie flaki, podlizując się japiszonom, tak, proszę pana, oczywiście, proszę pana, jak pan sobie życzy, i to dla jakiejś dzianej korporacji, która wyrzuci cię na bruk, gdy tylko pojawią się problemy. Zarabiasz dla nich tysiące przez jeden tydzień, a ile z tego masz?

– Dostaję pensję. W lecie wybieram się do Australii. Będę nurkował z rurką przy Wielkiej Rafie Koralowej, zajądał burgera z kangura i chlał przy grillu na plaży Bondi w towarzystwie fantastycznych Australijek. Wszystko dzięki tej pracy. Na co tu narzekać?

Shay zaśmiał się krótko i oschle.

– Lepiej oszczędzaj.

Kevin wzruszył ramionami.

– Oszczędzać też będzie z czego.

– Gównu prawda. Chcą, żebyś tak myślał.

– Kto? O co ci chodzi?

– To już nie te czasy, koleś. Jak myślisz, dlaczego PJ Lavery...

– Pieprzony wsiok – burknęliśmy chórem, wszyscy oprócz Carmel, która, jak przystało na mamuszkę, starała się nie wyrażać.

– Jak myślisz, dlaczego on wybebeszą te domy?

– Kogo to obchodzi? – Kev wpadł w rozdrażnienie.

– Ciebie powinno, do jasnej cholery. Cwany drań z tego Lavery'ego. Wie, skąd wieje wiatr. W zeszłym roku kupił te trzy domy za ciężkie pieniądze, rozesłał śliczne ulotki o staroświeckich luksusowych apartamentach, a teraz ni stąd, ni zowąd rezygnuje z tego przedsięwzięcia i rozbiera domy na kawałki.

– No to co? Może się rozwodzi albo ma kłopoty ze skarbówką. Dlaczego miałbym się nad tym zastanawiać?

Shay wytrzymał spojrzenie Kevina, pochylony do przodu i oparty łokciami o stół. Po chwili znów się zaśmiał i pokręcił głową.



– Nic nie rozumiesz, prawda? – Sięgnął po piwo. – Nic ci nie świta. Łykniesz każdą bzdurę, jaką ci podadzą. Wydaje ci się, że wszystko będzie zawsze cacy. Ciekaw jestem, jaką będziesz miał minę za jakiś czas.

– Zalałeś się – powiedziała Jackie.

Kevin i Shay nigdy nie darzyli się zbytnią sympatią, ale teraz ujawniały się pokłady czegoś, o czym nie miałem pojęcia. Wydawało mi się, że słucham głosu z radia przebijającego się przez silne szumy. Wyczuwałem ton, ale nie sens. Nie wiedziałem, czy powodem zakłóceń są dwadzieścia dwa lata, czy osiem piw. Siedziałem z zamkniętymi ustami i otwartymi oczami.

Shay odstawił szklanekę zdecydowanym ruchem, stukając o blat.

– Powiem ci, dlaczego Lavery nie wyrzuca pieniędzy na eleganckie mieszkania. Gdy zostałyby wybudowane, ludzi nie byłoby stać na kupno. Ten kraj zmierza ku upadkowi. Dojeżdża do przepaści z szybkością sto na godzinę.

– No to nie będzie mieszkań. Wielka mi rzecz. Mama miałaby tylko powód do psioczenia na kolejnych japiszonów.

– Japiszony są twoim źródłem utrzymania, koleś. Gdy oni wyginą, ty razem z nimi. Wylądują na zasiłku, a wtedy kto będzie kupował te wypasione telewizory? Jak żyje się męskim prostytutkom, gdy bankrutują ich klienci?

Jackie pacnęła Shaya w ramię.

– Przestań, to obrzydliwe.

Carmel zasłoniła dłonią usta i bezgłośnie powiedziała do mnie: „Upił się”, przepraszającym i przesadnym gestem, ale sama wypila trzy butelki gruszcznika i podniosła nie tę rękę, co należało. Shay zignorował dziewczyny.

– Ten kraj jest zbudowany na picu i dobrym PR. Wystarczy jedno kopnięcie i się rozleci. Już niedługo.

– Nie wiem, z czego tak się cieszysz – powiedział ze smutkiem Kevin. Też był trochę zaprawiony, ale pod wpływem alkoholu nie wpadał w agresję, tylko zamykał się w sobie. Pochylił się nad stołem,

patrzac posepnie w swoj4 szklanke. – Jezeli dojdzie do katastrofy, spadniesz razem z nami wszystkimi.

Shay pokręcił głową, uśmiechając się od ucha do ucha.

- O nie. Przykro mi, chłopie, nic z tego. Ja mam plan.
- Zawsze masz jakiś plan. Dokąd cię zaprowadził któryś z nich?

Jackie głośno westchnęła.

- Ładną mamy pogodę – zwróciła się do mnie.
- Tym razem będzie inaczej – odpowiedział Shay Kevinowi.
- Jasne.
- Zobaczysz, koleś. Zobaczysz.

– Brzmi doskonale – rzekła stanowczym tonem Carmel, niczym pani domu przywołująca do porządku swoich gości. Przysunęła się bliżej stołu i usiadła prosta jak struna, wytwornie odginając od kieliszka mały palec. – Nie chciałbyś nam o tym opowiedzieć?

Po chwili Shay przeniósł na nią wzrok, odchylił się w tył i parsknął śmiechem.

– Och, Melly, ty jedna zawsze umiałaś wymusić na mnie dobre zachowanie. Może nie wiecie, że gdy byłem nieokrzesanym nastolatkiem, Carmel przyłożyła mi po łydkach, aż rzuciłem się do ucieczki. Wszystko dlatego, że nazwałem Tracy Long zdzirą.

– Należało ci się – oświadczyła sztywno Carmel. – Nie mówi się tak o dziewczynie.

– Racja. Z tego całego towarzystwa tylko ja cię doceniam, Melly. Trzymaj się mnie, dziewczyno, a daleko zajdziemy.

– Mianowicie dokąd? – odezwał się Kevin. – Do urzędu pracy po zasiłek?

Shay z wysiłkiem spojrział znów na Kevina.

– Tego nikt ci nie powie, więc posłuchaj. W okresie ożywienia gospodarki wszystkie najlepsze okazje wykorzystują grube ryby. Robotnik ma z czego żyć, ale tylko bogaci się bogacą.

– Czy robotnik nie może również z przyjemnością wypić piwa i pogadać ze swoim rodzeństwem? – spytała Jackie.

– Gdy przychodzi zapaść, trzeba mieć głowę na karku i plan

działania, żeby się uratować. A ja mam i jedno, i drugie.

„Umówiłem się z gorącą panienką”, mówił dawniej Shay, przykucając przed lustrem i zaczesując włosy do tyłu, ale nigdy nie wyjawiał z kim; „Zarobiłem dodatkowo trochę kasy, Melly, idźcie z Jackie na lody”, ale nigdy nie było wiadomo, skąd wziął pieniądze.

– Ciągłe to powtarzasz – powiedziałem. – Zdradzisz nam coś czy zamierzasz trzymać nas w niepewności przez całą noc?

Shay utkwiał we mnie wzrok; posłałem mu szeroki anielski uśmiech.

– Francis, nasz człowiek, który siedzi w tym systemie i zna go od podszewki. Dlaczego tak się przejmujesz, Francis, co zrobi ze swoim życiem taka parszywa owca jak ja?

– Powoduje mną braterska miłość.

– Raczej przypuszczasz, że gównem z tego będzie, i chcesz mieć satysfakcję, że znowu jesteś górą. Spróbuj mnie przebić: kupuję sklep rowerowy.

Już samo powiedzenie tego głośno wywołało lekkie rumieńce na jego policzkach. Kevin prychnął; Jackie uniosła i tak wysokie brwi.

– Pogratulować – powiedziała. – Nasz Shay przedsiębiorcą.

– Nieźle – odrzekłem. – Gdy będziesz Donaldem Trumpem w świecie rowerów, kupię u ciebie bmx-a.

– Conaghy idzie w przyszłym roku na emeryturę, a jego syn gardzi rowerami i nie chce mieć nic wspólnego z tą firmą. Woli sprzedawać szpanerskie samochody. Więc Conaghy dał mi pierwszeństwo kupna.

Kevin otrząsnął się z przygnębienia na tyle, by unieść głowę nad szklanki.

– Skąd weźmiesz szmal? – zapytał.

W oczach Shaya rozpałała się iskra podekscytowania i zrozumiałem, co widzą w nim kobiety.

– Połowę już mam. Od dawna na to oszczędzałem. Bank daje mi resztę. Zaczynają niechętnie udzielać kredytów, bo już wiedzą, jak Lavery, że szykują się kłopoty, ale ja przyszedłem w samą porę. Za

rok, dzieciaki, będę niezależny finansowo.

– Brawo – powiedziała Carmel. Coś mnie uderzyło w jej głosie, jakby cień powściągliwości. – Doskonała wiadomość. Brawo.

Shay upił piwa. Starał się zachować obojętną minę, ale widać było uśmiech czający się w kącikach ust.

– Jak mówiłem Kevinowi, nie ma sensu pracować przez całe życie, żeby napełniać komuś kieszenie. Tylko wtedy można do czegoś dojść, gdy jest się swoim własnym szefem. Swoje słowa potwierdzam czynami.

– Tak? Jeśli masz rację i kraj rzeczywiście zmierza ku upadkowi czy jak tam, to ty też ucierpisz.

– I tu się mylisz, kolego. Gdy te dzisiejsze zamożne palanty zorientują się, że siedzą po uszy w bagnie, przede mną otworzą się możliwości. W latach osiemdziesiątych, gdy nikt z naszych znajomych nie miał pieniędzy na samochód, jak się poruszaliśmy? Rowkami. Gdy pęknie bańka, tatusia nie będzie stać na kupno swoim pociechom po bmw, żeby mogły dojechać pół mili do szkoły. I wtedy staną na moim progu. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę twarze tych małych gnojzków.

– Jak uważasz – powiedział Kevin. – Świetna sprawa. Naprawdę. – Znowu wbił wzrok w swoje piwo.

– Czy to znaczy, że zamieszkas nad sklepem? – zapytała Carmel.

Shay przeniósł na nią wzrok i coś niezrozumiałego zaszło między nimi.

– Tak.

– I będziesz pracował w stałych godzinach, na pełnym etacie? Przeszanieś mieć ruchome godziny?

– Będzie dobrze, Melly. – Jego głos zabrzmiał dużo łagodniej. – Conaghy przechodzi na emeryturę dopiero za kilka miesięcy. Do tego czasu...

Carmel wzięła mały wdech i kiwnęła głową, jakby zbierała przed czymś siły.

- Dobrze – powiedziała jakby do siebie i uniosła kieliszek do ust.
- Mówię ci, nie martw się.
- Skądże. Jesteś wspaniałą. Bóg świadkiem, że na to zasługujesz.

Po twoim zachowaniu już od jakiegoś czasu wiedziałam, że masz coś w zanadru, tylko nie myślałam... Bardzo się cieszę, że ci się udało. Moje gratulacje.

– Carmel, popatrz na mnie – ciągnął Shay. – Czy ja bym ci zrobił coś takiego?

- Chwileczkę. O co chodzi? – wtrąciła się Jackie.

Shay przesunął palcem kieliszek Carmel, żeby widzieć jej twarz. Nie zdarzyło mi się zobaczyć, by Shay komukolwiek okazywał czułość, i jego zachowanie uspokoiło mnie w znacznie mniejszym stopniu niż Carmel.

– Posłuchaj, wszyscy lekarze powiedzieli, że zostało kilka miesięcy. Najwyżej pół roku. Gdy dojdzie do kupna, on już będzie w domu opieki albo na wózku inwalidzkim, w każdym razie zbyt osłabiony, żeby wyrządzić komukolwiek krzywdę.

- Boże, przebacz nam, że na to liczymy – szepnęła Carmel.
- Co się dzieje? – zapytałem.

Odwrócili się i spoczęły na mnie dwie pary identycznych niebieskich oczu pozbawionych wyrazu. Po raz pierwszy zauważyłem, że są do siebie podobni.

- Chcecie powiedzieć, że ojciec wciąż bije mamę?

Po wszystkich przeszedł dreszcz, jakby kopnięcie prądem, i rozległ się syk wciąganego powietrza.

– Zajmuj się swoimi sprawami – burknął Shay – a my będziemy się zajmować swoimi.

- Czy ty masz monopol na głupotę?

– Po prostu staramy się, żeby ktoś zawsze był w domu. Na wypadek gdyby tato upadł – powiedziała Carmel.

- Słyszałem od Jackie, że to już się nie zdarza. Od wielu lat.

– Już ci mówiłem: Jackie nie ma zielonego pojęcia – ciągnął Shay. – Żadne z was nie miało pojęcia. Więc się odpieprz.

– Wiesz co? Zaczynam mieć dość tej gadki, że tylko tobie obrywało się od ojca.

Wszyscy wstrzymali oddech. Shay zaśmiał się nieprzyjemnie, chrapliwie.

– A co? Może tobie?

– Wciąż mam blizny. Człowieku, mieszkaliśmy pod jednym dachem! Różnica między nami jest taka, że ja dorosłem i mogę o tym rozmawiać bez użalania się nad sobą.

– W ogóle od niego nie oberwałeś. Nic a nic. I nie mieszkaliśmy pod jednym dachem, nawet przez jeden dzień. Zazналиście ciepelka, ty, Jackie i Kevin, w porównaniu z tym, co przeszliśmy z Carmel.

– Nie gadaj, że mi się upiekło – powiedziałem.

Carmel spiorunowała Shaya wzrokiem, ale on nie zauważył tego, cały czas wpatrując się we mnie.

– Rozpuszczeni jak dziadowski bicz, wszyscy troje. Uważacie, że było wam ciężko? To myśmy zadbali, żebyście nigdy nie wiedzieli, co to znaczy mieć ciężko.

– Idź do barmana po miarkę, to porównamy długości naszych blizn i fiutów czy czego tam jeszcze, co doprowadza cię do pasji. A jeśli nie chcesz, to pozwól nam spędzić miły wieczór i nie afiszuj się ze swoim kompleksem męczennika ani mi nie mów, jakie miałem życie.

– Mądrała. Zawsze sądziłeś, że jesteś bystrzejszy od nas wszystkich, co nie?

– Tylko od ciebie, słonko. Trzymam się dowodów.

– Na jakiej podstawie? Bo ja i Carmel przestaliśmy chodzić do szkoły, ledwie skończyliśmy szesnaście lat? Uważasz, że byliśmy za tępi, żeby się dalej uczyć? – Shay siedział pochylony do przodu, ręce zaciskał na krawędzi stołu, miał gorączkowe wypieki na policzkach. – Stało się tak, bo musieliśmy przynieść do domu pieniądze, gdy nie przynosił ich ojciec. Żebyś miał co jeść. Żeby wasza trójka miała podręczniki i mundurki i żeby zrobiła maturę.

– Chryste – mruknął pod nosem Kevin. – Ale go poniosło.

– Gdyby nie ja, nie zostałbyś gliniarzem. Byłbyś nikim. Według ciebie tak na pokaz powiedziałem, że umarłbym za swoją rodzinę? O mało do tego nie doszło. Zrezygnowałem z wykształcenia. Zrezygnowałem ze wszystkich możliwości, jakie przed sobą miałem.

Uniosłem brew.

– A co? Czekala cię kariera profesora uniwersytetu? Nie rozśmieszaj mnie. Niczego, psiakrew, nie straciłeś.

– Nigdy się nie dowiem, co straciłem! A ty co poświęciłeś? Czy ta rodzina coś od ciebie dostała? Wymień jedną rzecz. Tylko jedną.

– Przez tę cholerną rodzinę straciłem Rosie Daly!

Kamienna cisza. Wszyscy wbili we mnie wzrok; Jackie znieruchomiała ze szklanką przy na wpół otwartych ustach. Z wolna zacząłem sobie uprzytamniać, że podniosłem się, trochę niepewnie, i niemal ryknąłem.

– Przerwanie nauki to pestka; łomot raz czy drugi też. Nie protestowałbym, nawet bym o to prosił, byle tylko nie stracić Rosie. No i jej nie ma.

– Myślisz, że zostawiła cię z naszego powodu? – odezwała się bezbarwnym głosem Carmel, wyraźnie zaskoczona.

Zdawałem sobie sprawę, że w moich słowach było coś niewłaściwego, że coś zmieniły, ale nie bardzo wiedziałem co. Gdy tylko wstałem, poczułem, że mam miękkie kolana.

– A co się, do diabła, stało twoim zdaniem? Jednego dnia szalejemy za sobą, łączy nas wielka miłość na wieki wieków. Chcemy się pobrać. Kupujemy bilety. Zaręczam ci, Melly, zrobilibyśmy wszystko, absolutnie wszystko, żeby być razem. A dzień później, jasna cholera, dzień później ona mnie rzuca.

Padaly na nas spojrzenia, milkły rozmowy, a mimo to nie potrafiłem ściszyć głosu. Zawsze mam najprzytomniejszą głowę podczas każdej awantury i najniższy poziom alkoholu we krwi wśród wszystkich gości we wszystkich pubach. Ten wieczór znacznie odbiegał od normy i wszelkie próby ratowania sytuacji były definitywnie spóźnione.

– Pamiętacie, co się wtedy stało? Ojciec poszedł w cug i chciał się wdrzeć do chałupy Dalych o drugiej nad ranem, a wtedy wy wszyscy, bardzo elegancko, wdaliście się z nim w szamotaninę na środku ulicy. Pamiętasz tę noc, Melly? Cała ulica to pamięta. Dlaczego po czymś takim Rosie miałyby się nie wycofać? Kto chciałby mieć takich teściów? Kto chciałby mieć dzieci z takim obciążeniem?

– Dlatego nie wracałeś do domu? – spytała bardzo spokojnie i nadal beznamiętnym tonem Carmel. – Bo właśnie tak myślałeś przez te lata?

– Gdyby ojciec był przyzwoitym człowiekiem – ciągnąłem. – Gdyby się nie upijał albo przynajmniej starał się robić to dyskretnie. Gdyby mama nie była taka, jaka jest. Gdyby Shay co rusz nie pakował się w kłopoty. Gdybyśmy byli inni.

– Ale skoro Rosie wcale nie wyjechała... – odezwał się zdumiony Kevin.

Nie docierało do mnie, co on mówi. Nagle przygniotły mnie wydarzenia całego dnia, poczułem potworne zmęczenie i nogi zaczęły mi się rozjeżdżać na wytartym dywanie.

– Rosie rzuciła mnie, bo moja rodzina zachowywała się jak zwierzęta. I wcale nie winię tej dziewczyny.

– Tak nie można, Francis – zachnęła się Jackie. – To niesprawiedliwe.

– Rosie Daly nie miała ze mną problemów. Możesz mi wierzyć, koleś – oświadczył Shay.

Już się opanował, rumieńce zniknęły; oparł się plecami o krzesło. Dopiekło mi, w jaki sposób to powiedział: z aroganckim błyskiem w oku, z powolnym uśmieszkiem w kąciku ust.

– O czym ty mówisz?

– Uroczą była ta Rosie. Taka przyjacielska i towarzyska, to chyba dobre słowo.

Zmęczenie przeszło mi bez śladu.

– Jeżeli zamierzasz oczerniać dziewczynę, która nie może się bronić, przynajmniej mów wprost, jak mężczyzna. A jeżeli nie masz



odwagi, to się zamknij.

Barman walnął kuflem w blat.

– Hej, wy tam! Dość tego. Spokój w tej chwili, bo was wyrzucę.

– Tylko podziwiam twój gust. Co za cycki, co za tyłek, no i ta postawa. Chętna panienka, co? Startowała w sekundę.

Ostry głos gdzieś w zakamarkach umysłu ostrzegał mnie, że lepiej odpuścić, ale gdy przebił się przez pokłady alkoholu, był słaby i niewyraźny.

– Rosie nie dotknęłaby cię nawet kijem – powiedziałem.

– Zastanów się, koleś. Ona mnie nie tylko dotykała. Nigdy nie poczułeś mojego zapachu, gdy ją rozbierałeś?

Poderwałem go z krzesła, łapiąc za przód koszuli, i już się zamachnąłem, gdy pozostali włączyli się do akcji zdecydowanie, sprawnie i błyskawicznie, jak to tylko potrafią dzieci pijaka. Carmel stanęła między nami, Kevin chwycił mnie za uniesioną rękę, a Jackie zgarnęła drinki z pola rażenia. Shay odepchnął moją drugą rękę, zaciśniętą na jego koszuli – usłyszałem, jak drze się materiał – i obaj poleciliśmy w tył. Carmel wzięła Shaya za ramiona i zgrabnie usadziła z powrotem na krzesło, tak że nie mógł się ruszyć ani mnie widzieć, i zaczęła go uspokajać, gadając jakieś głupoty. Kevin i Jackie chwycili mnie pod ręce i prawie obrócili w stronę drzwi, zanim odzyskałem równowagę i zrozumiałem, co się dzieje.

– Puście, puście – powtarzałem, popychany do wyjścia.

Próbowałem ich strząsnąć, ale Jackie uczepiła się mnie tak mocno, że odrywając ją od siebie, zrobiłbym jej krzywdę, a wypilem o wiele za mało, żeby do tego doszło. Shay wykrzykiwał jakieś obelgi przez ramię Carmel, a ona uspokajała go coraz głośniejszymi głosami. W końcu Kevin i Jackie, z wprawą manewrując między stolikami, stołkami i obojętnie przyglądającymi się bywalcami pubu, wyprowadzili mnie na róg ulicy, gdzie usłyszeliśmy trzask drzwi za sobą i owiało nas ostre zimne powietrze.

– Co jest, kurwa?! – wykrzyknąłem.

– Och, Francis, przecież to jasne również dla ciebie, że nie mo-

żesz wdać się tam w bójkę – tłumaczyła mi Jackie, łagodnie jak dziecku.

– Ten dupek prosił się, żeby dać mu w pysk. Wprost się domagał, Jackie. Sama słyszałaś. Powiedz, czy on nie zasługuje na to, żebyśmy stłukł go na miazgę?

– Zasługuje, oczywiście, ale nie możesz zdemolować lokalu. Przejdziemy się?

– Dlaczego mnie stamtąd wyciągnęliście? To Shay powinien...

Wzięli mnie pod rękę i zaczęliśmy iść.

– Na świeżym powietrzu poczujesz się lepiej – zapewniła mnie Jackie.

– Nie, nie. Siedziałem sam i spokojnie popijałem piwo, nikomu nie przeszkadzałem, dopóki nie przyszedł ten kutas i nie narobił zamieszania. Słyszeliście, co on powiedział?

– Był zalany i zachował się jak ostatni kretyn. Nic zaskakującego, co? – odezwał się Kevin.

– Więc dlaczego, do licha, to ja jestem za drzwiami? – Wiedziałem, że biadolę jak dzieciak: „On zaczął”, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Jest w swoim pubie. Przychodzi tu co drugi dzień.

– Nie kupił całej tej cholерnej dzielnicy. Mam takie samo prawo jak on...

Spróbowałem im się wyrwać, żeby wrócić do pubu, ale prawie straciłem równowagę. Na zimnie wcale nie trzeźwiałem; wiatr uderzał we mnie ze wszystkich stron, znieca, i szumiało mi w uszach.

– Naturalnie, że masz – przytaknęła Jackie, sterując mną byle dalej od pubu. – Tylko że tam on cię będzie denerwował. A po co ci to? Pójdziemy gdzie indziej, dobrze?

I wtedy w moim otumanionym guinnessem umyśle odezwał się zimny głos rozsądku. Zatrzymałem się i potrząsałem głową, aż nieco przycichł szum w uszach.

– Nie, Jackie. Sądę, że nie pójdziemy.

Przekręciła głowę, żeby spojrzeć mi w twarz.

- Dobrze się czujesz? Nie zbiera ci się na mdłości?
- Nie zbiera mi się, psiakrew. Ale upłynie dużo, dużo czasu, zanim znowu dokądkolwiek pójde, polegając na twoim słowie.
- Och, Francis, nie bądź...
- Pamiętasz, jak to wszystko się zaczęło, prawda? Zadzwoiłaś i przekonałaś mnie, że mam ruszyć dupę i przyjechać na to zapuszczone śmietnisko. Boże drogi, musiałem chyba upaść na głowę. Należało od razu ci powiedzieć, gdzie masz sobie wsadzić ten genialny pomysł. Widzisz, co z tego wyszło, Jackie? Widzisz? Jesteś z siebie zadowolona, co? Masz przyjemne poczucie dobrze wykonanego zadania? Cieszysz się?

Kiwałem się na boki. Kevin chciał podeprzeć mnie ramieniem, ale go odepchnąłem, opadłem plecami na mur i przyłożyłem ręce do twarzy. Pod powiekami latały mi tysiące świetlistych punkcików.

- Dobrze wiedziałem. Przecież dobrze wiedziałem.

Przez pewien czas nikt się nie odzywał. Czułem, że Kevin i Jackie porozumiewają się, dając sobie znaki ruchem brwi. W końcu Jackie powiedziała:

- Nie wiem, jak wy, ale ja mam lodowate cycki. Chcę iść po płaszcz. Poczekacie tu na mnie?
- Weź i mój – poprosił Kevin.
- Dobrze. Nigdzie nie pójdziecie, co? Francis?

Ścisnęła mnie nieśmiało za łokieć. Nie zareagowałem. Po chwili usłyszałem jej westchnienie i żwawy stuk obcasików w kierunku, z którego przyszliśmy.

- Co za kurewski dzień – mruknąłem.

Kevin oparł się o mur koło mnie. Słyszałem jego oddech, lekkie posapywanie na zimnym powietrzu.

- Właściwie to nie jest wina Jackie – odezwał się Kevin.
- I dlatego powinienem się przejąć. Rzeczywiście powinienem. Ale wybac mi, Kev, że w tej chwili guzik mnie to obchodzi.

W zaułku śmierdziało tłuszczem i sikami. Kilka przecnic dalej jacyś faceci krzyczeli na siebie, nie używali słów, lecz wydawali

chrapliwe bezmyślne ryki. Kevin przestąpił z nogi na nogę.

– Przyjmij to, jak chcesz – powiedział – ale cieszę się z twojego powrotu. Fajnie było spędzić razem czas. To znaczy, jasne, że historia z Rosie i... no wiesz. Ale naprawdę jestem zadowolony, że znowu się widzimy.

– Już ci mówiłem. Powiniennem się przejąć, ale sprawy nie zawsze układają się tak, jak powinny.

– Bo dla mnie, wiesz, rodzina jest bardzo ważna. Zawsze była. Nie powiedziałem, że nie umarłbym za swoją rodzinę... no wiesz, tak jak rozwodził się Shay. Po prostu nie podobało mi się, że on próbuje mi wcisnąć, co mam myśleć.

– A komu by się podobało? – Odjąłem ręce od twarzy i trochę odsunąłem głowę od muru, żeby zobaczyć, czy świat wrócił do równowagi. Nic się zanadto nie kołysało.

– Kiedyś było prościej – mówił dalej Kevin. – Gdy byliśmy dziećmi.

– Ja pamiętam to zdecydowanie inaczej.

– To znaczy, mój Boże, nie było prosto, ale... no wiesz. Przynajmniej wiedzieliśmy, co mamy robić, choć czasem robienie tego było okropne. Ale przynajmniej wiedzieliśmy. Chyba tego mi brak. Rozumiesz, o co mi chodzi?

– Kevin, mój drogi, powiem ci z ręką na sercu, szczerze i otwarcie, nie mam pojęcia.

Przyłożył głowę do muru i spojrzał na mnie. Pod wpływem zimnego powietrza i alkoholu jego twarz zaróżowiła się i rozmarzyła; trochę zmarznięty, z modną fryzurą w kompletnym nieładzie, wyglądał jak dzieciak na starodawnej kartce bożonarodzeniowej.

– No tak – mruknął, wzdychając. – W porządku. Pewnie nie rozumiesz. Nieważne.

Ostrożnie oderwałem się od ściany, podpierając się ręką na wszelki wypadek. Kolana wytrzymały.

– Jackie nie powinna kręcić się tu sama – powiedziałem. – Idź do niej.

Zamrugnął powiekami.

- A ty... znaczy się... zaczekasz tu na nas, tak? Wrócę raz-dwa.
- Nie.
- O. – Miał niezdecydowaną minę. – Więc może jutro?
- Może co?
- Będziesz w pobliżu.
- Wątpię.
- To może... no wiesz, kiedy indziej?

Sprawa miała wrażenie tak cholernie młodego i zagubionego, że serce mi się krajało.

- Idź do Jackie.

Czując pewny grunt pod nogami, ruszyłem przed siebie. Po kilku sekundach usłyszałem za plecami, że Kevin idzie, krok za krokiem, w drugą stronę.

Przekiamałem parę godzin w samochodzie – byłem zbyt urżnięty, żeby jakikolwiek taksówkarz chciał mieć ze mną do czynienia, ale nie na tyle, żeby uznać stukanie do drzwi mamy za dobry pomysł. Gdy się obudziłem, mając w ustach paskudny smak, jakby coś tam zdechło, był chłodny, pochmurny ranek, mokre powietrze przenikało do szpiku kości. Przez dwadzieścia minut rozmasowywałem sobie skurcz w szyi.

Puste ulice lśniły wilgocią, dzwony były na poranną mszę i nikt nie okazywał zbytniego zainteresowania czymkolwiek. Znalazłem jakąś przygnębiającą kawiarnię pełną przygnębionych przybyszów z Europy Wschodniej i zamówiłem pożywne śniadanie: rozmiękłe muffinki, garść nurofenu i wiadro kawy. Gdy uznałem, że promile nie przekraczają normy, pojechałem do domu, wrzuciłem do pralki ubranie, które nosiłem od piątku rano, wziąłem gorący prysznic i zacząłem się zastanawiać nad kolejnym ruchem.

Ta sprawa miała już ze mną zero wspólnego, zero wielkie jak pomnik O'Connella. Niech ją sobie Rewelka prowadzi, życzę powodzenia. Bywał upierdliwym kretynek nawet w najbardziej sprzyjających okolicznościach, ale choć raz jego obsesja wygrywania pracowała na moją korzyść: prędzej czy później Rewelka upomni się o sprawiedliwość dla Rosie, o ile to możliwe. Nawet będzie mnie informował o zasadniczych postępach w śledztwie – bynajmniej nie z powodów altruistycznych, ale to przyszc. Wystarczyło niecałe półtora dnia, żebym miał dość swojej rodziny na następne dwadzieścia dwa lata. Tego ranka, stojąc pod prysznicem, mogłem założyć się z diabłem o własną duszę, że nic na świecie nie zaciągnie mnie z

powrotem na Faithful Place.

Należało jeszcze dopiąć kilka szczegółów i będę mógł wrzucić cały ten galimatias do tego kręgu piekła, z którego wyszedł. Moim zdaniem tak zwane domknięcie to mieszczańskie brednie wymyślone po to, żeby psychoanalityk miał za co kupić sobie jaguara; niemniej musiałem się upewnić, czy to rzeczywiście Rosie leżała w suterenie, musiałem wiedzieć, jak umarła i czy Rewelka ze swoimi chłopcami wpadli na jakiś ślad sugerujący, dokąd się wybierała tamtej nocy, gdy ktoś jej w tym przeszkodził. Całe moje dorosłe życie obrosło wokół blizny, którą był brak Rosie Daly. Na myśl, że ta zgrubiła tkanka zniknie, zakręciło mi się w głowie i straciłem równowagę do tego stopnia, że zacząłem robić bezdennie kretyńskie rzeczy, na przykład urządziłem sobie popijawę z moim rodzeństwem, choć zaledwie dwa dni wcześniej na samą myśl o czymś takim uciekłbym z wrzaskiem gdzie pieprz rośnie. Uznałem, że najlepiej będzie zorientować się w sytuacji, zanim popełnię głupotę, która skończy się kalectwem.

Znalazłem czyste ubranie, wyszedłem na balkon, zapaliłem papierosa i zadzwoniłem do Rewelki.

– Cześć, Frank – odezwał się z dobrze wyważoną uprzejmością, tak bym zrozumiał, że nie cieszy się, słysząc mój głos. – Czym mogę służyć?

Przybrałem ton, który miał być odpowiednikiem nieśmiałego uśmiechu.

– Wiem, że jesteś zajęтым człowiekiem, ale mam nadzieję, że będziesz mógł coś dla mnie zrobić.

– Z ochotą, stary, tylko że teraz...

Stary?

– W takim razie przejdę do rzeczy. Mój wspaniały kumpel z wydziału, Yeates... znasz go?

– Poznaliśmy się.

– Rozrywkowy, prawda? Wczoraj wieczorem wypiliśmy parę piw i opowiedziałem mu, co tu się wydarzyło. Od tego czasu nie przestaje mi docinać, że zostawiła mnie dziewczyna. Krótko mówiąc,

a nie wspomnę już o tym, jak bardzo jestem dotknięty, że mój własny kolega może wyrażać wątpliwość co do mojej atrakcyjności seksualnej, no i, krótko mówiąc, założyłem się o stówkę, że Rosie nie puściła mnie kantem. Jeśli wiesz o czymś, co mogłoby rozstrzygnąć zakład, podzielimy się wygraną po połowie. – Yeates wygląda jak podlec i zimny drań, nikt nie ma ochoty się z nim zadawać; Rewelka mnie nie sprawdzi.

– Wszystkie informacje na temat śledztwa są poufne – odrzekł wyniośle.

– Nie zamierzałem sprzedawać ich „Daily Star”. Gdy ostatnio widziałem Yeatesa, był gliniarzem, jak ty i ja, tylko tęższym i brzydszym.

– Nie z mojego zespołu. Jak ty.

– Daj spokój, Rewelka. Przynajmniej powiedz, czy to Rosie leżała w suterenie. Jeżeli te zwłoki porzucił jakiś wiktoriański złoczyńca, dam Yeatesowi pieniądze i będzie po sprawie.

– Och, Frank, Frank – westchnął z pewną dozą współczucia. – Wiem, że nie jest ci łatwo. Pamiętasz, o czym rozmawialiśmy?

– Słowo w słowo. Wyszło na to, że nie chcesz, żebym wchodził ci w drogę. Dlatego składałem ci jednorazową propozycję. Odpowiedz na drobne pytanie, a następnym razem odezwę się do ciebie dopiero wtedy, gdy będę chciał zaprosić cię na piwo i pogratulować rozwiązania sprawy.

Rewelka milczał, aż poczuł, że dotarło do niego, jak bardzo nie aprobuje mojego postępowania.

– Frank, to nie jest Iveagh Market. Nie będę się z tobą układał ani rozstrzygał wydziałowych zakładów. To jest sprawa morderstwa i nic nie może zakłócać pracy mojego zespołu ani mojej. Sądziłem, że mając to na względzie, nie będziesz wchodził mi w drogę. Trochę się na tobie zawiodłem, szczerze mówiąc.

Nagle stanął mi przed oczami pewien wieczór, jeszcze gdy byliśmy w Templemore: Rewelka, nawalony jak stodoła, chciał mi udowodnić, że wyżej nasika na mur, który mijaliśmy w drodze do



domu. Próbowałem dociec, kiedy ten facet stał się nadętym, podstarzałym ciulem, a może zawsze był taki w głębi duszy, tyle że w młodości maskował to wysoki poziom testosteronu.

– Masz rację – powiedziałem cały skruszony. – To niedopuszczalne, żeby ten spaślak Yeates wyobrażał sobie, że ma nade mną przewagę, rozumiesz, o co mi chodzi?

– Uhm. Wiesz, Frank, wola zwycięstwa jest rzeczą cenną, dopóki nie pozwolisz, by zepchnęła cię na przegraną pozycję.

Byłem prawie pewny, że to stwierdzenie kompletnie nic nie znaczy, ale wypowiedział je takim tonem, jakby dzielił się światłą myślą.

– Za mądre jak dla mnie, ale na pewno przemyszę twoje słowa. Do zobaczenia.

Wypaliłem kolejnego papierosa, obserwując falę niedzielnych zakupowiczów, którzy, rozpychając się, płynęli w jedną i drugą stronę nabrzeżami. Uwielbiam przybyszów z zagranicy; różnorodność niemowląt wystawianych na widok publiczny w dzisiejszych czasach przekracza o kilka kontynentów stan sprzed dwudziestu lat, a ponadto gdy Irlandki ochoczo przemieniają się w pomarańczowe strachy na wróble, urocze panie z innych części świata z zapalem wypełniają powstałą lukę. Wypatrzyłem kilka, z którymi natychmiast bym się ożenił i dał Holly chmarę rodzeństwa, a które moja matka nazwałaby mieszańcami.

Technika kryminalistycznego mogłem spisać na straty: nie ruszy palcem w bucie, straciwszy przeze mnie miłe popołudnie w pornograficznej cyberprzestrzeni. Natomiast Cooper mnie lubi, pracuje w weekendy i jeśli tylko nie ma ogromnych zaległości w robocie, na pewno przeprowadził już sekcję. Istniało duże prawdopodobieństwo, że te kości ujawniły mu choć część tego, co chciałem wiedzieć.

Holly i Olivia na pewno były już tak wkurzone, że jeszcze jedna godzina zwłoki niewiele zmieni. Wyrzuciłem niedopałek i zacząłem działać.

Cooper nie znosi większości ludzi, a większość ludzi uważa, że trafiło to na nich przez przypadek. Nie rozumieją jednego: Cooper nie cierpi się nudzić i ma niski próg wytrzymałości. Znudziś go raz – Rewelka niewątpliwie uczynił to przy jakiejś okazji – i skreśli cię na zawsze. Podsycaj jego zainteresowanie, a będziesz miał go w garści. Mówiono o mnie różne rzeczy, ale nigdy nie nazwano nudziarzem.

Kostnica miejska, położona w odległości szybkiego spaceru nadbrzeżem od mojego mieszkania, za dworcem autobusowym, mieści się w ponad stuletnim ceglany gmachu. Rzadko zdarza mi się tam zachodzić, ale na samą myśl o tym miejscu zazwyczaj ogarnia mnie zadowolenie, tak samo jak na myśl, że wydział zabójstw ma swoją siedzibę na zamku dublińskim: wykonując naszą pracę, wnikamy do serca miasta jak rzeka Liffey, więc przysługuje nam bliskość dobrych fragmentów naszej historii i architektury. Tego dnia nie byłem taki zadowolony. Gdzieś w głębi budynku znajdowała się być może Rosie, razem z Cooperem, który badał, ważył i mierzył każdy jej szczątek.

Cooper przyszedł do recepcji, gdy poprosiłem o rozmowę z nim, ale, jak większość ludzi w ten weekend, nie był zachwycony moim widokiem.

– Detektyw Kennedy – oświadczył, wypowiadając nazwisko ostrożnie, jakby miało brzydki posmak – wyraźnie poinformował mnie, że nie należy pan do jego zespołu śledczego i nie ma pan powodu zasięgać informacji o tej sprawie.

A ja postawiłem mu piwo. Co za niewdzięczny drań.

– Detektyw Kennedy traktuje siebie zbyt poważnie – odrzekłem. – Nie muszę należeć do jego minizespołu, żeby okazywać zainteresowanie. Ta sprawa jest interesująca. Poza tym... ale chciałbym, żeby ta wiadomość się nie rozeszła... jeśli ofiara jest tym, kim sądzę, to dorastaliśmy razem.

Na te słowa w małych jak paciorki oczach lekarza pojawiła się iskierka, zgodnie z moimi przewidywaniami.

– Ach tak?

Spuściłem wzrok i z udawaną powściągliwością, która miała

rozbudzić jego ciekawość, powiedziałem, oglądając paznokcie swojego kciuka:

– W istocie przez pewien czas, gdy mieliśmy lat naście, spotykałem się z nią.

Połknął haczyk: brwi podjechały mu wysoko na czoło i oczy rozbłysły jeszcze bardziej. Gdyby nie to, że Cooper bez wątpienia wykonywał pracę, do której idealnie się nadawał, zacząłbym się martwić, co on wyprawia w wolnym czasie.

– A więc rozumie pan, że chcę usłyszeć, co jej się stało... oczywiście, jeśli nie jest pan zbyt zajęty, by mi to wyjaśnić.

Czego Kennedy się nie dowie, to go nie zaboli.

Cooper wciągnął kąciki ust do wewnątrz, co u niego jest oznaką uśmiechu.

– Proszę, niech pan wejdzie – powiedział.

Długie korytarze, eleganckie klatki schodowe, całkiem niezłe stare akwarele na ścianach, przedzielone girlandami ze sztucznych gałązek sosnowych, stanowiących harmonijne połączenie świątecznej atmosfery z posępnością. Nawet sama kostnica, długie pomieszczenie ze sztukaterią na suficie i wysokimi oknami, wyglądałaby pięknie, gdyby nie drobne detale: gęste zimne powietrze, zapach, goła posadzka i rzędy stalowych szuflad wzdłuż jednej ściany. Między szufladami tabliczka ze starannie wrytym napisem: „Nogami do przodu. Na głowie identyfikator z nazwiskiem”.

Cooper ściągnął usta w zamyśleniu, patrząc na szuflady, i zmrużywszy oko, przesuwał palcem od jednej do drugiej.

– Nasza nowa N.N. – powiedział. – Aha. – Zrobił krok do przodu i zamaszystym ruchem wyciągnął szufladę.

Jest taki przełącznik, który uczysz się uruchamiać dość szybko po rozpoczęciu pracy w wydziale tajnych operacji. Z czasem to przełączanie staje się łatwe, może za łatwe: jeden pstryk, gdzieś w zakamarku umysłu, i cały obraz ukazuje się w oddali, na małym ładnym ekranie, w żywych barwach, a ty przyglądasz się i opracowujesz strategię, od czasu do czasu poszturchujesz którąś z postaci, skupiony,

zamyślony i bezpieczny jak generał. Ci, którzy nie potrafią szybko znaleźć przełącznika, trafiają do innych wydziałów albo do piachu. Uruchomiłem przycisk i spojrzałem.

Kości leżały na metalowej płycie, idealnie ułożone, niemal artystycznie, niczym doskonale puzzle. Lekarz i jego asystenci jakoś je oczyścili, ale wciąż były brązowawe i jakby zatłuszczone, oprócz dwóch rzędów zębów, białych jak z reklamy Colgate. Wszystko razem wydawało się zbyt małe i zbyt kruche, żeby to była Rosie. Przez ułamek sekundy jakąś cząstką siebie łudziłem się jeszcze nadzieją.

Z ulicy dolatywał śmiech grupki dziewcząt, nieopanowane piski, stłumione grubą szybą. W pomieszczeniu zrobiło się za jasno; Cooper stał minimalnie za blisko, obserwując mnie odrobinę zbyt uważnie.

– Szczątki należą do młodej dorosłej kobiety rasy białej, wzrost między pięć stóp i sześć cali a pięć stóp i dziewięć cali, budowa ciała pomiędzy średnią a mocną. Rozwój zębów mądrości oraz niezakończony proces zrastania nasad kości długich pozwalają określić jej wiek na osiemnaście do dwudziestu dwóch lat.

Przerwał i czekał, aż zadam pytanie.

– Może pan stwierdzić z całą pewnością, że to jest Rose Daly?

– Nie dysponujemy zdjęciami rentgenowskimi zębów, lecz w karcie dentystycznej Rose Daly jest napisane, że miała jedno wypełnienie w tylnym dolnym zębie trzonowym po prawej stronie. Zmarła też ma jedno wypełnienie w tym zębie.

Dwoma palcami przesunął żuchwę w dół, pokazując ząb.

– Nie tylko ona – zauważyłem.

Cooper wzruszył ramionami.

– Nieprawdopodobne koincydencje czasem się zdarzają, jak wiadomo. Na szczęście nie musimy opierać się wyłącznie na tym wypełnieniu, by ustalić tożsamość. – Ze stosu teczek porządnie ułożonych na długim stole wyjął dwie klisze i powiesił je na negatoposkopie, jedną na drugiej. – Gotowe – powiedział i włączył światło.

Pojawiła się Rosie, rozświetlona i uśmiechnięta, na tle czerwonego

muru i szarego nieba, z uniesioną brodą i rozwianymi na wietrze włosami. Przez sekundę widziałem tylko ją. Potem zauważyłem małe białe krzyżyki na jej twarzy, a chwilę później pustą czaszkę wyzierającą z tyłu.

– Proszę przyjrzeć się zaznaczonym przeze mnie miejscom – ciągnął Cooper. – Cechy anatomiczne znalezionej czaszki, na przykład wielkość, kąt nachylenia i rozstaw oczodołów, nos, zęby, żuchwa i tak dalej, dokładnie odpowiadają rysom Rose Daly. Choć taka zbieżność nie rozstrzyga o tożsamości zmarłej, pozwala ją zidentyfikować z dużą pewnością, zwłaszcza gdy uwzględnimy zarówno wypełnienie zęba, jak i okoliczności. Powiedziałem już detektywowi Kennedy'emu, że wolno mu powiadomić rodzinę. Ze spokojem zeznam pod przysięgą, że to Rose Daly.

– Jak umarła? – zapytałem.

– Sam pan widzi, detektywie – omiół ręką kości – to wszystko, co mam. Gdy dysponujemy szczątkami w postaci szkieletu, rzadko można ustalić przyczynę śmierci ze stuprocentową pewnością. Ta kobieta niewątpliwie padła ofiarą napaści, choć nie mam sposobu, by wykluczyć, że podczas napaści nastąpił na przykład zawał serca ze skutkiem śmiertelnym.

– Detektyw Kennedy wspominał o pęknięciach czaszki.

– O ile się nie mylę – nadał się Cooper, dźgając mnie wzrokiem – detektyw Kennedy nie jest dyplomowanym lekarzem ze specjalizacją z patologii.

Zdobyłem się na szeroki uśmiech.

– Nie jest również dyplomowanym nudziarzem, ale swoją robotę wykonuje doskonale.

Kąciki ust Coopera lekko zadrżały.

– Traf chciał, że detektyw Kennedy istotnie nie myli się, mówiąc o pęknięciach czaszki.

Wyciągnął palce i obrócił czaszkę na bok.

– Proszę spojrzeć.

Jego ręka w cienkiej białej rękawiczce wyglądała tak, jakby była

mokra i martwa, jakby łuszczyła się płatami. Tył głowy Rosie przypominał przednią szybę samochodu po uderzeniu kijem golfowym, więcej niż raz – rysy układały się w gęstą, nieregularną pajęczynę, rozchodziły promieniście na wszystkie strony, przecinały się i załamывały. Prawie wszystkie włosy wypadły, splątane i zgarnięte na kupkę leżały tuż obok, ale kilka kędzierzawych pasemek wciąż zwisało z rozbitej czaszki.

– Jeśli dobrze się pan przyjrzy – mówił Cooper, lekko gładząc palcem rysy – zobaczy pan, że krawędzie złamanych kości są poszarpane. Zatem przy uderzeniu kość była wilgotna i sprężysta, nie zaś wysuszona i krucha. Innymi słowy, należy wykluczyć, że są to obrażenia pośmiertne, i uznać je za okołosmiertne. Nastąpiły w wyniku kilku mocnych uderzeń, przynajmniej trzech, jak sądzę, przedmiotem o płaskiej powierzchni, szerokiej na cztery cale albo więcej, bez ostrych brzegów czy rogów.

Powstrzymałem się przed przełknięciem śliny; Cooper by to zauważył.

– Hm, ja też nie jestem lekarzem, ale wydaje mi się, że takie uderzenia mogły spowodować śmierć.

– Istotnie, mogły. – Uśmiechnął się z wyższością. – Ale w tym wypadku nie możemy mieć całkowitej pewności. Proszę popatrzeć.

Pogrzebał przy gardle Rosie i wyjął dwie delikatne kostki.

– Oto kość gnykowa – wyjaśnił, przykładając jedną do drugiej tak, że tworzyły podkowę. – Leży u góry szyi, tuż pod żuchwą, podpira język i osłania drogi oddechowe. Jak pan widzi, jeden z rozków większych jest całkowicie ułamany. Złamanie kości gnykowej wskazuje w stopniu tak pewnym, że diagnostycznym, iż nastąpił wypadek komunikacyjny lub doszło do uduszenia rękami.

– A więc, o ile nie wpadła pod niewidzialny samochód, który jakoś zdołał wjechać do sutereny, można przyjąć, że ktoś wycisnął z niej ostatnie tchnienie.

– Pod wieloma względami to – oświadczył Cooper, machając w moim kierunku kością gnykową Rosie – jest najbardziej fascynujący

aspekt tej sprawy. Jak już wspomnieliśmy, nasza ofiara miała najpewniej około dziewiętnastu lat. U nastolatków rzadko dochodzi do złamania kości gnykowej, bo jest sprężysta, a jednak to złamanie, podobnie jak pozostałe, bez wątpienia wystąpiło okołośmiertnie. Można to wytłumaczyć jedynie w ten sposób, że ofiara została uduszona z wyjątkową siłą, a więc przez kogoś krzepkiego.

- Mężczyznę.

- Prawdopodobny kandydat, choć z pewnością nie można wykluczyć silnej kobiety w stanie wzburzenia emocjonalnego. Moja teoria, która spójnie wyjaśnia powstanie wszystkich obrażeń, przedstawia się następująco: napastnik chwycił ofiarę za gardło i kilkakrotnie uderzył jej głową o ścianę. Dwie przeciwstawne siły, impet napastnika i oddziaływanie ściany, doprowadziły do złamania kości gnykowej i zgniecenia dróg oddechowych.

- I doszło do uduszenia.

- Asfiksji – rzekł Cooper, spoglądając na mnie. – Tak uważam. Detektyw Kennedy ma co prawda rację, twierdząc, że obrażenia głowy i tak doprowadziłyby do zgonu na skutek krwotoku wewnątrzczaszkowego i uszkodzenia mózgu, ale nastąpiłoby to nawet po kilku godzinach. Zanim tak się stało, ofiara najpewniej zmarła w wyniku hipoksji spowodowanej albo samym uduszeniem, albo zatrzymaniem akcji serca w wyniku odruchu z nerwu błędnego na skutek duszenia, albo zablokowaniem dróg oddechowych złamaną kością gnykową.

Ciągle naciskałem psychiczny przełącznik, z całych sił. W pewnej chwili mignęła mi przed oczami wygięta szyja Rosie, jak zawsze wtedy, gdy się śmiała.

Cooper mówił dalej, dla pewności, że zrobił wszystko, co w ludzkiej mocy, żeby namącić mi w głowie:

- Na szkielecie nie widać innych obrażeń okołośmiertnych, ale taki znaczny stopień rozkładu uniemożliwia stwierdzenie jakichkolwiek uszkodzeń tkanki miękkiej. Nie widać również na przykład tego, czy napaść miała charakter seksualny.

– Jak mi się wydaje, detektyw Kennedy sugerował, że dziewczyna była ubrana. Jeśli to o czymkolwiek świadczy.

Cooper ściągnął usta.

– Tkaniny zachowały się w niewielkim stopniu. Ekipa kryminalistyczna istotnie znalazła na i przy szkielecie kilka przedmiotów będących elementami garderoby: zamek błyskawiczny, metalowe guziki, haftki, na które zapina się biustonosz, i tym podobne rzeczy, co świadczy, że zwłoki zostały ukryte razem z kompletnym lub niemal kompletnym ubraniem. To wcale nie znaczy, że ta odzież znajdowała się na swoim miejscu, gdy ukrywano zwłoki. Tak na skutek naturalnego procesu rozkładu, jak i w wyniku działalności gryzoni te przedmioty zmieniły położenie i dlatego nie można powiedzieć, czy ofiarę ukryto w ubraniu, czy razem z ubraniem.

– Zamek błyskawiczny był zapięty czy nie?

– Zapięty. Haftki biustonosza również. Ale to niczego nie dowodzi: ofiara mogła się ubrać po napaści. Sądzę jednak, że na coś wskazuje.

– A paznokcie? Były połamane? – zapytałem. Rosie by się broniła, i to ostro.

Cooper westchnął. Zaczynałem go nudzić, zadając te same podstawowe pytania, które już zadawał mu Rewelka; albo postaram się go zaciekawić, albo mogę sobie iść.

– Paznokcie ulegają rozkładowi – odrzekł, wskazując lekceważącym ruchem głowy kupkę brązowawych wiórków przy kościach dłoni Rosie. – W tym wypadku, podobnie jak włosy, częściowo się zachowały z powodu zasadowego środowiska, choć poważnie naruszone. Nie jestem jasnowidzem, więc nie będę snuł domysłów co do ich stanu pierwotnego.

– Jeszcze jedno pytanie, jeśli dysponuje pan czasem, i przestanę pana kłopotać. Wiadomo panu, czy technicy znaleźli przy niej coś jeszcze poza fragmentami odzieży? Może klucze?

– Należy sądzić – powiedział surowo – że oni będą mieli większą wiedzę na ten temat niż ja.



Rękę już trzymał na szufladzie, gotów ją wsunąć. Jeśli Rosie miała klucze do domu, które albo zwrócił jej ojciec, albo je zwędziła, to tamtej nocy mogła wyjść drzwiami frontowymi, ale nie skorzystała z tej możliwości. Przychodził mi do głowy tylko jeden powód, dlaczego tak się stało. Bo jednak nie chciała się ze mną spotkać.

– Oczywiście ma pan rację, doktorze... tym pan się nie zajmuje... ale połowa tych ludzi stoi szczebel wyżej od tresowanych małp. Obawiam się, że nie wiedzieliby, o czym mówię, o udzieleniu mi właściwych informacji już nie wspomnę. Pan rozumie, że w tej sprawie wolę nie grać na małej loterii.

Cooper skrzywił lekko brew, jak gdyby mnie przejrzał, ale się tym nie przejął.

– W początkowym raporcie wymienia się dwa srebrne pierścionki i trzy srebrne kolczyki na sztyfcie. Państwo Daly wstępnie potwierdzili, że taką biżuterię posiadała ich córka. Ponadto mówi się o jednym małym kluczyku do masowo produkowanego zamka marnej jakości, który to kluczyk zapewne pasuje do zamków znalezionej uprzednio walizki. Nie wymienia się innych kluczy, akcesoriów ani rzeczy osobistych.

A zatem wróciłem do punktu, w którym się znajdowałem, gdy pierwszy raz zobaczyłem tę walizkę: ogłupiały, zawieszony w stanie nieważkości i pogrążony w ciemnościach, gdzie nie miałem czego się uchwycić. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że być może nigdy się nie dowiem, że naprawdę może się tak stać.

– Czy to wszystko? – zapytał Cooper.

W kostnicy było bardzo cicho, tylko szumiał gdzieś regulator temperatury. Jestem człowiekiem, który nie rozplywa się w żalu ani nie zagląda do kieliszka, ale ten weekend był szczególny. Patrzyłem na brązowe kości, nagie, rozłożone pod jarzeniówkami Coopera, i nie mogłem przeboleć, że się nie wycofałem i nie zostawiłem tej dziewczyny w spokoju. Nie ze względu na siebie, ze względu na nią. Teraz należała do wszystkich: do Coopera, Rewelki, Faithful Place – wszyscy mogli czepiać się jej, donosić na nią i wykorzystywać ją do

swoich celów. Faithful Place już zaczęła powoli i z zadowoleniem międlić temat, przerabiać jej historię na jeszcze jeden lokalny horror, na wpół opowieść o duchach i na wpół moralitet, na wpół miejską legendę i na wpół historię jak z życia wziętą. Wchłonie bez reszty pamięć o niej, tak jak ziemia wchłonęła jej ciało. Lepiej jej było w tej suterenie. Pamięć o niej zachowywali przynajmniej tylko ci, którzy ją kochali.

– Tak – powiedziałem. – To wszystko.

Zamknął szufladę jednym ruchem, któremu towarzyszyło przeciągłe szuranie metalu o metal, i kości zniknęły wśród kwater innych zmarłych opatrzonych znakiem zapytania. Ostatnią rzeczą, jaką widziałem, wychodząc z kostnicy, była twarz Rosie, wciąż rozświetlona i przezroczysta, jej błyszczące oczy i bezkonkurencyjny uśmiech, który cieniutką powłoką pokrywał gnijącą kość. Cooper odprowadził mnie do wyjścia. Złożyłem mu najuprzejmiejsze i najbardziej lizusowskie podziękowania, na jakie było mnie stać, i obiecałem butelkę jego ulubionego wina w prezencie świątecznym, a on pomachał mi przy drzwiach na pożegnanie i poszedł zająć się tymi zatrzważającymi rzeczami, którymi zajmuje się, przebywając samotnie w kostnicy. Gdy skręciłem za róg, walnąłem pięścią w mur. Obtarłem palce do żywego mięsa, ale ból podziałał wspaniale, na kilka sekund, wypalając mój umysł do białości i do szczętu, gdy zgięty wpół ścisnąłem rękę.

Wsiadłem do samochodu, w którym unosiła się ponętna woń spoconego pijaka śpiącego w ubraniu, i ruszyłem do Dalkey. Gdy zadzwoniłem do domu Olivii, usłyszałem stłumione głosy, ostry zgrzyt odsuwanej krzesła i głośnie tupanie po schodach – Holly, kiedy jest w złym humorze, waży ze dwieście funtów – a potem z atomową mocą trzasnęły drzwi.

Olivia przywitała mnie z nieprzeniknionym wyrazem twarzy.

– Mam szczerą nadzieję, że zdołasz przekonująco się usprawiedliwić. Ona jest przygnębiona, zła i zawiedziona, i każde z tych odczuć jest w pełni uzasadnione. Również ja, jeśli w ogóle cię to obchodzi, nie jestem zachwycona zepsutym weekendem.

Niekiedy nawet ja mam dość rozumu, żeby nie wpadać tu tańecznym krokiem i nie urządzać nalotu na lodówkę. Stałem w progu i na głowę spadały mi z okapu resztki deszczu.

– Przepraszam, szczerze przepraszam, Liv. Nie miałem wyboru, wierz mi. To była sytuacja kryzysowa.

Leciutkie, sceptyczne uniesienie brwi.

– Ach tak? Niech się dowiem: kto umarł?

– Ktoś, kogo kiedyś znałem, dawno temu. Zanim opuściłem dom. To ją zaskoczyło, ale w ułamku sekundy doszła do siebie.

– Innymi słowy, ktoś, z kim nie chciało ci się utrzymywać kontaktu przed dwadzieścia kilka lat, a kto nagle okazał się ważniejszy od twojej własnej córki. Po co ja zadaję sobie trud i przekładam spotkanie z Dermotem, skoro coś, gdzieś może się przytrafić komuś, kogo kiedyś znałeś?

– To nie tak. Ta dziewczyna była mi bliska. Została zamordo-

wana tamtej nocy, gdy opuściłem dom. W weekend znaleziono jej ciało.

Teraz skupiła na mnie całą uwagę i utkwiała w mojej twarzy długie, baczne spojrzenie.

– Ta dziewczyna – powtórzyła. – „Bliska” oznacza, że była twoją dziewczyną, tak? Pierwszą miłością.

– Uhm, tak jakby.

Zrozumiała, o co chodzi; wyraz twarzy się nie zmienił, ale widziałem, że zapadła się w siebie, żeby to przemyśleć.

– Współczuję – powiedziała. – Myślę, że powinieneś wytłumaczyć to Holly... przynajmniej z grubsza. Jest u siebie.

Gdy zapukałem do pokoju Holly, krzyknęła: „Idź sobie!”. Sypialnia mojej córki jest jedynym miejscem w całym domu, gdzie widać, że nie przestałem istnieć: wśród dziewczęcych różów i falbanek znajdowały się kupione przeze mnie pluszaki, kiepskie dowcipy rysunkowe mojego autorstwa i śmieszne pocztówki, które jej wysyłałem bez konkretnego powodu. Holly leżała na łóżku, na brzuchu, z poduszką na głowie.

– Cześć, dziecinko.

Wściekła przewróciła się na bok i mocniej naciągnęła poduszkę na uszy, ale nic więcej.

– Jestem ci winien przeprosiny – powiedziałem.

Po chwili odezwała się zduszonym głosem:

– Trzy przeprosiny.

– Jak to?

– Odwiozłeś mnie do mamy, powiedziałeś, że przyjedziesz po mnie później, i nie przyjechałeś, powiedziałeś, że zabierzesz mnie wczoraj, i nie zabrałeś.

Nawet cienia litości.

– Oczywiście masz słuszość. Jeśli podejdziesz do mnie, przeproszę cię trzy razy prosto w oczy. Ale nie będę przeproszał poduszki.

Wiedziałem, że zastanawia się, czy karać mnie dłużej. Lecz Holly nie jest obraźliwa – pięć minut to u niej góra.

– Jestem ci również winien wyjaśnienie – dodałem dla dobicia targu.

Ciekawość zwyciężyła; po chwili poduszka zsunęła się odrobinę i spod niej podejrzliwie wyrzała mała buzia.

– Przepraszam, przepraszam podwójnie i przepraszam potrójnie, z ręką na sercu i różą w zębach.

Holly usiadła z westchnieniem, odgarniając do tyłu włosy, ale wciąż nie chciała na mnie spojrzeć.

– Co się stało? – zapytała.

– Pamiętasz, jak mówiłem ci, że ciocia Jackie ma kłopot?

– No.

– Ktoś umarł, kochanie. Ktoś, kogo znaliśmy dawno temu.

– Kto?

– Pewna dziewczyna. Miała na imię Rosie.

– Dlaczego umarła?

– Nie wiemy. Umarła wiele lat temu, jeszcze zanim się urodziłaś, ale dowiedzieliśmy się o tym w piątek wieczorem. Wszystkim było bardzo smutno. Rozumiesz, dlaczego musiałem zobaczyć się z ciocią Jackie?

Lekki ruch ramieniem, jednym.

– Chyba tak.

– Czy to znaczy, że możemy przyjemnie spędzić razem resztę weekendu?

– Miałam pójść do Sarah. W zamian.

– Ptaszyno, zwracam się do ciebie z prośbą: zrób to dla mnie. Bardzo mi zależy, żebyśmy rozpoczęli ten weekend na nowo. Zaczniemy od miejsca, gdzie go przerwaliśmy w piątek wieczorem, i zrobimy mnóstwo fajnych rzeczy, zanim odwiozę cię dziś do domu. Tak jakby po drodze nic się nie wydarzyło. – Dostrzegłem ruch rzęs, gdy zerknęła na mnie kątem oka, ale nic nie powiedziała. – Wiem, że to duża prośba i być może nie zasługuję, żebyś się zgodziła, ale od czasu do czasu ludzie muszą dać sobie nawzajem trochę luzu. Tylko tak udaje się nam wszystkim dotrwać do końca dnia. Mogłabyś to dla

mnie zrobić?

Po zastanowieniu spytała:

– Będiesz musiał tam wrócić, jeżeli wydarzy się coś nowego?

– Nie, kochanie. Teraz dba o wszystko paru innych detektywów.

Bez względu na to, co się wydarzy, oni zostaną wezwani i będą musieli się tym zająć. To już nie moja sprawa. W porządku?

Chwilę później Holly otarła się głową o moje ramię, szybkim ruchem, jak kot.

– Przykro mi, tatusiu, że twoja przyjaciółka nie żyje.

– Dziękuję, kochanie. – Pogłaskałem ją po włosach. – Nie będę cię oszukiwał: ten weekend był do luftu. Ale teraz sytuacja się poprawia.

Z dołu doleciał dźwięk dzwonka do drzwi.

– Spodziewasz się kogoś? – spytałem.

Holly wzruszyła ramionami, ja zrobiłem minę, która miała wystraszyć Dermota, ale rozległ się kobiecy głos. Jackie.

– Jak się masz, Olivio? Potworna zimnica, co?

Kilka słów wypowiedzianych cicho i szybko przez Liv, milczenie, potem lekki trzask drzwi kuchennych i pośpieszne szepty, gdy wymieniały wiadomości.

– Ciocia Jackie! Może pójść z nami?

– Jasne.

Podszedłem do łóżka, chcąc wziąć Holly na rękę, ale ona zrobiła unik i dała nura do szafy, żeby ze zwału pastelowych łaszków wygrzebać ten konkretny sweterek, o którym myślała.

Jackie i Holly przepadają za sobą. Co dziwne, a zarazem trochę niepokojące, Jackie i Liv też – żadnemu mężczyźnie nie zależy na tym, żeby kobiety obecne w jego życiu łączyła silna więź, bo jeszcze zaczną go obgadywać. Po spotkaniu Liv przez długi czas nie chciałem, żeby się poznały; nie wiem, której się wstydzilem, a może bałem, ale uprzytomniłem sobie, że będę się czuł dużo pewniej, jeżeli Jackie ustosunkuje się negatywnie do moich nowych powiązań z klasą średnią i usunie się z mojego życia. Choć Jackie jest jedną z osób,

które darzę wielką sympatią, zawsze miałem talent do rozpoznawania pięt Achillesa, również swoich.

Przez osiem lat po opuszczeniu domu trzymałem się z dala od strefy radioaktywnej, myślałem o swojej rodzinie może raz na rok, gdy jakaś starsza pani na ulicy tak przypominała moją matkę, że natychmiast szukałem kryjówki, i jakoś mi się udawało. W mieście tej wielkości szczęście nie mogło mi dopisywać zbyt długo. Odrodzenie się związku z Jackie zawdzięczam niewydarzonemu ekshibicjonście, który wybrał niewłaściwą dziewczynę, żeby przeżyć z nią chwilę uniesienia. Kiedy Mały Fiutek wyskoczył z zaułka, wyciągnął interes i zaczął robić sobie dobrze, Jackie parsknęła śmiechem, facetowi sflaczało ego, po czym dostał od niej jeszcze kopa w jaja. Miała siedemnaście lat, ledwie wyprowadziła się z domu. Pracowałem wtedy w wydziale przestępstw na tle seksualnym, planując dalszą karierę w wydziale tajnych operacji; ponieważ w okolicy doszło do paru gwałtów, naczelnik polecił przesłuchać Jackie.

Nie musiało paść na mnie. Właściwie nie powinno: trzymamy się z dala od spraw, w które zaangażowany jest ktoś z rodziny. Gdy tylko zobaczyłem, że skargę złożyła Jacinta Mackey, wiedziałem, o kogo chodzi. Połowa mieszkańców Dublina ma takie imię albo nazwisko, ale wątpię, czy ktoś jeszcze oprócz moich rodziców połączyłby jedno z drugim i nazwał dziecko Jackie Mackey. Mogłem poinformować naczelnika, mogłem poprosić kolegę, żeby spisał jej zeznania co do kompleksu niższości Małego Fiutka, i do końca życia już bym nie myślał o swojej rodzinie, o Faithful Place ani o „dziwnej sprawie tajemniczego zniknięcia”. Ale byłem ciekaw. Jackie miała dziewięć lat, gdy uciekłem z domu, i w niczym nie zawiniła; była dobrym dzieckiem. Chciałem zobaczyć, co z niej wyrosło. Zadawałem sobie jedno zasadnicze pytanie: czy przyniesie to dużo złego? Popełniłem błąd, uważając, że pytanie jest retoryczne.

– Chodź – powiedziałem do Holly, rzucając jej drugi but, odnaleziony po dłuższych poszukiwaniach. – Weźmiemy ciocię Jackie na spacer, a potem zjemy pizzę, którą ci obiecałem w piątek wieczorem.

• • •

Jedną z wielu moich radości po rozwodzie jest to, że już nie muszę chodzić na orzeźwiające niedzielne spacerunki po Dalkey i uprzejmym skinieniem głowy witać ubranych w beże par, które uważają, że z powodu mojego akcentu spada wartość nieruchomości w sąsiedztwie. Holly lubi huśtawki w Herbert Park – jak wynika z monologu wygłaszanego cicho i z przejęciem, gdy już się rozbuja, zaliczają się do koni i mają jakiś związek z Robin Hoodem – więc tam ją zabraliśmy. Z upływem dnia przejaśniło się i ochłodziło, ale nie zanadto, i wielu rozwiedzionym tatusiom przyszedł do głowy ten sam pomysł. Niektórzy zabrali dla towarzystwa swoje młode, atrakcyjne przyjaciółki. Z Jackie u boku, ubraną w kurtkę z imitacji futra lamparta, pasowałem doskonale.

Holly wystrzeliła na plac zabaw, a my znaleźliśmy ławkę, skąd mieliśmy na nią oko. Obserwowanie Holly na huśtawce należy do najlepszych terapii, jakie znam. Dziewczynka jest silna, jak na takie chuchro, może bujać się godzinami bez oznak zmęczenia, a ja mogę na nią patrzeć, wpadając w błogi stan hipnozy wywołanej jej rytmicznymi ruchami. Gdy poczułem, że opadają mi barki, uprzytomniłem sobie, jaki byłem spięty. Oddychałem głęboko i zastanawiałem się, w jaki sposób zapanuję nad ciśnieniem krwi, gdy Holly przestanie się bawić na huśtawkach.

– Boże drogi, ależ ona urosła, od kiedy widziałam ją ostatnio, prawda? Ani się obejrzyć, a będzie wyższa ode mnie.

– Lada dzień zamknę ją w pokoju i będę trzymał pod kluczem do osiemnastych urodzin. Tylko czekam, aż pierwszy raz wymówi imię jakiegoś chłopca, nie udając, że robi jej się niedobrze.

Wyciągnąłem przed siebie nogi, zaplotłem ręce na karku, wystawiłem twarz w stronę marnego słońca i pomyślałem, że tak mógłbym spędzić resztę popołudnia. Jeszcze trochę opadły mi barki.

– Przygotuj się na to, że one zaczynają teraz dużo wcześniej.

– Z Holly będzie inaczej. Powiedziałem jej, że chłopcy nie umieją załatwiać się na nocniku, dopóki nie skończą dwudziestu lat.



Jackie się roześmiała.

- W takim razie zacznie lecieć na starszych chłopaków.
- Którzy wiedzą, że jej tatuś ma rewolwer.
- Powiedz mi, Francis. Dobrze się czujesz?
- Poczuję się dobrze, gdy przejdzie mi kac. Masz aspirynę?  
Zaczęła grzebać w torebce.

– Nie mam. Pocierp, następnym razem będziesz uważał z alkoholem. Ale nie o to mi chodziło... no wiesz... Jak tam po wczorajszym? I po wczorajszym wieczorze.

– A jak się czuje mężczyzna wypoczywający w parku z dwiema uroczymi paniami? Niczego nie brakuje mi do szczęścia.

– Miałaś rację: Shay zachował się jak ostatni kutas. Nie powinien był mówić tak o Rosie.

– To już jej nie zaszkodzi.

– Jestem pewna, że nigdy nie kręcił się koło Rosie. Chciał cię tylko zdenerwować.

– Co ty powiesz? Nie da się powstrzymać człowieka przed robieniem tego, co lubi.

– Zwykle tak się nie zachowuje. Nie twierdzę, że teraz jest z niego święty, ale bardzo się uspokoił od czasu, gdy go znałeś. On po prostu... nie wie, co sądzić o tym, że wróciłeś. Rozumiesz, co mam na myśli?

– Nie przejmuj się, mała. Mówię poważnie. Zrób mi przyjemność i zajmij się czym innym: ciesz się słońcem i patrz na moje wspaniałe dziecko. Dobrze?

– Super. – Zaśmiała się. – Niech ci będzie.

Holly robiła, co do niej należało: była tak piękna, jak tylko mogłem sobie wymarzyć – z kucyków wysunęły się pasemka włosów i rozpałyły ogniem na słońcu. Zadowolona śpiewała do siebie półgłosem. Widok miarowo odchylającego się tułowia, nóg podkurczanych i prostowanych bez wysiłku, rozmasowywał z wolna moje mięśnie, rozluźniał je niczym pierwszej klasy joint.

– Holly już odrobiła lekcje – powiedziałem jakiś czas później. –

Chcesz pójść do kina, gdy zjemy?

– Muszę iść do rodziców.

A więc cała czwórka wciąż poddawała się tej cotygodniowej torturze: niedzielny wieczór u mamusi i tatusia, pieczeń wołowa i trójkolorowe lody, i jest super, dopóki komuś nie odbije.

– Idź później. Zbuntuj się.

– Umówiłam się z Gavinem na piwo w pubie, potem ja pójdę do rodziców, a on spotka się z kolegami. Jeżeli nie będę miała dla niego choć trochę czasu, pomyśli, że znalazłam sobie kochanka. Wpadłam tylko po to, żeby zobaczyć, czy u ciebie wszystko w porządku.

– Powiedz mu, żeby poszedł z nami.

– I obejrzał kreskówkę?

– W sam raz na jego poziomie.

– Wolne żarty – powiedziała spokojnie. – Nie doceniasz Gavina.

– Na pewno nie mam o nim takiego dobrego zdania jak ty. Choć wątpię, czy chciałby, żebym dopieszczał go tak jak ty.

– Jesteś obrzydliwy, i tyle. Swoją drogą, co ci się stało w rękę?

– Rzuciłem się na pomoc dziewczęciu, które wpadło w łapy nacjonalistów z gangu motocyklowego.

– Bądź poważny. Chyba nie upadłeś? Po tym, jak nas zostawiłeś. Byłeś trochę... nie mówię, że zachlany, ale...

Wtedy zadzwonił mój telefon, ten, który mają moi chłopcy i dziewczęta w terenie.

– Pilnuj Holly – powiedziałem, wyjmując aparat z kieszeni: brak nazwiska, nieznamy numer. – Muszę odebrać. Halo?

Wstawałem z ławki, gdy doszedł mnie skrzepowany głos Kevina.

– Hmm, Frank?

– Przepraszam, Kev, nie teraz. – Rozłączyłem się, schowałem telefon i usiadłem.

– To był Kevin? – zapytała Jackie.

– Aha.

– Nie masz ochoty z nim rozmawiać, tak?

– Nie mam.

Ze zrozumieniem spojrzała na mnie dużymi oczami.

– Będzie lepiej, Francis, przekonasz się.

Puściłem to mimo uszu.

– Mam pomysł. – Nagle ją olśniło. – Chodź ze mną do rodziców, gdy odwiesz Holly. Shay już wytrzeźwieje, to pewne, i będzie chciał cię przeprosić, Carmel przyprowdzi dzieciaki...

– Raczej nie.

– Och, Francis, dlaczego?

– Tatotatotato! – Holly odznacza się cudownym wyczuciem czasu: zeskoczyła z huśtawki i przygalopowała do nas, unosząc kolana jak konik, zarumieniona i zadyszana. – Przypomniało mi się, nie chcę zapomnieć, mogę dostać białe botki? Takie z futerkiem u góry i dwoma suwakami, całe mięciutkie, sięgają dotąd.

– Nie brak ci butów. Gdy ostatnio liczyłem, miałaś trzy tysiące dwanaście par.

– Ale nie mam takich! Na specjalną okazję.

– Zobaczymy. Dlaczego akurat te?

Gdy Holly chce coś mieć, a rzecz nie jest koniecznie potrzebna ani nie wiąże się z jakąś ważną uroczystością, pytam ją o powody zakupu. W ten sposób nauczy się, jaka jest różnica między „potrzebuję”, „chcę” i „chyba mi się podoba”. Przyjemność sprawia mi fakt, że mimo to częściej zwraca się z prośbą do mnie niż do Liv.

– Celia Bailey ma takie.

– Możesz mi przypomnieć, kto to jest ta Celia? Chodzi z tobą na lekcje tańca?

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

– Celię Bailey wszyscy znają.

– Zuch dziewczyna. Z czego?

Otworzyła szerzej oczy.

– Ona jest sławą.

– Świetnie. Aktorką?

– Nie.

– Piosenkarką?

– Nie! – Moja głupota była najwyraźniej bezdenna. Jackie przy-  
słuchiwała się tej rozmowie z uśmiechem w kąciку ust.

– Kosmonautką? Sportsmenką? Bohaterką francuskiego ruchu  
oporu?

– Tato, przestań! Ona występuje w telewizji!

– Podobnie jak kosmonauci, piosenkarze i ludzie, którzy wydają  
spod pachy dźwięki przypominające głosy zwierząt. Czymże ona  
zasłynęła?

Holly wzięła się pod boki i nadęła.

– Celia Bailey jest modelką – poinformowała mnie Jackie, chcąc  
wybawić nas oboje z udręki. – Na pewno ją znasz. Blondynka, parę lat  
temu chodziła z tym właścicielem klubu nocnego, a gdy ją zdradził,  
znalazła jego e-maile do dziewczyny, którą miał na boku, i sprzedała  
je „Star”. Teraz jest sławna.

– Ach, ona!

Jackie się nie myliła, rzeczywiście wiedziałem, kto to taki: lokalna  
dzdзира, która ochoczo obciąża druta i której największym osiągnię-  
ciem życiowym było bzykanie smarkacza z funduszem powierniczym  
i regularne występy w emitowanych za dnia programach telewizyj-  
nych, gdzie z rozdzierającą serce szczerością i żrenicami wielkości  
łebka od szpilki opowiadała o wygranej z kokainą. Ktoś taki jest  
gwiazdą pierwszej wielkości w dzisiejszej Irlandii.

– Holly, skarbie, żadna z niej sława. Ona jest pustym powietrzem  
wepchniętym w przymałe odzienie. Czy zrobiła coś, co warto było  
robić?

Wzruszenie ramion.

– Jest w czymś dobra?

Znowu wzruszenie ramion, ale efektowniejsze, pełne złości.

– No to czym, do diabła, zasłynęła? Dlaczego chcesz być taka jak  
ona?

Przewróciła oczami.

– Jest ładna.

– Panie Jezu. – Byłem autentycznie wstrząśnięty. – Żaden frag-

ment ciała tej dziewczyny nie jest takiego koloru, jakiego był pierwotnie, a co dopiero mówić o kształcie. Ona nawet nie wygląda jak człowiek.

Dym praktycznie buchał Holly z uszu, taka była poirytowana i skonsternowana.

- Ona jest modelką! Ciocia powiedziała!
- Nie jest nawet modelką. Pojawiła się na jakimś cholernym plakacie reklamującym napój jogurtowy. A to zupełnie co innego.
- Jest gwiazdą!
- Nie jest. Katharine Hepburn była gwiazdą. Bruce Springsteen jest gwiazdą. Ta laska jest dużym zerem. Wmawiała ludziom, że jest gwiazdą, i w końcu garstka prowincjonalnych kretynów jej uwierzyła, a to nie znaczy, że naprawdę jest gwiazdą. I nie znaczy, że ty masz dołączyć do tych kretynów.

Holly spąsowiała na twarzy, uniosła wysoko brodę gotowa do walki, ale trzymała nerwy na wodzy.

- Nic mnie to nie obchodzi. Tylko chcę mieć białe botki. Dobrze? Zdawałem sobie sprawę, że jestem wkurzony niewspółmiernie do sytuacji, mimo to nie potrafiłem przystopować.

– Nie. Gdy zaczniesz podziwiać osobę, która jest sławna, bo rzeczywiście czegoś dokonała... to by dopiero było...! Wtedy kupię ci, masz moje słowo, każdą rzecz z jej szafy. Ale nigdy w życiu nie będę marnował czasu i pieniędzy, żeby zrobić z ciebie klona jakiejś bezmózgiej nieudacznicy, która uważa, że największym sukcesem jest sprzedanie prasie zdjęć ze swojego ślubu.

- Nienawidzę cię! – wrzasnęła Holly. – Głupi jesteś i nic nie rozumiesz. Nienawidzę cię!

Wymierzyła solidnego kopniaka w ławkę przy mojej nodze i z impetem rzuciła się w stronę huśtawek, zbyt rozzłoszczona, by zauważyć, czy boli ją stopa. Gdy spostrzegła, że jej huśtawka jest zajęta, klapnęła ciężko na ziemię, krzyżując nogi i gotując się w środku.

- O rany, Francis – odezwała się po chwili Jackie. – Nie zamie-

rzam udzielać ci rad, jak wychowywać własne dziecko, Bóg mi świadkiem, że sama nie mam o tym zielonego pojęcia, ale czy to było potrzebne?

– Najwyraźniej było. Chyba nie sądzisz, że mam zwyczaj psuć jej popołudnia dla hecy.

– Ona tylko chciała dostać botki. Czy to ważne, gdzie je zobaczyła? Ta Celia Bailey jest kompletną idiotką, niech Bóg ma ją w opiece, ale nieszkodliwą.

– Nie jest nieszkodliwa. Celia Bailey to chodzące ucieleśnienie wszystkiego, co złe na tym świecie. Jest równie nieszkodliwa jak kanapka z cyjankiem.

– Och, nie bądź głupi. Po co taka afera? Za miesiąc Holly zapomni o tej Bailey i pochłonie ją jakaś kapela dziewczęca...

– To nie są gówniane banały, Jackie. Chcę uprzytomnić Holly, jaka jest różnica między prawdą a pustym bełkotem. Wszyscy dookoła, bez wyjątku, mówią jej, że rzeczywistość jest w stu procentach subiektywna: jeżeli mocno wierzysz, że jesteś gwiazdą, to zasługujesz na kontrakt płytowy, choćbyś nawet nie umiała śpiewać, a jeżeli naprawdę wierzysz w broń masowego rażenia, to w istocie bez znaczenia jest fakt, czy ta broń istnieje. Sława jest rzeczą najważniejszą, ponieważ nie istniejesz, jeśli nikt nie zwraca na ciebie uwagi. Moja córka ma się nauczyć, że nie wszystko na tym świecie zależy od tego, jak często o tym słyszy, jak bardzo pragnie, żeby to było prawdziwe, i jak wiele osób na to patrzy. Żeby uznać coś za rzeczywiste, trzeba mieć gdzieś jakąś rzeczywistość, do jasnej cholery. Bóg mi świadkiem, że nauczy się tego tylko ode mnie, nigdzie indziej. A jeżeli przy okazji ponarzeka od czasu do czasu, to trudno.

Jackie uniosła brwi i ściągnęła usta.

– Niewątpliwie masz rację. Będę siedzieć cicho.

Tak też siedzieliśmy przez dłuższą chwilę. Holly znalazła sobie inną huśtawkę i wytrwale obracała się, żeby spleść łańcuchy.

– Shay miał rację co do jednego – odezwałem się. – Każdy kraj, który otacza czią Celię Bailey, zmierza ku rychłemu upadkowi.

Jackie cmoknęła.

– Nie wywołuj wilka z lasu.

– Niczego nie wywołuję. Choć moim zdaniem katastrofa miałyby dobre strony.

– O Jezu, Francis!

– Staram się wychować dziecko. Samo to wystarczy, że każdy człowiek przy zdrowych zmysłach robi w portki. Dodaj do tego fakt, że wychowuję Holly w warunkach, gdy zewsząd słyszy, że ma myśleć tylko o modnych ciuchach, sławie i tłuszczu pod skórą, nie przejmować się ponurą rzeczywistością w tle i kupować sobie coś ładnego... Żyję w ciągłym strachu. Jako tako panowałem nad sytuacją, gdy Holly była mała, ale teraz z każdym dniem jestem coraz bardziej przerażony. Może uznasz mnie za wariata, ale podoba mi się myśl, że Holly będzie dorastała w kraju, gdzie ludzie z konieczności muszą od czasu do czasu zainteresować się czymś ważniejszym niż Paris Hilton albo samochód będący przedłużeniem fiuta.

– Wiesz, kogo mi przypominasz, gdy tak cię słucham? – zapytała z przekornym uśmieszkiem Jackie. – Shaya.

– Dobry Panie Jezu! Gdybym ci uwierzył, palnąłbym sobie w łeb.

– Wiem, co ci jest – oznajmiła z anielską cierpliwością. – Przecholowałaś wczoraj z piwem i masz podrażnione wnętrzości. Faceci zawsze są wtedy w złym humorze. Zgadza się?

Znowu zadzwoniła komórka: Kevin.

– Do kurwy nędzy! – zawołałem ostrzejszym tonem, niż zamierałem. Miałem sensowny powód, by podać mu ten numer, ale z moją rodziną tak już jest, że gdy dasz im palec, sięgną po rękę. Wyłączenie aparatu nie wchodziło w rachubę, bo w terenie znajdowali się ludzie, którzy mogli mnie potrzebować w każdej chwili. – Jeżeli ten cholerny Kevin tak marnie chwyta aluzje, nic dziwnego, że nie ma dziewczyny.

Jackie poklepała mnie uspokajająco.

– Nie przejmuj się nim. Niech sobie dzwoni. Wieczorem zapytam go, czy to była ważna sprawa.

– Nie trzeba.

– Przypuszczam, że on po prostu chce wiedzieć, kiedy się znowu spotkacie.

– Jackie, zrozum wreszcie, że guzik mnie obchodzi, czego chce Kevin. Ale gdy się okaże, że masz rację i on rzeczywiście chce zapytać, kiedy się spotkamy, to możesz mu przekazać ode mnie ukłony i pozdrowienia oraz następującą wiadomość: nigdy. Dobra?

– Och, przestań, Francis. Doskonale wiesz, że nie mówisz tego poważnie.

– Mówię bardzo poważnie. Możesz mi wierzyć.

– On jest twoim bratem.

– O ile mi wiadomo, jest bardzo miłym gościem, z pewnością uwielbianym przez szerokie grono przyjaciół i znajomych. Ale ja się do nich nie zaliczam. Jedyna nić łącząca mnie z Kevinem powstała na skutek błędu natury, która chciała, żebyśmy przez kilka lat mieszkali pod jednym dachem. Gdy teraz żaden z nas tam nie przebywa, Kevin ma ze mną tyle wspólnego co facet na tamtej ławce. To samo można powiedzieć o Carmel, Shayu i na pewno o matce i ojcu. Nie znamy się, kompletnie nic nas nie łączy i nie widzę najmniejszego powodu, byśmy mieli umawiać się na herbatę i ciasteczka.

– Dorośnij wreszcie. Przecież wiesz, że sprawa nie jest taka prosta.

Znowu zadzwoniła komórka.

– Właśnie że jest.

Jackie zaczęła grzebać czubkiem buta wśród resztek liści. Gdy telefon umilkł, odezwała się:

– Wczoraj powiedziałeś, że to przez nas Rosie cię zostawiła.

Wziąłem głęboki wdech.

– Ciebie trudno byłoby winić. – Wysiłem się na lekki ton. – Ledwie wyrosłaś z pieluch.

– I dlatego spotykasz się ze mną?

– Nie przypuszczałem, że w ogóle pamiętasz tamtą noc.

– Zapytałam wczoraj Carmel, po tym... Pamiętam tylko strzępy.

Różne sytuacje się mieszają, wiesz, jak to jest.



– Ale nie tamta – odparłem. – Nic mi nie umknęło.

Dochodziła trzecia nad ranem, gdy mój kumpel Świrus po zrobieniu fuchy w klubie nocnym przyszedł na parking, żeby dać mi kasę i dokończyć swoją zmianę. Powędrowałem do domu, mijając rozrehotane i zataczające się niedobitki sobotniej nocy, pogwizdując cicho pod nosem, marząc o następnym dniu i współczując każdemu, kto nie był mną. Przeszczęśliwy skręcałem w Faithful Place.

Natychmiast poczułem przez skórę, że coś się stało. W połowie domów, naszym też, paliło się światło. Gdyby człowiek stanął u wylotu ulicy i nadstawił ucha, usłyszałby gwar głosów, spiętych i podekscytowanych.

Na drzwiach do naszego mieszkania widać było świeże wgniecenia i rysy. W salonie stało do góry nogami krzesło kuchenne, oparte o ścianę, roztrzaskane. Carmel, w płaszczu narzuconym na kwiecistą koszulę nocną, klęczała na podłodze, zmiatając na szufelkę potłuczoną porcelaną; dziewczynie tak się trzęsły ręce, że co rusz upuszczała skorupy. Mama tkwiła w rogu kanapy, ciężko oddychała i przykładała do rozciętej wargi mokrą ściereczkę; w drugim rogu znajdowała się Jackie, z kciukiem w buzi, zwinięta w kłębek i opatulona kocykiem. Kevin siedział w fotelu, patrząc tępo przed siebie i obgryzając paznokcie. Shay z rękami wbitymi w kieszenie stał oparty o ścianę, przestępował z nogi na nogę; wokół oczu miał obląkańcze białe kręgi, jak zwierzę w potrzasku, nozdrza rozchyłały mu się przy każdym oddechu; śliwa pod okiem nabierała pięknego fioletowego koloru. Z kuchni dochodził głośny charkot wymiotującego do zlewu ojca.

– Co się stało? – zapytałem.

Wszyscy się wzdrgnęli. Pięć par oczu zwróciło się w moją stronę, wielkich, nieruchomych, pozbawionych wyrazu. Oczy Carmel były opuchnięte od płaczu.

– Masz doskonale wycucie czasu – rzucił Shay.

Nikt inny się nie odezwał. Po chwili wyjąłem szczotkę i szufelkę z rąk Carmel; powoli poprowadziłem ją do kanapy i posadziłem między

mamą a Jackie; zacząłem zamiatać. Jakiś czas później dobiegający nas charkot przeszedł w chrapanie. Shay wślizgnął się do kuchni i przyniósł kilka ostrych noży. Nikt nie położył się spać tej nocy.

Na początku tygodnia ojciec złapał fuchę: cztery dni tynkowania, bez wiedzy urzędu pracy. Dodatkowy zarobek zaniósł do pubu i zafundował sobie tyle ginu, ile się w nim zmieściło. Po ginie ojciec użala się nad sobą; a gdy to robi, staje się wredny. Ledwie trzymając się na nogach, wrócił na Faithful Place i urządził to swoje przedstawienie przed domem Dalych – zaczął wrzeszczeć, żeby Matt Daly wyszedł i stanął do walki – ale tym razem posunął się dalej niż zwykle. Rzucił się na drzwi, a gdy zobaczył, że to na nic i tylko zwała się na schody, zaczął ciskać butem w okna Dalych. Wtedy przyszli mama i Shay, by zaciągnąć go do domu.

Ojciec zwykle dość łatwo godził się z myślą, że biba się skończyła, ale tego wieczoru miał jeszcze sporo pary. Okoliczni mieszkańcy, również Kevin i Jackie, patrzyli przez okna, a ojciec wymyślał mamie od zasuszonych starych cip, Shayowi od nic niewartych ciot, Carmel, która przyszła im pomóc, od zasranych dziwek. Mama nazywała go moczymordą i bydlakiem i życzyła mu, żeby zdechł w męczarniach i trafił do piekła. Ojciec wrzeszczał, żeby wszyscy troje nie ważyli się go tknąć, bo gdy zasną, poderżnie im gardła. A tymczasem dokładał wszelkich starań, żeby dać im wycisk.

Dla mnie to nie była nowość. Z tą różnicą, że dawniej zawsze robił to w czterech ścianach. Przekroczenie tej granicy równało się awarii hamulców przy szybkości osiemdziesięciu mil na godzinę. Na koniec Carmel powiedziała cichym, matowym głosem: „Z nim jest coraz gorzej”. Nikt na nią nie spojrzał.

Kevin i Jackie krzyczeli przez okno, żeby ojciec przestał; Shay krzyczał, żeby się schowali do środka; mama krzyczała, że to przez nich ojciec pije; ojciec krzyczał, że jeszcze ich dopadnie. Wreszcie ktoś – pewnie siostry Harrison, bo na Faithful Place tylko one miały telefon – zadzwonił na policję. Tak się nie robiło w naszej dzielnicy, podobnie jak nie dawało się heroiny małym dzieciom i nie przeklinało

w obecności księdza. Moja rodzina doprowadziła do tego, że siostry Harrison stanęły przed koniecznością złamania tabu.

Mama i Carmel błagały mundurowych, żeby nie zabierali ojca – co za hańba – a ci zachowali się w porządku i wyświadczyli im tę grzeczność. W tamtych czasach wielu gliniarzy uważało, że przemoc domowa to coś w rodzaju dewastowania własnej posiadłości: głupi postępek, ale raczej nie przestępstwo. Wciągnęli ojca po schodach, rzucili na podłogę w kuchni i poszli.

– To była naprawdę okropna noc – powiedziała Jackie.

– Uważałem, że ta awantura dobiła Rosie. Przez całe życie jej ojciec przestrzegał ją przed bandą tych wstrętnych dzikusów Mackeyów. Nie słuchała go, zakochała się we mnie, powiedziała sobie, że jestem inny. I co się dzieje? Gdy za cztery godziny ma oddać swoje życie w moje ręce, gdy każda drobna wątpliwość na pewno urasta w jej głowie do nadzwyczajnych rozmiarów, pojawiają się Mackeyowie i dają żywy dowód prawdziwości słów jej ojca: urządzają przedstawienie dla całego sąsiedztwa, wyją, szamoczą się, kłócą i obrzucają wyzwiskami jak stado pawianów na haju. Na pewno zastanawiała się, jaki jestem za zamkniętymi drzwiami. Na pewno zadawała sobie pytanie, czy w głębi duszy nie jestem taki jak reszta i ile upłynie czasu, zanim to wyjdzie na jaw.

– Więc uciekłeś. Choćby bez niej.

– Uznałem, że zapłaciłem już swoje.

– Nieraz się zastanawiałam, dlaczego po prostu nie poszedłeś do domu.

– Gdybym miał pieniądze, wsiadłbym do samolotu do Australii. Im dalej, tym lepiej.

– Wciąż ich winisz? – zapytała Jackie. – Czy wczoraj to było tylko takie gadanie po pijaku?

– Tak, to ich wina. Ich wszystkich. Prawdopodobnie jestem niesprawiedliwy, ale czasem życie jest kurewskie.

Zabrzączał telefon: SMS. „Czesc frank, tu kev. Nie bede przeszkadzac bo jesteś zajęty ale zadzwoń w wolnej chwili okay? Chce

pogadać. Dzięki?”. Skasowałem wiadomość.

– A jeżeli ona nie zamierzała cię rzucić? – powiedziała Jackie. – Jeżeli wcale tak się nie stało?

Nie potrafiłem odpowiedzieć na to pytanie – w gruncie rzeczy nawet go nie rozumiałem – i wydawało mi się, że jest o wiele za późno, żeby szukać odpowiedzi. Zbyłem Jackie milczeniem, aż w końcu wzruszyła ramionami i zaczęła poprawiać szminkę na ustach. Patrzyłem, jak Holly zatacza coraz szersze kręgi, im bardziej rozplatają się łańcuchy huśtawki, i starałem się nie myśleć o niczym innym prócz tego, czy powinna założyć szalik, ile czasu upłynie, zanim ochłonie i poczuje głód, i na jaką pizzę mam ochotę.

Zjedliśmy pizzę, Jackie poszła okazać trochę miłości Gavinowi, a Holly uprosiła mnie, żebym zabrał ją na bożonarodzeniowe lodowisko w Ballsbridge. Holly jeździ na łyżwach jak nimfa, a ja jak goryl z zaburzeniami neurologicznymi, co naturalnie sprawia jej dodatkową frajdę i wywołuje salwy śmiechu, gdy wpadam na ogrodzenie. Zajechaliśmy pod dom Olivii oboje przyjemnie zmęczeni i trochę odurzeni plastikowymi dźwiękami rozbrzmiewających wokoło kolęd, no i w dużo lepszych nastrojach. Kiedy zobaczyła nas na progu, spoconych, brudnych i rozbawionych, na jej twarzy mimo woli pojawił się uśmiech. Potem wróciłem do miasta, wypilem parę piw z chłopakami i pojechałem do siebie – widok mojego Twin Peaks uradował mnie jak jeszcze nigdy – zlikwidowałem kilka siedlisk zombie na Xboxie i poszedłem spać, ciesząc się na myśl o zwykłym miłym dniu pracy tak bardzo, że na początek mógłbym wycalować swoje biurko.

Słusznie napawałem się normalnym światem, dopóki miałem taką możliwość. W głębi duszy, nawet gdy wygrażalem niebu i przysięgałem, że nigdy więcej moja noga nie postanie na tej piekielnej brukowanej ulicy, wiedziałem na pewno, że Faithful Place potraktuje to jako prowokację. Jeszcze nie udzieliła mi pozwolenia na opuszczenie terenu i zamierzała mnie dopaść.

W poniedziałek, tuż przed przerwą na lunch, akurat gdy przedstawiłem swojemu człowiekowi w branży narkotykowej jego nowiutką babcie, na moim biurku zadzwonił telefon.

– Mackey.

– Ktoś dzwoni w prywatnej sprawie – powiedział Brian z sekretariatu wydziału. – Odbierzesz? Nie zawracałbym ci głowy, ale to

wygląda na... hm, pilne. Łagodnie mówiąc.

Znowu ten Kevin, na bank. Upłynęło tyle lat, a on wciąż czepia się jak rzep: wystarczyło, że włóczył się za mną przez jeden dzień, a już ubzdurał sobie, że jest moim nowym najlepszym kumplem, może pomagierem, Bóg wie kim. Trzeba to zdusić w zarodku.

– A niech tam – powiedziałem, pocierając palcem czoło między brwiami, gdzie nagle coś mnie rozboleło. – Połącz z nim.

– Z nią – sprostował Brian. – Uprzedzam: nie jest szczęśliwa.

Dzwoniła Jackie, zapłakana.

– Francis, łaska boska, proszę cię, musisz przyjechać... nie rozumiem, nie wiem, co się stało, proszę...

Jej głos przeszedł w szloch: zawodziła cienko, piskliwie, bez cienia wstydu i bez opanowania. Poczułem zimny skurcz na karku.

– Jackie! – warknąłem. – Mów. Co się dzieje?

Prawie nic nie zrozumiałem: coś o Hearne'ach, policji, ogrodzie.

– Jackie, wiem, że jesteś przybita, ale weź się w garść, na chwilę, zrób to dla mnie. Odetchnij głęboko i powiedz, co się dzieje.

Z trudem łapała powietrze.

– Kevin. Francis... Francis... Boże... to Kevin.

Znowu ten lodowaty ucisk, mocniejszy.

– Coś mu się stało?

– On... Francis, o Boże... On nie żyje. On...

– Gdzie jesteś?

– U mamy. Przed domem.

– Czy tam jest Kevin?

– Tak... nie... nie tutaj... za domem, w ogrodzie... on, on... Głos znów jej się załamał. Szlochała, gwałtownie łapiąc powietrze.

– Jackie, posłuchaj mnie. Usiądź, napij się czegoś, bądź z kimś. Zaraz przyjadę.

Jedną rękę już miałem w rękawie kurtki. W wydziale tajnych operacji nikt nie pyta, dlaczego zniknąłeś na parę godzin. Odłożyłem słuchawkę i puściłem się biegiem.

Znowu się tam znalazłem, z powrotem na Faithful Place, jakbym nigdy się stamtąd nie ruszał. Gdy wyrwałem się pierwszy raz, dała mi dwadzieścia dwa lata swobody, zanim szarpnęła za smycz. Za drugim razem dała mi trzydzieści sześć godzin.

Mieszkańcy znowu byli na dworze, jak w sobotę po południu, tyle że teraz wyglądało to inaczej. Dzieci poszły do szkoły, dorośli do pracy, więc wylegli jedynie starcy, matki siedzące w domu i bezrobotni na zasiłku, dobrze opatuleni dla ochrony przed dojmującym zimnem, ale nikt nie kręcił się po ulicy jak na miłej przechadzce. Ludzie o kamiennych, skupionych twarzach tłoczyli się na schodach i w oknach, po chodniku zaś maszerował w tę i we w tę jedynie mój znajomy wsiok, niczym strażnik Watykanu. Mundurowi tym razem wyprzedzili rozwój sytuacji, odsunęli wszystkich do tyłu, zanim groźny szmer zaczął narastać. Gdzieś kwiliło dziecko, poza tym zalegała śmiertelna cisza zakłócona jeszcze tylko szumem samochodów w oddali, odgłosami kroków wsioka i powolnym kapaniem wody z rynien po porannym deszczu.

Nie było techników, nie było Coopera, ale między oznakowanym wozem mundurowych a furgonetką z kostnicy stała śliczna srebrna beemka Rewelki. Taśma otaczająca miejsce przestępstwa znowu pojawiła się dokoła domu pod szesnastym i pilnował jej postawny gość po cywilnemu – jeden z chłopaków Rewelki, sądząc po garniturze. Najwyraźniej nie atak serca wykończył Kevina.

Wsiok udał, że mnie nie widzi, i słusznie. Na schodach pod ósmym stali Jackie, mama i ojciec. Mama i Jackie podtrzymywały jedna drugą; można było odnieść wrażenie, że jeżeli któraś z nich przesunie się odrobinę, obie upadną. Ojciec zaciągał się łapczywie papierosem.

Gdy zbliżyłem się do nich wolnym krokiem, spojrzeli na mnie, ale tak, jakby mnie nie poznawali, jakby nigdy mnie nie widzieli.

– Co się stało? – zapytałem Jackie.

– Ty wróciłeś. To się stało – odrzekł ojciec.

Jackie chwyciła mnie za poły kurtki jak kleszczami i przywarła twarzą do mojego ramienia. Powstrzymałem się, żeby jej nie ode-

pchnąć.

– Jackie, kochanie – powiedziałem delikatnie – trzymaj się jeszcze chwilę, proszę cię. Mów.

Zaczęła się trząść.

– Och, Francis... – odezwała się cichym, zdumionym głosem. – Och, Francis, jak...

– Wiem, kochanie. Gdzie on jest?

Rozległ się posępny głos mamy:

– Pod szesnastym. W ogrodzie. Na tym deszczu całe rano. – Stała mocno oparta o barierkę i mówiła ochryplym, napiętym głosem, jakby długo płakała, ale jej oczy były suche i uważne.

– Czy wiadomo, co się stało?

Wszyscy troje milczeli. Mama poruszała ustami.

– No dobrze. Mamy stuprocentową pewność, że to Kevin?

– Pewnie, ty baranie – burknęła mama. Wyglądała tak, jakby miała zaraz uderzyć mnie w twarz. – Myślisz, że nie poznałabym rodzzonego dziecka? W głowie ci się pomieszało czy co?

Korciło mnie, żeby zepchnąć ją ze schodów.

– Brawo – odrzekłem. – Carmel jest w drodze?

– Już jedzie – powiedziała Jackie. – Shay też będzie. Musi tylko, musi, musi...

Nie mogła wykrztusić słowa więcej.

– Czeka na szefa, żeby zajął się sklepem – odezwał się ojciec. Rzucił niedopałek za barierkę i patrzył, jak gaśnie z sykiem pod oknem sutereny.

W żadnym wypadku nie zostawiłbym Jackie samej w tym towarzystwie, ale gdy przyjedzie Carmel, zaopiekują się sobą nawzajem.

– No dobra. Nie ma powodu, żebyście czekali tu na zimnie. Idźcie do domu, wypijcie coś ciepłego, a ja spróbuję się czegoś dowiedzieć.

Żadne z nich się nie ruszyło. Jak najdelikatniej odgiąłem palce Jackie zaciśnięte na kurtce i zostawiłem całą trójkę na schodach. Kilkadziesiąt par oczu wpatrywało się we mnie, gdy szedłem w stronę



wylotu ulicy, do domu pod szesnastym.

Potężny gość, który stał przy taśmie, rzucił okiem na moją legitymację i powiedział:

– Detektyw Kennedy jest za domem. Prosto w dół po schodach i tylnymi drzwiami na dwór. – Najwyraźniej uprzedzono go, że przyjadę.

Przez otwarte i zablokowane drzwi ogrodowe wpadał snop dziwnego szarego światła, które rozchodziło się po suterenie i schodach na parter. Czterej mężczyźni w ogrodzie wyglądali jak wyjęci z malowidła albo ze snu morfinowego. Krępi chłopcy z kostnicy, w nieskazitelnie białych kombinezonach, stali wsparci o nosze, wśród wyrosniętych chwastów, potłuczonych butelek i pokrzyw grubości liny; Rewelka, którego zaczesane do tyłu włosy i czarny płaszcz powiewający na tle zwietrzałego muru rysowały się z nadrealistyczną wyrazistością, kuczał, wyciągając rękę w rękawiczce; no i Kevin. Leżał na plecach, głową w kierunku domu, z nogami rozłożonymi pod dziwnym kątem. Jedna ręka na piersi, druga pod plecami, jakby ktoś mu ją wygiął. Głowa odrzucona do tyłu, odwrócona ode mnie, i jakieś nieforemne czarne grudy wokół niej na ziemi. Rewelka ostrożnie wsuwał białe palce do kieszeni jego dżinsów. Zza muru dolatywał gwałtowny świst wiatru.

Rewelka usłyszał mnie pierwszy, a może wyczuł: uniósł wzrok, szybkim ruchem cofnął rękę i wstał.

– Frank – odezwał się, idąc do mnie. – Serdecznie współczuję.

Ściągał rękawiczkę, żeby podać mi dłoń.

– Chcę go zobaczyć.

Kiwnął głową i cofnął się kilka kroków. Ukłęknałem wśród zieliska, przy ciele Kevina.

Po śmierci zapadła mu się twarz, poniżej kości policzkowych i wokół ust; wyglądał o czterdzieści lat starzej, niż kiedykolwiek będzie miał. Zwrócona ku górze część twarzy była biała jak lód; na spodniej części, gdzie zebrała się krew, wystąpiły fioletowe plamy. Pod nosem zakrzepła strużka krwi; szczęka opadła i widać było złamane przednie

zęby. Włosy zwisały w strąkach, pociemniałe od deszczu. Jedna powieka lekko przysłaniała zamglone oko, co wyglądało jak głupawe, ukradkowe mrugnięcie.

Czułem się tak, jakby leciał na mnie ogromny wodospad, zapierał mi dech w piersiach.

- Cooper – powiedziałem. – Trzeba ściągnąć Coopera.
- Już tu był.
- No i?

Chwila ciszy. Zauważyłem, że chłopcy z kostnicy zerkają na siebie.

– Jego zdaniem – odrzekł Rewelka – twój brat albo doznał pęknięcia czaszki, albo złamał kark.

– Jak?

– Frank, chłopcy muszą go już zabrać – powiedział łagodnie Rewelka. – Pogadajmy w środku. Oni się nim zajmą jak należy.

Zrobił ruch ręką w stronę mojego łokcia, ale miał dość rozumu, żeby mnie nie dotykać. Spojrzałem na Kevina po raz ostatni, obejmując wzrokiem to bezmyślne mrugnięcie, zastygłą krew pod nosem i lekkie zakrzywienie brwi, które było pierwszą rzeczą, jaką widziałem na poduszce obok siebie każdego ranka, gdy miałem sześć lat.

– Dobrze. – Kiedy się odwróciłem, doleciał mnie zgrzyt suwaka, gdy chłopcy otwierali plastikowy worek.

Nie pamiętam, jak szedłem z powrotem do domu i czy Rewelka prowadził mnie po schodach na górę, żebyśmy usunęli się z drogi pracownikom kostnicy. Szczeniacki wygląd w rodzaju walnięcia pięścią w ścianę nic by nie pomógł; przez dobrą minutę byłem oślepiiony gniewem. Gdy wróciła jasność widzenia, znajdowaliśmy się na piętrze, w jednym z pokoi od ogrodu, które przeszukiwałem z Kevinem w sobotę. Teraz było tam jaśniej i zimniej: ktoś podniósł dolną połowę brudnego okna, wpuszczając strumień lodowatego światła.

– W porządku? – zapytał Rewelka.

Jak tonący potrzebuje powietrza, tak ja potrzebowałem, żeby za-

czał mówić do mnie jak gliniarz do gliniarza, zagłuszył szalejący w środku ryk suchymi, uporządkowanymi wynikami wstępnych ustaleń.

– Co mamy? – zapytałem dziwnym, metalicznym głosem, jakby z daleka.

Mimo wielu niedostatków Rewelka jest jednym z nas. Widziałem, że dotarło do niego, co się ze mną dzieje. Kiwnął głową, oparł się o ścianę i przeszedł do rzeczy.

– Twojego brata widziano ostatni raz mniej więcej dwadzieścia po jedenastej wczoraj wieczorem. Razem z siostrą Jacintą, bratem Seamusem oraz drugą siostrą Carmel i jej rodziną był na obiedzie u rodziców, jak co niedziela... Przerwij mi, jeżeli opowiadam o tym, co już wiesz.

– Mów dalej – odrzekłem, kręcąc głową.

– Carmel i jej mąż zabrali dzieci do domu koło ósmej. Reszta została dłużej, oglądali telewizję i rozmawiali. Wszyscy prócz twojej matki opróżnili kilka puszek piwa przez cały wieczór; zgodnie twierdzą, że mężczyźni byli trochę zawiani, ale zdecydowanie się nie urznęli, a Jacinta wypila tylko dwa piwa. Kevin, Seamus i Jacinta wyszli razem, tuż po jedenastej. Seamus poszedł do siebie na górę, a Kevin odprowadził siostrę na Smith's Road do skrzyżowania z New Street, gdzie zaparkowała samochód. Chciała podwieźć Kevina, ale powiedział, że gdy się przejdzie, alkohol wywietrzeje mu z głowy. Uznała, że brat zamierza wrócić Smith's Road, minąć wylot Faithful Place, a potem przeciąć Liberties i pójść wzdłuż kanału do swojego mieszkania na Portobello, ale oczywiście nie ma pewności, czy tak zrobił. Kevin poczekał, aż Jacinta wsiadła do samochodu, pomachali sobie na pożegnanie i odjechała. Widziała jeszcze, jak się odwrócił i poszedł Smith's Road. Z tego co wiemy, wtedy widziano go po raz ostatni.

O siódmej przestał do mnie dzwonić. Kompletnie go zignorowałem, więc uznał, że nie warto więcej próbować, i postanowił sam zająć się tym, co mu wpadło do tej głupiej głowy.

– Tyle że nie zamierzał iść do siebie – wtrąciłem.

– Na to wygląda. Ponieważ robotnicy pracują dzisiaj w sąsiednim domu, nikt tu nie zaglądał do późnego ranka, kiedy dwaj chłopcy, Jason i Logan Hearne'owie, poszli obejrzyć suterrenę, potem spojrzeli przez okno na podeście schodów i zobaczyli więcej, niż chcieli zobaczyć. Mają trzynaście i dwanaście lat, a dlaczego nie byli w szkole...

– Jestem zadowolony, że nie byli – powiedziałem. – Domy pod czternastym i dwunastym stoją puste, więc nikt nie zauważyłby Kevina z tylnego okna. Mógłby tu leżeć tygodniami. Widziałem takie przypadki.

– Racja. – Rewelka obrzucił mnie przepaszającym spojrzeniem kątem oka; trochę go poniosło. – W każdym razie chłopcy zwiali stamtąd i powiedzieli o wszystkim matce, a ona nam i najwyraźniej połowie ludzi z sąsiedztwa. Pani Hearne również rozpoznała nieboszczyka, zawiadomiła twoją matkę, a ona dokonała ostatecznej identyfikacji. Przykro mi, że musiała zobaczyć zwłoki.

– Moja matka jest twarda.

Za moimi plecami, gdzieś na dole, coś upadło, ktoś burknął i słychać było szuranie noszami w wąskich korytarzach. Nie odwróciłem się.

– Cooper stwierdził, że zgon nastąpił koło północy, plus minus parę godzin. Uwzględniając zeznania twojej rodziny i fakt, że twojego brata znaleziono w tym samym ubraniu, które nosił wczoraj wieczorem, możemy przyjąć, że po odprowadzeniu Jacinty do samochodu wrócił prosto na Faithful Place.

– I co dalej? Jak, kurwa, skończyło się na tym, że skręcił kark?

Rewelka zrobił wdech.

– Z jakichś powodów twój brat udał się do tego domu, wszedł po schodach do tego pokoju, a potem w taki czy inny sposób wypadł przez okno. Jeśli to cię pocieszy, Cooper uważa, że śmierć była najprawdopodobniej natychmiastowa.

Gwiazdy rozbłyły mi przed oczami, jakbym dostał w głowę. Przeczesałem palcami włosy.

– Nie. To bez sensu. Może spadł z muru dzielącego ogrody, z któregoś z nich... – W tym oszołomieniu widziałem przez sekundę, jak szesnastoletni Kevin zwinnie przeskakuje z jednego ciemnego ogrodu do drugiego w pogoni za cycuszkami Lindy Dwyer. – Stąd to nie ma sensu. Rewelka pokręcił głową.

– Mur po obu stronach może mieć... ile? Sześć stóp wysokości, góra siedem, co? Zdaniem Coopera obrażenia wskazują na to, że upadek nastąpił z wysokości około dwudziestu stóp. Prosto w dół. On wyleciał z tego okna.

– Nie. Kevin nie lubił tego domu. W sobotę niemal zawlokłem go tu za kołnierz. Cały czas stękał, że latają szczury, że ma gęsią skórkę, że sufit spadnie nam na łeb, a byliśmy tu we dwóch, w biały dzień. Po co, do diabła, przylazł tu sam, w środku nocy?

– Też chcielibyśmy wiedzieć. Przyszło mi na myśl, że chciał się wysikać, zanim ruszy do domu, i szukał jakiegoś ustronnego miejsca, ale po co wchodził na górę? Równie dobrze mógł wystawić fiuta przez okno na podeście, skoro chciał podlać ogród. Nie wiem, jak ty, ale ja, gdy jestem trochę zaprawiony, nie łączę po schodach bez powodu.

Dopiero wtedy zorientowałem się, że smugi na ramie okna nie wzięły się z brudu, lecz są to ślady proszku daktyloskopijnego, i dotarło do mnie, dlaczego tak paskudnie się poczułem na widok Rewelki.

– Co ty tu robisz? – zapytałem.

Zamrugał powiekami. Starannie dobierając słowa, powiedział:

– Z początku myśleliśmy, że to był wypadek. Twój brat z jakiegoś powodu wchodzi na górę i coś skłania go do wystawienia głowy przez okno, może słyszy hałas w ogrodzie, może jest mu niedobrze po alkoholu. Wychyla się, traci równowagę, za późno próbuje czegoś się złapać...

Coś zmroziło mi tył gardła. Zacisnąłem zęby.

– Przeprowadziłem jednak mały eksperyment, dla pewności. Hamill, ten gość na dole, przy taśmie, wiesz który, co? On jest prawie takiego samego wzrostu jak twój brat i podobnej budowy. Niemal cały

ranek kazałem mu wychylać się przez okno. Nie zgadza się, Frank.

– O czym ty mówisz?

– Hamillowi rama podniesionego okna sięga mniej więcej dotąd.

– Rewelka przyłożył rękę do piersi na wysokości żeber. – Żeby wsunąć głowę pod ramę, musi ugiąć kolana, a wtedy siedzenie obniża się i środek ciężkości znajduje się głębiej wewnątrz pokoju. Sprawdziliśmy rozmaite pozycje, rezultat jest taki sam. To właściwie niemożliwie, żeby człowiek postury Kevina wypadł z tego okna przez przypadek.

Lodowate zimno rozeszło mi się w ustach.

– Ktoś go wypchnął – zawyrokowałem.

Rewelka wsadził ręce do kieszeni marynarki.

– Nie ma śladów walki, Frank.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeśli został wypchnięty, spodziewałbym się zobaczyć na podłodze ślady przepychanki, wyłamaną futrynę od uderzenia ciałem, połamane paznokcie po tym, jak usiłował chwycić się napastnika albo ramy okna, jakieś zadrapania albo rany po walce. Nic takiego nie znaleźliśmy.

– Uważasz, że Kevin popełnił samobójstwo?

Rewelka odwrócił wzrok.

– Uważam, że to nie stało się przez przypadek i nie ma podstaw sądzić, iż został wypchnięty. Zdaniem Coopera wszystkie obrażenia świadczą o upadku. Kevin był potężnym mężczyzną i z tego co mi wiadomo, mógł być pijany, ale nie stracił władzy w nogach. Nie przegrałby bez walki.

Nabrałem powietrza.

– W porządku. Rozumiem. Ale podejź tu na chwilę. Chyba powinienem ci coś pokazać.

Poprowadziłem go do okna.

– Co masz? – zapytał, patrząc na mnie podejrzliwie.

– Dobrze się przyjrzyj, jak wygląda ogród z tej strony. Zwłaszcza przy samym domu. Wtedy zrozumiesz, o co mi chodzi.

Oparł się o parapet, wsunął się pod ramę i wyciągnął szyję.

– W którym miejscu?

Pchnąłem go mocniej, niż zamierzałem. Przez ułamek sekundy myślałem, że nie zdołam wciągnąć go do środka. Jakąś cząstką siebie, gdzieś głęboko, czułem, że sprawia mi to cholerną frajdę.

– Chryste! – Rewelka odskoczył od okna i wybałuszył na mnie oczy. – Odbiło ci?

– Zero śladów walki, Rewelka. Futryna nienaruszona. Nie ma połamanych paznokci, zadrapań ani ran. Jesteś potężnym mężczyzną, trzeźwym jak świnia, a nawet byś nie pisnął, wylatując przez to okno. Dziękujemy za udział w grze. Pan Rewelka schodzi ze sceny.

– Jasna cholera... – Obciągnął marynarkę i strzepnął kurz, mocno. – To nie było śmieszne, Frank. Mało brakowało, a narobiłbym w portki.

– I dobrze. Kevin nie miał skłonności samobójczych. Wierz mi. Wykluczone, żeby chciał ze sobą skończyć.

– Świetnie. W takim razie powiedz mi, kto chciał go zlikwidować.

– Nikt, kogo znam, ale to nic nie znaczy. Być może deptała mu po piętach cała mafia sycylijska.

Rewelka wymownie pozostawił te słowa bez komentarza.

– Rzeczywiście, nie byliśmy przyjaciółmi od serca – ciągnąłem. – Nie musiałem spędzać z nim dwudziestu czterech godzin na dobę, żeby wiedzieć, że był zdrowym młodym facetem, nie miał kłopotów psychicznych, miłosnych ani finansowych, był szczęśliwy jak skowronek. I mam wierzyć, że ni stąd, ni zowąd, pewnej nocy wchodzi do zrujnowanego domu i wyskakuje przez okno?

– Zdarza się.

– Pokaż mi jeden dowód, że zaszła tu taka sytuacja. Choć jeden. Rewelka poprawił sobie fryzurę i westchnął.

– No dobrze. Mówię ci to jak koledze po fachu, nie jak członkowi rodziny ofiary. Nie puścisz pary z ust. Zgoda?

– Dla mnie bomba. – Już wiedziałem, że to będzie zła wiado-

mość.

Rewelka pochylił się nad swoją pretensjonalną teczką, pogrzebał w niej i wyjął przezroczystą plastikową torebkę na materiał dowodowy.

– Nie otwieraj – ostrzegł.

W środku znajdowała się mała kartka papieru w linie, poźółkła, z głębokimi zagnieceniami w miejscach, gdzie przez lata była złożona. Myślałem, że jest czysta, ale gdy ją odwróciłem i zobaczyłem wyblakłe litery napisane długopisem, jeszcze zanim dotarło do mnie, o co tu chodzi, charakter pisma uderzył mnie w oczy i rozjaśniły mi się zakamarki pamięci.

*Kochani Mamo, Tato i Noro!  
Kiedy będziecie to czytać, ja i Francis będziemy  
w drodze do Anglii. Chcemy wziąć ślub, dostać dobrą  
pracę, ale nie w fabryce, i rozpocząć razem wspaniałe  
życie. Żałuję tylko, że musiałam Was okłamywać.  
Dzień w dzień chciałam spojrzeć Wam wszystkim  
w oczy i powiedzieć, że zamierzam wyjść za niego za  
mąż, ale, Tato, nie umiałam wymyślić nic innego.  
Wiem, że się wściekniesz, ale Frank NIE jest  
nieudacznikiem i NIE skrzywdzi mnie. Jestem z nim  
szczęśliwa. To jest najpiękniejszy dzień w moim życiu.*

– Musimy jeszcze przeprowadzić badania kryminalistyczne – dodał Rewelka – ale śmiem twierdzić, że obaj widzieliśmy już drugą część tego listu.

Niebo za oknem nabierało szarobiałego koloru, staowało się lodowate. Podmuch zimnego powietrza wleciał do pokoju, podrywając z podłogi drobiny kurzu, które zawirowały i zamigotały w słabym świetle, a potem opadły i zgasły. Usłyszałem, jak gdzieś sypie się na podłogę tynk ze ściany. Rewelka mierzył mnie spojrzeniem, w którym, mam nadzieję, dla jego dobra, nie kryło się współczucie.

– Skąd to wzięłeś? – zapytałem.

– Było przy twoim bracie, w wewnętrznej kieszeni kurtki.



Trafił mnie trzeci z serii ciosów pięknie zadanych tego ranka. Dopiero gdy nabrałem powietrza do płuc, mogłem się odezwać.

- Ale nie wiadomo, skąd to wziął ani czy sam włożył do kieszeni.
- Rzeczywiście – przytaknął, trochę za łagodnie.

Zapadło milczenie. Rewelka taktownie odczekał chwilę, zanim wyciągnął rękę po torebkę.

- Teraz myślisz, że to Kevin zabił Rosie – powiedziałem.
- Nic nie myślę. Na tym etapie śledztwa tylko gromadzę dowody.

Chciał wziąć ode mnie torebkę, ale szybkim ruchem cofnąłem rękę.

- Więc gromadź. Słyszysz?
- Masz mi to oddać.
- Człowiek jest niewinny, dopóki nie udowodni mu się winy, Kennedy. Jeszcze dużo potrzeba, żeby uznać to za dowód. Zapamiętaj sobie.

– Hmm – mruknął obojętnym tonem. – Jeszcze jedno: masz mi nie wchodzić w drogę, Frank. Mówię jak najpoważniej.

- Co za zbieg okoliczności! Ja też.
- Dotychczas było źle, ale teraz... Ta sytuacja jest wystarczająco skomplikowana emocjonalnie. Wiem, że jesteś przybity, ale jakakolwiek ingerencja z twojej strony może zagrozić mojemu śledztwu, a do tego nie dopuszczę.

– Kevin nikogo nie zabił – oświadczyłem. – Ani siebie, ani Rosie. Nikogo. Ty zajmuj się gromadzeniem tych dowodów.

Rewelka zamrugnął powiekami, nie patrząc na mnie. Po chwili oddałem mu jego drogocenną torebkę i odszedłem. Gdy byłem w drzwiach, Rewelka powiedział:

– Hej, Frank! Teraz mamy przynajmniej pewność, że ona nie zamierzała cię zostawić.

Nie odwróciłem się. Nadal czułem, jak żar jej słów bije przez pedantyczną etykietkę Rewelki, owiewa mi dłoń i przenika do kości. „To jest najpiękniejszy dzień w moim życiu”.

Szła do mnie, była tak blisko. Jeszcze z dziesięć jardów i trzymając

się za ręce, weszlibyśmy do nowego, wspaniałego świata. Miałem wrażenie, że doświadczam swobodnego spadania, że wypchnięto mnie z samolotu, ziemia pędzi do góry, a ja jestem bez spadochronu.

Uchyliłem drzwi frontowe i zamknąłem je z głośnym trzaskiem, żeby dotarł do uszu Rewelki; poszedłem schodami do sutereny i do ogrodu, po czym przesadziłem mur. Nie miałem czasu zająć się rodziną. W pracy wieści rozchodzą się szybko, zwłaszcza smakowite plotki. Wyłączyłem telefony komórkowe i pośpieszyłem na komendę, żeby wziąć wolne, zanim szef sam mi je da.

George, któremu pozostało niewiele do emerytury, jest postawnym gościem o zmęczonej, zwiędłej twarzy – wygląda jak pluszowy basset. Wszyscy go wielbimy; podejrzanym błędnie wydaje się, że też mogą go wielbić.

– O, Frank – powitał mnie, gdy stanąłem w drzwiach. Dźwignął się z fotela i podał mi rękę przez biurko. – Przyjmij wyrazy współczucia.

– Nie byliśmy sobie bliscy – powiedziałem, ściskając mu dłoń mocno i energicznie – ale to duży szok.

– Zdaje się, że popełnił samobójstwo.

– Tak mówią. – Zauważyłem ostre, taksujące spojrzenie, jakim obrzucił mnie, zanim opadł na fotel. – Zrobił się młyn. Szefie, mam mnóstwo zaległego urlopu. Za pana zgodą chciałbym go wykorzystać, ze skutkiem natychmiastowym.

George pogładził się po łysinie i z grobową miną popatrzył na swoją dłoń, udając, że rozważa prośbę.

– Twoje śledztwa nie ucierpią?

– W najmniejszym stopniu. – Potwierdziłem to, co już wiedział: umiejętność czytania do góry nogami bardzo przydaje się w życiu, teraz pozwoliła mi dostrzec, że na jego biurku leżą moje akta. – Żadne

nie wchodzi w decydującą fazę. Trzeba się tylko przyglądać. Godzina, może dwie papierkowej roboty i będę mógł je przekazać.

– Czemu nie? W porządku. – Westchnął. – Przekaż wszystko Yeatesowi. Teraz musi na trochę odpuścić sprawę koki na południu miasta. Będzie miał czas.

Yeates jest dobry; w wydziale tajnych operacji nie pracują tępaki.

– Dopilnuję, żeby był na bieżąco. Dzięki, szefie.

– Weź parę tygodni i się zrelaksuj. Spędzisz czas z rodziną?

Innymi słowy: czy będziesz kręcił się koło miejsca przestępstwa i zadawał niewygodne pytania?

– Myślałem, żeby wyjechać z miasta. Może do Wexford. Podobno nad morzem jest teraz przyjemnie.

George zaczął masować fałdy na czole, jakby rozboleła go głowa.

– Jakiś głupek z wydziału zabójstw dopadł mnie z samego rana i zaczął na ciebie nadawać. Kennedy, Kenny, wszystko jedno. Mówił, że przeszkadzasz mu w śledztwie.

Zasrany donosiciel.

– Przechodzi klimakterium – powiedziałem. – Dam mu śliczny bukiet kwiatów, to się uspokoi.

– Daj mu, co chcesz, byle nie powód, żeby znowu zadzwonił. Nie lubię, jak nagabują mnie jakieś głupki, zanim wypiję herbatę: nawala mi brzuch.

– Jadę do Wexford, szefie, jak pan pamięta. Nawet gdybym chciał, nie będę miał okazji nastąpić na odcisk tej lali z zabójstw. Tylko zrobię porządek – wskazałem kciukiem swój pokój – i się wynoszę, znikam wszystkim z oczu.

George przyglądał mi się spod ciężkich powiek. W końcu machnął ze znużeniem ręką i powiedział:

– Sprzątaj. Nie ma pośpiechu.

– Cześć, szefie. – Za to wielbimy George'a. Jedną z cech dobrego naczelnika jest to, że wie, kiedy lepiej nie wiedzieć. – Zobaczymy się za parę tygodni.

Byłem w połowie drogi do drzwi, gdy zawołał:

- Frank!
- Tak, szefie?
- Czy dla uczczenia pamięci twojego brata wydział może wpłacić pieniądze na jakiś fundusz? Organizacji charytatywnej? Klubu sportowego?

Trafił mnie kolejny cios, jak uderzenie kantem dłoni w kark, zatykające gardło. Przez chwilę nie mogłem wydobyć głosu. Nawet nie wiedziałem, czy Kevin należał do klubu sportowego, raczej nie. Przyszło mi na myśl, że powinna istnieć organizacja charytatywna, która by pomagała właśnie w takich popieprzonych sytuacjach: umożliwiała młodym facetom nurkowanie z rurką przy Wielkiej Rafie Koralowej albo przelot na lotni nad Wielkim Kanionem, na wypadek gdyby już nigdy więcej nie mieli szansy tego zrobić.

– Przekażcie na rzecz Biura do spraw Ofiar Przestępstw – powiedziałem. – Jestem wdzięczny, szefie. Proszę podziękować chłopakom.

• • •

Każdy tajniak uważa w głębi serca, że wydział zabójstw to w zasadzie banda pasywnych ciot. Istnieją wyjątki, lecz nie da się ukryć, że ci chłopcy są w policji zawodowymi bokserami: walczą zażarcie, ale jak przyjdzie co do czego, mają rękawice, ochraniacze na zęby i sędzia uderza w gong, gdy wszyscy chcą odsapnąć i otrzeć krew. My, tajniacy, walczymy na gołe pięści, w bocznych uliczkach i do upadłego. Gdy Rewelka chce wejść do domu osoby podejrzanej, zapisuje tony papieru, czeka na pieczątki i kompletuje odpowiednią grupę szturmową, żeby nikomu nic się nie stało; ja tylko mrugam niebieskimi oczkami, strzelam nawijkę i wparowuję do środka, a gdyby podejrzanemu przyszło do głowy, żeby mi dokopać, to jestem zdany na siebie.

Taki stan rzeczy miał zadziałać na moją korzyść. Rewelka jest przyzwyczajony do prowadzenia walki zgodnie z zasadami. Zakłada, że – pomijając chłopięce wybryki – ja też tak postępuję. Upłynie

trochę czasu, zanim uprzytomni sobie, że moje zasady mają się nijak do jego zasad.

Zawaliłem biurko aktami, żeby każdy, komu przyjdzie do głowy zajrzeć do mnie, widział, że jestem zajęty. Potem zadzwoniłem do kolegi z archiwum i poprosiłem, żeby przysłał mi e-mailem akta osobowe wszystkich ludzi dyspozycyjnych, którzy pracują nad sprawą Rose Daly. Marudził trochę na temat poufności, ale ponieważ przed paroma laty jego córka wywinęła się od kary za posiadanie narkotyków, gdy jakiś niedbaluch dołączył do niewłaściwych akt trzy papierki z kokainą i zapis jej zeznań, uznałem, że ów kolega jest mi winien dwie duże przysługi albo co najmniej cztery małe. Mimo gadki o poufności podzielał moje zapatrywania. Po tonie jego głosu można było wywnioskować, że wrzód rośnie mu z każdą chwilą, ale akta nadeszły, zanim skończyliśmy rozmawiać.

Rewelka dobrał sobie pięciu dyspozycyjnych, moim zdaniem całkiem sporo jak na taką zamierzchłą sprawę; zdaje się, że osiemdziesięcioilustam procentową wykrywalność przyniosło mu podpieranie się chłopcami z wydziału. Czwarty pomagier nadawał się dla mnie. Stephen Moran, lat dwadzieścia sześć, zamieszkały w North Wall\*, dobre oceny na maturze, ze szkoły średniej prosto do Templemore, szereg entuzjastycznych opinii, w służbie niemundurowej zaledwie od trzech miesięcy. Zdjęcie przedstawiało chudego chłopaka z nieporządnyimi włosami i czujnymi szarymi oczami. Młody dublińczyk pochodzenia robotniczego, bystry, wytrwale i szybko zmierzający do celu, a ponadto – Bogu dzięki, że na tym świecie są żółtodzioby – zbyt niedoświadczony i zbyt gorliwy, żeby kwestionować polecenia detektywa śledczego. Bez wątpienia doskonale się dogadamy z młodym Stephenem.

\* North Wall, śródmiejska dzielnica Dublina na północnym brzegu Liffey.

Włożyłem do kieszeni kartkę z danymi chłopaka, usunąłem wszelkie ślady po e-mailu i przez następne parę godzin skrupulatnie porządkowałem papiery dla Yeatesa; nie życzyłem sobie, żeby dzwonił do mnie w nieodpowiednim momencie, prosząc o wyjaśnienie-

nia. Przekazanie akt poszło szybko i gładko – Yeates miał dość rozumu, aby ograniczyć okazanie współczucia do klepięcia po ramieniu i obietnicy, że wszystkim się zajmie. Potem spakowałem swoje rzeczy, zamknąłem pokój i udałem się na zamek dubliński, do wydziału zabójstw, żeby zaanektować Stephena Morana.

Gdyby to śledztwo prowadził ktoś inny, zapewne trudniej byłoby znaleźć Stephena; pracowałby do szóstej, siódmej, może i ósmej wieczorem, a przebywając w terenie, pewnie nie zaprzętałby sobie głowy meldowaniem się w wydziale i składaniem pisemnego raportu przed powrotem do domu. Ale wiem, jaki jest Rewelka. O ile nadgodziny wywołują u szefostwa palpacje serca, o tyle robota papierkowa przyprawia ich o orgazm, i dlatego chłopcy i dziewczęta Rewelki odbijają kartę punktualnie o piątą, wypełniwszy przedtem wszystkie formularze. W podzamkowym ogrodzie znalazłem ławkę z widokiem na drzwi wejściowe i z przyjemną osłoną antyrewelkową z krzaków, zapaliłem papierosa i czekałem. Nawet nie padał deszcz. Dopisywało mi szczęście.

Jedna rzecz nie przestawała zaprzętać mi głowy: Kevin nie miał przy sobie latarki. Gdyby miał, Rewelka wspomniałby o tym na poparcie swojej teoryjki samobójstwa. Poza tym Kevin nigdy nie narażał się na niebezpieczeństwo, jeśli nie miał cholernie dobrego powodu; łażenie po miejscach podejrzanych i uzasadnianie tego stwierdzeniem: „Dlatego że istnieją” pozostawiał mnie i Shayowi. W całym Dublinie nie było tylu puszek guinnessa, żeby zachciało mu się spacerować koło domu pod szesnastym, samotnie, w gęstych ciemnościach, dla hecy. Albo przechodząc tamtędy, zobaczył lub usłyszał coś, co kazało mu sądzić, że jest w sytuacji przymusowej, musi pójść i zbadać sprawę – coś, z czym nie mógł poczekać, żeby wezwać pomoc, coś tak nierzucającego się w oczy, że nikt z mieszkańców nic nie zauważył – albo ktoś go tam ściągnął, ktoś, kto jakimś cudownym sposobem wiedział, że Kevin będzie mijał Faithful Place mniej więcej w tym czasie; albo Kevin wcisnął Jackie kit. Od początku zmierzał do tego domu, żeby zobaczyć się z człowiekiem, który przyszedł na to

spotkanie przygotowany.

Zapał już zmrok i koło moich nóg urósł ładny stosik petów, gdy, jak było do przewidzenia, punkt o piątej w drzwiach pojawił się Rewelka ze swoim pomagierem, po czym obaj skierowali się na parking. Rewelka szedł z uniesioną głową, sprężystym krokiem i opowiadał jakąś historyjkę, którą chłopak o szczerzej twarzy przyjmował z należytych rozbawieniem. Prawie znikali, gdy wyłonił się mój Stephen, zonglując komórką, plecakiem, kaskiem rowerowym i długim szalikiem. Był wyższy, niż się spodziewałem, i mówił głębszym głosem, trochę szorstkim, przez co sprawiał wrażenie młodszego. Miał na sobie płaszcz, w doskonałym gatunku, prosto ze sklepu: przepuścił całe oszczędności, żeby nie odstawać od kolegów z wydziału.

Z przyjemnością stwierdziłem, że teraz mam wolną rękę. Stephena może ogarną wątpliwości, czy wdawać się w pogawędkę z bratem ofiary, ale mogłem się założyć, że nikt go przede mną nie przestrzegł; Cooper to co innego, lecz byle dyspozycyjnemu Rewelka za nic w świecie nie powiedziałyby, że taki człowieczek jak ja w czymś mu zagraża. Jego przerośnięte poczucie hierarchii miało być mi pomocne pod wieloma względami. W jego wyobrażeniu mundurowi to fagasy od czarnej roboty, dyspozycyjni to droidy, a jedynie detektywom śledczym i wyższym stopniem funkcjonariuszom należy się szacunek. Takie nastawienie jest zawsze złe, bo można nie tylko wiele zaprzepaścić, ale również nabawić się słabych punktów. A ja, jak już mówiłem, mam dobre oko do słabych punktów.

Gdy Stephen rozłączył się i włożył komórkę do kieszeni, wyrzuciłem papierosa i wyszedłem na ścieżkę.

– Stephen.

– Słucham.

– Frank Mackey – powiedziałem, wyciągając rękę. – Z wydziału tajnych operacji.

Widziałem, jak rozszerzają mu się oczy, ledwie odrobinę, z szacunku albo ze strachu, a może czegoś pośredniego. Przez te wszystkie



lata rozsiewałem i pielęgnowałem wiele opowieści na swój temat, jedne były prawdziwe, inne zmyślane, ale wszystkie przydatne, więc ludzie często obrzucają mnie takim spojrzeniem. Stephen miał przy najmniej dość wycucia, by nad sobą panować, co mi się podobało.

– Stephen Moran, sekcja ogólna. – Ucisnął mi rękę trochę za mocno i trochę za długo utrzymywał kontakt wzrokowy; dzieciak bardzo się starał zrobić na mnie wrażenie. – Miło mi pana poznać.

– Mów mi Frank. W tajnych operacjach nie jesteśmy na pan. Przyglądam ci się już od pewnego czasu i słyszę o tobie dużo dobrego.

Udało mu się pohamować rumieniec i ciekawość.

– Zawsze przyjemnie się tego dowiedzieć.

Zaczynałem lubić tego dzieciaka.

– Przejdźmy się – powiedziałem, skręcając w głąb ogrodu.

Zaraz wyjdą z tego budynku następni dyspozycyjni oraz chłopcy z wydziału zabójstw. – Powiedz mi coś, Stephen. Dostałeś stopień detektywa trzy miesiące temu, zgadza się?

Miał chód nastolatka, stawiał długie, sprężyste kroki jak człowiek, którego przepełnia energia.

– Tak.

– Brawo. Popraw mnie, jeśli się mylę, ale chyba nie należysz do tych, co chcą pracować całe życie w sekcji ogólnej i włączyć się za detektywem śledczym, który w danym tygodniu pstryknął na nich palcem. Do takiej roboty nie trzeba ludzi z twoim potencjałem. Chciałbyś wreszcie zacząć prowadzić śledztwa samodzielnie. Zgadza się?

– Tak myślałem.

– Jaki wydział sobie upatrzyłeś?

Teraz lekko się zarumienił.

– Zabójstw lub tajnych operacji.

– Masz gust. – Uśmiechnąłem się szeroko. – A więc praca przy sprawie morderstwa jest chyba spełnieniem marzeń, co? Sprawia ci to frajdę?

– Dużo się uczę – odrzekł powściągliwie.

Parsknąłem głośnym śmiechem.

– Gówno prawda. To znaczy, że Rewelka Kennedy traktuje cię jak własnego tresowanego szympansa. Co ci każe robić? Parzyć kawę? Przynosić ubranie z pralni? Cerować skarpetki?

W kąciuku ust Stephena pojawił się lekki grymas.

– Spisywać zeznania świadków.

– Pięknie. Ile słów wystukujesz na minutę?

– To mi nie przeszkadza. No wiesz, dołączyłem najpóźniej. Inni zaliczyli tam już parę lat. Ktoś musi...

Mężnie starał się przedstawić sytuację we właściwym świetle.

– Stephen, oddychaj – powiedziałem. – To nie egzamin. Marnujesz się, wykonując pracę sekretarki. Ty to wiesz, ja to wiem, i jeśli Rewelce chciało się poświęcić dziesięć minut na przeczytanie twoich akt, to on też to wie. – Wskazałem ławkę pod latarnią, żebym mógł obserwować jego twarz i żeby nie widziano nas z któregośkolwiek z głównych wyjść. – Siadaj.

Położył kask i plecak na ziemi, usiadł na ławce. Mimo tylu pochlebstw patrzył na mnie nieufnie, i dobrze.

– Zarówno ty, jak i ja mamy dużo pracy – mówiłem dalej, siadając obok niego – więc przejdę do rzeczy. Chciałbym wiedzieć, jak wam idzie to śledztwo. Z twojego punktu widzenia, nie w opinii detektywa Kennedy'ego, gdyż obaj wiemy, jaki z niej pożytek. Nie ma co bawić się w dyplomację: rozmowa jest całkowicie poufna, tylko między nami.

Widziałem, że jego umysł pracuje szybko, ale twarz pozostawała bez wyrazu, więc nie mogłem się zorientować, w którą stronę biega jego myśli.

– Chciałbyś wiedzieć, jak nam idzie. Co to konkretnie znaczy?

– Spotkamy się od czasu do czasu. Może postawię ci piwo. Ty opowiesz mi, czym się zajmowałeś przez ostatnie dni, co sądzisz o toku śledztwa, jak byś poprowadził sprawę, gdybyś rządził. Ja zaś wyrobię sobie zdanie o twoim sposobie pracy. Co ty na to?

Stephen wziął jakiś zeschnięty listek, który leżał na ławce, i zaczął go

starannie zaginać wzdłuż żyłek.

– Czy mogę rozmawiać z tobą szczerze? Niesłużbowo. Jak mężczyzna z mężczyzną.

Uniosłem brew.

– Jesteśmy po służbie, przyjacielu. Nie zauważyłeś?

– Miałem na myśli...

– Wiem, co miałeś na myśli. Wyluzuj, kolego. Mów, co ci przychodzi do głowy. Nie będzie żadnych reperkusji.

Jego oczy przeniosły się z liścia na mnie, szare, spokojne, inteligentne.

– Podobno masz osobisty powód, by interesować się tą sprawą. Teraz dwa powody.

– To nie jest tajemnica państwowa. No i?

– O ile dobrze rozumiem – mówił dalej Stephen – chcesz, żebym był twoim szpiegiem: śledził rozwój tego śledztwa i meldował ci o postępach.

– Jeśli tak chcesz na to patrzeć – odrzekłem pogodnie.

– Dla mnie nie brzmi to zachęcająco.

– Ciekawe. – Wyjąłem papierosa. – Zapalisz?

– Nie, dzięki.

Wcale nie taki zielony, jak to wyglądało na papierze. Choć zależało mu, żeby dobrze wypaść w moich oczach, nie chciał być niczym sługusem. W innych okolicznościach taka postawa spotkałaby się z moją aprobatą, ale akurat w tej chwili nie miałem ochoty przełamywać jego oporów jakimiś zręcznymi manewrami. Zapaliłem papierosa i zacząłem puszczać kółka w brudnożółtym świetle latarni.

– Musisz to sobie przemyśleć, Stephen. Jak przypuszczam, martwią cię trzy aspekty tej sprawy: stopień zaangażowania, strona etyczna i potencjalne konsekwencje, niekoniecznie w tej kolejności. Zgadza się?

– Mniej więcej.

– Zacznijmy od zaangażowania. Nie zamierzam cię prosić o składanie mi codziennych i szczegółowych meldunków o tym, co się

dzieje w pokoju operacyjnym. Będę ci zadawał bardzo konkretne pytania, na które będziesz umiał odpowiedzieć przy minimalnym nakładzie czasu i energii. Mówimy o dwóch, trzech spotkaniach w tygodniu, nie dłuższych niż piętnaście minut, jeśli będziesz miał coś lepszego do roboty, do tego może pół godziny przygotowań przed każdym spotkaniem. Czy coś takiego jest w granicach twoich możliwości? Pytam czysto hipotetycznie.

Po dłuższej chwili Stephen kiwnął głową.

– Nie chodzi o to, czy mam coś lepszego do roboty...

– Porządny chłop. Drugi aspekt: możliwe konsekwencje. Racja, detektyw Kennedy dostanie piany na ustach, gdy się dowie, że rozmawialiśmy ze sobą, ale nie ma powodu, żeby się dowiedział. To chyba dla ciebie jasne, że świetnie potrafię trzymać język za zębami. A ty?

– Nie kabluję.

– Tak sądziłem. Innymi słowy, ryzyko, że detektyw Kennedy się dowie i postawi cię do kąta, jest znikome. Aha, Stephen, nie zapominaj o jeszcze innych konsekwencjach. Wiele różnych rzeczy może z tego wyniknąć.

Poczekaj, aż zapyta:

– Co na przykład?

– Mówiąc, że masz potencjał, nie zamierzałem ci kadzić. Pamiętaj, ta sprawa nie będzie się ciągnąć w nieskończoność. Gdy się skończy, ty znów dołączysz do grona dyspozycyjnych. Cieszy cię ta perspektywa?

– Tylko tak można trafić do wydziału. – Wzruszył ramionami. – Trzeba przez to przejść.

– Będziesz szukał sprawców kradzieży samochodów i włamań, będziesz czekał, aż ktoś taki jak Rewelka Kennedy gwizdnie na ciebie i każe przynosić sobie kanapki przez parę tygodni. Jasne, trzeba przez to przejść, ale w wypadku jednych trwa to rok, a w wypadku innych dwadzieścia lat. Gdybyś miał możliwość wyboru, kiedy chciałbyś wy dostać się stamtąd raz na zawsze?

– Im szybciej, tym lepiej. Wiadomo.

– Tak myślałem. Zapewniam cię, że, jak już mówiłem, będę się bacznie przyglądać, jak pracujesz. Ilekroć jest wolne stanowisko w wydziale, pamiętam o ludziach, którzy wykonali dla mnie dobrą robotę. Nie mogę cię zapewnić, że mój przyjaciel Rewelka też tak postępuje. Powiedz mi coś, tak między nami: czy on w ogóle wie, jak masz na imię?

Stephen milczał.

– A zatem – powiedziałem – chyba już omówiliśmy kwestię potencjalnych konsekwencji, nie uważasz? Pozostała strona etyczna całej sytuacji. Czy proszę cię o coś, co mogłoby źle wpłynąć na twoją pracę nad sprawą tego morderstwa?

– Na razie nie.

– I nie zamierzam. Jeżeli w którymś momencie uznasz, że nasze współdziałanie powoduje, iż nie możesz poświęcić całej uwagi wykonywaniu zadań służbowych, po prostu dasz mi znać i nigdy więcej nie będę ci zwracał głowy. Masz moje słowo. – Zawsze, ale to zawsze trzeba dać człowiekowi możliwość wycofania się, choć nigdy nie będzie miał okazji z niej skorzystać. – W porządku?

– No. – Nie wyglądał na uspokojonego.

– Czy proszę cię, żebyś nie wypełniał czyichś poleceń? – wysunąłem kolejny argument.

– Dzielisz włos na czworo. Rzeczywiście, detektyw Kennedy nie mówił mi, żebym z tobą nie rozmawiał, ale tylko dlatego, że taka możliwość w ogóle nie przyszła mu do głowy.

– No właśnie. A powinna była. Skoro tak się nie stało, to niech on się tym przejmie, a nie ty czy ja. Niczego nie jesteś mu winny.

Stephen przeczesał palcami włosy.

– Chyba jednak jestem – odparł. – To on włączył mnie do śledztwa. Teraz jest moim szefem. Zasada jest taka, że to on wydaje mi polecenia. Nikt inny.

Szczęka mi opadła.

– Zasada?! Jaka...? Mówiłeś, o ile pamiętam, że upatrzyłeś sobie

wydział tajnych operacji. A może tylko chciałeś mnie dopieścić? W takim razie wiedz, że nie lubię, gdy dopieszczają mnie chłopcy. Bardzo nie lubię.

Wyprostował się jak struna.

– Nie, skądże! Co ty... Oczywiście, że chcę tam iść!

– I myślisz, że możemy sobie pozwolić na to, żeby cały dzień studiować regulamin? Myślisz, że dzięki trzymaniu się regulaminu przetrwałem trzy lata, rozpracowując gang dealerów narkotyków? Powiedz mi, młody, że tylko sobie zażartowałeś. Proszę cię. Powiedz, że nie marnowałem czasu, czytając twoje akta.

– Nie prosiłem, żebyś je czytał. Tak czy owak, o ile mi wiadomo, dopiero w tym tygodniu przyszło ci na myśl, żeby przejrzeć moje akta. Bo teraz chcesz mieć kogoś w ekipie prowadzącej to śledztwo.

Dzieciakowi należą się gratulacje.

– Stephen, każdy dyspozycyjny w policji, każdy chłopak, z którym uczyłeś się w szkole policyjnej, każdy facet, którego jutro zobaczysz w komendzie, sprzedałby swoją matkę, żeby dostać propozycję, jaką ci składam. Odrzucisz ją, bo nie mogę dowieść, że zwracałem na ciebie baczną uwagę?

Zalał się rumieńcem ciemniejszym od jego piegów, ale trwał przy swoim.

– To nie tak! Staram się postąpić słusznie.

Panie Jezu, ale on jest młody.

– Jeżeli jeszcze tego nie wiesz, kolego, to zapisz sobie i naucz się na pamięć: słusznie nie zawsze znaczy tak, jak jest w tym twoim ślicznym regulaminie. Na dobrą sprawę słuszne jest utajnione zadanie, które chcę ci zaproponować. Ta praca jest nieco dwuznaczna moralnie. Jeśli nie możesz się z tym pogodzić, nadszedł idealny moment, żebyś uprzytomnił sobie ten stan rzeczy.

– To co innego. Tajne działanie przeciwko swoim.

– Zdziwiłbyś się, słonko, jakie to częste. Zdziwiłbyś się. No więc, jeśli nie potrafisz sprostać temu zadaniu, to nie tylko ty powinieneś zdać sobie z tego sprawę, ale również ja. Obaj musimy na nowo

przemyśleć kwestię twoich dążeń zawodowych.

Kąciki ust Stephena lekko się ściągnęły.

– Jeżeli tego nie zrobię, mogę zapomnieć o przejściu do wydziału tajnych operacji – powiedział.

– Nie dlatego, że jestem mściwy. Nie łudź się. Facet mógłby przelecieć obie moje siostry naraz i zamieścić wideo na YouTube, a ja chętnie bym z nim pracował, o ile byłbym przekonany, że wykona swoją robotę. Ale gdy dajesz mi do zrozumienia, że całkowicie nie kwalifikujesz się na tajniaka, to rzeczywiście nie przedstawię twojej kandydatury. Możesz uważać, że zwariowałem.

– Dasz mi parę godzin, żebym to przemyślał?

– Nie – odparłem, wyrzucając papierosa. – Skoro nie potrafisz podjąć tej decyzji szybko, to, jeśli o mnie chodzi, możesz jej w ogóle nie podejmować. Muszę jeszcze iść w parę miejsc i spotkać się z kilkoma osobami, jak zapewne i ty. Wszystko sprowadza się do tego, Stephen: czy chcesz być sekretarką Kennedy'ego, czy moim detektywem. Co jest bliższe twoim planom, które miałaś, wstępując do policji?

Stephen przygryzł wargę i owinął rękę końcem szalika.

– Gdyby tak się stało... – powiedział. – Gdyby. Co chciałbyś wiedzieć? Tak na przykład.

– Na przykład, gdy przyjdą wyniki badań daktyloskopisch, miałbym wielką ochotę dowiedzieć się, czyje odciski, jeśli jakieś tam były, znaleziono na tej walizce, jej zawartości, obu częściach listu i na oknie, z którego wypadł Kevin. Będę również zainteresowany pełnym opisem jego obrażeń, najchętniej wraz z wykresami i raportem z sekcji zwłok. Te informacje na razie wystarczą mi do dalszej pracy; kto wie, może tylko one będą mi potrzebne. Wyniki powinny być gotowe w ciągu kilku dni, tak?

Po dłuższej chwili Stephen odetchnął przeciągle, wypuszczając obłok pary na zimne powietrze, i podniósł głowę.

– Bez urazy – odezwał się – ale zanim wyjawię zupełnie obcemu człowiekowi poufne informacje dotyczące sprawy morderstwa,

chciałbym zobaczyć jakiś dowód tożsamości.

Wybuchnąłem śmiechem.

– Jesteś moją bratnią duszą, Stephen – powiedziałem, wyjmując legitymację. – Pasujemy do siebie.

– Aha – mruknął trochę oschle. – Mam nadzieję.

Patrzyłem, jak pochyla rudą głowę nad dokumentem, i na ułamek sekundy, dumny ze swojego triumfu – chrząć się, Rewelasie, ten chłopak jest teraz mój – poczułem przyływ sympatii do tego dziecka. Dobrze było mieć kogoś po swojej stronie.



Dłużej nie mogłem zwlekać z pójściem do domu. Żeby się wzmocnić, zajrzałem do Burdock's – przez te wszystkie lata jedynie myśl o tym lokalu kusiła mnie do powrotu do Liberties – ale nawet najlepszy wędzony dorsz z frytkami czasem nie na wiele się zda. Jak większość tajniaków nie jestem szczególnie strachliwy. Nieraz szedłem na spotkanie z ludźmi, którzy bardzo chętnie porąbaliby mnie na kawałki i ładnie ułożyli pod najbliższą betonową płytą, a nawet kropla potu nie wystąpiła mi na czoło. Teraz jednak robiłem w portki. Powiedziałem sobie to samo, co młodemu Stephenowi: potraktuj to jako tajną operację – Frankie, nieustraszony detektyw, podejmuje najśmielszą jak dotąd misję i trafia w szpony przeznaczenia.

Mieszkanie wyglądało zupełnie inaczej. Drzwi wejściowe nie były zamknięte na klucz i ledwie wszedłem do korytarza, uderzyła mnie spływająca po schodach z góry fala ciepła, gwar i zapach gorącej whisky z goździkami – wszystko to wylewało się przez otwarte drzwi naszego mieszkania. Ogrzewanie było włączone na cały regulator. W salonie kłębili się ludzie: płakali, ściskali się, stali w grupkach, pochylając ku sobie głowy i rozsmakowując się w okropności sytuacji, nosili sześciopaki, małe dzieci na rękach albo owinięte folią kanapki z serem topionym na talerzach. Przyszli nawet państwo Daly; on spięty jak diabli, ona jakby naenergetyzowana orzeszkami ziemnymi – cóż, śmierć wszystko przewycięży. Odruchowo natychmiast namierzyłem ojca: razem z Shayem i kilkoma facetami stworzyli w kuchni strefę dla mężczyzn, paląc papierosy, popijając piwo i rozmawiając monosylabami. Na razie wydawało się, że z ojcem wszystko w porządku. Na stole pod Najświętszym Sercem, między

kwiatami, zawiadomieniami o mszy zamówionej w intencji zmarłego i elektrycznymi świeczkami, stały zdjęcia Kevina: tusty, zaczerwieniony niemowlak; chłopaczek podczas bierzmowania, w eleganckim białym garniturze jak z *Policjantów z Miami*; młody mężczyzna na plaży, z bandą rozkrzyczanych, spieczonych słońcem kumpli, którzy unoszą szklanki z koktajlami we wściekłych kolorach.

– Nareszcie jesteś – warknęła mama, łokciem odpychając kogoś na bok. Ubrała się w lawendową kieckę, zapewne najlepszą swoją kreację, na której widok oczy wychodziły człowiekowi na wierzch. Nie ulegało wątpliwości, że od popołudnia porządnie się spłakała. – Nie było ci spieszno.

– Przyszedłem jak najszybciej. Trzymasz się?

Chwyliła miękką część mojego ramienia w żelazny uścisk, który tak dobrze pamiętałem.

– Słuchaj no, ten twój kolega z pracy, z mocną szczęką, mówi, że Kevin wypadł przez okno.

Widać postanowiła potraktować to jako osobistą zniewagę. Z mamą nigdy nie wiadomo, co może ją dotknąć.

– Na to wygląda – odrzekłem.

– Co za bzdury! Twój znajomy gada od rzeczy. Powiedz mu, że nasz Kevin nie był jakimś połamańcem, psiakrew, i nigdy w życiu nie wypadł przez okno.

A temu Rewelce wydawało się, że wyświadcza koledze przysługę, rozpowszechniając łagodniejszą wersję wypadku zamiast samobójstwa.

– Na pewno mu przekażę – obiecałem.

– Nie chcę, żeby ludzie myśleli, że wychowałam tępaka, któremu płaczą się nogi. Zadzwoń i mu powiedz. Gdzie telefon?

– Jest już po godzinach pracy, mamó. Jeżeli będę mu zawracał głowę teraz, on się tylko zjeży. Zadzwonię jutro rano. Może być?

– Nie może. Mówisz tak, żebym siedziała cicho. Już ja cię znam, Francis: zawsze kłamałeś i zawsze ci się wydawało, że jesteś sprytniejszy od innych. No to teraz posłuchaj: nie przechytrzysz swojej

mamusi. W tej chwili dzwoni do tego kolegi, na moich oczach.

Próbowałem uwolnić rękę, ale matka ścisnęła mnie jeszcze mocniej.

– Boisz się człowieka czy co? Daj telefon, sama mu powiem, skoro ty masz pietra. No już, dawaj.

– Co mu powiesz? – zapytałem. To był błąd: poziom szaleństwa rósł tak szybko, że nie należało go jeszcze podsycać. – A tak z ciekawości. Skoro Kevin nie wypadł przez okno, to twoim zdaniem co, do cholery, mu się stało?

– Uważaj, jak się do mnie odzywasz – warknęła. – Potracił go samochód, to jasne. Jakiś gość wracał do domu z przedświątecznego przyjęcia i uderzył naszego Kevina, a potem... czy ty mnie słuchasz...? Potem zamiast zachować się jak mężczyzna i wypić piwo, którego nawarzył, zaniósł tego biedaka do ogrodu, myśląc, że nikt go nie znajdzie.

Po sześćdziesięciu sekundach z matką już kręciło mi się w głowie. Bez względu na to, że w kwestii zasadniczej właściwie się z nią zgadzałem.

– Mamo, tak nie było. Jego obrażenia nie świadczą o wypadku samochodowym.

– No to rusz dupę i dowiedz się, co mu się stało! To twoja praca i tego twojego nadętego kolegi. Nie moja. Skąd mam wiedzieć, co zaszło? Czy według ciebie ja wyglądam na detektywa?

Zauważyłem Jackie, która wychodziła z kuchni z tacą pełną kanapek. Przyciągnąłem jej uwagę i posłałem alarmujący sygnał: brat w potrzebie. Wcisnęła tacę najbliższej nastolatce i przygnała do nas. Mama nie traciła werwy („to nielogiczne, coś podobnego, za kogo ty się w ogóle masz...”), ale Jackie wzięła mnie pod rękę i powiedziała do nas pośpiesznie, ścisząc głos:

– Chodź ze mną. Obiecałam cioci Concepcie, że przyprowadzę jej Francisca, gdy tylko przyjdzie. Ciocia dostanie szału, jeśli będziemy zwlekać. Musimy iść.

Zręczne posunięcie: ciocia Concepta jest tak naprawdę ciocią na-

szej mamy i jedyną osobą w bliskim kręgu, która prześciga ją w sztuce walki psychologicznej. Mama pociągnęła nosem i wypuściła mnie ze swoich szponów, obrzucając gniewnym spojrzeniem, które mówiło, że to jeszcze nie koniec; oboje z Jackie nabraliśmy głęboko powietrza i daliśmy nura w tłum.

Był to niewątpliwie najdziwaczniejszy wieczór w moim życiu. Jackie ciągała mnie po mieszkaniu, poznając z moim siostrzeńcem i siostrzenicami, z dawnymi dziewczynami Kevina – Linda Dwyer złała mnie strumieniem łez i uściskała, przywierając do mnie biustem rozmiaru DD – z nowymi rodzinami moich starych przyjaciół, z czwórką kompletnie oszłomionych chińskich studentów, zajmujących mieszkanie w suterenie, którzy stali zbici w grupę pod ścianą, grzecznie trzymając nietknięte puszki guinnessa i próbując patrzeć na to, co się tu dzieje, jak na pouczające doświadczenie kulturowe. Jakiś gość zwany Picusiem przez bite pięć minut ścisnął mi rękę, opowiadając, jak kiedyś przyłapano jego i Kevina na kradzieży komiksów. Gavin, facet Jackie, niezdarnie szturchnął mnie pięścią w ramię i wymamrotał coś prosto z serca. Pocięchy Carmel nie odrywały ode mnie czterech par niebieskich oczu, aż wreszcie przedostatnia z dziewczynek – ta przezabawna Donna, jak każdy o niej mówił – rozszlochała się spazmatycznie.

Z nimi poszło łatwo. Niemal wszyscy znajomi z dawnych czasów przebywali w tym pokoju: dzieciaki, z którymi się tłukłem i chodziłem pieszo do szkoły; kobiety, które biły mnie po łydkach, gdy zabłociłem ich czyste podłogi; mężczyźni, którzy dawali mi pieniądze, żebym kupił im w sklepie dwa papierosy; ludzie, którzy patrzyli na mnie i widzieli młodego Francisa Mackeya ganiającego samopas po ulicach i nieraz zawieszzonego w nauce za niewyparzony język – jeszcze zobaczycie, bez dwóch zdań, ten chłopak skończy jak jego ojciec. Nikt z nich nie przypominał siebie sprzed lat. Wyglądali jak ucharakteryzowani do filmu z ambicjami na Oscara: wydatne brzuchy, obwisłe policzki i zakola nad czołami obrzydliwie pokrywające prawdziwe twarze. Jackie pokazywała mi tych ludzi, szepcząc do

ucha nazwiska. Udawałem, że nie pamiętam.

Bystrzak Hearne klepnął mnie w plecy i powiedział, że jestem mu winny piąta: w końcu zaciągnął do łóżka Maurę Kelly, choć najpierw musiał się z nią ożenić. Matka Lindy Dwyer kazała mi spróbować swoich specjalnych kanapek z jajkiem. Czasem ktoś spojrział na mnie dziwnie z drugiego końca pokoju, ale w sumie Faithful Place powitała mnie z otwartymi ramionami; wyglądało na to, że dobrze rozegrałem karty w ten weekend, poza tym świeża żałoba zawsze pomaga, zwłaszcza w aurze skandalu. Jedna z sióstr Harrison – wysuszona staruszka wzrostu Holly, ale w cudowny sposób nadal przy życiu – złapała mnie za rękaw, stanęła na palcach i powiedziała mi, wytyżając słabe płuca, że wyrosłem na przystojnego mężczyznę.

Gdy wreszcie udało mi się odczepić od wszystkich i usunąć z puszką zimnego piwa w kącie, czułem się tak, jakbym uczestniczył w jakichś starannie zaplanowanych operacjach psychologicznych, które miały bezpowrotnie zaburzyć funkcjonowanie mojego umysłu. Oparłem się plecami o ścianę, przyłożyłem puszkę do karku i starałem się pozostać w cieniu.

Atmosfera w pokoju się poprawiła, jak to podczas czuwania po czyjejś śmierci: wyczerpani smutkiem ludzie musieli złapać oddech, żeby móc dalej przeżywać żałobę. Gwar narastał, przybywało gości, grupa stojących przy mnie chłopaków wybuchnęła śmiechem. („Autobus właśnie odjeżdża, wiecie, a wtedy Kev wychyla się przez górne okno, trzymając pacholek jak megafon, o tak, i krzyczy do gliniarzy: »Kłękać przed generałem Zodem!«...”). Ktoś przesunął niski stolik, żeby zrobić się więcej miejsca przed kominkiem; ktoś inny wypychał Sallie Hearne, prosząc o piosenkę. Trochę się opierała, bo tak wypada, ale wiadomo, gdy dali jej kropelkę whisky na przepłukanie gardła, rozległo się: *There were three lovely lassies from Kimmage\** i połowa gości powtórzyła chórem: *From Kimmage...* Dokładnie tak samo zaczynały się wspólne śpiewy na każdym przyjęciu w czasach mojego dzieciństwa, jeszcze gdy razem z Rosie, Mandy i Gerem chowaliśmy się pod stołami, żeby nie wysłano nas do wspólnego łóżka w czyjejś

sypialni od strony ogrodu. Teraz mogłem się przejrzeć w łysinie Gera.

\* „Trzy śliczne dziewczoje mieszkały w Kimmage” (z tradycyjnej piosenki irlandzkiej).

Spojrzałem dokoła i uderzyła mnie myśl: on tu jest. Nie przepuściłby tego. Wszyscy by zauważyli, gdyby nie przyszedł. Świetnie panuje nad nerwami i umie wtopić się w tłum. Ktoś w tym pokoju, ktoś, kto pije nasz alkohol, snuje kliwne wspomnienia i śpiewa razem z Sallie.

Koledzy Kevina wciąż zanosili się śmiechem, paru ledwie łąpało oddech. „...Chyba z dziesięć minut sikaliśmy po nogach ze śmiechu, co nie? I dopiero wtedy uprzytomniliśmy sobie, że gnaliśmy na złamanie karku i wskoczyliśmy do pierwszego lepszego autobusu, a nie mamy bladego pojęcia, dokąd jedziemy...”.

– *And whenever there's a bit of a scrimmage, sure I was the toughest of all\*...*

\* „Gdy dochodziło do sprzeczki, najzjadlej kłóciłam się ja” (z tej samej piosenki co wyżej).

Mama siedziała na kanapie, obstawiona z jednej strony przez ciocię Conceptę, a z drugiej przez swoją koszmarną przyjaciółkę Assumptę, i też śpiewała ze wszystkimi, nawet ona. Miała zaczerwienione oczy, co rusz przykładła chusteczkę do nosa, ale unosiła szklankę i trzymała wysoko wszystkie podbródki, waleczna i niezłomna. Gromada dzieciaków sięgających dorosłym do kolan ganiała po pokoju; były odświętnie ubrane, ścisnęły w rękach herbatniki czekoladowe i bacznie się rozglądały w obawie, że ktoś zechce je zagonić do łóżka. Lada chwila schowają się pod stołami.

– No to wysiadamy z autobusu, gdzieś w Rathmines, tak nam się zdaje, a impreza jest w Crumlin, za nic nie zdążymy dojechać. I Kevin mówi: „Chłopaki, jest piątkowy wieczór, tu mieszkają sami studenci, musi gdzieś być balanga...”.

W pokoju było coraz cieplej. Rozchodził się silny zapach, bez troski i znajomy: zapach gorącej whisky, papierosów, perfum na wyjątkowe okazje i potu. Sallie podkasła spódnicę i między zwrot-

kami piosenki robiła kilka tanecznych kroków przed kominkiem. Wciąż zgrabnie się poruszała. *When he's had a few jars he goes frantic* \*...

\* „Po paru kuflach on zaczyna się gorączkować” (z tej samej piosenki co wyżej).

Chłopaki doszły do puenty.

– Gdy wieczór się skończył, Kevin wrócił do domu z najatrakcyjniejszą dziewczyną, jaka była na imprezie! – Zgięli się wół ze śmiechu i stuknęli puszkami piwa, z uznaniem wspominając dawny wyczyn Kevina.

Każdy tajniak wie, że nie ma nic głupszego, niż poczuć się częścią rozpracowywanego środowiska, ale takie przyjęcie wdrukowało się w mój umysł dawno temu, jeszcze zanim poznałem tę prawdę. Włączyłem się do chóru: *...goes frantic...*; gdy Sallie spojrzała na mnie, puściłem do niej oko i lekko uniosłem puszkę, z uznaniem.

Zamrugła powiekami. Odwróciła ode mnie wzrok i śpiewała dalej, o pół taktu szybciej.

– *But he's tall and he's dark and romantic, and I love him in spite of it all*\*\*...

\*\* „Ale jest wysoki, śniady i czuły, więc go kocham mimo to” (z tej samej piosenki co wyżej).

Miałem wrażenie, że zawsze dobrze mi się układało ze wszystkimi Hearne'ami. Ale zanim zdążyłem przemyśleć zachowanie Sallie, pojawiła się przy mnie Carmel.

– Wiesz co? – odezwała się. – To jest piękne, daję słowo. Chciałabym, żeby mnie tak żegnano po śmierci.

Trzymała kieliszek z jakimś niskoprocentowym trunkiem lub czymś równie obrzydliwym, a na jej twarzy malowało się rozmarzenie przemieszane ze zdecydowaniem, widoczne w pewnej fazie spożywania alkoholu.

– Tym wszystkim ludziom – mówiła dalej, wskazując kieliszkiem – zależało na naszym Kevinie. I coś ci powiem: wcale się nie dziwię. Taki był z niego słodziak. Cukiereczek.

– Zawsze był uroczym chłopakiem – przyznałem.

– I wyrósł na uroczego mężczyznę, Francis. Żałuję, że nie mogłeś go dobrze poznać. Moje dzieci za nim szalały.

Rzuciła na mnie okiem i przez chwilę miałem wrażenie, że chce coś dodać, ale się powstrzymała.

– Wcale mnie to nie dziwi – odrzekłem.

– Darren uciekł kiedyś z domu, zrobił to tylko raz, miał wtedy czternaście lat. Nawet się nie przejęłam, od razu czułam, że poszedł do Kevina. Darren jest zdruzgotany. Mówi, że Kevin był jedynym normalnym człowiekiem w tej rodzinie i teraz nie ma sensu do niej należeć.

Darren snuł się pod ścianami i szarpał za rękawy obszernego czarnego swetra, niczym ucieleśnienie tragizmu. Był tak przybity, że nawet zapomniał o tym, jak żenujące jest przebywanie w tym towarzystwie.

– Ma osiemnaście lat i mętlik w głowie. W tej chwili funkcjonuje na pół gwizdka. Nie przejmuj się.

– No tak, wiem, że jest nieszczęśliwy, ale... – Carmel westchnęła.

– Wiesz co? On chyba ma wiele racji.

– I co? Nienormalność to cecha rodzinna, dziecinko. Doceni ją, gdy dorośnie.

Staralem się ją rozbawić, ale ona pocierała nos palcem i patrzyła z niepokojem na Darrena.

– Myślisz, że jestem złym człowiekiem, Francis?

Zaśmiałem się głośno.

– Ty? Skądże, Melly. Dawno ci się nie przyglądałem, lecz o ile nie założyłaś burdelu w swoim ślicznym bliźniaku, to powiedziałbym, że z tobą wszystko w porządku. Zdarzyło mi się spotkać złych ludzi i możesz mi wierzyć, że w ogóle do nich nie pasujesz.

– To zabrzmiało okropnie – ciągnęła swoje. Zerknęła na szklankę i zmarszczyła brwi, jakby nie wiedziała, skąd się wzięła w jej ręce. – Nie powinnam tego mówić. Na pewno nie powinnam. Ale jesteś moim bratem, co nie? I po to człowiek ma rodzeństwo, prawda?

– Pewnie, że tak. Co takiego zrobiłaś? Będę musiał cię areszto-



wać?

– Och, daj spokój. Nic nie zrobiłam. Tylko pomyślałam. Nie będziesz się ze mnie śmiał?

– Nawet by mi do głowy nie przyszło. Jak Boga kocham.

Spojrzała na mnie bacznie, podejrzewając, że się z niej nabijam, ale w końcu westchnęła i upiła łyżeczek drinka: załatywał sztucznymi brzoskwiniami.

– Zazdrościłam Kevinowi – wyznała. – Zawsze. Tym mnie zaskoczyła. Czekalem, co będzie dalej.

– Jackie też zazdrościsz. Kiedyś nawet i tobie.

– Miałem wrażenie, że jesteś dość zadowolona z życia. Teraz.

Myliłem się?

– O Boże, nie, nie. Jestem zadowolona. Wszystko układa się doskonale.

– No to czego zazdrościć?

– Chodzi o coś innego... Pamiętasz Lenny'ego Walkera? Spotykałam się z nim w młodości, przed Trevorem.

– Ledwo, ledwo. Ten przyszczaty?

– Och, przestań, biedak miał trądzik. Potem mu przeszło. I tak nie przejmowałam się jego skórą; byłam zachwycona, że mam swojego pierwszego chłopaka. Marzyłam, żeby przyprowadzić go do domu i pokazać wam wszystkim, ale... sam wiesz.

– No tak. – Żadne z nas nie zapraszało znajomych do domu, nawet w te wyjątkowe dni, gdy ojciec był w pracy. Dobrze wiedzieliśmy, że w naszej rodzinie nic nie jest pewne.

Carmel rzuciła okiem wokoło, żeby sprawdzić, czy ktoś nie słucha.

– Aż pewnego wieczoru, gdy się przytulaliśmy i całowaliśmy z Lennym na Smith's Road, ojciec akurat wracał z pubu i nas przyłapał. Zsiniął z wściekłości. Dołożył Lenny'emu i kazał mu się wynosić, a mnie złapał za rękę i zaczął bić po twarzy. Wyzwał mnie od najgorszych... ten jego język, nie mogę powtórzyć... i zawłókł do domu. Potem powiedział, że gdy jeszcze raz zachowam się jak zdzira, odda mnie do zakładu. Bóg świadkiem, Francis, tylko się całowaliśmy. O

innych rzeczach nawet mi się nie śniło.

Po tylu latach wspomnienie wciąż było tak żywe, że dostała czerwonych plam na twarzy.

– No i w ten sposób wszystko się między nami skończyło. Potem, gdy się spotykaliśmy w większej grupie, nawet na mnie nie spojrział, taki był zażenowany. Wcale mu się nie dziwię.

Do dziewczyn Shaya i moich ojciec odnosił się z dużo większą aprobatą, a nawet udzielał nam wsparcia. W czasach, gdy otwarcie chodziłem z Rosie, zanim Matt Daly dowiedział się i obsztorcował ją jak święty Michał diabła: „Ta mała Daly, tak? Dobra robota, synu. Panna jak kwiatusek”. Mocne klepnięcie po plecach i szeroki uśmiech, gdy zacisnąłem zęby. „A te jej balony, słodki Jezu. No, powiedz, wsadziłeś jej rękę pod bluzkę?”

– Przesrane, Melly. Nic dodać, nic ująć.

Carmel wzięła głęboki oddech i powachlowała ręką twarz; czerwone plamy zaczęły blednąć.

– Boże, w jakim ja jestem stanie. Jeszcze pomyśla, że mam uderzenia gorąca... To nie znaczy, że straciłam głowę dla Lenny'ego. Pewnie i tak bym niedługo z nim zerwała, beznadziejnie całował. Chodzi o to, że się zmieniałam po tej historii. Ty tego nie pamiętasz, ale przedtem byłam zadziorną pannicą, strasznie pyskowałam mamie i tacie, naprawdę. A potem zaczęłam się bać własnego cienia. Rozmawialiśmy z Trevorem o zaręczynach przez rok, zanim do nich doszło; miał zaoszczędzone pieniądze na pierścionek, a ja się nie zgadzałam, bo wiedziałam, że musi się odbyć przyjęcie zaręczynowe. Na myśl o dwóch rodzinach w jednym pokoju drętwiałam ze strachu.

– Nie dziwię się. – Przez chwilę żałowałem, że nie byłem miłszy dla prosiaczkowatego brata Trevora.

– Z Shayem jest tak samo. On akurat nie stał się strachliwy, a ojciec nigdy nie psuł mu układów z dziewczynami, ale... – Przeniosła wzrok na Shaya, który z puszką piwa w ręce opierał się o futrynę drzwi kuchennych i pochylał nad Lindą Dwyer, trzymając głowę przy jej głowie. – Pamiętasz, jak... miałeś wtedy ze trzynaście lat... pa-

miętasz, jak stracił przytomność?

– Dokładałam wszelkich starań, żeby nie pamiętać.

To był niezły cyrk. Ojciec zamierzył się na mamę, z powodów, które umknęły mojej pamięci, i Shay złapał go za nadgarstek. Ojciec źle znosił, gdy ktoś podrywał jego autorytet; wyraził swoje odczucia, łapiąc Shaya za gardło i waląc jego głową w ścianę. Shay stracił przytomność – może na minutę, ale zdawało się, że trwa to godzinę – i przez resztę wieczoru miał zeza. Mama nie pozwoliła zawieźć go do szpitala. Nie wiadomo, czy ze strachu przed lekarzami, czy sąsiadami, a może i jednymi, i drugimi, w każdym razie usłyszawszy tę propozycję, wściekła się na całego. Przez całą noc obserwowałam śpiącego Shaya, zapewniałem Kevina, że nasz brat nie umrze, i zastanawiałem się, co ja, kurwa, zrobię, jeżeli jednak umrze.

– Potem się zmienił – ciągnęła Carmel. – Stał się twardym facetem.

– Przedtem nie był znowu taki milusiński.

– Wiem, że między wami nigdy się nie układało, ale, Bóg mi świadkiem, Shay był w porządku. Umiał ze mną pogadać, świetnie się uczył... Dopiero po tamtej historii zamknął się w sobie.

Sallie zakończyła efektownym: *In the meantime we'll live with me ma!*\*; rozległy się brawa i wiwaty. Razem z Carmel odruchowo zaczęliśmy klaskać. Shay uniósł głowę i rozejrzał się po pokoju. Wyglądał jak chory na raka: szary na twarzy, wycieńczony, z zapadniętymi oczami, ale zaraz znów się uśmiechał i słuchał Lindy Dwyer.

\* „A tymczasem zamieszkamy z moją mamą” (z tej samej piosenki co wyżej).

– Co to ma wspólnego z Kevinem? – zapytałem.

Carmel westchnęła głęboko i elegancko upiła łyżeczek napoju na sztucznych brzoskwiniach. Opuszczone ramiona świadczyły o tym, że wchodzi w fazę melancholijną.

– To, że dlatego mu zazdrościłam. Kevinowi i Jackie... Było im ciężko, wiem, ale nie przeżyli czegoś takiego, co by ich zmieniło. Zadbaliśmy o to, ja i Shay.

– I ja.

Zamyśliła się.

– Taa, ty też – przytaknęła. – Ale myśmy się troszczyli również o ciebie... naprawdę, Francis. Zawsze uważałam, że ty też jesteś w porządku. W każdym razie zdobyłeś się na to, żeby uciec z domu. Potem Jackie ciągle mówiła, że świetnie ci idzie... a to oznacza, że wydostałeś się stąd, zanim ci padło na głowę.

– Niewiele brakowało – wtrąciłem.

– O tym się dowiedziałam dopiero teraz, gdy nam powiedziałeś w pubie. Robiliśmy dla ciebie co w naszej mocy, Francis.

Uśmiechnąłem się do niej. Czoło pokrywał jej labirynt bruzd, świadectwo wieloletniego niepokoju o to, czy wszystko wokoło jest w porządku.

– Wiem, że tak było, kochanie. Nikt nie starałby się bardziej.

– No to rozumiesz, dlaczego zazdrościłam Kevinowi. Jemu i Jackie. Wciąż potrafili się cieszyć. Tak jak ja, gdy byłam mała. Nie znaczy, że chciałam, żeby mu się przydarzyło coś złego, Boże uchowaj. Po prostu patrzyłam na niego i chciałam być taka sama.

– To nie powód, żebyś uważała się za złego człowieka – powiedziałem łagodnie. – Przecież nie wyładowywałeś się na nim, nigdy go nie skrzywdziłaś. Zawsze czuwałaś, żeby mu się nic nie stało. Byłaś dobrą siostrą, Melly.

– Ale to i tak grzech. – Patrzyła ze smutkiem na pokój, kołysząc się na wysokich obcasach. – Zawiść. Nawet tylko w myślach jest grzechem, przecież dobrze wiesz. „Wybacz mi, Ojczy, bo zgrzeszyłam myślą, mową, uczynkiem i zaniedbaniem...”. Jak ja w ogóle wypowiem te słowa przy spowiedzi, skoro on nie żyje? Będę się wstydzila przez całe życie.

Objąłem ją ramieniem i uściśnałem, czując, jaka jest uległa i spragniona pocieszenia.

– Posłuchaj, mała. Gwarantuję ci, że nie pójdziesz do piekła za ten cień zazdrości wobec rodzeństwa. Jeśli już, to będzie wprost przeciwnie: dostaniesz dodatkowe punkty od Pana Boga za to, że tak bardzo starałaś się przełamać. Rozumiesz?

– Pewnie masz rację – odrzekła mechanicznie, przyzwyczajona ustępować Trevorowi, ale nie zabrzmiało to przekonująco. Przebiegło mi przez myśl, że w jakiś sposób sprawiłem jej zawód, ale raptem wyprostowała się i kompletnie zapominając o mnie, wykrzyknęła: – Dobry Jezu, Louise ma w ręku puszkę piwa? Louise! Chodź no tutaj!

Louise oczy wyszły z orbit i zniknęła w tłumie jak błyskawica. Carmel pognąła za córką.

Oparty plecami o ścianę, nadal tkwiłem w swoim kącie. Atmosfera znowu się zmieniała. Święty Tommy Murphy zaczął śpiewać *The Rare Ould Times* głosem, który niegdyś był doprawiony dymem torfowym i miodem. Dawniej gładki, w podeszłym wieku nabrał chropowatości, ale mimo to ucinał rozmowę w pół zdania. Kobiety uniosły szklanki i kołysały się ramię przy ramieniu, dzieci oparły się o nogi rodziców i stały zasłuchane, z kciukiem w buzi; nawet koledzy Kevina półgłosem przerzucali się historyjkami. Święty Tommy zamknął oczy i przechylił do tyłu głowę. *Raised on songs and stories, heroes of renown, the passing tales and glories that once was Dublin town*\*... Nora słuchała, stojąc w oknie, oparta o framugę. Na jej widok niemal stanęło mi serce: wyglądała jak zjawia Rosie, ciemna, o smutnych oczach, nieruchoma, tylko zbyt odległa, by jej dosięgnąć.

\* „Wychowany na pieśniach i gawędach, żywotach bohaterów okrytych sławą, na przemijającej legendzie chlubnego miasta, jakim niegdyś był Dublin” (z piosenki *The Rare Ould Times* autorstwa Pete'a St Johna, znanego współczesnego wykonawcy i autora piosenek ludowych).

Szybko odwróciłem wzrok i wtedy zauważyłem panią Cullen, matkę Mandy. Pani Cullen stała przy ołtarzyku Jezusowo-Kevinowym, pogrążona w rozmowie z Veronica Crotty, która nadal wyglądała tak, jakby przez okrągły rok dusił ją kaszel. Jako młody chłopak dobrze dogadywałem się z panią Cullen; lubiła się śmiać, a ja zawsze umiałem ją rozbawić. Teraz jednak, gdy zwróciłem na siebie jej uwagę i uśmiechnąłem się, podskoczyła, jakby coś ją ugryzło, chwyciła Veronice za łokieć i zaczęła szeptać jej do ucha jak karabin maszynowy, zerkając ukradkiem w moją stronę. Cullenowie

nigdy nie odznaczali się subtelnością. I wtedy zacząłem się zastanawiać, dlaczego Jackie nie zaprowadziła mnie do nich, żebym się przywitał zaraz po przybyciu.

Poszedłem szukać Desa Nolana, brata Julie, z którym też się dawniej kumplowałem i którego też jakoś pominęliśmy z Jackie podczas obchodu. Mina, którą zrobił na mój widok, byłaby bezcenna, gdybym miał nastrój do żartów. Bąknął coś bez ładu i składu, wskazał puszkę, w której na moje oko było jeszcze piwo, i dał nura do kuchni.

Wyłowiłem wzrokiem Jackie: zapędzona do narożnika wysłuchiwała trajkotania wujka Bertiego. Z wyrazem udręki na twarzy wyrwałem ją z jego spoconych łap, poprowadziłem do sypialni i zaniknąłem za nami drzwi. Teraz dominował w tym pokoju kolor brzoskwiniowy i wszystkie płaskie powierzchnie były zastawione porcelanowymi duperelami, co świadczyło o pewnym braku przeorności ze strony mamy. Zalatywało tu syropem na kaszel i czymś jeszcze, jakimś mocniejszym szpitalnym zapachem.

Jackie opadła na łóżko.

– O Boże. – Zaczęła się wachlować i wydmuchiwać powietrze. – Wielkie dzięki. Wiem, że to nieładnie kogoś obgadywać, ale on się chyba ostatni raz kąpał zaraz po urodzeniu.

– O co tu chodzi, Jackie? – zapytałem.

– Jak to?

– Połowa tych ludzi nie chce się do mnie odezwać, nawet spojrzeć mi w oczy, za to gada jak najęta, gdy myśli, że nie patrzę. Co jest grane?

Jackie zrobiła niewinną i zarazem przebiegłą minę, jak usmarowany czekoladą dzieciak, który do niczego nie chce się przyznać.

– No wiesz, nagle wróciłeś. Nie widzieli cię dwadzieścia lat. Po prostu są skrępowani.

– Gówno prawda. To dlatego, że jestem gliną?

– Och, nie. Może jakby trochę, ale... Daj sobie z tym spokój, Francis. Czy ty nie wpadasz w jakąś paranoję?

– Chcę wiedzieć, co tu się dzieje. Mówię poważnie, Jackie. Nie

wkurzaj mnie.

– O Jezu, wyluzuj. Nie jestem jakimś twoim podejrzanym, do cholery. – Potrząsnęła puszką po cydrze. – Jak myślisz, znajdzie się jeszcze jedna?

Wetknąłem jej do ręki swojego guinnessa, prawie nietkniętego.

– Mów.

Z westchnieniem zaczęła obracać puszkę w rękach.

– Wiesz, jak to jest na Faithful Place. Wyczują jakiś skandal...

– I rzucają się jak sępy. Jak to się stało, że stanowią dla nich wyżerkę?

Wzruszyła ramionami, skrępowana.

– Rosie została zamordowana w dniu, gdy zniknąłeś. Kevin zmarł dwa dni po twoim powrocie. Namówiłeś Dalych, żeby nie szli na policję. Niektórzy...

Zawiesiła głos.

– Nie pieprz, Jackie. Chyba nie chcesz powiedzieć, że zdaniem mieszkańców Faithful Place zabiłem Rosie i Kevina.

– Nie wszystkich mieszkańców. Raptem kilku. Nie wydaje mi się... Francis, słuchaj, co mówię... nie wydaje mi się, że oni w ogóle w to wierzą. Mówią tak, żeby ubarwić całą historię... ty znikasz, zostajesz gliną i w ogóle. Nie przejmuj się. Oni się tylko nakręcają, i już.

Uprzytomniłem sobie, że wciąż trzymam w ręku pustą puszkę, którą podała mi Jackie, dokumentnie zgniecioną. Tego mogłem się spodziewać po Rewelce, po tych ogierach z wydziału zabójstw, może po kilku tajniakach. Ale nie przypuszczałem, że coś podobnego spotka mnie ze strony mieszkańców mojej ulicy.

Jackie patrzyła na mnie z niepokojem.

– Rozumiesz, co mówię? Poza tym wszyscy, którzy mogli wyrazić krzywdę Rosie, są stąd. Ludziom nie jest przyjemnie myśleć...

– Ja jestem stąd!

Zapadła cisza. Jackie wyciągnęła rękę, ostrożnie, i chciała dotknąć mojego ramienia. Odepchnąłem ją. Miałem wrażenie, że w pokoju jest za mało światła, wieje grozą, w kątach gęstnieją cienie. Za ścianą, w

salonie, co rusz ktoś przyłączał się do piosenki Świętego Tommy'ego: *The years have made me bitter, the gargle dims my brain, and Dublin keeps on changing; nothing seems the same*\*...

\* „Z biegiem lat gorzknieję, gorzała przyćmiewa mi umysł, a Dublin wciąż się zmienia; nic nie jest takie jak dawniej” (z piosenki *The Rare Ould Times*).

– Ludzie mówią ci takie rzeczy prosto w oczy, rzucają na mnie oskarżenia, a ty wpuszczasz ich do tego domu?

– Nie rób z siebie większego idioty, niż jesteś – warknęła Jackie.  
– Nikt mi nic takiego nie mówił. Myślisz, że mieliby śmiałość? Krew by się poląła. Tylko robią aluzje. Pani Nolan w rozmowie z Carmel zauważyła, że zawsze jesteś w pobliżu, gdy coś się dzieje. Sallie Hearne powiedziała do mamy, że zawsze łatwo wpadałeś w złość i czy pamięta, jak to kiedyś dałeś Bystrzakowi w nos...

– Bo dokuczał Kevinowi! Dlatego, psiakrew, dostał. Mieliśmy wtedy z dziesięć lat!

– Wiem. Nie zwracaj na nich uwagi. Nie dawaj im satysfakcji. To kretyni. Wydawałoby się, że mają dość własnych spraw na głowie, ale gdzie tam, zawsze mogą się jeszcze zająć cudzymi. Tak to już jest na Faithful Place.

– Taa, tak to już tu jest – mruknąłem.

Śpiewano coraz głośniej, przybywało głosów i rozlegały się dźwięki harmonijki: *Ring-a-ring-a-rosy as the light declines, I remember Dublin city in the rare oui' times...* \*.

\* „Kółko graniaste przy zachodzącym słońcu, pamiętam Dublin z tamtych wspaniałych dawnych czasów” (z piosenki *The Rare Ould Times*).

Oparłem się o ścianę i potarłem twarz. Jackie obserwowała mnie kątem oka, popijając guinnessa.

– Wróćmy do wszystkich, dobrze? – zaproponowała w końcu niepewnym głosem.

– Pytałaś Kevina, o czym chciał ze mną porozmawiać?

Twarz jej posmutniała.

– Przepraszam, Francis... zapytałabym, ale powiedziałeś...

– Wiem, co powiedziałem.



– Dodzwonił się do ciebie?

– Nie.

Znowu chwila ciszy.

– Przepraszam, Francis – powtórzyła Jackie.

– Nie twoja wina.

– Ludzie zaczną nas szukać.

– Wiem. Jeszcze minuta i wracamy. Podała mi puszkę.

– Chrzanić piwo. Potrzebuję czegoś mocniejszego.

Jedna z desek podłogi, pod oknem, była obluźwana i pod nią chowaliśmy z Shayem papierosy, żeby nie podbierał nam Kevin. Jak było do przewidzenia, ojciec też znał tę skrytkę. Wyjąłem małą butelkę wódki, do połowy pełną, pociągnąłem łyk i podałem Jackie.

– O Jezu. – Była autentycznie zaskoczona. – Właściwie czemu nie. – Upiła łyczek, jak dama, i przyłożyła rękę do uszminekowanych ust.

– No dobra. – Pociągnąłem jeszcze raz i włożyłem do schowka. – Chodźmy stawić czoło tłuszczu żadnej linczu.

Z salonu dochodziły teraz inne odgłosy. Śpiew ucichł dość raptownie; chwilę później ustał gwar rozmów. Jakiś mężczyzna warknął coś cicho, ze złością, krzesło stuknęło o ścianę, a potem rozległ się głos mamy, coś między potępieńczym wyciem a alarmem samochodowym.

Ojciec i Matt Daly stali gotowi do bójki, nos w nos, na środku pokoju. Lawendowa kiecka mamy była zalana czymś na piersi, a mama ryczała jak najęta („Wiedziałam, że tak będzie, wiedziałam, ty głupku, nie w ten wieczór, tylko o to cię prosiłam...”). Wszyscy usunęli się na boki, żeby nie zakłócać przebiegu akcji. Spojrzenia moje i Shaya odnalazły się w jednej sekundzie i zetknęły jak magnesy. Natychmiast zaczęliśmy przepychać się w tłumie gapiów.

– Usiądź – odezwał się Matt Daly.

– Tato – powiedziałem, dotykając jego ramienia.

Nawet nie zauważył, że tu jestem.

– Nie wydawaj mi poleceń w moim własnym domu – zwrócił się

do Matta Daly'ego.

- Tato – powiedział Shay, stojąc przy nim po drugiej stronie.
- Usiądź – powtórzył cichym, zinnym głosem Matt Daly. –

Wywołałeś awanturę.

Ojciec rzucił się do przodu. Naprawdę pożyteczne umiejętności nigdy nie zanikają. Chwyciłem go równie szybko jak Shay, ręce nadal pamiętały uchwyt, a plecy były napięte, w pełnej gotowości, gdy ojciec przestał się szarpać i ugiął kolana. Byłem purpurowy ze wstydu po czubki uszu.

- Zabierzcie go stąd – warknęła mama.

Zebrała się wokół niej grupka gdaczących kobiet; jedna z nich wycierała serwetką przód jej sukienki, ale mama była taka wściekła, że nawet tego nie widziała.

– No jazda, wynoś się, wracaj do rynsztoka, gdzie jest twoje miejsce. Nigdy nie powinnam cię stamtąd wyciągać... I to podczas czuwania po śmierci własnego syna, ty draniu, nie masz odrobiny szacunku...

– Suka! – wrzasnął ojciec przez ramię, gdy zgrabnie manewrując, wyprowadzaliśmy go z pokoju. – Kurewska pizda!

– Tylne schody – rzucił Shay. – Państwo Daly niech wyjdą drzwiami frontowymi.

– Pieprzyć Matta – głądził ojciec, gdy schodziliśmy na dół. – Pieprzyć Tessie Daly. I was dwóch też. Kevin, jedyny z całej trójki, był coś wart.

Shay prychnął ostrym, urywanym śmiechem. Wyglądał na straszliwie zmęczonego.

- Co do tego prawdopodobnie masz rację.
- Najlepszy ze wszystkich – ciągnął ojciec. – Mój ulubieniec. –

Rozpłakał się.

– Pytałeś, jak on funkcjonuje – powiedział do mnie Shay. W jego spojrzeniu, które zetknęło się z moim nad karkiem ojca, zobaczyłem płomień palnika bunsenowskiego. – No to masz okazję zobaczyć. Baw się dobrze. – Zręcznie otworzył drzwi nogą i zostawił ojca na

schodkach, po czym poszedł z powrotem na górę.

Ojciec siedział tam, gdzie klapnął, zalewając się łzami i od czasu do czasu wypowiadając uwagi o okrucieństwie życia, z wielką przyjemnością. Oparłem się o ścianę i zapaliłem papierosa. W mętnej pomarańczowej poświacie, która nie wiadomo skąd się wzięła, ogród wyglądał niesamowicie, jak z filmu Tima Burtona. Szopa, gdzie kiedyś był wychodek, wciąż stała, choć brakowało w niej kilku desek, i niebezpiecznie przechylała się na bok. Za moimi plecami trzasnęły drzwi: państwo Daly poszli do siebie.

Po pewnym czasie zmalowało skupienie ojca na własnej osobie albo zmarł mu tyłek. Zakończył przedstawienie, wytarł nos w rękaw i usiadł wygodnie na schodku, krzywiąc się na twarzy.

- Daj papierosa.
- Powiedz: proszę.
- Jestem twoim ojcem i masz mi dać papierosa.
- A niech tam – odrzekłem, wyciągając jednego. – Z zasady wspieram słuszne sprawy. A rak płuc u ciebie niewątpliwie do nich należy.

- Zawsze byłeś bezczelnym gnojkiem – oświadczył ojciec i wziął papierosa. – Powinienem był zrzucić twoją matkę ze schodów, gdy powiedziała mi, że zaszła.

- I pewnie zrzuciłeś.
- Głupoty gadasz. W życiu nie tknąłem was palcem, jeśli na to nie zasłużyliście.

Tak się trząśł, że nie mógł zapalić papierosa. Usiadłem obok niego na schodkach, wziąłem zapalniczkę i podałem mu ogień. Śmierdział zastałym dymem papierosowym i stęchłym piwem, a przez te wonie przebiłała zawadiacka nuta ginu. Wciąż czułem, że cały kręgosłup mam napięty i sztywny ze strachu przed ojcem. Z okna na górze zaczął dolatywać gwar rozmów, urywanych, podejmowanych ze skrzepowaniem.

- Co jest z twoimi plecami? – spytałem.

Wypuścił z płuc chmurę dymu.

- Nie twój interes – burknął.
- Próbuję z tobą pogawędzić.
- Nie słynałeś z ochoty do pogawędek. Traktujesz mnie jak przygłupa.

– Nigdy tak o tobie nie myślałem.

Powiedziałem to szczerze. Gdyby ojciec poświęcił trochę więcej czasu na zdobywanie wykształcenia, a trochę mniej na wpadanie w alkoholizm, mógłby do czegoś dojść. Gdy miałem ze dwanaście lat, na lekcjach uczyliśmy się o drugiej wojnie światowej. Nauczyciel, utajony gej, uważał, że dzieci z pod upadłych dzielnic śródmieścia są za głupie, żeby zrozumieć takie skomplikowane sprawy, więc nawet nie starał się ich wyjaśnić. Dopiero mój ojciec, który przypadkiem nie pił tamtego tygodnia, usiadł ze mną przy stole, narysował ołówkiem mapę na obrusie, potem stworzył armie z ołowianych żołnierzików Kevina i opowiedział mi wszystko tak jasno i obrazowo, że wciąż pamiętam każdy szczegół, jakbym obejrzał film. Jednym z nieszczęść mojego ojca było to, że miał dość rozumu, by pojąć, jak bardzo schrzanił sobie życie. Lepiej by mu się żyło, gdyby był głupi jak but.

– Co cię obchodzą moje plecy?

– Pytam z ciekawości. Gdyby ktoś chciał, żebym pokrył część kosztów pobytu w domu opieki, dobrze byłoby wiedzieć zawczasu.

– O nic cię nie prosiłem. I nie zamierzam trafić do domu opieki. Prędzej bym strzelił sobie w łeb.

– Brawo. Nie odkładaj tego zbyt długo.

– Nie dam wam satysfakcji.

Znowu zaciągnął się głęboko i zaczął obserwować kręte smużki dymu, które wydostawały się z ust.

– O co poszło tam na górze? – zapytałem.

– To i owo. Męskie sprawy.

– Mianowicie? Matt Daly podkładał ci bydło?

– Nie powinien przychodzić do mojego domu. A już na pewno nie w taki dzień.

Wiatr przelatywał przez ogrody, napierał na ściany szopy. Przez

sekundę widziałem Kevina, jak leży fioletowo-biały i pogruchotany, poprzedniej nocy, w ciemności, cztery ogrody stąd. Zamiast gniewu poczułem, że jestem ciężki jak glaz, że będę musiał tu siedzieć całą noc, bo w żadnym wypadku nie dam rady podnieść się z tego schodka.

Po pewnym czasie ojciec zapytał:

– Pamiętasz tamtą burzę? Miałeś wtedy, bo ja wiem, może pięć, sześć lat. Wyprowadziłem ciebie i twojego brata na dwór. Matka dostała szału.

– Tak, pamiętam.

Był parny i duszny wieczór, jak to latem, gdy nie da się oddychać i nagle, nie wiadomo dłaczego, wybuchają zajadłe kłótnie. Kiedy rozległ się pierwszy grzmot, ojciec z ulgą ryknął śmiechem. Jedną ręką chwycił wpół Shaya, drugą mnie i podrałował na dół, a za nami leciały wściekłe krzyki matki. Podniósł nas wysoko, pokazując błyskawice rozbłyskujące nad nasadami kominów, i powiedział, żebyśmy nie bali się grzmotów, bo to po prostu piorun nagrzewa powietrze tak szybko, że następuje wybuch, i żebyśmy nie bali się matki, która wychylała się z okna i wrzeszczała coraz głośniej. Gdy w końcu lunął deszcz, uniósł twarz ku fioletowo-szaremu niebu i zaczął obracać się z nami w koło na pustej ulicy, Shay i ja śmialiśmy się jak dzicy, wielkie ciepłe krople deszczu rozpryskiwały się nam na twarzach, trzeszczały naelektryzowane włosy, ziemia drżała od grzmotów, które przetaczały się w kościach ojca i naszych.

– To była dobra burza – powiedział ojciec. – I dobra noc.

– Pamiętam jej zapach. Smak też.

– Taa. – Wziął ostatniego malutkiego sztacha i wrzucił niedopałek do kałuży. – Powiem ci, co chciałem zrobić tamtej nocy. Niczego nie pragnąłem bardziej, niż zabrać was obu i pójść sobie. Gdzieś w góry i zamieszkać tam. Ukraść namiot i strzelbę, żyć z tego, co upolujemy. Bez zrzędzących kobiet, bez ludzi, którzy mówią ci, że się nie nadajesz, którzy tłamszą robotnika. Byliście dobrymi chłopaczkami, ty i Kevin, dobrymi, silnymi chłopaczkami, sprostałobyście wszystkiemu. Sądzę, że doskonale dalibyśmy sobie radę.

– Tamtej nocy byłeś ze mną i Shayem – sprostowałem.

– Z tobą i Kevinem.

– Nie. Byłem jeszcze mały, dlatego mogłeś mnie wziąć na ręce. A to znaczy, że Kevin był niemowlakiem. O ile już się urodził.

Ojciec zastanawiał się przez chwilę.

– E tam, chrzań się. Wiesz, co to dla mnie jest? Najpiękniejsze wspomnienie mojego zmarłego syna. Dlaczego jesteś takim gnojkiem i mi to zabierasz?

– Brakuje ci prawdziwych wspomnień o Kevinie, bo gdy przyszedł na świat, tobie zrobiła się już z mózgu papka. Jeżeli masz chęć opowiedzieć, jak przyczyniłem się do tego, konkretnie, to zamieniam się w słuch.

Nabrał powietrza, gotowy zaraz mi przyłożyć, ale dostał takiego ataku kaszlu, że niemal spadł ze schodka. Nagle poczułem, że rzygać mi się chce na myśl o nim i o sobie. Przez ostatnie dziesięć minut prowokowałem go, by dał mi w szczękę; aż tyle czasu zajęło mi uświadomienie sobie, że przygaduję słabszemu. Uderzyła mnie myśl, że jeśli pozostanę jeszcze trzy minuty w zasięgu wpływów tego domu, to oszaleję.

– Masz. – Podałem mu następnego papierosa. Ojciec wciąż nie mógł wydobyć głosu, ale wziął papierosa drżącą ręką. – Baw się dobrze – powiedziałem i go zostawiłem.

Na górze Święty Tommy znowu zaczął śpiewać. Przyjęcie weszło w tę fazę, gdy goście przerzucili się z piwa na alkohol wysokoprocentowy i walczyli z Anglikami. *No pipe did hum nor battle drum did sound its loud tattoo, but the Angelus bell o'er the Liffey's swell rang out through the foggy dew\*...*

\* „Nie zagrały dudy ani nie zadudniły werble, tylko dzwon zabrzmiał na Anioł Pański i przebił się przez mgłę nad wezbranymi wodami Liffey” (z ballady *Foggy Dew*, upamiętniającej powstanie wielkanocne z 1916 roku).

Shay zniknął, Linda Dwyer również. Carmel opierała się o bok kanapy, nucąc do wtóru, jedną ręką obejmowała przysypiającą Donnę, a drugą rękę trzymała na ramieniu mamy. Podszedłem do niej

i szepnąłem cicho do ucha:

– Ojciec jest przy tylnych drzwiach. Trzeba do niego zajrzeć prędzej czy później. Muszę iść. – Carmel gwałtownie odwróciła głowę, zaskoczona, ale przyłożyłem palec do ust i ruchem głowy wskazałem mamę. – Cii. Niedługo się zobaczymy. Obiecuję.

Wyszedłem, zanim ktokolwiek uznał, że ma mi coś do powiedzenia. Na ulicy zalegała ciemność, światło paliło się tylko w jednym oknie u Dalych i w jednym u długowłosych studentów; reszta mieszkańców spała albo była u nas. Głos Świętego Tommy'ego, wiecznie młody, przenikał przez szybę jasnego okna naszego salonu: *As back through the glen I rode again, my heart with grief was sore, for I parted then with valiant men whom I never shall see more\*...* Piosenka niosła się za mną do końca Faithful Place. Nawet gdy skręciłem w Smith's Road, wydawało mi się, że w szumie przejeżdżających samochodów słyszę ten śpiew z głębi serca.

\* „Wracałem konno, znów jadąc wężozem, pogrążony w żalu po rozstaniu z walecznymi mężami, których już nie zobaczę” (z piosenki *Foggy Dew*).

Wsiadłem do samochodu i pojechałem do Dalkey. O tak późnej porze na ulicy zalegały ciemności i niesamowita cisza, wszyscy leżeli w łóżkach, okryci miękką ekskluzywną pościelą. Zaparkowałem pod dostojnym drzewem i siedziałem przez chwilę, patrząc w okno sypialni Holly i myśląc o tych nocach, gdy późno wracałem z pracy do tego domu, parkowałem na podjeździe jak swój i bezgłośnie przekręcałem klucz w zamku. Na blacie, przy którym jedliśmy śniadanie, Olivia zostawiała mi różne rzeczy: fantazyjne kanapki, liściki i najrozmaitsze rysunki, które tego dnia zrobiła Holly. Jadłem kanapki, siedząc na wysokim stołku, oglądałem rysunki przy świetle latarni wpadającym przez okno w kuchni i słuchałem odgłosów domu w gęstej ciszy: szumu lodówki, świszczącego wiatru pod okapem, cichych oddechów moich dziewczyn. Potem pisałem do Holly liścik, żeby nauczyła się lepiej czytać (CZEŚĆ, HOLLY, TYGRYS BYŁ ŚWIETNY. NARYSUJESZ MI DZISIAJ NIEDŹWIADKA? ŚCI-SKAM CIĘ MOCNO, TATO), i całowałem ją na dobranoc, zanim się położyłem. Holly śpi na plecach z rozłożonymi rękami i nogami, anektując do maksimum powierzchnię łóżka. Liv spała zwinięta w kłębek, przynajmniej tak było wówczas, zostawiając mi moją połowę. Gdy się kładłem, mruczała coś, przytulała się do mnie plecami i szukała po omacku mojej ręki, żebym ją objął.

Najpierw zadzwoniłem na komórkę Olivii, żeby nie obudzić Holly. Gdy trzy razy odezwała się sekretarka, przerzuciłem się na stacjonarny.

Chwycała za słuchawkę po pierwszym dzwonku.

– Co takiego, Frank?



– Mój brat nie żyje – powiedziałem.

Cisza.

– Mój brat Kevin. Znaleziono go martwego dziś rano.

Zapaliła się lampka nocna.

– O Boże, Frank, tak mi przykro. Co się...? Jak on...?

– Jestem przed domem. Mogłabyś mnie wpuścić?

Znowu cisza.

– Nie miałem dokąd pójść, Liv.

Szmer oddechu, nie całkiem westchnienie.

– Daj mi chwilę. – Rozłączyła się. Za zasłoną poruszył się jej cień, włożyła ręce w rękawy, przeczesła palcami włosy.

Otworzyła drzwi, ubrana w sfatygowany biały szlafrok, spod którego wystawała niebieska bawełniana koszula nocna, co prawdopodobnie oznaczało, że przynajmniej nie wyrwałem jej z objęć namiętnego Dermo. Przyłożyła palec do ust i nie dotykając mnie, zaprowadziła do kuchni.

– Co się stało?

– U wylotu naszej ulicy stoi zrujnowany dom. Ten, w którym znaleźliśmy Rosie. – Olivia przysunęła stół i splotła ręce na blacie, słuchając uważnie, natomiast mnie nosiło: szybkim krokiem chodziłem tam i z powrotem po kuchni, nie mogłem znaleźć sobie miejsca. – Znaleźli Kevina dziś rano, w ogrodzie za tym domem. Wypadł z okna na górze. Skręcił kark.

Widziałem, jak Olivii poruszyła się grdyka, gdy przełknęła ślinę. Minęły cztery lata, od kiedy widziałem ją z niezwiązanymi włosami – rozpuszczała je tylko na noc – i dostałem kolejnego, bolesnego kopa, który przywrócił mi poczucie rzeczywistości.

– Miał trzydzieści siedem lat, Liv. Chodził z sześcioma dziewczynami naraz, bo nie był jeszcze gotów się ustatkować. Chciał zobaczyć Wielką Rafę Koralową.

– Rany boskie, czy to... jak...?

– Wypadł, wyskoczył, ktoś go wypchnął... wybieraj. Nie wiem, po co on tam w ogóle poszedł, psiakrew, nie wspominając już o tym,

dlaczego wyleciał przez okno. Nie wiem, co robić, Liv. Nie wiem, co robić.

– A musisz cokolwiek robić? Chyba prowadzą śledztwo.

– O tak, na całego. – Zaśmiałem się. – Zajął się tym wydział zabójstw, co nie znaczy, że popełniono morderstwo, ale ta sprawa ma związek ze sprawą Rosie: to samo miejsce, te same ramy czasowe. Jest w rękach Rewelki Kennedy'ego.

Olivia lekko zmarszczyła twarz. Zna Rewelkę i niezbyt go lubi albo niezbyt lubi mnie, gdy z nim przebywam.

– Cieszysz się? – zapytała delikatnie.

– Nie. Nie wiem. Najpierw pomyślałem: w porządku, mogło być dużo gorzej. Wiem, jaki z niego nieziemsko upierdliwy typ, ale za to wytrzymały i kogoś takiego tu potrzeba. Sprawa Rosie jest wiekowa; dziewięciu śledczych na dziesięciu w mgnieniu oka odesłałoby ją do lamusa i zabrało się do czegoś, co daje choć cień nadziei. Rewelka nie zamierzał odpuścić. Wydawało mi się, że to dobrze.

– Ale teraz...

– Teraz... Ten facet przypomina cholernego pitbula. Nie jest nawet w połowie tak bystry, jak mu się wydaje, i gdy czegoś dopadnie, to już nie puści, nawet jeżeli myli się w swoich sądach. A teraz...

Przestałem się miotać. Oparłem się o zlew, przyłożyłem ręce do twarzy i otworzywszy szeroko usta, wciągnąłem przez palce duży haust powietrza. Ekopoprawne żarówki włączyły się z szumem, stopniowo zalewając kuchnię białym światłem i wystrzając agresywnie krawędzie.

– Liv, oni będą twierdzić, że Kevin zabił Rosie. Wyczytałem to z twarzy Rewelki. Nie powiedział tego głośno, ale tak uważa. Będą twierdzić, że Kevin zabił Rosie, a potem podejrzewał, że jesteśmy na jego tropie, i popełnił samobójstwo.

Olivia dotknęła palcami ust.

– O Boże. Dlaczego? Czy oni...? Skąd takie przypuszczenia... Dlaczego?

– Rosie zostawiła list... pół listu. Drugą połowę znaleziono przy

Kevinie. Ten, kto go wypchnął przez okno, mógł włożyć mu ten list do kieszeni. Rewelka sądzi jednak, że było inaczej. Uważa, że znalazł oczywiste wyjaśnienie i zgrabne rozwiązanie obu spraw, więc można zamknąć śledztwo: nie ma żadnych przesłuchań, nakazów, rozpraw ani innych wymysłów. Po co komplikować sobie życie? – Znowu zacząłem wędrować po kuchni. – On jest z wydziału zabójstw. Tam siedzi banda debili, psiakrew. Widzą tylko to, co się znajduje w linii prostej przed ich nosami, a gdy kazać im spojrzeć odrobinę w bok, choć raz w ich cholernym życiu, to tracą orientację. Przenieść ich na pół dnia do tajnych operacji i byłiby martwi.

Olivia pociągnęła za długi popielato-złocisty lok i patrzyła, jak z powrotem się skręca.

– Zazwyczaj jest chyba tak, że proste wyjaśnienia są słuszne.

– Taa. Racja. Świetnie. Na pewno tak jest. Ale tym razem, Liv, proste wyjaśnienie jest kompletnie błędne. Tym razem jest, kurwa, farsą.

Olivia milczała, a ja zastanawiałem się, czy załapała, kto w sam raz pasował do prostego wyjaśnienia, zanim Kevin skoczył głową w dół. Po chwili powiedziała bardzo ostrożnie:

– Wiele lat nie widziałeś Kevina. Czy możesz być absolutnie pewny...?

– O tak, zdecydowanie tak. Spędziłem z nim kilka ostatnich dni. Był takim samym gościem, jakiego znałem w młodości. Lepiej uczesany, trochę wyższym i grubszym, ale takim samym. Co do tego nie ma wątpliwości. Wiem wszystko, co istotne na jego temat: na pewno nie był ani zabójcą, ani samobójcą.

– Próbowaleś powiedzieć to Rewelce?

– Pewnie, że próbowałem, ale równie dobrze mogłem gadać do ściany. Nie chciał tego usłyszeć, więc był głuchy.

– A jego naczelnik? Czy on by cię wysłuchał?

– O Jezusie, nie. Nic gorszego nie mógłbym zrobić. Rewelka już mnie ostrzegł, żebym nie wchodził mu w drogę, i będzie sprawdzał, czy trzymam się z daleka. Jeżeli zacznę działać za jego plecami i

spróbuję wetknąć nos w śledztwo, zwłaszcza gdyby to mogło zepsuć mu tę bezcenną statystykę wykrywalności, zaprze się jeszcze bardziej. Co ja mam zrobić, Liv? Co ja mam zrobić?

Szare oczy Olivii patrzyły na mnie, zamyślane i nieodgadnione.

– Może lepiej to zostawić, Frank. Na pewien czas – powiedziała łagodnym tonem. – To, co oni twierdzą, już nie zaszkodzi Kevinowi. Gdy opadnie kurz...

– Nie! Za nic w świecie. Nie zamierzam stać z boku i patrzeć, jak staje się ich kozłem ofiarnym tylko dlatego, że nie żyje. On nie może się bronić, ale ja mogę to zrobić za niego.

Rozległ się cichy głosik:

– Tatuś?

Oboje wyskoczyliśmy pod sufit. Na progu stała Holly, ubrana w za dużą koszulkę nocną z wizerunkiem Hannah Montany, trzymała rękę na gałce drzwi i podwijała palce stóp na zimnej terakocie.

– Wracaj do łóżka, kochanie – odezwała się szybko Olivia. – Tylko sobie rozmawiamy.

– Powiedziałeś, że ktoś nie żyje. Kto?

O Jezu.

– Wszystko w porządku, kochanie – odrzekłem. – Człowiek, którego znałem.

Olivia podeszła do Holly.

– Jest środek nocy. Idź spać. Porozmawiamy o tym rano.

Chciała skierować ją z powrotem na schody, ale Holly uczepliła się drzwi i zaparła nogami.

– Nie! Tato, kto umarł?

– Do łóżka. Natychmiast. Jutro możemy...

– Nie! Chcę wiedzieć!

Prędzej czy później będę musiał jej wyjaśnić. Na szczęście już wiedziała, co to jest śmierć: złote rybki, chomik, dziadek Sarah. W przeciwnym razie nie dałbym rady prowadzić rozmowy jeszcze z nią, poza wszystkim innym.

– Ciocia Jackie i ja mamy brata – powiedziałem. Wystarczy jeden

nieznany krewny naraz. – Mieliśmy. Umarł dziś rano.

Holly wbiła we mnie wzrok.

– Twój brat? – Cienki głosik lekko zadrżał. – To znaczy mój wujek?

– Tak, kochanie, twój wujek.

– Który?

– Żaden z tych, których znasz. Żaden z braci twojej mamy. To był wujek Kevin. Nigdy go nie widziałaś, ale sądzę, że byście się lubili.

Jej ogniste oczy zrobiły się wielkie jak spodki, a sekundę później jej twarz się zmarszczyła, głowa opadła w tył i rozległ się dziki krzyk rozpaczny.

– Niiieeee! Nie, mamusiu, nie, mamusiu, nie...

Krzyk przeszedł w szloch rozdzierający serce. Holly przytuliła twarz do brzucha Oliva, która kucnęła, wzięła Holly w objęcia i zaczęła mamrotać coś na pocieszenie.

– Dlaczego ona płacze? – zapytałem.

Byłem szczerze zdumiony. Ostatnie dni sprawiły, że myślałem w żółwym tempie. Dopiero gdy zauważyłem, że Olivia uniosła szybko wzrok, ukradkiem, z poczuciem winy, uprzytomniłem sobie, że jest jakiś problem.

– Liv, dlaczego ona płacze?

– Nie teraz. Cii, kochanie, cii, już dobrze...

– Niiieeee! Niedobrze!

Dziecko mówiło z sensem.

– No właśnie. Dlaczego, do cholery, ona płacze?

Holly odkleiła od ramienia Olivii mokrą czerwoną buzię.

– Wujek Kevin! – krzyknęła. – Pokazał mi grę Bracia Super Mario i powiedział, że zabierze mnie i ciocię Jackie na przedstawienie gwiazdkowe!

Chciała mówić dalej, ale słowa zdławiło kolejne tsunami łez. Ciężko usiadłem na stołku przy blacie śniadaniowym. Olivia nie patrzyła na mnie; kołysała Holly, gładząc ją po włosach. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ktoś zajął się mną tak samo, najchętniej

osoba z bardzo dużym biustem i chmurą gęstych otulających włosów.

W końcu Holly była tak wyczerpana, że tylko drżała na całym ciele i ciężko oddychała. Oczy zaczynały jej się same zamykać. Olivia zaprowadziła ją powoli do łóżka. Gdy była na górze, znalazłem butelkę dobrego chianti na stojaku na wino – po mojej wyprowadzce Olivia przestała trzymać w domu piwo – i ją otworzyłem. Usiadłem na stołku, zamknąłem oczy, oparłem się głową o ścianę i słuchałem kojącego głosu Olivii nade mną, zastanawiając się, czy kiedykolwiek w życiu byłem bardziej rozszluszczony.

– No i co? – powiedziałem miłym tonem, gdy Olivia zeszła na dół, skorzystawszy z okazji, by przywdziać zbroję apetycznej ma-muśki: dzinsy z kantem, kaszmirowy sweterek w karmelowym kolorze i pewną siebie minę. – Chyba należą mi się wyjaśnienia, nie sądzisz?

Olivia zerknęła na mój kieliszek, unosząc lekko brwi.

– I najwyraźniej lampka wina.

– Nie, nie. Kilka lampek. To dopiero początek.

– Zakładam, że nie zamierzasz przespać się tutaj, jeżeli wypijesz za dużo, żeby jechać samochodem.

– Liv, w normalnych okolicznościach z wielką ochotą ścierałbym się z tobą na tyłu bocznych torach, na ilu zechcesz, ale dzisiaj, muszę cię ostrzec, zamierzam trzymać się dość ściśle tematu. Jak to się stało, do kurwy nędzy, że Holly знаła Kevina?

Olivia odgarnęła włosy do tyłu i zręcznymi, żwawymi ruchami związała je gumką. Najwyraźniej postanowiła zachować spokój i rozegrać to z zimną krwią.

– Uznałam, że Jackie może ich ze sobą poznać.

– Już ja wezmę Jackie na spytki. Rozumiem, że ty mogłaś być taka naiwna, by uznać to za świetny pomysł, ale nic nie tłumaczy Jackie. Tylko Kevina czy też całą cholerną rodzinę Addamsów? Proszę cię, Liv, powiedz, że tylko Kevina.

Olivia założyła ręce na piersi i oparła się plecami o ścianę. To była jej postawa bojowa, dobrze mi znana.

– Dziadków, wujków i ciocię, kuzyna i kuzynki.

Holly poznała Shaya. Moją matkę. Mojego ojca. Nigdy nie uderzyłem kobiety. Nie zdawałem sobie sprawy, że o tym myślę, dopóki nie poczułem, że z całej siły zaciskam rękę na krawędzi tego pretensjonalnego stołka.

– Któregoś wieczoru, po szkole, Jackie zaprowadziła ją tam na podwieczorek. Dziecko poznało swoją rodzinę, Frank. To nie jest koniec świata.

– Mojej rodziny się nie poznaje, lecz podejmuje przeciw niej działania wojenne. Idzie się tam z miotaczem ognia i w pancerzu od stóp do głów. Przez ile to wieczorów, konkretnie, Holly poznawała moją rodzinę?

Nieznaczne wzruszenie ramion.

– Nie liczyłam. Dwanaście, piętnaście, może dwadzieścia.

– Jak długo to trwa?

Jednak miała nieczyste sumienie, bo na to pytanie zareagowała drgnieniem powiek.

– Z rok.

– Nakłoniłaś moją córkę, żeby przez rok opowiadała mi kłamstwa.

– Powiedziałyśmy jej...

– Przez rok. W każdy weekend przez rok pytałem Holly, jak jej minął tydzień, a ona raz po raz wciskała mi kit.

– Powiedziałyśmy jej, że przez pewien czas trzeba to zachować w tajemnicy, bo pokłóciłeś się ze swoją rodziną. To wszystko. Miałyśmy zamiar...

– Możesz to nazwać zachowywaniem tajemnicy, możesz to nazwać kłamanem albo jak ci się, kurwa, podoba. To jest specjalność mojej rodziny. Jej wrodzony, dany od Boga talent. Chciałem trzymać Holly jak najdalej od tego, miałem nadzieję, że mimo obciążeń genetycznych wyrośnie na uczciwego, zdrowego, nieskrzywionego psychicznie człowieka. Czy uważasz, że to wygórowane wymagania? Czy naprawdę uważasz, że prosiłem o zbyt wiele?

– Frank, znowu ją obudzisz...

– A ty wrzuciłaś Holly w sam środek tego wszystkiego. I hokus-pokus, nie do wiary, dzieciak zachowuje się jak jakiś pieprzony Mackey. Kłamie jak z nut. A ty ją do tego zachęcasz. To podłość, Liv. Naprawdę. W życiu nie słyszałem o takim podłym, wrednym świństwie.

Przynajmniej miała tyle przyzwoitości, żeby się zaczerwienić.

– Zamierzałyśmy ci powiedzieć. Myślałyśmy, że gdy zobaczysz, jak dobrze się układa...

Parsknąłem tak głośnym śmiechem, że Olivia się wzdrygnęła.

– Panie Jezu Przenajświętszy! Liv! Dobrze się układa?! Może coś do mnie nie dociera, ale moim zdaniem w tym całym cholernym bajzlu nic a nic się nie układa.

– Na miłość boską, Frank, przecież nie wiedziałyśmy, że Kevin...

– Wiedziałyście, że nie chcę, żeby się do nich zbliżała. To powinno wam wystarczyć aż nadto. Co jeszcze, do diabła, było wam potrzebne do wiadomości?

Miała opuszczoną głowę, a jej podbródek nabrał nieugiętego wyrazu, jak u Holly. Gdy znów sięgnąłem po butelkę, dostrzegłem błysk w oczach Olivii, ale powstrzymała się od uwag. Nalałem sobie do pełna, rozchlapując trochę wina na śliczny kamienny blat.

– A może właśnie dlatego tak postąpiłaś... bo zdecydowanie się temu sprzeciwiałem? Aż tak jesteś na mnie wkurzona? No już, Liv, powiedz. Jakoś to zniosę. Mówmy otwarcie. Podobało ci się granie mi na nosie? Miałaś dużą frajdę? Rzeczywiście po to wepchnęłaś Holly do tego stada kompletnych wariatów, żeby zrobić mi na złość?

Olivia wyprostowała się jak struna.

– Jak śmiesz! Nigdy, przenigdy nie skrzywdziłabym Holly, dobrze o tym wiesz.

– Więc dlaczego, Liv? Dlaczego? Jak to możliwe, na Boga, że ten pomysł wydał ci się taki dobry?

Olivia energicznie wciągnęła przez nos powietrze i odzyskała panowanie nad sobą; miała doświadczenie.



– Oni są również jej rodziną – powiedziała chłodno. – Holly ciągle mnie pytała, dlaczego nie ma dwóch babć jak wszystkie jej koleżanki, czy ty i Jackie macie braci albo siostry, dlaczego nie może się z nimi spotykać...

– Gówno prawda. Mnie pytała o moją rodzinę jeden jedyny raz przez całe swoje życie.

– No właśnie, i zareagowałeś tak, że drugi raz już cię nie zapytała. Ale pytała mnie. Pytała Jackie. Chciała wiedzieć.

– Pieprzyć, czego ona chce. Ma dziewięć lat. Chce mieć również małego lewka i jeść tylko czerwone M-and-M-y. Zgodzisz się na to? Jesteśmy jej rodzicami, Liv. Powinniśmy dawać jej to, co jest dla niej dobre, a nie to, czego jej się, psia krewo, zachce.

– Cii, Frank. Dlaczego, u licha, miałoby to nie wyjść jej na dobre? Przez te wszystkie lata powiedziałaś o swojej rodzinie tylko tyle, że nie chcesz się z nią kontaktować. Nie mówiłaś, że twoi krewni latają z siekierami i zabijają ludzi. Jackie jest urocza, zawsze traktowała Holly jak najlepiej i mówiła, że reszta rodziny to zupełnie przyjemni ludzie...

– I ty uwierzyłaś jej na słowo? Jackie żyje w swoim błogim świecie, Liv. Jej zdaniem gdyby Jeffrey Dahmer znalazł sobie miłą dziewczynę, nie byłby seryjnym mordercą. Od kiedy to ona ma coś do powiedzenia w kwestii wychowywania naszego dziecka?

Liv zaczęła coś mówić, ale bombardowałem ją słowami, aż się zamknęła.

– Robi mi się niedobrze, Liv, fizycznie niedobrze. Sądziłem, że w tej jednej sprawie mogę na tobie polegać, spodziewać się wsparcia z twojej strony. Zawsze uważałaś, że moja rodzina nie jest cię warta. Jak to się stało, do cholery, że jest warta Holly?

W końcu zalała ją krew.

– Kiedy ja tak powiedziałam, Frank?! Kiedy?!

Patrzyłem na nią ze zdumieniem: twarz zbieleła z gniewu, ręce oparte mocno o drzwi, ciężki oddech.

– Jeżeli uważasz, że twoja rodzina jest niewiele warta, jeżeli się

jej wstydzisz, to twój problem, nie mój. Nie wciskaj mi tego. Nigdy tak nie powiedziałam. Ani nie pomyślałam. Nigdy.

Odwróciła się na pięcie i otworzyła drzwi. Zamknęły się za nią ze stukiem; tylko z powodu Holly nie walnęła tak, że zatrzęsłby się dom.

Przez chwilę siedziałem wgapiony jak debil w drzwi, czując, że komórki w mózgu zderzają mi się jak samochodziki w wesołym miasteczku. Potem wziąłem butelkę z winem, wyjąłem jeszcze jeden kieliszek i zacząłem szukać Olivii.

Siedziała w oranżerii, na wiklinowej kanapie, z podwiniętymi nogami i rękami wsuniętymi głęboko w rękawy. Nie podniosła wzroku, ale gdy podałem jej kieliszek, wyciągnęła rękę. Nalałem nam obojgu do pełna i usiadłem obok Oliva.

Wciąż padał deszcz, krople miarowo i wytrwale uderzały o szyby, jakąś szparą wpadało zimne powietrze i niczym smuga dymu rozchodziło się po pomieszczeniu – odruchowo, choć minęło tyle lat, zapisałem sobie w pamięci, że mam znaleźć tę szparę i zatkać. Olivia popijała wino małymi łykami, a ja obserwowałem jej obraz w szkłe, zacienione oczy, skupione na czymś, co tylko ona widziała. Po jakimś czasie zapytałem:

– Dlaczego nic nie mówiłaś?

Nie odwróciła głowy.

– O czym?

– O tym wszystkim. Zacznijmy od tego, dlaczego mi nie powiedziałaś, że nie masz nic przeciwko mojej rodzinie.

Wzruszyła ramionami.

– Nigdy nie zdradzałeś szczególnej ochoty, by o niej porozmawiać. Poza tym uważałam, że nie trzeba tego mówić. Dlaczego mieliby przeszkadzać mi ludzie, których w ogóle nie znam?

– Liv, mam do ciebie prośbę: nie udawaj głupiej. Jestem na to za bardzo zmęczony. Znajdujemy się w eleganckiej dzielnicy jak z serialu *Gotowe na wszystko*, na dodatek w oranżerii, psiakrew. Ja wychowałem się z dala od oranżerii. Mojej rodzinie bliżej do *Prochów Angeli*. Kiedy twoi siedzą w oranżerii i popijają chianti, moi

siedzą w czynszówkach i debatują, na którego charta postawić cały zasilek.

Leciutko drgnęły jej wargi, gdy to powiedziałem.

– Domyśliłam się, że pochodzisz z robotniczej rodziny, ledwie otworzyłeś usta, Frank. Nigdy tego nie ukrywałeś. A ja i tak zaczęłam z tobą chodzić.

– Taa, lady Chatterley podoba się mężczyzna trochę nieokrzesany.

Cień goryczy w tym stwierdzeniu zaskoczył nas oboje. Olivia spojrzała na mnie; w słabym świetle padającym z kuchni jej twarz była pociągła, smutna i śliczna, jak ze świętego obrazka.

– Wcale tak nie uważałeś.

– Rzeczywiście – przyznałem. – Może nie.

– Pragnęłam ciebie. Prosta sprawa.

– Była prosta, dopóki nie uwzględniało się mojej rodziny. Może chciałaś mnie, ale na pewno nie chciałaś mojego wujka Bertiego, który urządzał zawody, kto głośniej pierdnie, ani mojej ciotecznej babki Concepty, która by ci opowiadała, jak to siedziała za bandą czarnuchów i jakie to oni mieli włosy, ani mojej kuzynki Natalie, która posyłała do solarium swoje siedmioletnie dziecko przed Pierwszą Komunią. Rozumiem, że ja, osobiście, nie przyprawiałem sąsiadów o atak serca, co najwyżej lekkie palpacje, ale oboje wiedzieliśmy, jak reszta rodziny zostałaby przyjęta przez tatusia partnerów od golfa czy mamusi koleżanki z klubu brunchowego. Natychmiastowy hit na YouTube.

– Nie będę udawać, że to nieprawda ani że ta myśl nie powstała mi w głowie. – Umilkła na chwilę, obracając kieliszek w palcach. – Z początku rzeczywiście sądziłam, że sytuacja jest łatwiejsza, gdy nie utrzymujesz z nimi kontaktów. Nie dlatego, że oni nie są tego warci. Po prostu... było łatwiej. Lecz gdy się urodziła Holly... Zaczęłam myśleć inaczej o wszystkim, Frank, o wszystkim. Chciałam, żeby ona ich знаła. Są jej rodziną. To jest ważniejsze niż ich upodobanie do solarium.

Usiadłem wygodnie na kanapie, wypilem jeszcze trochę wina i zacząłem robić sobie w głowie miejsce na te informacje. Nie powinny były mnie zaskoczyć, na Boga, nie do tego stopnia. Olivia zawsze stanowiła dla mnie wielką zagadkę, w każdej chwili naszego związku, a zwłaszcza w chwilach, gdy sądziłem, że doskonale ją rozumiem.

Kiedy się poznaliśmy, Olivia, z wykształcenia prawniczka, pracowała w biurze oskarżyciela publicznego i chciała wnieść oskarżenie przeciwko podrzędnemu dealerowi hery, zwanemu Pippy, którego zgarnęła podczas nalotu brygada antynarkotykowa, ja zaś chciałem pozwolić mu chodzić własnymi ścieżkami, uzasadniając to tym, iż od sześciu tygodni staram się zostać jego najlepszym przyjacielem i uważam, że jeszcze nie wykorzystaliśmy potencjału tego człowieka. Zaszedłem do jej gabinetu, by osobiście przekonać ją o swoich racjach. Dyskutowaliśmy przez godzinę, siedziałem na jej biurku, marnowałem jej czas i rozśmieszałem ją, a potem zrobiło się późno i zaprosiłem ją na kolację, żebyśmy mogli dyskutować w wygodniejszych warunkach. W rezultacie Pippy miał w perspektywie jeszcze kilka miesięcy na wolności, a ja drugą randkę.

Olivia była niezemska: eleganckie kostiumy, subtelne cienie na powiekach i nieskazitelne maniery, umysł jak brzytwa, niekończące się nogi, kręgosłup ze stali i do tego aura osoby, która świetnie się zapowiada. O małżeństwie i dzieciach w ogóle nie myślała, co dla mnie było jednym z podstawowych warunków dobrego związku. Właśnie wypłytywałem się z kolejnego romansu – siódmego albo ósmego, sam nie wiem – który zaczął się wesoło, a skończył nudą i zrzędzeniem, gdy po roku oboje doszliśmy do przekonania, że nie mam poważnych zamiarów. Gdyby pigułka była niezawodna, życie Liv i moje potoczyłoby się tym samym torem. A tak mieliśmy ślub w kościele, ze wszystkimi bajerami, przyjęcie weselne w hotelu mieszczącym się w wiejskiej rezydencji, dom w Dalkey i Holly.

– Nie żałowałem tego ani przez sekundę – powiedziałem. – A ty?

Minęła dobra chwila, kiedy to zastanawiała się, o co mi chodzi albo co ma odpowiedzieć. W końcu odrzekła:

– Nie. Ja też nie.

Położyłem rękę na jej dłoni spoczywającej na brzuchu. Kaszmirowy sweter był miękki i znoszony, kształt jej ręki wciąż tak znajomy jak mojej własnej. Potem poszedłem do salonu, ściągnąłem z kanapy narzutę i okryłem nią ramiona Olivii.

– Ciągle o nich wypytywała – mówiła dalej Olivia, nie patrząc na mnie. – Oni są jej rodziną. Rodzina jest ważna. Miała prawo.

– Ja też miałem prawo wyrazić swoje zdanie. Nadal jestem jej ojcem.

– Wiem. Powinnam była ci powiedzieć. Uszanować twoje nastawienie. Tylko że... – Pokręciła głową, nie odrywając jej od oparcia kanapy; siedziała z zamkniętymi oczami, które w półmroku wyglądały jak podkrążone. – Gdybym poruszyła ten temat, wybuchłaby wielka kłótnia, a ja nie miałam siły się spierać. Wobec tego...

– Moja rodzina jest nieuleczalnie popierdolona, Liv. Pod tyloma względami, że nie ma sensu ich wymieniać. Nie chcę, żeby Holly była taka jak oni.

– Holly jest szczęśliwą, zdrową, zrównoważoną dziewczynką. Przecież wiesz. Nie stało jej się nic złego, chętnie się z nimi spotykała. To jest... Nikt nie mógł tego przewidzieć.

Znużony zastanawiałem się, czy to rzeczywiście prawda. Ja sam mógłbym się właściwie założyć, że ktoś z mojej rodziny skończy w zawikłanych i nieprzyjemnych okolicznościach, choć nie stawiałbym na Kevina.

– Myślę o tym, jak to wiele razy pytałem ją, co robiła, a ona opowiadała mi, że jeździła z Sarah na łyżworolkach albo budowała wulkan na lekcji przyrody. Świergotała jak ptaszek, bez zająknięcia. Nigdy nie podejrzewałem, że coś ukrywa. To mnie dobija. Zwyczajnie dobija.

Olivia zwróciła ku mnie głowę.

– Nie rozpatruj tego w tych kategoriach, Frank. Ona nie uważała, że cię okłamuje. Powiedziałam jej, że będziemy musiały poczekać, zanim porozmawiamy z tobą na ten temat, ponieważ miałeś poważną

sprzeczkę ze swoją rodziną. Ona odrzekła na to: „Tak samo jak ja pokłóciłam się z Chloe i przez cały tydzień nie chciałam o niej nawet myśleć, bo zbierało mi się na płacz”. Holly rozumie więcej, niż ci się wydaje.

– Nie chcę, żeby ona troszczyła się o mnie. Ma być odwrotnie.

Coś przemknęło po twarzy Olivii, jakiś grymas, trochę cierpki i trochę smutny.

– Holly rośnie. Nim się obejrzysz, będzie nastolatką. Sytuacja się zmienia.

– Wiem, wiem.

Pomyślałem, że moja córka leży teraz wyciągnięta na całą szerokość łóżka i z buzią mokrą od łez o czymś śni; przypominała mi się noc, gdy ją spłodziliśmy: cichy triumfalny śmiech wydobywający się z gardła Olivii, jej włosy owinięte na moich palcach, smak czystego letniego potu na jej ramieniu. Po kilku minutach Olivia powiedziała:

– Jutro rano będzie chciała o tym porozmawiać. Z nami obojgiem pewnie czułaby się lepiej. Jeżeli chcesz przenocować w pokoju gościnnym...

– Dzięki, chętnie.

Wstała, strzepnęła narzutę i złożywszy ją, przewiesiła przez ramię.

– Łóżko jest pościelone.

Przechyliłem kieliszek.

– Najpierw to dopiję. Dzięki za lampkę wina.

– Niejedną. – W jej głosie pobrzmiwał cień smutnego uśmiechu.

– Za kolejne też.

Przystanęła za kanapą i dotknęła czubkami palców mojego ramienia, tak lekko, że ledwie to poczułem.

– Przykro mi z powodu Kevina.

– Był moim młodszym bratem. Nieważne, jak wyleciał przez to okno, ale powinienem był go chwycić. – Mówiąc to, słyszałem jakiś ostry ton w swoim głosie.

Liv wstrzymała oddech, jakby zamierzała powiedzieć coś istotnego, ale zaraz wypuściła powietrze, wzdychając. Miętko, niemal do

siebie, szepnęła: „Och, Frank”. Cofnęła rękę, zostawiając zimne miejsca tam, gdzie czułem ciepło jej palców. Chwilę później usłyszałem cichy trzask zamykanych drzwi.

Gdy Olivia zapukała lekko do drzwi pokoju gościnnego, przeszedłem z fazy głębokiego snu w fazę przytomności i przygnębienia w niecałą sekundę, jeszcze zanim przypomniałem sobie, co ja tu robię. W tym pokoju spędziłem wiele nocy w czasach, gdy razem z Liv dochodziliśmy do przekonania, że ona już nie ma ochoty być moją żoną. Wystarczył sam zapach tego pustego pomieszczenia, gdzie unosiła się słaba jaśminowa woń odświeżacza powietrza, bym poczuł, że jestem obolały, zmęczony i mam ze sto lat, jakby wszystkie stawy wytarły mi się do żywego.

– Frank, jest wpół do ósmej – usłyszałem cichy głos Liv zza drzwi. – Pomyślałam, że będziesz chciał porozmawiać z Holly, zanim pójdzie do szkoły.

Spuściłem nogi z łóżka i potarłem rękami twarz.

– Dzięki, Liv. Zaraz przyjdę.

Chciałem zapytać, czy ma jakieś propozycje, ale zanim znalazłem słowa, rozległ się stuk obcasów po schodach. I tak nie weszłaby do pokoju, podejrzewając, że zobaczy mnie w stroju Adama i że będę próbował skusić ją na szybki numer.

Od zawsze uwielbiałem silne kobiety. Na szczęście dla mnie, bo po skończeniu dwudziestu pięciu lat innych już się nie spotyka. Kobiety mnie powalają. Gdyby facet miał przeżyć to, co je stale spotyka, wolały się schować w mysią norę, one zaś stają się twarde jak stal i prą do przodu. Mężczyźni twierdzący, że nie pociągają ich silne kobiety, kretyńsko się oszukują: lubią silne kobiety, które potrafią ładnie odąć wargi i mówić dziecięcym głosem, a przy tym i tak wiedzą, jak trzymać faceta za jaja.



Chciałem, żeby Holly była jedna na milion. Chciałem, żeby miała w sobie to wszystko, co kompletnie mnie nudzi w kobietach, żeby była delikatna jak kwiat i krucha jak porcelana. Nikt nie sprawi, że moje dziecko będzie twarde jak stal. Gdy się urodziła, chciałem wyjść z domu i kogoś dla niej zabić, żeby miała stuprocentową pewność do końca życia, że w razie potrzeby jestem gotów to zrobić. A skończyło się na tym, że dałem jej rodzinę, która w ciągu roku od pierwszego spotkania nauczyła ją kłamać i złamała jej serce.

Holly siedziała po turecku na podłodze w swoim pokoju, przed domkiem dla lalek, plecami do mnie.

– Cześć, kochanie – powiedziałem. – Jak się masz?

Wzruszenie ramion. Była ubrana w szkolny mundurek. Miałem wrażenie, że okryte granatowym blezerem plecy są węższe niż rozstaw mojej dłoni.

– Mogę wejść na chwilę?

Znowu wzruszenie ramion. Zamknąłem za sobą drzwi i usiadłem koło niej na podłodze. Jej domek dla lalek jest dziełem sztuki, doskonałą kopią dużego wiktoriańskiego domu z całym wyposażeniem: bogato zdobionymi miniaturowymi meblami, miniaturowymi scenami myśliwskimi na ścianach i miniaturową ciemną służbą. To prezent od rodziców Olivii. Holly wyjęła stół jadalny i zaciekle polerowała go kawałkiem przeżutego, jak można by sądzić, ręcznika papierowego.

– Kochanie, to zrozumiałe, że jesteś przygnębiona wiadomością o wujku Kevinie. Ja też.

Głowa opadła jeszcze niżej. Holly sama zaplotła sobie warkocze. Pasemka włosów sterczały na wszystkie strony.

– Chciałabyś mnie o coś zapytać?

Zaczęła polerować stół trochę wolniej.

– Mama mówiła, że wypadł z okna. – Nos miała wciąż zatkany od płaczu.

– Zgadza się.

Widziałem, że próbuje to sobie wyobrazić. Chciałem osłonić jej

głowę dłońmi i nie dopuścić, by wyłonił się ten obraz.

– Czy to bolało?

– Nie, skarbie. Działo się bardzo szybko. Nawet się nie zorientowałam.

– Dlaczego wypadł?

Olivia pewnie powiedziała jej, że to był wypadek. Holly lubi jednak sprawdzać uzyskane informacje, jak to dzieci, które mają dwa domy. Bez skrupułów mogą okłamać większość ludzi, ale przed Holly moje sumienie odznacza się zupełnie inną wrażliwością.

– Nikt jeszcze nie wie, kochanie.

Wreszcie spojrzała na mnie zapuchniętymi czerwonymi oczami, ostro jak dobrze wymierzony cios.

– Ale ty się dowiesz, tak?

– Tak, dowiem się.

Przez chwilę nie odrywała ode mnie wzroku, a potem kiwnęła głową i znowu pochyliła się nad stolikiem.

– Czy on jest w niebie?

– Tak – odrzekłam. Nawet to specjalne sumienie, tylko dla Holly, ma jednak granice. Osobiście uważam, że religia jest stekiem bzdur, ale gdy rozmawiasz z łkającą pięciolatką, która chce wiedzieć, co się stało z jej chomikiem, natychmiast rodzi się w tobie wiara we wszystko, co tylko złagodzi malującą się na jej twarzy rozpacz. – Na pewno jest teraz w niebie, siedzi na plaży, która ciągnie się bez końca, popija guinnessa ze szklanki wielkiej jak wanna i flirtuje z piękną dziewczyną.

Wydała dźwięk podobny do zduszonego śmiechu, pociągnięcia nosem i szlochu.

– Tato, nie! Nie żartuję!

– Ja też. Jestem przekonany, że macha do ciebie tam z góry i mówi ci, żebyś nie płakała.

Głos zadrżał jej jeszcze bardziej.

– Nie chcę, żeby nie żył.

– Wiem, kochanie. Ja też.

– Conor Mulvey ciągle zabierał mi w klasie nożyczki i wujek Kevin poradził, żebym następnym razem powiedziała Conorowi: „Zrobiłeś to dlatego, że ci się podobam”, a wtedy on się zaczerwieni i przestanie mi dokuczać. I rzeczywiście tak było.

– Wujek świetnie ci poradził. Powiedziałaś mu?

– No. Śmiał się. Tatusiu, to niesprawiedliwe!

Jeszcze chwila, a znowu zaleje się łzami.

– To okropnie niesprawiedliwe, kochanie. Chciałbym coś powiedzieć, żeby było lepiej, ale nie ma takich słów. Czasami sprawy wyglądają naprawdę źle i nic nie da się z tym zrobić.

– Mama mówi, że jeżeli trochę poczekam, to gdy za jakiś czas pomyślę o wujku, już mi nie będzie smutno.

– Twoja mamusia ma zwykle rację – odrzekłem. – Miejmy nadzieję, że również tym razem.

– Wujek Kevin powiedział kiedyś, że jestem jego ulubioną bratanicą, bo ty jesteś jego ulubionym bratem.

O Boże. Wyciągnąłem rękę, żeby objąć ją ramieniem, ale odsunęła się i mocniej polerowała stół, wpychając paznokciem papier w szparki wokół drewnianych zawijasów.

– Wściekasz się na mnie, bo poszłam do babci i dziadka?

– Nie, ptaszyno. Nie na ciebie.

– Na mamę?

– Trochę na mamę. Wyjaśnimy to sobie.

Holly zerknęła na mnie kątem oka, przelotnie.

– Będziecie znowu na siebie krzyczeć?

Wychowała mnie matka, która ma czarny pas w wywoływaniu poczucia winy, ale jej szczytowe osiągnięcia nie umywają się do tego, co może zrobić Holly, nawet gdy się nie stara.

– Żadnych krzyków – obiecałem. – Przede wszystkim przykro mi, że nie wiedziałem, co się dzieje.

Cisza.

– Pamiętasz, jak rozmawialiśmy o sekretach?

– Aha.

– Mówiliśmy, że dobre sekrety z koleżankami są w porządku, ale gdy coś cię dręczy, wtedy sekret jest zły, pamiętasz? I o takim sekrecie trzeba porozmawiać ze mną albo z mamusią.

– To nie był zły sekret. Oni są moimi dziadkami.

– Wiem, skarbie. Próbuję ci wyjaśnić, że jest jeszcze jeden rodzaj sekretu. Taki, w którym nie ma nic złego, ale ktoś jeszcze ma prawo go znać. – Wciąż siedziała z pochyloną głową, a jej bródka nabierała nieugiętego wyrazu. – Załóżmy, że mamusia i ja postanowimy przeprowadzić się do Australii. Powinniśmy ci o tym powiedzieć czy po prostu wsiąść z tobą do samolotu w środku nocy?

Wzruszenie ramion.

– Powiedzieć.

– Bo to dotyczyłoby również ciebie. Miałabyś prawo wiedzieć.

– No.

– Gdy zaczęłaś spotykać się z moją rodziną, dotyczyło to również mnie. Ukrywanie tego przede mną było nie w porządku.

Nie wyglądała na przekonaną.

– Gdybym ci powiedziała, tobyś się zmartwił.

– Teraz jestem dużo bardziej zmartwiony, niż byłbym, gdyby ktoś powiedział mi na samym początku. Holly, skarbie, zawsze lepiej informować mnie od razu. Zawsze. Rozumiesz? Nawet jeśli wiadomość mi się nie spodoba. Trzymanie jej w tajemnicy tylko pogorszy sytuację.

Ostrożnie wsunęła stolik do jadalni domku dla lalek i popchnęła palcem, żeby stanął dokładnie tam, gdzie chciała.

– Staram się mówić ci prawdę, nawet gdy trochę boli. Wiesz o tym. Ty musisz się zachowywać tak samo wobec mnie. Czy tak jest uczciwie?

Cichym, zduszonym głosem powiedziała w stronę domku dla lalek:

– Przepraszam, tatusiu.

– Wiem, że ci przykro, kochanie. Wszystko się ułoży. Tylko pamiętaj o tym, gdy następnym razem będziesz chciała ukryć coś

przede mną, dobrze?

Kiwnięcie głową.

– W porządku – odrzekłem. – A teraz opowiedz, jak ci się układa z naszą rodziną. Babcia upiekła ci na podwieczorek biszkopt z owocami i bitą śmietaną?

Słabe, drżące westchnienie ulgi.

– Tak, i mówi, że mam śliczne włosy.

Kurka błada: komplement. Już się szykowałem, żeby odeprzeć wszelkie uwagi krytyczne pod adresem Holly, poczynając od jej akcentu, poprzez zachowanie, kończąc na kolorze skarpetek, a moja matka najwyraźniej zmiękła na starość.

– Bo masz. Jacy są twoi kuzyni?

Wzruszyła ramionami i wyjęła malutki fortepian z salonu w domku dla lalek.

– Fajni.

– Jak fajni?

– Darren i Louise mało ze mną rozmawiają, bo są duzi. Za to z Donną naśladujemy naszych nauczycieli. Kiedyś tak się śmiałyśmy, że babcia chciała wezwać policję, jeżeli się nie uspokoiimy.

To już było bardziej w stylu mojej matki, takiej, jaką znałem i od której wolałem trzymać się z daleka.

– A ciocia Carmel i wujek Shay?

– Są w porządku. Ciocia jest trochę nudna. Wujek, gdy jest w domu, pomaga mi odrabiać matematykę, bo powiedziałam mu, że pani O'Donnell krzyczy na tych, co źle rozwiązują zadania.

A ja tak się cieszyłem, że wreszcie zaczęła radzić sobie z dzieleniem.

– To miło z jego strony.

– Dlaczego ich nie odwiedzasz? – zapytała Holly.

– Długa historia, ptaszyno. Jeden ranek nie wystarczy, żeby ją opowiedzieć.

– Mogę do nich chodzić, nawet jeżeli ty ich nie odwiedzasz?

– Zobaczymy.

Brzmiało to sielankowo, ale Holly wciąż nie chciała na mnie spojrzeć. Coś ją gryzło, poza tym, co oczywiste. Jeżeli widziała mojego ojca w typowym dla niego stanie, to wybuchnie święta wojna i prawdopodobnie odbędzie się zupełnie nowe przesłuchanie dotyczące sprawowania opieki nad dzieckiem.

– Co ci leży na sercu? Ktoś z nich ci dokuczył?

Holly przejechała palcem tam i z powrotem po klawiaturze fortepianu. Po chwili powiedziała:

- Dziadkowie nie mają samochodu. Nie tego się spodziewałem.
- Istotnie.
- Dlaczego nie mają?
- Bo nie jest im potrzebny.

Skonsternowana mina. Dotarło do mnie, że wszyscy, których Holly poznała w swoim życiu, mieli samochody, bez względu na to, czy ich potrzebowali, czy nie.

– No to jak jeżdżą w różne miejsca?

– Idą pieszo albo jadą autobusem. Większość ich znajomych mieszka w odległości paru minut spacerem, a sklepy są tuż za rogiem. Więc po co im samochód?

Myślała nad tym dobrą minutę.

– Dlaczego nie mieszkają w osobnym domu?

– Zawsze mieszkali tam, gdzie teraz. Twoja babcia urodziła się w tym mieszkaniu. Współczuję każdemu, kto by spróbował zmusić ją do przeprowadzki.

- Nie mają komputera ani nawet zmywarki.
- Jak wielu innych ludzi.
- Komputer ma każdy.

Z niechęcią musiałem przyznać się sam przed sobą, że zaczyna mi świtać, dlaczego Olivia i Jackie chciały, żeby Holly dowiedziała się, skąd pochodzę.

– Nieprawda. Większość ludzi na świecie nie ma pieniędzy na takie rzeczy. Nawet wielu mieszkańców Dublina.

– Tato? Czy babcia i dziadek są biedni?

Jej policzki zaróżowiły się, jak gdyby wymówiła brzydkie słowo.

– Hmm, zależy, kogo zapytasz. Oni powiedzą, że nie. Teraz powodzi im się dużo lepiej niż dawniej, gdy byłem mały.

– Wtedy byli biedni?

– Tak, skarbie. Nie głodowaliśmy ani nic takiego, ale byliśmy dość biedni.

– Jak biedni?

– Na przykład nie jeździliśmy na wakacje i musieliśmy oszczędzać, żeby kupić bilet do kina. Na przykład nosiłem ubrania po wujku Shayu, a wujek Kevin nosił ubrania po mnie, bo nie dostawaliśmy nowych ubrań. Na przykład twoja babcia i dziadek musieli spać w salonie, bo mieliśmy za mało sypialni. Zrobiła wielkie oczy, jakbym opowiadał jej bajkę.

– Naprawdę?

– Naprawdę. Dużo ludzi tak mieszkało. To nie był koniec świata.

– Ale... – Zaróżowione policzki pokrył pełnokrwisty rumieniec. – Chloe mówi, że biedni ludzie są dresiarzami.

Nie zdziwiłem się ani trochę. Chloe jest mizdrzącym się, wrednym, ponurym przyglupem i ma anorektyczną, wredną i ponurą matkę, która, gdy ze mną rozmawia, mówi donośnie i powoli, używając prostych słów, ponieważ jej rodzina podniosła się z rynsztoka jedno pokolenie przed moją i ponieważ jej tłuści, wredny i ponury mąż jeździ chevroletem tahoe. Zawsze uważałem, że nie powinniśmy wpuszczać tych kreatur do domu; Liv zaś twierdziła, że Holly przeorośnie Chloe w swoim czasie. Obecna cudowna chwila, jeśli o mnie chodziło, miała zakończyć tę polemikę raz na zawsze.

– No dobrze – odrzekłem. – Kogo konkretnie Chloe ma na myśli?

Zapytałem spokojnym tonem, ale Holly potrafi mnie rozszyfrować. Spojrzała na mnie kątem oka, sprawdzając, jaką mam minę.

– To nie jest brzydkie słowo.

– Na pewno nie jest miłe. Jak myślisz, co ono znaczy?

Wężowate wzruszenie ramion.

– Ty powiedz.

– Ptaszyno, jeżeli używasz jakiegoś słowa, musisz mieć choć mgliste pojęcie, co ono znaczy. No, spróbuj.

– Jakby głupki. Tacy, co chodzą w dresach i nie mają pracy, bo są leniwi, i nawet nie umieją porządnie mówić. Biedacy.

– A ja? Uważasz, że jestem głupi i leniwy?

– Ty nie!

– Choć cała moja rodzina była biedna jak mysz kościelna.

Holly się spieszyła.

– To co innego!

– Właśnie. Równie dobrze można być bogatym draniem, jak i biednym draniem. Tak samo można być przyzwoitym człowiekiem, biednym albo bogatym. Pieniądze nie odgrywają tu żadnej roli. Miło je mieć, ale nie one stanowią o tym, kim jesteś.

– Chloe mówi, że jej mama mówi, że od początku trzeba pokazać ludziom, że ma się dużo pieniędzy, bo tylko wtedy będą cię szanować.

– Chloe i jej rodzice – odrzekłem, tracąc cierpliwość – to takie prostaki, że słuchając ich, byle dresiarz z łysą pałą zarumieniłby się po uszy.

– Co to znaczy „prostaki”?

Już nie zajmowała się fortepianem, tylko wpatrywała się we mnie bezbrzeżnie zdumiona, ze ściągniętymi brwiami, czekając, aż naświetlę jej wszystko tak, że stanie się jasne i zrozumiałe. Chyba pierwszy raz w życiu nie umiałem odpowiedzieć na jej pytanie. Nie miałem pojęcia, jak wyjaśnić różnicę między biedotą robotniczą a biedotą z marginesu dziecka, któremu wydaje się, że każdy ma komputer, albo jak wytłumaczyć, kto to jest prostak, dziecku, które wychowuje się na Britney Spears, albo jak wyjaśnić komukolwiek, dlaczego ta sytuacja kompletnie się pogmatwała. Chciałem znaleźć Olivię i poprosić, żeby mi pokazała, jak należy postąpić, tylko że to zadanie już nie należało do niej; mój związek z Holly był teraz wyłącznie moją sprawą. W końcu wyjąłem jej z ręki miniaturowy fortepian, wstawiłem do domku dla lalek i wziąłem ją na kolana.

Odchylając się w tył, by widzieć moją twarz, Holly powiedziała:



– Chloe jest głupia, zgadza się?

– O Boże, pewnie. Gdyby cały świat cierpiało na brak głupoty, Chloe i jej rodzice zapelniliby tę lukę w mgnieniu oka.

Kiwnęła głową i zwinięta w kłębek, przytuliła się do mojej piersi, a ja oparłem brodę na jej głowie. Po chwili zapytała:

– Pokażesz mi któregoś dnia, gdzie wujek Kevin wypadł z okna?

– Jeżeli będziesz chciała zobaczyć, to pójdziemy tam.

– Ale nie dziś.

– Masz rację – przytaknałem. – Dziś spróbujemy jakoś dotrzeć do końca dnia.

W milczeniu siedzieliśmy na podłodze, ja kołysałem Holly, a ona w zamyśleniu ssała koniec warkocza, aż weszła Olivia, mówiąc, że czas iść do szkoły.

• • •

W Dalkey kupiłem podwójną kawę i jakąś pozbawioną wyrazu, zapewne ekologiczną muffinkę – Olivii chyba się wydaje, że karmienie mnie zostałyby przyjęte jako zachęta do wprowadzenia się z powrotem do domu – po czym zjadłem śniadanie, siedząc na murze i patrząc, jak otyli wygarniturowani ważniacy złoścżą się, gdy morze samochodów nie rozstępuje się przed ich czołgami. Potem wykręciłem numer swojej poczty głosowej.

„Taa, hmm, Frank... Cześć, tu Kev. Posłuchaj, wiem, mówiłeś, że to niedobra pora, ale... To znaczy, niekoniecznie teraz, rozumiesz, ale gdy będziesz wolny, możesz do mnie zadzwonić? Na przykład dziś wieczorem albo kiedyś tam, nawet jeżeli będzie późno, nie szkodzi. Hmm. Dzięki. Cześć”.

Za drugim razem rozłączył się, nie zostawił wiadomości. Tak samo za trzecim razem, gdy Holly, Jackie i ja napychaliśmy się pizzą. Czwarty telefon tuż przed siódmą, przypuszczalnie wtedy, gdy Kevin zmierzał na obiad do rodziców. „Frank, to znowu ja. Posłuchaj... no więc muszę z tobą porozmawiać. Wiem, że pewno nie masz ochoty zajmować się tymi pierdołami, prawda? Ale słowo honoru, nie chcę

mącić ci w głowie, ja tylko... Mógłbyś do mnie zadzwonić? No dobra, hmm, zdaje się... cześć”.

Coś się zmieniło – między sobotą wieczorem, gdy wysłałem go z powrotem do pubu, a niedzielą po południu, gdy zaczął się szturm telefoniczny. Może coś wydarzyło się po drodze, może w pubie – to, że żaden z bywalców Blackbird jeszcze nikogo nie zabił, wynika z czystego przypadku – choć raczej w to powątpiewałem. Kevin zaczął sprawiać wrażenie podenerwowanego dużo wcześniej, zanim się znaleźliśmy w pubie. Znałem go na tyle – i wciąż uważam, że dość dobrze – by twierdzić, że był luzakiem, mimo to zachowywał się dziwnie mniej więcej od czasu, gdy weszliśmy do domu pod szesnastym. Miałem dostatecznie dużo innych spraw na głowie, więc uznałem, że jak każdy przeciętny obywatel i on jest nieco przejęty, gdy mówi się o czyjejś śmierci. Jednak chodziło o coś więcej.

Kevin martwił się czymś, co nie wydarzyło się w ten weekend. Tkwiło w nim, ukryte w zakamarku umysłu, być może przez dwadzieścia dwa lata, aż w sobotę zostało w jakiś sposób poruszone i uwolnione. Przez resztę dnia stopniowo – nasz Kev nigdy nie był najszybszym zawodnikiem na bieżni – wypływało na powierzchnię i w końcu zaczęło go dręczyć coraz bardziej i bardziej. Najpierw próbował to zbagatelizować albo przemyśleć, albo samemu poradzić sobie z konsekwencjami tych przemyśleń, a potem poprosił o pomoc starszego brata, Franka. Gdy go spławiłem, zwrócił się do osoby, której na pewno nie powinien był wybrać.

Miał przyjemny głos – przez telefon. Nawet gdy był skonfundowany i zmartwiony, miło się go słuchało. Sprawiał wrażenie porządnego gościa, którego chciałoby się poznać.

Zacząłem rozważać dość ograniczone możliwości dalszego działania. Perspektywa pogaduszek z sąsiadami nie wyglądała zachęcająco, skoro połowa z nich uważała mnie za bezwzględneho ninję bratobójcę, a poza tym nie mogłem pokazywać się na oczy Rewelce, choćby ze względu na dolegliwości brzuszne George'a. Z drugiej strony nie frapowała mnie też myśl, że będę siedział i kręcił młynka

palcami, czekając, niczym nastolatka po randce, aż na komórcę wyświetli mi się numer Stephena. Gdy nic nie robię, lubię mieć w tym jakiś cel.

Poczułem, że szczypie mnie kark, jakby ktoś wrywał włoski jeden po drugim. Zwracam uwagę na to doznanie, bo już wiele razy było tak, że gdybym je zlekceważył, tobym nie żył. Coś umykało mojej pamięci, coś, co zobaczyłem albo usłyszałem, ale wyrzuciłem z głowy.

Tajniacy nie mają możliwości nagrywania najlepszych kawałków na wideo, tak jak chłopcy z wydziału zabójstw, więc cechuje ich doskonała pamięć. Rozsiadłem się na murze, zapaliłem papierosa i zacząłem przeglądać w myślach każdą informację, którą zdobyłem w ciągu ostatnich kilku dni.

Jedna rzecz nie dawała mi spokoju: jak ta walizka znalazła się w przewodzie kominowym? Z opowieści Nory wynikało, że została tam wsadzona między czwartkiem po południu, kiedy Nora wzięła walkmana Rosie, a sobotą wieczorem. Z kolei zdaniem Mandy Rosie przez te dwa dni nie miała kluczy do domu, co właściwie uniemożliwiałoby wyniesienie walizki ukradkiem w nocy – idąc od domu Rosie do domu pod szesnastym, trzeba było pokonać sporo murów dzielących ogrody – poza tym Matt Daly miał córkę na oku, co znacznie utrudniało przemycenie okazałego przedmiotu w ciągu dnia. Nora powiedziała jeszcze, że w czwartki i piątki Rosie szła do pracy i wracała do domu razem z Imeldą Tierney.

W piątkowy wieczór Nora wybrała się do kina z przyjaciółkami; Rosie i Imelda mogły wykorzystać pustą sypialnię do tego, żeby spakować walizkę i zrobić plany. Nikt nie zwracał uwagi na poczynania Imeldy. Bez trudu wyniosłaby z tego domu niemal wszystko, co tylko by chciała.

Imelda mieszkała obecnie na Hallows Lane, dostatecznie daleko od Faithful Place, by nie sięgała tam strefa działań Rewelki. Sądząc po minie Mandy, mogłem założyć z dużą dozą prawdopodobieństwa, że w środku dnia roboczego Imelda jest w domu i że jej stosunki z

okolicznymi mieszkańcami układają się na tyle różnie, iż będzie przychylna synowi marnotrawnemu, który kroczył wąską ścieżką między „swój” a „obcy”. Wypiłem resztę zimnej kawy i poszedłem do samochodu.

• • •

Mój kolega z zakładu energetycznego odszukał rachunki za prąd wystawione na niejaką Imeldę Tierney z Hallows Lane numer 10, mieszkanie numer 3. Dom był ruderą: odpadła część łupku z dachu, odłaziła farba na drzwiach, za brudnymi oknami zwisały smętnie firanki. Gołym okiem było widać, że sąsiedzi modlą się, aby właściciel sprzedał dom jakiemuś sympatycznemu, szacownemu japiszownikowi albo przynajmniej podpalił go i dostał pieniądze z ubezpieczenia.

Dobrze wykombinowałem: Imelda była w domu.

– O rany, Francis – powiedziała tonem wyrażającym coś pomiędzy zaskoczeniem, radością i przerażeniem, gdy otworzyła drzwi mieszkania. – Panie Jezu.

Ani jeden rok z minionych dwudziestu dwóch nie przysłużył się Imeldzie. Nigdy nie wyglądała rewelacyjnie, ale była wysoka, miała zgrabne nogi i ładnie chodziła, a dzięki tym trzem cechom można zajść daleko. Teraz pasowałoby do niej określenie stosowane przez chłopców z wydziału: figura z zumala, twarz z listu gończego. Zachowała dobrą sylwetkę, ale porobiły jej się worki pod oczami i setki zmarszczek przypominających blizny po cięciach nożem. Miała na sobie biały dres poplamiony z przodu kawą i ze trzy cale odrostów na rozjaśnionych włosach. Widząc mnie, natychmiast uniosła rękę, by poprawić fryzurę, jakby to miało wystarczyć, byśmy znów stali się szykownymi nastolatkami upojonymi sobotnią nocą. Coś mnie chwyciło za serce, gdy zobaczyłem ten drobny gest.

– Siemasz, Melda.

Powitałem ją swoim najpiękniejszym uśmiechem dla przypomnienia, że niegdyś bardzo się kumplowaliśmy. Zawsze lubiłem

Imeldę. Była bystrą, żywą dziewczyną, czasem chmurną i oschłą na skutek ciężkich doświadczeń: zamiast jednego ojca na stałe miała wielu na krótko, kilku żonatych z kobietami, które nie były jej matką, a w tamtych latach takie sprawy się liczyły. Imelda dużo się nasłuchiwała o swojej mamie, gdy mieliśmy po te naście lat. Większość z nas pochodziła z rodzin, które pozostawiały wiele do życzenia, ale bezrobotny ojciec alkoholik był o niebo lepszy od matki, która się puszczała.

– Słyszałam o Kevinie – powiedziała Imelda. – Niech spoczywa w pokoju. Serdecznie współczuję.

– Niech spoczywa. Pomyślałem sobie, że skoro jestem w pobliżu, zajrzę do starych znajomych.

Cierpliwie stałem w drzwiach. Imelda rzuciła za siebie okiem, ale nie ruszyłem się z miejsca, więc nie miała wyboru. Po chwili napomknęła:

– Mam bałagan...

– Czy to ważne? Powinnaś zobaczyć moją chałupę. Tak się cieszę z naszego spotkania.

Zanim skończyłem mówić, już ją minąłem i wszedłem do środka. Mieszkanie nie było kompletną norą, ale wiedziałem, co miała na myśli. W domu u Mandy wystarczyło jedno spojrzenie, by stwierdzić, że ta kobieta jest zadowolona; może nie w stanie permanentnej szczęśliwości, ale cieszy się z tego, jak potoczyło się jej życie. Imelda – nie za bardzo. Salon sprawiał wrażenie mniejszego, niż był w rzeczywistości, gdyż wszędzie wałały się jakieś rzeczy: brudne kubki i opakowania po chińskim jedzeniu na wynos pokrywały podłogę wokół kanapy, damskie ubrania w różnych rozmiarach suszyły się na kaloryferze, stopy zakurzonych pirackich płyt DVD chwiały się w kątach. Grzejniki były za bardzo rozkręcone, a okna od dawna nieotwierane; w mieszkaniu unosił się ciężki zapach petów, jedzenia i kobiet. Wszystko prócz wypasionego telewizora nadawało się do wymiany.

– Wspaniałe mieszkanie – rzuciłem.

- Gówniane – odparła zwięźle Imelda.
- Dorastałem w gorszym.

Wzruszyła ramionami.

- Co z tego? I tak jest gówniane. Napijesz się herbaty?
- Bardzo chętnie. Co u ciebie?

Poszła do kuchni.

- Sam widzisz. Siadaj.

Usadawiłem się na skrawku kanapy, który jeszcze nie zeskorupał.

- Słyszałem, że dorobiłaś się córek.

Przez półotwarte drzwi do kuchni widziałem, jak Imelda zneruchomiała z ręką na czajniku.

- A ja słyszałam, że zostałeś policjantem.

Zaczynałem się przyzwyczajać do bezsensownych ataków słownych ludzi, którzy mówili mi, że wysługuję się tym na górze; czasem nawet się przydawały. Zamilkłem z oburzenia i po chwili odezwałem się dotknięty do żywego:

– Imelda! Chyba nie mówisz poważnie? Sądzisz, że przyszedłem tu, żeby zawracać ci głowę twoimi dziećmi?

– A bo ja wiem? – Wzruszyła ramionami. – W każdym razie nie nie zrobiły.

– Nawet nie znam ich imion! Zwyczajnie zapytałem, do cholery. Mam to w dupie, czy wychowałaś następców rodziny Soprano. Chciałem tylko powiedzieć „cześć”, po starej znajomości. Jeżeli zamierzasz się pieklić, bo tak, a nie inaczej zarabiam na życie, to mi powiedz i zniknę ci z oczu. Masz moje słowo.

Po chwili zauważyłem mimowolny grymas na ustach Imeldy. Włączyła czajnik.

– Ten sam Francis co dawniej, ten sam cholerny charakterek. Ano mam trójkę. Nazywają się Isabelle, Shania i Genevieve. Cholerne diablice, co do jednej, nastolatki. A ty?

Ani słowa o ojcu lub ojcach.

- Jedna córka. Ma dziewięć lat.

- Wszystko przed tobą. Niech Bóg ma cię w opiece. Mówi się, że

chłopcy robią ci zamęt w domu, a dziewczęta w głowie, i to prawda.

Wrzuciła torebki z herbatą do kubków. Wystarczyło popatrzeć, jak Imelda się rusza, żebym poczuł się stary.

– Nadal szyjesz?

Prychnięcie, które mogło wyrażać rozbawienie.

– O Boże, dawno to było. Rzuciłam fabrykę dwadzieścia lat temu. Biorę drobne prace. Głównie sprzątanie. – Spojrzała na mnie kątem oka, zuchwale, jakby chciała sprawdzić, czy zamierzam to skomentować. – Ludzie z Europy Wschodniej sprzątają taniej, ale są jeszcze domy, gdzie chcą mieć kogoś, kto zna angielski. Ja znam i się nadaję.

Zagotowała się woda.

– Słyszałaś o Rosie, prawda?

– Słyszałam. Coś okropnego. Przez te wszystkie lata... – Imelda zalała torebki wrzątkiem i potrząsnęła energicznie głową, jakby chciała z niej coś wyrzucić. – Przez te wszystkie lata myślałam, że ona jest w Anglii. W pierwszej chwili nie mogłam uwierzyć. Nie mieściło mi się w głowie. Do końca dnia chodziłam jak otumaniona, daję słowo.

– Ja też. Ten tydzień nie należał do udanych.

Imelda wyjęła mleko i cukier i postawiła na niskim stoliku, odsuwając inne rzeczy.

– Kevin zawsze był uroczym facetem. Strasznie się zmartwiłam, ogromnie. Przyszłabym do was tamtego wieczora, ale...

Wzruszyła ramionami i umilkła. Chloe i jej mamuśka nawet za milion lat nie zrozumiałyby tej subtelnej, a przy tym istotnej różnicy klasowej, która spowodowała, że Imelda wyczuła, prawdopodobnie słusznie, iż nie będzie mile widziana w domu mojej matki.

– Miałem nadzieję, że cię tam spotkam – powiedziałem. – Ale cóż, przynajmniej możemy sobie teraz pogadać jak należy, co nie?

Znowu półuśmiech, już nie tak niechętny.

– Ten sam Francis co dawniej. Zawsze miałaś niezłą nawijkę.

– Ale teraz lepiej się czeszę.

- O Jezu, tak. Pamiętasz tamte kolczaste fryzury?
- Bywały gorsze. Mogłem się strzyc „na małpę”, jak Bystrzak.
- Przestań, co za okropność. Jak on wyglądał!

Wróciła do kuchni pod kubki. Nawet gdybym miał czasu pod dostatkiem, siedzenie tu i mielenie językiem na nic by się nie zdało: Imelda była dużo twardsza od Mandy, domyśliła się, że mam jakąś sprawę, choć jeszcze nie wiedziała jaką. Gdy wróciła, powiedziałem:

– Mogę cię o coś zapytać? Jestem wścibskim typem, ale przysięgam, że nie zadaję tego pytania bez powodu.

Podawała mi brudny kubek i usiadła w fotelu; nie oparła się plecami, tylko wciąż bacznie mi się przyglądała.

– Pytaj.

– Gdy zaniósłś Rosie walizkę do domu pod szesnastym, gdzie dokładnie ją zostawiłaś?

Natychmiast zrobiła tępą minę, na wpół oślicy i na wpół debilki, co po raz kolejny unaocniło mi, na czym stoję. Nic a nic nie mogło zmienić faktu, że Imelda, wbrew swojej naturze, rozmawiała z gliniarzem. Jak można się było spodziewać, zapytała:

– Jaką walizkę?

– Och, daj spokój, Imelda – powiedziałem lekko i z uśmiechem. Jeśli przybiorę niewłaściwy ton, cała ta wyprawa będzie stratą czasu. – Przygotowywaliśmy się do tego z Rosie przez wiele miesięcy. Myślisz, że nie powiedziała mi, jak zamierza wszystko załatwić?

Z wolna zniknął z jej twarzy tępy wyraz, nie do końca, ale w dostatecznym stopniu.

– Nie chcę mieć kłopotów – oznajmiła. – Gdy ktoś inny mnie zapyta, powiem, że nie widziałam żadnej walizki.

– W porządku, dziecinko. Nie zamierzam wpuścić cię w maliny. Wyświadczyłaś nam przysługę i jestem ci za to wdzięczny. Chcę tylko wiedzieć, czy potem ktoś gmerał przy tej walizce. Pamiętasz, gdzie ją zostawiłaś i kiedy?

Przyglądała mi się uważnie spod rzadkich rzęs, zastanawiając się, o co w tym wszystkim chodzi. W końcu wyjęła z kieszeni paczkę



papierosów i zaczęła opowiadać.

– Rosie powiedziała mi na trzy dni przed waszym wyjazdem. Przedtem nie wspomniała słowem. Domyślałyśmy się z Mandy, no wiesz, że coś się szykuje, ale to nie było nic pewnego. Widziałeś się z Mandy, co?

– Tak. Jest w świetnej formie.

– Krowa z zadęciami – oświadczyła Imelda, pstrykając zapalniczką. – Papierosa?

– Chętnie, dzięki. Sądziłem, że się przyjaźnicie.

Prychnęła i podała mi ogień.

– Już nie. Jest lepsza od takich jak ja. Nie wiem, czy to w ogóle była przyjaźń. Obie trzymałyśmy się z Rosie, a gdy wyjechała...

– Rosie zawsze uważała, że jesteś jej najbliższą przyjaciółką.

Spojrzenie Imeldy mówiło, że niejeden próbował jej kadzić i nic nie osiągnął.

– Gdybyśmy były ze sobą tak blisko, od razu by mi się zwierzyła, co nie? A tak dowiedziałam się tylko dlatego, że ojciec miał ją na oku, więc nie mogła wynieść swoich rzeczy sama. W niektóre dni razem szłyśmy do fabryki i wracałyśmy do domu, gadałyśmy wtedy o różnych babskich sprawach. Któregoś dnia poprosiła mnie o przysługę.

– Jak wyniosłaś walizkę z ich mieszkania?

– To była łatwizna. Po pracy następnego dnia, w piątek, poszłam do Dalych. Powiedziałyśmy jej rodzicom, że będziemy słuchały nowego albumu Eurythmies w pokoju Rosie. Kazali nam tylko ściszyć dźwięk. Nastawiłyśmy płytę tak, żeby nie było słychać, jak Rosie się pakuje. – W kąciuku ust Imeldy pojawił się uśmiezek. Przez ułamek sekundy, gdy pochyliła się do przodu, opierając łokcie na kolanach, i uśmiechnęła zza obłoku dymu, przypominała żwawą, wygadaną dziewczynę, którą znałem. – Żałuj, że jej wtedy nie widziałeś, Francis. Tańczyła po pokoju, śpiewała do szczotki do włosów, miała nowe majtki, które kupiła, żebyś nie zobaczył jej starych burasów, i wymachiwała nimi nad głową... Pociągnęła mnie do tańca.

Wyglądałyśmy jak wariatki, boki zrywałyśmy ze śmiechu, ale nie za głośno, bo jeszcze przyszlaby jej matka. Wszystko dlatego, jak sądzę, że wreszcie mogła powiedzieć komuś to, co musiała tak długo ukrywać. Była w siódmym niebie.

Szybko zepchnąłem ten obraz w jakiś zakamarek umysłu, żeby zachować na później.

– Miło to słyszeć. A potem, gdy się spakowała...?

Twarz Imeldy rozciągnęła się w uśmiechu.

– Po prostu wzięłam walizkę i wyniosłam ją z domu. Przysięgam na wszystkich świętych. Zasłoniłam walizkę swoją kurtką, ale nikt by się nie nabrał, gdyby spojrzął uważnie. Wyszłam z sypialni, Rosie pożegnała się ze mną, głośno i wyraźnie. Z korytarza krzyknęłam: „Do widzenia!” państwu Dalym, którzy oglądali telewizję w salonie. Gdy byłam przy drzwiach, pan Daly się obejrzał, ale tylko po to, żeby sprawdzić, czy Rosie nie idzie ze mną, w ogóle nie zauważył walizki. No i wyszłam z domu.

– Niezłe się spisałyście. – Odpowiedziałem Imeldzie szerokim uśmiechem. – Zaniósłaś ją prosto pod szesnasty?

– No. Była zima: już zapadł mrok i zrobiło się zimno, ludzie siedzieli w domach. Nikt mnie nie widział. – Przymknęła powieki, by nie drażnił jej dym, i przywoływała wspomnienia. – Mówię ci, Francis, śmiertelnie się bałam, gdy wchodziłam do tego domu. Nigdy tam nie byłam po ciemku, w każdym razie nie sama. Najgorzej czułam się na schodach. Do pokoi wpadało trochę światła przez okna, ale schody tonęły w ciemnościach. Szłam na górę po omacku. Wszędzie pajęczyny, co drugi schodek rozchwiany, jakby cała chałupa miała się zaraz zawalić, i te dźwięki dokoła... Przysięgam na Boga, myślałam, że jest tam ktoś jeszcze, może jakiś duch, i mnie obserwuje. Gdyby rzucił się na mnie, byłam gotowa narobić wrzasku. Dałam stamtąd dyla, jakby się paliło.

– Pamiętasz, gdzie zostawiłaś walizkę?

– Pamiętam. Wszystko ustaliłyśmy z Rosie. Miałam ją schować w kominku w pokoju od frontu, na górze. W tym dużym pokoju, wiesz

którym. Gdyby się nie zmieściła, miałam wepchnąć ją pod stos desek, blach i śmieci w rogu sutereny, ale nie zamierzałam tam iść, chyba że w ostateczności. Okazało się, że walizka jakoś weszła do kominka.

– Dzięki za pomoc, Imelda. Powinienem był ci podziękować dawno temu, ale lepiej późno niż wcale.

– Mogę teraz ja o coś zapytać? Chyba nie działa to tylko w jedną stronę.

– Jak w gestapo: to my jeszcze od szadawania pytań. Nie, nie, dziecinko, bądźmy sprawiedliwi. To działa w obie strony. Pytaj.

– Ludzie gadają, że Rosie i Kevina zabito. Zamordowano. Oboje. To prawda czy szukanie sensacji?

– Rosie został zabita – potwierdziłem. – Co do Kevina, jeszcze nie wiadomo.

– Jak zginęła?

Pokręciłem głową.

– Nikt mi nic nie mówi.

– No tak. Jasne – mruknęła.

– Posłuchaj, Imelda. Skoro tak chcesz, myśl sobie, że jestem gliną. Zaręczam ci jednak, że w policji nie ma teraz jednego człowieka, który by tak myślał. Nie pracuję nad tą sprawą; nawet nie wolno mi się do niej zbliżać. Już przez to, że tu przyszedłem, mogę stracić pracę. W tym tygodniu nie jestem gliniarzem. Jestem irytującym dupkiem, który nie chce się odczepić, bo kochał Rosie Daly.

Imelda przygryzła wargę, mocno.

– Ja też ją kochałam. Całym sercem.

– Wiem, Imelda. Dlatego tu jestem. Nie mam pojęcia, co jej się przydarzyło, i nie wierzę, że gliny będą chciały ruszyć dupę i odkryć prawdę. Dlatego potrzebuję pomocy.

– Ona nie powinna była zginąć. Co za podłość, naprawdę. Rosie nic nikomu nie zrobiła. Chciała tylko... – Imelda zamilkła. Paliła papierosa i patrzyła, jak jej palce wchodzi w dziurę w wytartej narzucie. Czulem, że się nad czymś zastanawia, więc siedziałem cicho. Po pewnym czasie wróciła do rozmowy. – Myślałam, że to ona

się wyrwała.

Uniosłem brew, patrząc pytająco. Na zniszczonej twarzy Imeldy pojawił się lekki rumieniec, jak gdyby powiedziała coś, co może okazać się głupie. Mimo to mówiła dalej:

– Popatrz na Mandy. Wypisz wymaluj jej matka. Postarała się jak najszybciej wyjść za mąż; rzuciła pracę, żeby zająć się rodziną. Dobra żonka, dobra mamuśka, na dodatek mieszka w tym samym domu. Dałabym sobie głowę uciąć, że nawet nosi ubrania swojej matki. Tak samo jest ze wszystkimi, których znaliśmy w młodości: kopie swoich rodziców, choć zapewniali pełnym głosem, że będą żyć inaczej.

Zgniotła papierosa w popielniczce pełnej petów.

– Spójrz na mnie. Zobacz, gdzie wylądowałam. – Zatoczyła brodą łuk, wskazując mieszkanie. – Troje dzieci, trzech ojców... Mandy pewnie ci powiedziała, co? Miałam dwadzieścia lat, gdy urodziła się Isabelle. Poszłam prosto na zasilek. Od tamtej pory nigdy nie dostałam przyzwoitej pracy, nie wyszłam za mąż, nie zatrzymałam przy sobie faceta na dłużej niż rok... połowa z nich ma już żony, wiadomo. W młodości tyle sobie planowałam, skończyło się na niczym. Stałam się taka jak moja matka, nawet nie pisnęłam. Po prostu pewnego ranka obudziłam się, no i tak już jest.

Wyjąłem dwa papierosy ze swojej paczki i podałem ogień Imeldzie. Podziękowała i odwróciła głowę, żeby nie dmuchnąć na mnie dymem.

– Z nas wszystkich tylko Rosie nie stała się taka jak jej matka – mówiła dalej. – Często o niej myślałam. Gdy było ciężko, cieszyła mnie myśl, że ona gdzieś tam jest, w Londynie, w Nowym Jorku, a może w Los Angeles, i pracuje w jakimś szalonym zawodzie, o którym nigdy nie słyszałam. Jedyna, która się wyrwała.

– Ja nie stałem się taki jak moja matka. Ani jak mój ojciec, jeśli już o tym mowa.

Imelda się nie roześmiała. Obrzuciła mnie spojrzeniem, którego nie umiałem odczytać – może miało ono znaczyć, że nie wiadomo, czy zostanie gliniarzem oznacza postęp. Po chwili powiedziała:

– Shania jest w ciąży. Siedemnastolatka. Nie wie, kto jest ojcem. Nawet Rewelka nie zdołałby przedstawić sobie tego w pozytywnym świetle.

– Przynajmniej ma dobrą mamę, która się nią zajmie.

– Taa – mruknęła. Trochę się przygarbiła, jak gdyby w głębi duszy liczyła na to, że znam tajemny sposób na poprawę tej sytuacji. – Co będzie, to będzie.

U sąsiadów ktoś puścił 50 Centa na pełny regulator, a ktoś inny wydierał się, żeby ściszyć muzykę. Imelda nie zwracała na to uwagi.

– Muszę cię spytać o coś jeszcze – powiedziałem.

Miała dobrego czuja. Ton mojego głosu wzbudził jej niepokój, bo znów zrobiła tępą minę.

– Komu powiedziałaś, że Rosie i ja zamierzamy wyjechać?

– Nikomu. Ja nie kabluję.

Usiadła prosto, gotowa podjąć rękawicę.

– Nigdy tak nie uważałem. Jest jednak mnóstwo metod wyciągania informacji z człowieka, czy jest kapusiem, czy nie. Miałaś wtedy... ile... osiemnaście lat, dziewiętnaście? Łatwo można upić nastolatkę, żeby coś wypaplała, tak ją podejść, że o czymś napomknie.

– I nie jestem głupia.

– Ja też nie. Posłuchaj, Imelda. Tamtej nocy ktoś czekał na Rosie pod szesnastym. Ktoś się z nią spotkał, zabił ją i schował jej ciało. Tylko trzy osoby na całym bożym świecie wiedziały, że Rosie przyjdzie tam, żeby zabrać walizkę: ja, Rosie i ty. Ode mnie nikt się nie dowiedział. Rosie, jak sama dopiero co mówiłaś, nie puściła pary z ust przez wiele miesięcy. Choć prawdopodobnie byłaś jej najlepszą koleżanką, nawet tobie by nic nie wyjawiała, gdyby znalazła inne rozwiązanie. Mam uwierzyć, że wygadała się jeszcze komuś, tak dla hecy? Bzdury. Wychodzi, że to ty.

Zanim dokończyłem zdanie, Imelda zerwała się z fotela i wyrwała mi z ręki kubek.

– Co za bezczelność! Nazywać mnie papłą w moim własnym domu... Nie należało w ogóle wpuszczać cię za próg. I cała ta gadka,

że chciałeś odwiedzić starą kumpelę. Gówno prawda! Chciałeś się zorientować, co wiem...

Wpadła do kuchni i z głośnym stukiem odstawiła kubki do zlewu. Tylko poczucie winy może wywołać taki zmasowany atak. Poszedłem za nią.

– A twoja gadka o tym, jak to kochałaś Rosie. Jak chciałaś, żeby udało jej się stąd wyrwać. To też były bzdury, Imelda, tak?

– Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jesteś w wygodnej sytuacji, odważniaku, przychodzisz sobie jakby nigdy nic po tylu latach i w każdej chwili możesz sobie pójść... A ja muszę tu mieszkać, moje dzieci też.

– Czy wygląda na to, że ja gdzieś, kurwa, idę? Jestem tutaj, Imelda, czy mi się podoba, czy nie. Nigdzie nie pójde.

– Pójdiesz, i to zaraz. Wynoś się z mojego domu. Wsadź sobie w dupę te pytania i zjeżdżaj.

– Powiedz, z kim rozmawiałaś, i znikam.

Stałem za blisko. Imelda, przyparta tyłem do kuchenki, rzucała spojrzenia na boki, szukając możliwości ucieczki. Gdy znowu popatrzyła na mnie, zobaczyłem w jej oczach paniczny strach.

– Nie uderzę cię – odezwałem się jak najłagodniej. – Po prostu pytam.

– Wynoś się.

Jedną rękę trzymała za plecami, coś w niej ściskając. Wtedy zorientowałem się, że jej strach nie był odruchem, nie był pozostałością po jakimś skurwielu, który ją tłukł. Imelda bała się mnie.

– Myślisz, że co ja ci zrobię, do cholery?

– Ostrzegano mnie przed tobą – powiedziała cicho.

Nie spostrzegłem się, że robię krok w przód. Widząc unoszący się nóż do krojenia chleba i otwierające się do krzyku usta Imeldy, wyszedłem. Byłem już na dole schodów, gdy ochłonęła na tyle, żeby wybiec na korytarz, przechylić się przez poręcz i krzyknąć za mną, na użytek sąsiadów:

– Nie waż się znowu tu przychodzić!

Potem trzasnęły drzwi do jej mieszkania.

Szedłem w głąb Liberties, oddalając się od centrum. W całym śródmieściu roilo się od lemingów ogarniętych szałem świątecznych zakupów, odpychających łokciami jeden drugiego, żeby za pomocą kart kredytowych wejść w posiadanie wszystkiego, co wpadnie im w oko, im bardziej zawyżona cena, tym lepiej. Prędzej czy później któryś z nich mógł dać mi pretekst do awantury. Znam sympatycznego człowieka – nazywa się Danny Zapałka – który kiedyś zapewnił mnie, że podpali cokolwiek, jeśli tylko uznam, że należy puścić to z dymem. Pomyślałem o Faithful Place, rozgorączkowanej pani Cullen i niepewnym Desie Nolationie, o wystraszonej Imeldzie, i korciło mnie, by zadzwonić do Danny'ego.

Szedłem dalej, aż niemal całkowicie uszła ze mnie chęć przyłożenia każdemu, kto zanadto się do mnie zbliży. Uliczki i zaułki wyglądały tak samo jak ludzie podczas czuwania po śmierci Kevina, pokracznie, choć znajomo, jak w komedii, w której nie widzę nic zabawnego: nowiutkie bmw ściśnięte jedno za drugim przed dawnymi czynszówkami, małe matki wrzeszczące do dzieci w dizajnerskich wózkach, przykurzone narożne sklepy przemienione w rozświetlone lokale na licencji franczyzowej. Gdy już nie musiałem być w ruchu, zobaczyłem przed sobą katedrę Świętego Patryka. Przez pewien czas siedziałem w parku przy kościele; mój wzrok spoczywał na tym, co pozostawało tu przez osiemset lat, a do uszu dolatywały napastliwe krzyki kierowców, gdy zbliżała się godzina szczytu i ruch niemal stanął.

Nadal siedziałem na ławce, wypaliwszy więcej papierosów, niż pozwoliłaby na to Holly, gdy zaczęła pikać komórka. Przyszedł SMS



od mojego Stephena, z pewnością kilkakrotnie poprawiany, aż przybrał zadowalającą formę. „Detektywie Mackey, chciałbym zawiadomić, że mam informacje, o które pan prosił. Pozdrawiam, Stephen Moran, det.”.

Co za skarb. Dochodziła piąta. Odpisałem mu: „Doskonale. Spotkajmy się w Cosmo's. Jak najszybciej”.

Kanapkarnia Cosmo's jest głównianym lokalem, położonym w płataninie uliczek w bok od Grafton Street. Ludzie z wydziału zabójstw prędeż by umarli, niż dali się przyłapać w tym miejscu, co było jego dużym plusem. Drugim plusem było to, że jak nieliczne już firmy w mieście, zatrudniała wyłącznie irlandzkich pracowników, którzy nie ponizą się aż tak, by spojrzeć człowiekowi prosto w twarz. Czasem spotykam się tu ze swoimi informatorami.

Chłopak dotarł na miejsce przede mną, siedział przy stoliku, sącząc kawę i rysując palcem wzory w rozsypanym cukrze. Nie uniósł głowy, gdy się przysiadłem.

– Miło cię znowu widzieć, detektywie. Jestem wdzięczny za wiadomość.

Wzruszył ramionami.

– Taa, hmm, powiedziałem, że się skontaktuję.

– O, mamy jakieś dylematy?

– To śliska sprawa.

– Obiecuję, że nadal będziesz się cieszył moim szacunkiem.

– Gdy studiowaliśmy w Templemore, mówiono nam, że od teraz naszą rodziną jest policja. Wziąłem to pod uwagę i potraktowałem poważnie.

– Bardzo słusznie. To istotnie twoja rodzina. W ten sposób odnoszą się do siebie członkowie rodziny, słonko. Nie zauważyłeś?

– Nie.

– Szczęściarz z ciebie. Udane dzieciństwo to piękna rzecz. Tak żyje druga połowa społeczeństwa. Co masz dla mnie?

Stephen przygryzł policzek od wewnątrz. Obserwowałem go z zainteresowaniem, nie przeszkadzając mu w zmaganiach z własnym

sumieniem. W końcu nie chwycił plecaka i nie wymaszerował z Cosmo's, tylko pochylił się i wyjął cienki zielony skoroszyt.

– Wyniki sekcji – oznajmił, wręczając mi teczkę.

Przerzuciłem stronę po stronie. Zauważyłem wykresy obrażeń, których doznał Kevin, dane dotyczące wagi poszczególnych organów, opis stłuczenia mózgu – nie najprzyjemniejsza lektura przy kawie.

– Podoba mi się – powiedziałem – i doceniam starania. Mógłbyś to streścić? W pół minuty albo i krócej.

To go zaskoczyło. Pewnie już nieraz powiadamiał rodzinę ofiary, ale nie wnikając w medyczne szczegóły. Gdy nie mrugnąłem do niego porozumiewawczo, zaczął mówić:

– Hm... no dobrze. On... to znaczy zmarły, hm, twój brat... wypadł z okna głową w dół. Nie ma obrażeń, które wskazywałyby, że się bronił albo walczył, żadnych urazów świadczących o udziale drugiej osoby. Upadek nastąpił z wysokości około dwudziestu stóp na twardy grunt. Twój brat uderzył o ziemię okolicą skroni bliżej ciemienia, mniej więcej w tym miejscu. Doszło do złamania kości czaszki, co uszkodziło mózg, i złamania karku, co zniszczyło ośrodek oddechowy. Jedno albo drugie spowodowało śmierć. Bardzo szybko.

Dokładnie tego chciałem, ale i tak niewiele brakowało, a rzuciłbym się na szyję zadbanej na maksa kelnerce za to, że akurat się pojawiła. Zamówiłem kawę i kanapki. Dziewczyna zapisała nie to, co trzeba, dwukrotnie, udowadniając, że jest za dobra do tej pracy, przewróciła oczami nad moją głupotą i niemal strąciła Stephenowi filiżankę z kawą na kolana, wrywając mi z ręki kartę dań; gdy odeszła kołyszącym się krokiem, udało mi się choć trochę rozewrzeć szczęki.

– Czyli bez niespodzianek – podsumowałem. – Masz wyniki badań daktyloskopisch?

Stephen kiwnął głową i wyjął drugą teczkę, grubszą. Rewelka musiał dobrze nacisnąć ludzi z laboratorium, skoro tak szybko sporządzili raport. Najwyraźniej chciał jak najszybciej mieć tę sprawę z głowy.

– Wybierz co lepsze kawałki.

– Zewnętrzna strona walizki wyglądała beznadziejnie: tyle lat tkwiła w kominie, że zatarty się niemal wszystkie wcześniejsze ślady, z nowszych są odciski robotników i rodziny, która... twojej rodziny. – Spuścił głowę, skrępowany. – Kilka pasuje do linii papilarnych Rose Daly i jeden do jej siostry Nory oraz trzy do osoby niezidentyfikowanej, prawdopodobnie z tej samej ręki i z tego samego okresu, zważywszy na ich położenie. Wewnątrz walizki mamy odciski w zasadzie tych samych osób: Rose na wszystkich rzeczach, na których mogły zostać, Nory na całym walkmanie, kilka Theresy Daly na wewnętrznej stronie samej walizki, co zrozumiałe, bo przecież należała do niej, i cała masa odcisków, które pozostawili Mackeyowie, głównie Josephine Mackey. Czy to, hm, twoja matka?

– Aha. – Bez wątplenia właśnie ona rozpakowywała walizkę. Niemal słyszałem jej głos: „Zabieraj te brudne łapy, Jimie Mackey, to są majtki. Jesteś zbrojcem czy co?”. – Jakież niezidentyfikowane?

– Nie w środku walizki. Mamy również kilka odcisków, hm, twoich palców na kopercie, w której były bilety.

Nawet po przeżyciach ostatnich kilku dni z bólem przyjąłem to stwierdzenie: odciski moich palców zostawione tamtego porażająco niewinnego wieczoru w O'Neill's, po dwudziestu latach leżenia w ciemnościach wciąż świeże, jakbym zostawił je wczoraj, czekające na to, żeby zajęli się nimi pracownicy laboratorium.

– Nic dziwnego. Kupując je, nie pomyślałem o włożeniu rękawiczek. Coś jeszcze?

– Tyle co do walizki. List został dokładnie wytarty. Na drugiej kartce, znalezionej w osiemdziesiątym piątym roku, mamy odciski Matthew, Theresy i Nory Dalych, trzech chłopaków, którzy przynieśli im list, i twoje. Nie ma odcisków Rose. Na pierwszej kartce, wyjętej z kieszeni Kevina, nie znaleźliśmy nic. To znaczy żadnych odcisków palców. Jest nietknięta.

– A okno, z którego wyleciał?

– Odwrotny problem: za dużo odcisków. Ludzie z laboratorium

są prawie pewni, że znaleźli odciski palców Kevina na górnej i dolnej połówce okna, gdzie należało się ich spodziewać, jeżeli otwierał okno, i odciski dłoni na parapecie, zostawione, gdy się wychylał. Nie są jednak w stu procentach przekonani. Pod spodem jest tyle warstw odcisków, że w tej masie giną detale.

– Powiniennem wiedzieć coś jeszcze?

Pokręcił głową.

– Reszta to nic szczególnego. Odciski palców Kevina zostały znalezione w paru innych miejscach: na drzwiach do korytarza i do pokoju z oknem, z którego wypadł, w miejscach, gdzie można się było ich spodziewać. W całym domu jest mnóstwo niezidentyfikowanych śladów. Laboratorium wciąż je bada. Na razie stwierdzono, że kilka należy do gości notowanych za drobne przestępstwa, ale są to miejscowi i mogli się tam po prostu kręcić. Równie dobrze przed wieloma laty.

– Dobra robota – odrzekłem. Wyprostowałem kartki i schowałem do swojej teczki. – Zachowam to w pamięci. A teraz przedstaw mi teorię detektywa Kennedy'ego na temat przebiegu wydarzeń.

Stephen śledził wzrokiem ruchy moich rąk.

– Zapewnij mnie raz jeszcze, że to jest w porządku pod względem etycznym.

– Jest w porządku pod względem etycznym – przytaknąłem – ponieważ klamka zapadła, młody. Opowiadaj.

Po chwili spojrzał mi w oczy, mówiąc:

– Nie wiem, jak z tobą rozmawiać.

Kelnerka głośno postawiła na stoliku nasze kanapki i kawę dla mnie, po czym odpłynęła, szykując się do końcowego występu. Obaj zignorowaliśmy ją całkowicie.

– Dlatego że jestem powiązany niemal ze wszystkimi i ze wszystkim w tej sprawie?

– No właśnie. To niełatwa sytuacja i nie chcę jej pogarszać.

Na dodatek ma podejście do człowieka. Poczekajmy pięć lat, a ten chłopak zostanie szefem policji.

– Doceniam okazaną troskę, Stephen, ale w tej chwili zależy mi nie na twojej wrażliwości, lecz obiektywizmie. Przyjmij, że ta sprawa w ogóle mnie nie dotyczy. Jestem człowiekiem z zewnątrz, który trafił tu przypadkiem i trzeba zapoznać go z faktami. Spróbujesz?

Kiwnął głową.

– No dobra, niech będzie.

Oparłem się plecami o krzesło i przysunąłem do siebie talerz.

– Wspaniale. Wal.

Stephen nie śpieszył się, i dobrze. Złaz kanapkę keczupem i majonezem, pobawił się frytkami na talerzu i uporządkował swoje myśli.

– Okay. Teoria detektywa Kennedy'ego wygląda następująco. Późnym wieczorem piętnastego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego piątego roku Francis Mackey i Rose Daly mają się spotkać u wylotu Faithful Place i razem potajemnie uciec. Brat Mackeya, Kevin, coś wyczuwa...

– Niby skąd? – Mało prawdopodobne, żeby Imelda otworzyła serce przed piętnastolatkiem.

– Nie wiadomo, ale zapewne ktoś coś powiedział, a Kevin dodał dwa do dwóch szybciej niż pozostali. To jeden z argumentów za teorią detektywa Kennedy'ego. Wszyscy, z którymi rozmawialiśmy, twierdzą, że Francis i Rose trzymali plany ucieczki w ścisłej tajemnicy, nikt nie miał pojęcia o ich zamiarach. Natomiast Kevin był w pozycji uprzywilejowanej: dzielił pokój z Francisem, mógł coś zobaczyć.

Moja droga Mandy nie puściła pary z ust.

– Powiedzmy sobie wyraźnie – wtrąciłem. – W tym pokoju nie było nic do zobaczenia.

Stephen wzruszył ramionami.

– Pochodzę z North Wall, gdzie, jak przypuszczam, żyje się podobnie jak w Liberties, a przynajmniej żyło w tamtych czasach. Ludzie mieszkają na kupie, gadają, niczego nie da się utrzymać w tajemnicy. Moim zdaniem to zdumiewające, że nikt nie wiedział o planach ucieczki. Nie chce mi się wierzyć.

– Niech ci będzie. Zostawmy tę kwestię niedopowiedzianą. Co

było potem?

Stephen trochę się rozluźnił, skupiony na składaniu relacji; znów znaleźliśmy się w strefie komfortu.

– Kevin postanawia dopaść Rose przed jej spotkaniem z Franci-  
sem. Może umawia się z nią, a może wie, że będzie musiała zabrać  
walizkę. Tak czy owak, spotykają się, najprawdopodobniej w domu  
pod szesnastym na Faithful Place. Dochodzi do kłótni, on traci nad  
sobą panowanie, chwyta ją za gardło i uderza jej głową o ścianę. Jak  
twierdzi Cooper, odbywa się to błyskawicznie, w kilka sekund. Gdy  
Kevin przytomnieje, jest już za późno.

– Jaki motyw? Dlaczego miałby chcieć ją dopaść, a co dopiero  
wdawać się w kłótnię?

– Nie wiadomo. Wszyscy uważają, że Kevin był bardzo przy-  
wiązany do Francisa, więc może nie chciał, żeby Rose go zabrała.  
Albo dziewczyna podniecała go seksualnie i był zazdrosny: chłopak w  
jego wieku z trudem radzi sobie z takimi doznaniem. Była fanta-  
styczna, wszyscy to przyznają. Może go odrzuciła, a może kręcili ze  
sobą na boku... – Nagle Stephen przypomniał sobie, do kogo mówi.  
Urwał zaczerwieniony i zerknął na mnie z niepokojem.

„Pamiętam Rosie – powiedział mi Kevin przed paroma dniami. –  
Jej włosy, śmiech, sposób chodzenia...”

– Nie zapominaj, że on miał piętnaście lat, a ja dziewiętnaście.  
Trochę za duża różnica wieku, żeby to było możliwe. Ale istotnie, ona  
mogła mu się podobać. Mów dalej.

– Motyw wcale nie musi być poważny. O ile wiemy, on nie za-  
mierzał jej zabić. To się raczej po prostu stało. Gdy Kevin uprzytam-  
nia sobie, że dziewczyna nie żyje, zaciąga jej zwłoki do sutereny,  
chyba że tam doszło do kłótni, i chowa je pod betonową płytą. Jak na  
sвій wiek był silny. Tamtego lata dorabiał na placu budowy, prze-  
nosząc materiały. Dałby radę.

Znowu zerknął na mnie. Wydłubałem kawałek szynki z zęba  
trzonowego i patrzyłem niewzruszenie na Stephena.

– W którymś momencie Kevin znajduje list, który Rose napisała

do rodziców i siostry, i przychodzi mu na myśl, że może go wykorzystać. Chowa pierwszą kartkę, a drugą zostawia tam, gdzie leżała. Zamyśl jest taki, że jeżeli Francis i tak ucieknie, to wszyscy wytlumaczą sobie sytuację zgodnie z pierwotnym planem: młodzi wyjechali razem, list jest skierowany do jej rodziców. Jeżeli Francis wróci do domu albo skontaktuje się ze swoją rodziną w późniejszym czasie, wszyscy pomyślą, że list był skierowany do niego i Rose wyjechała sama.

– I tak to wygląda przez dwadzieścia dwa lata – dodałem.

– Zgadza się. Potem zwłoki Rose zostają znalezione, zaczyna się śledztwo i Kevin panikuje. Każdy, z kim rozmawialiśmy, mówił, że Kevin był zdenerwowany w ostatnich dniach, z każdym dniem bardziej. W końcu nie wytrzymuje napięcia. Wyciąga pierwszą kartkę listu, przechowywaną gdzieś przez tyle lat, spędza z rodziną ten ostatni wieczór, a potem idzie tam, gdzie zamordował Rose, i... no cóż...

– Odmawia modlitwę i skacze głową w dół z okna na górze. Sprawiedliwości staje się zadość.

– Chyba tak. Mniej więcej. – Przyglądał mi się dyskretnie znad filizanki, sprawdzając, czy mnie wkurzył.

– Świetnie, detektywie. Jasno, zwięźle i obiektywnie. – Stephen wypuścił z ulgą powietrze, jak po egzaminie ustnym, i wbił zęby w kanapkę. – Jak myślisz, ile mamy czasu, zanim stanie się to oficjalną ewangelią według Kennedy'ego i obie sprawy zostaną zamknięte?

– Być może parę dni – odrzekł, kręcąc głową. – Jeszcze nie wysłał akt wyżej; wciąż zbieramy dowody. Detektyw Kennedy jest skrupulatny. Wiem, że ma swoją teorię, ale to nie jest tak, że dopasowuje do niej sprawę i ma ją z głowy. Z jego słów wynika, że ja i inni dyspozycyjni będziemy pracować w wydziale zabójstw do końca tygodnia.

Czyli miałem jakieś trzy dni. Nikt nie lubi się cofać. Gdy ta sprawa zostanie oficjalnie zamknięta, będę musiał przedstawić poświadczony notarialnie nagranie wideo dokumentujące, jak ktoś inny dokonuje

obu morderstw, i dopiero wtedy uzyskam zgodę na wznowienie śledztwa.

– Jestem pewien, że wywoła sensację – powiedziałem. – A ty co sądzisz o teorii detektywa Kennedy'ego?

Na to pytanie nie był przygotowany. Przełknął i zapytał:

– Ja?

– Tak, ty, chłopcze. Metody pracy Rewelki są mi dobrze znane. Jak już wspomniałem, interesuje mnie, co ty masz do zaferowania. Poza szalonymi umiejętnościami stukania w klawiaturę.

Wzruszył ramionami.

– Moim obowiązkiem nie jest...

– O tak, jest. Masz obowiązek wykonać to, o co cię proszę. Kręci cię ta teoria?

Stephen zapchał sobie usta kanapką, zyskując czas na zastanowienie. Wpatrywał się w swój talerz, żeby nie było widać jego oczu.

– Rozumiem, Stevie, musisz wziąć po uwagę fakt, że mogą być piekielnie stroniczy albo oszalały z rozpacz, albo po prostu szalony, i że jedna z tych możliwości albo wszystkie razem powodują, iż z takim człowiekiem nie należy się dzielić swoimi najgłębszymi przemyśleniami. Mimo to założę się, że nie po raz pierwszy postać ci w głowie, iż detektyw Kennedy może się zwyczajnie mylić.

– Naszła mnie taka myśl – przytaknął.

– Nie dziwię się. W przeciwnym razie byłbyś idiotą. Czy przyszło to do głowy komuś jeszcze w waszej grupie dochodzeniowej?

– Nikt o tym nie wspominał.

– I nie wspomni. Wszystkich naszła taka myśl, oni też nie są idiotami, ale nie puszczają pary z ust, bo boją się nadebrać Rewelce na odcisk. – Pochyliłem się przez stół do chłopaka tak, że musiał podnieść wzrok. – Zostajesz ty, detektywie Moran. Ty i ja. Jeżeli morderca Rose Daly wciąż gdzieś tam krąży, tylko my dwaj możemy go złapać. Czy zaczynasz dostrzegać, dlaczego nasza mała gra jest w porządku pod względem etycznym?

– Chyba tak – odrzekł po chwili.



– Z etycznego punktu widzenia jest wprost kapitalnie w całej rozciągłości, ponieważ ponosisz odpowiedzialność nie wobec detektywa Kennedy'ego czy mnie, skoro o tym mowa, ale przede wszystkim wobec Rose Daly i Kevina Mackeya. Tylko my im pozostaliśmy. Więc przestań grać na zwłokę jak dziewica, która nie chce zdjąć majtek, i powiedz, co sądzisz o teorii detektywa Kennedy'ego.

– Nie przepadam za nią – odparł po prostu.

– Dlaczego?

– Nie przejmuję się tym, że są w niej luki: na przykład nie ma motywu, nie wiadomo, jak Kevin dowiedział się o planowanej ucieczce. Po tylu latach można się spodziewać takich dziur. Martwią mnie wyniki badań daktyloskopijnych.

Zastanawiałem się, czy to zauważy.

– Co cię w nich martwi?

Stephen zliział majonez z kciuka i uniósł go.

– Po pierwsze, niezidentyfikowane odciski palców na zewnętrznej stronie walizki. Może to nieistotne, ale gdybym to ja prowadził śledztwo, postarałbym się je zidentyfikować, zanim zamknę sprawę.

Byłem niemal pewny, do kogo należą te odciski, ale nie miałem ochoty podzielić się tą wiedzą.

– Też bym tak postąpił. Coś jeszcze?

– Po drugie – uniósł palec wskazujący – dlaczego nie ma odcisków palców na pierwszej stronie listu? Można zrozumieć, że zostały usunięte na drugiej kartce: jeżeli ktoś nabierze podejrzeń i zgłosi zaginięcie Rose, Kevin nie chce, żeby policja znalazła odciski jego palców na jej liście pożegnalnym. Ale na pierwszej stronie? Wyciąga kartkę, którą przechowuje tyle lat, zamierza wykorzystać ją jako list samobójczy i przyznanie się do zbrodni, ale usuwa wszelkie ślady i w rękawiczkach wkłada ją do kieszeni. Dlaczego? Na wypadek gdyby ktoś połączył list z jego osobą?

– Co na to detektyw Kennedy?

– Uważa, że to mało znacząca anomalia, nic wielkiego, pojawia

się w każdej sprawie. Kevin wyciera obie kartki tamtej pierwszej nocy, chowa pierwszą, a gdy ją znowu wyjmuje, nie zostawia śladów. Ludzie czasem tak robią, to prawda, tylko że... Tu mamy człowieka, który zamierza popełnić samobójstwo. Który w zasadzie przyznaje się do popełnienia morderstwa. Choćby był niezwykle opanowany, będzie się pocił jak skur... jak mysz. A spocony człowiek zostawia odciski palców. – Stephen pokręcił głową. – Na tej kartce powinny być odciski, i tyle – dodał na koniec, po czym rzucił się znowu na kanapkę.

– Tak dla rozrywki, zastanówmy się nad inną ewentualnością. Zakładając przez chwilę, że mój stary przyjaciel detektyw Kennedy tym razem się myli i Kevin Mackey nie zabił Rose Daly, to co wtedy mamy?

Stephen wpatrywał się we mnie.

– Przyjmujemy założenie, że Kevin też został zamordowany?  
– To ja mam wiedzieć?  
– Jeżeli nie wytarł listu i nie włożył sobie do kieszeni, ktoś zrobił to za niego. Jestem za morderstwem.

Znowu poczułem nagły, zdradliwy przypływ sympatii. O mało nie objąłem chłopaka za szyję i nie zwichrzyłem mu włosów.

– Mnie pasuje – oświadczyłem. – Co wiemy o mordercy?  
– Uważamy, że to ta sama osoba?  
– Mam szczerą nadzieję. Moja dzielnica może i jest trochę pokręcona, ale nie chce mi się wierzyć, że aż tak, by dwóch morderców grasowało na jednej ulicy.

W ciągu ostatnich sześćdziesięciu sekund, od chwili gdy zaczął wyrażać swoje zdanie, Stephen wyraźnie mniej się mnie bał. Siedział pochylony do przodu, łokcie na stole, tak skupiony, że kompletnie zapomniał o resztkach kanapki. W jego oczach pierwszy raz pojawił się jakiś zimny błysk, surowszy, niż można się spodziewać u takiego uroczego, zarumienionego żółtodzioba.

– Opierając się na opinii Coopera, można uznać, że to prawdopodobnie mężczyzna. Wiek: pod czterdziestkę do pięćdziesiątki. To

znaczy, że miał gdzieś między piętnaście a trzydzieści, gdy umarła Rose. Był w dobrej kondycji wtedy i obecnie. Nieźle umięśniony.

– W wypadku Rose, ale nie musiał być w wypadku Kevina – zauważyłem. – Jeżeli udało mu się namówić go, żeby wyjrzał przez okno, a Kevin nie był podejrzliwy, to potem wystarczyło lekkie pchnięcie. Mięśnie nie odgrywały żadnej roli.

– W takim razie sprawca mógł mieć między piętnaście a pięćdziesiąt lat, gdy dopadł Rose, a zatem teraz ma pod czterdziestkę do siedemdziesiątki.

– Niestety. Czy wiemy o nim coś jeszcze, co pozwoli zmniejszyć przedział wiekowy?

– Dorastał w pobliżu Faithful Place – ciągnął Stephen. – Zna na wylot dom pod szesnastym: gdy zobaczył, że Rose nie żyje, na pewno przeżył ogromny szok, a jednak pamiętał o betonowych płytach w suterenie. Z tego, co mówią miejscowi, wynika, że ludzie, którzy znają ten dom, mieszkali albo na Faithful Place, albo w najbliższej okolicy jako nastolatki. Teraz sprawca może już tam nie mieszka, a o znalezieniu ciała Rose mógł się dowiedzieć z różnych źródeł.

Po raz pierwszy w mojej pracy zawodowej zaczęło mi świtać, dlaczego chłopcy z wydziału zabójstw kochają swoją pracę w ten, a nie inny sposób. Gdy my, z tajnych operacji, jesteśmy na łowach, bierzemy wszystko, co wpadnie nam w sidła; sztuka polega w dużej mierze na tym, żeby wiedzieć, co wykorzystać jako przynętę, co wyrzucić z powrotem, a co stuknąć w łeb i zabrać do domu. Te łowy wyglądały zupełnie inaczej. Wezwano fachowców od tropienia samotnego drapieżnika, a oni skupili się na nim jak na kochance. Wszystko inne, co znalazło się w ich polu widzenia, gdy wypatrywali w ciemnościach tego jednego kształtu, nie miało żadnego znaczenia. To było konkretne, kameralne zajęcie, mocna rzecz: ja i ten jeden człowiek, gdzieś tam, obaj nasłuchujemy, czy drugiemu nie powinęła się noga. Tego wieczoru w Very Sad Café czułem, że z nikim nie łączy mnie tak bliska zażyłość.

– To nie takie ważne, jak on się dowiedział o znalezieniu ciała

Rose. Masz rację: prawdopodobnie wszystkich, którzy mieszkali kiedyś w Liberties, zawiadomili o tym przez telefon znajomi z Faithful Place. Zasadnicze pytanie brzmi następująco: skąd on wiedział, że Kevin mu zagraża, po tylu latach. Moim zdaniem jedyną osobą, która mogła mu to uzmysłwić, był sam Kevin. Albo utrzymywali kontakt, albo natknęli się na siebie podczas tej zady w weekend, albo Kevin dołożył starań, żeby się z nim skontaktować. Jak będziesz miał sposobność, spróbuj się dowiedzieć, do kogo Kevin dzwonił przez ostatnie czterdzieści osiem godzin z komórki i ze stacjonarnego, jeśli go miał, do kogo wysyłał SMS-y, kto do niego dzwonił i wysyłał SMS-y. Zapewne słusznie przypuszczam, że detektyw Kennedy ściągnął jego billingi, tak?

– Jeszcze nie nadeszły, ale zgadza się.

– Gdy się dowiemy, z kim Kevin rozmawiał w ten weekend, znajdziemy sprawcę. – Przypomniałem sobie, że Kevin wyniósł się poirytowany tamtego sobotniego popołudnia, kiedy ja poszedłem zanieść Rewelce walizkę. Następny raz widziałem go w pubie. Do tego czasu mógł odszukać kogokolwiek.

– Jest jeszcze jedna rzecz – dodał Stephen. – Wydaje mi się, że sprawca prawdopodobnie był agresywny. To znaczy na pewno był, ale mam na myśli inne przypadki poza tymi dwoma. Sądzę, że mógł być notowany, a przynajmniej mieć złą opinię.

– Interesująca teoria. Skąd takie przypuszczenie?

– Te dwa morderstwa różnią się od siebie, tak? Drugie musiało być zaplanowane, choćby z zaledwie kilkuminutowym wyprzedzeniem. Pierwsze niemal na pewno nie zostało zaplanowane.

– I co z tego? Sprawca się zestarzał, bardziej się kontroluje, myśli naprzód. Za pierwszym razem po prostu puściły mu nerwy.

– Właśnie o to mi chodzi. Jemu w ten sposób puszczają nerwy. I to się nie zmienia, bez względu na wiek.

Uniosłem brew – wiedziałem, co Stephen ma na myśli, ale chciałem usłyszeć, jak to wyjaśni. Potarł ucho niezdarnym ruchem, starając się znaleźć właściwe słowa.

– Mam dwie siostry – mówił. – Jedna ma osiemnaście lat. Gdy się zezłości, krzyczy tak głośno, że słycać ją na końcu ulicy. Druga ma dwadzieścia lat i gdy traci panowanie nad sobą, rzuca różnymi rzeczami o ścianę ich sypialni, nie takimi, które się potłuką, lecz na przykład długopisem albo czymś podobnym. Zawsze tak się zachowywały, od małego. Jeżeli młodsza czymś rzuci albo starsza zacznie wrzeszczeć, to się zdziwią. Każdy traci panowanie nad sobą na swój sposób.

Przywołałem na twarz uśmiech pełen aprobaty – chłopak zasłużył na to, żeby go pogłaskać po głowie – i już miałem go zapytać, jak jemu puszcza nerwy, gdy nagle mnie olśniło. Przyprawiający o mdłości, głuchy trzask, gdy głowa Shaya uderzyła o ścianę, otwierające się usta, gdy zwisał bezwładnie, trzymany za gardło przez ojca. Krzyk matki: „Coś ty zrobił, sukinsynu, zabiłeś go” i gruby, chrapliwy głos ojca: „Ma za swoje”. I słowa Coopera: „Napastnik chwycił ofiarę za gardło i kilkakrotnie uderzył jej głową o ścianę”.

Stephena zaniepokoił pewnie wyraz mojej twarzy, a może wlepiłem w niego wzrok.

– Co takiego? – zapytał.

– Nic – odparłem, narzucając kurtkę. Przypomniało mi się kategoryczne stwierdzenie Matta Daly'ego: „Ludzie się nie zmieniają”. – Świetnie się spisujesz, detektywie. Mówię szczerze. Zadzwoni do mnie, gdy tylko dostaniesz te billingi.

– Dobrze. Czy wszystko...

Położyłem na stoliku dwadzieścia funtów i przesunąłem w kierunku Stephena.

– Zapłać rachunek. Zawiadom mnie, gdy laboratorium będzie wiedziało, czyje są te niezidentyfikowane odciski na walizce albo gdy Kennedy powie wam, kiedy zamierza zamknąć śledztwo. Pamiętaj, detektywie: sprawa jest w twoich i moich rękach. Od nas zależy wszystko.

Wyszedłem. Zobaczyłem jeszcze twarz Stephena, rozmytą w szybie kawiarni. Trzymając w ręku banknot, patrzył z otwartymi

ustami, jak odchodzę.

Łaziłem po mieście jeszcze kilka godzin. Z czasem doszedłem do Smith's Road i ruszyłem w stronę Faithful Place, tak jak miał to zrobić Kevin, gdy odprowadził Jackie do samochodu w niedzielę wieczorem. Idąc spory kawałek ulicą, dobrze widziałem tylne okna na górze domu pod szesnastym, skąd wyskoczył Kevin, za murem mignęły mi również okna pierwszego piętra. Gdy minąłem budynek i odwróciłem się na rogu z Faithful Place, mogłem objąć wzrokiem całą fasadę. Gdyby ktoś czekał na mnie pod szesnastym, w świetle latarni widziałby, jak się zbliżam, natomiast ja nie dostrzegłbym błysku latarki ani żadnych ruchów w środku, gdyż oświetlone latarniami szyby miały przyćmiony, jednolicie pomarańczowy odcień. Poza tym gdyby ktoś chciał zawołać mnie przez okno, musiałby krzyknąć dość głośno, ryzykując, że usłyszy go cała Faithful Place. Kevin nie wszedł do tego domu dlatego, że coś przykuło jego uwagę. Umówił się tu na spotkanie.

Gdy doszedłem do Portobello, znalazłem ławkę nad kanałem i siedziałem tak długo, aż skończyłem czytać raport z sekcji zwłok. Stephen miał talent do zwięzłego relacjonowania sprawy – w raporcie nic mnie nie zaskoczyło, choć muszę przyznać, że powinienem był spodziewać się zdjęć do niego dołączonych. Kevin generalnie odznaczał się dobrym zdrowiem i w opinii Coopera mógł żyć wiecznie, gdyby tylko trzymał się z dala od wysokich budynków. W rubryce „rodzaj śmierci” widniało: nieznaną. Każdy by pojął, że tkwi po szyję w gównie, skoro nawet Cooper zachowuje się wobec niego z wyczuciem.

Wróciłem do Liberties i kilka razy przystanąłem na Copper Lane,

oglądając mur i szukając oparcia dla nóg. Gdy było już wpół do dziewiątej i wszyscy albo siedzieli przy kolacji, albo oglądali telewizję, albo kładli dzieci do łóżek, wspiałem się na mur, przecięłem ogród Dwyerów i wszedłem do ogrodu Dalych.

Musiałem się dowiedzieć, co zaszło między moim ojcem a Mattem Dalym. Pukanie do drzwi któregoś z sąsiadów niezbyt mnie pociągało, a poza tym, jeśli tylko mam możliwość wyboru, wolę zasięgać informacji u źródła. Byłem prawie pewny, że Nora od młodych lat miała do mnie słabość. Jackie wspomniała mi, że Nora wyprowadziła się chyba do Blanchardstown, ale normalne rodziny, w przeciwieństwie do mojej, trzymają się razem, gdy źle się dzieje. Mogłem się założyć, że po tym, co się wydarzyło w sobotę, Nora zostawiła męża i dziecko, żeby nawzajem się pilnowali, i przyjechała spędzić parę dni z mamusią i tatusiem.

Zachręścił żwir, gdy wylądowałem w ogrodzie Dalych. Przyklejony do muru, znieruchomiałem w ciemnościach, ale nikt nie wyjrzał z domu.

Stopniowo wzrok przyzwyczajał się do otoczenia. Nigdy tu nie zaglądałem, bo, jak mówiłem Kevinowi, za bardzo się bałem, że mnie przyłapią. Takiego ogrodu można było się spodziewać u Matta Daly'ego: spory drewniany taras, równo przystrzyżone krzewy, oznaczone tyczki w miejscach, gdzie na wiosnę powstaną rabaty kwiatowe, wygódka przebudowana na niedużą, solidną szopę. W ustronnym miejscu znalazłem ławkę z kutego żelaza, wytarłem ją mniej więcej do sucha i usadowiłem się, przygotowany na czekanie.

W oknie na parterze paliło się światło. Widać było równy rząd sosnowych szafek na ścianie – to kuchnia. Jak przewidziałem, po półgodzinie weszła tam Nora, w za dużym czarnym swetrze, z włosami niedbale zaczesanymi do tyłu w kok. Nawet z tej odległości widać było, że jest blada i zmęczona. Nałała do szklanki wody z kranu i piła, opierając się o zlew i patrząc tępo przez okno, wolną ręką masując sobie kark. Po chwili raptownie podniosła głowę; zawołała coś przez ramię, szybko opłukała szklankę i postawiła na suszarce, po



czym wyjęła jakąś rzecz z szafki i wyszła.

Siedziałem tam jak gość pozostawiony na lodzie i czekałem, aż Nora uzna, że czas kłaść się spać. Nawet nie mogłem zapalić, bo a nuż ktoś zauważy żarzącego się papierosa: Matt Daly był człowiekiem, który z pewnością ruszyłby z kijem bejsbolowym na ciemne typki, dla dobra społeczności. Po raz pierwszy od miesiący, jak mi się wydawało, nie mogłem robić nic innego, tylko spokojnie siedzieć.

Faithful Place szykowała się do odpoczynku. Obraz z telewizora u Dwyerów odbijał się rozedrganym cieniem na ścianie; skądś sączyła się cicha muzyka, smętny kobiecy głos niósł się nad ogrodami. Pod siódmym migotały w oknach kolorowe lampki bożonarodzeniowe i pękate mikołaje; któryś z gromadki nastolatków Sallie Hearne krzyknął: „Nienawidzę cię!” i trzasnął drzwiami. Na piętrze domu pod piątym rodzina japiszonów rodzących ze znieczuleniem kładła spać swoje dziecko: tatuś właśnie wchodził do pokoju, trzymając na rękach syna prosto po kąpieli, owiniętego w biały szlafroczek, podrzucał go do góry i wyciskał mu malinki na brzuchu, a roześmiana mamusia wyglądała kocyki. Po drugiej stronie ulicy moi rodzice przypuszczalnie gapili się tępo w telewizor, pogrążeni każde w swoich niewyobrażalnych myślach, zastanawiając się, czy uda im się nie zamienić ze sobą słowa aż do pójścia spać.

Tej nocy świat miał w sobie coś zabójczego. Zazwyczaj lubię niebezpieczeństwo, jak nic innego pomaga się skoncentrować, ale teraz wyglądało to inaczej: miałem wrażenie, jakby ziemia falowała i przeżyła się pode mną niczym wielki mięsień, zbijając nas wszystkich z nóg, pokazując po raz kolejny, kto tu rządzi, a kto się kompletnie pogubił. Zdradliwe drzenie powietrza przypominało, że wszystko, w co wierzymy, jest na sprzedaż, że reguły gry mogą się zmienić w mgnieniu oka, a ten, kto rozdaje karty, zawsze wygrywa. Nie zdziwiłbym się, gdyby dom pod siódmym zapadł się, grzebiąc Hearne'ów i ich mikołaje, albo gdyby dom pod piątym strzelił pod niebo płomieniem, rozrzucając pastelowe popioły japiszonów. Myślałem o Holly, która siedzi w swojej wieży z kości słoniowej, o czym jeszcze

niedawno byłem głęboko przekonany, i zastanawia się, czy możliwy jest świat bez wujka Kevina; myślałem o Stephenie ubranym w nowiutki płaszcz, uroczym chłopaku, który nie chciał uwierzyć w prawdziwość moich nauk na temat wykonywanej przez niego pracy; myślałem o swojej matce, która wzięła mojego ojca za męża przed ołtarzem i rodziła mu dzieci, przekonana, że dobrze robi. Myślałem o sobie, Mandy, Imeldzie i o Dalych, którzy siedzimy w milczeniu, każde w swoim zakątku tej nocy, starając się zobaczyć, jaki kształt przybrały te ostatnie dwadzieścia dwa lata bez Rosie, która przebywała gdzieś tam daleko i wpływała na ich bieg.

Mieliśmy po osiemnaście lat i byliśmy w Galligan's późnym wieczorem w sobotę, wiosną, gdy Rosie po raz pierwszy napomknęła o Anglii. Całe moje pokolenie opowiada historyjki o Galligan's, a ci, którzy nie mają własnych wspomnień, zapożyczają je od innych ludzi. Każdy dublińczyk w średnim wieku i na stanowisku opowie wam z ochotą, jak to uciekał stamtąd, gdy zrobiono nalot o trzeciej nad ranem, albo jak stawiał U2 drinka, zanim jeszcze zdobyli sławę, jak poznał tam swoją żonę, jak stracił ząb, tańcząc pogo, jak się naćpał, a potem zasnął w kiblu i znaleziono go dopiero po weekendzie. To była speluna bez wyjść ewakuacyjnych: odpadająca płatami czarna farba, ani jednego okna, na ścianach namalowane sprayem, według szablonu, wizerunki Boba Marleya lub Che Guevary, czy kogo akurat podziwiał personel lokalu. Za to znajdował się tam otwarty do późna bar – a przynajmniej coś w tym rodzaju: nie miał licencji na sprzedaż piwa i można było wybierać między dwoma gatunkami lepkiego niemieckiego wina; oba dawały lekkie poczucie wyrafinowania i mocno uderzały po kieszeni – i grano muzykę na żywo, czysta loteria, nigdy nie było wiadomo, kto z czym wystąpi. Dzisiejsza młodzież omijałaby to miejsce szerokim łukiem. Myśmy je uwielbiali.

Poszliśmy tam z Rosie, żeby zobaczyć nową kapelę glamrockową o nazwie Lipstick On Mars, o której Rosie słyszała dobre opinie, oraz jakiś jeszcze zespół, którego nazwy nie podano. Popijaliśmy eleganckie białe wino z Niemiec i tańczyliśmy, aż kręciło nam się w

głowach. Uwielbiałem patrzeć, jak Rosie tańczy: rozkołysany ruch bioder, zarzucanie włosami, usta układające się do śmiechu; w tańcu jej twarz nigdy nie była pusta jak u innych dziewczyn, zawsze coś wyrażała. Zapowiadał się udany wieczór. Kapeli daleko było do Led Zeppelin, ale miała inteligentne teksty, świetnego perkusistę i ten beztroski sznyt, jakim odznaczały się zespoły w tamtych czasach, gdy nikt nie miał nic do stracenia i w ogóle nie myślał o tym, że ma zerowe szanse wybicia się, więc wkładał całe serce w granie, ponieważ w ten sposób przestawał być jeszcze jednym kolesiem bez przyszłości, który żyje z zasiłku i użala się nad sobą. Kapela dawała mu magiczną aurę.

Basista zerwał strunę, pokazując, że podchodzi do rzeczy poważnie. Gdy ją zmieniał, poszliśmy z Rosie do baru po wino.

– Co za sikacz – powiedziała do barmana, wachlując się bluzką.

– No wiem. Pewnie robią go na syropie od kaszlu. Przez kilka tygodni trzymają w ciepłe, i gotowe. – Barman nas lubił.

– To jest gorsze niż zwykle. Dostałeś lipną partię. Nie masz czego przyzwoitego?

– Działa jak należy. Jeżeli ci nie smakuje, zostaw swojego chłopaka, poczekaj do zamknięcia i wtedy zabiorę cię w lepsze miejsce.

– Mam ci przyłożyć czy wolisz, żeby zrobiła to twoja dziewczyna? – wtrąciłem. Dziewczyna barmana miała irokeza i tatuaż na całych rękach. Z nią też nam się układało.

– Lepiej ty. Ona ma ciężką rękę. – Mrugnął do nas i poszedł przynieść mi resztę.

– Chcę ci coś powiedzieć – odezwała się Rosie.

Słyszając ten poważny ton, zapomniałem o barmanie i zacząłem gorączkowo liczyć w głowie.

– Tak? A co?

– Ktoś z linii produkcyjnej u Guinnessa idzie na emeryturę w przyszłym miesiącu. Ojciec mówi, że wychwalał mnie przy każdej okazji i jeżeli tylko chcę, dostanę tę pracę.

Wrócił mi oddech.

– Ekstra. – Gdyby taką propozycję dostał ktoś inny, trudniej byłoby mi okazać radość, zwłaszcza ze względu na udział pana Da-ly'ego, ale Rosie była moją dziewczyną. – Fantastycznie. Gratuluję.

– Nie jestem zainteresowana.

Barman przesunął drobne po blacie w moją stronę.

– Jak to? Dlaczego? – zapytałem.

Wzruszyła ramionami.

– Nie chcę, żeby ojciec cokolwiek mi załatwiał. Wolę sama coś osiągnąć. A poza tym...

Muzycy wrócili po przerwie; na początek dali efektowny łomot na perkusji, zagłuszając resztę zdania. Rosie zaśmiała się i wskazała drugi koniec sali, gdzie zazwyczaj można było usłyszeć własne myśli. Wziąłem ją za wolną rękę i torując drogę, poprowadziłem przez grupę podskakujących dziewczyn w rękawiczkach bez palców, z oczami obwiedzionymi na czarno jak u szopa, oraz niemoty krążące po ich orbitach w nadziei, że jeśli tylko będą się trzymać dostatecznie blisko, to może któraś pozwoli się pocałować.

– Tu – powiedziała Rosie, siadając na parapecie zamurowanego ceglami okna. – Niezła kapela, co?

– Super.

Tego dnia, od rana do wieczora, chodziłem po mieście, szukając pracy, i niemal wszędzie odpowiadano mi śmiechem. Najbrudniejsza knajpa na świecie szukała kogoś ma zmywak; miałem nadzieję, że się załapię, bo nikt przy zdrowych zmysłach nie chciałby tam pracować, ale kierownik, gdy tylko zobaczył mój adres, kazał mi się wynosić i bez ogródek napomknął coś o niedoborach w magazynie. Od wielu miesięcy nie było dnia, żeby Shay nie wspominał o panu maturzyście, który przy całym swoim wykształceniu nie przynosi do domu pensji. Barman właśnie zabrał lwią część mojego ostatniego dziesiątaka. Każda kapela, która grała na tyle głośno i szybko, żeby odpędzić ode mnie wszelkie myśli, miała u mnie dobre notowania.

– Super to za dużo powiedziane. Są niezli, w połowie przez to. –

Rosie wskazała kieliszkiem sufit. Świateł w Galligan's było niedużo, umocowano je głównie na belkach stropowych chyba zwykłym drutem, a przynajmniej tak to wyglądało. Oświetleniem zajmował się gość o imieniu Shane. Jeżeli ktoś podszedł za blisko jego konsoli, trzymając w ręku pełną szklankę, Shane groził, że mu przyłoży.

– Oświetlenie? – Shane'owi udało się uzyskać ruchomy srebrzysty efekt, który dodawał kapeli niepokojącego i podejrzanego splendoru. Przynajmniej jeden z muzyków na pewno poderwie jakąś panienkę po występie.

– No. Shane jest dobry. To dzięki niemu im się udało. Kapela leci na klimacie; pomiń oświetlenie i stroje, pozostanie czterech chłopaków, którzy robią z siebie idiotów.

– Tak jest z każdym zespołem. – Roześmiałem się.

– Prawie. Możliwe. – Rosie spojrzała na mnie kątem oka, jakby nieśmiało, znad brzegu kieliszka. – Powiedzieć ci coś, Francis?

– Mów. – Uwielbiałem słuchać myśli Rosie. Gdybym mógł znaleźć się w jej głowie, chętnie spędziłbym resztę życia, krążąc tam i rozglądając się wokoło.

– Tym chciałabym się zająć.

– Oświetleniem? Dla zespołów muzycznych?

– No. Wiesz, jak kręci mnie muzyka. Zawsze chciałam pracować w tej branży, od małego. – Wiedziałem o tym, jak wszyscy. Rosie była jedynym dzieckiem na Faithful Place, które wszystkie pieniądze otrzymane z okazji bierzmowania wydało na płyty. Lecz po raz pierwszy wspomniała o światłach. – Śpiewam beznadziejnie, artystyczne rzeczy to nie ja, pisanie piosenek, gra na gitarze, nic takiego. Podoba mi się to. – Wskazała brodą przecinającą się snopy światła.

– Dlaczego?

– Dlatego. Dzięki temu gościowi kapela była lepsza. Koniec, kropka. Bez względu na to, czy grają dobrze, czy źle danego wieczoru, czy przyszła na występ zaledwie garstka osób, czy ktoś inny w ogóle dostrzega jego starania: tak czy owak, on zrobi swoje i kapela wypadnie lepiej, niż gdyby tego nie zrobił. A jeżeli jest naprawdę

dobry, kapela wypadnie dużo, dużo lepiej na każdym koncercie. To mi się podoba.

Z radością patrzyłem, jak lśnią jej oczy. Przyglądałem zwichrzone w tańcu włosy.

– Rzeczywiście dobra robota.

– I podoba mi się, że widać różnicę, jeżeli on jest świetny w swoim fachu. Nigdy nie wykonywałam takiej pracy. Kogo to obchodzi, czy umiem świetnie szyć? Nikogo. Ważne jest tylko to, żebym nie schrzaśniała roboty. U Guinnessa będzie dokładnie tak samo. Chcę być w czymś dobra, naprawdę dobra, i żeby to było ważne.

– Postaram się, żeby wpuścili cię za kulisy w Gaiety. Poprzyciskasz sobie guziki – zażartowałem, ale Rosie się nie roześmiała.

– O Boże. Tylko pomyśl. Tutaj mamy gówniany, mikry sprzęt oświetleniowy. Wyobrażasz sobie, co można by zrobić na prawdziwym koncercie z potężnym oświetleniem? Gdyby pracować z dobrą kapelą, która jedzie w trasę, co parę dni robiłoby się inne oświetlenie...

– Nie zgadzam się, żebyś jechała w trasę z bandą gwiazd rocka – powiedziałem. – Nie wiadomo, co jeszcze byś z nimi robiła.

– Też mógłbyś jechać. Pracowałbyś jako roadie.

– Podoba mi się. Tak sobie wyrobię mięśnie, że nawet Rolling Stonesi nie będą się dobierać do mojej dziewczyny. – Naprężyłem bicepsy.

– Miałbyś ochotę?

– Będę mógł testować fanki na trasie?

– Świntuch – odrzekła wesoło Rosie. – Nic z tego. Chyba że ja będę mogła się bzykać z gwiazdami rocka. Ale poważnie: miałbyś chęć? Jako roadie albo ktoś w tym rodzaju?

Naciskała, rzeczywiście chciała wiedzieć.

– Aha, chciałbym. Zdecydowałbym się w mgnieniu oka. Dobra zabawa: podróżujesz, słuchasz dobrej muzyki, nigdy się nie nudzisz... Tyle że nikt mi tego nie zaproponuje.

– Dlaczego nie?

– Och, zastanów się. Ile zespołów w Dublinie stać na zatrudnienie roadie? Myślisz, że oni mieliby kasę? – Kiwnąłem głową w stronę chłopców z Lipstick On Mars, którzy nie wyglądali na takich, co to mają na bilet autobusowy do domu, a tym bardziej na obsługę techniczną. – Zapewniam cię, że ich roadie jest czymś młodszym bratem i pakuje perkusję do furgonetki czyjegoś ojca.

Rosie kiwnęła głową.

– Pewnie tak samo jest z oświetleniowcami: występów jest niewiele i zatrudnia się ludzi z doświadczeniem. Nie ma żadnych kursów, praktyk, nic takiego... Sprawdzalam.

– To było do przewidzenia.

– Założmy, że naprawdę chciałbyś się wkręcić. Choćby nie wiem co. Od czego byś zaczął?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie tutaj. W Londynie, może w Liverpoolu. Tak czy owak, w Anglii. Znalazłbym jakąś kapelę, która niechby tylko dawała mi jedzenie, gdy ja uczyłbym się fachu, potem powoli piąłbym się w górę.

– Też tak to sobie wyobrażam. – Rosie upiła łyk wina i oparła się plecami o ścianę, obserwując zespół. I wtedy powiedziała rzeczowym tonem: – No to jedźmy do Anglii.

Przez chwilę sądziłem, że się przesłyszałem. Wbiłem w nią wzrok. Gdy nie mrugnęła powieką, zapytałem:

– Mówisz poważnie?

– No.

– O Jezu. Naprawdę? Nie żartujesz?

– Jak najpoważniej. Dlaczego by nie?

Czułem się tak, jakby wystrzelił we mnie cały skład fajerwerków. Perkusista wykonał na finał potężny riff, który przetoczył się po moich kościach niczym łańcuch silnych, pięknych wybuchów i zaburzył mi ostrość widzenia. Wydusiłem z siebie tylko tyle:

– Twój ojciec się wścieknie.

– Na pewno. Co z tego? I tak się wścieknie na wiadomość, że

wciąż chodzimy ze sobą. Przynajmniej będziemy daleko i to się nie stanie na naszych oczach. Jeszcze jeden powód, żeby jechać do Anglii: im dalej, tym lepiej.

– Jasne, racja, o Jezu. Ale jak my... Nie mamy pieniędzy. Będziemy potrzebować na bilety, chatę i... O Jezu.

Rosie kiwała nogą i bacznie mi się przyglądała, ale słysząc moje słowa, uśmiechnęła się szeroko.

– Wiem o tym, ciapciaku. Nie zamierzam wyjeżdżać zaraz. Będziemy musieli oszczędzać.

– To nam zajmie wiele miesięcy.

– A masz inne zajęcie?

Może pod wpływem wina zdawało mi się, że przestrzeń wokół mnie się rozszerza, ściany rozkwitają kolorami, jakich jeszcze nigdy nie widziałem, podłoga drży w rytm uderzeń mojego serca. Zespół zakończył występ z rozmachem, wokalista odrzucił mikrofon, a tłum oszalał. Odruchowo biłem brawo. Gdy zrobiło się spokojniej i wszyscy razem z muzykami ruszyli do baru, powiedziałem:

– Ty naprawdę chcesz to zrobić, tak?

– Przecież ci mówię.

Odstawiłem kieliszek i przysunąłem się do niej tak blisko, że znajdowaliśmy się twarzą w twarz i obejmowała mnie z obu stron kolanami.

– Rosie, zastanowiłaś się nad tym? Przemyślałaś wszystko dokładnie?

Znowu upiła łyk wina i kiwnęła głową.

– Oczywiście. Myślałam o tym wiele miesięcy.

– Nic nie wiedziałem. Nie mówiłaś.

– Bo nie miałam pewności. A teraz mam.

– Skąd?

– Po tej sprawie z Guinnessem – odrzekła. – Wtedy się przekonałam. Dopóki tu będę, ojciec nie przestanie załatwiać mi pracy w browarze i prędzej czy później się zgodzę... bo on ma rację, wiesz, Francis, to wspaniała okazja, ludzie gotowi by zabić, żeby tam się



dostać. Gdy wezmę tę pracę, nigdy jej nie rzucę.

– Jeżeli wyjedziemy do Anglii, to już nie wrócimy – zauważyłem. – Nikt nie wraca.

– No właśnie. O to chodzi. Jest inny sposób, żebyśmy byli razem, tak jak należy? Nie wiem jak ty, ale ja nie chcę, żeby mój ojciec sterczał nade mną i pieklił się przez następne dziesięć lat, wykańczając nas nerwowo przy byle okazji, aż wreszcie zrozumie, że jesteśmy szczęśliwi. Chcę, żebyśmy mieli dobry start: robili to, co chcemy, razem, bez naszych rodzin sterujących nami przez całe życie. Tylko we dwoje.

Tymczasem oświetlenie zmieniło się i otoczyła nas niezgłębiona podwodna mgławica, a za moimi plecami zaczęła śpiewać dziewczyna, niskim, gardłowym, mocnym głosem. W krążących powoli smugach zieleni i złota Rosie wyglądała jak syrena, jak miraż powstały z barwy i światła; przez chwilę chciałem chwycić ją i przycisnąć mocno do siebie, zanim zniknie między moimi dłońmi. Jej widok zapierał mi dech w piersiach. Nadal byliśmy w tym wieku, gdy dziewczęta są znacznie starsze od chłopców, a chłopcy dorastają, starając się jak najlepiej robić to, czego dziewczęta od nich chcą. Już jako dzieciak wiedziałem, że chcę od życia czegoś więcej niż to, do czego zdaniem naszych nauczycieli miało się ono sprowadzać: do pracy w fabryce i stania w kolejce po zasiłek; nigdy jednak nie przyszło mi do głowy, że mogę stworzyć to coś własnymi rękami. Od lat byłem przekonany, że moja rodzina jest beznadziejnie popieprzona i że ilekroć zaciskam zęby i wchodzę do domu, jakaś cząstka mojego umysłu obraca się w pył; choć wariactwo się potęgowało, ani razu jednak nie pomyślałem, że mógłbym się stąd wynieść. Dostrzegłem to dopiero wtedy, gdy Rosie chciała, żebym dotrzymał jej kroku.

– Zróbmy tak – powiedziałem.

– Jezus, Francis, wyluzuj! Nie mówiłam, żebyś zaraz podejmował decyzję. Najpierw się zastanów.

– Już się zastanowiłem.

– A twoja rodzina? – zapytała po chwili Rosie. – Zostawisz ich?

Nigdy nie rozmawialiśmy o mojej rodzinie. Rosie na pewno coś wiedziała – jak wszyscy na Faithful Place – ale nie poruszała tego tematu i byłem jej za to wdzięczny. Patrzyła na mnie z uwagą.

Mogłem spędzić ten wieczór poza domem, bo zamieniłem się z Shayem, który postawił twarde warunki, na cały następny weekend. Gdy wychodziłem, matka wściekała się na Jackie, wykrzykiwała, że jest nieznośną dziewczyną i ojciec musiał iść do pubu, bo nie mógł z nią wytrzymać.

– Ty jesteś teraz moją rodziną – odrzekłem.

Uśmiech rozbłysnął gdzieś daleko, głęboko w oczach Rosie.

– Wszędzie będę twoją rodziną. Tu też, jeżeli nie będziesz mógł wyjechać.

– Nie. Święta racja: musimy się stąd wynieść.

Piękny, szeroki uśmiech powoli wypłynął na jej twarz.

– Masz jakieś plany na resztę mojego życia? – zapytała.

Przesunąłem ręce w górę po udach siedzącej na parapecie Rosie, objąłem ją za miękkie biodra i przyciągnąłem do siebie. Oplotła mnie nogami w talii i pocałowała. Jej pocałunek miał słodki smak po winie i słony po tańcu; czułem na ustach, że Rosie wciąż się uśmiecha. Gdy muzyka przybrała na sile, pocałunek stał się gorętszy i uśmiech zszedł z warg.

„Tylko Rosie nie stała się taka jak jej matka” – usłyszałem w ciemności głos Imeldy, tuż przy swoim uchu, chropowaty od milionów papierosów i z bezgranicznego smutku. „Jedyna, która się wyrwała”. Imelda i ja byliśmy kłamcami z krwi i kości, ale ona nie kłamała, mówiąc, że kochała Rosie, a ja nie kłamałem, mówiąc, że była jej najbliższą przyjaciółką. Imelda, niech Bóg nad nią czuwa, rozumiała tamtą sytuację.

Dziecko japiszonów zasnęło w błogim blasku lampki nocnej. Jego matka powolutku wstała i wyszła z pokoju. Kolejno gasły światła na Faithful Place: mikołaje Sallie Hearne, telewizor Dwyerów, logo Budweisera zawieszono krzywo w chałupie kudłatych studentów. W domu pod dziewiątym było ciemno, Mandy i Ger położyli się wcze-

śnie, bo następnego dnia Ger musiał pewnie wstać o świcie, żeby podać biznesmenom smażeninę z bananem. Marzły mi nogi. Niewyraźny, przybrudzony chmurą księżyc wisiał nisko nad dachami.

Punkt o jedenastej Matt Daly wetknął głowę do kuchni, rozejrzał się uważnie, sprawdził, czy lodówka jest zamknięta, i zgasił światło. Minutę później zapaliła się lampa w pokoju od tyłu na piętrze i pokazała się tam Nora, jedną ręką ściągając gumkę z włosów, drugą zasłaniając usta przy ziewaniu. Potrząsnęła lokami i wyciągnęła rękę, żeby zasłonić okno.

Zanim włożyła koszulę nocną – wtedy mogłaby się przestraszyć i zawołać ojca, żeby przegonił intruza – rzuciłem kamykiem w jej okno. Usłyszałem wyraźny stuk, ale nie wywołał żadnej reakcji; pewnie pomyślała, że to ptak, wiatr albo ktoś z domowników. Rzuciłem następny kamyk, trochę silniej.

Zgasła lampa w pokoju. Drgnęła zasłona, przesunięta ostrożnie o cal. Zapaliłem latarkę, skierowałem prosto na swoją twarz i poma-chałem ręką. Dałem Norze chwilę, żeby mnie rozpoznała, po czym przyłożyłem palec do ust i kiwnąłem na nią.

Zaraz znów zapaliła się lampa. Nora odsunęła zasłonę i machnęła ręką, co mogło oznaczać wszystko: zarówno „idź sobie”, jak i „poczekaj”. Jeszcze raz kiwnąłem na nią, bardziej zdecydowanie, i uśmiechnąłem się uspokajająco, mając nadzieję, że w świetle latarki nie przypominam szczerzącego się lubieżnie Jacka Nicholsona. Odgarnęła włosy, zastanawiając się, co tu zrobić, i po chwili – pomyślowa jak jej siostra – chuchnęła na szybę i napisała: CZEKAJ. Nawet odwróciła litery wspak, zuch dziewczyna, żebym łatwiej odczytał. Uniosłem kciuk, zgasilem latarkę i zacząłem czekać.

Trudno powiedzieć, jakie są rutynowe czynności Dalych przed pójściem spać, ale dopiero przed północą otworzyły się drzwi i Nora wybiegła na palcach do ogrodu. Na spódnicę i sweter narzuciła długi wełniany płaszcz. Zadyszana, z ręką przyciśniętą do piersi, wysapała:

– Boże, te drzwi... Musiałam się na nich zawiesić, żeby je otworzyć, a potem trzasnęły za mną tak głośno, jakby zderzyły się samo-

chody, słyście? O mało nie zemdląłem...

Uśmiechnąłem się i zrobiłem jej miejsce na ławce.

– Nic nie było słychać. Jesteś urodzonym włamywaczem. Siadaj.

Nadal stała, łapiąc oddech i przyglądając mi się bystrym, czujnym wzrokiem.

– Wysłałem tylko na minutę... żeby zobaczyć... sama nie wiem... jak się czujesz, czy wszystko w porządku.

– Od razu mi lepiej, gdy cię widzę. Zdawało mi się, że na górze niemal dostałaś zawału.

Odpowiedziała trochę wymuszonym, słabym uśmiechem.

– Rzeczywiście mało brakowało. Byłam pewna, że ojciec zaraz zejdzie na dół... Czuję się tak, jakbym miała szesnaście lat i wymykała się z pokoju po rynnice.

W granatowych ciemnościach zimowego ogrodu, patrząc na jej twarz świeżo umytą przed snem i rozpuszczone włosy, miałem wrażenie, że wygląda na niewiele starszą.

– Na tym zesłała ci szalona młodość, ty mała buntowniczkę?

– Ja buntowniczką? O Boże, gdzieżby! Nie przy takim ojcu. Byłam grzeczną dziewczynką. Ominęły mnie wszystkie tego rodzaju atrakcje. Słyszałam o nich tylko od koleżanek.

– Wobec tego masz wszelkie prawo skorzystać z okazji i nadrobić zaległości. Zaczynaj od tego. – Teatralnym gestem podsunąłem jej paczkę papierosów. – Może fajkę?

Spojrzała na nie z powątpiewaniem.

– Nie palę.

– W takim razie nie ma powodu, żebyś zaczęła. Ten wieczór się nie liczy. Dziś masz szesnaście lat i jesteś dzielną małą buntowniczką. Żałuję tylko, że nie wziąłem ze sobą butelki taniego cydru.

Po chwili zauważyłem, że kąciki jej ust znów lekko się unoszą.

– Czemu nie – powiedziała, siadając przy mnie na ławce i biorąc papierosa.

– Brawo.

Pochyliłem się i podałem jej ogień, z uśmiechem patrząc w oczy.

Pociągnęła za mocno i się zakrztusiła, więc zacząłem ją wachlować, a wtedy oboje już dusiliśmy się ze śmiechu, wskazując na dom, uciśzając się nawzajem i chichocząc jeszcze bardziej. Gdy znów mogła oddychać, otarła oczy i powiedziała:

– Panie Jezu, nie nadaję się do tego.

– Pociągaj papierosa lekko – doradziłem – i staraj się nie wdychać dymu. Przecież masz szesnaście lat, więc nie zależy ci na nikotynie, tylko na tym, żeby zrobić wrażenie. Bierz przykład z mistrza. – Wyciągnąłem się na ławce, naśladowując Jamesa Deana, wetknąłem papierosa w kącik ust, zapaliłem i wysunąłem szczękę, wypuszczając długą smugę dymu. – O, widzisz?

Parsknęła śmiechem.

– Wyglądasz jak gangster.

– Właśnie tak ma być. Jeżeli chcesz uchodzić za wytworną gwiazdkę, też możemy poćwiczyć. Usiądź prosto. – Usiadła. – Skrzyżuj nogi. A teraz opuść brodę, spójrz na mnie kątem oka, ściągnij usta i... – Pociągnęła papierosa, efektownie obróciła dłoń w nadgarstku i wypuściła dym w stronę nieba. – Pięknie – powiedziałem. – Zostałaś oficjalnie uznana za najbardziej odlotową dziewczynę w bloku. Moje gratulacje.

Nora zaśmiała się i zrobiła to samo jeszcze raz.

– Naprawdę?

– No. Idzie ci jak z płotka. Zawsze podejrzewałem, że drzemie w tobie niegrzeczna dziewczynka.

Po chwili zapytała:

– Spotykałeś się tutaj z Rosie?

– Nie. Za bardzo się bałem waszego ojca.

Kiwnęła głową, patrząc na żarzący się koniuszek papierosa.

– Myślałam o tobie dziś wieczorem.

– Tak? Dlaczego?

– Rosie. I Kevin. Po to tu przyszedłeś, prawda?

– Aha – przytaknąłem z rozumą. – W pewnej mierze. Sądziłem, że jeśli ktoś wie, jak wyglądały te ostatnie dni...

– Tęsknię za nią, Francis. Ogromnie.

– Wiem, dziecino. Ja też.

– Nie spodziewałabym się... Przedtem tęskniłam za nią z rzadka: gdy urodziłam dziecko i nie mogłam go jej pokazać albo gdy zezłościłi mnie rodzice i chciałam zadzwonić do Rosie, żeby na nich ponarzekać. Poza tym prawie o niej nie myślałam, już nie. Miałam inne sprawy na głowie. Lecz gdy się dowiedzieliśmy, że ona nie żyje, od tego czasu nie przestaję płakać.

– Nie jestem płaczliwy, ale wiem, co chcesz powiedzieć.

Nora strząsnęła popiół, celując na żwirek, gdzie tatuś nie zauważył go następnego ranka. Zbolałym, chropowatym głosem mówiła dalej:

– Mój mąż się dziwi. Nie rozumie, dlaczego tak się przejmuję. Ostatni raz widziałam ją dwadzieścia lat temu, a jestem rozwalona... Kazał mi wziąć się w garść, bo wystraszę malucha. Matka bierze valium, ojciec uważa, że powinnam się nią zająć, bo straciła dziecko... Dużo myślałam o tobie. Jesteś jedyną osobą, która być może nie uzna mnie za kretynkę.

– W ciągu ostatnich dwudziestu dwóch lat widziałem Kevina przez parę godzin, a mimo to ciężko mi jak diabli. Moim zdaniem wcale nie zachowujesz się jak kretynka.

– Mam wrażenie, że nie jestem tą samą osobą co dawniej. Rozumiesz, co chcę powiedzieć? Gdy ludzie pytali mnie, czy mam braci lub siostry, przez całe życie odpowiadałam: „Tak, mam starszą siostrę”. Teraz będę mówić: „Nie, nie mam rodzeństwa”. Jakbym była jedynaczką.

– Mimo to możesz przecież mówić o niej innym ludziom.

Nora pokręciła głową tak gwałtownie, że włosy smagnęły jej twarz.

– Nie będę o tym kłamać. Właśnie to jest najgorsze: przez cały czas kłamałam, nie zdając sobie z tego sprawy. Ilekroć mówiłam, że mam siostrę, to była nieprawda. Przez cały ten czas już byłam jedynaczką.

Przypomniała mi się Rosie wtedy w O'Neill's, gdy zaparła się, że

nie będziemy udawali małżeństwa: „W żadnym wypadku... Ani mi się śni oszukiwać w tej sprawie... Nie chodzi o to, co myślą sobie ludzie...”.

– Nie o kłamanie mi chodziło – powiedziałem łagodnym tonem – tylko o to, że ona nie musi zniknąć. Możesz mówić: „Miałam starszą siostrę. Nazywała się Rosie. Umarła”.

Nagle Norą wstrząsnął silny dreszcz.

– Zimno ci? – zapytałem.

Pokręciła głową i zgasła papierosa na kamieniu.

– Nie, jest w porządku. Dzięki.

– Daj mi to. – Wziąłem od niej niedopałek i schowałem do kieszeni. – Dobra buntowniczka nie zostawia śladów swoich wyczynów z czasu wczesnej młodości, które potem mógłby znaleźć jej ojciec.

– To nieistotne. Nie wiem, czym się tak przejmuję. Przecież on nie może zamknąć mnie w domu. Jestem dorosła i jeżeli chcę opuścić dom, to nikt mi nie przeszkodzi.

Nie patrzyła już na mnie. Zaczynałem tracić z nią kontakt. Jeszcze chwila, a przypomni sobie, że jest szanowaną trzydziestoparolatką, ma męża i dziecko, i pewną dozę zdrowego rozsądku, i że to wszystko nie idzie w parze z paleniem papierosów w towarzystwie obcego mężczyzny w ogrodzie o północy.

– Tak działa rodzicielskie voodoo – zauważyłem z krzywym uśmiechem. – Pobędziesz z nimi dwie minuty i znowu jesteś dzieckiem. Przy swojej matce wciąż trzęsę się ze strachu, zresztą ona walnęłaby mnie drewnianą łyżką, nie patrząc, ile mam lat. Nawet by się nie zastanawiała.

Po chwili Nora zaśmiała się, krótko i wymuszenie.

– Nie dziwiłabym się, gdyby ojciec chciał zamknąć mnie w domu.

– Wtedy krzykniesz, że nie jesteś dzieckiem i nie może traktować cię jak dawniej, gdy miałaś szesnaście lat. Rodzicielskie voodoo, mówiłem.

Teraz roześmiała się swobodnie i oparła plecami o ławkę.

– Z czasem tak samo będziemy postępować wobec własnych dzieci.

Nie chciałem, żeby skupiła się na swoim dziecku.

– Skoro mówimy o twoim ojcu, chciałem przeprosić za zachowanie mojego ojca tamtego wieczoru.

Nora wzruszyła ramionami.

– Obaj mieli swój udział.

– Widziałaś, od czego się zaczęło? Rozmawiałem z Jackie i straciłem najciekawsze. Wszystko było świetnie i zanim się obejrzałem, już stawali do walki jak z *Rocky'ego*.

Nora owinęła się szczelniej płaszczem i zacisnęła kołnierz wokół szyi.

– Też nie zauważyłam.

– Ale domyślasz się, o co poszło, tak?

– Sam wiesz, jak to jest z mężczyznami po paru drinkach. Poza tym obaj mieli ciężkie dni... Byle co mogło ich ruszyć.

Z urazą w głosie powiedziałem:

– Nora, pół godziny zajęło mi uspokajanie ojca. Jeśli będzie tak dalej, w końcu dostanie ataku serca. Nie wiem, skąd tyle złej krwi między nimi. Czy to przeze mnie, bo ku niezadowoleniu twojego ojca spotykałem się z Rosie? Jeżeli tak, przynajmniej chciałbym to wiedzieć i coś zrobić, zanim ojciec się wykończy.

– O Boże, Francis, nie mów tak! Na pewno nie ty do tego doprowadziłeś! – Otworzyła szeroko oczy, ściskając mnie za ramię: udało mi się w odpowiednich proporcjach wyrazić i wzbudzić poczucie winy. – Jak Boga kocham, nie masz z tym nic wspólnego. Nigdy się między nimi nie układało. Gdy jeszcze byłam mała, dużo wcześniej, nim zacząłeś chodzić z Rosie, mój ojciec nigdy... – Urwała i puściła moje ramię, jakby ją coś oparzyło.

– Twój ojciec nigdy nie powiedział dobrego słowa o Jimmym Mackeyu, tak?

– To nie była twoja wina tamtego wieczoru. Tylko tyle chciałam powiedzieć.



– No to czyja, do cholery?! Kompletnie się pogubiłem, Nora. Błądzą we mgle. Za chwilę w niej utonę, jeśli nikt nie ruszy palcem, by mnie wyciągnąć. Rosie nie ma. Kevina nie ma. Połowa Faithful Place uważa mnie za mordercę. Mam wrażenie, że tracę zmysły. Przyszedłem do ciebie, bo sądziłem, że jesteś tą jedną osobą, która będzie miała jakieś takie pojęcie, co przeżywam. Błagam cię, Nora, powiedz, co tu się, do diabła, dzieje.

Umiem być wielozadaniowy; z jednej strony chciałem ją przycisnąć, a z drugiej szczerze wierzyłem w niemal każde wypowiedziane słowo. Nora przyglądała mi się; w niemal zupełnych ciemnościach jej wielkie oczy patrzyły na mnie z troską.

– Nie widziałam, co ich tak wkurzyło, ale na moje wyczucie zaczęło się od tego, że twój ojciec rozmawiał z moją matką.

Otóż to. W ułamku sekundy wszystko się zaszębiło i zaczęło kręcić, dziesiątki drobnych wydarzeń z mojego dzieciństwa napłynęły, zawirowały i wskoczyły na swoje miejsce. Do tej pory przychodziły mi do głowy setki możliwych powodów, jeden bardziej zawiły i nieprawdopodobny od drugiego – Matt Daly dowiedział się o jakiejś nie do końca legalnej działalności ojca i go zakapował; mieli ze sobą jakiś rodowy zatarg dotyczący tego, kto komu ukradł ostatni kartofel w czasach wielkiego głodu – nigdy jednak nie pomyślałem o tej jednej przyczynie praktycznie każdej bójkę między dwoma mężczyznami, zwłaszcza zawziętymi: o kobiecie.

– Coś między nimi było – powiedziałem.

Widziałem, że zamrugnęła powiekami, szybko i z zażenowaniem. Dokoła zalegała ciemność, mimo to mogłem się założyć, że rumieniec wystąpił jej na twarz.

– Chyba tak. Nikt mi nic nie mówił wprost, niemniej... Jestem prawie pewna.

– Kiedy?

– Och, wieki temu, jeszcze przed ślubem każdego z nich... To nie był romans, nic w tym rodzaju. Dziecinada.

Co, jak sam wiedziałem lepiej od innych, nie umniejszało zna-

czenia faktu.

– A potem?

Czekałem, żeby Nora opowiedziała o jakichś niewyobrażalnych aktach przemocy, włącznie z próbą uduszenia, ale potrząsnęła przecząco głową.

– Nie wiem, Francis. Mówiłam ci, nikt ze mną o tym nie rozmawiał. Domyśliłam się sama, z różnych drobiazgów.

Pochyliłem się i zgașiłem papierosa na kamyku, a niedopałek schowałem do kieszeni.

– Tego się nie spodziewałem. Możesz uważać mnie za głupka.

– Dlaczego...? Nie przypuszczałabym, że cię to obchodzi.

– Pytasz, dlaczego obchodzi mnie to, co tu się działo, skoro nie chciało mi się tu zajrzeć przez dwadzieścia kilka lat?

Wciąż mi się przyglądała, zmartwiona i zdziwiona. Wyszedł księżyc; w zimnym półmroku ogród sprawiał wrażenie nieskalanego i nierzeczywistego, jakby znajdował się w jakimś symetrycznym podmiejskim niebycie.

– Nora, powiedz mi, czy ty uważasz, że jestem mordercą?

Zdrętwiałem ze strachu, gdy uprzytomniłem sobie, jak bardzo zależy mi na tym, żeby zaprzeczyła. Wtedy dotarło do mnie, że powinienem wstać i odejść – powiedziała mi już wszystko, co wiedziała, i przedłużanie tej rozmowy było złym pomysłem.

– Nie, nigdy tak nie uważałam – odparła rzeczowo i po prostu.

Coś mnie ścisnęło w środku.

– Zdaje się, że tak sądzi wiele osób.

Pokręciła głową.

– Dawno temu, gdy byłam może pięcio-, sześćioletnią dziewczynką, bawiłam się na ulicy z kotkiem... kocica Sallie Hearne miała małe. Gromada dużych chłopaków przechodziła ulicą i zabrała mi kotka, żeby mi dokuczyć. Rzucali go jeden do drugiego, a ja krzyczałam... Wtedy ty przyszedłeś, kazałeś im przestać, a potem zabrałeś im kotka i powiedziałeś mi, żebym go odniosła do Hearne'ów. Pewnie tego nie pamiętasz.

– Pamiętam. – Niema prośba w jej oczach: zależało jej, żeby łączyło nas to wspomnienie. Ze wszystkiego, na czym jej teraz zależało, akurat to mogłem jej dać. – Oczywiście, że pamiętam.

– Człowiek, który tak postąpił, nikogo nie skrzywdzi, a już na pewno nie umyślnie. Może jestem głupia.

Znowu ścisnęło mnie w środku, jeszcze boleśniej.

– Gdzie tam głupia – odparłem. – Jesteś po prostu urocza. Przeurocza.

W świetle księżycy wyglądała jak dziewczynka, jak duch, przypominała zapierającą dech w piersiach czarno-białą Rosie, która na tę ulotną chwilę wymknęła się ze starego filmu albo ze snu. Wiedziałem, że jeśli jej dotknę, rozplynie się albo natychmiast przemieni w Norę i zniknie na zawsze. Serce wyrывało mi się z piersi, gdy patrzyłem na jej uśmiechnięte usta.

Musnąłem jej włosy, leciutko, czubkami palców. Poczulem przyśpieszony, ciepły oddech na wewnętrznej stronie nadgarstka.

– Gdzieś ty była? – powiedziałem cicho, tuż przy jej ustach. – Gdzieś ty była przez cały ten czas?

Przytuliliśmy się do siebie jak oszalałe, zabłąkane dzieciaki, pełne ognia i desperacji. Moje dłonie знаły na pamięć dotyk miękkich gorących bioder, wspomnienie ich kształtu przyplłynęło do mnie z głębi umysłu, gdzie, jak sądziłem, przypadło na zawsze. Nie wiem, kogo szukała ona; pocałowała mnie tak mocno, że poczułem smak krwi. Pachniała wanilią. Rosie pachniała landrynkami cytrynowymi, słońcem i lekko rozpuszczalnikiem, którego używano w fabryce do wywabiania plam z tkanin. Wsunąłem palce w bujne loki Nory; jej biust uniósł się, dotykając mojej klatki piersiowej, i przez chwilę wydawało mi się, że Nora płacze.

Odsunęła się pierwsza. Miała pąsowe rumieńce i ciężko oddychała. Obciągnęła sweter.

– Muszę już iść – powiedziała.

– Zostań. – Znowu ją przytuliłem.

Przysięgam, że przez chwilę się zastanawiała. Ale w końcu po-

kręciła głową i odsunęła moje ręce od swojej talii.

– Cieszę się, że przyszedłeś dzisiaj.

„Rosie by została”, chciałem powiedzieć i powiedziałbym to, gdybym sądził, że coś dobrego może z tego dla mnie wyniknąć. Oparłem się jednak plecami o ławkę, odetchnąłem głęboko i poczułem, że serce zaczyna mi bić wolniej. Wziąłem Norę za rękę i pocałowałem wewnątrz jej dłoni.

– Ja też – powiedziałem. – Dziękuję, że wyszłaś do mnie. A teraz wracaj do domu, bo doprowadzisz mnie do szaleństwa. Śpij dobrze.

Miała potargane włosy, delikatne, nabrzmiałe usta po pocałunku.

– Wracaj szczęśliwie do domu, Francis. – Wstała i poszła przez ogród, owijając się płaszczem.

Wślizgnęła się do domu i zamknęła za sobą drzwi, ani razu się nie obejrzawszy. Siedziałem na ławce i obserwowałem jej postać poruszającą się w świetle lampy za zasłonami w oknie sypialni. W końcu przestały mi się trząść kolana, mogłem wspiąć się na mury między ogrodami i pójść do domu.

Jackie zostawiła mi wiadomość na sekretarce i poprosiła, żebym oddzwonił. „Nic ważnego. Po prostu... och, sam wiesz. Cześć”. Sprawiała wrażenie wyczerpanej i postarzałej, jak jeszcze nigdy dotąd. Sam byłem tak rozbity, że jakąś częścią siebie w istocie bałem się odłożyć tę rozmowę do rana, zważywszy na to, co się stało, gdy zbagatelizowałem wiadomości od Kevina, ale dzwonek telefonu o takiej nieludzkiej porze przed świtem zapewne przyprawiłby Jackie i Gavina o jednoczesny atak serca. Postanowiłem iść spać. Gdy zdejmowałem sweter, wciąż dało się wyczuć na nim zapach włosów Nory.

W środę rano obudziłem się późno, koło dziesiątej, jeszcze bardziej zmęczony, niż gdy kładłem się do łóżka. Minęło już kilka lat od czasu, kiedy ostatni raz byłem kompletnie obolały psychicznie i fizycznie. Zdążyłem zapomnieć, jak to człowieka wykańcza. Za pomocą zimnej wody i czarnej kawy udało mi się częściowo zmniejszyć przymulenie umysłu i zadzwoniłem do Jackie.

– O, cześć, Francis.

W jej głosie nadal pobrzmiwał ten matowy ton, może jeszcze wyraźniej. Nawet gdybym miał czas albo energię, żeby przycisnąć ją w kwestii Holly, serce nie pozwoliłoby mi tego zrobić.

– Cześć, złotko. Właśnie odsłuchałem twoją wiadomość.

– Ach... tak. Potem pomyślałam, że chyba nie powinnam była... No wiesz, nie chciałam cię przestraszyć... żebyś pomyślał, że znowu coś się stało. Chciałam tylko... sama nie wiem... dowiedzieć się, co u ciebie.

– Wiem, że w poniedziałek wyszedłem wcześniej. Powinienem był zostać.

– Być może. Ale to już za nami. W każdym razie nie było żadnych więcej scen. Wszyscy jeszcze popili, trochę pośpiewali i rozeszli się do domów.

W tle słychać było nieustający hałas: jakieś pogaduszki, piosenkę Girls Aloud, szum suszarki.

– Jesteś w pracy? – zapytałem.

– Pewnie. Dlaczego nie? Gav nie mógł zwolnić się na jeszcze jeden dzień, a mnie nie chciało się siedzieć samej w domu... Poza tym jeżeli ty i Shay słusznie oceniacie sytuację w kraju, to powinnam dbać o stałe klientki, co nie? – To miał być żart, ale Jackie brakowało werwy i nie wypalił.

– Nie bierz na siebie za dużo, kochanie. Jeżeli jesteś rozbita, idź do domu. Moim zdaniem twoje stałe klientki nie opuszczą cię za żadne skarby świata.

– Nie wiadomo. Czuję się świetnie. Wszyscy są tacy mili, przynoszą mi herbatę i pozwalają wyjść na papierosa, gdy mam ochotę. Tu będzie mi lepiej niż w domu. A ty gdzie jesteś? Nie poszedłeś do pracy?

– Wziąłem parę dni wolnego.

– Bardzo dobrze. Za dużo pracujesz. Zrób sobie przyjemność. Zabierz gdzieś Holly.

– Przyszło mi na myśl, skoro mam teraz trochę czasu, żeby pogawędzić z mamą. W cztery oczy, bez ojca. Kiedy według ciebie byłaby najlepsza pora? Może on wychodzi do sklepu albo do pubu?

– Tak, prawie codziennie. Ale... – Czuję przez telefon, że z trudem stara się skupić. – Wczoraj strasznie bolał go krzyż. Zdaje się, że dzisiaj też. Ciężko mu było wstać z łóżka. Gdy ma takie dolegliwości, większość czasu przesypia. – Co należy rozumieć tak: lekarz dał mu silne tabletki, które ojciec popił wódką ze schowka w podłodze i odpłynął na jakiś czas. – Mamusia będzie cały dzień w domu, na pewno do powrotu Shaya, na wypadek gdyby tato czegoś potrzebował. Zadzwoń do niej. Ucieszy się, że przyjdiesz.

– Zadzwonię. Powiedz Gavinowi, żeby dbał o ciebie, dobrze?

– Był wspaniały, zawsze jest, nie wiem, co bym zrobiła bez niego... Posłuchaj, a może byś wpadł do nas wieczorem i zjedlibyśmy coś razem? Co ty na to?

Rybę z frytkami, podlaną litością: pycha.

– Już się umówiłem, ale dzięki, skarbie. Może innym razem. Wracaj do pracy, zanim zzielenieją komuś pasemka.

Zaśmiała się uprzejmie, ale zabrzmiało to płasko.

– Chyba rzeczywiście powinnam. Dbaj o siebie, Francis. Pozdrów ode mnie mamę. – I już jej nie było. Przepadła w szumie suszarki, gwarze rozmów i brzęku kubków ze słodzoną herbatą.

• • •

Jackie dobrze orientowała się w sytuacji domowej : gdy przycisnąłem dzwonek, drzwi otworzyła mi mama. Też wyglądała na zmęczoną, od soboty straciła na wadze: zniknął przynajmniej jeden wałek na brzuchu. Przyglądała mi się dobrą chwilę, zastanawiając się, jaką obrać taktykę, i w końcu warknęła:

– Ojciec śpi. Chodź do kuchni i nie hałasuj. – Odwróciła się i ciężkim krokiem zaczęła wchodzić z powrotem na schody. Zauważyłem, że powinna ułożyć sobie włosy.

W mieszkaniu śmierdziało alkoholem, który komuś się rozlał, odświeżaczem powietrza i pastą do czyszczenia srebra. W świetle dziennym ołtarzyk Kevina robił jeszcze bardziej przygnębiające wrażenie; kwiaty podwiędły, zawiadomienia o mszy się poprzewracały, a elektryczne świece przygasły i zaczęły migotać. Ciche pochrapywanie zadowolonego z siebie człowieka sączyło się przez drzwi sypialni.

Matka rozłożyła na stole kuchennym, wszystkie swoje srebra: sztucce, broszki, ramki do fotografii oraz jakieś zagadkowe, niby to ozdobne badziewie, które bez wątpienia długo krążyło na karuzeli prezentów przechodnich, zanim znalazło się tutaj. Pomyślałem o spuchniętej od płaczu Holly, która z zaciekłością polerowała mebelki z domku dla lalek.

- Pomogę ci – powiedziałem, biorąc do ręki miękką szmatkę.
- Tymi dużymi, niezdarnymi łapami jeszcze coś popsujesz.
- Daj spróbować. Możesz mi mówić, co robię źle.

Spojrzała na mnie podejrzliwie, ale taką atrakcyjną propozycję ciężko jej było odrzucić.

– Przynajmniej będzie z ciebie jakiś pożytek. Napijesz się herbaty.

To nie było pytanie. Przysunąłem sobie krzesło i wziąłem się do sztućców, a mama tymczasem grzebała w szafkach. Rozmowa, na której mi zależało, wypadłaby najlepiej, przybierając formę poufnej pogawędki matki z córką; ponieważ nie miałem warunków, żeby wystąpić w tej roli, wspólne zajęcie domowe miało stworzyć przynajmniej odpowiedni klimat. Gdyby akurat nie zajęła się srebrami, znalazłbym coś innego do wyczyszczenia.

Na początek matka przypuściła atak.

- W poniedziałek szybko się stąd zmyłeś.
- Musiałem. Jak sobie radziłaś przez ten czas?
- A jak myślisz? Gdybyś chciał wiedzieć, tobyś tu był.
- Nie wyobrażam sobie, co przeżyłaś. – Wygłosiłem jedną z okolicznościowych formułek, ale raczej nie odbiegało to od prawdy. – Mogę coś dla ciebie zrobić?

– Serdecznie dziękuję, mamy się doskonale. Sąsiedzi byli wspaniali: przynieśli tyle obiadów, że nie muszę gotować przez najbliższe dwa tygodnie, a Marie Dwyer pozwoliła mi przechować jedzenie w swojej zamrażarce. Tyle czasu radziliśmy sobie bez twojej pomocy, że wytrzymamy jeszcze trochę.

– Wiem, mamusiu. Jeżeli coś przyjdzie ci na myśl, daj mi jednak znać. Dobrze? Cokolwiek.

Mama obróciła się na pięcie i wycelowała we mnie czajnikiem do herbaty.

– Powiem ci, co możesz zrobić. Złap tego swojego przyjaciela, no wiesz, tego jak go tam zwa, ze szczęką, i powiedz mu, żeby odesłał twojego brata do domu. Nie mogę nic załatwić w zakładzie pogrze-



bowym, nie mogę zamówić mszy u ojca Vincenta, nie mogę powiedzieć ludziom, kiedy pogrzebię własnego syna, bo jakiś młody gość o twarzy jak Popeye nie chce mi powiedzieć, kiedy „wyda ciało”. Jego słowa. Tupeciarz. Jakby nasz Kevin był jego własnością.

– Wiem. Obiecuję, że zrobię wszystko, co w mojej mocy. On wcale nie chce jeszcze bardziej utrudnić ci życia. Taką ma pracę i stara się wykonać ją jak najszybciej.

– Jego praca, jego kłopot. Nie mój. Jeżeli każe nam dłużej czekać, trumna będzie musiała być zamknięta. Pomyślałeś o tym?

Mogłem jej powiedzieć, że trumna i tak pewnie będzie zamknięta, ale jak na mój gust ciągnęliśmy ten wątek dostatecznie długo.

– Słyszałem, że poznałaś Holly.

Kobieta mniejszego kalibru zrobiłaby skruszoną minę albo choćby drgnął jej mięsień na twarzy, ale nie moja matka. Natychmiast wysunęła do przodu podbródki.

– Nareszcie! To dziecko miałoby męża i urodziło mi prawnuki, zanim ty ruszyłbyś palcem, żeby je tu przyprowadzić. A może liczyłeś na to, że jak jeszcze trochę poczekaasz, to umrę i w ogóle się nie poznamy?

Kiedyś przyszło mi to na myśl.

– Ona cię bardzo lubi – powiedziałam. – Co o niej sądzisz?

– Skórę zdarł z mamusi. Śliczne dziewczyny, obie. Nie zasługujesz na nie.

– Spotkałaś się z Olivią? – Uchyliłem kapelusza przed Liv, w myślach. Zręcznie pominęła tę kwestię.

– Dwa razy, tylko. Przywiozła do nas Holly i Jackie. Dziewczyna z Liberties nie była dla ciebie dość dobra?

– Znasz mnie, mamó. Zawsze miałem zadęcia.

– Popatrz, dokąd cię to zaprowadziło. Jesteście rozwiedzeni czy żyjecie w separacji?

– Rozwiedzeni. Od paru lat.

– Hmm. – Matka zacisnęła usta. – Nie rozwiodłam się z twoim ojcem.

To nie podlegało dyskusji z wielu względów.

- Istotnie – odrzekłem.
- Teraz nie możesz przystępować do komunii.

Wiedziałem, że nie należy dać się sprowokować, ale nikt nie potrafi człowiekowi dopiec tak jak własna rodzina.

– Mamo, nie chcę przystępować do komunii, a nawet gdybym chciał, rozwód nie stanowiłby problemu. Kościół ma w nosie mój rozwód, bylebym tylko nie bzykał się z nikim innym prócz Olivii. Problem stanowiłyby te urocze panie, które przeleciałem po rozwodzie.

– Nie świntusz – warknęła mama. – Nie jestem taka mądra jak ty i nie znam się na tych wszystkich zawłościach, ale wiem jedno: ojciec Vincent nie udzieli ci komunii. W kościele, gdzie byłeś ochrzczony. – Dźgnęła mnie palcem na dowód swojej wygranej. Jej zdaniem.

Powiedziałem sobie, że bardziej zależy mi na tym, żeby z nią pogawędzić, niż mieć ostatnie słowo, więc odrzekłem potulnie:

- Pewnie masz rację.
- Oczywiście, że mam.
- Przynajmniej nie wychowuję Holly na pogankę. Chodzi do kościoła.

Sądziłem, że wzmianka o Holly z powrotem zmiękczy mamę, ale tym razem zirytowała ją jeszcze bardziej; z moją matką nigdy nie wiadomo.

– Równie dobrze może być poganką. Co mi z tego? Nie byłam na jej Pierwszej Komunii. Swojej pierwszej wnuczki!

– Ona jest twoją trzecią wnuczką, mamó. Carmel ma dwie dziewczynki starsze od niej.

– Pierwszą, która nosi nasze nazwisko. I ostatnią, wszystko na to wskazuje. Nie rozumiem, w co się bawi Shay, kompletnie nie rozumiem. Mógłby zadawać się z tuzinem dziewczyn i w ogóle byśmy o tym nie wiedzieli, ani razu nie przyprowadził żadnej do domu i nam nie przedstawił. Jak mi Bóg miły, zaczynam tracić co do niego nadzieję. Myśleliśmy z ojcem, że to Kevin będzie...

Przygryzła wargę i jeszcze głośniejsze łomotała akcesoriami herbacianymi, stawiając filiżanki na spodkach i wysypując herbatniki na talerz. Po chwili powiedziała:

- A teraz pewnie już nie zobaczymy Holly.
- Popatrz. – Uniosłem widelec. – Czysty?

Zerknęła, mówiąc:

- Nie. Jeszcze między zębami.

Nakryła stół, nalała mi herbaty, podsunęła mleko i cukier.

– Kupiłam prezenty gwiazdkowe dla Holly. Dostanie ode mnie śliczną aksamitną sukieneczkę.

– Do świąt jest jeszcze parę tygodni – oświadczyłem. – Zobaczmy, jak to będzie.

Mama posłała mi kątem oka spojrzenie, którego nie potrafiłem odczytać, ale przestała drażnić temat. Wzięła drugą szmatkę, usiadła naprzeciwko mnie i zaczęła czyścić srebrny przedmiot, który mógł być kiedyś korkiem do butelki.

- Pij herbatę – powiedziała.

Herbata była tak mocna, że waliła między oczy. Na ulicy panował spokój – wszyscy poszli do pracy – dolatywał tylko cichy, miarowy szum deszczu i samochodów z oddali. Mama przekopywała się przez stos srebrnych dupereli o nieokreślonym przeznaczeniu; ja skończyłem z widelcem i zająłem się ramką do fotografii – miała fantazyjny wzorek kwiatowy, którego w życiu nie wyczyściłbym zgodnie ze standardami mojej matki, ale przynajmniej wiedziałem, co trzymam w ręku. Uznawszy, że atmosfera rozluźniła się dostatecznie, zagaiłem:

– Powiedz mi coś. Czy to prawda, że ojciec kręcił z Theresą Daly, zanim ty się pojawiłaś?

Matka poderwała głowę i wbiła we mnie wzrok. Wyraz jej twarzy się nie zmienił, ale wiele pojawiło się w jej oczach.

- Skąd to wiesz? – zapytała stanowczym tonem.
- A więc jednak.
- Twój ojciec jest ciężkim idiotą. Ty też, jeśli tego o nim nie wiedziałeś.

– Taa, wiedziałem. Ale nie sądziłem, że jest ciężkim idiotą i pod tym względem.

– Z nią zawsze był kłopot. Ciągłe zwracała na siebie uwagę, szła ulicą, kręcąc tyłkiem, robiła raban i wyklócała się z koleżankami.

– I ojciec dał się na to nabrać?

– Jak wszyscy! Faceci są głupi; tracą głowę, widząc coś takiego. Twój ojciec, Matt Daly i połowa facetów w Liberties, wszyscy nie mogli oderwać oczu od tyłka Tessie O'Byrne. Była zachwycona: trzymała na pasku trzech, czterech naraz, zrywała z nimi co drugi tydzień, gdy nie poświęcali jej dość uwagi. A oni czołgali się z powrotem, prosząc o jeszcze.

– Nie wiemy, co dla nas dobre – zauważyłem. – Zwłaszcza w młodości. Ojciec był wtedy młodym facetem, prawda?

Prychnęła.

– W tym wieku powinien być mądrzejszy. Ja miałam trzy lata mniej i mogłam go zapewnić, że to się skończy płaczem.

– Już wtedy wpadł ci w oko, co?

– O tak. Boże drogi. Nigdy byś nie pomyślał... – Wolniej pocierała szmatką jakiś bzdet. – Teraz nigdy byś nie pomyślał, ale on był zachwycający w tamtych czasach. Grzywa kręconych włosów, niebieskie oczy i ten jego śmiech. Ależ on się cudownie śmiał.

Oboje spojrzeliśmy odruchowo na drzwi kuchenne, prowadzące do sypialni.

– Jimmy Mackey mógł przebierać w dziewczynach do woli – powiedziała mama, a jego imię wciąż miało w jej ustach smak najpyszniejszego lodu.

Uśmiechnąłem się do niej lekko, mówiąc:

– I nie wybrał ciebie w pierwszej kolejności.

– Przecież byłam dzieckiem, zaledwie piętnastolatką, gdy zaczął się uganiać za Tessie O'Byrne, no i nie zachowywałam się tak jak te dzisiejsze panny, które wyglądają na dwadzieścia lat, choć jeszcze nie skończyły dwunastu. Nie miałam krągłości, nie malowałam się, w głowie mi nie powstało... Staralam się przyciągnąć jego spojrzenie, gdy

widziałam go, idąc rano do pracy, ale on w ogóle nie zwracał na mnie uwagi. Zwariował na punkcie Tessie. A ona lubiła go najbardziej ze wszystkich.

Nigdy nie słyszałem tej historii i mógłbym się założyć, że Jackie też, w przeciwnym razie już by mi ją opowiedziała. Mama nie jest wylewna; gdybym chciał ją wyciągnąć na zwierzenia tydzień wcześniej czy tydzień później, nic by z tego nie wyszło. Po Kevinie podłamała się i rozkleiła. Trzeba było wykorzystać sytuację.

– Więc dlaczego zerwali?

Matka ściągnęła usta.

– Skoro zabrałeś się do tych sreber, rób to porządnie, we wszystkich załomkach. Żebym nie musiała czyścić po tobie od początku.

Ze skruszoną miną przyłożyłem się do pracy.

– Nie mówię, że twój ojciec był świętym niewiniątkiem – po chwili podjęła wątek. – Tessie O'Byrne nigdy nie miała nawet odrobiny wstydu. Jedno było warte drugiego.

Cierpliwie polerowałem ramkę. Mama chwyciła mnie za nadgarstek i podniosła bliżej oczu, żeby sprawdzić, czy srebro ładnie się błyszczy. Powściągliwie kiwnęła głową.

– Już lepiej – mruknęła i puściła moją rękę. – Dawniej było inaczej. Mieliśmy trochę przyzwoitości, nie puszczałyśmy się na lewo i na prawo, bo tak robili w telewizji.

– Ojciec puszczał się z Tessie O'Byrne w telewizji?

Walnęła mnie w ramię.

– Co ty! Przecież ci mówię, słuchasz mnie czy nie? Zawsze byli szaleni, oboje. Nakręcali się nawzajem. Któregoś dnia latem twój ojciec pożyczył samochód od znajomego i zabrał Tessie na popołudnie do Powerscourt, żeby zobaczyć wodospad. Tyle że w drodze powrotnej samochód się zepsuł.

Albo taką wersję podał ojciec. Matka spojrzała na mnie znacząco.

– No i? – powiedziałem.

– No i zostali tam! Na noc! Nie mieliśmy wtedy telefonów ko-

mórkowych; nie mogli zadzwonić po mechanika ani nikogo zawiadomić. Chcieli iść piechotą, ale znajdowali się na jakiejś bocznej drodze w środku hrabstwa Wicklow i robiło się ciemno. Zostali w samochodzie i dopiero następnego ranka przejeżdżający tamtędy farmer pomógł im uruchomić auto. W końcu wrócili do domu, ale wszyscy już myśleli, że tych dwoje postanowiło uciec.

Uniosła pod światło polerowany przedmiot, żeby sprawdzić, czy idealnie się błyszczy, i przedłużyć pełną napięcia ciszę – mama zawsze lubiła odstawiać teatr.

– Twój ojciec ciągle zapewniał mnie, że spał na przednich siedzeniach, a Tessie na tylnych. Bo ja wiem? Nikt na Faithful Place w to nie uwierzył.

– No pewnie.

– W tamtych czasach dziewczęta nie spędzały nocy poza domem z mężczyznami. Tylko lafiryndy tak postępowały. Nie znalazłam ani jednej dziewczyny, która miałaby śmiałość tak się zachować przed ślubem.

– Spodziewałbym się, że po czymś takim zmuszono by ich do małżeństwa. Żeby nie ucierpiała jej reputacja.

Jej twarz przybrała nieprzenikniony wyraz.

– Sądzę, że twój ojciec by się ożenił – odrzekła takim tonem, jakby jednocześnie pociągała nosem – do tego stopnia stracił dla niej głowę, ciężki idiota. Ale nie był dość dobry dla O'Byrne'ów: zawsze mieli o sobie wysokie mniemanie. Ojciec Tessie razem z jej wujkami stłukli go na kwaśne jabłko. Następnego dnia ledwie go poznałam. Zabronili mu zbliżać się do niej, bo już narobił dość złego.

– I posłuchał – wtrąciłem. Bardzo mi się to spodobało; dodawało otuchy. Matt Dały i jego kumple mogliby mnie spruć do nieprzytomności, a i tak zaraz po opuszczeniu szpitala w te pędy pokuściliśmy do Rosie.

Mama, poważna i zadowolona, mówiła dalej:

– Nie miał za bardzo wyboru. Ojciec Tessie nigdy jej nie karał... zobacz, co mu z tego przyszło... ale po tej historii prawie nie wy-

puszczał jej z domu, tyle co do pracy, a i tak sam ją odprowadzał. Wcale mu się nie dziwię, wszyscy gadali. Łobuziaki wołały za nią różności, gdy szła ulicą; starzy czekali, aż znowu wpakuje się w kłopoty; połowie jej koleżanek zabroniono z nią rozmawiać, żeby nie sprowadziła ich na złą drogę; ojciec Hanratty powiedział z ambony, że rozwiąże kobiety szkodzą naszemu krajowi i nie po to mężczyźni umierali w tysiąc dziewięćset szesnastym roku. Bez nazwisk, zauważ, ale wszyscy wiedzieli, kogo ma na myśli. To poskromiło Tessie.

Choć minęło niemal pół wieku, wyczułem tę niepohamowaną krwiożerczość: galopującą histerię, potężne uderzenie adrenaliny, gdy Faithful Place wywąchała krew i weszła w tryb bojowy. W tamtych tygodniach najprawdopodobniej wysiało się nasienie szaleństwa w umyśle Tessie Daly.

– Poskromiło bardzo skutecznie – przytaknąłem.

– Dobrze jej tak! Dostała nauczkę. Chętnie zadawała się z facetami, ale nie podobało jej się, co ludzie o niej mówią. – Mama siedziała wyprostowana jak struna, z tą swoją cnotliwą miną. – Po tym wszystkim zaraz zaczęła się prowadzić z Mattem Dalym. Od lat wodził za nią cielęcym wzrokiem, ale ona w ogóle nie zwracała na niego uwagi. Dopóki nie okazał się pożyteczny. Przyzwoity był z niego człowiek; ojciec Tessie nie miał nic przeciwko temu, że się spotykają. Tylko z tego powodu pozwolono jej wychodzić z domu.

– I dlatego ojciec jest cięty na Matta Daly'ego? Bo tamten ukradł mu dziewczynę?

– Głównie dlatego. Choć od początku się nie lubili. – Postawiła wypolerowany przedmiot obok trzech takich samych i wzięła jakąś tycią ozdobę choinkową ze stosu do wyczyszczenia. – Matt zawsze zazdrościł twojemu ojcu. Ojciec był o niebo przystojniejszy i bardziej lubiany, nie tylko przez dziewczyny, chłopcy też uważali, że świetny z niego gość, na dodatek taki zabawny... Matt był nudnym dupkiem. Bez ikry.

W jej głosie nakładały się i splatały ze sobą zaszłości, triumf, gorzyc i złośliwość.

– Gdy dziewczyna przypadła Mattowi – powiedziałem – ojciec nie przestawał mu wytykać, jak do tego doszło.

– Nie tylko. Chciał się zatrudnić u Guinnessa jako kierowca. Obiecano mu tę robotę na bank, gdy tylko następny kierowca przejdzie na emeryturę. Ale Matt Daly pracował w browarze już kilka lat, a przedtem jego ojciec; znał ludzi. Po tej historii z Tessie Matt poszedł do brygadzysty i powiedział, że lepiej nie zatrudniać kogoś takiego jak Jimmy Mackey. O każde stanowisko ubiegało się dwudziestu chłopaków. Nie potrzebowali w firmie pracownika, który może sprawiać kłopoty.

– I tak ojciec zaczął tynkować i tankować. – Żart był niezamierzony.

– Mój wujek Joe załatwił mu terminowanie. Zaręczyliśmy się niedługo po tym cyrku z Tessie. Twój ojciec musiał mieć fach w ręku, skoro zakładaliśmy rodzinę.

– Szybka byłaś – zauważyłem.

– Dostrzegłam swoją szansę i jej nie przepuściłam. Miałam wtedy siedemnaście lat, dość dużo, by chłopcy mi się przyglądali. Twój ojciec był... – Usta mamy zniknęły, zaczęła mocniej wypychać szmatkę w zagłębienia wzoru. – Wiedziałam, że wciąż szaleje za Tessie – odezwała się po chwili. Wyzywająca nuta w jej głosie sprawiła, że mignął mi obraz dziewczyny z wysuniętą do przodu brodą, która stoi w oknie w kuchni i patrzy na nieokielznanego Jimmy'ego Mackeya, myśląc: „Będzie mój”. – Ale tym się nie przejmowałam. Sądziłam, że uda mi się to zmienić, gdy dostanę go w swoje ręce. Nigdy nie stawiałam wygórowanych wymagań; nie jestem z tych, co to chcą być gwiazdami w Hollywood. Nie miałam zaudęć. Chciałam tylko mieć własny domek, gromadkę dzieci i Jimmy'ego Mackeya.

– Masz i dzieciaki, i tego chłopca.

– Koniec końców go mam. A właściwie resztki, jakie zostawili Tessie i Matt. Wtedy zaczął pić.

– Ale ty i tak go chciałaś. – Staralem się mówić przyjemnym,



neutralnym głosem.

– To był wybór serca. Moja mamusia, niech spoczywa w pokoju, ostrzegła mnie, żebym nie zadawała się z mężczyzną, który zagląda do kieliszka. Ale co ja tam wiedziałam. Mój ojciec, nie pamiętasz go, Francis, był uroczy, nie tykał alkoholu. Nie miałam pojęcia, jak to jest żyć z pijakiem. Wiedziałam, że Jimmy popija, ale przecież wszyscy mężczyźni popijali. Myślałam, że na tym poprzestanie. I tak było na początku, gdy wpadł mi w oko, dopóki Tessie O'Byrne nie pomieszała mu w głowie.

Wierzyłem jej. Wiem, co może zrobić z mężczyzną odpowiednia kobieta w odpowiednim czasie. Nie znaczy to, że Tessie wyszła z tego bez szwanku. Niektórzy ludzie w ogóle nie powinni się spotkać. Skutki uboczne bywają trwale i dalekosiężne.

– Wszyscy mówili, że Jimmy Mackey jest nic niewart. Jego rodzice byli alkoholikami, nie przepracowali w swoim życiu ani jednego dnia. Od małego chodził po ludziach i pytał, czy może zostać na obiedzie, bo w domu nie było nic do jedzenia. W środku nocy biegał po ulicach... Gdy go poznałam, nikt nie miał wątpliwości, że pójdzie w ślady rodziców i wyrośnie na próżniaka. – Przeniosła wzrok ze srebra na okno i padający deszcz. – Wiedziałam, że się mylą. Z Jimmy'ego nie był zły chłopak. On był po prostu nieokiełznany. I wcale nie taki głupi. Mógł do czegoś dojść. Nie musiał pracować u Guinnessa; mógł założyć własny mały interes i nie mieć ciągle nad sobą szefa, bo tego nie znosił. Uwielbiał jeździć samochodem, mógł zostać dostawcą, kupić furgonetkę... gdyby wcześniej nie dopadła go ta kobieta.

Mamy więc motyw, pięknie zapakowany i obwiązany wstążką, i do tego doskonale harmonizujący *modus operandi*, właściwy sprawy. Był czas, gdy Jimmy Mackey chodził pod rękę z pierwszorzędną dziewczyną i miał w kieszeni pierwszorzędną pracę, widział przed sobą jasną przyszłość i mógł pokazać palec wszystkim sukinsynom, którzy twierdzili, że nigdy niczego nie osiągnie. Potem powinęła mu się noga, tylko raz, i wkroczył ten sztywniak Matt Daly, odbierając

mu wszelkie nadzieje. Gdy Jimmy odzyskał trzeźwość myślenia, był już mężem dziewczyny, na której nigdy mu nie zależało, łapał każdą robotę w fachu bez perspektyw i pił tyle, że wykończyłoby to Petera O'Toole'a. Przez ponad dwadzieścia lat patrzył, jak odebrane mu życie toczy się po drugiej stronie ulicy, w domu innego mężczyzny. A później, w ciągu jednego weekendu, Matt Daly upokorzył go przed wszystkimi sąsiadami na Faithful Place i niemal doprowadził do tego, że zgarnęła go policja – w umyśle alkoholika wszystko dzieje się za sprawą kogoś innego – i Jimmy dowiedział się w jakiś sposób, że Rosie Daly owinęła sobie jego syna wokół palca i chce go wywieźć nie wiadomo dokąd.

Może to nie wszystko, może chodziło o coś jeszcze i coś gorszego. Ojciec szczyrzy się do mnie, puszcza oko, prowokuje, bym mu odpyskował: „Ta mała Daly, tak? Panna jak kwiatusek. A te jej balony, słodki Jezu...”. Moja dziewczyna, Rosie, kropka w kropkę jego Tessie O'Byrne.

A jednak musiał słyszeć, jak idę na palcach przez pokój, przekonany o swojej nietykalności. Sto razy widziałem, jak udaje, że śpi. Może chciał tylko powiedzieć jej, żeby zostawiła w spokoju jego rodzinę; może chciał czegoś więcej. I oto stała przed nim, rzucając mu w twarz stwierdzenie, jak mało obchodzi ją to, na czym mu zależy: córka Tessie O'Byrne, równie zniewalająca i też nietykalna, córka Matta Daly'ego, która zabiera Jimmy'emu to, co jej się spodobało. Prawdopodobnie był pijany, przynajmniej do czasu, gdy uprzytomnił sobie, co się stało. Był silnym mężczyzną lata temu.

Nie tylko my dwaj nie spaliśmy tamtej nocy. Kevin też wstał, może musiał iść do wychodka w ogrodzie, i po powrocie zauważył, że nas nie ma. Wtedy nie przywiązywał do tego wagi: ojca często całymi dniami nie było w domu, a Shay i ja czasem mieliśmy różne sprawy do załatwienia nocą. Ale w ten ostatni weekend, gdy uświadomił sobie, że ktoś był na dworze tamtej nocy i zabił Rosie, wróciła mu pamięć.

Miałem wrażenie, że ta historia spoczywała w najgłębszych za-

kamarkach mojego umysłu i że znałem ją ze szczegółami od chwili, gdy usłyszałem głos Jackie na automatycznej sekretarce. Czułem się tak, jakby lodowata czarna woda wypełniała mi płuca.

– Powinien poczekać, aż dorosnę – mówiła mama. – Tessie była całkiem ładną dziewczyną, ja też: gdy ukończyłam szesnasty rok życia, wielu chłopców tak uważało. Wiem, że byłam młoda, ale dorastałam. Gdyby oderwał od niej te wielkie tępe oczy i popatrzył na mnie choć przez minutę, to wszystko by się nie wydarzyło.

Przytłaczający żal w jej głosie mógł wgnieść człowieka w ziemię. Wtedy dotarło do mnie, że według niej Kevin miał dobrze w czubie, wzorem ojca, i dlatego wypadł z okna.

Zanim zebrałem się w sobie, żeby wyprowadzić ją z błędu, przyłożyła rękę do ust, spojrzała na zegarek na parapecie i wykrzyknęła:

– Boże święty, widziałeś ty, już po pierwszej! Muszę coś zjeść, bo zrobi mi się słabo. – Odłożyła na stół ozdobę choinkową i odsunęła do tyłu krzesło. – Ty dostaniesz kanapkę.

– Ojcu też podać? – zapytałem.

Odwróciła się od lodówki i przez chwilę spoglądała na drzwi sypialni.

– Zostaw go – powiedziała, wyjmując następne rzeczy z lodówki.

Kanapki składały się z trójkątów białego testowego chleba z margaryną i plasterkiem sprasowanych skrawków szynki. Natychmiast przeniosły mnie w czasy, gdy siedząc przy tym stole, nie sięgałem nogami podłogi. Matka zaparzyła następny dzbanek wściekle mocnej herbaty i zaczęła jeść swoje trójkąty jeden po drugim. Widząc, jak żuje, nabrałem pewności, że podczas naszego niewidzenia sprawiła sobie nową protezę. W dzieciństwie ciągle słyszeliśmy, że to przez nas wypadły jej zęby: w każdej ciąży traciła jeden ząb. Gdy napłynęły jej do oczu łzy, odstawiła kubek, z kieszeni swetra wyjęła spłowieła niebieską chustkę i czekała, aż przestaną lecieć. Potem wydmuchała nos i znów zaczęła jeść kanapkę.

Czułem, że mogę tak siedzieć z matką w nieskończoność, co godzinę parzylibyśmy świeżą herbatę i co jakiś czas robili kolejną porcję kanapek. Towarzystwo mamy nie było złe, jeśli tylko się nie odzywała, i po raz pierwszy czułem się w jej kuchni bezpiecznie, przynajmniej w porównaniu z tym, co czekało mnie na zewnątrz. Gdy tylko wyjdę za próg tego mieszkania, nie pozostanie mi nic innego, jak szukać twardego dowodu. Nie będzie to trudna sprawa – spodziewałem się, że zajmie mi najwyżej dwadzieścia cztery godziny. Wtedy rozpocznie się koszmar na całego. Gdy znajdę dowód, będę musiał wymyślić, co z nim zrobić.

Koło drugiej z sypialni zaczęły dochodzić hałasy: skrzypienie sprężyn w łóżku, nieartykułowany krzyk w celu oczyszczenia gardła i ten niekończący się kaszel, który wstrząsał całym ciałem. Potraktowałem to jako sygnał do odejścia, a wtedy matka zasypała mnie gradem trudnych pytań na temat obiadu w Boże Narodzenie („Jeżeli przyjdiesz z Holly, mówię tylko »jeżeli«, zje białe mięso czy ciemne, a może w ogóle nie będzie jadła mięsa, bo kiedyś mi powiedziała, że mamusia daje jej indyka tylko z wolnego wybiegu...”). Pochyliłem głowę i nie przestawałem się przemieszczać. Gdy dawałem nura za drzwi, mama zawołała: „Miło było cię widzieć, przyjdź niedługo!”. Za jej plecami rozległ się zaflegmiony głos ojca: „Josie!”.

Co więcej, wiedziałem dokładnie, jak ojciec uzyskał informację, gdzie Rosie zamierzała być tamtej nocy. Mogła jej udzielić jedynie Imelda; żeby ojciec znalazł się w pobliżu niej, istniał moim zdaniem tylko jeden powód. Otóż zawsze zakładałem, że jeśli ojciec znika na dzień albo na trzy dni, to jest w ciągu alkoholowym. Nawet gdy miał

na swoim koncie różne inne wyczyny, nie przyszło mi do głowy, że zdradza mamę – gdyby zaświtała mi taka myśl, uznałbym go za niezdolnego do czegoś takiego na skutek spożycia alkoholu. Moja rodzina jest po prostu nieprzewidywalna.

Imelda być może podzieliła się wiadomością od Rosie bezpośrednio ze swoją matką – babska więź, chęć zwrócenia na siebie uwagi, kto ją tam wie – albo zrobiła jakąś aluzję, gdy był u nich mój ojciec, napomknęła coś od niechcienia, żeby poczuć się sprytniejszą od faceta, który pieprzy się z jej matką. Ale, jak już mówiłem, ojciec nie jest głupi. Dodał dwa do dwóch.

Tym razem, gdy zadzwoniłem do mieszkania Imeldy, nikt nie odpowiedział. Cofnąłem się parę kroków i spojrzałem w okno: coś się poruszyło za firanką. Przyduśliłem dzwonek na dobre trzy minuty i w końcu złapała za słuchawkę domofonu.

- Co jest?!
- Cześć, Imelda. Niespodzianka od Francisa.
- Spierdalaj.
- Ależ, Melda, bądź uprzejma. Musimy porozmawiać.
- Nie mam ci nic do powiedzenia.
- Szkoda. Dysponuję masą wolnego czasu, więc poczekam w samochodzie po przeciwnej stronie ulicy tak długo, jak będzie trzeba. Srebrny merc z dziewięćdziesiątego dziewiątego. Gdy znudzą ci się te gierki, zejdź pogadać, a potem zniknę z twojego życia na zawsze. Jeżeli znudzę się pierwszy, popytam o ciebie sąsiadów. Jasne?

– Chrzań się.

Odwiesiła słuchawkę. Imelda była uparta jak osioł; przypuszczałem, że miną przynajmniej dwie, może trzy godziny, zanim pęknie i do mnie przyjdzie. Wróciłem do auta, puściłem Otisa Reddinga i otworzyłem okno, żeby lokatorzy też mieli przyjemność. Czort wie, czy uznają mnie za glinę, dealera narkotyków czy najemnika lichwiarza, ale żadna z tych możliwości nie przypadnie im do gustu.

O tej porze na Hallows Lane panował spokój. Staruszek wsparty na balkoniku i starsza pani, która polerowała mosiężne okucia na

drzwiach, prowadzili długą rozmowę, wypowiadając się o mnie z dezaprobatą; kilka apetycznych mamus spojrzało na mnie kątem oka, wracając z zakupów. Jakiś koleś w błyszczącym dresie i z masą problemów stał przed domem Imeldy przez bite czterdzieści minut, kołysząc się w przód i w tył i wyęzając resztki szarych komórek, by co dziesięć sekund wykrzykiwać: „Deco!” w stronę okna na górnym piętrze, ale Deco miał lepsze zajęcia i koleś w końcu poszedł sobie, ledwie trzymając pion. Około trzeciej po południu jakaś dziewczyna, pewnie Shania, wgramoliła się na schody domu pod dziesiątym i otworzyła drzwi kluczem. Isabelle wróciła niedługo potem. Była wierną kopią Imeldy z lat osiemdziesiątych, nawet tak samo buńczucznie trzymała brodę i stawiała długie kroki, jakby mówiła wszem wobec: „Walcie się”; nie umiałem powiedzieć, czy jej widok napawa mnie smutkiem, czy nadzieją. Ilekroć poruszała się brudna firanka, machałem ręką.

Parę minut po czwartej, gdy zaczynało się ściemniać, Genevieve wróciła ze szkoły, a ja przerzuciłem się na Jamesa Browna, rozległo się pukanie w okno po stronie pasażera. Ujrzałem Rewelkę.

„Nie pracuję nad tą sprawą; nawet nie wolno mi się do niej zbliżać – powiedziałem Imeldzie. – Już przez to, że tu przyszedłem, mogę stracić pracę”. Nie mogłem się zdecydować, czy mam gardzić nią za donosicielstwo, czy podziwiać jej zaradność. Wyłączyłem muzykę i opuściłem szybę.

- Czym mogę służyć, detektywie?
- Otwórz drzwi, Frank.

Uniosłem brwi, udając zdziwienie zaciętością w jego głosie, ale odblokowałem zamek. Rewelka wsiadł i mocno trzasnął drzwiami.

- A teraz jedź – rozkazał.
- Jeżeli cię ścigają, możesz się ukryć w bagażniku.
- Nie jestem w nastroju do żartów. Zabieram cię stąd, zanim jeszcze bardziej zastraszysz te dziewczyny.
- Jestem zwykłym człowiekiem w samochodzie. Siedzę sobie i z nostalgią spoglądam na swoje stare śmieci. Gdzie tu zastraszanie?

- Ruszaj!
- Pojadę, jeśli zrobisz kilka głębokich oddechów. Nie jestem ubezpieczony z tytułu ataku serca u pasażera. Umowa stoi?
- Nie zmuszaj mnie, żebym cię aresztował.  
Wybuchnąłem śmiechem.
- Och, Rewelka, jesteś niezrównany. Teraz do mnie dotarło, dlaczego tak cię lubię. Możemy aresztować jeden drugiego, co ty na to? – Włączyłem się do ruchu i pojechałem w strumieniu samochodów. – No, powiedz, kogo tak zastraszałem.
- Imeldę Tierney i jej córki. Sam wiesz. Pani Tierney twierdzi, że wczoraj usiłowałaś wedrzeć się do jej mieszkania i musiała zagrozić ci nożem, żebyś się wyniósł.
- Imelda? To ją nazywasz dziewczyną? Jest po czterdziestce, Rewelka. Okaż jej trochę szacunku. W dzisiejszych czasach uprzejmość nakazuje mówić: kobieta.
- Jej córki są dziewczętami. Najmłodsza ma zaledwie jedenaście lat. Mówią, że sterczałeś tam przez całe popołudnie, wykonując nieprzyzwoite gesty w ich stronę.
- Nie miałem przyjemności ich poznać. Czy to sympatyczne dziewczyny, czy wrodziły się w mamusię?
- Co ja ci mówiłem, gdy widzieliśmy się ostatnio? Miałaś stosować się do jednego jedyne go polecenia, pamiętasz?
- Nie wchodzić ci w drogę. To zrozumiałem bez problemów. Natomiast nie załapałem, że zostałeś moim przełożonym. Gdy ostatnim razem widziałem swojego szefa, był dużo grubszy od ciebie i wcale nie taki przystojny.
- Nie muszę być twoim szefem, do cholery, żeby kazać ci trzymać się z daleka od mojej sprawy. To ja prowadzę śledztwo, Frank, i ja wydaję polecenia. Ty je zlekceważyłeś.
- No to złóż na mnie raport. Podać ci numer legitymacji?
- Bardzo zabawne, Frank. Wiem, że przepisy to dla ciebie beczka śmiechu. Wiem, że twoim zdaniem one ciebie nie dotyczą. Może i nie dotyczą, psiakrew. Nie orientuję się, jakie zasady stosujecie w wy-

dziale tajnych operacji. – Oburzenie nie dodawało Rewelce uroku: szcżęka powiększyła mu się dwukrotnie, na czole wyszła grożnie wyglądająca żyła. – Powinieneś jednak pamiętać, że staram ci się pomóc, wyświadczam ci przysługę, na litość boską. Robię, co w mojej mocy, dla twojego dobra. A teraz, szczerze mówiąc, zastanawiam się, po co ja się w ogóle wysilam. Jeżeli będziesz przy byle okazji wpieprzał się w moją robotę, kto wie, czy nie zmienię zdania.

Powstrzymałem się, żeby nie nadepnąć na hamulec i nie walnąć jego łbem o przednią szybę.

– Wyświadczasz mi przysługę?! Rozgłaszając, że Kevin umarł na skutek nieszczęśliwego wypadku?

– Nie tylko rozgłaszając. Tak będzie napisane na świadectwie zgonu.

– O rany, coś podobnego. Słowo daję, nie posiadam się z wdzięczności, Rewelka.

– Tu nie chodzi o ciebie, Frank. Być może w ogóle się nie przejmujesz, czy to był wypadek, czy samobójstwo, ale założę się, że nastawienie twojej rodziny jest inne.

– O nie. Tylko nie to. Nawet nie próbuj wyciąć takiego numeru. Co się tyczy mojej rodziny, koleś, nie wyobrażasz sobie, z kim masz do czynienia. Po pierwsze, może to będzie dla ciebie szokująca wiadomość, ale ty nie rządzisz ich wszechświatem: oni wszyscy uwierzą w to, w co będą chcieli, nie patrząc, co ty i Cooper napisaliście w świadectwie zgonu. Na przykład moja matka chciała cię poinformować za moim pośrednictwem, że doszło do wypadku drogowego. Bynajmniej nie wciskam ci kitu. Po drugie, gdyby większość członków mojej rodziny płonęła żywcem, nie nasikałbym, żeby ugasić ogień. Gównu mnie obchodzi ich zdanie na temat przyczyny śmierci Kevina.

– Czy w dzisiejszych czasach samobójca może być pochowany w poświęconej ziemi? Co mówi ksiądz w homilii wygłoszonej w intencji samobójcy? Co mówi o nim reszta ludzi z sąsiedztwa? Jak czują się z tym ci, których opuścił? Nie oszukuj się, Frank, że te



rzeczy ciebie, psiakrew, nie dotyczą.

Moja wytrzymałość zaczynała się wyczerpywać. Skręciłem w wąski zaułek między dwoma blokami mieszkalnymi – wjechałem tyłem, żeby szybko uciec, gdybym musiał wypchnąć Rewelkę z samochodu – i zgasilem silnik. Jakiś architekt wpadł na genialny pomysł, żeby balkony na piętrze pomalować na niebiesko, ale efekt śródziemnomorski psuło to, że balkony wychodziły na ceglana ścianę i rząd kontenerów na śmieci.

– A zatem Kevin zostanie zaliczony do kategorii „wypadków”. Bardzo ładnie – oświadczyłem. – Pozwól, że zapytam, jak zaszufadkowałeś Rosie?

– Morderstwo. To jasne.

– Jasne. Z czyjej ręki? Osoby lub osób nieznanych?

Rewelka się nie odezwał.

– A może z ręki Kevina?

– Sprawa jest bardziej złożona.

– Jeszcze bardziej, niż już na to wygląda?

– Jeżeli nasz podejrzany również nie żyje, mamy pewien, dość wąski, margines działań wedle własnego uznania. Z jednej strony, ponieważ, jak widać, nie dojdzie do aresztowania, szefostwo nie jest skore ładować środków w dochodzenie. Z drugiej strony...

– Z drugiej strony mamy tę wszechwładną statystykę wykrywalności.

– Możesz ironizować, ale to są ważne rzeczy. Myślisz, że mógłbym wykorzystać aż takie zasoby ludzkie dla twojej dziewczyny, gdyby mój wskaźnik wykrywalności był denny? Zachodzi pewien cykl: im więcej zyskam na tej sprawie, tym znaczniejsze środki będę mógł zaangażować w następną. Przykro mi, Frank, ale nie zamierzam pozbawiać następnej ofiary szans na dochodzenie sprawiedliwości ani narażać na szwank własnej reputacji tylko po to, by oszczędzić twoje uczucia.

– Spróbuj przełożyć to na prosty język, Rewelka. Co zamierzasz zrobić w sprawie Rosie?

– Zamierzam prowadzić ją należycie. Jeszcze przez parę dni będziemy zbierać i porządkować dowody i zeznania świadków. Potem, zakładając, że nie pojawią się niespodzianki... – Wzruszył ramionami. – Miałem już kilka takich dochodzeń. Zazwyczaj dokładamy wszelkich starań, by postępować taktownie i życzliwie. Akta idą do Urzędu Oskarżyciela Publicznego, ale bez rozgłosu; żadne informacje nie są ujawniane, zwłaszcza gdy nie mamy do czynienia z zawodowym przestępcą. Wolimy nie szargać imienia człowieka, który nie może się bronić. Jeżeli urząd potwierdzi słuszność naszego podejścia, informujemy krewnych ofiary, że jeszcze nie wszystko zostało ustalone, ale przynajmniej mogą mieć poczucie emocjonalnego domknięcia, i na tym koniec. Rodzina ofiary zajmie się innymi sprawami, rodzina zabójcy będzie żyła spokojnie, a my uznamy sprawę za zakończoną. Tak to zwykle wygląda.

– Mam nieodparte wrażenie, że próbujesz mi grozić.

– Och, daj spokój, Frank, nie traktuj tego tak dramatycznie.

– Jak ty byś to potraktował?

– Powiedziałbym, że próbuję cię ostrzec. A ty mi tego nie ułatwiasz.

– Ostrzec przed czym konkretnie?

Rewelka westchnął.

– Jeżeli będę musiał przeprowadzić dogłębne dochodzenie w celu ustalenia przyczyny śmierci Kevina, to je przeprowadzę. I założę się, że media zaraz rzucą się na żer. Bez względu na twoje nastawienie do wersji samobójstwa obaj wiemy, że jest paru pismaków, którzy uwielbiają historie o podejrzanych policjantach. Gdy tę historię opowie niewłaściwy człowiek... sam chyba widzisz, że twój udział w niej może wyglądać cholernie podejrzanie.

– Dla mnie brzmi to jak groźba – powiedziałem.

– Próbowałem dać ci do zrozumienia jasno i wyraźnie, że wolałbym nie iść tą drogą. Lecz skoro tylko tak mogę cię powstrzymać przed bawieniem się w małego detektywa... Staram się zwrócić na to twoją uwagę, Frank, ale jak dotąd wszystkie sposoby zawodzą.

– Spróbuj sobie przypomnieć, Rewelka. Co takiego ja starałem się dać do zrozumienia tobie, gdy się widzieliśmy ostatnio?

– Że twój brat nie jest zabójcą.

– Zgadza się. Zwróciłeś na to uwagę?

Rewelka opuścił osłonę przeciwsłoneczną w aucie i zaczął oglądać w lusterku zacięcie przy goleniu, odchylając do tyłu głowę i wodząc kciukiem po szczęce.

– Właściwie to jestem ci winien podziękowanie – oświadczył. – Muszę przyznać, że chyba bym nie znalazł Imeldy Tierney, gdybyś mnie do niej nie doprowadził. A okazała się bardzo przydatna.

Przebiegła suka.

– Nie wątpię. Lubi robić dobrze. Jeśli wiesz, co mam na myśli.

– O nie, ona nie próbuje mnie zadowolić. Jej zeznania będą miały dużą wagę, jeśli dojdzie co do czego.

Na tym poprzestał. Przelotny uśmiezek, którego nie potrafił ukryć, dał mi ogólne rozeznanie w sytuacji, mimo to pociągnąłem temat.

– No dalej. Wal. Z czym wystąpiła?

Rewelka zacisnął usta, udając, że się zastanawia.

– Kto wie, czy nie zostanie powołana na świadka. To zależy. Nie mogę ujawnić zeznań, bo jeszcze zaczniesz ją napastować i nakłaniać do zmiany. Obaj wiemy, jak źle coś takiego by się skończyło, prawda?

Odczekałem dłuższą chwilę, nakłaniając go zimnym wzrokiem do przyjęcia innej postawy, a potem oparłem się o zagłówek i przejechałem rękami po twarzy.

– Wiesz co, Rewelka? To był najdłuższy tydzień w moim życiu.

– Wiem, stary. Słyszę w twoim głosie. Ale, dla dobra wszystkich, powinieneś skierować swoją energię na coś bardziej produktywnego.

– Masz słuszość. W ogóle nie powinienem był szukać Imeldy; to było bardzo nie w porządku. Po prostu pomyślałem sobie... ona blisko się znała z Rosie, wiesz? Pomyślałem, że jeśli ktoś coś wie...

– Należało podać mi jej nazwisko. Porozmawiałbym z nią za ciebie. Wyszłoby na to samo, tyle że bez tego zamieszania.

– Tak, znowu masz słusność. Tylko... tylko trudno odpuścić, gdy tak czy owak nic konkretnego nie wiadomo, rozumiesz? Lubię wiedzieć, jak się mają sprawy.

– Gdy ostatnio rozmawialiśmy – odrzekł oschle Rewelka – można było sądzić, że doskonale wiesz, jak się mają sprawy.

– Tak myślałem. Byłem pewny.

– A teraz...?

– Jestem zmęczony, Rewelka. Przez cały zeszły tydzień musiałem sobie radzić z martwymi eks, martwymi braćmi i moimi rodzicami w dużej dawce. Czuję się jak zbity psiak. Może dlatego straciłem pewność. Nie dostrzegam już żadnych pozytywów.

Z odętej miny Rewelki mogłem wyczytać, że zamierza mnie oświecić, a to wprawi go w lepszy nastrój.

– Prędzej czy później, Frank, coś zaskoczy i wszyscy nabierzemy pewności. Takie jest życie. Sztuka polega na tym, żeby wykorzystać ten moment i wejść na wyższy poziom pewności. Chwytasz?

Teraz grzecznie przelknąłem zaserwowaną mi porcję przerośni.

– Tak, chwytam. Cholernie ciężko mi to wyznać, zwłaszcza tobie, ale żeby wejść na ten wyższy poziom pewności, przydałaby mi się pomocna dłoń. Naprawdę, chłopie. Wybaw mnie z tej udręki: co powiedziała Imelda?

– Nie będziesz jej za to nękał?

– Uważam, że jeśli nigdy więcej nie zobaczę Imeldy Tierney, niczego nie będzie mi brakowało do szczęścia.

– Musisz dać mi na to słowo, Frank. Bez lawirowania.

– Masz moje słowo, że nie zbliżę się do Imeldy. Ani w sprawie Kevina, ani Rosie, ani żadnej innej.

– Choćby nie wiem co.

– Choćby nie wiem co.

– Wierz mi, że nie chcę utrudniać ci życia. I nie będę, jeżeli ty nie będziesz utrudniał życia mnie. Nie wywieraj presji.

– Nie będę.

Rewelka przygładził sobie włosy i podniósł osłonę przeciwślo-

neczną.

– Poniekąd miałeś rację, nachodząc Imeldę – przyznał. – Twoje techniki operacyjne są beznadziejne, przyjacielu, za to instynkt niezawodny.

– Wiedziała coś.

– I to sporo. Mam dla ciebie niespodziankę, chłopie. Wiem, że wydawało ci się, iż twój związek z Rose Daly był wielką tajemnicą, ale z mojego doświadczenia wynika, że gdy kobieta zarzeka się, iż nikomu nic nie powie, oznacza to, że powie tylko dwóm najserdeczniejszym przyjaciółkom, a Imelda Tierney była jedną z nich. Imelda wiedziała o was od początku. Że chodzicie ze sobą, że zamierzacie uciec i w ogóle.

– Boże. – Pokręciłem głową i roześmiałem się półgębkiem, lekko zawstydzony, a Rewelka rósł z zadowolenia. – No tak. Ona... o rany. Że też niczego nie zauważyłem.

– Byłeś młody. Nie znałeś reguł gry.

– Mimo wszystko. Nie do wiary, jak mogłem być taki naiwny.

– Przeoczyłeś coś jeszcze: Imelda twierdzi, że Kevin szalał za Rose w tamtych czasach. Musisz przyznać, że to zgadza się z tym, co sam mi powiedziałeś: że była miejscową ślicznotką i podobała się wszystkim chłopakom.

– Tak, rzeczywiście. Ale Kevin? Miał zaledwie piętnaście lat.

– W tym wieku hormony już buzują. No i w tym wieku już mógł się wkręcić do klubów, gdzie w ogóle nie powinno go być. Któregoś wieczoru Imelda była w Bruxelles; Kevin podszedł do niej i zaproponował jej drinka. Zaczęli rozmawiać i on poprosił ją, dosłownie błagał, żeby wstawiła się za nim u Rose. Imelda wybuchnęła śmiechem, ale Kevin był szczerze dotknięty, więc gdy przestała się śmiać, powiedziała, żeby nie brał tego do siebie: Rose jest już zajęta. Nie zamierzała zdradzić nic więcej, lecz Kevin zadreślał ją pytaniami o tego chłopaka, stawiał jej drinki...

Rewelka starał się zachować poważną twarz, bez wątpienia doskonale się bawił. W głębi duszy nadal był tym samym nastolatkiem

zlanym dezodorantem, który wyrzucał pięść w górę i mamrotał: „Gol!”.

– Koniec końców wypaplała wszystko. Nie robiła sobie z tego powodu wyrzutów: uważała, że Kevin jest uroczym chłopaczkim, a poza tym spodziewała się, że da za wygraną, dowiedziawszy się, że chodzi o jego brata. Słusznie, co? Niesłusznie. Kevin dostał szału: krzyczał, kopał w ścianę, rzucał szklankami... Bramkarze musieli wyrzucić go z lokalu.

Takie zachowanie kompletnie nie pasowało do Kevina – gdy wpadał w złość, w najgorszym razie wybiegał wzburzony z pokoju – poza tym wszystko wspaniale trzymało się kupy. Z minuty na minutę rósł mój podziw dla Imeldy. Miała wprawę w zawieraniu transakcji wymiennych: jeszcze przed wezwaniem Rewelki wiedziała, że jeśli chce, by zabrał tego wstrętnego faceta spod jej domu, musi dać mu w zamian coś, na czym mu zależy. Prawdopodobnie zadzwoniła do kilku starych znajomych i dowiedziała się, co to konkretnie może być. Chłopcy z wydziału zabójstw zapewne nie kryli, robiąc obchód od drzwi do drzwi, że interesują ich wszelkie powiązania między Kevinem a Rosie; mieszkańcy Faithful Place bez trudu dośpiewali sobie resztę. Najwyraźniej miałem szczęście, że Imelda w swej bystrości sama przeprowadziła rozeznanie, zamiast się wściec i zostawić mnie na linii ognia.

– Jezu – wymamrotałem. Położyłem ramiona na kierownicy i pochyliłem się w przód, patrząc przez przednią szybę na samochody przesuwające się cal po calu u wylotu uliczki. – Dobry Jezu. Nie miałem pojęcia. Kiedy to było?

– Parę tygodni przed śmiercią Rose – odrzekł Rewelka. – Imelda ma z tego powodu spore poczucie winy, zwłaszcza teraz, gdy wie, do czego to doprowadziło. Dlatego się zgłosiła. Złoży mi oficjalne zeznanie, gdy tylko tu skończymy.

Akurat złoży!

– No cóż, to chyba można uznać za dowód – powiedziałem.

– Przykro mi, Frank.

- Wiem. Dzięki.
- Zdaję sobie sprawę, że nie to miałeś nadzieję usłyszeć...
- Na pewno nie to.
- ...ale, jak sam zaznaczyłeś, człowiekowi jest potrzebna jakaśkolwiek pewność. Nawet jeśli w tej chwili nie zgadza się z twoimi odczuciami, przynajmniej oznacza, że coś się domknęło. Gdy będziesz gotowy, spróbujesz włączyć to wszystko do swojego oglądu świata.

- Pozwól, że cię o coś zapytam, Rewelka. Czy ty chodzisz do psychoanalityka?

Zdołał przybrać minę zażenowaną, a zarazem pewną siebie i bojową.

- Tak. A co? Mogę go polecić.
- Nie, dzięki. Tak tylko się zastanawiałem.
- Gość jest całkiem dobry. Z jego pomocą odkryłem wiele ciekawych rzeczy. Na przykład: jak zharmonizować moją zewnętrzną rzeczywistość z wewnętrzną.

- Brzmi niezwykle inspirująco.
- I tak działa. Sądzę, że mógłby wiele dla ciebie zrobić.
- Jestem człowiekiem staroświeckim. Uważam, że to moja wewnętrzna rzeczywistość powinna harmonizować z zewnętrzną. Ale nie zapomnę o twojej propozycji.

- Doskonale. – Męskim gestem klepnął w deskę rozdzielczą, jakby wynagradzał pojętnego konia. – Dobrze się z tobą rozmawiało, Frank. Muszę wracać do kieratu, ale zadzwoń, gdy znowu będziesz miał ochotę pogawędzić, dobrze?

- Oczywiście. Myślę jednak, że przyda mi się teraz trochę samotności, żeby to wszystko przyswoić. Zebrało się tyle do przetrwania.

Rewelka wykonał numer świadczący o głębokim zrozumieniu sytuacji – ruch głowy i brwi – zapożyczony przypuszczalnie od psychoanalityka.

- Odwieźć cię do wydziału? – zapytałem.

– Nie, dziękuję. Spacer dobrze mi robi. Muszę dbać o figurę. – Poklepał się po brzuchu. – Uważaj na siebie. Będziemy w kontakcie.

Uliczka była tak wąska, że po otwarciu drzwi może na sześć cali z trudem wysunął się z samochodu, co osłabiło efektowny finał naszego spotkania, ale zaraz naprawił to, ruszając w drogę krokiem funkcjonariusza wydziału zabójstw. Patrzyłem, jak lawiruje w tłumie zmęczonych, załatanych ludzi, mężczyzna z teczką i determinacją, i przypomniał mi się dzień sprzed kilku lat, gdy podczas przypadkowego spotkania okazało się, że obaj dołączyliśmy do klubu rozwodników. Popijawa trwała czternaście godzin i zakończyła się w Bray, w jakiejś speluncie w stylu science fiction, gdzie zapewnialiśmy dwie durne ślicznotki, że jesteśmy rosyjskimi milionerami i przyjechaliliśmy kupić zamek dubliński, ale nas poniosło i jak małolaty zaczęliśmy ryczeć ze śmiechu, zasłaniając się kuflami. Pomyślałem, że przez te dwadzieścia lat poniekąd lubiłem Rewelkę i że w gruncie rzeczy będzie mi go brakować.

• • •

Ludzie notorycznie mnie nie doceniają, co bardzo mi się podoba, a jednak Imelda trochę mnie zaskoczyła – wydawało mi się, że nie należy do ludzi, którzy nie dostrzegają tej niezbyt aksamitnej strony natury ludzkiej. Na jej miejscu przynajmniej poprosiłbym jakiegoś postawnego uzbrojonego przyjemniaczka, żeby spędził ze mną kilka dni, ale w czwartek rano przekonałem się, że życie pań Tierney wróciło do normy. Genevieve poczłapała do szkoły, pogryzając kitkاتا; Imelda udała się na New Street i wróciła z dwiema plastikowymi torbami; Isabelle pomaszzerowała w jakieś miejsce, gdzie trzeba mieć uczesane w koński ogon włosy i śnieżnobiałą bluzkę; ani śladu ochroniarza, z bronią czy bez broni. Tym razem nikt nie zauważył, że prowadzę obserwację.

Koło południa kilka nastoletnich dziewcząt z paroma niemowlakami zadzwoniło do drzwi. Shania zeszała na dół i całe towarzystwo powędrowało oglądać wystawy albo okradać sklepy, albo robić coś w



tym stylu. Gdy upewniłem się, że dziewczyna nie wróci do domu po papierosy, pokonałem zamek przy drzwiach frontowych i udałem się do mieszkania Imeldy.

Ze środka dolatywały donośne dźwięki talk-show: uczestnicy przekrzykiwali się nawzajem, widownia żądała krwi. Drzwi były upstrzone zamkami, ale gdy zbadałem szczelinę przy futrynie, okazało się, że tylko jeden jest używany. W dziesięć sekund otworzyłem go wytrychem. Telewizor zagłuszył skrzypienie zawiasów.

Imelda siedziała na kanapie i pakowała prezenty gwiazdkowe. Widok wzbudzałby większy zachwyt, gdyby nie show w telewizji i fakt, że prezenty w większości były podróbkami wyrobów Burberry'ego. Zamknąłem drzwi i zacząłem zbliżać się do Imeldy, zachodząc ją od tyłu, gdy zobaczywszy coś – pewnie mój cień na podłodze – gwałtownie się odwróciła. Już nabierała powietrza do krzyku, ale zdążyłem zakryć jej usta ręką i przedramieniem drugiej ręki przynieść jej nadgarstki do brzucha. Usiadłem wygodnie na bocznym oparciu kanapy i pochylając się nad uchem Imeldy, powiedziałem:

– Och, Imelda, Imelda, a zarzekałaś się, że nie kablujesz. Zawiodłem się na tobie.

Chciała dźgnąć mnie łokciem w brzuch; gdy chwyciłem ją mocniej, próbowała ugryźć mnie w rękę. Przycisnąłem przedramię jeszcze bardziej, jednocześnie odchylając do tyłu jej głowę, aż szyja wygięła się w łuk i poczułem, jak jej zęby wbijają się w wargi.

– Zanim zabiorę rękę, chcę, żebyś pomyślała o dwóch rzeczach – powiedziałem. – Po pierwsze, że ja znajduję się znacznie bliżej ciebie niż ktokolwiek inny. Po drugie, jak zareaguje Deco z górnego piętra, gdy się dowie, że w tym domu mieszka kapuś, a wierz mi, że łatwo może się dowiedzieć. Jak sądzisz, wyładuje się bezpośrednio na tobie czy uzna, że bardziej seksowna jest Isabelle? A może Genevieve? Nie znam jego gustu, więc ty mi powiedz.

W jej oczach rozblęśla czysta wściekłość, jak u zwierzęcia złapanego w pułapkę. Gdyby mogła rozharatać mi gardło, toby to zrobiła.

– No i jak? Będziesz krzyczeć? – zapytałem.

Po chwili jej mięśnie zaczęły się rozluźniać i pokręciła głową. Puściłem ją. Zrzuciłem kupkę prezentów z fotela i usiadłem.

– No właśnie. Zrobiło się miło, prawda?

– Kutas – warknęła Imelda, delikatnie masując sobie szczękę.

– Ja tego nie chciałem, chyba przyznasz, dziecinko. Dwa razy dałem ci możliwość porozmawiania ze mną kulturalnie, ale gdzie tam: ty wołałaś po swoim.

– Mój chłopak lada chwila przyjdzie do domu. Jest ochroniarzem, więc lepiej z nim nie zaczynaj.

– Ciekawe, wczoraj wieczorem nie było go w domu, a w tym pokoju nie ma po nim ani śladu. – Jednym kopnięciem odsunąłem leżące na podłodze rzeczy i wyciągnąłem przed siebie nogi. – Dlaczego uciekasz się do takich kłamstw, Imelda? Czyżbyś się mnie bała?

Siedziała nadąsana w rogu kanapy, skrzyżowawszy ręce i nogi, ale moje pytania ją rozżłościły.

– Chciałbyś, Francis. Więksi twardziele niż ty dostawali ode mnie w kość.

– Och, na pewno. A jeżeli nie możesz dać im w kość, to lecisz powiedzieć komuś, kto zrobi to za ciebie. Nakablowałaś na mnie Kennedy'emu... Nie, nie, zamknij dziób i nie próbuj się wyłgać... I wcale mnie to nie cieszy. Ale da się łatwo naprawić. Wystarczy, że powiesz mi, do kogo pobiegłaś z językiem na mnie i Rosie, a raz-dwa wszystko będzie puszczane w niepamięć.

Wzruszyła ramionami. W tle pawiany z telewizora nadal okładały się krzesłami studyjnymi; pochyliłem się, na wszelki wypadek nie spuszczać oka z Imeldy, i wyszarpnąłem wtyczkę z kontaktu.

– Nie słyszałem, co mówisz.

Znowu wzruszenie ramion.

– Mam wrażenie, że okazałem mnóstwo cierpliwości. Ale teraz widzisz już jej resztki, złotko. Dobrze się przyjrzyj. To, co nastąpi, nie będzie wyglądało tak ładnie.

– Bo co?

– Jak mi się zdaje, ostrzegano cię przede mną.

Przez jej twarz przemknął strach.

– Wiem, co się gada w okolicy. Kogo twoim zdaniem zabiłem?

Rosie czy Kevina? A może oboje?

– Nigdy nie mówiłam...

– Wiesz, założę się, że Kevina. Mam rację? Uważałem, że zabił Rosie, więc wypchnąłem go przez okno. Tak myślałaś?

Imelda słusznie stwierdziła, że lepiej nie odpowiadać na to pytanie. Mówiłem coraz bardziej podniesionym głosem, nie przejmując się, czy Deco i zaprzyjaźnieni z nim ćpuni słyszą każde słowo. Przez cały tydzień czekałem na właśnie taką okazję wyładowania złości.

– Powiedz mi, czy rzeczywiście jesteś taka tępa, tak niewiarygodnie głupia, żeby uprawiać gierki z człowiekiem, który zrobiłby coś takiego własnemu bratu? Nie lubię, jak się mnie robi w chuja, Imelda, a ty wczoraj po południu tak sobie ze mną pogrywałaś. Sądzisz, że to był dobry pomysł?

– Chciałam tylko...

– A teraz robisz to znowu. Czy ty z premedytacją doprowadzasz mnie do ostateczności? Naprawdę chcesz, żebym wyszedł z siebie?

– Nie...

Wstałem z fotela i chwyciłem obiema rękami tył kanapy po obu stronach Imeldy, pochylając się nad nią tak nisko, że czułem jej oddech zalatujący chipsami z serem i cebulą.

– Pozwól, że coś ci wyjaśnię, Imelda. Posłusz się prostymi słowami, żeby to dotarło do twojego zakutego łba. W ciągu następnych dziesięciu minut, jak Boga kocham, odpowiesz na moje pytanie. Wiem, że wolałabyś trzymać się wersji wydarzeń, którą wcisnęłaś Kennedy'emu, ale to nie wchodzi w rachubę. Możesz tylko wybierać, czy udzielisz mi odpowiedzi nakłoniona paroma klapsami, czy z własnej woli.

Odwracała ode mnie głowę, ale złapałem ją jedną ręką za brodę i zmusiłem do spojrzenia mi w oczy.

– Zanim podejmiesz decyzję, zastanów się, czy będzie mi trudno

stracić nad sobą panowanie i ukłęcić ci szyję jak kurczakowi. Wszyscy wokół są przekonani, że jestem Hannibalem Lecterem. Co mam do stracenia, psiakrew? – Możliwe, że już w tym momencie by mi powiedziała, ale nie dałem jej sposobności. – Twój detektyw Kennedy prawdopodobnie nie jest moim najzagorzalszym fanem, ale obaj pracujemy w policji. Jeżeli znajdą cię zbitą na kwaśne jabłko albo, Boże uchoвай, martwą jak kamień, nie sądzisz, że bardziej zatroszczy się o swojego? Naprawdę uważasz, że bardziej się przejmie szemraną durną ulicznicą, za którą nikt na tym świecie nie da piątaka? Pozbędzie się ciebie w sekundę. Wyrzuci jak śmieć, bo nim jesteś.

Jej twarz przybrała znajomy mi wyraz: opuszczona szczęka, otępiełe czarne oczy rozwarłe tak szeroko, że nie mrugną. Sto razy widziałem go u mojej matki, w chwili gdy uprzytomniła sobie, że zaraz spadnie na nią cios. Miałem to w nosie. Myśl, że wierzchem dłoni daję Imeldzie w twarz, niemal zaparła mi dech, tak bardzo chciałem to zrobić.

– Kłapałaś bez oporów japa przy byle kim, to teraz otworzysz ją przy mnie. Komu powiedziałaś o mnie i Rosie? No komu? Kto to był? Ta zdzira, twoja matka? Komu żeś, kurwa...

Już słyszałem, jak wyrzuca z siebie słowa, oślizgłe i jadowite: „Twojemu ojcu, temu pijusowi, temu wstrętnemu dziwkarzowi”, i zbierałem siły, żeby je przyjąć, gdy otworzyła szeroko czerwone usta i niemal ryknęła mi w twarz:

– Powiedziałaś twojemu bratu!

– Gówno prawda! Łziesz jak pies. Sprzedałaś ten kit Kennedy'emu, a on to kupił, ale czy ja wyglądam na takiego głupka jak on?

– Nie Kevinowi, ty durny sukinsynu. Na co mi był Kevin? Shayowi. Powiedziałaś Shayowi.

W pokoju zaległa cisza, wielka i głucha jak przy padającym śniegu, jakby cały świat nie wydawał dźwięku. Miałem wrażenie, że minęło dużo czasu, nim zauważyłem, że znowu siedzę w fotelu zdrętwiały od stóp do głów, jakby krew przestała krążyć mi w żyłach. Trochę później usłyszałem, że ktoś włączył na gorze pralkę. Imelda

skuliła się między poduszkami na kanapie. Przerażenie na jej twarzy uzmysłowiło mi, co maluje się na mojej.

- Co mu powiedziałaś? – zapytałem.
- Francis... przepraszam, nie myślałam...
- Co mu powiedziałaś?
- Tylko... o tobie i Rosie. Że wyjeżdżacie.
- Kiedy to było?
- W sobotę wieczorem w pubie. W przeddzień waszego wyjazdu.

Pomyślałam, że teraz nic się przecież nie stanie, jest za późno, nikt was nie powstrzyma...

Trzy dziewczyny oparte o balustradę, potrząsające włosami, pełne werwy i blasku jak dzikie klaczki, niecierpliwie oczekujące wieczoru, gdy wszystko może się wydarzyć. I rzeczywiście dużo się wydarzyło.

– Jeszcze jedno gówniane usprawiedliwienie, a rozwałę ten kradziony telewizor.

Imelda się przymknęła.

- Powiedziałaś mu, kiedy wyjeżdżamy?

Szybkie kiwnięcie głową.

- I gdzie zostawiłaś walizkę?

– Tak. Ale nie powiedziałam, w którym pokoju, tylko że... pod szesnastym.

Brudnobiałe zimowe światło sączące się przez firanki było okrutne dla Imeldy. Siedząc bezwładnie w rogu kanapy, w tym przegrzanym pokoju śmierdzącym tłuszczem, papierosami i śmieciami, wyglądała jak niepełny worek kości pokryty szarą skórą. Nie przychodziła mi na myśl ani jedna rzecz, której ta kobieta mogłaby chcieć i którą mogłaby uznać za wartą tego, co zmarnowała.

- Dlaczego? Po jaką cholerę?

Wzruszyła ramionami. Gdy patrzyłem na czerwoną plamę rozlewającą się po jej policzkach, powoli rozjaśniało mi się w głowie.

- Chyba żartujesz – powiedziałem. – Durzyłaś się w Shayu?

Znowu wzruszenie ramion, bardziej gwałtownie, z irytacją. Tamte barwne dziewczyny, te ich piski i przekomarzanie się. „Mandy chce

się dowiedzieć, czy twój brat chciałby iść do kina...”.

– Sądziłem, że to Mandy się nim interesowała.

– Ona też. My wszystkie... Rosie nie, ale wiele z nas. Mógł wybierać.

– Więc wydałaś Rosie, żeby zwrócił na ciebie uwagę. To miałaś na myśli, mówiąc mi, że ją kochałaś?

– Jesteś cholernie niesprawiedliwy. Wcale nie chciałam...

Rzuciłem popielniczką w telewizor. Była ciężka i walnąłem z całej siły; rozbiła ekran z potężnym łoskotem, wznosząc chmurę popiołu, petów i okruchów szkła. Imelda wydała dziwny pisk, coś między sapnięciem i skowytym, i skuliła się ze strachu przede mną, zasłaniając ramieniem twarz. Popiół rozproszył się i zaczął opadać na dywan, niski stolik, spodnie od dresu Imeldy.

– No widzisz. Ostrzegalem cię.

Pokręciła głową, patrząc szalonym wzrokiem. Przyłożyła rękę do ust: ktoś wyszkolił ją, żeby nie krzyczała.

Strząsnąłem migoczące drobiny szkła i wyjąłem pudełko papierosów Imeldy spod kłębka zielonej wstążki na stoliku.

– A teraz powtórzysz mi wszystko, co mu powiedziałaś, słowo w słowo, tak dokładnie, jak zdołasz sobie przypomnieć. Niczego nie pomijaj. Jeżeli czegoś nie będziesz pewna, powiedz. Nie próbuj zmyślać. Jasne?

Kiwnęła głową, wyraźnie, z ręką na ustach. Zapaliłem papierosa i rozsiadłem się w fotelu.

– No to mów.

Mogłem sobie wyobrazić ten wieczór. Pub mieścił się gdzieś w bok od Wexford Street, Imelda nie pamiętała nazwy.

– Szłyśmy potańczyć, ja, Mandy i Julie. Rosie musiała wcześniej wrócić do domu, bo miała na pieńku z ojcem, i nie chciała płacić za wejście do dyskoteki. Wobec tego postanowiłyśmy najpierw pójść na piwo...

Gdy Imelda podeszła do baru, by zamówić kolejkę, zauważyła Shaya, więc go zaczepiła. Już widziałem, jak potrząsa włosami,

wysuwa biodro i mu przygaduje. Shay odruchowo odpowiedział na te zaloty, ale wolał ładniejsze dziewczyny, delikatniejsze, mniej wyszczekane, więc gdy dostał swoje piwa, zaraz zgarnął kufle, żeby zanieść je kumplom.

Imelda tylko chciała go zatrzymać. „Co ci jest, Shay? Czyżby Francis miał rację, że ciebie bardziej interesują faceci?”

„I kto to mówi? – on na to. – Gnojek, który nie wiadomo kiedy miał dziewczynę”. Już odchodził.

„Co ty tam wiesz!” – rzuciła.

To go zaintrygowało.

„Jak to?”

„Leć, nie każ chłopakom czekać na piwo”.

„Zaraz wracam. Zostań tu”.

„Może zostanę, a może nie”.

Oczywiście, że została. Rosie parsknęła śmiechem, gdy Imelda w pośpiechu przyniosła im piwo, a Mandy prychnęła, udając oburzenie („Kradnie mi faceta”), na to Imelda pokazała im palec i szybko stanęła znów przy barze w niedbałej pozie, z odpiętym guzikiem bluzki i szklanką pełnego jasnego w ręce, czekając na powrót Shaya. Serce waliło jej jak młotem. Nigdy dotąd nie zwrócił na nią uwagi.

Pochylił nisko głowę i spojrzał na nią intensywnie niebieskimi oczami, które ani razu nie sprawiły mu zawodu. Rozsiadł się na stołku barowym, wsuwając kolano między jej nogi, postawił jej następne piwo i podając szklankę, musnął kostki jej palców. Snuła opowieść, rozciągając ją do granic możliwości, byle go zatrzymać, ale w końcu wyłożyła na ladę cały plan: walizka, miejsce spotkania, prom, kawalerka, praca w branży muzycznej, skromny ślub – cały sekretny plan, który układaliśmy z Rosie miesiącami, kawałek po kawałku, na który chuchaliśmy i dmuchaliśmy, trzymając go przy piersi. Imelda czuła się potem chujowo, nawet nie mogła spojrzeć na Rosie, która zaśmiewała się z czegoś razem z Mandy i Julie. Minęły dwadzieścia dwa lata, a na jej twarzy wciąż płonął rumieniec, gdy o tym mówiła. W każdym razie dopowiedziała wszystko do końca.

To była żałobna historyjka, błahe zdarzenie, jakie codziennie jest powodem awantur między nastolatkami i szybko zostaje zapomniane. Doprowadziło do tego, co się działo przez ten tydzień i w tym pokoju.

– Czy po tym wszystkim chociaż cię bzyknął? – zapytałem.

Imelda nie patrzyła na mnie, ale jej policzki zaczerwieńczyły się jeszcze bardziej.

– To świetnie. Nie ścierpiałbym myśli, że zdradziłaś mnie i Rosie i nawet na tym nie skorzystałaś. A tak, no cóż, dwie osoby umarły i życie wielu ludzi rozpadło się w drobny mak, ale co tam, przynajmniej dopięłaś swego i miałaś uciechę.

– Myślisz, że...? – odezwała się słabym, napiętym głosem. – Dlatego że powiedziałam Shayowi... Przez to zginęła Rosie?

– Jesteś, kurwa, geniuszem.

– Francis, czy...? – Imelda zadrżała na całym ciele jak wystraszony koń. – Czy Shay...?

– Czy ja to powiedziałem?

Pokręciła głową.

– Dobrze, że zauważyłaś. A teraz zapamiętaj sobie: jeżeli będziesz rozgłaszać tę głównianą historię, jeżeli powiesz coś choć jednej osobie, będziesz tego żałowała do końca życia. Zrobiłaś wszystko, żeby zszargać imię jednego z moich braci. Nie pozwolę, żebyś zszargała imię drugiego.

– Nic nikomu nie powiem, przysięgam.

– Powtórz to swoim córkom. Bo może donosicielstwo jest u was rodzinne. – Skrzywiła się. – W ogóle nie rozmawiałaś z Shayem, a mnie tu w ogóle nie było. Zrozumiałaś?

– Tak, Francis... Przepraszam. O Boże, tak mi przykro. Nigdy nawet nie pomyślałam...

– Zobacz, coś ty narobiła. – Tylko to przeszło mi przez gardło. – Dobry Jezu, zobacz, coś ty narobiła, Imelda.

Zostawiłem ją tam, wpatrzoną się w popiół, rozbite szkło i pustkę.



Ta noc ciągnęła się długo. Mało brakowało, a zadzwoniłbym do mojej uroczej przyjaciółki z laboratorium kryminalistycznego, ale uznałem, że niewiele rzeczy może ci zepsuć radosne bykanko tak jak partnerka, która zna zbyt wiele szczegółów o śmierci twojej eks. Zastanawiałem się, czy iść do pubu, ale nie widziałem w tym sensu, chyba żeby zalać pałę, a to wydało mi się naprawdę kiepskim pomysłem. Nawet korciło mnie, żeby zadzwonić do Olivii i spytać, czy mogę przyjść, uznałem jednak, że w tym tygodniu aż nadto wykorzystywałem sytuację i nie należy przeciągać struny. Koniec końców wylądowałem w sali bilardowej Neda Kelly'ego na O'Connell Street i godzinami rozgrywałem partię po partii z trzema Rosjanami, którzy ledwie mówili po angielsku, za to dostrzegali międzynarodowe sygnały, jakie wysyła człowiek w potrzebie. Gdy Ned zamknął lokal, poszedłem do domu, usiadłem na balkonie i paliłem papierosa za papierosem, aż zrobiło mi się zimno w tyłek. Wobec tego wszedłem do środka i zacząłem oglądać reality show, w którym biali chłopcy z zaburzeniami urojeniowymi porozumiewali się ze sobą za pomocą raperskich gestów, aż wreszcie rozwidniło się i mogłem zjeść śniadanie. Co kilka minut mocno naciskałem przełącznik w głowie, żeby nie widzieć twarzy Rosie, Kevina ani Shaya.

Ciągle pojawiał mi się przed oczami Kevin, choć nie jako dorosły człowiek, lecz umorusany dzieciak, z którym dzieliłem łóżko tak długo, że wciąż czułem dotyk jego stóp, gdy zimą wciskał mi je między łydki, żeby się ogrzać. Był dzieckiem o nieco ładniejszym od nas wszystkich, pucolowatym blond aniołkiem z reklamy płatków zbożowych; Carmel i jej koleżanki woziły go jak lalkę szmaciankę,

przebierały go i wtykały mu do buzi cukierki, wprawiając się w roli przyszłej mamusi. Kevin leżał w wózku dla lalek, uśmiechnięty od ucha do ucha, szczęśliwy, że jest w centrum uwagi. Już w tym wieku nasz Kev uwielbiał panie. Miałem nadzieję, że ktoś delikatnie i taktownie powiadomił jego liczne dziewczyny, dlaczego Kevin nie będzie ich odwiedzał.

Kiedy w moich wspomnieniach pojawiała się Rosie, nie promieniała pierwszą miłością i wielkimi planami, lecz była rozzłoszczona. Pewnego jesienno wieczoru, gdy mieliśmy po siedemnaście lat, razem z Carmel i Shayem kopciliśmy fajki na schodach przed domem – w owym czasie Carmel paliła i pozwalała mi sępić podczas roku szkolnego, gdy nie pracowałem i nie miałem pieniędzy na papierosy. W powietrzu unosił się zapach dymu torfowego, mgły i browaru Guinnessa; Shay cicho pogwizdywał przez zęby *Take Me Up to Monto*. Wtedy rozległy się krzyki.

To pan Daly wrzeszczał jak opętany. Szczegóły tonęły we wrzawie, ale istota sprawy polegała na tym, że pan Daly nie pozwoli, by sprzeciwiano mu się pod jego własnym dachem i że ona zaraz od niego oberwie, jeżeli nie będzie uważała. Wszystko w środku zamieniło mi się w bryłę lodu.

– Założę się o funta, że przyłapał swoją starą z jakimś młodym facetem – odezwał się Shay.

– Nie świntusz. – Carmel cmoknęła z dezaprobata.

– Przyjmuję zakład – odrzekłem, starając się, by mój głos brzmiał swobodnie.

Rosie i ja chodziliśmy ze sobą już trochę ponad rok. Dla naszych znajomych nie było to tajemnicą, ale nie chcieliśmy, żeby wiadomość rozniosła się za daleko, i udawaliśmy, że to nic poważnego: takie tam wygłupy. Z każdym tygodniem sytuacja wydawała mi się coraz bardziej bez sensu, ale Rosie twierdziła, że jej ojciec będzie niezadowolony, i powtarzała to z przekonaniem. Przez ostatni rok jakąś częścią siebie czekałem na ten wieczór, spodziewając się, że spadnie cios.

- Nie masz funta.
- Nie będę potrzebował.

Już uchylano okna – państwo Daly klócili się rzadziej niż reszta mieszkańców Faithful Place, więc ta awantura miała posmak pierwszorzędneho skandalu.

- Nie masz, do cholery, pojęcia! – wrzasnęła Rosie.

Wziąłem ostatniego macha, przy samym filtrze.

- Dawaj funta – zwróciłem się do Shaya.
- Jak dostanę wypłatę – odpowiedział.

Rosie wypadła z domu pod trzecim, walnęła drzwiami tak mocno, że wścibskie staruchy zniknęły w swoich jamach, by na osobności delektować się tym szokującym przeżyciem, i ruszyła w naszą stronę. Przy szarej jesiennej pogodzie zdawało się, że jej włosy podpała powietrze i cała Faithful Place eksploduje.

– Cześć, Rosie – odezwał się Shay. – Wyglądasz wspaniale, jak zwykle.

– A ty jesteś koszmarnie brzydki, jak zwykle. Francis, mogę z tobą porozmawiać?

Shay gwizdnął; Carmel opadła szczęką.

– Pewnie. – Wstałem ze schodów. – Przejdziemy się? – Gdy skręcaliśmy za róg i wychodziliśmy na Smith's Road, na koniec doleciał mnie z tyłu wyjątkowo obleśny śmiech Shaya.

Rosie wcisnęła pięści głęboko w kieszenie dzinsowej kurtki i szła tak szybko, że ledwie nadążałem.

- Ojciec się dowiedział – oznajmiła przez zaciśnięte zęby. Spodziewałem się tego, ale i tak żołądek podszedł mi do gardła.

– O cholera! Tak myślałem. Jak to się stało?

– Gdy siedzieliśmy w Neary's. Powinna była wiedzieć, że to nie jest bezpieczne miejsce: chodzi tam na drinka moja kuzynka Shirley z koleżankami. Gęba jej się nie zamyka. Powiedziała swojej matce, a ta powiedziała mojej, no i matka wygadała, psiakrew, ojcu.

- I dostał szau.

Rosie wybuchła:

– Co za drań, cholerny drań... Gdy zobaczę Shirley, stłukę ją na miazgę... W ogóle mnie nie słuchał, mówiłam jak do ściany...

– Rosie, zwolnij...

– Powiedział, żebym nie przychodziła do niego z płaczem, gdy będę w ciąży, sama jak palec, cała w siniakach. Jezu, Frank, miałam ochotę go zabić, jak Boga kocham...

– To co tu robisz? Czy on wie...?

– Wie. Wysłał mnie, żebym z tobą zerwała.

Mimowolnie zatrzymałem się na środku chodnika i zorientowałem się dopiero wtedy, gdy Rosie odwróciła się, żeby zobaczyć, gdzie zniknąłem.

– Nie zrywam z tobą, ty kretynie! Naprawdę myślisz, że zostawiłabym cię, bo kazał mi ojciec? Upadłeś na głowę?

– Chryste. – Moje serce powoli wracało na swoje miejsce. – Chcesz, żebyś dostał zawału? Myślałem... Chryste.

– Francis. – Podeszła do mnie i spłótła swoje palce z moimi tak mocno, że zabolalo. – Nie zrywam. Rozumiesz? Po prostu nie wiem, co zrobić.

Sprzedalbym nerkę, żeby wymyślić jakieś cudowne rozwiązanie. Złożyłem propozycję godną najmężniejszego pogromcy smoków:

– Pójdę porozmawiać z twoim ojcem. Jak mężczyzna z mężczyzną. Powiem mu, że w żadnym wypadku bym cię nie zwodził.

– Już mu to mówiłam! Sto razy. Uważa, że wcisnąłeś mi kit, żeby dobrać mi się do majtek, a ja kupiłam ten bajer. Myślisz, że wysłucha ciebie, skoro nie chciał wysłuchać mnie?

– Udowodnię mu. Gdy zobaczy, że traktuję cię jak należy...

– Nie będzie na to czasu! Powiedział, że jeżeli nie zerwę z tobą dziś wieczorem, wyrzuci mnie z domu, i zrobi to, zrobi na pewno. Złamie serce mamusi, ale nie będzie się przejmował. Zabroni jej spotykać się ze mną, a ona, niech Bóg mają w opiece, stuli uszy.

Po siedemnastu latach życia w mojej własnej rodzinie uważałem, że w każdej sytuacji najlepiej trzymać gębę na kłódkę.

– No to powiedz mu, że tak zrobiłaś. Że zerwałaś ze mną. Nikt

nie musi wiedzieć, że wciąż jesteśmy razem.

Rosie znieruchomiała. Widziałem, że jej umysł pracuje na potęgę.

Po chwili zapytała:

– Jak długo?

– Aż wymyślimy lepsze rozwiązanie, aż twój ojciec wyluzuje, bo ja wiem? Jeżeli wytrzymamy dostatecznie długo, coś będzie musiało się zmienić.

– Być może. – Wciąż się zastanawiała, stojąc z pochyloną głową i spletając palce z moimi. – Sądziś, że nam się uda? Ludzie tak tu plotkują...

– Nie twierdź, że będzie łatwo. Musimy rozpowiedzieć dokoła, że zerwaliśmy, i zrobić to z przekonaniem. Nie będziemy mogli pójść razem na bal maturalny. Ciągłe będziesz się martwić, że ojciec się dowie i wyrzuci cię z domu.

– Mam to gdzieś! A ty? Ty nie musisz się czaić, twój ojciec nie każe ci żyć jak mnich. Czy to warte twojego zachodu?

– Co ty gadasz? Przecież cię kocham.

Zdębiałem. Pierwszy raz wypowiedziałem te słowa. Doskonale wiedziałem, że już nigdy nie wypowiem ich po raz drugi, nie tak na sto procent, że człowiek dostaje tylko jedną taką szansę w całym życiu. Ja dostałem ją ni stąd, ni zowąd, pewnego mglistego jesiennego wieczoru, pod latarnią oświetlającą na żółto mokry chodnik, gdy mocne, giętkie palce Rosie spletały się z moimi.

Opadła jej szczęka.

– Ach – powiedziała. Zabrzmiało to jak cudowny śmiech, od którego nie można się powstrzymać i który nie pozwala złapać tchu.

– Tak to jest.

– No to – znowu ten prawie śmiech – wszystko jest w porządku, tak?

– A nie jest?

– Jest. Też cię kocham. Znajdziemy sposób. Prawda?

Zabrakło mi słów; jedyne, co przyszło mi do głowy, to mocno przyciągnąć do siebie Rosie. Staruszek spacerujący z psem, zmuszony

nas obejść, burknął coś o skandalicznym zachowaniu, ale nie mogłem zrobić kroku, nawet gdybym chciał. Rosie wtuliła twarz w zagłębienie mojej szyi i poczułem łaskotanie rzęs o skórę, a potem coś mokrego w tym miejscu.

– Na pewno – odrzekłem, kierując te słowa w grzywę ciepłych włosów. Wiedziałem, że tak się stanie, bo mieliśmy atut w rękach, dzokera, który bije wszystkie karty w talii. – Jestem przekonany.

Gdy już się nachodziliśmy i nagadaliśmy, trzeba było wrócić do domu i ostrożnie zacząć realizować strategię przekonywania Faithful Place, że nasz związek należy do przeszłości. Późnym wieczorem, mimo długofalowego i przebiegłego planu odczekania, spotkaliśmy się pod szesnastym. W ogóle się nie przejmowaliśmy, co może nam grozić o tej porze. Leżeliśmy na trzeszczących deskach podłogi, owinięci miękkim niebieskim kocem, który Rosie zawsze ze sobą zabierała. Tej nocy pozwoliła mi na wszystko.

Właśnie ten wieczór sprawił, że nigdy nie przeszło mi przez myśl, iż Rosie może nie żyć. Rozzłoszczona, miała w sobie taki żar, że zapaliłby się patyk przytknięty do jej skóry i wszystkie choinki bożonarodzeniowe, że byłoby ją widać z kosmosu. Nie mieściło mi się w głowie, że coś takiego może rozwiać się w nicości, zniknąć na zawsze.

Danny Zapałka spaliłby sklep rowerowy i elegancko ułożył wszystkie dowody prowadzące do Shaya, gdybym go ładnie poprosił. Była też inna możliwość: znałem kilku gości, przy których Danny wyglądał jak mięczak, a ci wykonaliby piękną robotę, włącznie z zadaniem Shayowi tyle bólu, ile bym sobie życzył, i zaręczyli, że nikt nigdy nie znajdzie ani skrawka jego ciała.

Kłopot polegał na tym, że nie chodziło o Danny'ego Zapałkę ani o brygadę zabójców, ani o nikogo innego. Rewelka się nie liczył; jeżeli aż tak chciał obciążyć Kevina, wolna wola – Olivia miała rację: cokolwiek ludzie będą twierdzić, już nie zaszkodzi Kevinowi; sprawiedliwość spadła na dalsze miejsce na liście moich upragnionych prezentów pod choinkę. Chodziło mi tylko o Shaya. Ilekroć patrzyłem

na miasto na drugim brzegu Liffey, widziałem go w oknie jego mieszkania, w gąszczu świateł, jak pali papierosa i spogląda przez rzekę w moją stronę, czekając, kiedy go odnajdę. Na żadnej dziewczynie, nawet na Rosie, nie zależało mi tak bardzo jak na tym, żeby dopaść Shaya.

• • •

W piątek po południu wysłałem SMS-a do Stephen: „To samo miejsce, ta sama pora”. Padał gęsty deszcz ze śniegiem, wsiąkał we wszystko, co człowiek miał na sobie, i przejmował chłodem do szpiku kości. W Cosmo's panował tłok; mokrzy, zmęczeni ludzie liczyli torby z zakupami i łudzili się, że jeśli będą tu siedzieć dostatecznie długo, zrobi im się ciepłej. Tym razem zamówiłem tylko kawę. Wiedziałem, że to spotkanie nie potrwa długo.

Stephen sprawiał wrażenie, że nie za bardzo wie, co my tu robimy, ale z grzeczności nie pytał. Od razu jednak powiedział:

- Jeszcze nie mamy billingów Kevina.
- Tak przypuszczałem. Wiesz, kiedy zakończy się śledztwo?
- Poinformowano nas, że prawdopodobnie we wtorek. Detektyw Kennedy mówi... to znaczy jego zdaniem materiał dowodowy wystarczy, by skierować sprawę do sądu. Teraz mamy już tylko uporządkować papiery.

- Domyślam się w takim razie, że słyszałeś o uroczej Imeldzie Tierney.

- No tak.
- Detektyw Kennedy uważa, że jej zeznania są ostatnim elementem układanki, pasują idealnie, i teraz będzie mógł zapakować wszystko w ładny papier, obwiązać wstążką i przedłożyć w Urzędzie Oskarżyciela Publicznego. Zgadza się?

- Mniej więcej.
- A jakie jest twoje zdanie?

Stephen potarł dłonią włosy, zostawiając sterczące kosmyki.

- Opierając się na tym, co mówił detektyw Kennedy, uważam...

powiedz mi, czy się mylę... że Imelda Tierney jest na ciebie zdrowo wkurzona.

– Rzeczywiście nie należę teraz do grona jej ulubieńców.

– Znasz ją, choć od tamtego czasu minęły wieki. Gdyby była na ciebie porządnie wkurzona, sfabrykowałaby coś takiego?

– W mgnieniu oka. Być może jestem uprzedzony.

Stephen pokręcił głową.

– Może jesteś, tyle że nadal mam te same co przedtem wątpliwości na temat odcisków palców. Jeżeli Imelda Tierney nie zdoła wyjaśnić, dlaczego list został wytarty, to kwestia odcisków palców będzie dla mnie ważniejsza niż jej zeznania. Ludzie kłamią, dowody nie.

Ten dzieciak był wart dziesięciu Rewelasów i zapewne dziesięciu takich jak ja.

– Podobna mi się twoje myślenie, detektywie. Niestety, jestem prawie pewny, że w najbliższej przyszłości Rewelka Kennedy nie zacznie rozumować tak jak ty.

– Chyba że przedstawimy inną teorię, która będzie spójna i której nie da się zbagatelizować. – Nadal nieśmiało podkreślał to „my”, jak nastolatek mówiący o swojej pierwszej dziewczynie. Praca ze mną była dla niego dużą rzeczą. – Na tym się skoncentrowałem. Spędziłem wiele czasu, rozmyślając o tej sprawie i zastanawiając się, co mogliśmy przegapić, i wczoraj wieczorem coś do mnie dotarło.

– Mianowicie?

– No więc tak. – Nabrał głęboko powietrza: przeciwiczył w domu tę scenę, żeby zrobić na mnie wrażenie. – Do tej pory żaden z nas nie zwrócił uwagi na to, że ciało Rose Daly zostało ukryte, tak? Zastanawialiśmy się nad znaczeniem tego, gdzie je ukryto, ale nie nad tym, dlaczego w ogóle je ukryto. A ja uważam, że ten fakt powinien być dać nam do myślenia. Wszyscy zgodnie twierdzą, że to wygląda na niezaplanowaną zbrodnię, zgadza się? Że sprawca po prostu pękł.

– Na to wygląda.

– Wobec tego musiał mieć mętlik w głowie, gdy zobaczył, co



zrobił. Ja bym natychmiast dał stamtąd dyla. Ale nasz sprawca miał tyle silnej woli, by zostać, znaleźć miejsce na ukrycie ciała i przywalić je betonową płytą... To wymagało czasu i wysiłku, sporo jednego i drugiego. On musiał ukryć zwłoki. Koniecznie. Dlaczego? Dlaczego nie zostawił ciała, żeby znalezione je następnego ranka?

Z tego chłopaka będzie jeszcze specjalista od portretów psychologicznych.

– No dlaczego? – zapytałem.

Stephen siedział pochylony do przodu, ze wzrokiem wbitym w moją twarz, przejęty swoją opowieścią.

– Bo wiedział, że gdzieś tam jest osoba, która skojarzy go albo z Rose, albo z tym domem. Musiało tak być. Gdyby ciało Rose znaleziono następnego dnia, ten ktoś powiedziałby: „Zaraz, zaraz, wczorajszej nocy widziałem takiego a takiego, jak wchodził do domu pod szesnastym” albo „Wydaje mi się, że taki a taki miał się spotkać z Rose Daly”. Sprawca nie mógł sobie pozwolić na to, żeby jej ciało zostało znalezione.

– Dla mnie brzmi nieźle.

– Więc pozostaje tylko odszukać to ogniwo. Nie bierzemy pod uwagę opowieści Imeldy, ale jest tam ktoś jeszcze, kto ma inną opowieść, bardzo podobną do jej historii, tyle że prawdziwą. Możliwe, że ten ktoś zdążył już o tym wszystkim zapomnieć, bo nie uważał, że to ważne, ale gdybyśmy odświeżyli mu pamięć... Zacząłbym od pogadania z ludźmi najbliższymi Rose: jej siostrą, najlepszymi koleżankami, potem z sąsiadami po parzystej stronie Faithful Place. W swoim zeznaniu mówisz, że słyszałeś, jak ktoś przechodził przez ogrody. Może widziano tego człowieka z okna od tyłu.

Parę dni pracy tym tropem i chłopak do czegoś dojdzie. Miał tyle nadziei, że aż żal mi było dołożyć tego biedakowi – czułem się tak, jakbym wymierzał kopniaka młodemu retrieverowi, który przyniósł mi swój ulubiony gryzak – ale to było konieczne.

– Dobrze myślisz, detektywie. Wszystko ładnie trzyma się kupy. A teraz daj sobie z tym spokój.

Oszołomione spojrzenie.

– Co...? Jak to?

– Jak myślisz, Stephen, dlaczego wysłałem ci dzisiaj SMS-a? Wiedziałem, że nie będziesz miał dla mnie billingów. Wiedziałem, co opowiedziała Imelda Tierney. Byłem prawie pewny, że gdyby wydarzyło się coś wielkiej wagi, zadzwoniłbyś do mnie. Więc co sobie pomyślałeś, gdy poprosiłem o spotkanie?

– Sądziłem, że chodzi o... obecny stan rzeczy.

– Można to tak nazwać. Stan rzeczy przedstawia się następująco: zostawiamy tę sprawę i od tej chwili będzie się toczyć własnym trybem. Ja jestem znów na urlopie, ty wracasz do swoich sekretarskich obowiązków. Baw się dobrze.

Filizanka Stephena stuknęła głucho o spodek.

– Co? Dlaczego?!

– Twoja matka nie mówiła ci: „Bo tak!”?

– Nie jesteś moją matką. Co, do diabła...? – Urwał w pół zdania, gdy zapaliło mu się światełko. – Odkryłeś coś, tak? Gdy poprzednio stąd wychodziłeś, uderzyła cię jakaś myśl. Sprawdzałeś to przez parę dni i teraz...

Pokręciłem głową.

– Druga sprytna teoria, ale niestety nie. Bardzo bym chciał, żeby ta sprawa wyjaśniła się w olśniewającym przebłysku inspiracji, lecz z przykrością muszę ci wyjawić, że rzadko tak się dzieje.

– ...i teraz, gdy się potwierdziła, zachowujesz wiadomość dla siebie. Do widzenia, Stephen, było miło, a teraz wracaj na swój teren. Chyba powinno mi to pochlebiać, że zaniepokoiłeś się, widząc, iż jestem coraz bliżej, zgadza się?

Westchnąłem, opadłem na oparcie krzesła i pomasaowałem sobie kark.

– Posłuchaj, młody. Mam nadzieję, że przyjmiesz małą radę od człowieka, który siedzi w tym zawodzie znacznie dłużej od ciebie. Chcę ci wyjawić pewien sekret: otóż najprostsze rozwiązanie jest niemal zawsze słuszne. Nie ma żadnej przykrywki ani żadnego

spisku, władza nie wszczepiła ci chipa za uchem. Przez kilka ostatnich dni dowiedziałem się tylko tego, że nadszedł czas, byśmy odpuścili sobie tę sprawę.

Stephen gapił się na mnie z taką miną, jakby wyrosła mi druga głowa.

– Chwila, moment. Co się stało z naszą odpowiedzialnością wobec tych ofiar? Co się stało ze stwierdzeniem: „Tylko my im pozostaliśmy”?

– Nasze wysiłki są bezcelowe, młody. Stało się to, że Rewelka ma rację: zebrał materiał na piękną sprawę. Na miejscu oskarżyciela publicznego dałbym mu zielone światło w mgnieniu oka. Za nic w świecie nie porzuci swojej teorii i nie zacznie od początku, nawet gdyby archanioł Gabriel zszedł na ziemię i powiedział mu, że się myli, a już na pewno nie przekona go jakiś dziwny drobiazg w billingach Kevina czy moje podejrzenia co do opowieści Imeldy. Nieważne, co się wydarzy od dziś do wtorku: ta sprawa jest zamknięta.

– I ciebie to zadowala?

– Nie, słonko, nie zadowala. Ani trochę. Ale jestem dorosłym człowiekiem. Jeżeli mam stanąć na linii ognia, to tylko wtedy, gdy jest szansa, że coś się zmieni. Nie angażuję się w przegrane sprawy, nawet wielce romantyczne, bo nie warto. Tak samo nie warto, żeby ciebie odesłano z powrotem do służby mundurowej i kazano siedzieć przy biurku gdzieś na prowincji do samej emerytury, dlatego że przyłapano cię na przekazywaniu mi bezużytecznych informacji.

Chłopak miał temperament, jak przystało na rudzielca: leżącą na stole dłoń zacisnął w pięść, tak jakby szykował się, by dać mi w nos.

– O tym sam zadecyduję. Jestem dużym chłopcem, potrafię o siebie zadbać.

Parsknąłem śmiechem.

– Nie oszukuj się: nie próbuję cię chronić. Pozwoliłbym ci narażać swoją karierę na szwank aż do roku dwa tysiące dwunastego, a nie tylko do najbliższego wtorku, gdybym choć przez moment uważał, że coś dobrego z tego wyniknie. Ale nie wyniknie.

– To ty chciałeś, żebym się zaangażował w tę sprawę, właściwie wciągnąłeś mnie, a teraz, gdy już w niej siedzę, będę siedział dalej. Nie możesz zmieniać zdania co kilka dni: Stephen, przynieś patyk, Stephen, zostaw patyk, Stephen, przynieś patyk... Nie chodzę u ciebie na pasku, tak jak nie chodzę na pasku u detektywa Kennedy'ego.

– W gruncie rzeczy chodzisz – odrzekłem. – Będę miał cię na oku, przyjacielu, i jeśli nabiorę podejrzeń, że wtykasz nos tam, gdzie nie trzeba, to zaniosę ten raport z sekcji zwłok i te wyniki badań daktyloskopijnych do detektywa Kennedy'ego i powiem mu, skąd je mam. Wtedy trafisz do jego czarnej księgi, znajdziesz się w mojej czarnej księdze i będzie więcej niż prawdopodobne, że wylądujesz za biurkiem na jakimś zadupiu. Mówię ci jeszcze raz: zostaw tę sprawę. Rozumiesz?

Stephen był zbyt zaskoczony i zbyt młody, by panować nad swoją mimiką; wlepił we mnie rozognione oczy, w których mieszały się czysta wściekłość, zdumienie i odraza. Dokładnie to chciałem osiągnąć – gdy Stephen wypnie się na mnie, będzie stał z dala od różnych paskudnych rzeczy, które czaiły się na horyzoncie – ale i tak zabolowało.

– Nie rozumiem cię, chłopie – powiedział, kręcąc głową. – Naprawdę nie rozumiem.

– Wiem – odrzekłem i zacząłem szukać portfela.

– Nie musisz fundować mi kawy. Mogę sam za siebie zapłacić.

Jeżeli za bardzo zranię jego ego, być może będzie drażył sprawę choćby po to, by udowodnić sobie, że wciąż ma w ręku parę.

– Jak wolisz – powiedziałem. – Aha, Stephen! – Siedział z opuszczoną głową, grzebiąc w kieszeniach. – Spójrz na mnie, detektywie. – Poczekaj, aż się przełamie i niechętnie spojrzy mi w oczy. – Wykonałeś doskonałą robotę. Choć nie do takiego zakończenia obaj zmierzaliśmy, wiedz, że nigdy ci tego nie zapomnę. Gdy będę mógł coś dla ciebie zrobić, a na pewno nadarzy się sposobność, zrobię to bez namysłu.

– Już mówiłem: potrafię o siebie zadbać.

– Wiem, że potrafisz, ale ja lubię spłacać swoje długi, a teraz je-

stem twoim dłużnikiem. Miło się z tobą pracowało. Mam nadzieję, że znowu będzie okazja.

Nie wyciągnąłem ręki. Stephen obrzucił mnie mrocznym spojrzeniem, które nic nie zdradzało, cisnął dychę na stół – co było poważnym gestem, zważywszy na zarobki takiego żółtodzioba – i włożył płaszcz. Zostałem na miejscu, zgadzając się, żeby to on odszedł.

• • •

No i znowu znalazłem się dokładnie tam, gdzie byłem przed tygodniem – podjechałem pod dom Liv, żeby zabrać Holly na weekend. Wydawało mi się, że minęły lata.

Olivia była ubrana w skromną karmelową sukienkę zamiast skromnej małej czarnej jak w zeszłym tygodniu, ale jej strój wciąż mówił to samo: Niby-Pedofil Dermo zmierza tutaj i wciąż ma szansę. Jednak tym razem nie zatarasowała drzwi, tylko otworzyła je szeroko i wprowadziła mnie szybko do kuchni. Dawniej, gdy byliśmy małżeństwem, ze strachem przyjmowałem jej sygnały, mówiące: „Musimy porozmawiać”, ale teraz sprawiały mi nawet przyjemność. Były lepsze od powtarzanego z opuszczonymi rękami: „Nie mam ci nic do powiedzenia”.

– Holly nie jest gotowa do wyjścia? – zdziwiłem się.

– Kąpie się. Sarah zaprosiła ją dzisiaj na swoje zajęcia hip-hopowe. Holly niedawno wróciła do domu, cała spocona. Wyszukuje się za parę minut.

– Jak ona daje sobie radę?

Olivia westchnęła i lekko pogładziła doskonale ułożone włosy.

– Raczej w porządku, zważywszy na okoliczności. Zeszłej nocy śniły jej się koszmary, a potem, w ciągu dnia, mało się odzywała, ale nie wydaje mi się... sama nie wiem. Była zachwycona zajęciami z hip-hopu.

– A jak z jedzeniem? – Gdy się wyprowadziłem, Holly rozpoczęła strajk głodowy, który trwał jakiś czas.

– Normalnie. Ale ona już nie ma pięciu lat. Nie zawsze otwarcie

okazuje uczucia, co nie znaczy, że mniej przeżywa. Spróbowałbyś z nią porozmawiać? Może tobie uda się lepiej wyczuć, jak sobie radzi.

– A więc zataja różne rzeczy – skonstatowałem wcale nie tak nieprzyjemnym tonem, jak mógłbym. – Ciekawe, skąd jej się to wzięło.

Usta Olivii ściągnęły się w kącikach.

– Popełniłam błąd. Poważny błąd. Przyznałam się i przeprosiłam, a teraz robię co w mojej mocy, żeby naprawić szkody. Uwierz mi: czuję się fatalnie, wiedząc, że skrzywdziłam Holly, więc cokolwiek powiesz, i tak nie pogorszy mi nastroju.

Przysunąłem sobie stółek barowy i zwałem się całym ciężarem – nie dlatego, że chciałem wkurzyć Olivię, nie tym razem, byłem po prostu tak wykończony, że nawet dwie minuty na siedząco w pomieszczeniu, które pachnie grzankami z dżemem truskawkowym, sprawiały mi wielką przyjemność.

– Ludzie ranią się nawzajem. Tak to już jest. Przynajmniej starałaś się zrobić coś dobrego. Nie każdy może to o sobie powiedzieć.

Napięcie w ustach Olivii przeszło na całe barki.

– Ludzie nie muszą się ranić – zauważyła.

– Ale to robią, Liv. Rodzice, kochankowie, bracia i siostry, wszyscy. Im bliższy związek, tym większe szkody.

– Bywa i tak. Oczywiście. Tylko nie mów, że jest to nieuniknione prawo natury... Wykręcasz się od odpowiedzialności, Frank, i dobrze o tym wiesz.

– Pozwól, że zaserwuję ci przyjemną, zimną, orzeźwiającą porcję rzeczywistości. Większość ludzi z rozkoszą stara się dokopać innym. A ta znikoma mniejszość, która czyni żalosne starania, by tego nie robić, i tak dokopie innym, bo zmusi ją do tego ten świat.

– Posłuchaj czasem swoich słów – rzekła oziębło Olivia. – Czy ty zdajesz sobie sprawę, że mówisz jak nastolatek? Użalający się nad sobą nastolatek, który za często słucha muzyki Morrissey'a.

To była kwestia pożegnalna, wypowiedziana z ręką na klamce, ale ja nie chciałem, żeby Olivia sobie poszła. Chciałem, żeby została w

cieplej kuchni i dalej się ze mną sprzeczała.

– Opieram się na swoim doświadczeniu – wyjaśniłem. – Może gdzieś tam są ludzie, których najbardziej destrukcyjnym uczynkiem jest zrobienie sobie nawzajem gorącego kakao z pianką cukrową, ale osobiście nigdy ich nie spotkałem. Jeżeli ty ich widziałaś, to oświeć mnie, bardzo proszę. Mam otwarty umysł. Wymień jeden znany ci związek, w którym ludzie nie krzywdzili się nawzajem.

Może nie umiem nakłonić Olivii do zrobienia czegokolwiek innego, na czym mi zależy, ale zawsze potrafiłem zrećźnie wciągnąć ją w sprzeczkę. Puściła klamkę, oparła się o ścianę i skrzyżowała ramiona.

– No dobrze. Niech ci będzie – odrzekła. – Ta dziewczyna, Rose. Powiedz mi, w jaki sposób ona cię zraniła. Nie człowiek, który ją zabił. Ona sama. Rose.

Koniec końców zawsze jest tak, że sytuacja, w której znajdę się z Liv, mnie przerasta.

– Wybacz, ale jak na jeden tydzień mam dość rozmawiania o Rose Daly.

– Ona cię nie zostawiła, Frank. Tak się nie stało. Prędzej czy później będziesz musiał uznać ten fakt.

– Niech zgadnę: nasza gadatliwa Jackie?

– Jackie nie musi mi mówić, że jakaś kobieta cię zraniła, a przynajmniej tak uważałeś. Wiedziałam o tym właściwie od początku naszej znajomości.

– Nie chcę przekłuwać twojego nadętego balonika, ale dzisiaj kiepsko wykorzystujesz swoje zdolności telepatyczne. Może następnym razem pójdzie ci lepiej.

– Telepatia też nie jest mi potrzebna. Zapytaj którąkolwiek z kobiet, z którymi byłeś w związku. Gwarantuję ci, że każda z nich zdawała sobie sprawę, iż jest namiastką i tylko wypełnia miejsce do czasu, gdy wróci do domu ta, której naprawdę pragniesz.

Chciała powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymała. Patrzyła z niepokojem, niemal z osłupieniem, jakby właśnie zdała sobie sprawę,

że zapuściła się na głęboką wodę.

– No, mów, zrzuć to z serca. Skoro zaczęłaś, dokończ.

Po chwili Liv lekko drgnęła, jakby wzruszyła ramionami.

– Dobrze. To był jeden z powodów, dla których chciałam, żebyś się wyprowadził.

Roześmiałem się głośno.

– Aha. No tak. A więc te cholerne niekończące się awantury o moją pracę, o to, że rzadko jestem w domu, miały służyć odwróceniu mojej uwagi? Chciałaś, żebym dalej zgadywał, o co chodzi?

– Wiesz, że nie to powiedziałam. I świetnie wiesz, że nie bez powodu miałam po dziurki w nosie tego, iż nigdy nie byłam pewna, czy „Wróć o ósmej” oznacza tego wieczoru czy we wtorek w przyszłym tygodniu, albo tego, że na pytanie: „Jak ci minął dzień?”, odpowiadasz: „Pracowałem”, albo...

– Wiem tylko tyle, że w intercyzie powinienem był umieścić punkt, który pozwoliłby mi ustrzec się od takiej rozmowy. A co ma wspólnego Rose Daly...

Olivia panowała nad swoim głosem, lecz była w nim jakaś nuta, tak silna, że mogła zwalić mnie ze stołka.

– Miała z tym wiele wspólnego. Zawsze zdawałam sobie sprawę, że wszystko inne wiąże się z faktem, iż nie jestem tamtą kobietą, bez względu na to, kto to taki. Gdyby ona zadzwoniła do ciebie o trzeciej nad ranem, pytając, dlaczego nie ma cię w domu, odebrałbyś ten cholerny telefon. Albo, co bardziej prawdopodobne, w ogóle nie musiałaby dzwonić, bo byłbyś w domu.

– Gdyby Rosie zadzwoniła do mnie o trzeciej nad ranem, zarobiłbym miliony na gorącej linii z zaświatami i zamieszkałbym na Barbadosie.

– Doskonale wiesz, co miałam na myśli. Nigdy, przenigdy nie traktowałbyś jej tak jak mnie. Czasami, Frank, czasami czułam, że odsuwasz mnie od siebie specjalnie, żeby ukarać za coś, co ona zrobiła, albo za to, że nie jestem nią. Że próbujesz mnie nakłonić, żebym odeszła, a wtedy ona, gdy wróci, nie zastanie nikogo na swoim



miejscu. Tak się czułam.

– Powiem to jeszcze raz: rzuciłaś mnie, bo tego chciałaś. Nie twierdzę, że było to dla mnie wielkim zaskoczeniem. Nie twierdzę również, że na to nie zasłużyłam. Natomiast twierdzę, że Rose Daly, o której nigdy w życiu nie słyszałaś, miała z tym dokładnie zero wspólnego.

– Miała dużo wspólnego, Frank. O tak. Ożeniłeś się ze mną, z góry zakładając, bez cienia wątpliwości, że nasze małżeństwo się nie utrzyma. Upłynęło wiele czasu, zanim to sobie uprzytomniłam, a wtedy podtrzymywanie naszego związku stało się bezcelowe.

Była taka śliczna, a zarazem taka zmęczona. Skóra zaczynała jej wiotczeć i wysychać, a mdłe światło w kuchni wydobywało kurze łapki wokół oczu. Pomyślałam o Rosie, krągłej, jędrnej, dorodnej jak dojrziała brzoskwinia, i o tym, że nie dana jej była szansa stać się śliczną w inny sposób niż doskonały. Miałem nadzieję, że Dermot dostrzeże, jak piękne są zmarszczki Olivii.

Jeszcze przed chwilą chciałem wdać się z nią w małą sprzeczkę w kameralnej atmosferze. Ale gdzieś na horyzoncie czaiła się i potęgowała awantura, która sprawiłaby, że najgorsze, co wyrządziliśmy sobie nawzajem, rozwiłoby się w nieszkodliwe, delikatne nic. Tworzył się wielki wir, który zassałby każdą wygenerowaną przeze mnie cząsteczkę gniewu; nie mogłem znieść myśli o starciu z Liv, poważnym, istotnym i na całego.

– Wiesz co – powiedziałem – pójdę na górę po Holly. Jeżeli nie ruszymy się stąd, będę się zachowywał jak wkurzony kretyn, dojdzie do potężnej kłótni, wprawię cię w zły humor i popsuję ci randkę. Zrobiłem to w zeszłym tygodniu i nie chcę się powtarzać.

Zaskoczona wybuchnęła śmiechem.

– Niespodzianka – oznajmiłem. – Nie jestem beznadziejnym fiutem.

– To wiem. I nigdy tak o tobie nie myślałam. – Posłałam jej spojrzenie spod uniesionej sceptycznie brwi i zacząłem zsuwać się ze stołka, ale mnie powstrzymała. – Pójdę po nią. Nie spodoba jej się, że

pukasz do drzwi, gdy się kąpie.

– Że co? Od kiedy?

Słaby uśmiech, cień smutku przemknął po jej wargach.

– Jest coraz starsza, Frank. Nawet mnie nie wpuści do łazienki, dopóki nie ubierze się od stóp do głów. Parę tygodni temu, gdy weszłam tam po coś, wrzasnęła jak opętana, a potem zrobiła mi wykład o potrzebie prywatności. Jeżeli zbliżysz się do niej, gwarantuję, że cię objedzie.

– Boże drogi. – Przypomniałem sobie Holly sprzed dwóch lat, jak wskakuje na mnie prosto z wanny, goła jak ją Pan Bóg stworzył, rozpryskując wodę i chichocząc do rozpuku, gdy łaskotałem ją w delikatne zebra. – No to idź i ściągnij ją na dół, zanim wyrosną jej pod pachami włosy albo co.

Mało brakowało, a znowu parsknęłaby śmiechem. Kiedyś rozśmieszałem ją nieustannie; ostatnio dwukrotnie w jeden wieczór byłoby rekordowym wynikiem.

– Zaraz wracam.

– Bez pośpiechu. Nie mam lepszych propozycji.

Wychodząc z kuchni, powiedziała niemal z oporem:

– Ekspres jest włączony, jeśli chcesz się napić kawy. Wyglądasz na zmęczonego.

Zamknęła za sobą drzwi z lekkim, choć stanowczym stuknięciem – które oznaczało, że mam się stąd nie ruszać – na wypadek gdyby przybył Dermo, a mnie zachciało się wyjść do niego w bokserkach. Odkleiłem się od stołka i zrobiłem sobie podwójne espresso. Dobrze znałem najrozmaitsze ciekawe strony charakteru Liv, wiele istotnych i tych kilka mocno paradoksalnych. Wszystkie mogły poczekać, aż wymyślę, co, do licha, zrobić z Shayem, i to zrobię.

Z góry doleciał mnie szum spuszczonej wody z wanny oraz trajkotanie Holly i przelotne uwagi Olivii. Poczulem – nagle i tak mocno, że niemal ścięło mnie z nóg – że chcę pognać na górę i wziąć je obie w ramiona, rzucić się razem na podwójne łóżko moje i Liv i zostać tam, śmiejąc się i uciszając nawzajem, podczas gdy na dole Dermo dzwoni

do drzwi, nadyma się ze złości, aż w końcu ma dość i odjeżdża swoim audi w stronę zachodzącego słońca. Wtedy my zamawiamy masę jedzenia na wynos i nie ruszamy się z pokoju przez cały weekend i jeszcze początek następnego. Przez chwilę mało brakowało, a straciłbym głowę i spróbował to zrobić.

• • •

Minęło trochę czasu, nim Holly poruszyła temat bieżących wydarzeń. Przy obiedzie opowiedziała mi o zajęciach hip-hopowych, urządziła szczegółowy pokaz i niemal bez tchu zrelacjonowała swoje wrażenia. Po jedzeniu zaczęła odrabiać lekcje, narzekając przy tym dużo mniej niż zwykle, a potem, przytulona do mnie, zwinęła się w kłębek na kanapie, żeby obejrzeć Hannah Montanę. Ssała pasemko włosów, czego nie robiła już od pewnego czasu, a ja czułem, że pracuje jej głowa. Nie naciskałem na nią. Dopiero w łóżku, po wypiciu ciepłego mleka i przeczytaniu opowiadki na dobranoc, gdy leżała opatulona kołdrą, a ja obok niej, obejmując ją ramieniem, odezwała się:

- Tato?
- O czym myślisz?
- Masz zamiar się ożenić?

Co jest, do diabła?

– Nie, skarbie. Wykluczone. Małżeństwo z twoją mamusią mi wystarczy. Skąd ci to przyszło do głowy?

- Masz dziewczynę?

Moja matka, bez dwóch zdań; prawdopodobnie jakaś uwaga o rozwodzie i niemożności wzięcia drugiego ślubu w kościele.

- Nie mam. Mówiłem ci już w zeszłym tygodniu, pamiętasz?

Holly przemyślała moje odpowiedzi.

– A ta Rosie, co umarła? Dziewczyna, którą znałeś, zanim się urodziłam.

- Co z nią?
- Była twoją dziewczyną?

- Tak. Wtedy jeszcze nie znałem twojej mamusi.
- Chciałeś się z nią ożenić?
- Taki mieliśmy plan.

Mrugnęła. Ściągnęły się jej brwi, delikatne jak pociągnięcie pędzelkiem; wciąż głęboko się zastanawiała.

- A dlaczego nie wzięliście ślubu?
- Rosie umarła, zanim do tego doszło.
- Mówiłeś, że nic nie wiedziałeś o jej śmierci aż do teraz.
- Tak było. Myślałem, że mnie rzuciła.
- Dlaczego nie wiedziałeś?
- Któregoś dnia zniknęła. Zostawiła list z wiadomością, że wyjeżdża do Anglii, więc uznałem, że chce mnie rzucić. Okazuje się, że wcale tak nie było.
- Tato?
- Słucham.
- Czy ktoś ją zabił?

Miała na sobie biało-różową piżamę w kwiatki, którą przed snem jej wyprasowałem – Holly uwielbia świeżo wyprasowane ubranka. Na podciągniętych kolanach postawiła Klarę. W kręgu miękkiego złocistego światła lampki stojącej na szafce nocnej wyglądała prześlicznie i ponadczasowo jak wizerunek akwarelą w książce dla dzieci. Ta rozmowa mnie przerażała. Chętnie oddałbym rękę, żeby mieć pewność, czy dobrze ją prowadzę, a przynajmniej, czy nie popełniam jakiegoś strasznego błędu.

– Zdaje się, że mogło tak być. To się działo dawno, dawno temu i teraz nic nie jest pewne.

Zamyślona patrzyła Klarze w oczy. Pasemko włosów znowu znalazło się w jej ustach.

- Gdybym ja zniknęła, myślałbyś, że uciekłam?

Olivia wspominała o koszmarach sennych.

– Nieważne, co bym pomyślał. Nawet gdybym sądził, że wsiałeś do rakiety i poleciałeś na inną planetę, wyruszyłbym na poszukiwanie i nie zatrzymał się, dopóki bym cię nie znalazł.

Odetchnęła głęboko i przysunęła się troszkę bliżej, dotykając mnie ramieniem. Przemknęło mi przez głowę, że przypadkiem zdołałem coś naprawić.

– Gdybyś się ożenił z Rosie – zapytała po chwili – czy ja bym się urodziła?

Wyjąłem włosy z jej ust i przyglądałem. Pachniały szamponem dla dzieci.

– Nie znam się na tym, ptaszyno. To bardzo zagadkowa sprawa. Wiem tylko, że ty to ty, i osobiście uważam, że znalazłaś sposób, żebyś to była ty bez względu na moje działania.

Wsunęła się głębiej pod kołdrę i powiedziała tym swoim tonem oznaczającym, że w razie sprzeciwu dojdzie do sprzeczki:

– W niedzielę po południu chcę iść do babci.

A ja pogawędzę sobie beztrąsko z Shayem przy herbatce.

– Hm, zastanowimy się nad tym – odrzekłem czujnie. – Zobaczymy, czy to będzie pasowało do naszych innych planów. Masz jakiś konkretny powód?

– Donna przychodzi tam co niedziela, gdy jej tato pogra sobie w golfa. Donna mówi, że babcia gotuje pyszny obiad z tartą jabłkową i lodami na deser, a ciocia Jackie czasem robi dziewczynom specjalne fryzury albo wszyscy oglądają DVD: Donna, Darren, Ashley i Louise wybierają na zmianę film, ale ciocia Carmel mówi, że gdy przyjdę, będę mogła wybrać pierwsza. Nigdy nie byłam tam w niedzielę, bo nie wiedziałeś, że odwiedzam babcię, ale teraz już wiesz i chcę tam iść.

Przyszło mi na myśl, że może rodzice zawarli jakiś pakt w kwestii niedzielnych popołudni albo matka dosypywała ojcu parę uszczęśliwiających pigulek do lunchu, a potem zamykała go w sypialni ze schowkiem w podłodze, domagającym się zainteresowania.

– Zobaczymy później.

– Któregoś razu wujek Shay zabrał ich wszystkich do sklepu rowerowego i pozwolił wypróbować rowery. A wujek Kevin czasem przynosi swoją konsolę Wii, razem z zapasowymi pilotami, a wtedy

babcia narzeka, że oni za bardzo skaczą i że dom się od tego zawali.

Przechyliłem głowę, żeby dobrze się przyjrzeć Holly. Obejmowała Klarę może ciut za mocno, ale nic nie wyczytałem z jej twarzy.

– Kochanie, wiesz, że wujka Kevina nie będzie w niedzielę, prawda?

Holly spuściła głowę.

– Wiem. Bo nie żyje.

– Zgadza się, kochanie.

Rzut oka na mnie.

– Czasem zapominam. Jak wtedy, gdy Sarah opowiedziała mi dowcip i chciałam mu powtórzyć, ale przypomniało mi się dopiero później.

– Rozumiem. Mnie też to się zdarza. Człowiek musi przywyknąć do tej myśli. Z czasem to minie.

Kiwnęła głową, przeczesując palcami grzywę Klary.

– No i można się spodziewać – mówiłem dalej – że wszyscy u babci będą w ten weekend bardzo zmartwieni. Nie pobawicie się tak jak w tamte niedziele, o których opowiadała ci Donna.

– Przecież wiem. Chcę pójść, bo chcę tam być.

– W porządku, ptaszyno. Zobaczymy, co da się zrobić.

Cisza. Holly zaplotła warkocz na grzywie Klary i uważnie jej się przyglądała.

– Tato?

– Słucham.

– Czasem myślę o wujku Kevinie i nie płaczę.

– W porządku, skarbie. Ja też czasem nie płaczę.

– Ale jeżeli go lubiłam, to chyba powinnam płakać?

– Moim zdaniem nie ma żadnych zasad, jak należy postępować, gdy umrze ktoś, kogo lubiliśmy. Z czasem sama się zorientujesz, kochanie. Raz będzie ci się chciało płakać, a innym razem będziesz zła na niego, że umarł i cię unieszczęśliwił. Pamiętaj tylko, że różne zachowania są w porządku. Podobnie jak różne myśli, które przyjdą ci do głowy.

- W *Idolu* zawsze płaczą, gdy mówią o kimś, kto umarł.
- Rzeczywiście, ale musisz traktować takie rzeczy z przymrużeniem oka. Przecież to telewizja.

Potrząsnęła energicznie głową, uderzając włosami po policzkach.

- Nie, tato, to nie tak jak w filmach, tam są prawdziwi ludzie. Opowiadają historie ze swojego życia, na przykład, że ich babcia była cudowna, wierzyła w nich, a potem umarła, i oni zawsze płaczą. Paula\* też czasem płacze.

\* Paula Abdul, jurorka w amerykańskiej edycji programu *Idol*.

- Oczywiście. Ale to nie znaczy, że i ty masz płakać. Ludzie są różni. Wyjawię ci sekret: wielu z nich udaje, bo chce zdobyć więcej głosów.

Nadal nie wyglądała na przekonaną. Przypomniałem sobie, jak pierwszy raz zetknąłem się ze śmiercią w rzeczywistości: miałem siedem lat, jakiś daleki krewny z New Street zmarł na atak serca i mama zabrała całą naszą gromadkę na czuwanie. Wyglądało podobnie jak po śmierci Kevina: płacz, śmiech, opowieści, stopy kanapek, dużo alkoholu, śpiewy i tańce do późnej nocy – ktoś przyniósł akordeon, ktoś inny znał cały repertuar Maria Lanzy. Jako wstępny instruktaż radzenia sobie z żałobą ta uroczystość była dużo zdrowszym doświadczeniem niż cokolwiek z udziałem Pauli Abdul. Zacząłem się zastanawiać, nawet wzięwszy pod uwagę wkład mojego ojca w urozmaicenie przyjęcia, czy nie powinienem był przyprowadzić Holly na czuwanie po śmierci Kevina.

Na myśl, że znajdę się w jednym pokoju z Shayem i nie będę mógł go stłuc na krwawą miazgę, dostałem zawrotów głowy. Cofnąłem się pamięcią do czasu, gdy byłem rozbrykanym małym dzieckiem i musiałem dorosnąć w paru wielkich susach, bo Rosie mnie potrzebowała, i gdy usłyszałem od swojego ojca, że mężczyzna powinien wiedzieć, za co jest gotów umrzeć. Mężczyzna robi to, czego potrzebuje jego kobieta albo jego dziecko, nawet gdy wydaje mu się to trudniejsze od umierania.

- Zrobimy tak – powiedziałem. – W niedzielę po południu pój-

dziemy do babci, choćby na krótko. Będzie się tam dużo mówiło o wujku Kevinie, ale na pewno wszyscy poradzą sobie z tym na swój sposób: nie każdy będzie płakał przez cały czas i nie pomyślę, że coś jest nie w porządku, jeśli ty w ogóle nie będziesz płakać. Uważasz, że dzięki temu łatwiej ci będzie poukładać sobie wszystko w głowie?

Holly się ożywiła. Nawet przeniosła wzrok z Klary na mnie.

– No. Pewnie tak.

– To załatwione. – Poczulem, jakby strużka lodowatej wody spływała mi po kręgosłupie, ale uznałem, że muszę to znieść, jak przystało na dużego chłopca. – Taki mamy plan.

– Naprawdę? Jesteś pewien?

– Tak. Zaraz zadzwonię do cici Jackie i poproszę, żeby uprzedziła babcię o naszej wizycie.

– To dobrze. – Znowu odetchnęła głęboko, tym razem rozluźniając również ramiona.

– Nim to nastąpi, sądzę, że wszystko będzie wyglądało weselej, jeżeli się dobrze wyśpisz. Zamknij oczy.

Holly umościła się na plecach i ułożyła sobie Klarę pod brodą.

– Opatul mnie.

Opatuliłem ją kołdrą ze wszystkich stron.

– Zero koszmarów, dobrze, ptaszyno? Dozwolone są tylko kolorowe sny. Takie masz polecenie na dzisiejszą noc.

– Dobrze. – Już opadały jej powieki, puszczała grzywę Klary. – Dobranoc, tato.

– Dobranoc, skarbie.

Powinienem był to zauważyć o wiele wcześniej. Blisko piętnaście lat chronilem życie swoje, moich chłopaków i dziewczyn, ponieważ nigdy nie przeoczyłem ani jednego znaku: unoszącego się w powietrzu ostrego zapachu spalonego papieru czy surowego, zwierzęcego tonu czyjegoś głosu podczas zwykłej rozmowy telefonicznej. Źle się stało, że jakoś je przegapiłem w wypadku Kevina; w wypadku Holly to absolutnie nie powinno się wydarzyć. Powinienem był dostrzec, jak rozbłyskuje niczym bezgłośnie błyskawica wokół pluszowych zaba-



wiek, jak wypełnia tę przytulną, małą sypialnię niczym trujący gaz – niebezpieczeństwo.

Ale nie dostrzegłem, tylko wstałem z łóżka, zgasilem lampkę i przestawiłem plecaczek, żeby nie zasłaniał światelka, które pali się przez całą noc. Holly zwróciła się twarzą w moją stronę i coś mruknęła. Gdy pocałowałem ją w czoło, wsunęła się głębiej pod kołdrę i sapnęła z zadowoleniem. Długo jej się przyglądałem: jasne loki były rozrzucone na poduszce; rzęsy rzucały postrzępiony cień na policzki; w końcu wyszedłem cicho z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Każdy gliniarz, który pracował jako tajniak, wie, jak wyjątkowy jest dzień poprzedzający rozpoczęcie operacji. Przypuszczam, że tego samego uczucia doznają kosmonauci, gdy zaczyna się odliczanie przed startem, i spadochroniarze, gdy stoją w rzędzie przed skokiem. Światło staje się oślepiające i twarde jak brylant; każda twarz jest taka piękna, że zapiera ci dech w piersiach; masz krystalicznie czysty umysł, każda sekunda rozciąga się przed twoimi oczami niczym rozległy, gładki krajobraz, sprawy dręczące cię od miesięcy nagle są całkowicie zrozumiałe. Mógłbyś pić przez cały dzień, pozostając zupełnie trzeźwy; trudne krzyżówki rozwiązujesz z dziecinną łatwością. Ten dzień trwa sto lat.

Długo już byłem tajniakiem, ale rozpoznałem to uczucie zaraz po przebudzeniu się w sobotę rano. Dostrzegłem je w cieniach kołyszących się na suficie sypialni i w smaku kawy. Powoli, jedna rzecz po drugiej – gdy puszczaaliśmy z Holly latawca w Phoenix Park, gdy pomagałem jej odrabiać angielski, gdy gotowaliśmy makaron z serem i wyszło go za dużo – wszystko zaczęło układać się w całość. Wczesnym popołudniem w niedzielę, jadąc z Holly przez rzekę na drugą stronę miasta, wiedziałem już, co zrobię.

Faithful Place wyglądała czysto i niewinnie jak ze snu, wypełniona po brzegi przejrzystym żółtawym światłem, które płynęło nad splekanym brukiem. Holly ścisnęła mnie za rękę.

– Co takiego, ptaszyno? Rozmyśliłaś się? – zapytałem.

Pokręciła głową.

– Zawsze możesz zmienić zdanie. Wystarczy jedno słowo, a znajdziemy jakieś fajne DVD z całą masą księżniczek i wróżek i

kupimy kubek popcornu większy niż twoja głowa.

Nie roześmiała się, nawet na mnie nie spojrzała. Tylko poprawiła plecaczek na ramionach, pociągnęła mnie za rękę i zesłiśmy z krawężnika, wkraczając w to dziwne jasnożłote światło.

Matka dała z siebie wszystko, żeby przyjęcie było takie, jak należy. Wpadła w szal pieczenia ciast – prostokątne pierniczki i tarty z dżemem stały wszędzie. Bładym świtem postawiła na nogi swoją drużynę i wysłała Shaya, Trevora i Gavina po choinkę, która okazała się dużo za szeroka jak na powierzchnię salonu. Gdy wszedłem z Holly do mieszkania, w radiu leciał Bing Crosby, dzieciaki Carmel zostały ślicznie ustawione wokół choinki i zawieszały ozdoby, każdy trzymał w ręku kubek parującego kakao, nawet ojciec, usadowiony z kocem na kolanach na kanapie, wyglądał jak patriarcha, i to całkiem trzeźwy. Miałem wrażenie, że znalazłem się w reklamie z lat pięćdziesiątych. Całe to groteskowe przedstawienie było oczywiście skazane na porażkę – wszyscy byli przybici, Darren miał tępe spojrzenie, co według mnie oznaczało, że lada chwila przestanie nad sobą panować – rozumiałem jednak, co matka chciała osiągnąć. Chwyciłoby mnie to za serce, gdyby w ramach swojego zwyczajowego *modus operandi* nie powiedziała, że robią mi się straszne zmarszczki wokół oczu i niedługo będę miał sflaczałą twarz.

Osobą, od której nie mogłem oderwać oczu, był Shay. Wyglądał jak w stanie podgorączkowym: niespokojny, zarumieniony, z zapadniętymi policzkami, jakich nie miał wcześniej, i niebezpiecznie roziskrzonym wzrokiem. Moją uwagę zwróciło jednak jego zachowanie. Siedział rozparty w fotelu, jedno kolano mocno mu podrygiwało, i prowadził z Trevorem ożywioną, wnikliwą rozmowę o golfie. Ludzie rzeczywiście się zmieniają, ale, o ile mi było wiadomo, Shay nie znosił golfa odrobinę mniej niż Trevora. Tylko doprowadzony do ostateczności mógł z własnej woli wpuścić się w tę z obu względów nieprzyjemną dla siebie sytuację. Stwierdziłem, że Shay jest w złej formie, i uznałem tę informację za pożyteczną.

W ponurym nastroju rozwieszaliśmy bogatą kolekcję ozdóbek

mojej matki – zawsze należy pamiętać, że ozdóbki mamuśki są świętością. Wykorzystując *Santa Baby* jako zagłuszarkę, udało mi się, tak by nikt nie słyszał, zapytać Holly:

– Dobrze się bawisz?

– Super – odrzekła dzielnie i z powrotem wskoczyła między swoje cioteczne rodzeństwo, zanim zdążyłem zadać więcej pytań. Dzieciak szybko łapał lokalne obyczaje. Zacząłem układać plan sesji psychologicznego debriefingu.

Gdy moja matka uznała z zadowoleniem, że ilość kiczu na choince osiągnęła stan wysoki, Gavin i Trevor zaproponowali, że pójdą z dziećmi na jarmark świąteczny w Smithfield.

– Trzeba zrzucić te pierniczki – oświadczył Gavin, klepiąc się po brzuchu.

– Pierniczki nic tu nie zawiniły – warknęła matka. – Jeżeli tyjesz, panie Gavinie Keogh, to nie z powodu mojej kuchni.

Gavin bąknął coś i posłał Jackie udęczone spojrzenie. Zachował się z wycuciem, na swoją owłosioną, okazałą miarę: chciał dać nam sposobność zaznania jedności rodzinnej w tej ciężkiej chwili. Carmel opatulila dzieci paltami, szalikami i welnianymi czapkami – Holly natychmiast stanęła w rzędzie, między Donną a Ashley, niczym jedna z pociech Carmel – i wyszli z domu. Przez okno salonu obserwowałem, jak cała gromadka idzie ulicą. Holly – pod rękę z Donną, tak blisko jedna drugiej, że wyglądały jak bliźniaczki syjamskie – nawet nie spojrzała w górę i nie pomachała.

Sposobność zaznania jedności rodzinnej nie została wykorzystana zgodnie z zamysłem Gavina: wszyscy zasiedliśmy przed telewizorem, w milczeniu, aż matka doszła do siebie po blitzkriegu na ozdóbki i wyciągnęła Carmel do kuchni, każąc jej zawijać wypieki folią.

– Chodźmy na papierosa – szepnąłem do Jackie, zanim i na nią by padło.

Jackie obrzuciła mnie niepewnym spojrzeniem dziecka, które wie, że zarobi klapsa, gdy będzie z mamą sam na sam.

– Podejdz do tego jak kobieta, dziecinko – powiedziałem. – Im

szybciej będziesz to miała za sobą...

Na dworze było zimno, pogodnie i bezwietrznie; niebo nad dachami ciemniało, z bładoniebieskiego stawało się liliowe. Jackie klapnęła na swoim miejscu na dolnym schodku, splatając długie nogi w fioletowych wysokich botach z lakierowanej skóry.

– Daj mi fajkę, zanim na mnie nawrzeszczysz. Gav zabrał nasze.

– Powiedz mi – odezwałem się miłym tonem, gdy podałem jej ogień i sam zapaliłem – co wyście sobie z Olivia myślały, do diabła?

Podbródek Jackie już przybrał pozycję do kłótni i przez sekundę, ku mojemu zaniepokojeniu, wyglądała wypisz wymaluj jak Holly.

– Myślałam, że byłoby wspaniale dla Holly, gdyby poznała nas wszystkich. Sądzę, że Olivia była tego samego zdania. I nie myliłyśmy się, prawda? Widziałeś Holly razem z Donna?

– Widziałem. Uroczy widok. Widziałem również, że cholernie rozpacziała z powodu Kevina. Tak płakała, że ledwo mogła łapać powietrze. To już nie było takie urocze.

Jackie obserwowała wijącą się nad schodkami smużkę dymu ze swojego papierosa.

– Wszyscy jesteście rozwaleni. Ashley też, a ma zaledwie sześć lat. Takie jest życie. Martwiłeś się, że Holly za rzadko styka się z tym, co autentyczne, pamiętasz? Moim zdaniem nie ma nic autentyczniejszego.

To pewnie prawda, ale słuszność po czyjejś stronie jest nieistotna, gdy coś złego może się stać Holly.

– Jeżeli moje dziecko powinno zapoznać się z pewnymi obszarami rzeczywistości, na ogół wolę sam zaspokoić tę potrzebę. A przynajmniej być uprzedzony o tym, że ktoś zamierza zrobić to za mnie. Czy takie wymagania są według ciebie nierozsądne?

– Powinam była ci powiedzieć. Nic tego nie usprawiedliwia – przyznała Jackie.

– Więc dlaczego nie powiedziałeś?

– Zamierzałam, jak Boga kocham, ale... Z początku myślałam, że nie ma sensu zawracać ci głowy, bo a nuż nic z tego nie wyjdzie.

Chciałam przyprowadzić Holly tylko raz, a potem byśmy ci powie-  
działy...

– A ja przekonałbym się, jaki to wspaniały pomysł, i przyleciał do domu z bukietem kwiatów dla mamy w jednej ręce i dla ciebie w drugiej ręce, później urządzilibyśmy wielkie przyjęcie i żyli długo i szczęśliwie. Taki był plan?

Wzruszyła ramionami, ale już spuszczała powoli głowę.

– Uważam, Bóg mi świadkiem, że byłoby to obrzydliwe, choć o niebo lepsze od tego, co się stało – oświadczyłem. – Dlaczego się rozmyślałaś? Co więcej... szczęka mi opada, gdy mówię te słowa... trwało to cały rok.

Jackie nadal nie podnosiła na mnie wzroku. Zaczęła się wiercić na schodku, jakby coś ją uwierało.

– Tylko się ze mnie nie śmiej – odrzekła.

– Zaręczam ci, że nie jestem w rozrywkowym nastroju.

– Bałam się. Jasne? Dlatego nic nie mówiłam.

Minęła dobra chwila, nim nabrałem pewności, że nie robi sobie ze mnie jaj.

– Och, przestań. Niby co takiego by się stało, do cholery? Spralbym cię na kwaśne jabłko?

– Nie powiedziałam...

– No więc co? Jak można zasunąć taką bombę, a potem udawać nieśmiałą panienkę? Czy choć raz w życiu dałem ci jakikolwiek powód, żebyś się mnie bała?

– A spójrz teraz na siebie! Ta mina i to gadanie, jakbyś mnie nienawidził do żywego. Nie znoszę, gdy ludzie się wyżywają, krzyczą, wpadają w szał. Zawsze tego nie znosiłam. Dobrze wiesz.

Nie zdążyłem się powstrzymać i powiedziałem:

– Według ciebie zachowuję się jak nasz ojciec.

– Ależ skąd. Nie, Francis. Nie miałam tego na myśli.

– Oby. Nie tędy droga, Jackie.

– Gdzieżby tam. Ja tylko... Nie mogłam się zdobyć na to, żeby ci powiedzieć. To moja wina, nie twoja. Przepraszam. Szczerze prze-

praszam.

Nad nami rozległ się łomot otwieranego okna i pojawiła się głowa mamy.

– Szanowna pani Jacinta Mackey zamierza siedzieć tam jak królowa Saby i czekać, aż matka i siostra podadzą jej kolację na złotym talerzu?

– To przeze mnie, mamó! – zawołałem, unosząc głowę. – Wyciągnąłem ją na pogawędkę. Pozmywamy potem naczynia. Co ty na to?

– Patrzcie państwo! Przychodzi tu jak do własnego domu, zaczyna się rządzić, poleruje srebra i zamierza zmywać naczynia, udając niewiniątko...

Nie chciała jednak chandryczyć się ze mną, bo jeszcze zabiorę Holly i się wyniosę. Cofnęła głowę, ale i tak było słychać jej gderanie, dopóki nie zatrzasnęła okna.

W wieczornym mroku zaczęły zapalać się światła na Faithful Place. Nie tylko nasza rodzina gustowała w ozdobach bożonarodzeniowych. Dom Hearne'ów wyglądał jak wioska Świętego Mikołaja w supermarkecie: lamety, renifery i migające lampki zwieszane z sufitu, rozochoczone elfy i przesłodzone aniołki na każdym skrawku ściany, „Wesołych Świąt” namalowane śniegiem w sprayu na oknie. Nawet japiszony miały gustowną stylizowaną choinkę z jasnego drewna, na której wisały trzy ozdoby, szwedzkie z wyglądu.

Wyobraziłem sobie, że przychodzę tu w każdy niedzielny wieczór i na moich oczach Faithful Place poddaje się znajomym rytmom rocznego cyklu. Wiosna i dzieciaki po Pierwszej Komunii, biegające od domu do domu, żeby pochwalić się swoimi ubrankami i prezentami; letni wiatr, furgonetki lodziarzy z charakterystyczną melodyjką i wszędzie wydekoltowane dziewczyny; nowy renifer Hearne'ów, którego będę podziwiał o tej porze za rok i za dwa lata. Na tę myśl zaczęło mi się trochę kręcić w głowie, jakbym był na rauszu albo zmagał się z ciężką grypą. Mama przypuszczalnie znajdzie co tydzień nowy powód do narzekań.

– Francis – odezwała się niepewnie Jackie. – Dobrze się czujesz?

Miałem do wygłoszenia pierwszorzędną tyradę, opracowaną ze szczegółami, ale zabrakło mi pary na myśl, że znowu będę częścią Faithful Place. Najpierw Olivia, teraz to: mięknię na starość.

– Taa, w porządku. Gdy będziesz miała własne dzieci, wiedz, że kupię każdemu perkusję i szczeniaka bernardyna.

Jackie obrzuciła mnie nieufnym spojrzeniem – zaskoczona, że wywinęła się tak łatwo – ale uznała chyba, że darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby.

– A kup. Gdy wyrzucę je z domu, dam im twój adres.

Za nami otworzyły się drzwi na korytarz: Shay i Carmel. Od kilku minut zakładałem się ze sobą w myślach, ile czasu Shay wytrzyma bez gadania, a co dopiero bez papierosa.

– O czym rozmawiacie? – zapytał, siadając na swoim miejscu na górnym schodku.

– O Holly – odrzekła Jackie.

– Objechałem Jackie za to, że bez mojej wiedzy przyprowadziła tu Holly – dodałem.

Carmel klapnęła obok mnie.

– Oj ! Rany Julek, one są coraz twardsze. Gdyby nie to, że jestem przy kości, zrobiłabym sobie krzywdę w pewnym miejscu... Nie naskakuj na Jackie, Francis. Miała przyprowadzić Holly tylko raz, żeby nas poznała, ale dostaliśmy bzika na jej punkcie i kazaliśmy Jackie znowu ją przyprowadzić. Taki słodziak z tego dziecka, daję słowo. Powinieneś być z niej dumny.

Oparłem się plecami o barierkę, żeby mieć oko na wszystkich jednocześnie, i wyciągnąłem nogi na schodku.

– I jestem.

Shay odezwał się, szukając po kieszeniach fajek:

– Nawet przy nas nie zamieniła się w zwierzę. Nie chce się wierzyć, co?

– Jestem pewien, że dokładaliście starań – odrzekłem ujmującym tonem.



– Donna jest przerażona, że więcej nie zobaczy Holly – powiedziała Carmel, patrząc na mnie niepewnie, kątem oka, przez co jej stwierdzenie stało się pytaniem.

– Nie ma powodu, by tak sądziła – oświadczyłem.

– Francis! Mówisz poważnie?

– Oczywiście. Nie jestem taki głupi, żeby stawać między dwiema dziewięciolatkami.

– Och, cudownie! One tak się zaprzyjaźniły, naprawdę. Donna byłaby zdruzgotana. Czy to znaczy...? – Potarła niezdarnie nos; od zarania dziejów pamiętałem ten ruch. – Ty też będziesz tu przychodził? Czy tylko pozwolisz Jackie przywozić Holly?

– Jestem tu, co nie?

– No tak. Wspaniale cię widzieć. Ale czy ty...? No wiesz, wróciłeś do domu?

Uśmiechnąłem się do niej.

– Wspaniale widzieć również ciebie, Melly. Tak, będę się tu kręcił.

– Jezusie, Maryjo, Józefie święty, najwyższy czas, cholera – wtrąciła się Jackie, przewracając oczami. – Nie mogłeś podjąć tej decyzji piętnaście lat temu i zaoszczędzić mi tylu kłopotów?

– Bomba, po prostu bomba, Francis – trajkotała Carmel. – A myślałam... – Znowu ten gest skrępowania. – Pewnie za bardzo dramatyzowałam. Wydawało mi się, że gdy wszystko się wyjaśni, znowu przepadniesz. Na dobre, znaczy się.

– Tak zakładałem, rzeczywiście. Ale muszę przyznać jedno: nie spodziewałem się, że tak ciężko będzie mi się oderwać. Dobrze jest, jak powiedziałeś, wrócić do domu.

Shay wpatrywał się we mnie skupionymi, pozbawionymi wyrazu niebieskimi oczami. Spojrzałem mu prosto w twarz i na dokładkę uśmiechnąłem się szeroko. Niech się trochę podenerwuje. Ale na razie nie za bardzo. Niech tego na pewno dość krępującego wieczoru dodatkowo pojawi się rozedrgany cień niepokoju. Teraz chciałem tylko zasiać gdzieś głęboko w jego umyśle małe ziarno świadomości.

mości: to dopiero początek.

Stephena mam już z głowy, Rewelkę będę miał wkrótce. Gdy zajmą się następną sprawą na liście, pozostaniemy tylko my dwaj: ja i Shay, na wieki wieków. Będę mógł przez rok manewrować nim jak jo-jo, zanim się przekona, że o wszystkim wiem, i przez kolejny rok napomykać o różnych ciekawych możliwościach, jakie przychodzą mi do głowy. Mam mnóstwo czasu.

Natomiast Shay miał go dużo mniej. Nie trzeba lubić członków swojej rodziny ani nawet spędzać z nimi wiele czasu, żeby znać ich na wylot. Shay od początku był nerwowy, całe życie spędził w takiej atmosferze, że na jego miejscu nawet dalajlama byłby wrakiem człowieka, i zrobił rzeczy, po których latami gnieźdzą się w mózgu koszmary. Jasne jak słońce, że był o krok od załamania nerwowego. Wiele osób mówiło mi – spora część w formie komplementu – że dostałem od Boga talent do manipulowania ludźmi; a to, co można zrobić obcym, ma się nijak do tego, co można zrobić własnej rodzinie. Byłem niemal pewny, że potrzebuję tylko czasu i wytrwałości, by Shay założył sobie pętlę na szyję, przywiązał koniec liny do poręczy schodów w domu pod szesnastym i skoczył.

Shay siedział z odchyloną do tyłu głową i zmrużonymi oczami, patrząc, jak Hearne'owie kręcą się po wiosce Świętego Mikołaja.

– Mam wrażenie, że już zacząłeś się zadomawiać – powiedział do mnie.

– Ach tak?

– Słyszałem, że wpadłeś niedawno do Imeldy Tierney.

– Mam ustosunkowanych przyjaciół. Najwyraźniej ty też.

– Czego chciałeś od Imeldy? Pogadać czy ją przelecieć?

– Och, Shay, dlaczego ty mnie nie doceniasz? Niektórzy z nas nie ulegają takim niskim gustom, rozumiesz, o co mi chodzi? – Mrugnąłem do niego i patrzyłem, jak w jego oku pojawia się ostry błysk zastanowienia.

– Przestań – zwróciła się do mnie Jackie. – Swoje uwagi zachowaj dla siebie. Może jeszcze nie wiesz, ale żaden z ciebie Brad

Pitt.

– Widzieliście ostatnio Imeldę? Dawniej też nie była gwiazdą, ale, Boże drogi, co się z niej zrobiło?

– Mój kumpel dmuchnął ją raz – powiedział Shay. – Parę lat temu. Mówił mi, że ściągnął jej majtki i miał wrażenie, przysięgał na Boga, że widzi któregoś z ZZ Top, postrzelonego w twarz.

Parsknąłem śmiechem, oburzona Jackie przypuściła wrzaskliwy atak, tylko Carmel nie zareagowała. Nie byłem pewny, czy w ogóle usłyszała ostatnie słowa. Mięła w rękach brzeg spódnicy, siedząc ze spuszczoneymi oczami, jak w transie.

– Dobrze się czujesz, Melly? – zapytałem.

Spojrzała w górę zaskoczona.

– Tak, chyba tak, tylko... Sam wiesz. Nie chce się wierzyć, co?

– Rzeczywiście.

– Nie opuszcza mnie myśl, że podniosę wzrok i on tu będzie. Kevin, znaczy się. Tu na schodach, pod Shayem. Za każdym razem, gdy go nie widzę, zadaję sobie pytanie, gdzie on się podziewa. Też tak macie?

Ścisnąłem ją za rękę. Shay burknął z niespodziewaną zajadłością:

– Beznadziejny głupek.

– Co ty gadasz, do cholery? – obruszyła się Jackie.

Shay pokręcił głową i zaciągnął się papierosem.

– Ja też chciałbym wiedzieć – wtrąciłem się.

– On nie miał nic na myśli. Nie miałaś, prawda, Shay?

– Sami się domyślcie.

– Przyjmij, że my też jesteśmy głupkami, i wyłóż kawę na ławę – powiedziałem.

– Nie muszę przyjmować.

Carmel się rozplakała.

– No już, daj spokój – zwrócił się do niej Shay, dość serdecznie, ale takim tonem, jakby powtarzał to setki razy w tym tygodniu.

– To ode mnie silniejsze. Czy nie możemy być dla siebie dobrzy, choć ten jeden raz? Po tym wszystkim. Nasz mały biedny Kevin nie

żyje. Nigdy tu nie wróci. Dlaczego my tu siedzimy i zadreżamy się nawzajem?

– Och, Carmel, kochanie, to tylko takie gadane. Nie mieliśmy nic na myśli – próbowała pocieszyć ją Jackie.

– Mów za siebie – burknął Shay.

– Jesteśmy rodziną, dziecinko, a w rodzinie tak już jest – zauważyłem.

– Ten kretyn ma rację – przyznał Shay. – Tym razem.

– Popatrzcie, jeszcze w zeszły piątek wszyscy tu siedzieliśmy, całą piątką... – mówiła Carmel, coraz bardziej zapłakana. – Byłam w siódmym niebie, naprawdę. Nie przyszło mi do głowy, że to ostatni raz, wicie? Myślałam, że to początek.

– Wiem, że tak myślałaś – rzekł Shay. – Spróbuj się opanować, dobrze? Zrób to dla mnie, co?

Carmel otarła łzę, ale napływały następne.

– Boże, wybacz mi, przeczuwałam, że coś złego się stało z Rosie. Każdy z nas to czuł, prawda? A ja po prostu wolałam o tym nie myśleć. Nie sądzicie, że zasłużyliśmy na tę karę?

– Och, Carmel! – wszyscy natychmiast zawołaliśmy chórem.

Carmel chciała powiedzieć coś jeszcze, lecz słowa przemieszały się z jakimś żalonym sapnięciem połączonym z pociągnięciem nosem. Broda Jackie już zaczynała się lekko trząść. Lada chwila będziemy pływać w morzu łez.

– Powiem wam, co mnie dobija – odezwałem się. – To, że nie było mnie tu w niedzielę wieczorem. Tej nocy, gdy on... – Zawiesiłem głowę, uderzając głową o barierkę raz i drugi. – Mieliśmy wtedy ostatnią szansę. – Uniosłem oczy w stronę ciemniejącego nieba. – Powinienem był tu przyjść.

Cyniczne spojrzenie, które posłał mi Shay, mówiło, że nie dał się nabrać, za to dziewczyny, ogarnięte współczuciem, patrzyły na mnie wielkimi oczami i przygryzały wargi. Carmel wyjęła chusteczkę i zachowała resztę łez na później, skoro mężczyzna potrzebuje opieki.

– Skąd miałeś wiedzieć, Francis? – rzekła Jackie, klepiąc mnie po

kolanie.

– Nie o to chodzi. Istota sprawy polega na tym, że najpierw straciłem dwadzieścia dwa lata, które mogłem z nim dzielić, a potem straciłem tych kilka ostatnich godzin, które człowiek ma w życiu. Szkoda, że...

Pokręciłem głową, wygrzebałem następnego papierosa i kilkakrotnie pstrykałem zapalniczką, zanim udało mi się go zapalić.

– Trudno – odezwałem się, gdy po paru głębokich machach zapanowałem nad swoim głosem. – No już, powiedzcie coś. Opowiedzcie mi, jak było tamtego wieczoru. Co straciłem?

Shay prychnął, za co dziewczyny obrzuciły go takimi samymi gniewnymi spojrzzeniami.

– Daj mi chwilę pomyśleć – powiedziała Jackie. – To był zwyyczajny wieczór, rozumiesz, o co mi chodzi? Nic specjalnego. Prawda, Carmel?

Spojrzały jedna na drugą, dobrze się zastanawiając. Carmel wydmuchała nos i odrzekła:

– Miałam wrażenie, że Kevin jest trochę nie w sosie. Nie uważacie?

Shay z niesmakiem pokręcił głową i odwrócił się do nich bokiem, dystansując się od tego wszystkiego.

– Moim zdaniem wyglądał świetnie – oświadczyła Jackie. – Razem z Gavinem wyszli na dwór pokopać piłkę z dziećmiakami.

– Ale palił. Po obiedzie. Kevin palił tylko wtedy, gdy był zdeenerwowany.

Otóż to. Na terytorium naszej mamy niełatwo o prywatność i możliwość pogadania w cztery oczy („Kevinie Mackey, o czym wy dwaj tam szepczecie? Skoro to takie ciekawe, wszyscy chętnie się dowiemy...”). Jeżeli Kevin chciał zamienić z Shayem kilka słów – ten nieszczęsny głupek na pewno do tego dążył, gdy go spławiłem, sprytniejszy pomysł nie przyszedłby mu do głowy – to musiał wyjść z nim przed dom na papierosa.

Kev naturalnie sknocił sprawę, miętosił w palcach papierosa, jękał

się, szukając słów, by wyrazić gonitwę dręczących go myśli. Przez to jego skrępowanie Shay miał dużo czasu, żeby dojść do siebie i odpowiedzieć ze śmiechem: „Boże święty, chłopie, czy ty naprawdę uważasz, że ja zabiłem Rosie Daly? Wszystko ci się popierdoliło. Jeżeli chcesz wiedzieć, jak rzeczywiście było...”. Szybkie spojrzenie w górę na okno; zgaszenie pęta na schodkach. „Ale nie teraz, nie mam czasu. Może później, co? Wróć tu po wizycie u mamy. Nie możemy pogadać u mnie, bo mama zaraz zacznie się dopytywać, co kombinujemy, puby będą już zamknięte, wobec tego spotkam się z tobą pod szesnastym. To nie potrwa długo”.

Tak bym postąpił na miejscu Shaya i poszłoby mi niemal tak łatwo. Kevin nie ucieszyłby się na myśl, że znowu znajdzie się pod szesnastym, zwłaszcza w ciemnościach, ale Shay był dużo sprytniejszy od niego i dużo, dużo bardziej zdesperowany, a poza tym Kevin zawsze łatwo dawał się namówić. Nie postałoby mu w głowie, że można się bać własnego brata, bać się w tym sensie. Jak na człowieka, który dorastał w naszej rodzinie, Kev był chodzącą niewinnością.

– Jak Boga Kocham, Francis, nic się nie działo – mówiła dalej Jackie. – Było jak dzisiaj. Pograli w piłkę, potem zjedliśmy obiad, obejrzelśmy coś w telewizji... Kevin czuł się świetnie. Nie możesz winić siebie.

– Dzwonił do kogoś? Ktoś dzwonił do niego? – zapytałem.

Shay zmierzył mnie zmrużonymi oczami i szybko odwrócił wzrok, nie mówiąc słowa.

– Ciągłe wymieniał się SMS-ami z jakąś dziewczyną, chyba z Aisling, co? – odrzekła Carmel. – Powiedziałam mu, żeby jej nie zwodził, a on na to, że nie mam pojęcia, jak to się dzisiaj odbywa... Traktował mnie z góry. To miałam na myśli, mówiąc, że był nie w sosie. Ostatni raz widziałam go...

Miała jakiś przytłumiony, zraniony głos. Jeszcze chwila, a znowu się rozplacze.

– Kontaktował się z kimś jeszcze?

Dziewczyny pokrepiły głowami.

- Hmm – mruknąłem.
- A co, Francis? Jakie to ma znaczenie? – zapytała Jackie.
- Kojak na tropie – odezwał się Shay, patrząc w liliowe niebo. – Kto cię kocha, dziecino?\*

\* Słynna kwestia Kojaka. W oryginale: *Who loves ya, baby?*

– Ujmijmy to tak – powiedziałem. – Słyszałem najróżniejsze wyjaśnienia tego, co się stało z Rosie i Kevinem. Żadne mi się nie podoba.

- Jak wszystkim – oświadczyła Jackie.

Carmel przebijała paznokciem purchle farby na barierce.

– Wypadki się zdarzają – rzekła. – Bywa, że sprawy przybierają straszny obrót, ni w pięć, ni w dziewięć. Chyba wiesz.

– Nie, Melly, nie wiem. Mam wrażenie, że wciskasz mi dokładnie to samo co inni: jakiś śmierdzący szajs, na który ani Rosie, ani Kevin nie zasłużyli. Nie jestem w nastroju, żeby to przyjąć.

Carmel mówiła dalej, niewzruszona jak skała:

– Nic już się nie poradzi, Francis. Wszyscy jesteśmy zrozpaczeni. Żadne wyjaśnienia niczego nie naprawią. Daj sobie z tym spokój.

– Może bym i dał, ale mnóstwo innych ludzi nie zostawi tej sprawy, na dodatek jedna z wiodących teorii głosi, że to ja jestem złoczyńcą. Twoim zdaniem powinienem nie zwracać na to uwagi? Sama mówiłaś, że chcesz, żebym tu przychodził. Zastanów się, co to oznacza. Chcesz, żebym co niedziela pokazywał się na Faithful Place, gdzie uważa się mnie za mordercę?

Jackie przesiadła się stopień wyżej.

– Powtarzam ci: to tylko gadanie – zwróciła się do mnie. – Przycichnie.

– W takim razie, skoro ani ja, ani Kevin nie jesteśmy czarnymi charakterami, to powiedzcie mi: co się stało?

Zapadła długa cisza. Usłyszeliśmy je, jeszcze zanim się pojawiły: przeplatające się głosy dzieciaków, przyciszony gwar, pośpieszny i nieustający, gdzieś w długim strumieniu wieczornego światła u szczytu ulicy. Wyszła z niego gromadka czarnych postaci: mężczyźni

wysocy jak latarnie, dzieci zamazane i rozedrgane w ciągłym ruchu. Na krzyk Holly: „Tato!” pomachałem ręką, choć nie mogłem jej odróżnić od pozostałych. Przed nimi podskakiwały na bruku cienie, tworząc tajemnicze kształty u naszych stóp.

– Spokojnie – szepnęła do siebie Carmel. Nabrała powietrza i otarła palcami oczy, tak żeby po łzach nie pozostał ślad. – Spokojnie.

– Przy następnej okazji powiecie mi do końca, co się działo tamtej niedzieli – powiedziałem.

– Potem zrobiło się późno – rzekł Shay. – Matka, ojciec i ja poszliśmy spać, a Kev i Jackie poszli do siebie. – Wyrzucił niedopałek za barierkę i wstał. – To wszystko.

• • •

Ledwie wszyscy znaleźli się z powrotem w mieszkaniu, matka wrzuciła wyższy bieg, zapewne chcąc ukarać nas za to, że zostawiliśmy ją samą sobie. Znęcała się nad warzywami i wydawała polecenia z prędkością warp:

– Ty, Carmel-Jackie-Carmel-wszystko-jedno, wstawiaj kartofle... Shay, odłóż to tam, nie tam, głupku, tam...! Ashley, kochanie, pomóż babci i przetrzyj stół... a ty, Francis, pogadaj z ojcem, poszedł z powrotem do łóżka i mu się nudzi. No już! – Trzepnęła mnie po głowie ścierką do naczyń, żebym się pośpieszył.

Holly stała przy mnie, oparta o moją nogę, i pokazywała mi jakiś malowany przedmiot z gliny, który kupiła dla Olivii na jarmarku świątecznym, i opowiadała szczegółowo o spotkaniu z elfami Świętego Mikołaja, po czym rozplynęła się wśród ciotecznego rodzeństwa, co w moim odczuciu dowodziło zdrowego rozsądku. Zastanawiałem się, czy nie postąpić tak samo, ale moja matka potrafi człowieka dręczyć tak wytrwale, że graniczy to z nadprzyrodzoną mocą: znów zamachnęła się ścierką, więc zszedłem jej z drogi.

W sypialni, chłodniejszej niż reszta mieszkania, panowała cisza. Ojciec leżał w łóżku, podparty poduszkami, i najwyraźniej nie robił zupełnie nic, chyba że słuchał głosów dolatujących przez ścianę. W



pedantycznie stonowanym wnętrzu – brzoskwiniowy wystrój, frędzle tu i tam, łagodne światło lampy stojącej – wyglądał zaskakująco nie na miejscu, jakby nabrał siły i srogości. Można było zrozumieć, dlaczego były się o niego dziewczyny: nachylenie szczęki, arogancko wydatne kości policzkowe, niespokojny niebieski błysk w oczach. Przez krótką chwilę, w tym zwodniczym świetle, wciąż przypominał szalonego Jimmy'ego Mackeya.

Zdradzały go ręce. Widać było, że są do niczego – obrzmiałe paluchy zakrzywione do środka i zbielałe, kostropate paznokcie, jakby już zaczęły się rozkładać – i ciągle się poruszały, z rozdrażnieniem szarpiąc wystające z kołdry nitki. W pokoju unosił się odór choroby, lekarstw i niemytych stóp.

- Mama powiedziała, że masz ochotę pogadać – zagailem.
- Daj papierosa.

Nadal sprawiał wrażenie trzeźwego; ostatecznie przez całe życie uodparniał się na działanie alkoholu, więc teraz, żeby pojawiły się oznaki spożycia, musiał wlać w siebie całkiem sporo. Obróciłem krzesło stojące przy toalecie i przysunąłem bliżej łóżka, ale tylko trochę.

- Myślałem, że mama zabroniła ci tu palić.
- Niech się goni ta suka.
- Miło słyszeć, że stara miłość nie rdzewieje.
- Też się goń. Daj papierosa.
- Nie ma mowy. Ty możesz wkurzać mamę do woli, ale ja zamierzam dbać o swoje notowania.

Na jego twarzy pojawił się szeroki uśmiech, niezbyt przyjemny.

- Powodzenia – rzucił i ni stąd, ni zowąd, kompletnie rozbudzony, spojrzął na mnie byстрыm wzrokiem. – Dlaczego?
- A dlaczego by nie?
- Przez całe życie miałeś ją gdzieś.

Wzruszyłem ramionami.

- Moja córka szaleje za babcią. Jeśli wynika z tego, że muszę przez jedno popołudnie w tygodniu zaciskać zęby i podlizywać się

mamie, to tak będzie. Poproś ładnie, to i tobie będę się podlizywał, przynajmniej w obecności Holly.

Roześmiał się. Opadł na poduszki i tak się śmiał, że aż się zaniósł głębokim mokrym kaszlem. Machnął na mnie ręką, z trudem łapiąc powietrze, i wskazał pudełko chusteczek na komodzie. Podałem mu chusteczki. Odchrząknął, wypluł flegmę i cisnął chusteczkę do kosza, ale nie trafił; nie podniosłem jej z podłogi. Po chwili odzyskał mowę.

- Gówno prawda.
- Mógłbyś rozwinąć tę myśl?
- Nie spodoba ci się.
- Przeżyję. Kiedy to ostatnio spodobała mi się jakaś twoja wypowiedź?

Ojciec z bólem przechylił się na bok, sięgając po stojącą na stoliku nocnym szklanę z wodą czy czym tam, i powoli popijał.

– Ta gadka o twojej małej – powiedział, wycierając usta. – Pierdoły. Dzieciak jest świetny. Chrzani to, jak ci się układa z Josie. I dobrze o tym wiesz. Masz swoje powody, żeby dogadzać matce.

– Czasami ludzie starają się być dla siebie mili. Bez powodu. Wiem, że trudno ci to sobie wyobrazić, ale wierz mi, tak bywa.

Ojciec pokręcił głową. Znowu pojawił się ten sam szeroki uśmiech na jego twarzy.

- Ty do nich nie należysz.
- Może tak, może nie. Nie zapominaj, że w ogóle mnie nie znasz.
- Nie muszę. Znam twojego brata i wiem, że zawsze byliście podobni do siebie jak dwie krople wody.

Nie wydawało mi się, że mówi o Kevinie.

- Nie dostrzegam podobieństwa – odparłem.
- Wypisz wymaluj. Żaden z was przez całe życie nie zrobił nic, jeśli nie miał cholernie dobrego powodu, i żaden z was nigdy nie powiedział nikomu, co to za powód, chyba że musiał. Nie było mowy, żebym się was wyrzekł, to pewne.

Ojciec dobrze się bawił. Wiedziałem, że najlepiej zamknąć gębę na kłódkę, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Nie jestem podobny do nikogo z tej rodziny. Ani trochę. Porzuciłem ten dom, żeby tak się stało. Przez całe życie starałem się do tego nie dopuścić.

Z szyderczym uśmiechem uniósł brwi.

– Posłuchajcie go! Już nie jesteśmy ciebie warci, tak? Ale gdy przez dwadzieścia lat dawaliśmy ci dach nad głową, byliśmy w porządku.

– Co mam powiedzieć? Bezcelowe znęcanie się nie doprowadza mnie do obłędu.

Znowu się roześmiał, tubalnie, szorstko i szczekliwie.

– Ach tak? Przynajmniej wiem, że jestem draniem. A ty uważasz, że nie jesteś? No już: spójrz mi w oczy i powiedz z ręką na sercu, że mój widok w tym stanie nie sprawia ci przyjemności.

– To coś szczególnego. Tylko takiemu sympatycznemu facetowi mogło się przytrafić – oświadczyłem.

– No właśnie! Jestem w rozsypce, a ty nie posiadasz się z radości. Moja krew, chłoptysiu, moja krew.

– Nigdy w życiu nie uderzyłem kobiety. Nigdy w życiu nie uderzyłem dziecka. Moja córka ani razu nie widziała mnie pijanego. Zgadzam się, że tylko poważnie zaburzony skurwysyn byłby z tego dumny, ale nic nie poradzę. To dowody, że nie mam z tobą kompletnie nic wspólnego.

Ojciec nie odrywał ode mnie wzroku.

– Więc uważasz, że jesteś lepszym ojcem niż ja – powiedział.

– Nie pochlebiam sobie. Widziałem bezdomne psy, które były lepszymi ojcami niż ty.

– W takim razie powiedz mi tylko jedno, i nic więcej: skoro z ciebie taki święty, a my jesteśmy takimi draniami, dlaczego wykorzystujesz to dziecko jako pretekst, żeby tu przychodzić?

Zmierzałem do drzwi, gdy za moimi plecami rozległo się:

– Siadaj!

Miałem wrażenie, że znowu słyszę dawny głos ojca, pełny, silny i młody. Złapał moje wewnętrzne pięcioletnie dziecko za gardło i wbił

mnie w krzesło, zanim oprzytomniałem. Nie pozostało mi nic innego, jak udać, że usiadłem z własnej woli.

– Uważam, że właściwie zakończyliśmy rozmowę.

Wydanie polecenia wyczerpało jego siły: pochylił się do przodu, ciężko oddychał, zacisnął palce na kołdrze.

– Powiem ci, kiedy skończymy – wykrztusił.

– Niech ci będzie. Byle szybko.

Ojciec wepchnął sobie poduszkę głębiej za plecy – nie pośpieszyłem z pomocą: na myśl, że nasze twarze miałyby się znaleźć tak blisko siebie, skóra mi ścierpła – i stopniowo odzyskał normalny oddech. Rysy na suficie, tworzące zarys samochodu wyścigowego, wciąż znajdowały się nad jego głową; to na nie patrzyłem po przebudzeniu wczesnym rankiem, gdy leżałem w łóżku, snując marzenia i słuchając, jak Kevin i Shay oddychają, przewracając się na bok i mamrocąc przez sen. Żłociste światło zgasło; widoczne w oknie niebo nad ogrodami na tyłach domów przybierało zimny ciemnograny kolor.

– Słuchaj, nie pozostało mi wiele czasu – rzekł.

– Takie teksty zostaw mamie. Jej wychodzą lepiej. – Jak sięgnę pamięcią, matka stała nad grobem, głównie z powodu tajemniczych dolegliwości podwozia.

– Ona przeżyje nas wszystkich, z czystej złośliwości. Ja chyba nie dotrвам do następnych świąt Bożego Narodzenia.

Próbował wydoić sytuację, opadając na plecy i przykładając rękę do piersi. W jego głosie pobrzmiwała jednak jakaś nuta świadcząca o tym, że jest w tym ziarno prawdy.

– Na co zamierzasz umrzeć? – zapytałem.

– Nie udawaj, że się troszczysz. Mógłbym na twoich oczach umierać w płomieniach, a ty nawet byś nie nasikał, żeby ugasić ogień.

– Zgadza się, ale zżera mnie ciekawość. Nie sądziłem, że bycie dupkiem jest śmiertelną chorobą.

– Krzyż mi nawala coraz bardziej. Przez większość czasu nie mam czucia w nogach. Dwa razy się przewróciłem, niedawno,

wkładałem rano spodenki i nogi się pode mną ugięły. Doktor mówi, że do lata będę już na wózku.

– Niech zgadnę. Czy doktor powiedział ci również, że z „krzyżem” będzie lepiej, a przynajmniej nie gorzej, jeżeli przestaniesz pić?

Ojciec skrzywił się z obrzydzeniem.

– Rzygać się chce na widok tego pedzia. Powinien oderwać się od cycka swojej mamy i napić się czegoś porządnego. Kilka kufla piwa jeszcze nikomu nie zaszkodziło.

– Kilka kufla piwa, a nie wódki. Skoro trunki tak ci służą, to na co umierasz?

– Dla kaleki nie ma życia – oświadczył ojciec. – Siedzi zamknięty w domu starców, ktoś mu podciera tyłek, wsadza do wanny i wyjmuje stamtąd; nie mam do tego cierpliwości. Jeżeli tam wyląduję, to się wykończę.

W tym uzalaniu się nad sobą znowu zabrzmiała nuta prawdy. Może chodziło o to, że dom opieki nie byłby wyposażony w minibar. Podzielałem jednak zdanie ojca w ogólniejszej kwestii: lepiej umrzeć, niż nosić pieluchy.

– Jak to zrobisz?

– Mam plan – odrzekł ojciec.

– Pogubiłem się w tym wszystkim. Czego ty właściwie ode mnie oczekujesz? Jeśli współczucia, to właśnie się wyczerpało. A jeśli pomocy, to chyba będziesz musiał poczekać w kolejce.

– O nic cię nie proszę, ty głupi kutasie. Usiłuję powiedzieć ci coś ważnego, ale ty nie możesz zamknąć jadaczki i posłuchać. Aż tak uwielbiasz swój głos?

To będzie chyba najżałośniejsze wyznanie w całym moim życiu: w głębi duszy trzymałem się resztek nadziei, że ma coś interesującego do powiedzenia. Był moim ojcem. W dzieciństwie, zanim skapowałem, że jest palantem na skalę międzynarodową, uważałem go za najbystrzejszego człowieka na świecie; wiedział wszystko o wszystkim, mógł pobić Hulka jedną ręką, drugą unosząc fortepian i ćwicząc biceps, wystarczył jego szeroki uśmiech, by rozpromienić cały dzień.

Tego wieczoru szczególnie potrzebowałem kilku bezcennych ziaren ojcowskiej mądrości.

– Zamieniam się w słuch.

Z trudem podciągnął się na łóżku.

– Mężczyzna musi wiedzieć, kiedy zostawić sprawy własnemu biegowi – rzekł.

Czekałem, co będzie dalej, ale ojciec przyglądał mi się z uwagą, tak jakby spodziewał się odpowiedzi. Wszystko wskazywało na to, że na więcej świątłych rad nie warto liczyć. Miałem ochotę dać sobie w zęby, że byłem taki naiwny.

– Wspaniale. Wielkie dzięki. Będę pamiętał.

Wstawałem z krzesła, gdy nagle wystrzeliła zniekształcona ręka i chwyciła mnie za nadgarstek tak szybko i tak mocno, jak nigdy bym się nie spodziewał. Włosy mi się zjeżyły, gdy poczułem dotyk jego skóry.

– Siedz i słuchaj, co mam ci do powiedzenia. Zniosłem wiele świństw w swoim życiu i nigdy nie chciałem ze sobą skończyć. Nie jestem słaby. Ale gdy tylko ktoś założy mi pieluchę, nie ma mnie, bo w tym momencie każda walka jest przegrana i niewarta mojej fatygi. Musisz wiedzieć, z czym się walczy, a z czym lepiej dać sobie spokój. Rozumiesz?

– A ja chcę wiedzieć, dlaczego raptem zainteresowałeś się moją postawą życiową?

Przypuszczałem, że ojciec się odgryzie, ale tak się nie stało. Puścił mnie i zaczął masować sobie palce, patrząc na swoją rękę tak, jakby należała do kogoś innego.

– Zrobisz, jak zechcesz. Do niczego nie zdołam cię zmusić. Ale gdybym miał wymienić jedną rzecz, której powinienem był się nauczyć dawno temu, byłoby to właśnie to. Nie wyrządziłbym tyle krzywdy. Sobie i wszystkim dookoła mnie.

Teraz ja się głośno roześmiałem.

– Aż mnie zatkało. Czy ja dobrze słyszę, że bierzesz za coś odpowiedzialność? W takim razie chyba rzeczywiście umierasz.

– Dość tych żartów. Jesteście dorosłymi ludźmi; jeżeli schrzani-  
liście sobie życie, to wasza wina, nie moja.

– O co ci, do diabła, chodzi?

– Przecież mówię. Pięćdziesiąt lat temu sprawy źle się potoczyły  
i tak toczyły się dalej. Czas, żeby to się skończyło. Gdybym miał dość  
rozsądku i odpuścił dawno temu, wiele rzeczy wyglądałoby inaczej.  
Lepiej.

– Masz na myśli to, co zaszło z Tessie O'Byrne?

– Co z nią zaszło, to nie twój interes. Poza tym uważaj, kogo  
nazywasz „Tessie”. Mówię, że nie ma powodu łamać serca twojej  
matce na darmo po raz drugi. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Spojrzenie jego niebieskich oczu było gorące i natarczywe, za-  
nadto przepełnione tajemnicami, bym je rozwikłał. Pojawiły się w  
nim zupełnie nowe, czułe punkty – nigdy w życiu nie widziałem, żeby  
mój ojciec martwił się, że ktoś może cierpieć – które przekonały mnie,  
że w tym pokoju dzieje się coś wielkiego i groźnego. Po drugim  
milczeniu powiedziałem:

– Nie za bardzo.

– No to zanim zrobisz coś głupiego, postaraj się zrozumieć. Znam  
swoich synów, zawsze tak było. Wiem, że nie wróciłeś tu bez po-  
wodu. Swoje sprawy zostaw za progiem tego domu, dopóki nie  
zrozumiesz, czym się zajmujesz.

Za ścianą mama coś burknęła, a Jackie próbowała ją udobruchać.

– Wiele bym dał, żeby wiedzieć, co ci chodzi po głowie –  
oświadczyłem.

– Zostało mi niewiele życia. Staram się naprawić pewne rzeczy,  
zanim odejdę. Mówię ci: daj sobie z tym spokój. Nie chcemy, żebyś  
wywoływał tu kłopoty. Zostaw nas i wracaj do tego, czym się dotąd  
zajmowałeś.

– Tato – powiedziałem bezwiednie.

Nagle ojciec zmienił się na twarzy, wyglądał na strasznie zmę-  
czonego, skóra przybrała kolor mokrej dytki.

– Nie mogę dłużej na ciebie patrzeć. Idź już i powiedz matce, że

marzę o herbacie, ale tym razem niech zrobi mocną, a nie takie siki jak z rana.

Nie zamierzałem dyskutować. Zależało mi tylko na jednym: żeby złapać Holly i razem z nią dać stąd dyla – matkę krew zaleje na wiadomość, że nie zostaniemy na obiedzie, ale przez ten tydzień dość już grałem na nerwach Shayowi, a poza tym zdecydowanie źle oceniłem poziom wytrzymałości mojej rodziny. Zacząłem się zastanawiać, dokąd najlepiej zajechać w drodze do Olivii, żeby nakarmić Holly i pogapić się na jej piękną buźkę do czasu, aż tętno wróci mi do normy. Podchodząc do drzwi, powiedziałem:

- Zobaczymy się w przyszłym tygodniu.
- Powtarzam: wracaj do domu, nie przychodź tu.

Nie odwrócił głowy i nie odprowadził mnie wzrokiem. Gdy wychodziłem z pokoju, leżał oparty o poduszki, patrzył w ciemne okno i koślawymi palcami szarpał wystające z kołdry nitki.

Matka była w kuchni, brutalnie dźgała ogromny niedopieczony udziec i jednocześnie suszyła głowę Carmel o to, jak ubiera się Darren („...nigdy nie znajdzie pracy, jeśli będzie latał ubrany jak jakiś zbocheniec, psiakrew, nie mów, że cię nie ostrzegałam, weź go na bok, wlep mu porządnego klapsa i kup chłopakowi ładne drelichy...”). Jackie, Gavin i gromadka Carmel siedzieli jak zahipnotyzowani przed telewizorem, z rozdziawionymi ustami gapiąc się na gościa bez koszuli, który jadł coś, co się wilo i miało mnóstwo czuzków. Nigdzie nie było Holly. Ani Shaya.



– Gdzie jest Holly? – zapytałem, nie zastanawiając się, czy mój głos brzmi normalnie.

Siedzący przez telewizorem nawet się nie obejrzeni. Z kuchni doleciał krzyk mamy:

– Zaciągnęła swojego wujka Shaya na górę, żeby pomógł jej w matematyce... jeżeli się tam wybierasz, Francis, powiedz im, że obiad będzie za pół godziny i mają się nie spóźnić, bo nikt nie będzie na nich czekał... Carmel O'Reilly! Wracaj do mnie i słuchaj! Nie pozwolą chłopakowi zdawać egzaminów, jeżeli będzie wyglądał jak Drakula...

Wleciałem na schody, jakbym znajdował się w stanie nieważkości. Trwało to milion lat. Z góry dobiegło mnie trajkotanie Holly, urocze, beztroskie i niczego nieświadome. Złapałem oddech, dopiero gdy znalazłem się na podeście na samej górze, pod drzwiami do mieszkania Shaya. Już miałem wtargnąć, uderzeniem ramienia wyważając drzwi, gdy Holly zapytała:

– Czy Rosie była ładna?

Wyhamowałem tak gwałtownie, że twarz niemal splaszczyla mi się na drzwiach, jak na kreskówce.

– No, była – odrzekł Shay.

– Ładniejsza od mojej mamy?

– Przecież nie znam twojej mamusi, zapomniałaś? Choć sądząc po tobie, Rosie była prawie taka ładna. Nie całkiem, ale prawie.

Praktycznie widziałem leciutki uśmiezek na twarzy Holly, gdy to usłyszała. Rozmawiali ze sobą tak, jakby dobrze czuli się razem, swobodnie, jak wujek z ulubioną bratanicą. Shay, ten pieprzony tupeciarz, nawet mówił spokojnym tonem.

- Mój tato miał się z nią ożenić – ciągnęła Holly.
- Możliwe.
- Naprawdę.
- Ale się nie ożenił. Chodź tutaj, spróbujemy jeszcze raz: Tara ma sto osiemdziesiąt pięć złotych rybek. Do szklanej kuli może włożyć siedem rybek. Ile takich kul potrzebuje?

- Nie ożenił się, bo Rosie umarła. Napisała list do swoich rodziców, że wyjeżdża do Anglii z moim tatą, a potem ktoś ją zabił.

- To było dawno temu. Nie zmieniaj tematu. Rybki same nie wskoczą do kul.

Chichot, potem długa cisza, kiedy Holly skupiła się na dzieleniu, i od czasu do czasu słowa zachęty wypowiedane cicho przez Shaya. Oparłem się o ścianę przy drzwiach, odzyskałem oddech i z trudem opanowałem myśli.

Całym sobą chciałem wpaść do środka i pochwycić w ramiona swoje dziecko, ale Shay jednak nie był kompletnie obłąkany – na razie – a Holly nie była w niebezpieczeństwie. Co więcej, próbowała wciągnąć go w rozmowę o Rosie. Przekonałem się na własnej skórze, że upór Holly w zasadzie nie ma sobie równych. Cokolwiek wydobędzie z Shaya, trafi prosto do mojego arsenału.

- Dwadzieścia siedem! A w ostatniej kuli będą tylko trzy rybki! – zawołała triumfalnie.

- Zgadza się. Brawo.

- Czy ten ktoś zabił Rosie, żeby nie została żoną mojego taty?

Krótkie milczenie.

- On tak twierdzi?

Śmierdzący drań. Zacisnąłem rękę na poręczu, do bólu.

- Nie pytałam go – odrzekła Holly takim tonem, jakby wzruszała ramionami.

- Nie wiadomo, dlaczego Rosie została zabita, i już za późno, żeby się dowiedzieć. Było, minęło.

Na to Holly odpowiedziała bez zająknięcia, z absolutną, rozbrajającą pewnością, jaką jeszcze mają dziewięciolatki:

– Mój tato się dowie.

– Ach tak?

– No. Tak powiedział.

– Cóż, twój ojciec jest policjantem. Jego praca polega na tym, żeby tak myślał – oświadczył Shay. Trzeba przyznać, że niemal całkowicie udało mu się ukryć jad w głosie. – A teraz popatrz tu: Desmond ma trzysta czterdzieści dwa cukierki i chce je podzielić między siebie i swoich ośmiu przyjaciół. Ile przypadnie każdemu?

– Jeżeli w książce mówi się „cukierki”, to mamy napisać „owoc”. Bo cukierki są niezdrowe. Uważam, że to głupie. Przecież te cukierki nie są prawdziwe.

– Pewnie, że głupie. Ale w obu wypadkach liczenie będzie wyglądało tak samo. No więc ile owoców dostanie każdy z nich?

Chrobot ołówka o kartkę – teraz już mogłem wyłapać najcichszy dźwięk dochodzący z tego mieszkania, prawdopodobnie slyszałbym, jak mrugają powiekami.

– A wujek Kevin? – zapytała Holly.

– Co wujek Kevin?

– Czy ktoś go zabił?

– Kevin. – Głos Shaya wyrażał niesamowicie wiele. Czegoś takiego jeszcze nigdy nie slyszałem. – Nie, nikt nie zabił Keviną.

– Na pewno?

– A co uważa twój ojciec?

– Już ci mówiłam. Nie pytałam go. – Znowu ten sam ton, jakby wzruszała ramionami. – On nie lubi rozmawiać o wujku Kevinie. Więc pytam ciebie.

– Kevin. O Boże. – Shay roześmiał się szorstko, niepewnie. – Nie wiem, czy jesteś wystarczająco duża. Jeżeli nie jesteś, będziesz musiała to zapamiętać do czasu, aż będziesz duża. Kevin był dzieckiem. Nigdy nie dorósł. Miał trzydzieści siedem lat, a wciąż uważał, że świat potoczy się tak, jak jego zdaniem powinien. Nigdy nie powstało mu w głowie, że bez względu na to, czy mu to pasuje, czy nie, świat może się toczyć na swój sposób. Wszedł do tej rudery i łąził tam

w ciemnościach, bo uważał za rzecz oczywistą, że wszystko będzie świetnie, ale nie było: wyleciał przez okno. Koniec, kropka.

Miałem wrażenie, że poręcz pęka i gnę się w mojej zaciśniętej dłoni. Stanowczy ton głosu Shaya przekonał mnie, że tej wersji wydarzeń będzie się trzymał do końca życia. Może nawet w nią wierzył, choć nie przypuszczałem. Może, pozostawiony samemu sobie, uwierzy w nią któregoś dnia.

– Co to jest „rudera”?

– Zniszczony dom, rozpadający się, niebezpieczny.

Holly zastanawiała się przez chwilę.

– Mimo to nie powinien umrzeć – powiedziała.

– Nie powinien. – W jego głosie już nie było złości, nagle pojawiło się zmęczenie. – Nikt tego nie chciał.

– Ale ktoś chciał, żeby umarła Rosie. Tak?

– Tego też nikt nie chciał. Czasem po prostu tak się dzieje.

– Gdyby mój tato ożenił się z nią, to nie ożeniłby się z moją mamą i mnie nie byłoby na świecie. Dobrze, że ona umarła – powiedziała wyzywającym tonem Holly.

Automatyczny wyłącznik światła na korytarzu wystrzelił jak z karabinu – nawet nie zauważyłem, że nacisnąłem przycisk, idąc na górę. Stałem w czarnej pustce, z walącym sercem. I wtedy przypomniałem sobie, że przecież nie mówiłem Holly, do kogo Rosie napisała list. Holly gdzieś ten list widziała.

W następnej sekundzie dotarło do mnie, dlaczego, mimo tych zachwycających i rozczulających historyjek o zabawach z cioteczynym rodzeństwem, Holly wzięła dziś ze sobą zeszyt do matematyki. Chciała mieć pretekst, żeby być z Shayem sam na sam.

Zaplanowała wszystko krok po kroku. Ledwie weszła do tego domu, odkryła swoje dziedzictwo, usidlające tajemnice i zmyślne śmiertelne fortele, położyła na nim rękę i uznała za swoje.

„Moja krew” – usłyszałem beznamiętny głos ojca tuż przy uchu, a potem słowa wypowiedziane z kąśliwym rozbawieniem: „Więc uważasz, że jesteś lepszym ojcem niż ja”. I pomyśleć, że starałem się

wycisnąć jak najwięcej samozadowolenia z wpadki Olivii i Jackie; nawet gdyby postąpiły inaczej i nie popełniły po drodze żadnego błędu, i tak byśmy się przed tym nie uchronili. To wszystko stało się przeze mnie. Chciałem wyc do księżycy jak wilkołak i gryźć nadgarstki, żeby pozbyć się tej złej krwi.

– Nie mów tak – odezwał się Shay do Holly. – Ona nie żyje, zapomnij o niej. Niech spoczywa w pokoju, a ty zajmij się matematyką.

Szelest ołówka po papierze.

– Czterdzieści dwa?

– Nie. Zacznij liczyć od nowa. Nie skupiasz się na zadaniu.

– Wujku?

– Uhm?

– Wtedy, gdy tu byłam i zadzwonił telefon, i poszedłeś do sypialni...

Wyczułem, że ma w zanadru coś ważnego. Shay też to wyczuł: w jego głosie pojawiły się pierwsze oznaki zaniepokojenia.

– Tak?

– Złamał mi się ołówek i nie miałam temperówki, bo Chloe zabrała mi ją na plastyce. Czekałam i czekałam, ale ty rozmawiałeś przez telefon.

– No i co zrobiłaś? – zapytał bardzo spokojnie Shay.

– Poszłam poszukać innego ołówka. W tej komodzie.

Długa cisza, tylko trajkotanie jakiejś kobiety z telewizora na dole, stłumione przez grube ściany, ciężkie dywany i wysokie pokoje.

– I znalazłaś coś – powiedział Shay.

– Przepraszam – szepnęła Holly, ledwie słyszalnie.

Mało brakowało, a przeszedłbym przez drzwi, nie trudząc się otwieraniem. Powstrzymały mnie dwie rzeczy. Po pierwsze, Holly miała dziewięć lat. Wierzyła we wróżki, nie była pewna co do Świętego Mikołaja; parę miesięcy temu wyznała mi, że gdy była mała, skrzydlaty koń wylatywał z nią przez okno sypialni i zabierał ją na wycieczki. Jeśli jej zeznania miały kiedykolwiek posłużyć za sku-

teczny oręż – gdyby kiedyś w przyszłości zależało mi na tym, żeby jeszcze ktoś jej uwierzył – musiałem je czymś poprzeć. Chciałem to usłyszeć z ust Shaya.

Po drugie, uważałem, że w tej chwili nie ma sensu wpadać tam z impetem, żeby ratować swoją córeczkę przed dużym, złym człowiekiem. Wpatrzony w wypełnioną światłem szparę pod drzwiami słuchałem, jakbym znajdował się w odległości miliona mil stąd albo przybył tu spóźniony o milion lat. Dokładnie wiedziałem, co pomyśli Olivia, co pomyśli każdy zdrowy na umyśle człowiek, i stałem w bezruchu, pozwalając, by Holly wykonała za mnie najbrudniejszą robotę, jaka mi przypadła. W swoim czasie robiłem wiele uników i ani razu nie spędzało mi to snu z powiek, ale ta sytuacja była wyjątkowa. Jeżeli istnieje piekło, właśnie ta chwila w ciemnym korytarzu sprawi, że do niego trafię.

– Powiedziałas o tym komuś? – Głos Shaya zabrzmiał tak, jakby miał trudności z oddychaniem.

– Nie. W ogóle nie wiedziałam, co to takiego. Domyśliłam się dopiero parę dni temu.

– Holly, kochanie, posłuchaj. Potrafisz dochować tajemnicy?

Tonem, który z przerażeniem odebrałem jako przejaw dumy, odrzekła:

– Widziałam to wieki temu. No wiesz, wiele, wiele miesięcy. I nic nikomu nie powiedziałam.

– Rzeczywiście, nic nie powiedziałaś. Grzeczna dziewczynka.

– Widzisz!

– Tak, widzę. I nadal nic nikomu nie powiesz, prawda? Zatrzymasz to dla siebie?

Cisza.

– Holly, jak myślisz, co się stanie, jeżeli komuś powiesz?

– Będziesz miała kłopoty.

– Możliwe. Nie zrobiłem nic złego, słyszysz? Ale jest masa ludzi, którzy w to nie uwierzą. Może pójde do więzienia. Chcesz tego?

– Nie – odrzekła słabym, przygaszonym głosem, jakby spuściła

głowę.

– Tak sądziłem. Nawet jeśli nie pójde do więzienia, jak myślisz, co będzie? Co powie twój ojciec?

Przyspieszony oddech małej zagubionej dziewczynki.

– Będzie zły?

– Wścieknie się. I na ciebie, i na mnie, że milczeliśmy. Nie pozwoli ci tu przychodzić. Nie pozwoli ci spotykać się z kimkolwiek z nas. Ani z babcią, ani ze mną, ani z Donną. Na sto procent dopilnuje, żeby twoja mamusia razem z ciocią Jackie znowu czegoś nie wymyśliły za jego plecami. – Zawiesił na chwilę głos, żeby to do niej dotarło. – Co jeszcze?

– Babcia. Zmartwi się.

– Babcia, twoje ciocie i cioteczne rodzeństwo. Będą załamani. Nikt nie będzie wiedział, co o tym myśleć. Niektórzy pewnie ci nie uwierzą. Rozpęta się święta wojna. – Znowu przejmujące zawieszenie głosu. – Tego chcesz, kochanie?

– Nie...

– Oczywiście, że tego nie chcesz. Chcesz tu przychodzić co niedziela i spędzać z nami wspaniałe popołudnia, prawda? Chcesz, żeby babcia zrobiła ci tort biszkoptowy na urodziny, taki sam jak na urodziny Louise, i żeby Darren nauczył cię grać na gitarze, gdy urosną ci rączki. – Czułe, uwodzicielskie słowa opływały ją, oplatały, przyciągały coraz bliżej. – Chcesz, żebyśmy byli tu wszyscy razem. Chodzili na spacer. Spotykali się na obiedzie. Miło spędzali czas. Mam rację?

– No. Jak w prawdziwej rodzinie.

– Właśnie. W prawdziwej rodzinie ludzie troszczą się o siebie nawzajem. Po to są.

Holly, dobra mała Mackeyówna, zrobiła to, co wydawało się naturalne.

– Nikomu nie powiem – rzekła, co prawda cienkim głosem, ale z nutą pewności, której wcześniej w nim nie było.

– Nawet ojcu?

– Nawet.

– Dobra dziewczynka. – Głos Shaya zabrzmiał tak łagodnie i kojąco, że ciemność przede mną rozbliżyła wściekłą czerwienią. – Dobra dziewczynka. Jesteś moją ulubioną siostrzenicą, wiesz?

– No.

– To będzie nasz szczególny sekret. Obiecujesz?

Zastanawiałem się nad różnymi sposobami zabicia człowieka bez pozostawiania śladów. Zanim Holly zdążyła obiecać, nabrałem powietrza i otworzyłem drzwi.

Tworzyli ładny obrazek. Mieszkanie było czyste i pozbawione ozdób, panował tam niemal wojskowy porządek: wytarte deski podłogi, spłowiałe oliwkowozielone zasłony, nieciekawa zbieranina mebli, gołe białe ściany. Wiedziałem od Jackie, że Shay mieszka tu już szesnaście lat – od śmierci zwariowanej, leciwej pani Field, po której zostało puste mieszkanie – ale i tak wszystko wyglądało prowizorycznie. Mógł się spakować i zniknąć w parę godzin, nie pozostawiając po sobie śladu.

Siedzieli przy drewnianym stoliku, obłożonym książkami Holly. Wyglądali jak wyjęci ze starego malowidła: ojciec i córka na poddaszu, w dowolnej epoce, czytają z przejęciem jakąś tajemniczą opowieść. W świetle lampy stojącej lśnili jak klejnoty w tym nijakim pokoju: złocista głowa Holly i jej rubinowy sweter, ciemnozielony pulower Shaya i jego lśniące granatowoczarne włosy. Shay postawił pod stołem podnózek, żeby Holly nie zwisały nogi. Zdaje się, że był najnowszą rzeczą w tym pomieszczeniu.

Ten uroczy widok utrzymał się zaledwie przez ułamek sekundy. Odskoczyli od siebie jak para nastolatków przyłapanych na paleniu jointa, oboje z błyskiem paniki w identycznych niebieskich oczach.

– Odrabiamy matematykę! Wujek mi pomaga – powiedziała Holly.

Była purpurowa i szalenie skrępowana, co zauważyłem z ulgą; zaczynałem podejrzewać, że wyrośnie z niej zimna jak lód superagentka.



– Taa, mówiłaś o tym. Jak idzie?

– W porządku. – Obrzuciła szybkim spojrzeniem Shaya, ale on przyglądał mi się uważnie, z kamienną twarzą.

– To miło. – Podszedłem bliżej i od niechcienia zerknąłem znad ich ramion. – Wygląda mi na dobrą robotę. Podziękowałaś wujkowi?

– Mnóstwo razy.

Uniosłem brew, odwracając się do Shaya.

– Tak, podziękowała – potwierdził.

– Pokrzepiająca wiadomość. Jestem gorącym zwolennikiem dobrych manier.

Holly ze skrępowania wierciła się na krześle.

– Tatusiu...

– Holly, kochanie, idź na dół i dokończ matematykę u babci. Jeżeli zapyta, gdzie jesteście z wujkiem, powiedz, że gawędzimy sobie i niedługo przyjdziemy. Dobrze?

– Dobrze. – Powoli zaczęła wkładać swoje rzeczy do plecaczka. – Nie powiem jej nic więcej. Tak?

Można było sądzić, że mówi do siebie.

– Tak. Wiem, że nie powiesz, kochanie – odrzekłem. – Porozmawiam z tobą później. A teraz śmigaj.

Spakowała się i jeszcze raz powiodła wzrokiem między mną a Shayem. Już sam widok emocji kłębiących się na jej twarzy, gdy usiłowała zrozumieć więcej, niż zmieściłoby się w głowie dorosłego człowieka, sprawił, że miałem ochotę przestrzelić Shayowi kolana. Idąc do drzwi, ramieniem otarła się o mój bok; chciałem pochwycić ją w objęcia, ale tylko pogładziłem po miękkich włosach i cisnąłem lekko za kark. Słuchaliśmy z Shayem jej lekkich kroków, gdy zbiegała po schodach wyłożonych grubym dywanem, i powitalnych okrzyków, gdy wchodziła do mieszkania mojej matki.

Zamknąłem drzwi za Holly i powiedziałem:

– A ja się dziwiłem, że tak dobrze zaczęło jej iść dzielenie liczb wielocyfrowych. Zabawne, prawda?

– Nie jest głupia – odrzekł Shay. – Wystarczyło jej pomóc.

– Och, wiem. Ale to ty dołożyłeś starań. Sądzę, że należy ci się moja ogromna wdzięczność. – Odsunąłem krzesło poza krąg światła lampy i zasięg rąk Shaya i usiadłem. – Ładnie się tu urządziłeś.

– Dzięki.

– Jak pamiętam, w mieszkaniu pani Field była tapeta z wizerunkami ojca Pio i śmierdziało kroplami goździkowymi. Bądźmy szczerzy, każda zmiana byłaby tu na lepsze.

Shay opadł plecami na oparcie krzesła, wolnym ruchem, jakby chciał się swobodnie rozsiaść, ale mięśnie ramion miał napięte jak tygrys przed skokiem.

– Zapomniałem o obowiązkach gospodarza. Napijesz się czegoś? Whisky, tak? – zaproponował.

– Czemu nie? Na zaostrzenie apetytu przed obiadem.

Przechylając się do tyłu, sięgnął do niskiego kredensu po butelkę i dwie szklanki.

– Z lodem?

– Dawaj! Zróbmy to, jak należy.

Z błyskiem nieufności w oku zostawił mnie samego, ale nie miał wyjścia. Zaniósł szklanki do kuchni: otworzyły się drzwiczki zamrażalnika, stuknęły kostki lodu. Whisky była znakomita, Tyrconnell, jednosłodowa.

– Masz gust – powiedziałem.

– A co? Zaskoczony? – Wrócił, kołysząc kostkami lodu w szklankach, żeby się schłodziły. – Tylko nie proś, żebym z czymś zmieszał.

– Nie obrażaj mnie.

– Całe szczęście. Ten, kto do niej coś dodaje, nie zasługuje, by ją pić. – Nalał trunku na wysokość trzech palców do obu szklanek, po czym pchnął jedną po stoliku w moją stronę i uniósł drugą, mówiąc: – *Sláinte*.

– Nasze zdrowie – odrzekłem.

Stuknęliśmy się. Whisky mieniła się złościście w przechylonej szklance, pozostawiając słodycz jęczmienia i miodu. Wściekłość

wyparowała ze mnie bez śladu. Byłem spokojny, zebrany w sobie i gotowy, jak podczas każdego zadania. Na całym świecie pozostaliśmy tylko my dwaj, bacznie obserwujący jeden drugiego z końców rozchwianego stolika; ostre światło lampy rzucało cienie na twarz Shaya, podobne do barw wojennych, i zwałało je na stertę w rogach pokoju. Miałem wrażenie, że znajduję się w sytuacji dobrze mi znanej, dającej niemal ukojenie, tak jakbyśmy przygotowywali się do niej przez całe życie.

– No i jak to jest być znów w domu? – zapytał Shay.

– Ubaw po pachy. Za nic w świecie bym tego nie przepuścił.

– Powiedz mi: naprawdę zamierzasz tu przychodzić czy tylko chciałeś zadowolić Carmel?

– Skądże! Mówiłem zupełnie serio. Cieszysz się?

Kąciki ust Shaya się uniosły.

– Carmel i Jackie są zdania, że stęskniłeś się za rodziną. Przeżyją szok, za jakiś czas.

– Sprawileś mi dużą przykrość. Chcesz powiedzieć, że nie troszczę się o swoją rodzinę? Pomijam ciebie. Chodzi mi o pozostałych.

Shay roześmiał się, patrząc w szklankę.

– Akurat! Nie masz tu żadnego interesu.

– Zaskoczę cię: każdy zawsze ma jakiś interes. Ale nie zaprzataj tym swojej małej główki. Czy mam powód, czy nie, będę tu przychodził dostatecznie często, by zadowolić Carmel i Jackie.

– Świetnie. Przypomnij mi, żebyś ci pokazał, jak posadzić ojca na kłopie.

– Skoro ty rzadziej będziesz tu bywał w przyszłym roku. Mając na głowie sklep rowerowy i inne sprawy.

Jakiś błysk w głębi jego oczu.

– Istotnie.

– Brawo. – Uniosłem szklankę za jego pomyślność. – Mam wrażenie, że nie możesz się doczekać.

– Zasłużyłem na to.

– Tak, oczywiście. Ale wiedz jedno: będę tu wpadał, nie zamierzam się wprowadzić. – Rozbawionym spojrzeniem powiodłem po mieszkaniu. – Niektórzy ludzie mają swoje życie. Rozumiesz, o co mi chodzi?

Znowu ten błysk w jego oczach, lecz w głosie nadal spokój.

– Nie prosiłem cię, żebyś się przeprowadził.

Wzruszyłem ramionami.

– No cóż, ktoś musi tu być. Może nie wiesz, ale ojciec... On wcale nie ma ochoty zamieszkać w domu opieki.

– O opinię w tej kwestii też cię nie prosiłem.

– Jasne. Mądrej głowie... Ojciec powiedział mi, że ma plan awaryjny. Na twoim miejscu zacząłbym liczyć tabletki.

Iskra zatliła się i strzelił płomień.

– Zaraz, zaraz, chcesz mi powiedzieć, jakie są moje obowiązki wobec ojca? Ty?! – obruszył się.

– Chryste Panie, gdzieżby. Tylko przekazuję informację. Żebyś nie musiał żyć z poczuciem winy, gdyby coś potoczyło się nie tak.

– Z jakim, psiakrew, poczuciem winy? Sam licz tabletki, skoro uważasz, że mają być policzone. Opiekowałem się wami wszystkimi przez całe życie. Zrobiłem swoje, teraz kolej na innych.

– Wiesz co? – powiedziałem. – Prędzej czy później będziesz musiał porzucić tę myśl, że przez całe życie byłeś chroniącym wszystkich rycerzykiem w lśniącej zbroi. Nie zrozum mnie źle, zabawnie obserwować to z boku, ale jest cienka granica między złudzeniem a urojeniem, a ty poruszasz się na tej granicy.

Shay pokręcił głową.

– Nie masz pojęcia. Nie masz, kurwa, zielonego pojęcia.

– Tak myślisz? Niedawno gawędziliśmy z Kevinem o tym, jak się nami opiekowałeś. Wiesz, jakie wspomnienie odżyło...? W pamięci Kevina, nie mojej... Jak zamknąłeś nas w suterenie domu pod szesnastym. Kev miał ze dwa, może trzy lata. Minęło trzydzieści lat, a on wciąż nie chciał tam iść. Rzeczywiście odniósł wrażenie, że dobrze zaopiekowałeś się nim tamtej nocy.

Shay opadł na oparcie krzesła, przechylając się niebezpiecznie do tyłu, i wybuchnął śmiechem. W świetle lampy jego oczy i usta wyglądały jak bezkształtne ciemne jamy.

– Tamta noc – odezwał się. – Boże drogi. Chcesz wiedzieć, co się wtedy stało?

– Kevin się posikał. W zasadzie popadł w katatonię. Palce miałem zdarte do krwi, próbując oderwać deski w oknach, żebyśmy mogli się wydostać. To się stało.

– Tego dnia wyrzucili ojca z pracy – powiedział Shay.

Ojca wyrzucano z pracy regularnie, gdy byliśmy mali, aż w końcu w ogóle przestano go zatrudniać. Tamtych czasów nikt nie wspomina dobrze, przede wszystkim dlatego, że ojciec zazwyczaj dostawał tygodniówkę tytułem wypowiedzenia.

– Robi się późno, a jego wciąż nie ma w domu – mówił Shay. – Więc mama pakuje nas do łóżka... wtedy spaliśmy we czwórkę na materacu w pokoju od ogrodu, to było przed narodzinami Jackie, bo potem dziewczyny dostały swój pokój... Matka psioczy jak diabli: tym razem zamyka przed ojcem drzwi na klucz, niech śpi w rynsztoku, gdzie jego miejsce, niech zostanie pobity, wpadnie pod samochód, trafi do więzienia, najlepiej wszystko naraz. Kevin biadoli, gdzie jest ojciec, cholera wie czemu, na co matka mówi mu, że jeżeli się nie przymknie i nie pójdzie spać, to ojciec w ogóle nie wróci. Pytam ją, co wtedy zrobimy, a ona powiada: „Ty zostaniesz głową rodziny, będziesz musiał się nami opiekować. I tak lepiej sobie poradzisz niż ten kretyn”. Skoro Kev miał wtedy dwa lata, to ja miałem ile? Osiem, tak?

– Jak przypuszczałem, zamierzasz odegrać w tej historii rolę męczennika – wtrąciłem.

– Mama wychodzi: kolorowych snów, dzieciaki. Nie wiem, która to była godzina, ojciec wraca do domu, wyłamuje drzwi. Idę z Carmel do pokoju od frontu, a tam ojciec tłucze ślubną porcelanę, bierze jedną rzecz po drugiej i ciska o ścianę. Matka ma całą twarz we krwi, woła, żeby przestał, obrzuca go wszystkimi możliwymi wyzwiskami. Carmel biegnie do ojca, żeby go powstrzymać, a ten odpycha ją na

drugi koniec pokoju. Krzyczy, że te cholerne bachory zniszczyły mu życie, powinien był nas wszystkich potopić jak koty, poderznąć nam gardła, wtedy znowu byłby wolnym człowiekiem. Możesz mi wierzyć: mówił to szczerze i z przekonaniem.

Shay dolał sobie whisky i wyciągnął rękę z butelką w moją stronę. Pokręciłem głową.

– Jak chcesz – mruknął. – Idzie do sypialni, żeby wyróżnąć nas wszystkich na miejscu. Matka doskakuje do niego, odciąga go do tyłu, krzyczy do mnie, żebym wyniósł maluchy. Jestem głową rodziny, tak? Więc wyciągam cię z łóżka i mówię, że musimy się wynieść. Ty się piekisz: „Dlaczego? Nie będziesz mną rządził...”. Wiem, że mama nie zdoła długo przytrzymać ojca, więc daję ci w ucho, biorę Kevina pod pachę i zabieram was stamtąd. Dokąd miałem z wami pójść? Na najbliższy posterunek?

– Mieliliśmy sąsiadów. Całą kupę, w gruncie rzeczy.

Na jego twarzy malowała się czysta odraza.

– Ach tak. Pracę rodzinne brudy na oczach całej Faithful Place, wywołać skandal, o którym ludzie będą gadali do końca życia. Tak byś zrobił? – Wziął łyk whisky i krzywiąc się, odrzucił głowę do tyłu, żeby zatrzymać alkohol w organizmie. – Pewnie tak, jasne. Ja bym umarł ze wstydu. Nawet gdy byłem ośmiolatkiem, duma mi na to nie pozwalała.

– Mnie też, gdy miałem osiem lat. Ale jestem dorosłym człowiekiem i trudno mi zrozumieć, jak można być dumnym z tego, że zamknęło się małych braci w miejscu, które było śmiertelną pułapką.

– To było, do cholery, najlepsze, co mogłem dla was zrobić. Uważasz, że mieliście z Kevinem ciężką noc? Wystarczyło, żebyście nie ruszali się stamtąd, aż ojciec odpłynie, a wtedy po was przyjdę. Dałbym wszystko, żeby zostać z wami w tej spokojnej, bezpiecznej suterenie, ale musiałem wracać do domu.

– Przyślij mi rachunek za tę sesję terapeutyczną – powiedziałem.  
– Tego chcesz?

– Nie oczekuję od ciebie, kurwa, współczucia. Wiedz tylko, że

nie wpędzę się w żadne tam poczucie winy, bo dawno temu musiałeś przesiedzieć kilka minut w ciemnościach.

– Powiedz mi, że ta historyjka nie miała posłużyć jako usprawiedliwienie zabicia dwóch osób – rzekłem.

Zapadła bardzo długa cisza. W końcu Shay zapytał:

– Jak długo podsłuchiwałeś pod drzwiami?

– Wcale nie musiałem podsłuchiwać.

Po chwili odezwał się:

– Holly coś ci powiedziała.

Milczałem.

– I ty jej uwierzyłeś.

– Ejże, to moja córka. Może jestem łatwowierny.

– Nie o to chodzi – odparł, kręcąc głową. – Chciałem tylko powiedzieć, że jest dzieckiem.

– Co nie znaczy, że jest głupia. Albo kłamie.

– Istotnie. Ale ma bujną wyobraźnię.

Ludzie znieważali mnie w najróżniejszy sposób – poczynając od ośmieszania mojej męskości, a kończąc na komentowaniu genitaliów mojej matki – i nawet nie mrugnąłem powieką, ale sugestia, że mógłbym olać to, co mówi Holly, wierząc na słowo Shayowi, spowodowała, że znów skoczyło mi ciśnienie. Zanim Shay to dostrzegł, powiedziałem:

– Wyjašnjmy sobie coś: Holly nie musiała nic mówić. Wiem dokładnie, co zrobiłeś i Rosie, i Kevinowi. Wiedziałem o wiele dłużej, niż ci się wydaje.

Po chwili Shay znów przechylił się z krzesłem do tyłu i wyjął z kredensu papierosa i popielniczkę: też nie chciał, żeby Holly widziała, jak pali. Nie śpiesząc się, zdjął celofan z pudełka, postukał końcem papierosa o stół, zapalił. Zastanawiał się, na nowo układał sobie wszystko w głowie i długo przyglądał się z dystansu, jaki obraz się z tego wyłania.

– Masz trzy różne rodzaje informacji – odezwał się w końcu. – To, co wiesz. To, co ci się wydaje, że wiesz. I to, co możesz wyko-

rzystać.

– Patrzcie, patrzcie! A więc?

Widząc, jak poruszyły się i zastygły mu ramiona, wiedziałem, że podjął decyzję.

– A więc przyjmij do wiadomości – mówił dalej – że nie wszedłem do tego domu, żeby zrobić krzywdę twojej dziewczynie. Nawet mi to nie przyszło do głowy, aż się stało. Wiem, że widzisz we mnie złoczyńcę, co doskonale pasuje do twojej opinii na mój temat od dawien dawna. Ale nie tak to było. Nie tak prosto.

– W takim razie oświeć mnie. Powiedz, z jakim zamiarem tam poszedłeś.

Oparł łokcie na stole i strząsnął popiół z papierosa, patrząc, jak jarzy się i gaśnie ogienek.

– Od pierwszego dnia pracy w sklepie rowerowym oszczędzałem, ile się dało. Pieniądze trzymałem w kopercie przyklejonej na odwrocie tego plakatu z Farrah Fawcett, pamiętasz? Żeby nikt mi ich nie podprowadził, ty, Kevin czy ojciec.

– Ja trzymałem swoje w plecaku, przyczepione taśmą pod podszewką.

– Taa. Wiele z pensji nie zostało po odliczeniu pieniędzy dla mamy i na parę piw, ale to był jedyny sposób, żebym nie zwariował w tej chałupie: ilekroć je liczyłem, powtarzałem sobie, że gdy uzbieram na kaucję na kawalerkę, ty będziesz już dostatecznie duży, żeby się zaopiekować młodszymi. Carmel ci pomoże, rozsądna z niej kobieta, zawsze taka była. We dwoje dacie sobie radę doskonale, aż Kevin i Jackie dorosną. Chciałem mieć jakiś własny kąt, dokąd będę mógł przyprowadzić kolegów. Zaprosić dziewczynę. Dobrze się wyspać, a nie ciągle nasłuchiwać, co się dzieje z ojcem. Mieć trochę ciszy i spokoju.

Gdy usłyszałem w jego głosie tę zżerającą go od dawna tęsknotę, prawie zrobiło mi się go żal, ale wiedziałem swoje.

– Byłem już blisko, prawie u celu – mówił dalej. – Od nowego roku zamierzałem rozejrzeć się za mieszkaniem... I wtedy Carmel się



zareczyła. Wiedziałem, że będzie chciała wziąć szybko ślub, gdy tylko dostaną kredyt z kasy spółdzielczej. Nie miałem jej tego za złe: dziewczyna zasłużyła na szansę, by się stąd wyrwać, tak samo jak ja, Bóg świadkiem, że obojgu nam to się należało. Zostawałeś ty.

Rzucił mi znużone, złowrogie spojrzenie znad szklanki. Nie było w nim braterskiej miłości ani nawet akceptacji faktu, że jestem tu obecny; Shay patrzył na mnie jak na jakiś wielki, ciężki przedmiot, który w najtrudniejszych chwilach pojawia się na środku drogi i przeszkadza mu iść do przodu.

– Tylko że ty widziałeś to inaczej, prawda? – ciągnął. – Zanim się obejrzałem, dotarła do mnie wiadomość, że i ty zamierzasz prysnąć. I to aż do Londynu. Gdyby do Ranelagh, byłbym szczęśliwy. Ołać rodzinę, co? Ołać fakt, że teraz ty powinieneś przejąć odpowiedzialność. Ołać to, że ja mam szansę się stąd wyrwać. Naszemu Francisowi zależało wyłącznie na dymanku.

– Zależało mi na tym, żeby ułożyć sobie z Rosie szczęśliwie życie. Bardzo prawdopodobne, że bylibyśmy najszczęśliwszą parą na tej ziemi. Ale ty po prostu nie mogłeś zostawić nas w spokoju.

Shay parsknął śmiechem, wypuszczając nosem dym.

– Możesz wierzyć lub nie – odrzekł – prawie tak zrobiłem. Rzeczywiście zamierzałem sprać cię na kwaśne jabłko przed wyjazdem, tak ci dołożyć, żebyś wszedł na ten prom cały w siniakach i żeby Anglicy długo się zastanawiali, czy wpuścić do kraju takiego podejrzanego typu. Pozwoliłbym ci wyjechać. Jeszcze trzy lata i Kevin byłby osiemnastolatkiem. Zdołałby zaopiekować się mamą i Jackie. Uznałem, że tyle jeszcze wytrzymam. Ale wtedy...

Przeniósł wzrok na okno, ciemne dachy i pokazał świetlnego kiczu u Hearne'ów.

– To przez ojca – powiedział. – Tamtego wieczoru, gdy dowiedziałem się o tobie i Rosie, ojciec wpadł w szal na ulicy przed domem Dalych, wezwano policję i w ogóle... Zniósłbym jeszcze trzy lata tego samego na okrągło, ale z ojcem robiło się coraz gorzej. Wtedy nie było cię w domu, nie widziałeś. Miałem już dość, a tamta noc przelała

czarę.

Wracam do domu po lewej pracy dla Świrusa, przeszczeniwiwy; na całej Faithful Place pał się światła i niesie się szmer głoów; Carmel zmiata potłuczoną porcelanę; Shay chowa ostre noże. Cały czas wiedziałem, jak bardzo liczyła się tamta noc. Przez dwadzieścia dwa lata sądziłem, że to zdarzenie było już ponad wytrzymałość Rosie. Nigdy nie przyszło mi jednak do głowy, że inni ludzie znajdowali się znacznie bliżej granicy wytrzymałości niż ona.

– Wobec tego postanowiłeś zastraszyć Rosie i zmusić ją, żeby mnie rzuciła – podjąłem.

– Nie zamierzałem jej zastraszyć – odparł Shay. – Chciałem jej powiedzieć, żeby się wycofała. To był mój plan. Miałem prawo.

– Zamiast porozmawiać ze mną. Co za facet szuka rozwiązania problemu, znęcając się nad dziewczyną?

Shay pokręcił głową.

– Zwróciłbym się do ciebie, gdybym uważał, że to coś da. Myślisz, że podobało mi się roztrząsanie rodzinnych spraw z jakąś pannicą, tylko dlatego, że trzyma cię za jaja? Ale dobrze cię znałem. Wiedziałem, że sam nigdy byś nie wpadł na pomysł wyjazdu do Londynu. Byłeś jeszcze dzieciakiem, głupim małolatem; nie miałeś rozumu ani odwagi, by samemu wymyślić taką dużą rzecz. Nie miałem wątpliwości, że to twoja jedyna Rosie wszystko wykombinowała. Wiedziałem, że mogę cię prosić do upadłego, żebyś został, a ty i tak pójdziesz tam, gdzie ona ci każe. Wiedziałem również, że bez niej nie ruszyłbyś się poza Grafton Street. I dlatego zacząłem jej szukać.

– I znalazłeś ją.

– Bez trudu. Wiedziałem, której nocy uciekacie i że Rosie będzie musiała pójść do domu pod szesnastym. Leżałem w łóżku, czuwając. Widziałem, jak wstajesz i wychodzisz. Udałem się tylnymi drzwiami do ogrodu i przeszedłem przez mury.

Zaciągnął się papierosem. W smudze dymu widać było jego przymrużone, skupione oczy, gdy przypominał sobie tamtą noc.

– Z początku bałem się, że się z nią rozminę, ale z górnego okna zobaczyłem ciebie. Stałeś przy latarni, z plecakiem i w ogóle obrazek przedstawiający chłopaka uciekającego z domu. Nic dodać, nic ująć: uroczy.

Znowu poczułem, jak gdzieś w zakamarkach umysłu narasta we mnie ochota, żeby dać mu w zęby. Tamta noc należała do nas, do mnie i Rosie: była naszą tajemną, rozmigotaną bańką, którą razem nadmuchiwaaliśmy miesiącami, żeby w niej odlecieć. Shay usmarował ją całą swoimi brudnymi paluchami. Czułem się tak, jakby podglądał nas, gdy się całowaliśmy.

– Przyszła tą samą drogą co ja, przez ogrody. Cofnąłem się w kąt i poszedłem za nią do pokoju na górze. Myślałem, że ją przestraszę, ale ona nawet nie podskoczyła. Dziewczyna z jajami, trzeba przyznać.

– O tak. Bez wątpienia.

– Nie próbowałem jej zastraszyć. Po prostu powiedziałem, że masz obowiązki wobec swojej rodziny, nawet jeśli nie zdajesz sobie z tego sprawy. Że za parę lat, gdy Kevin będzie na tyle duży, żeby cię zastąpić, możecie jechać, dokądkolwiek wam się zamarzy: do Londynu, Australii, wszystko mi jedno. Ale do tego czasu twoje miejsce jest tutaj. Powiedziałem jej, żeby wracała do domu. Jeżeli nie chce czekać tych paru lat, niech sobie znajdzie innego chłopaka. Jeżeli chce jechać do Anglii, wolna droga. Ale ciebie ma zostawić w spokoju.

– Nie sądzę, żeby Rosie dobrze przyjęła twoje polecenia – wtrąciłem.

Shay prychnął śmiechem, ostro i krótko, i zdusił papierosa w popielnicze.

– Wiadomo. Zawsze lubiłeś wyszczekane panny, co? Najpierw mnie wyśmiała, powiedziała, żebym sam wrócił do domu i się wyspał, bo stracę na urodzie i nie będę miał powodzenia u pań. Gdy załapała, że mówię poważnie, załapała ją krew. Mówiła przyciszonym głosem, łaska boska, ale była zdrowo wkurzona.

Nie podniosła głosu chociażby z tego powodu, że wiedziała, iż stoję niedaleko, czekam, nasłuchuję, tuż za murem. Gdyby mnie

zawołała, zdążyłbym do niej dobiec. Ale Rosie nigdy by nie przyszło do głowy, żeby wzywać pomocy. Jak dotąd sama dawała sobie radę z takimi palantami.

– Wciąż widzę, jak tam stoi i mi wymyśla: pilnuj swoich spraw i nie denerwuj mnie, to nie nasz problem, że nie umiesz ułożyć sobie życia, twój brat jest wart tuzina takich jak ty, beznadziejny głupku, ple, ple, ple... Wyświadczyłem ci przysługę, nie będziesz musiał znosić tego przez całe życie.

– Możesz być pewny, że napiszę ci kartkę z podziękowaniami – odrzekłem. – Powiedz mi: co do tego doprowadziło?

Nie zapytał: „Do czego?”. Skończyliśmy z tego rodzaju gierkami. Odpowiedział mi tonem, w którym wciąż słychać było dawną bezsilną wściekłość:

– Próbowalem z nią porozmawiać. Taki byłem zdesperowany. Usiłowałem jej powiedzieć, jaki jest ojciec, jak on postępuje, z jakim uczuciem codziennie wraca się do takiego domu. Po prostu chciałem, żeby mnie posłuchała przez minutę. Rozumiesz? Żeby mnie posłuchała, do cholery!

– I nic z tego. Panie Jezu, miała tupet.

– Chciała mnie zostawić i pójść sobie. Stałem w drzwiach, powiedziała, żebym zszedł jej z drogi, złapałem ją. No wiesz, żeby została. A potem... – Pokręcił głową, przebiegając wzrokiem po suficie. – Nigdy nie biłem się z dziewczyną, nie miałem na to ochoty. Ale ona wciąż nawijała, bez przerwy... Co za złościca, straszna jęzda. Nie pozostawała mi dłużna, byłem potem podrapany i posiniaczony. Ta suka niemal walnęła mnie kolanem w jaja.

Pomyślałem o Rosie, tych rytmicznych uderzeniach i jękach, które sprawiały, że uśmiechałem się szeroko w kierunku nieba.

– Chciałem tylko, żeby przestała się miotać i mnie wysłuchała. Chwyłem ją, rzuciłem o ścianę. Dziewczyna kopała mnie po gołeniach, usiłowała wydrapać mi oczy, a chwilę później...

Cisza. Skierował głowę w stronę cieni gromadzących się w kątach.

– Nie chciałem, żeby do tego doszło – powiedział.

– Po prostu stało się.

– Taa, po prostu stało się. Gdy dotarło do mnie...

Jeszcze jeden gwałtowny ruch głową i znowu cisza.

– Potem... Zdołałem zebrać myśli... Nie mogłem jej tam zostawić.

Potem do sutereny. Shay był silnym mężczyzną, ale na pewno z trudem dźwigał Rosie; moje myśli zderzały się z dźwiękami, gdy znosił ją po schodach, ciało i kości na betonie. Zapalona latarka, łom, betonowa płyta. Gwałtowny oddech Shaya, chrobotanie zaciękwionych szczurów w kątach po przeciwnej stronie pomieszczenia, odbicie w oczach. Kształt jej palców, lekko zagiętych, leżących na wilgotnej ziemi.

– List – powiedziałem. – Przeszukałeś jej kieszenie?

Jego ręce przesuwające się po bezwładnym ciele: mógłbym rozszarpać mu gardło własnymi zębami. Może zdawał sobie z tego sprawę. Wykrzywił wargi z obrzydzeniem.

– Za kogo ty mnie, kurwa, masz? Nie dotykałem jej. Tylko ją przeniosłem. List leżał na podłodze w pokoju na górze; akurat go tam kładła, gdy wszedłem. Przeczytałem ten list. Pomyślałem, że druga strona może zostać, gdyby ktoś się zastanawiał, dlaczego dziewczyna zniknęła. To wyglądało na... – bezgłośny oddech, niemal śmiech – zrządnienie losu, boską interwencję, znak.

– Dlaczego zachowałeś pierwszą stronę?

Wzruszenie ramion.

– A co miałem z nią zrobić? Włożyłem do kieszeni, żeby pozbyć się później. A później pomyślałem, że nigdy nie wiadomo, może się jeszcze przyda.

– I się przydała. Dobry Boże, w sam raz. To też wyglądało na znak?

Puścił te słowa mimo uszu.

– Nadal stałeś u wylotu Faithful Place. Przypuszczałem, że poczekaasz na nią jeszcze godzinę, może dwie, a potem zrezygnujesz. No i poszedłem do domu. – Ten szelest, który długo niósł się przez

ogrody na tyłach domów, gdy czekałem, już czując strach.

Dałbym wiele lat życia, by dowiedzieć się od niego pewnych rzeczy. Jakie były jej ostatnie słowa; czy wiedziała, co się dzieje; czy była wystraszona, czy odczuwała ból, czy w końcu chciała mnie zawołać. Nawet gdyby był cień szansy, że odpowie, nie zmusiłbym się do zadania tych pytań.

– Pewnie byłeś niezłe wkurzony, gdy nie wróciłem do domu – powiedziałem za to. – A jednak udałem się poza Grafton Street. Nie aż do Londynu, ale dość daleko. Przykra niespodzianka, nie doceniłeś mnie.

Usta mu się wykrzywiły.

– Raczej przeceniłem. Myślałem, że gdy otrząsniesz się z tego zadurzenia, zrozumiesz, że rodzina cię potrzebuje. – Pochylił się do przodu przez stół, wysunął brodę, napięcie w głosie wzrosło. – Byłeś naszym dłużnikiem. Ja, mama i Carmel, we trójkę, karmiliśmy cię, ubieraliśmy i chroniliśmy przez całe twoje życie. Stawaliśmy między tobą a ojcem. Ja i Carmel przestaliśmy chodzić do szkoły, żebyś ty mógł się uczyć. Mogliśmy, kurwa, czegoś od ciebie wymagać. A ta Rose Daly nie powinna nam w tym przeszkadzać.

– I dlatego miałeś prawo ją zamordować – powiedziałem.

Shay przygryzł wargę i znowu sięgnął po papierosa.

– Nazywaj to, jak chcesz. Ja wiem, co się stało – rzekł bezbarwnym głosem.

– No świetnie. A to, co się stało z Kevinem? Jak nazwiesz? Uznasz za morderstwo?

Twarz Shaya zamknęła się z hukiem niczym żelazne wrota.

– Nic mu nie zrobiłem – odparł. – Nic a nic. Nie wyrządziłbym krzywdy własnemu bratu.

Roześmiałem się głośno.

– Dobra. Więc jak wyleciał przez to okno?

– Wypadł. Było ciemno. Miał w czubie. Dom jest niebezpieczny.

– Oczywiście, że jest niebezpieczny. I Kevin to wiedział. Po co wszedł do środka?

Wzruszenie ramion, obojętne spojrzenie niebieskich oczu, trzask zapalniczki.

– Skąd mam wiedzieć? Niektórzy uważają, że miał wyrzuty sumienia. Wielu twierdzi, że umówił się na spotkanie z tobą. A ja myślę, że może odkrył coś, co go dręczyło, i chciał to zrozumieć.

Shay był zbyt sprytny, żeby w ogóle poruszyć fakt, iż list Rosie pojawił się w kieszeni Kevina, i na tyle sprytny, żeby jednak podsunąć takie skojarzenia. Coraz bardziej narastała we mnie ochota, by dać mu w zęby.

– To twoja wersja i jej się trzymasz – powiedziałem.

– Wypadł. Tak było – oświadczył definitywnie, jakby zatrzaskał drzwi.

– Przedstawię ci swoją wersję. – Wziąłem papierosa z paczki Shaya, nalałem sobie whisky i odchyliłem się do tyłu, w mrok. – Dawno, dawno temu żyli trzej bracia, zupełnie jak w bajce. Pewnego razu najmłodszy brat obudził się późną nocą i zobaczył, że coś się zmieniło: miał sypialnię wyłącznie dla siebie. Obaj bracia zniknęli. Nie przejął się tym wówczas, ale było to na tyle dziwne, że przypomniał sobie ten fakt następnego ranka, gdy okazało się, że tylko jeden z braci wrócił do domu. Drugi przepadł na dobre, a przynajmniej na dwadzieścia dwa lata.

Wyraz twarzy Shaya się nie zmienił; nie drgnął ani jeden mięsień.

– Gdy drugi brat wrócił w końcu do domu, zaczął szukać zmarłej dziewczyny i ją znalazł. Wtedy najmłodszy brat przypomniał sobie noc, gdy umarła, tę samą, gdy zniknęli jego bracia. Tamtej nocy jeden poszedł ją kochać, drugi poszedł ją zabić.

– Powtarzam ci: nie zamierzałem zrobić jej krzywdy. Twoim zdaniem Kev był na tyle bystry, żeby powiązać te fakty? Chyba żartujesz.

Słyszac to zjadliwe burknięcie, zorientowałem się, że nie tylko ja staram się trzymać nerwy na wodzy. Dobrze wiedzieć.

– Do tego nie trzeba być geniuszem – odrzekłem. – Biedak łamał sobie głowę, żeby to rozwikłać. Nie mógł uwierzyć, nie mógł znieść

myśli, że jego własny brat zabił dziewczynę. Sądzę, że w swój ostatni dzień na tym świecie odchodził od zmysłów, szukając jakiegoś wytłumaczenia. Dzwonił do mnie kilkanaście razy z nadzieją, że wszystko mu wyjaśnię albo przynajmniej zdejmę z niego ten ciężar.

– O to ci chodzi! Masz wyrzuty sumienia, że nie odebrałeś telefonów od młodszego brata, i jakoś chcesz zwalić winę na mnie?

– Wysłuchałem twojej wersji wydarzeń, więc wysłuchaj mojej. W niedzielę wieczorem głowa już mu pękała od myślenia, a jak sam zauważyłeś, nie był orłem. Koniec końców postanowił zrobić rzecz najprostszą, niech Bóg ma go w opiece, i najuczciwszą: porozmawiać z tobą, jak mężczyzna z mężczyzną, zobaczyć, co masz do powiedzenia. Gdy zaproponowałeś spotkanie pod szesnastym, ten głupek od razu to kupił. Powiedz mi: uważasz, że on był adoptowanym dzieckiem? A może po prostu jakimś mutantem?

– Był pod ochroną. Taka jest prawda. Przez całe swoje życie – odrzekł Shay.

– Tylko nie w tamtą niedzielę. W ostatnią niedzielę był w piekielnym niebezpieczeństwie, a myślał, że zupełnie nic mu nie grozi. Z całym przekonaniem wcisnąłeś mu ten kit o... jak się wyraziłeś... odpowiedzialności za rodzinę i kawalerce dla siebie, to samo, co chciałeś wcisnąć mnie. Ale ta gadka nie zrobiła wrażenia na Kevinie. Fakty mówiły same za siebie, prosto i jasno: zabiłeś Rosie Daly. Co powiedział, że tak strasznie się wnerwiłeś? Zamierzał wyjawić mi wszystko, gdy tylko mnie dopadnie? A może nawet nie próbowałeś się dowiedzieć, tylko od razu zabiłeś i jego?

Zaczął się wiercić, gwałtownie, jak w pułapce.

– Nie masz zielonego pojęcia – odciął się szybko. – Nikt z was nie miał.

– No to mi wyjaśnij. Unaocznij sytuację. Po pierwsze, jak go namówiłeś, żeby wystawił głowę przez okno? Sprytna sztuczka. Chętnie usłyszę, jak to przeprowadziłeś.

– Kto powiedział, że ja?

– No, mów, Shay. Umieram z ciekawości. Gdy usłyszałeś, że



pękła mu czaszka, poczekałeś na górze czy od razu wypadłeś z domu, żeby wsadzić mu do kieszeni ten list? Jeszcze się ruszał, gdy dobiegłeś do niego? Jęczał? Poznał cię? Błagał o pomoc? Czy stałeś tam, patrząc, jak on umiera?

Shay siedział zgarbiony nad stołem, ramiona miał napięte, głowę pochyloną, jakby zmagał się z silnym wiatrem. Powiedział cicho:

– Po tym, jak zwiąłeś, czekałem dwadzieścia dwa lata na następną szansę. Dwadzieścia dwa lata, kurwa. Potrafisz sobie wyobrazić, jak to było? Cała wasza czwórka prowadzi swoje życie, zakładacie rodziny, macie dzieci, jak normalni ludzie, szczęśliwi jak świny w gnoju. A ja tutaj. Tutaj, kurwa! Tutaj... – Z zaciśniętymi szczękami dźgał palcem w stół raz po raz. – Też mógłbym mieć to wszystko. Mógłbym...

Trochę się opanował; chrypiąc, złapał oddech, a potem zaciągnął się mocno papierosem. Ręce mu się trzęsły.

– Teraz odzyskałem szansę. Nie jest za późno. Jestem jeszcze młody, rozkręcę interes rowerowy, kupię sobie chatę, będę miał własną rodzinę, kobiety wciąż na mnie lecą. Nikt mi nie odbierze tej szansy! Nikt. Nie tym razem. Nigdy więcej.

– A Kevin zamierzał to zrobić – wtrąciłem.

Znowu wdech, podobny do zwierzęcego syku.

– Za każdym razem, cholera, gdy już mam się stąd wyrwać, już prawie mogę tego posmakować, jeden z moich braci mnie powstrzymuje. Próbowałem mu wyjaśnić. Nie rozumiał. Ten cholerny tępak, ten rozpieszczony bachor przyzwyczajony do tego, że wszystko spada mu z nieba, on nie miał zielonego pojęcia... – Urwał w pół zdania, pokręcił głową i z wściekłością zduśił papierosa.

– Po prostu stało się. Znowu – powiedziałem. – Nie masz szczęścia, co?

– Życie bywa zasrane.

– Niewykluczone. Może dałbym się nabrać, gdyby niejedna rzecz: list. Nie wpadłeś na ten pomysł nagle, gdy Kevin wyleciał przez okno: o rany, wiem, co by się teraz przydało, ten świstek, który

trzymałem przez dwadzieścia dwa lata. Nie powlokłeś się po niego do domu, nie ryzykowałeś, że ktoś zobaczy, jak wychodzisz spod szesnastego czy tam wracasz. Miałeś list przy sobie. Wszystko zaplanowałeś.

Shay uniósł głowę i spojrzał mi prosto w twarz; jego oczy były intensywnie niebieskie, rozpalone z nienawiści, która niemal wbiła mnie w krzesło.

– Nie brak ci tupetu, mały gnojku. Żeby odnosić się do mnie z taką wyższością.

Cienie w kątach pokoju z wolna gęstniały, zbijając się w ciemne grudy.

– Myślałeś, że zapomnę, bo to byłoby ci na rękę? – powiedział Shay.

– Nie wiem, o czym mówisz.

– Och, wiesz. Nazwałeś mnie mordercą...

– Dam ci dobrą radę. Jeżeli nie chcesz, żeby nazywano cię mordercą, nie zabijaj ludzi.

– ...a wiem, i ty też wiesz, że nie jesteś inny. Ważniak, przychodzi tu ze swoją odznaką i policyjną gadaniną, ściąga znajomków z komendy... Oszukasz, kogo będziesz chciał, nawet siebie, proszę bardzo, ale nie mnie. Jesteś taki jak ja. Dokładnie taki sam.

– Nieprawda. Różnica między nami jest taka, że ja nikogo nie zabiłem. Czy to dla ciebie zbyt skomplikowane?

– Ponieważ z ciebie taki dobry gość, co, taki święty? Co za pierdoły, mdli mnie, jak cię słucham... To żadna moralność, żadna świętość. Nie zamordowałeś nikogo tylko dlatego, że myślałeś fiutem, a nie głową. Gdybyś nie trafił pod pantofel, dziś byłbyś zabójcą.

Cisza, tylko cienie kłębiły się w rogach pokoju i telewizor jazgotał bezsensownie na dole. Usta Shaya wykrzywiły się w słabym, przerażającym uśmiechu, jakby w skurczu. Po raz pierwszy w życiu nie wiedziałem, co, do cholery, powiedzieć.

Miałem osiemnaście lat, on dziewiętnaście. Był piątkowy wieczór, przepuszczałem pieniądze z zasiłku w Blackbird, choć wolałem być

gdzie indziej. Najchętniej poszedłbym potańczyć z Rosie, ale to już się działo po tym, jak Matt Daly zakazał swojej córce zbliżyć się do syna Jimmy'ego Mackeya. Wobec tego kochałem Rosie potajemnie, z każdym tygodniem gorzej znosiłem ukrywanie się z tym i waliłem głową w mur jak zwierzę złapane w pułapkę, szukając sposobu, żeby coś, cokolwiek, zmienić. Wieczorami, gdy nie mogłem tego dłużej znieść, zalewałem pałę, dopóki starczyło mi kasy, a potem wdawałem się w bójkę z chłopakami większymi ode mnie.

Wszystko toczyło się według planu, właśnie poszedłem do baru po szóste czy siódme piwo i przysuwałem sobie stołek, by oprzeć się na nim w oczekiwaniu, aż zostaną obsłużony – barman stał przy drugim końcu lady, pograżony w dyskusji o wyścigach – gdy wysunęła się czyjaś ręka i capnęła mój stołek.

„Jazda. Do domu” – powiedział Shay, przekładając nogę nad stołkiem.

„Odwal się. Poszedłem wczoraj”.

„No to co? Idź jeszcze raz. Ja poszedłem dwa razy w zeszły weekend”.

„Dziś twoja kolej”.

„On zaraz będzie w domu. Idź”.

„Spróbuj mnie zmusić”.

W efekcie wyrzucono by nas obu. Shay przyglądał mi się jeszcze chwilę, sprawdzając, czy zamierzam się uprzeć; potem rzucił mi spojrzenie pełne odrazy, zsunął się ze stołka i upił jeszcze łyk swojego piwa. Mruknął pod nosem, z zawziętością, do nikogo konkretnie:

„Gdybyśmy my dwaj mieli jaja, skończylibyśmy z tą beznadzieją”.

„Pozbyli się go” – powiedziałem.

Shay znieruchomiał z uniesioną ręką, by postawić kołnierz, i wbił we mnie wzrok.

„Znaczy się... wyrzucili z domu?”.

„Nie. Mama przyjeżdża by go z powrotem. Świętość związku małżeńskiego i taki tam kit”.

„No to jak?”.

„Przecież mówię. Trzeba się go pozbyć”.

Po chwili: „Myślisz na poważnie”.

Sam właściwie nie zdawałem sobie z tego sprawy, dopóki nie zobaczyłem wyrazu jego twarzy.

„Na poważnie”.

W pubie kłębiło się, całą salę po sufit wypełniały ciepłe zapachy, gwar i śmiech mężczyzn. Niewielka przestrzeń między nami zakrzepła jak lód. Byłem zupełnie trzeźwy.

„Już wcześniej myślałeś o tym”.

„Nie mów, że ty nie myślałeś”.

Shay przysunął sobie stołek i usiadł, nie odrywając ode mnie oczu.

„Jak?”.

Nie mrugnąłem powieką: jedno drgnienie, a puściłby mimo uszu wymysły smarkacza i wyszedł, marnując naszą szansę.

„Przychodzi do domu nawalony... ile razy w tygodniu? Schody są spróchniałe, chodnik podarty... Prędzej czy później potknie się i zleci na dół, rozbijając sobie głowę”. Serce podeszło mi do gardła na sam dźwięk tych słów.

Shay w zamyśleniu upił duży łyk piwa i otarł usta wierzchem dłoni.

„Samo uderzenie może nie wystarczyć. Nie załatwi sprawy”.

„Może tak, może nie. Ale będzie wiadomo, dlaczego ma rozwaloną głowę”.

Shay patrzył na mnie z podejrzliwością, a przy tym, po raz pierwszy, z szacunkiem.

„Dlaczego mi to mówisz?”.

„To numer dla dwóch”.

„Czyli sam byś tego nie zrobił”.

„Może by się bronił albo trzeba by go było przenieść, może ktoś by się obudził, może musielibyśmy mieć alibi... Jednemu najpewniej coś by się nie udało, ale dwóm...”.

Zahaczył stopą o nogę drugiego stołka i przyciągnął go do nas.

„Siadaj. Dom poczeka dziesięć minut”.

Dostałem zamówione piwo i siedzieliśmy tak, opierając się łokciami o bar, popijając i nie patrząc na siebie. Po chwili Shay powiedział:

„Od lat próbuję znaleźć jakieś wyjście”.

„Wiem. Ja też”.

„Czasem – mówił – wydaje mi się, że jeśli czegoś nie wymyślę, to chyba zwariuję”.

Nigdy dotąd nie prowadziliśmy tak zażyłej braterskiej rozmowy. Byłem zaskoczony, jakie to przyjemne.

„Ja już wariuję – powiedziałem. – Nie ma w tym żadnego »chyba«. Tak czuję”.

Kiwnął głową, bez zdziwienia.

„Taa, Carmel też” – dodał.

„Ostatnio Jackie nie wygląda dobrze. Po jego wyskoku odlatuje”.

„Z Kevinem raczej normalnie”.

„Na razie. Sądząc na oko”.

„To najlepsze, co możemy dla nich w ogóle zrobić – rzekł Shay. – Nie tylko dla nas samych”.

„Moim zdaniem nie najlepsze, ale jedyne. Nie ma innego rozwiązania”.

Wreszcie spojrzeliśmy sobie w oczy. W pubie zrobiło się gwarniej. Jeden z gości podniósł głos, dochodząc do puenty dowcipu, i w rogu sali gruchnęło obleśnym rechotem. Żaden z nas nie mrugnął powieką.

„Nieraz o tym myślałem” – powiedział Shay.

„Ja myślę o tym od lat. Myśleć to pestka. Ale zrobić...”.

„Taa, kompletnie inna rzecz. Będzie...” – Pokręcił głową. Wokół jego oczu pojawiły się białe obwódki, nozdrza poruszały się przy każdym oddechu.

„Damy radę?” – zapytałem.

„Bo ja wiem, bo ja wiem?”.

Znowu zapadło długie milczenie, gdy obaj przywoływaliśmy na pamięć ulubione zdarzenia w relacjach z ojcem.

„Taa, damy radę” – powiedzieliśmy jednocześnie.

Shay wyciągnął do mnie rękę. Miał białą jak kreda twarz, pokrytą czerwonymi plamami.

„Dobra, wchodzę – rzucił jednym tchem. – A ty?”

„Ja też. – Klepnąłem go w dłoń. – No to stoi”.

Uścisnęliśmy sobie ręce, jakbyśmy chcieli je zmiażdżyć. Wydawało mi się, że ta chwila nabrzmiewa, rośnie, rozplywa się do wszystkich kątów. To wrażenie przyprawiało o zawrót głowy, miało słodko-mdły posmak, jakby człowiek wstrzyknął sobie jakiś narkotyk, który uczyni go kaleką na całe życie, ale da taki odlot, że chce się tylko wpuścić go jeszcze głębiej w żyły.

Tamtej wiosny ja i Shay pierwszy raz przebywaliśmy ze sobą z własnej woli. Co parę dni, wieczorami, zajmowaliśmy jakiś miły, odosobniony stolik w Blackbird i rozmawialiśmy: analizowaliśmy swój plan na okrągło, przyglądając mu się ze wszystkich stron, wygładzaliśmy chropowatości, wyrzucaliśmy nieskuteczne elementy i układaliśmy go od nowa. Nadal szczerze się nienawidziliśmy, ale to już nie było istotne.

Co wieczór Shay podlizywał się Nuali Mangan z Copper Lane. Nuala była wredna i głupia, ale nikt w okolicy nie miał takiego szklatego spojrzenia jak jej matka; kilka tygodni później, gdy Nuala zaprosiła Shaya do domu na podwieczorek, podwędził sporą garść valium z apteczki w łazience. Ja z kolei spędzałem godziny w bibliotece w Ilac Centre, czytając książki medyczne i starając się wykombinować, ile tabletek valium trzeba podać kobiecie o wadze dwustu funtów i dziecku w wieku siedmiu lat, żeby przespali dość spory harmider w nocy i obudzili się o danej porze. Shay wybrał się pieszo aż do Ballyfermot – gdzie nikt go nie znał i gliniarze nikogo by nie wypytywali – żeby kupić wybielacz, potrzebny przy sprzątanu. W napadzie uczynności zacząłem co wieczór pomagać mamie przy deserze – ojciec dogryzał mi, że zamieniam się w pedzia, ale z każdym dniem zbliżaliśmy się do celu i łatwiej znosiłem jego złośliwości. Shay gwizdnął z pracy łom, który schowaliśmy w skrytce pod podłogą, razem z papierosami. Dobrze nam szło, we dwóch.

Mieliśmy do tego dryg. Umieliśmy współdziałać.

Może byłem skrzywiony psychicznie, ale podobał mi się tamten miesiąc, gdy układaliśmy razem plan. Choć od czasu do czasu nie najlepiej spałem, w zasadzie było super. Czułem się jak architekt albo reżyser filmowy, człowiek z dalekosiężną wizją, z planami na przyszłość. Po raz pierwszy w życiu konstruowałem coś dużego i skomplikowanego, co – jeśli tylko zrobię wszystko tak, jak trzeba – będzie całkowicie i absolutnie warte zachodu.

Ni stąd, ni zowąd ojciec dostał wtedy pracę na dwa tygodnie, a to oznaczało, iż ostatniego dnia wróci do domu o drugiej w nocy z takim stężeniem alkoholu we krwi, że gliniarze nie nabiorą żadnych podejrzeń. Nie mieliśmy powodu dłużej zwlekać. Zaczęło się ostateczne odliczanie: jeszcze dwa tygodnie.

Tak dobrze znaliśmy swoje alibi, że mogliśmy recytować je we śnie. Najpierw rodzinny obiad, zakończony deserem biszkoptowym z sherry, owocami i bitą śmietaną, który powstał dzięki moim ujawnionym niedawno ciągotom kulinarnym. Sherry była nieodzowna: nadawała się lepiej niż woda do rozpuszczenia valium i maskowała jego smak; z kolei osobne porcje dla każdego umożliwiały podanie właściwej dawki. Potem dyskoteka w Grove, w północnej części miasta, nowy teren łowów na uroczę panienki; koło północy nas wyrzucono, z dużym szumem pozostającym w pamięci, gdyż zachowywaliśmy się głośno i nie do przyjęcia oraz przemyciliśmy swoje puszki z piwem. Następnie powrót do domu i po drodze przystanek nad kanałem, gdzie wypiliśmy przemycone piwo. W domu koło trzeciej, gdy działanie valium powinno z wolna ustępować, i tam napotykałyśmy straszny widok: nasz ukochany ojciec leży u stóp schodów w kałuży własnej krwi. Na koniec dużo spóźnione próby usta-usta, gorączkowe walenie do drzwi sióstr Harrison, szaleńczy telefon po karetkę. Prawie wszystko, prócz przystanku na pokrzepienie się piwem, miało być zgodne z prawdą.

Prawdopodobnie by nas złapano. Bez względu na to, czy odznaczaliśmy się wrodzonym talentem, czy nie, byliśmy amatorami: o zbyt

wielu rzeczach nie pomyśleliśmy i o wiele za dużo rzeczy mogło pójść nie tak. Już wtedy to czułem, ale w ogóle się nie przejmowałem – mieliśmy szansę.

Byliśmy gotowi. W myślach już żyłem każdego dnia jak facet, który zabił swojego ojca. Aż pewnego wieczoru poszedłem z Rosie do Galligan's i ona wypowiedziała słowo „Anglia”.

Nie wyjawiałem Shayowi, dlaczego zwijam żagle. Z początku sądził, że to jakiś chory żart z mojej strony. Gdy dotarło do niego, że naprawdę się wycofuję, zaczął się gorączkować. Próbował mnie zastraszyć, groził, nawet błagał. Gdy to nie zadziało, wyciągnął mnie za łeb z Blackbird i stłukł na kwaśne jabłko – dopiero po tygodniu mogłem chodzić wyprostowany. Prawie się nie broniłem; w głębi duszy uważałem, że ma prawo. Gdy w końcu stracił siły i zwałił się koło mnie w wąskim zaułku, byłem tak zakrwawiony, że z trudem go widziałem, ale chyba płakał.

– Nie o tym teraz mówimy – zauważyłem.

Shay ledwie mnie usłyszał.

– Najpierw myślałem, że strach cię obleciał, że stchórzyłeś, gdy było już blisko – ciągnął. – Tak mi się wydawało przez wiele miesięcy, do czasu, gdy wdąłem się w rozmowę z Imeldą Tierney. Wtedy się zorientowałem, że strach nie odgrywał żadnej roli. Ty zawsze dbałeś tylko o własny interes. Gdy znalazłeś łatwiejszą drogę do celu, wszystko inne straciło znaczenie. Rodzina, ja, to, co byłeś winny, to, co sobie obiecaliśmy, przestało się liczyć.

– Niech no dobrze zrozumiem. Opierdalas mnie za to, że nie zabiłem człowieka?

Wydął wargi z czystym obrzydzeniem: taką minę widziałem u niego tysiące razy, gdy byliśmy mali i starałem się mu dorównać.

– Nie bądź taki cwany. Opierdalam cię, ponieważ wydaje ci się, że z tego powodu masz prawo się wywyższać. Posłuchaj: może twoi kumple gliniarze są przekonani, że dobry z ciebie człowiek, może ty też to sobie powtarzasz, ale ja wiem lepiej. Wiem, jaki jesteś.

– Gwarantuję ci, koleś, nie masz bladego pojęcia, jaki jestem.



– Czyżby? Wiem tyle: przez to wstąpiłeś do policji. Przez to, czego o mało nie zrobiliśmy tamtej wiosny. Przez to, jak się z tego powodu czułeś.

– Ogarnęła mnie nagła potrzeba zadośćuczynienia za swoją niegodziwą przeszłość? Twoja naiwność jest urocza, ale tak nie było. Przykro mi, że muszę cię rozczarować.

Shay wybuchnął dzikim śmiechem, odsłaniając zęby; znowu wyglądał jak rozbuchany nastolatek, z którym zawsze są kłopoty.

– Potrzeba zadośćuczynienia? Akurat! Nie u naszego Francisa, za żadne skarby. O nie, gdy już masz odznakę, za którą możesz się chować, wszystko ujdzie ci na sucho. Powiedz, detektywie. Umieram z ciekawości. Od czego udało ci się już wymigać?

– Wbij sobie do tej zakutej pały, że wszystkie twoje „jeżeli”, „ale” i „mało brakowało” gównu znaczą. Niczego nie zrobiłem. Mógłbym wejść do każdego posterunku w tym kraju, przyznać się do wszystkiego, co zaplanowaliśmy tamtej wiosny, i zarzucono by mi jedynie marnowanie czasu funkcjonariuszy. Nie jesteśmy w kościele: tu nie idzie się do piekła dlatego, że się ma złe myśli.

– Nie? Naprawdę nie zmienił cię ten miesiąc wspólnego planowania? Naprawdę nie czułeś się potem inaczej? Ejże?

Ojciec często powtarzał – kilka sekund przed pierwszym uderzeniem – że Shay nie wie, kiedy przestać.

– Na miłość boską, chyba nie próbujesz obwiniać mnie za to, co zrobiłeś Rosie? – powiedziałem w taki sposób, że powinien dać mi spokój.

Znowu zadrżała mu warga, tak jakby miał tik albo chciał warknąć.

– Próbuję ci coś unaocznić. Nie będę siedział i patrzył, jak w moim własnym domu spoglądasz na mnie z takim zadufaniem, choć wcale się ode mnie nie różnisz.

– O tak, koleś, różnię się. Być może toczyliśmy ze sobą bardzo ciekawe rozmowy, ale gdy przejdziemy do konkretów, fakty są takie, że ja nigdy nie tknąłem ojca palcem i że ty zamordowałeś dwoje ludzi. Możesz uznać mnie za wariata, ale ja tu widzę różnicę.

Zacisnął szczęki.

– Nic nie zrobiłem Kevinowi. Nic.

Innymi słowy, wspólnie spędzony czas dobiegł końca.

– Może już mi się płaczą myśli – powiedziałem – niemniej mam wrażenie, że oczekujesz, żebym kiwnął głową, uśmiechnął się i wyszedł. Bądź tak dobry i powiedz mi, że się mylę.

W oczach Shaya ponownie rozbłysła nienawiść, czysta i bezmyślna jak bezgłośna błyskawica.

– Rozejrzyj się, detektywie. Niczego nie zauważyłeś? Jesteś dokładnie w punkcie wyjścia. Rodzina znowu cię potrzebuje, wciąż masz wobec nas dług i tym razem go spłacisz. Dopisuje ci jednak szczęście. Tym razem, jeżeli nie masz ochoty zostać tu i zrobić, co do ciebie należy, będziemy chcieli tylko jednego: żebyś sobie poszedł.

– Jeżeli naprawdę myślałeś, że pozwolę, by uszło ci to płazem, jesteś większym wariatem, niż sądziłem.

Cienie tak się ułożyły na jego twarzy, że wyglądała jak maska dzikiego zwierzęcia.

– Tak? Spróbuj to udowodnić, ty psie. Kevina już nie ma, nie powie, że wyszedłem z domu tamtej nocy. Twoja Holly jest ulepiona z lepszej gliny niż ty, nie nakabluje na rodzinę. Nawet jeśli ją przyciśniesz i potraktujesz każde słowo dziecka jak świętą prawdę, nie wszyscy muszą podzielać twoje przekonanie. Zjeżdżaj do komendy i pierdol się ze swoimi kolesiami, aż ci się poprawi humor. Nie masz na mnie nic a nic.

– Nie wiem, skąd ci przyszło na myśl, że zamierzam cokolwiek udowodnić – powiedziałem i uderzyłem stolikiem w brzuch Shaya.

Stęknął i przewrócił się do tyłu, przywalony stolikiem, za nim poleciały z łomotem szklanki, popielniczka i butelka whisky. Jednym kopnięciem odsunąłem krzesło i rzuciłem się na Shaya. Wtedy uprzytomniłem sobie, że wszedłem do tego mieszkania, żeby go zabić.

Chwilę później, gdy Shay chwycił butelkę i wycelował w moją głowę, zorientowałem się, że on też zamierza mnie zabić. Zrobiłem

unik w bok i poczułem, jak szkło rozcina mi skroń, ale w rozbłysku gwiazd złapałem go za włosy i zacząłem walić jego głową o podłogę, aż odepchnął stolik, zrzucając mnie z siebie. Upadłem ciężko na plecy. Shay skoczył na mnie i zaczęliśmy się turlać po podłodze, mierząc w czułe miejsca czym się dało. Był równie silny jak ja, równie rozwścieczony; żaden z nas nie mógł odpuścić. Spletliśmy się w uścisku jak para kochanków, policzek przy policzku. To, że znajdowaliśmy się tak blisko, że piętro niżej była rodzina, że mieliśmy dziewiętnastoletnią wprawę, sprawiło, że poruszaliśmy się niemal bezgłośnie – słychać było jedynie sapanie i głuchoe odgłosy celnych uderzeń w ciało. Czułem zapach mydła Palmolive, dobrze znany z dzieciństwa, i oparów zwierzęcej furii.

Wymierzył mi cios kolanem w jaja i zaczął macać ręką podłogę, próbując wstać, ale uderzenie było niecelne, a ja byłem szybszy. Założyłem mu dźwignię na ramię, przewróciłem go na plecy i uderzyłem hakiem w szczękę. Gdy odzyskał ostrość widzenia, już przygniotłem mu kolanem pierś, wyjąłem broń i przytknąłem lufę do czoła, dokładnie między oczami.

Shay zamarł.

– Poinformowałem podejrzanego, że jest aresztowany pod zarzutem morderstwa, i pouczyłem o przysługujących mu prawach – recytowałem. – Podejrzany odpowiedział mi, cytując: odpieprz się, koniec cytatu. Oświadczyłem, że procedura przebiegnie gładko, jeśli okaże wolę współpracy, i poprosiłem, żeby wyciągnął ręce, umożliwiając mi założenie kajdanek. Wtedy podejrzany wpadł w szal i zaatakował mnie, uderzając w nos, zdjęcie w załączeniu. Próbowałem się wycofać, ale podejrzany zablokował mi drogę wyjścia. Wyjąłem broń i kazałem mu się odsunąć. Podejrzany odmówił wykonania polecenia.

– Własnego brata – powiedział cicho Shay. Podczas bójki przygryzł sobie język; gdy mówił, krew wypływała mu na usta. – Ty wredny kutasie.

– I kto to, kurwa, mówi! – W porywie wściekłości praktycznie

uniosłem się nad podłogę i omal nie nacisnąłem na spust. Zdałem sobie z tego sprawę dopiero wtedy, gdy w oczach Shaya mignął mi strach. Był upajający jak szampan. – Podejrzany nadal mi ubliżał i wielokrotnie powtarzał, cytując: zabiję cię, koniec cytatu, oraz, cytując: nie pójdę do więzienia, prędzej umrę, koniec cytatu. Próbowałem go uspokoić, zapewniając, że sytuację można rozpatrzeć, panując nad emocjami, i ponownie poprosiłem, żeby udał się ze mną na posterunek, gdzie omówimy sprawę w środowisku kontrolowanym. Podejrzany był w stanie silnego wzburzenia i, jak sądzę, nie pojmował, co do niego mówię. Zacząłem się niepokoić, czy nie jest pod wpływem jakiegoś narkotyku, może kokainy, albo czy nie cierpi na chorobę psychiczną, gdyż zachowywał się w sposób irracjonalny i był niezdziwnie wybuchowy...

Zaciskając zęby, wycedził:

– No i jeszcze robisz ze mnie wariata. Tak mam być zapamiętany.  
– Wszystko mi jedno, bylebym wykonał zadanie – odrzekłem. – Chcąc opanować sytuację, wielokrotnie próbowałem nakłonić podejrzanego, żeby usiadł, ale to nie odnosiło skutku. Podejrzany był coraz bardziej wzburzony. W pewnej chwili zaczął chodzić po pokoju tam i z powrotem, mamrotał pod nosem, zaciśniętą pięścią walił w ściany i bił się po głowie. W końcu chwycił... Dam ci coś, co wygląda poważniej niż butelka, chyba nie chcesz, żeby wspomiano cię jako lebiegę. Co tu masz? – Rozejrzałem się uważnie po pokoju: skrzynka z narzędziami, oczywiście, jak należy wsunięta pod komodę. – Założę się, że jest tam klucz płaski, mam rację? Podejrzany chwycił długi klucz płaski, który leżał w otwartej skrzynce z narzędziami, zdjęcia w załączeniu, i znowu groził, że mnie zabije. Kazałem mu odłożyć narzędzie i próbowałem znaleźć się poza zasięgiem ręki podejrzanego, ale on podchodził coraz bliżej, aż wymierzył mi cios w głowę. Zrobiłem unik, oddałem strzał ostrzegawczy, celując nad ramieniem podejrzanego... nie martw się, będę uważał na co lepsze meble... i ostrzegłem go, że jeśli zaatakuje mnie jeszcze raz, nie będę miał wyboru, tylko go zastrzelę...

– Nie zrobisz tego. Powiesz Holly, że zabiłeś wujka Shaya?

– Holly gównie się dowie. Nie musi wiedzieć nic więcej prócz tego, że już nigdy nie zbliży się do tej beznadziejnej rodziny. Gdy dorośnie i będzie cię ledwo pamiętała, powiem jej, że byłeś skurwiellem o morderczych skłonnościach i że spotkał cię los, na jaki zasłużyłeś. – Z rany, którą miałem na skroni, skapywała na niego krew, duże krople wsiąkały w sweter i rozpryskiwały się na twarzy. Nie zwracaliśmy na to uwagi. – Podejrzany po raz drugi zamierzył się na mnie kluczem, tym razem uderzenie było celne, wyniki obdukcji oraz zdjęcie rany na głowie w załączeniu. Wierz mi, słonko, ta rana będzie wyglądać przepięknie. Na skutek ciosu pociągnąłem odruchowo za spust. Gdyby nie to, że byłem lekko zamroczony, sądzę, że nie oddałbym strzału śmiertelnego i zdołał unieszkodliwić podejrzanego. Jednakże sądzę również, że w tych okolicznościach nie miałem wyboru: musiałem użyć broni. Gdybym zawahał się jeszcze parę sekund, moje życie byłoby w poważnym niebezpieczeństwie. Podpisano: detektyw sierżant Francis Mackey. Ponieważ nie ma świadka, który podważyłby moje piękne oficjalne zeznanie, tak skrupulatnie opisujące przebieg wydarzeń, to w co uwierzasz, jak myślisz?

W spojrzeniu Shaya nie został już ślad rozwagi ani czujności.

– Mdli mnie, jak na ciebie patrzę, ty podły zdrajco – warknął i splunął mi w twarz krwią.

Przed moimi oczami rozszczepiło się światło, jak promień słońca przechodzący przez krawędź szkła, i tak mnie oślepiło, że miałem wrażenie nieważkości. Wiedziałem, że pociągnąłem za spust. Cisza była przeogromna, rozrastała się coraz bardziej, aż zaległa cały świat; ucichło wszystko, tylko dał się słyszeć miarowy szelest mojego oddechu. Jeśli nie liczyć przemożnego, zawrotnego poczucia wolności podczas latania i szalonych, niczym nieprzesłoniętych widoków z wysokości, które niemal rozrywały mi klatkę piersiową, w całym swoim życiu nie doświadczyłem niczego, co można porównać z tą chwilą.

Potem światło zaczęło gasnąć, chłodna cisza zadrzała i pękła, na-

pełniąc się bezładnymi kształtami i dźwiękami. Twarz Shaya, wyłaniająca się z bieli jak na polaroidzie, była wpatrzona we mnie, pokryta krwią, ale wciąż była.

Z gardła Shaya wydobył się potworny dźwięk, być może śmiech.

– A nie mówiłem? – wykrztusił.

Gdy znowu zaczął macać ręką podłogę w poszukiwaniu butelki, chwyciłem za lufę i rękojeścią uderzyłem go w głowę.

Wydał paskudny charkot i zwiotczał. Skulem mu ręce z przodu, jak się należy, sprawdziłem, że oddycha, i posadziłem opartego o kanapę, żeby nie zakrztusił się krwią. Odłożyłem broń i wyjąłem z kieszeni komórkę. Wyszukiwanie numeru szło opornie: zakrwawionymi palcami usmarowałem klawiaturę, ze skroni skapywała krew na ekran, co rusz musiałem wycierać telefon o koszulę. Jednym uchem nasłuchiwałem tupania nogami po schodach, ale dolatywał mnie tylko obłąkańczy bełkot z telewizora, zagłuszający wszelki rumor, który mógł przeniknąć z góry na dół. Po kilku próbach udało mi się dozwonić do Stephena.

– Słucham, detektywie Mackey – odezwał się z pewną rezerwą w głosie, całkiem zrozumiałą.

– Niespodzianka, Stephen. Mam naszego sprawcę. Jest zatrzymany, skuty i bynajmniej nie zadowolony.

Cisza. Krążyłem szybkim krokiem po pokoju, jednym okiem patrząc na Shaya, drugim wypatrując w kątach nieistniejących pomagierów; nie mogłem ustać w miejscu.

– Biorąc pod uwagę okoliczności, byłoby pod każdym względem wskazane, żebym to nie ja dokonał aresztowania. Uważam, że zasłużyłeś na to, żeby mieć prawo pierwszeństwa, jeśli chcesz z niego skorzystać.

To go zainteresowało.

– Chcę.

– Ale wiedz, młody, że to nie jest wymarzony prezent, jaki chciałbyś otrzymać od Świętego Mikołaja na Gwiazdkę. Rewelka Kennedy dostanie szалу na niewyobrażalną skalę. Za głównych

świadków masz mnie, dziewięcioletnie dziecko i ostro wkurzonego szumowinę, który będzie twierdził, po prostu dla zasady, że nie wie nic o niczym. Na przyznanie się do winy praktycznie nie możesz liczyć. Postąpiłbyś najrozsądniej, gdybyś mi uprzejmie podziękował, poradził zadzwonić do wydziału zabójstw i zajął się tym, co zazwyczaj robisz w niedzielny wieczór. Ale jeśli lubisz ryzyko, przyjdź tutaj, dokonaj swojego pierwszego aresztowania pod zarzutem morderstwa i zrób wszystko, żeby wnieść sprawę. Bo mamy właściwego człowieka. Stephen nawet się nie zawahał.

– Gdzie jesteś? – zapytał.

– Na Faithful Place, pod ósmym. Przyciśnij górny dzwonek, to cię wpuszczę. Tylko zachowuj się bardzo dyskretnie, zero wsparcia, zero hałasu. Jeżeli przyjedziesz samochodem, zaparkuj tak daleko, żeby nikt go nie widział. I pośpiesz się.

– Będę za jakieś piętnaście minut. Dziękuję, detektywie. Bardzo dziękuję.

Był niedaleko stąd, w pracy. Rewelka na pewno nie zezwolił na nadgodziny przy tej sprawie. Stephen podjął ostatnią samotną próbę, żeby ją rozwiązać.

– Będziemy tu. Aha, detektywie Moran? Moje gratulacje. – Rozłączyłem się, zanim zdołał cokolwiek wykrztusić.

Shay otworzył oczy i powiedział z wysiłkiem:

– Twój nowy sługus, tak?

– Raczej wschodząca gwiazda w siłach policyjnych. Dla ciebie wszystko, co najlepsze.

Próbował usiąść prosto, skrzywił się i osunął do tyłu, znów opierając się plecami o kanapę.

– Należało przypuszczać, że znajdziesz sobie jakiegoś przydupasa, skoro Kevin już nie pełni tej funkcji.

– Będziesz miał lepsze samopoczucie, gdy wdam się z tobą w pyskówkę? Jeżeli tak, oszaleję. Sądziłem, że mamy za sobą ten etap, gdy to cokolwiek znaczyło.

Shay otarł usta skutymi rękami i przyjrzał się smugom krwi na

dłoniach z dziwnym, chłodnym zainteresowaniem, jakby należały do kogoś innego.

– Ty naprawdę zamierzasz to zrobić.

Na dole otworzyły się drzwi, rozległ się gwar głosów i krzyk mamy:

– Seamus! Francis! Obiad prawie gotowy. Chodźcie na dół i umyćcie ręce!

Wystawiłem głowę na podest, mając oko na Shaya i stojąc na tyle daleko od poręczy, żeby nie znaleźć się w polu widzenia mamy.

– Za parę minut zejdziemy. Gawędzimy sobie.

– Możecie gawędzić tutaj! Chcecie, żeby wszyscy czekali na was przy stole, aż łaskawie się pojawicie?

Odrobinę ciszej, zbolałym głosem odrzekłem:

– My tylko... Naprawdę musimy porozmawiać. O różnych rzeczach, no wiesz. Jeszcze parę minut, mamusiu. Dobrze?

Chwila wahania, a potem niechętnie:

– Niech ci będzie. Jedzenie może poczekać jeszcze z dziesięć minut, ale jeżeli nie zobaczę was...

– Wielkie dzięki, mamusiu. Jesteś wspaiała.

– Oczywiście, że jestem. Gdy ty czegoś chcesz, jestem wspaiała, a kiedy indziej... – Słysząc było coraz cichsze zrzęczenie z głębi mieszkania.

Zamknąłem drzwi, na wszelki wypadek również na zasuwkę, wziąłem telefon i zacząłem robić zdjęcia naszych twarzy z różnych stron.

– Jesteś dumny ze swojej roboty? – zapytał Shay.

– Coś pięknego. Muszę przyznać, że twoja też wygląda całkiem nieźle. Nie zamierzam wkleić tych fotek do albumu, ale mogą się przydać, gdybyś skarżył się na brutalność policji i chciał wpuścić w maliny oficera, który dokonał zatrzymania. Uśmiechnij się. – Obrzucił mnie spojrzeniem, które słonia ścięłoby z nóg.

Gdy udokumentowałem najważniejsze rzeczy, poszedłem do kuchni – małej, niemal pustej, nieskazitelnie czystej i przygnębiającej



– i zmoczyłem ścierkę, żeby doprowadzić nas obu do jakiego takiego porządku.

– Odwal się. Niech twoi kumple zobaczą tę piękną robotę, która napawa cię taką dumą.

– Szczerze mówiąc, mój drogi, mam w nosie opinię swoich kumpli. Widzieli znacznie gorsze rzeczy w moim wykonaniu. Ale za parę minut zejdziesz z tobą po tych schodach i poprowadzą cię na koniec Faithful Place, więc uznałem, że cała okolica nie musi wiedzieć, co tu się dzieje. Po prostu staram się nie nakręcać sytuacji. Jeśli jednak tobie to nie pasuje, wystarczy powiedzieć, a chętnie rąbnę cię jeszcze parę razy.

Shay nie odpowiedział, zamknął się i siedział nieruchomo, gdy wycierałem mu krew z twarzy. W mieszkaniu było cicho, tylko słabe dźwięki muzyki dolatywały nie wiadomo skąd i niespokojny wiatr świszczał pod okapem. Nie przypominałem sobie, żebym kiedykolwiek przyglądał się Shayowi z tak bliska, by dostrzec wszystkie detale, które widzą tylko rodzice i kochankowie: gładkie, grube łuki kości pod skórą, popołudniowy zarost, splątane linie zmarszczek wokół oczu i gęste rzęsy. Krew zaczęła krzepnąć na brodzie i wokół ust. W pewnej chwili złapałem się na tym, że dotykam go delikatnie.

Nie dało się zamaskować podbitych oczu i opuchniętej szczęki, ale zdołałem doprowadzić go nieco do porządku. Potem zająłem się sobą.

– Jak wyglądam? – zapytałem.

– Świetnie – odrzekł, ledwie na mnie spojrzawszy.

– Skoro tak twierdzisz. Jak mówiłem, nie mój interes, co zobaczą sąsiedzi.

Wtedy przyjrzał mi się lepiej. Po chwili dotknął palcem, właściwie z niechęcią, kącika swoich ust.

– Tu.

Przetarłem ścierką policzek i uniosłem brew, patrząc na niego. Kiwnął głową.

– Gotowe – powiedziałem. Na ścierce powiększały się plamy krwi, pod wpływem wody znowu nabierały szkarłatnego koloru i

wsiąkały w zagięcia. Zaczynały spływać mi na ręce. – Zaczekaj chwilę.

– Jakbym miał wybór.

Wyflukałem ścierekę kilka razy w zlewie, wrzuciłem do kubła na śmieci, gdzie z czasem znajdzie ją ekipa dokonująca rewizji, i wyszorowałem ręce. Potem wróciłem do salonu. Popielniczka leżała w szarym popiele pod krzesłem. Moje papierosy znajdowały się w kącie, Shay tam, gdzie go zostawiłem. Usiadłem przed nim na podłodze, jakbyśmy byli nastolatkami na imprezie, i postawiłem między nami popielniczkę. Zapaliłem dwa papierosy i wsadziłem mu jednego w usta.

Zaciągnął się głęboko, zamykając oczy, i odchylił głowę do tyłu na kanapę. Oparłem się plecami o ścianę.

– Dlaczego mnie nie zastrześliłeś? – zapytał.

– Narzekasz?

– Nie bądź idiotą, do cholery. Po prostu pytam.

Odkleiłem się od ściany – co wymagało pewnego wysiłku, ponieważ zaczynały mi sztywnieć mięśnie – i strzepnąłem papierosa do popielniczki.

– Zdaje się, że od początku miałeś rację – oświadczyłem. – Jak się dobrze przyjrzeć, to chyba jestem gliną.

Kiwnął głową, nie otwierając oczu. Siedzieliśmy w milczeniu, każdy słuchał oddechu tego drugiego oraz cichej, nieuchwytej melodii dolatującej nie wiadomo skąd i tylko pochylaliśmy się do przodu, żeby strząsnąć popiół. Nigdy dotąd nie przebywaliśmy ze sobą tacy spokojni. Ryk dzwonka wydał się niemal naruszeniem prywatności.

Poderwałem się, żeby otworzyć drzwi, zanim ktoś zobaczy Stephena pod domem. Wbiegł po schodach równie lekkim krokiem, jakim zbiegła Holly; gwar głosów z mieszkania mamy płynął równo.

Dokonałem prezentacji.

– Shay, to jest detektyw Stephen Moran. Detektywie, poznaj mojego brata, Seamusa Mackeya.

Mina chłopaka świadczyła o tym, że to już wiedział. Spuchnięte oczy Shaya patrzyły na Stephena bez wyrazu, bez zaciekawienia, nie pojawiło się w nich nic prócz czystego wyczerpania; już sam ten widok działał na mnie przytłaczająco.

– Jak widzisz – mówiłem dalej – doszło między nami do małej sprzeczki. Należałoby sprawdzić, czy nie doznał wstrząśnienia mózgu. Sporządziłem dokumentację fotograficzną, może ci się przyda w przyszłości.

Stephen przyglądał się Shayowi uważnie, lustrował go od stóp do głów, nie pomijając ani cala.

– Tak, może się przydać. Dzięki. Chcesz je od razu zabrać? Nałożę mu swoje – powiedział, wskazując kajdanki.

– Nikogo więcej nie zamierzam dziś aresztować – odrzekłem. – Oddasz przy okazji. Jest twój, detektywie. Nie pouczyłem go o przysługujących mu prawach. Sam to zrób. Nawiasem mówiąc, lepiej nie zaniedbywać formalności. On jest sprytniejszy, niż na to wygląda.

– Co my...? To znaczy... no wiesz... – Stephen szukał słów, siłąc się na delikatność. – Uzasadniony powód aresztowania bez nakazu.

– Myślę, że ta historia skończy się lepiej, jeżeli nie ujawnię wszystkich naszych dowodów w obecności podejrzanego. Możesz mi wierzyć, detektywie, że nie chodzi tu o jakąś rywalizację między braćmi, która wymknęła się spod kontroli. Mniej więcej za godzinę zadzwonię do ciebie i podam ci wszelkie informacje. Tymczasem powinno ci wystarczyć to: pół godziny temu uzyskałem od niego pełne przyznanie się do obu morderstw wraz z wyczerpującym wyjaśnieniem motywów i dokładnym opisem okoliczności śmierci, które tylko zabójca mógł znać. Będzie się wypierał do upadłego, ale na szczęście mam dla ciebie dużo innych smakowitych kąsków. W tej chwili dostajesz jedynie przystawkę. Czy to cię na razie zadowala?

Mina Stephena mówiła, że przyznanie się do winy budzi jego wątpliwości, ale miał dość rozumu, by nie wkrazać na ten obszar.

– W zupełności. Dziękuję, detektywie – odrzekł.

Z dołu doleciał krzyk mamy:

– Seamus! Francis! Jeżeli przypali mi się jedzenie, przysięgam, że obaj dostaniecie w skórę!

– Muszę spadać – oznajmiłem. – Mam prośbę: poczekajcie tu jakiś czas. Na dole jest moja córka. Lepiej, żeby tego nie widziała. Chcę ją stąd zabrać, zanim wyjdziecie. Dobrze?

Zwracałem się do nich obu. Shay kiwnął głową, nie patrząc na nas.

– Nie ma sprawy – powiedział Stephen. – Usiądziemy wygodnie, co? – Przechylił głowę w stronę kanapy i wyciągnął rękę, żeby Shay mógł się podnieść. Po chwili Shay skorzystał z pomocy.

– Powodzenia. – Zaciągnąłem suwak kurtki, zasłaniając zakrwawioną koszulę, i zgarnąłem z wieszaka czarną czapkę bejsbolówkę – z napisem: Rowery M. Conaghy – żeby zakryć ranę na głowie. I zostawiłem ich tam.

Ostatnie, co widziałem, to oczy Shaya spoza ramienia Stephena. Nikt nigdy nie patrzył na mnie w ten sposób – ani Liv, ani Rosie – jakby zaglądał głęboko do wnętrza, bez najmniejszego wysiłku, nie pomijając żadnego zakamarka i nie pozostawiając żadnego pytania bez odpowiedzi. Nie odezwał się słowem.

Mama odciągnęła już wszystkich od telewizora i szturchańcami przywróciła idylliczny bożonarodzeniowy nastrój: kuchnię wypełniały kobiety, para i zgiełk, mężczyźni ganiłi tam i z powrotem z rękawicami kuchennymi i naczyniami, w powietrzu niosły się skwierczenie mięsa i zapach pieczonych kartofli. Zakręciło mi się w głowie. Miałem wrażenie, jakby nie było mnie tu przez lata.

Holly siedziała przy stole, razem z Donną i Ashley; miały pod brodami papierowe serwetki z wizerunkiem dziarskich aniołów i śpiewały: *Jingle bells, Batman smells*\*. Dałem sobie ćwierć sekundy, żeby popatrzeć na dziewczynki i zachować ten widok w pamięci, po czym położyłem rękę na ramieniu Holly i powiedziałem jej do ucha:

\* Komicznie absurdalna przeróbka piosenki *Jingle Bells* (Dzwonki sań).

- Kochanie, musimy natychmiast wyjść.
- Wyjść?! Ale...

Otworzyła usta oburzona i tak oszołomiona, że dopiero po chwili zebrała się w sobie, żeby zaprotestować. Gdy zobaczyła ojcowski błysk w oku, sygnalizujący sytuację wyjątkową najwyższego stopnia, uszło z niej powietrze.

- Zabierz swoje rzeczy – powiedziałem. – Szybko. W tej chwili.

Walnęła sztuciami w stół i powlokła się do korytarza, jak mogła najwolniej. Donna i Ashley zmierzyły mnie takim spojrzeniem, jakbym odgryzł królikowi głowę. Ashley odsunęła się do tyłu.

Mama wyrzała z kuchni, potrząsając dużym widelcem do nakładania potraw.

- O, Francis! Najwyższy czas, psiakrew. Seamus też przyszedł?
- Nie, mammo...

– Mówi się „mamusiu”, nie „mamo”. Poszukaj swojego brata i pomóżcie ojcu przyjść tu, zanim przez to wasze guzdranie się z obiadu zostaną przypalone wióry. Jazda!

– Mamo, muszę wyjść, razem z Holly.

Mamie szczęka opadła. Naprawdę zaniemówiła, ale po sekundzie ryknęła jak syrena przeciwlotnicza:

– Wolne żarty, szanowny panie! Francis, w tej chwili masz mi powiedzieć, że to żarty.

– Przepraszam, mamo. Zagadałem się z Shayem, straciłem poczucie czasu, wiesz, jak to jest. Zrobiło się późno. Musimy wyjść.

Mama nadeła się od stóp do głów: podbródek, biust i wszystkie brzuchy, gotowa do boju.

– Mam gdzieś, która godzina. Obiad jest gotowy i nie wyjdiesz z tego pokoju, dopóki nie zjesz. Siadaj do stołu. Słuchaj się i nie gadaj.

– Nic z tego. Jeszcze raz przepraszam za zamieszanie. Holly... – Holly stała w drzwiach, płaszcz wisiał na niej, naciągnięty na jedno ramię, oczy miała szeroko otwarte. – Plecak. No już.

Matka dźgnęła mnie widelcem w ramię, tak mocno, żeby pozostał siniak.

– Ani się waż, do cholery, puszczać moje słowa mimo uszu! Chcesz, żebym dostała ataku serca? Po to tu wróciłeś? Żeby zobaczyć, jak twoja mamusia pada przed tobą trupem?

Niepewnie, jedno po drugim, cała gromadka stanęła w drzwiach kuchennych, za plecami mamy, ciekawa, co się dzieje. Ashley dała nura za mamę i schowała się w fałdach spódnicy Carmel.

– Tego nie było w moich planach – odparłem – ale co tam, masz ochotę tak spędzić wieczór, proszę bardzo, nic zdołam cię powstrzymać. Holly, powiedziałem: w tej chwili.

– No bo jeżeli tylko to cię zadowoli, to sobie idź. Mam nadzieję, że ucieszy cię moja śmierć. Idź już, wynoś się stąd. Twój biedny brat złamał mi serce, nie mam już po co żyć...

– Josie! – rozległ się wściekły ryk z sypialni – Co tu się dzieje, do cholery? – a po nim oczywiście kaszel. Tkwiłszy po szyję w grzę-

zawisku powodów, dla których trzymałem Holly z dala od tej zaszraney nory, i szybko tonęliśmy.

– ...a mimo wszystko zarzynam się, żeby urządzić wam przyjemne święta, dzień i noc stoję przy kuchni...

– Josie! Przestań się, kurwa, wydzierać!

– Tato! Tu są dzieci! – krzyknęła Carmel. Zasłoniła rękami uszy Ashley i wyglądała tak, jakby chciała zwinąć się w kłębek i umrzeć.

Mama wrzeszczała, i to coraz głośniejsze. Niemal czułem, jak od tego rozwijają się we mnie komórki rakowe.

– ...a tobie, niewdzięczny draniu, nawet nie chce się usiąść z nami do obiadu...

– Skądże, mam! Propozycja bez wątpienia kusząca, ale raczej nie skorzystam. Holly, oprzytomnij! Gdzie plecak? – Można by sądzić, że dzieciak zapadł na nerwicę frontową. Nawet w najgorszych chwilach, zawsze, ale to zawsze staraliśmy się z Olivia, żeby nasze bezpardonowe pojedynki toczyły się poza zasięgiem słuchu Holly.

– Boże, wybacz mi. Jak ja się wyrażam przy dzieciach! Widzisz, Francis, widzisz, do czego ty mnie doprowadziłeś?

Znowu szturchnięcie widelcem. Uchwyciłem spojrzenie Carmel nad głową mamy, puknąłem w zegarek i dając do zrozumienia, że sprawa nie cierpi zwłoki, powiedziałem:

– Porozumienie co do opieki nad dzieckiem.

Byłem niemal pewny, że Carmel oglądała mnóstwo filmów, w których bezduszni eksmężowie znęcają się nad dzielnymi rozwódkami, nie respektując warunków umowy dotyczącej opieki nad dziećmi. Otworzyła szeroko oczy. Pozostawiłem jej wyjaśnienie mamie, co mam na myśli, chwyciłem Holly za ramię, złapałem plecak i wyprowadziłem ją z mieszkania, jak najszybciej. Gdy zbiegaliśmy po schodach („Wynoś się stąd, gdybyś tu nie wrócił i nie wyprowadził wszystkich z równowagi, twój brat wciąż byłby z nami...”), doleciał mnie z góry miarowy rytm głosu Stephena, który spokojnie prowadził kulturalną pogawędkę z Shayem.

Chwilę później wyszliśmy z domu pod ósmym w wieczorny mrok,

światło latarni i ciszę. Za nami trzasnęły drzwi z korytarza.

Nabrałem chłodnego, wilgotnego powietrza głęboko do płuc i powiedziałem:

– Słodki Panie Jezu, za papierosa mógłbym teraz zabić.

Holly strząsnęła moją rękę ze swojego ramienia i wyrwała mi plecaczek.

– Przepraszam za wszystko, co się tam działo. Bardzo mi przykro. Nie powinnaś być tego świadkiem.

Nie raczyła odpowiedzieć ani nawet na mnie spojrzeć. Pomaszerowała ulicą, zacisnąwszy usta, z uniesioną w wyrazie buntu brodą, co powiedziało mi, że gdy tylko znajdziemy się na osobności, czekają mnie duże kłopoty. Na Smith's Road, trzy samochody za swoim, dostrzegłem odpicowaną starą toyotę, którą Stephen wybrał z floty samochodowej detektywów niewątpliwie po to, żeby harmonizowała z otoczeniem. Miał dobre oko; zwróciła moją uwagę tylko dlatego, że rozparty na siedzeniu pasażera gość w wymyślnie zwyczajnym stroju starał się nie patrzeć w moją stronę. Stephen, jak dobry skaut, przygotował się na każdą ewentualność.

Holly zwała się na swój fotelik i trzasnęła drzwiami samochodu, niemal wrywając je z zawiasów.

– Dlaczego musimy iść?!

Naprawdę nie miała pojęcia. Przekazała kwestię Shaya swojemu kompetentnemu tatusiowi, co w jej odczuciu oznaczało, że wszystko jest załatwione i odfajkowane. Jednym z moich gorących pragnień było to, żeby przeżyła życie, a przynajmniej jeszcze kilka lat, nie wiedząc, że to tak nie działa.

– Kochanie – odezwałem się. Nie włączyłem silnika; nie byłem pewny, czy zdołam prowadzić. – Posłuchaj.

– Obiad jest gotowy! Postawiłyśmy talerze dla ciebie i dla mnie!

– Wiem. Też żałuję, że nie mogliśmy zostać.

– To dlaczego...

– Twoja rozmowa z wujkiem Shayem, wiesz, o czym mówię?

Zanim wszedłem.



Znieruchomiała. Ręce trzymała nadal skrzyżowane ze złością na piersi, ale jej umysł pracował na wysokich obrotach, analizując sytuację, choć twarz nic nie wyrażała.

– No – bąknęła.

– Myślisz, że mogłabyś wyjaśnić drugiej osobie, o co chodziło w tej rozmowie?

– Tobie?

– Nie, nie mnie. Mojemu koledze z pracy. Ma na imię Stephen. Jest tylko o parę lat starszy od Darrena. Bardzo miły gość. – Stephen wspomniał o swoich siostrach; miałem tylko nadzieję, że umie sobie z nimi radzić. – Musi się dowiedzieć, o czym rozmawialiście.

Drgnęły jej rzęsy.

– Nie pamiętam.

– Skarbie, wiem, co powiedziałaś wujkowi: że nikt się nie dowie. Słyszałem twoje słowa.

Szybki, czujny błysk niebieskości.

– Co słyszałeś?

– Mogę się założyć, że mniej więcej wszystko.

– Jeżeli wszystko słyszałeś, to sam powiedz temu Stephenowi.

– Nie da rady, kochanie. On musi to usłyszeć bezpośrednio od ciebie.

Po bokach sweterka ręce zacisnęły się w pięści.

– To trudno. Nie mogę mu powiedzieć.

– Holly, chcę, żebyś na mnie spojrzała. – Po chwili odwróciła głowę, niechętnie, o parę cali w moją stronę. – Pamiętasz, rozmawialiśmy kiedyś o takim sekrecie, który trzeba wyjawić drugiej osobie, bo ona ma prawo go znać?

Wzruszenie ramion.

– No i?

– To jest właśnie taki sekret. Stephen próbuje wyjaśnić, co się stało Rosie. – Pomiąłem Kevina: znajdowaliśmy się kilka lat świetlnych poza granicą tego, z czym to dziecko powinno sobie radzić. – Na tym polega jego praca. Żeby ją wykonać, musi z tobą

porozmawiać.

Następne, bardziej wymyślne wzruszenie ramion.

– Co mnie to obchodzi?

Upór, który zobaczyłem w uniesieniu jej brody, na chwilę przypomniał mi moją matkę. Usiłowałem przewyciężyć wszystkie instynkty Holly, wszystko, co przepłynęło z moich własnych żył do jej krwiobiegu.

– Musi cię obchodzić, kochanie. To ważne, żeby dochowywać sekretów, ale są takie sytuacje, gdy ważniejsze jest dochodzenie do prawdy. Niemal zawsze jest tak wtedy, gdy ktoś zostanie zabity.

– No dobrze. W takim razie niech ten Stephen jakiś tam męczy kogoś innego i odczepi się ode mnie, bo nie myślę, że wujek Shay w ogóle zrobił coś złego.

Nie odrywałem od niej wzroku: była spięta, nastroszona i miotała iskry jak dziki kociak zapędzony w kąt. Jeszcze przed paroma miesiącami spełniłaby każdą moją prośbę, nie zadając pytań, a przy tym zachowała nienaruszoną wiarę w swojego uroczonego wujka Shaya. Miałem wrażenie, że z każdym naszym spotkaniem idziemy po coraz cieńszej linii i możemy spaść z coraz większej wysokości, aż prędzej czy później stracę równowagę, ten jeden raz źle stąpnę i doprowadzę do tego, że oboje runiemy.

Spokojnym tonem powiedziałem:

– W porządku, mała. W takim razie o coś cię zapytam. Dokładnie zaplanowałaś dzisiejszy dzień, zgadza się?

Znowu ten czujny błysk niebieskości.

– Nie – odparła.

– Przestań, ptaszyno. Ze mną lepiej tak się nie bawić. Na tym polega moja praca: planuję właśnie takie rzeczy i umiem rozpoznać, gdy ktoś robi to samo. Jakiś czas temu, gdy pierwszy raz rozmawialiśmy o Rosie, przypomniał ci się list, który kiedyś widziałaś. Zaczęłaś mnie o nią wypytywać, ot, tak sobie, jakby nigdy nic, a gdy się dowiedziałaś, że była moją dziewczyną, nabrałaś pewności, że to ona napisała ten list. Wtedy zaczęłaś się zastanawiać, dlaczego wujek

Shay trzyma schowany w szufladzie list od nieżyjącej dziewczyny. Popraw mnie, jeżeli się mylę.

Zero reakcji. Zapędzanie jej do narożnika, jak świadka, tak mnie zmęczyło, że miałem chęć zsunąć się z siedzenia i zasnąć na podłodze samochodu.

– A potem urabiałaś mnie, aż się zgodziłem przyprowadzić cię dzisiaj do babci. Pracę domową z matematyki zostawiłaś na sam koniec weekendu i zabrałaś ze sobą zeszyt, żeby mieć okazję porozmawiać z wujkiem Shayem w cztery oczy. Maglowałaś go, aż zaczął mówić o tym liście.

Holly przygryzała policzek od wewnątrz.

– Nie robię ci wyrzutów. W imponujący sposób poradziłaś sobie z tym wszystkim. Chcę tylko ustalić fakty.

Wzruszenie ramion.

– I co z tego? – burknęła.

– To, że mam pytanie. Skoro twoim zdaniem wujek Shay nie zrobił nic złego, to po co zadałaś sobie tyle trudu? Czy nie lepiej było powiedzieć mi, co odkryłaś, i pozwolić, żebym zajął się resztą?

Opuściła głowę i odrzekła tak cicho, że ledwie dało się ją zrozumieć:

– To nie była twoja sprawa.

– Ależ była, złotko. I dobrze o tym wiedziałaś. Wiedziałaś, że zależało mi na Rosie, wiedziałaś, że jestem detektywem, i wiedziałaś, że próbuję ustalić, co jej się stało. Z tego powodu ten list był jak najbardziej moją sprawą. Poza tym na początku nikt cię nie prosił o zachowanie tajemnicy. Więc dlaczego mi nie powiedziałaś, jeśli rzeczywiście sądziłaś, że nie ma w tym nic podejrzanego?

Holly pieczołowicie wyciągnęła kawałek czerwonej wełny z rękawa swetra, rozprostowała i oglądała z uwagą. Przez chwilę przypuszczałem, że zamierza odpowiedzieć, ale ona zapytała:

– Jaka była Rosie?

– Odważna. Uparta. Zabawna. – Nie miałem pewności, dokąd zaprowadzi nas ta rozmowa. Widziałem jednak, że Holly przygląda

mi się kątem oka, w skupieniu, jakby moja odpowiedź była ważna. W mętym żółtym świetle latarni jej oczy pociemniały, stały się trudniejsze do rozszyfrowania. – Lubiała muzykę, przygody, biżuterię i swoich przyjaciół. Miała bardziej ambitne plany niż każdy, kogo znałem. Gdy na coś jej zależało, robiła wszystko, żeby to osiągnąć. Polubiłabyś ją.

– Na pewno nie.

– Możesz mi nie wierzyć, ptaszyno, ale zaręczam ci, że byś ją polubiła. I ona ciebie też.

– Kochałeś ją bardziej niż mamę?

Och.

– Nie. – Odpowiedź zabrzmiała tak prosto i jasno, że wcale nie byłem pewny, czy skłamałem. – Kochałem ją inaczej. Nie bardziej. Po prostu inaczej.

Holly wpatrywała się w okno i owijała wełnę na palcu, zatopiona we własnych myślach. Nie odzywałem się. Na rogu ulicy przed nami dzieciaki niewiele starsze od Holly spychały się nawzajem z muru, prychając i jazgocząc jak małpy. Błysnęły mi puszki i ogienek papierosa.

W końcu z zaciśniętego gardła Holly wydobył się cichy, spokojny głos:

– Czy wujek Shay zabił Rosie?

– Nie wiem – odrzekłem. – Nie ja to stwierdzę ani nie ty. Decyzję podejmą sędzia i ława przysięgłych.

Chciałem, żeby poczuła się lepiej, ale ona zacisnęła mocno pięści i walnęła nimi w kolana.

– Nie, nie! Nie o to chodzi, tatusiu. Nie obchodzi mnie, co za-  
decydują. Tak naprawdę, zrobił to?

– Tak. Jestem tego całkiem pewny.

Znowu cisza, dłuższa. Małpiszony na murze zaczęły teraz jeden drugiemu wpychać chrupki do ust, wydając przy tym okrzyki zachęty. Holly wreszcie się odezwała nadal cichym, przy duszonym głosem:

– Założmy, że powiem Stephenowi, o czym rozmawiałam z

wujkiem Shayem.

- Aha?
- To co się stanie?
- Nie wiem – przyznałem. – Musimy poczekać i się przekonać.
- Pójdzie do więzienia?
- Możliwe. To zależy.
- Ode mnie?
- Oczywiście. Również od wielu innych osób.

Głos lekko jej zadrżał, gdy zaczęła mówić:

– Ale wujek nigdy nie zrobił mi nic złego. Pomaga mi w matematyce. Kiedyś pokazał mi i Donnie, jak robić rękami cienie na ścianie. Pozwala mi łyknąć swojej kawy.

– Wiem, kochanie. Był dla ciebie dobrym wujkiem, i to jest ważne. Ale również zrobił inne rzeczy.

– Nie chcę, żeby poszedł do więzienia!

Próbowałem przyciągnąć jej wzrok.

– Skarbie, posłuchaj. Bez względu na to, co się wydarzy, nie będzie w tym twojej winy. Cokolwiek zrobił Shay, on za to odpowiada, nie ty.

– Ale będzie wściekły. Babcia też, i Donna, i ciocia Jackie. Wszyscy znienawidzą mnie za to, że powiedziałam. – Głos dygotał jej coraz bardziej.

– Będą zmartwieni, chyba tak. Możliwe, że będą trochę wyżywać się na tobie, z początku. Nawet jeśli tak się stanie, z czasem im przejdzie. Będą wiedzieć, tak jak wiem ja, że to wszystko nie twoja wina.

– Nie wiesz na pewno. Może znienawidzą mnie na zawsze. Nie możesz obiecać.

Miała białe kręgi wokół oczu, ze strachu. Żałowałem, że nie dołożyłem Shayowi dużo mocniej, gdy była po temu okazja.

– Rzeczywiście, nie mogę obiecać.

Holly uderzyła obiema nogami w oparcie siedzenia pasażera.

– Nie chcę tego! Niech wszyscy pójdą sobie i dadzą mi spokój.

Byłoby lepiej, gdybym w ogóle nie widziała tego głupiego listu!

Jeszcze jedno kopnięcie, po którym oparcie siedzenia wahało się do przodu. Jeśli o mnie chodziło, mogła rozwalić samochód na kawałki, byle tylko poczuła się lepiej, ale uderzyła tak mocno, że jeszcze zrobiłaby sobie krzywdę. Szybko się odwróciłem i włożyłem rękę między jej stopy a tył siedzenia. Krzyknęła z bezsilności i rozzłoszczona wygięła się, żeby wykonać czyste kopnięcie i nie uderzyć mnie w rękę, ale złapałem ją za kostki i przytrzymałem.

– Wiem, kochanie, wiem. Też nie chcę tego wszystkiego, lecz jest, jak jest. Bóg mi świadkiem, chciałbym cię zapewnić, że wszystko będzie w porządku, gdy powiesz prawdę, ale nie mogę. Nawet nie mogę obiecać, że poprawi ci się samopoczucie; może poprawi, a może pogorszy. Mogę ci tylko powiedzieć, że tak czy inaczej musisz to zrobić. W życiu zdarza się, że człowiek nie ma wyboru.

Holly opadła na fotelik. Wzięła głęboki oddech i już miała coś powiedzieć, ale zasłoniła ręką usta i się rozplakała.

Zamierzałem przesiąść się na tylne siedzenie i mocno przytulić ją do siebie. W samą porę zdałem sobie jednak sprawę, że nie jest małym rozryczanym dzieckiem, które czeka, żeby tatuś pochwyił ją w ramiona i wszystko naprawił. Ten etap był już za nami, skończył się na Faithful Place.

Wobec tego wzięłem Holly za drugą rękę. Chwyciła się mnie, jakby traciła grunt pod nogami. Oparła głowę o szybę, wstrząsana bezgłośnym szlochem, i tak siedzieliśmy długi czas. Za plecami usłyszałem głosy mężczyzn, wymienili kilka uwag szorstkim tonem, a potem trzasnęły drzwi samochodu i Stephen odjechał.

• • •

Nie byliśmy głodni. Mimo to zmusiłem Holly, żeby coś zjadła – radioaktywnego z wyglądu croissanta z serowym nadzieniem, którego kupiliśmy po drodze w Centra – bardziej ze względu na mnie niż dla jej dobra. Potem zawiozłem ją do Olivii.

Gdy zajechałem pod dom, odwróciłem się, żeby spojrzeć na Holly.

Ssała kosmyk włosów i patrzyła przez okno rozszerzonymi, nieruchomymi oczami, jakby zmęczenie i nadmierne obciążenie wprawiły ją w trans. Podczas jazdy wyciągnęła z plecaczka Klarę.

– Nie odrobiłaś wszystkich zadań z matematyki – powiedziałem.  
– Czy pani O'Donnell będzie się żołądkować?

Holly miała taką minę, jakby nie wiedziała, o kim mówię.

– Wszystko mi jedno – mruknęła. – Ona jest głupia.

– Zapewne. Nie ma powodu, żebyś na domiar wszystkiego musiała wysłuchiwać jej głupot. Daj mi zeszyt.

Powolnym ruchem wyjęła go z plecaczka. Przerzuciłem kilka kartek i na pierwszej czystej stronie napisałem: „Szanowna Pani O'Donnell! Będę wdzięczny, jeśli Pani usprawiedliwi Holly, która nie odrobiła wszystkich zadań z matematyki, ponieważ źle się czuła w weekend. W razie czego proszę śmiało do mnie dzwonić. Z poważaniem, Frank Mackey”. Na sąsiedniej stronie zobaczyłem okrągłe, mozolne pismo Holly: „Desmond ma 342 owoce...”.

– Załatwione – oświadczyłem, wręczając jej zeszyt. – Jeżeli pani O'Donnell będzie ci suszyła głowę, podaj jej mój numer telefonu i powiedz, żeby się odczepiła. Dobrze?

– Dziękuję, tatusiu.

– Twoja mama musi się o tym dowiedzieć. Zostaw to mnie.

Kiwnęła głową. Włożyła zeszyt do plecaczka, ale nadal siedziała w foteliku, odpinając i zapinając pas bezpieczeństwa.

– Co cię gryzie, ptaszyno?

– Ty i babcia byliście dla siebie niedobrzy.

– Tak, masz rację.

– Dlaczego?

– Nie powinniśmy tak postępować. Ale co jakiś czas działamy sobie na nerwy. Nikt na świecie nie potrafi doprowadzić człowieka do szału tak jak jego własna rodzina.

Holly wepchnęła Klarę do plecaczka, spojrzała na nią i pogładziła palcem wytarty nos konika.

– Gdybym zrobiła coś złego – powiedziała – okłamałbyś poli-

cjantów, żeby nie miała kłopotów?

– Tak. Kłamałbym w żywe oczy policjantom, papieżowi i prezydentowi całego świata, żeby ci pomóc. Choć to zły uczynek, tak bym postąpił.

Byłem kompletnie zaskoczony, gdy nagle Holly przechyliła się między siedzeniami, zarzuciła mi ręce na szyję i przytuliła się policzkiem do mojego policzka. Objąłem ją tak mocno, że czułem bicie jej serca, szybkie i lekkie jak u dzikiego zwierzątka. Chciałem jej powiedzieć milion rzeczy, z których każda była wielkiej wagi, ale nic nie przechodziło mi przez gardło.

W końcu wydała głębokie, drżące westchnienie, po czym wyswobodziła się z moich objęć. Wysiadła z samochodu i zarzuciła plecaczek na ramię.

– Jeżeli już muszę porozmawiać z tym Stephenem, mogłoby to nie być w środę? Bo chcę się pobawić u Emily.

– Oczywiście, kochanie. Kiedy ci pasuje. Idź już. Zaraz do ciebie przyjdę. Tylko jeszcze zadzwonię.

Kiwnęła głową. Była przygarbiona z wyczerpania, ale wchodząc na ścieżkę prowadzącą do domu, potrząsnęła lekko głową i zebrała się w sobie. Kiedy w drzwiach stanęła Liv, wyciągając ramiona, te wąskie plecy były wyprostowane i twarde jak stal.

Zostałem w samochodzie, zapaliłem papierosa i po jednym machu została z niego połowa. Gdy wiedziałem, że zdołam zapanować nad swoim głosem, zadzwoniłem do Stephena.

Jakość połączenia była kiepska – pewnie znajdował się gdzieś głęboko w labiryncie pokoi wydziału zabójstw na zamku dublińskim.

– To ja – powiedziałem. – Jak leci?

– Nie najgorzej. Jak mówiłeś, wszystkiemu zaprzecza, o ile w ogóle chce mu się odpowiadać na pytania. Najczęściej nie ma ochoty rozmawiać, chyba żeby się dowiedzieć, jak mi smakuje twoja dupa.

– Czarujący człowiek. To u nas rodzinne. Nie daj zająć sobie za skórę.

Stephen się roześmiał.



– Gdzie tam, w ogóle się nie przejmuję. Niech sobie gada. Gdy kończy się dzień i zwijamy interes, to ja wracam do domu. Ale powiedz, co masz. Coś, co rozwiąże mu język?

Był nakręcony, gotów zasuwać do skutku, słysząc było, że tryska świeżą pewnością siebie. Z grzeczności starał się stonować głos, ale w głębi duszy dzieciak używał sobie za wszystkie czasy.

Powiedziałem mu, co wiem i skąd to wiem, do ostatniego cuchnącego szczegółu: informacja równa się amunicja, a Stephen musiał mieć doskonale zaopatrzonego arsenał. Na koniec dodałem:

– Lubi swoje siostry, zwłaszcza Carmel, i moją córkę, Holly. O ile wiem, nikogo więcej. Mnie szczerze nienawidzi, Kevina też nie cierpiał, ale nie chce się do tego przyznać, i nie znosi swojego życia. Wściekle zazdrości każdemu, kto jest zadowolony z życia, niemal na pewno również tobie. I, jak prawdopodobnie zdążyłeś wywnioskować na podstawie tego i owego, ma wybuchowe usposobienie.

– Dobra – rzekł Stephen, niemal do siebie. Jego umysł pracował pełną parą. – Będę mógł to wykorzystać.

Ten dzieciak wyrastał na mężczyznę o pokrewnej mi duszy.

– Tak, wykorzystaj. Jeszcze jedno, Stephen: do dziś myślał, że jest o krok, żeby się stąd wyrwać. Zamierzał kupić sklep rowerowy, w którym pracuje, wsadzić naszego ojca do domu starców, wyprowadzić się i wreszcie żyć normalnie. Parę godzin temu świat stał przed nim otworem.

Cisza. Przeszło mi przez myśl, że być może Stephen potraktował te słowa jako zachętę do okazania współczucia. Po chwili powiedział:

– Jeśli mając te informacje, nie nakłonię go do mówienia, to nie zasługuję, żeby w ogóle się odzywał.

– Też bym tak sądził. Do roboty, młody. Informuj mnie na bieżąco.

– Pamiętasz... – Telefon zwariował i głos Stephena zamienił się w jakieś bezładne zgrzyty. Usłyszałem: – ...wszystko, co mają... – a potem już tylko przerywany sygnał.

Opuściłem szybko i zapaliłem drugiego papierosa. Dekoracje

święteczne pojawiły się także tutaj – wianki na drzwiach, w ogrodzie przekrzywiona tabliczka z napisem: MIKOŁAJU, WSTĄP DO NAS – wieczorne powietrze było mroźne i szkliste, wreszcie czuło się zimę. Wyrzuciłem niedopałek i wziąłem głęboki oddech, po czym poszedłem do domu Olivii i nacisnąłem dzwonek.

Liv otworzyła drzwi w kapciach, bez makijażu, gotowa iść spać.

– Obiecałem Holly, że wstąpię i powiem „dobranoc”.

– Holly śpi. Od dawna jest w łóżku.

– Aha. No tak. – Potrząsnąłem głową, żeby oprzytomnieć. – Jak długo tam siedziałem?

– Tak długo, że nie mogę zrozumieć, dlaczego pani Fitzhugh jeszcze nie zadzwoniła na policję. Ostatnio twierdzi, że ciągle ktoś ją śledzi.

Liv patrzyła na mnie z uśmiechem; już to, że nie zirytowała się, widząc mnie na progu, sprawiło, że poczułem dziwne ciepło w środku.

– Ta kobieta zawsze miała hysia. Pamiętasz, jak... – Dostrzegłem powściągliwość w jej oczach i w porę ugryzłem się w język. – Mogę wejść na parę minut? Napiłbym się kawy, żeby oprzytomnieć przed powrotem do domu. Moglibyśmy chwilę porozmawiać, jak się miewa Holly. Masz moje słowo, że nie nadużyję gościnności.

Najwyraźniej wyglądałem tak, jak się czułem, albo prawie tak, co wystarczyło, żebyśmy wzbudził jej litość. Po krótkim namyśle kiwnęła głową i otworzyła szerzej drzwi.

Zaprowadziła mnie do oranżerii – szron już osiadał w rogach szyb, ale przy włączonym ogrzewaniu było tam ciepło i przytulnie – a sama poszła do kuchni zrobić kawę. Lamy dawały przyćmione światło. Zdjąłem czapkę bejsbolówkę Shaya, która zalatywała krwią, i włożyłem do kieszeni kurtki.

Liv podała kawę na tacy, w porządnym filiżankach, nawet z mlekiem w dzbanuszkach. Siadając w fotelu, zauważyła:

– Po twojej twarzy widać, że ten weekend dał ci się we znaki.

Nie chciałem o tym rozmawiać.

– Rodzina – skwitowałem krótko. – A co u ciebie? Jak Dermo?

Zapadła cisza. Olivia mieszała kawę i zastanawiała się nad odpowiedzią. W końcu westchnęła, cichutko, jakbym miał tego nie słyszeć.

– Powiedziałam mu, że nie powinniśmy się dłużej spotykać.

– O. – Ku własnemu zaskoczeniu poczułem, jak błoga radość wnika we wszystkie ciemne pokłady mojego umysłu. – Są jakieś szczególne powody?

Zgrabne i szybkie wzruszenie ramion.

– Uznałam, że do siebie nie pasujemy.

– Dermo też jest tego zdania?

– Byłby wkrótce. Po jeszcze kilku randkach. Ale ja doszłam do tego wcześniej.

– Jak zwykle – wtrąciłem, bynajmniej nie złośliwie, a Liv uśmiechnęła się słabo, patrząc w filizankę. – Przykro mi, że nie wyszło.

– No cóż, raz się wygrywa... A ty? Spotykasz się z kimś?

– Ostatnio nie. Nie odnoszę takiego wrażenia.

Rozstanie Olivii z Dermotem było najlepszym prezentem od życia, jaki dostałem od pewnego czasu – skromnym, choć w sam raz; trzeba brać, co dają – wiedziałem, że jeśli zacznę kusić los, to prawdopodobnie schrzanię sprawę, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Może któregoś wieczoru, jeśli będziesz wolna i znajdziemy opiekunkę do dziecka, miałabyś chęć pójść ze mną na kolację? Chyba nie szarpnę się na Coterie, ale prawdopodobnie znajdę coś lepszego niż Burger King.

Liv uniosła brwi i odwróciła głowę w moją stronę.

– Czy to... Jak mam to rozumieć? Coś w rodzaju randki?

– No, raczej tak – odrzekłem. – Właśnie tak.

Zapadła długa cisza, kiedy to wiele działo się w jej oczach.

– Uważnie słuchałem tego, co mówiłaś tamtego wieczoru. O ludziach, którzy dokopują sobie nawzajem. Wciąż nie jestem pewny, czy się z tobą zgadzam, ale staram się postępować tak, jakbyś miała rację. Cholernie się staram, Olivio.

Liv odchyliła do tyłu głowę i obserwowała księżyc wędrujący za oknami.

– Gdy pierwszy raz zabrałeś Holly na weekend – powiedziała – ogarnęło mnie przerażenie. Przez cały czas nie zmrużyłam oka. Wiem, że według ciebie kłóciłam się o te weekendy z czystej złośliwości, ale to nieprawda. Byłam przekonana, że zabierzesz ją, wywieziesz gdzieś samolotem i nigdy więcej nie zobaczę ani jej, ani ciebie.

– Przyszło mi to na myśl.

Widziałem, jak wstrząsnął nią dreszcz, lecz spokojnym głosem mówiła dalej:

– Wiem. Ale nie wyjechałeś. Nie łudzę się, że postąpiłeś tak ze względu na mnie. Jednym z powodów było to, że wyjeżdżając, musiałbyś zrezygnować z pracy. Jednak przede wszystkim zdałeś sobie sprawę, że skrzywdziłbyś Holly, a tego byś nie zrobił. Więc zostałeś.

– Taa, staram się, jak mogę. – Wcale nie miałem takiej pewności jak Liv, że Holly odniosła pożytek, zostając na miejscu. Mogła mi pomagać przy prowadzeniu baru na plaży na Kortu, byłaby opalona i bezgranicznie rozpieszczona przez tubylców, a głowa nie pękałaby jej od problemów jej wielopokoleniowej rodziny.

– To miałam na myśli tamtego wieczoru. Ludzie nie muszą się ranić, ponieważ się kochają. My unieszczęśliwiliśmy się nawzajem na skutek swoich decyzji, a nie dlatego, że tak chciał jakiś nieuchronny los.

– Liv, muszę ci coś powiedzieć.

Podczas jazdy samochodem zastanawiałem się, jak to zrobić, nie wzbudzając nadmiernych emocji. Okazało się, że nie ma takiego sposobu. Pomiąłem, co się dało, złagodziłem resztę, ale gdy skończyłem, Olivia wpatrywała się we mnie wielkimi oczami, przyłożywszy drżące palce do ust.

– Boże drogi, Boże drogi – powtarzała. – Holly.

– Nic jej nie będzie – powiedziałem z całym przekonaniem, na

jakie było mnie stać.

– Sama z... O Boże, Frank, musimy... co my...

Przez wiele ostatnich lat Liv prezentowała się przede mną jako kobieta opanowana, atrakcyjna i szczerze okryta pancerzem. Gdy teraz zobaczyłem ją autentyczną, roztrzęsioną, szaleńczo poszukującą sposobu, by chronić swoje dziecko, coś się we mnie otworzyło. Wiedziałem, że lepiej nie brać jej w ramiona, więc tylko pochyliłem się do przodu i objąłem palcami jej palce.

– Cii, cii. Będzie dobrze.

– Czy on jej groził? Wystraszył ją?

– Nie, kochanie. Była zaniepokojona, zdezorientowana i skrępowana, ale jestem niemal pewny, że ani przez chwilę nie czuła, że coś jej grozi. I nie sądzę, że cokolwiek jej groziło. Na swój niewiarogodnie popieprzony sposób on się troszczy o jej dobro.

Liv już wybiegała myślami do przodu.

– Czy zarzuty są mocne? Czy ona będzie musiała zeznawać?

– Nie mam pewności. – Oboje wiedzieliśmy, że to zależy od wielu rzeczy: czy oskarżyciel publiczny wniesie akt oskarżenia, czy Shay przyzna się do winy, czy sędzia uzna, że Holly potrafi dokładnie opisać przebieg wydarzeń... – Gdybym miał postawić na to jakieś pieniądze, to powiedziałbym, że będzie musiała.

– Boże drogi – powtórzyła Olivia.

– To nie nastąpi tak szybko.

– Nie ma znaczenia. Widziałam, co dobry obrońca może zrobić ze świadkiem. Sama to robiłam. Nie chcę, żeby Holly znalazła się w takiej sytuacji.

– Wiesz, że nie zdołamy temu zapobiec – powiedziałem delikatnie. – Musimy wierzyć, że da sobie radę. Jest silnym dzieckiem. Zawsze była. – Błysnęło mi wspomnienie tych wiosennych wieczorów, gdy siedzieliśmy w tej oranżerii i patrzyliśmy, jak coś malutkiego podskakuje zawzięcie w brzuchu Olivii, gotowe zmierzyć się ze światem.

– Tak, jest silna. Ale to nie ma znaczenia. Żadne dziecko na ca-

łym świecie nie jest dostatecznie silne, by znieść coś takiego.

– Holly to zniesie, bo nie ma wyboru. Jeszcze jedno, Liv... Wiesz równie dobrze jak ja, że nie możesz rozmawiać z Holly o tej sprawie.

Olivia wyrwała rękę z mojej dłoni i uniosła głowę, gotowa bronić swego potomstwa.

– Taka rozmowa będzie jej potrzebna, Frank. Nie umiem sobie wyobrazić, co Holly przeżyła. Nie pozwolę, żeby dusiła w sobie...

– Zgadza się, ale nie może rozmawiać z tobą, ze mną też nie. W oczach ławy przysięgłych nadal jesteś prokuratorem, czyli stoisz po określonej stronie. Wystarczy jedna aluzja, że ją pouczyłaś, jak zeznawać, i nici ze sprawy.

– Guzik mnie obchodzi sprawa. Niby z kim Holly ma porozmawiać? Doskonale wiesz, że nie spotka się z psychologiem szkolnym. Gdy się rozstaliśmy, nie odezwała się słowem do tej kobiety. Nie pozwolę, żeby Holly miała uraz na całe życie. Nie pozwolę.

Jej optymizm, jej wiara, że szkoda nie została już wyrządzona, ścisnęły mnie za serce.

– Naturalnie. Wiem, że do tego nie dopuścisz. Zróbmy tak: niech Holly rozmawia z tobą do woli. Tylko żeby nikt się o tym nie dowiedział, ja też. Dobrze?

Olivia zacisnęła usta, ale się nie odezwała.

– Wiem, że to nie jest idealne rozwiązanie – dodałem.

– Wydawało mi się, że jesteś żarliwym przeciwnikiem robienia tajemnic.

– Jestem. Ale jest już odrobinę za późno, żeby traktować tę zasadę priorytetowo, więc do diabła z nią.

– To ma znaczyć: „a nie mówiłem”? Tak? – W głosie Olivii zabrzmiał ton rozdrażnienia.

– Wcale nie – odparłem szczerze. Zdziwiona, gwałtownie odwróciła głowę w moją stronę. – W żadnym wypadku. To ma znaczyć, że oboje nawaliliśmy, i ja, i ty, a teraz byłoby najlepiej, gdybyśmy skupili się na zminimalizowaniu szkód. Wierzę, że poradzisz sobie z tym rewelacyjnie.

Na twarzy Olivii wciąż widać było czujność i zmęczenie; spodziewała się jakiejś wolty z mojej strony.

– Nie ma w tym żadnego podtekstu. Zaręczam. Cieszę się, że dziecko ma taką matkę, akurat w takiej chwili.

Te słowa ją zaskoczyły. Szybko spojrzała w bok i niespokojnie poruszyła się w fotelu.

– Powinieneś był mi powiedzieć od razu, gdy tylko tu przyjechałeś. A tak położyłam ją do łóżka, jakby wszystko było normalnie...

– Wiem. Uznałem, że trochę normalności dobrze jej zrobi dzisiaj wieczoru.

Znowu się poruszyła, gwałtownie.

– Muszę do niej zajrzeć.

– Jeżeli się obudzi, to nas zawoła. Albo zejdzie na dół.

– Niekoniecznie. Zaraz wrócę.

I poszła. Cicho jak kot wbiegła po schodach. Ta procedura podziałała na mnie dziwnie kojąco. Gdy Holly była niemowlakiem, robiliśmy to kilkanaście razy każdej nocy: jeden pisk elektronicznej niani, a Olivia musiała sprawdzić, czy dziecko śpi, choćbym nie wiem ile razy powtarzał, że ma płuca w porządku i na pewno da znać, gdy będzie czegoś potrzebowało. Olivii nigdy nie dręczyły myśli o śmierci łóżeczkowej, o tym, że Holly wypadnie z łóżka i uderzy się w głowę, ani inne strachy nękające zazwyczaj rodziców. Martwiło ją tylko to, iż Holly obudzi się w środku nocy i będzie myślała, że jest sama.

– Śpi mocno – oznajmiła po powrocie.

– Świetnie.

– Wygląda spokojnie. Porozmawiam z nią jutro rano. – Opadła na fotel i odgarnęła włosy z twarzy. – A ty jak się czujesz, Frank? Nawet nie pomyślałam, żeby cię wcześniej zapytać. Święty Boże, ten wieczór na pewno był...

– W porządku. Muszę się zbierać. Dzięki za kawę. Dobrze mi zrobiła.

Liv nie naciskała. Zapytała tylko:

– Jesteś na tyle przytomny, żeby prowadzić samochód?

- Jasne. Zobaczymy się w piątek.
- Zadzwoń jutro do Holly. Nawet jeśli uważasz, że nie powinieneś rozmawiać z nią o... tym wszystkim. I tak zadzwoń.
- Oczywiście. Zamierzałem tak zrobić. – Wypiłem ostatni łyk kawy i wstałem. – Zapytam dla pewności: nasza randka nie wchodzi w rachubę, tak?

Olivia długo patrzyła mi w twarz.

- Będziemy musieli być bardzo ostrożni, żeby nie robić Holly nadziei – powiedziała.
- Postaramy się.
- Bo nie wydaje mi się, żeby to do czegokolwiek doprowadziło. Nie po... o Boże. Tym wszystkim.

- Wiem, ale chciałbym spróbować.

Olivia poruszyła się w fotelu. Światło księżyca przesunęło się po jej twarzy i oczy zniknęły w mroku, więc widziałem tylko dumny, delikatny zarys jej ust.

- Żeby mieć pewność, że dołożyłeś wszelkich starań. Lepiej późno niż wcale.

- To nie tak – odparłem. – Naprawdę chcę iść z tobą na randkę.

Nadal czułem na sobie jej spojrzenie, z ciemności. Po dłuższej chwili odezwała się:

- Ja też chcę. Dziękuję, że zaproponowałeś.

Na ułamek sekundy wszystko zawirowało: niewiele brakowało, a zrobiłbym krok w jej stronę, pochylił się, żeby... bo ja wiem? Pochwycić ją, przytulić do siebie, uklęknąć na marmurowej posadzce i ukryć twarz na jej kolanach. Powstrzymałem się, zaciskając zęby tak mocno, że niemal pękła mi szczęka. Po chwili, gdy już mogłem się ruszyć, zaniósłem tacę do kuchni i wyszedłem.

Olivia została w fotelu. Sam otworzyłem drzwi, może powiedziałem „dobranoc”, nie pamiętam. Idąc do samochodu, cały czas czułem ją za sobą, jej ciepło, niczym czyste białe światło palące się nieprzerwanie w ciemnej oranżerii. Tylko dzięki temu dotarłem do domu.



Nie kontaktowałem się ze swoją rodziną, a tymczasem Stephen zebrał materiał dowodowy, postawił Shayowi zarzut popełnienia dwóch morderstw, a sąd wyższej instancji nie wyraził zgody na zwolnienie Shaya za kaucją. George, niech Bóg błogosławi jego złote serce, bez słowa pozwolił mi wrócić do pracy; co więcej, zlecił mi prowadzenie nowej, nieprzytomnie skomplikowanej operacji, która miała związek z Litwą, karabinami AK-47 i kilkoma ciekawymi facetami o imieniu Witautas i nad którą mogłem pracować tygodniami, lekko licząc, po sto godzin w tygodniu, gdybym miał na to ochotę, a miałem. Po wydziale krążyły pogłoski, że wzburzony Rewelka złożył skargę na moje generalne nieposzanowanie protokołu, a George otrząsnął się ze swego zwyczajowego stanu półśpiączki na tak długo, by zażądać od niego dalszych informacji na piśmie, w trzech egzemplarzach, przez co na kilka lat zarzucił go bezsensowną robotą papierkową.

Gdy uznałem, że gorączka emocjonalna w mojej rodzinie być może opadła o parę stopni, któregoś wieczoru przyszedłem z pracy do domu wcześniej, koło dziesiątej. Cokolwiek było w lodówce, włożyłem między dwie kromki chleba i zjadłem. Następnie z papierosem i szklaneczką najlepszego jamesona wyszedłem na balkon i zadzwoniłem do Jackie.

– O Jezu – powiedziała. Zostałem ją w domu, w tle słychać było telewizor. Zaskoczona odezwała się tak bezbarwnym głosem, że nie wiedziałem, czego się spodziewać. – To Francis – rzuciła do Gavina.

Gavin mruknął coś niewyraźnie, potem telewizor ucichł, więc Jackie zapewne przeszła do innego pomieszczenia.

– Słodki Jezu, nie sądziłam... – mówiła dalej. – W każdym razie...  
co u ciebie?

– Trzymam się. A ty?

– Jasne. Sam wiesz.

– Jak się czuje mama? – zapytałem.

– Nie za dobrze, Francis.

– Pod jakim względem?

– Mizernie wygląda i bardzo mało się odzywa. Sam wiesz, to nie w jej stylu. Byłabym spokojniejsza, gdyby psioczyła na lewo i na prawo.

– Brał mnie strach, że odegra się na nas i dostanie ataku serca – wysiliłem się na żart. – Powinienem był wiedzieć, że nie da nam powodu do zadowolenia.

Jackie nie roześmiała się, tylko mówiła dalej:

– Carmel opowiadała mi, że poszła do niej wczoraj wieczorem, razem z Darrenem, i Darren zbił tę porcelanową figurkę chłopca z kwiatami, no wiesz, tę, co stała na półce w salonie. Stłukła się w drobny mak. Darren trząśił się ze strachu, a mama nie powiedziała marnego słowa, tylko zmiotła skorupy i wyrzuciła do śmieci.

– Z czasem dojdzie do siebie. Mama jest twarda. To za mało, żeby się załamała.

– Tak, jest twarda. Ale jednak.

– Wiem. Ale jednak.

Usłyszałem trzaśnięcie drzwi i świst wiatru w telefonie: Jackie wyszła na dwór, żeby porozmawiać na osobności.

– Kłopot w tym, że z ojcem też nie jest najlepiej. Nie wstał z łóżka od...

– Chrzanić go. Niech tam zgnije.

– No tak, ale nie o to chodzi. Mamusia nie da sobie rady sama, gdy on jest w takim stanie. Nie wiem, co zrobią. Będę tam jak najczęściej, Carmel też, ale ona ma dzieci i Trevora, a ja mam pracę. Nawet gdy jesteśmy na miejscu, nie mamy siły podnieść go, nie sprawiając mu bólu. Poza tym on nie chce, żeby dziewczyny poma-

gały mu wyjść z wanny i w ogóle. Shay... – Urwała.

– Shay się tym zajmował – powiedziałem.

– Ano tak.

– Powiniennem zejść do nich i pomóc?

Przez chwilę milczała zaskoczona.

– Czy powinieneś...? O nie. Nie, Francis. Nie musisz nic robić.

– Jeżeli uważasz, że to dobry pomysł, wdepnę tam jutro. Trzymałem się z daleka, bo uważałem, że moja wizyta u nich przyniesie więcej szkody niż pożytku, ale może się myłę...

– O nie. Moim zdaniem masz rację. To znaczy... nie mam nic złego na myśli, tylko...

– Rozumiem. Tak myślałem.

– Powiem im, że pytałeś o nich – obiecała Jackie.

– Dobrze. Jeśli coś się tam zmieni, daj mi znać, dobrze?

– Dobrze. Dzięki za dobre chęci.

– A Holly? – zapytałem.

– To znaczy?

– Czy teraz będzie mile widziana u mamy?

– A chcesz tego? Byłam pewna...

– Nie wiem, Jackie. Nie doszedłem tak daleko. Chyba nie chcę, ale wolę wiedzieć, jaka dokładnie jest jej pozycja.

Westchnęła krótko, ze smutkiem.

– Tego też nikt nie wie. Dopóki... no wiesz. Dopóki sprawy trochę się nie wyjaśnią.

Dopóki Shay nie zostanie osądzony i uniewinniony albo uznany za winnego i skazany na podwójne dożywocie, w jednym i drugim wypadku częściowo zależnie od tego, jak sprawi się Holly podczas składania obciążających go zeznań.

– Nie wytrzymam takiego długiego czekania, Jackie – powiedziałem. – I nie wytrzymam, jeżeli będziesz coś przede mną ukrywać. Rozmawiamy o moim dziecku.

Znowu westchnienie.

– Szczerze mówiąc, na twoim miejscu, Francis, trzymałabym ją z

dała przez jakiś czas. Dla jej dobra. Wszyscy są przybici, nakręceny do granic, prędzej czy później ktoś powie coś, co ją zrani... niechący, ale jednak... Opuść na trochę. Myślisz, że to w porządku? To znaczy, że jej nie będzie za ciężko?

– Z tym sobie poradzę – odrzekłem. – Coś innego mnie gnębi, Jackie. Holly jest całkowicie przekonana, że ponosi winę za to, co spotkało Shaya, a przynajmniej, że tak uważa cała rodzina. Gdy będę trzymał ją z dala od mamy, co w ogóle mi nie przeszkadza, daję słowo, Holly jeszcze bardziej utwierdzi się w tym przekonaniu. W gruncie rzeczy chrzanię, czy tak jest naprawdę i czy wszyscy w tej rodzinie traktują ją jak trędowatą, ale muszę wiedzieć, że ty jesteś wyjątkiem. Holly jest załamana, straciła już tylu bliskich, ilu niektórzy tracą przez całe życie. Chcę, żeby wiedziała, że ty wciąż jesteś częścią jej życia, nie zamierzasz jej porzucić i ani trochę nie winisz jej za to, co się zważyło nam na głowy. Czy będzie to dla ciebie kłopotliwe?

Jackie słuchała mnie, mamrocząc coś z przerażeniem i ze współczuciem.

– Och, na Boga, jakże mogłabym winić to kochane biedactwo! – zawołała. – Przecież jej nawet nie było na świecie, gdy to wszystko się zaczęło! Uściskaj ją mocno ode mnie i powiedz, że przyjadę do niej, gdy tylko będę miała wolną chwilę.

– Świetnie. Sądziłem, że tak przedstawia się sytuacja. Posłuchaj, nieważne, co jej powiem: ona musi to usłyszeć od ciebie. Mogłabyś do niej zadzwonić, ustalić, kiedy spędzisz z nią trochę czasu? Uspokoisz to biedne dziecko. Dobrze?

– Oczywiście, że tak. A właściwie zadzwonię od razu. Nie mogę znieść myśli, że ona siedzi tam niespokojna, przybita...

– Jackie, poczekaj chwilę.

– Co takiego?

Przyłożyłbym sobie w ucho za to pytanie, ale nie mogłem się powstrzymać.

– Powiedz mi, skoro jesteśmy przy temacie, czy również ze mną

będziesz się kontaktować? Czy tylko z Holly?

Milczenie trwało zaledwie ułamek sekundy, ale dla mnie i tak było za długie.

– Jeśli nie masz takich planów, dziecinko, nic mi się nie stanie. Rozumiem, z czym masz problem. Po prostu lubię wiedzieć, na czym stoję. Wszystkim zaoszczędzi to czasu i kłopotu. Nie mam racji?

– Pewnie, że masz. O Boże, Francis... – Gwałtownie nabrała powietrza, spazmatycznie, jakby dostała cios w brzuch. – Oczywiście, że będę w kontakcie, oczywiście... Chyba potrzebuję trochę czasu. Może parę tygodni albo... Będę wobec ciebie szczerą, Francis: mam mętlik w głowie. Nie wiem, co ze sobą zrobić. To może potrwać...

– Zrozumiałe – odrzekłem. – Wierz mi, znam to uczucie.

– Przykro mi, Francis. Strasznie mi przykro.

Mówiła słabym, urywanym głosem, z rozpaczą. Czuję się jak ostatni skurwysyn, widząc, jak jej ciężko.

– Życie bywa zasrane, mała. Nic tu nie zawiniłaś, tak samo jak Holly – zapewniłem ją.

– Właśnie że tak. Gdybym nie przyprowadziła jej do mamy...

– Albo gdybym ja nie przyprowadził jej akurat wtedy. Albo jeszcze lepiej, gdyby Shay nie... Sama widzisz. – Niedokończone zdanie zawisło w pustce między nami. – Zrobiłaś, co w twojej mocy; więcej nikt nie potrafi. Pozbądź się tego mętliku, dziecinko. Niech to trwa tak długo, jak będziesz potrzebowała, a potem zadzwoń do mnie.

– Zadzwonię, damę słowo. No i... dbaj o siebie, Francis. Naprawdę.

– Postaram się. Ty też, skarbie. Do zobaczenia.

Zanim się rozłączyła, znów usłyszałem, jak zboląła nabiera gwałtownie powietrza. Miałem nadzieję, że pójdzie do domu i trafi w objęcia Gavina, zamiast stać zapłakana na dworze.

• • •

Kilka dni później udałem się do Jervis Centre i nabyłem telewizor gigant, taki, jaki kupują ludzie, w których świecie nie ma nic pokaż-

niejszego, na co mogliby wydać zaoszczędzone pieniądze. Czułem, że sam gadżet, nawet wyjątkowo imponujący, nie wystarczy, by Imelda powstrzymała się przed kopnięciem mnie w jaja, wobec tego zaparkowałem na początku Hallows Lane i czekałem, aż Isabelle, po całym dniu spędzonym gdzieś tam, wróci do domu.

Było zimno i szaro, z ciężkiego nieba lada chwila miał spaść deszcz lub śnieg, dziury na jezdni pokrywała cienka warstwa lodu. Isabelle nadeszła od Smith's Road, szybkim krokiem, z pochyloną głową, w podróbce cienkiego markowego płaszcza, ciasno nim owinięta przed przenikliwym wiatrem. Zauważyła mnie dopiero wtedy, gdy wysiadłem z samochodu i stanąłem przed nią.

– Jesteś Isabelle, prawda? – odezwałem się.

Spojrzała na mnie nieufnie.

– A kto pyta?

– Fiut, który rozwalił wam telewizor. Miło cię poznać.

– Odwal się, bo będę krzyczeć.

Nieodrodna córka również pod względem osobowości. Ta dziewczyna wywoływała przyjemne wibracje w całym moim ciele.

– Spuść z tonu, Penelopo Pitstop. Tym razem nie zrobię wam awantury.

– To czego chcesz?

– Przywiozłem nowy telewizor. Z życzeniami świątecznymi.

– Dlaczego? – zapytała z jeszcze bardziej podejrzliwą miną.

– Chyba słyszałaś o wyrzutach sumienia, co?

Isabelle założyła ręce na piersi i obrzuciła mnie wrednym spojrzeniem. Z bliska wciąż widać było podobieństwo do Imeldy, ale trochę mniejsze. Dziewczyna miała kartoflaną brodę jak Hearne'owie.

– Nie chcemy twojego telewizora – oświadczyła. – Wielkie dzięki.

– Może ty nie chcesz, ale twoja mama albo siostry mogą być innego zdania. Lepiej się upewnij.

– No dobra. A jeśli on został ukradziony przed dwoma dniami? My go weźmiemy, a ty zjawisz się jeszcze dziś po południu, żeby nas

aresztować.

– Przeceniasz moje zdolności umysłowe.

Isabelle uniosła brew.

– Albo ty nie doceniasz moich. Nie jestem taka głupia, żeby przyjmować cokolwiek od gliniarza, który jest wściekły na moją mamę.

– Nie jestem na nią wściekły. Mieliśmy odmienne zdania na pewien temat, ale sprawa jest już rozwiązana i twoja mama nie ma się czego obawiać z mojej strony.

– Miejmy nadzieję. Mama się ciebie nie boi.

– To dobrze. Wierz lub nie, ale ją lubię. Razem dorastaliśmy.

Isabelle zastanowiła się chwilę nad tą informacją.

– To dlaczego rozbiłeś nasz telewizor? – zapytała buńczucznie.

– A co powiedziała twoja mama?

– Nic.

– Więc i ja nic nie powiem. Dżentelmen nie zdradza tajemnic dam.

Posłała mi miażdżące spojrzenie, które miało świadczyć o tym, że takie wyrafinowane gadanie nie wywiera na niej wrażenia. Zresztą była w takim wieku, że cokolwiek bym zrobił, nie wywarłoby to na niej wrażenia. Próbowałem wyobrazić sobie, co czuje ojciec córki, która ma biust, umalowane kredką oczy i ustawowe prawo wsiąść do samolotu i udać się, dokąd sobie zyczy.

– Czy telewizor ma ją przekonać, żeby mówiła w sądzie, co trzeba? – ciągnęła Isabelle. – Bo wiedz, że ten młody gość, jak mu tam... Marchewkowa Pała, już wziął od niej zeznania.

Zeznania, które będzie mogła zmienić i zapewne zmieni kilka razy, zanim rozpocznie się proces. Gdybym miał ochotę przekupić Imeldę Tierney, nie musiałbym topić tyle kasy; wystarczyłoby parę kartonów niebieskich playerów. Stwierdziłem, że lepiej tego nie mówić Isabelle.

– To mnie nie dotyczy – oznajmiłem. – Powiedzmy sobie jasno: nie mam nic wspólnego z tą sprawą ani z tym młodym gościem i nic

nie chcę od twojej mamy. Rozumiesz?

– No to jesteś wyjątkiem wśród facetów. Skoro nic nie chcesz, mogę chyba już pójść, co?

Na Hallows Lane nic się nie ruszało – ani jedna staruszka nie polerowała mosiężnych okuć na drzwiach wejściowych, apetyczne mamuśki nie toczyły bitew na wózki, wszystkie drzwi były zamknięte na amen przed zimnem – czułem jednak spojrzenia rzucane z mroku za firankami.

– Mogę cię o coś zapytać?

– Jak chcesz.

– Gdzie pracujesz?

– A co cię to obchodzi?

– Wścibski ze mnie człowiek. To chyba nie jest tajne łamane przez poufne?

Isabelle przewróciła oczami.

– Chodzę na kurs dla sekretarek prawnych. Może być?

– Wspaniale. Brawo.

– Dziękuję. Czy wyglądam tak, jakbym się przejmowała, co o mnie sądzisz?

– Mówiłem ci, że lubiłem twoją matkę, w dawnych czasach. Cieszę się, że ma córkę, która napawa ją dumą i która się nią opiekuje. Więc trzymaj tak dalej i bierz ten cholerny telewizor.

Otworzyłem bagażnik. Isabelle podeszła od tyłu do samochodu – ale nie za blisko, na wypadek gdybym chciał wrzucić ją do środka i sprzedać do niewoli – i zerknęła.

– Niezły – zauważyła.

– To szczytowe osiągnięcie nowoczesnej techniki. Chcesz, żebym zaniósł go do mieszkania, czy poprosisz o pomoc kolegę?

– Już ci mówiłam: nie chcemy tego telewizora. Dlaczego tak trudno ci to zrozumieć?

– Posłuchaj. Kosztował ładne pieniądze. Nie jest kradziony, nie jest зараżony węglikiem, państwo nie będzie was śledziło przez ekran. Więc w czym problem? Po prostu uczulenie na gliniarzy?



Isabelle popatrzyła na mnie tak, jakby nie mogła się nadziwić, że potrafię włożyć spodenki odpowiednią stroną na przód.

– Zakapowałeś na swojego brata – powiedziała.

No i masz. Znowu wyszedłem na głupiego frajera, sądząc, że to nie dotrze do powszechnej wiadomości: nawet gdyby Shay trzymał gębę na kłódkę, zawsze działała miejscowa stacja ESPN, a jeśli ona miała słaby dzień, to nic by nie powstrzymało Rewelki, żeby podczas jednego z przesłuchań uzupełniających nie zrobić jakiejś małej aluzji. Panie Tierney bez mrugnięcia okiem zabrałyby telewizor, który spadł z paki ciężarówki – prawdopodobnie przyjęłyby go od sympatycznego Deco, miejscowego dealera narkotyków, gdyby uznał, że coś im zawdzięcza – ale nie chciały mieć nic do czynienia z takimi typami jak ja. Nawet gdybym chciał się tłumaczyć – przed Isabelle Tierney, zafrapowanymi gapiami czy jakimkolwiek żywym duchem w Liberties – nic a nic by to nie zmieniło. Mogłem wysłać Shaya do ośrodka intensywnej opieki, może nawet na cmentarz Glasnevin, i przez następne kilka tygodni spotykać się z aprobującymi kiwnięciami głową i klepięciami po plecach, ale czegokolwiek on się dopuścił, nie usprawiedliwiłoby kablowania na własnego brata.

Isabelle obejrzała się, by mieć pewność, że nieopodal są ludzie, gotowi przyjść jej z pomocą, a potem powiedziała, głośno i wyraźnie, żeby słyszeli:

– Zabierz ten telewizor i wsadź go sobie.

Odskoczyła w tył, szybko i zgrabnie jak kot, na wypadek gdybym się na nią rzucił. Potem pokazała mi palec, żeby już nikt nie miał wątpliwości co do jej przesłania, odwróciła się na wysokim obcasie i poszła Hallows Lane. Patrzyłem, jak wyjmuje klucze z torby, znika w mrowisku ze starej cegły, z firankami, zza których spoglądają pary oczu, i zatrząskuje za sobą drzwi.

• • •

Tego wieczoru zaczął padać śnieg. Zostawiłem telewizor na początku Hallows Lane, żeby mógł go ukraść następny klient Deco,

odprowadziłem samochód pod dom i ruszyłem przed siebie pieszo; znajdowałem się przy budynku dawnego więzienia Kilmainham, gdy zaczął kłębić się przede mną tuman dużych, doskonałych, cichych płatków. Potem tylko ich przybywało. Śnieg znikał, niemal ledwie dotknął ziemi, ale w Dublinie mijają lata i nie spadnie go nawet tyle, więc przed szpitalem Świętego Jakuba zebrała się duża grupa rozbawionych studentów: obrzucali się śnieżkami, zgarniali garściami śnieg z samochodów, które stały na światłach, i chowali się za przypadkowymi przechodniami, mieli czerwone z zimna nosy, śmiali się beztrąsko i zupełnie nie przejmowali się sarkaniem oburzonych waśniaków, którzy wracali z pracy do domu. Potem śnieg wprawił w romantyczny nastrój idące ulicą pary: wkładały jedno drugiemu ręce do kieszeni i zadzierały głowy, przyglądając się wirującym płatkom. Jeszcze później zalani bywalcy pubów rozchodzili się do domów, stawiając kroki po trzykroć ostrożniej niż zazwyczaj.

Była już głęboka noc, gdy dotarłem do wylotu Faithful Place. Wszystkie światła były zgaszone, prócz gwiazdy betlejemskiej, która mrugała w oknie u Sallie Hearne. Stałem w ciemności, w miejscu, gdzie czekałem na Rosie, wbiłem ręce w kieszenie i patrzyłem, jak wiatr unosi płatki śniegu eleganckim łukiem w kręgu żółtego światła latarni. Faithful Place wyglądała spokojnie i przytulnie jak na kartce świątecznej, opatulona na zimowe miesiące, śniła o podzwaniających saniach i gorącym kakao. Cisza zalegała całą ulicę, tylko szumiął wiatr, ciskając śniegiem w ściany domów, i niesły się dalekie dźwięki wybijających kwadrans dzwonów kościelnych.

Światło rozbłysło w salonie domu pod trzecim i rozsunęły się zasłony: Matt Daly, w piżamie, ciemna sylwetka w słabym blasku lampy na stole. Oparł się dłońmi o parapet i długo patrzył na śnieg, który pokrywał brukowaną ulicę. W końcu uniósł i opuścił ramiona, oddychając głęboko, i zasunął zasłony. Po chwili światło zgasło.

Nawet gdyby nie obserwował mnie z okna, nie zdobyłbym się na to, by postawić nogę na Faithful Place. Wspiąłem się na mur u wylotu ulicy i wszedłem do ogrodu pod szesnastym.

Pod moimi stopami chrzęściły kamyki i zamrożnięte zielsko, wciąż rosące w miejscu, gdzie umarł Kevin. Dalej, w domu pod ósmym, okna w mieszkaniu Shaya były ciemne i puste. Nikt nie pofatygował się, by zasunąć zasłony.

Tylne drzwi domu pod szesnastym kołysały się i skrzypiały na wietrze, odsłaniając czarne wnętrze. Stałem na progu, przyglądając się, jak mętne śnieżnoniebieskie światło sączy się schodami w dół i para mojego oddechu unosi się w mroźnym powietrzu. Gdybym wierzył w duchy, przeżyłbym tu rozczarowanie swojego życia: powinny tłumnie nawiedzać ten dom, tkwić w ścianach i rozsadzać powietrze, trząść się i lamentować w każdym rogu pod sufitem, ale tu była pustka, jakiej jeszcze nigdy nie doświadczyłem, pustka, która zasysa człowiekowi powietrze z płuc. Jeśli przyszedłem tu, żeby kogoś znaleźć – Rewelka, ten przewidywalny poczwiwna, zapewne gadałby o domknięciu albo plótl pierdoły w tym stylu – to go nie znalazłem. Nad moim ramieniem wleciało do środka kilka płatków śniegu, przez sekundę leżały na podłodze i zniknęły.

Przyszło mi na myśl, żeby coś stąd zabrać albo zostawić, tak po prostu, bez konkretnego celu, ale nie miałem przy sobie nic wartego zostawienia i nie było tu nic wartego zabrania. W zielsku znalazłem puste opakowanie po chipsach, złożyłem je kilka razy i zablokowałem drzwi. Wspiąłem się znów na mur i poszedłem dalej ulicą.

Miałem szesnaście lat, gdy w tamtym pokoju na górze pierwszy raz dotknąłem Rosie Daly. Był piątkowy wieczór, latem: spotkaliśmy się całą paczką, mieliśmy kilka dużych butelek taniego cydru, dwadzieścia papierosów SuperKing Lights i paczkę cukierków truskawkowych – tacy byliśmy młodzi. W czasie wakacji pracowaliśmy dorywczo na budowach, ja, Bystrzak Hearne, Des Nolan i Ger Brophy, więc byliśmy opaleni, muskularni i przy forsie, śmialiśmy się na cały głos, kipieliśmy nowo nabytą męskością i opowiadaliśmy porąbane historie z pracy, żeby zrobić wrażenie na dziewczynach. Do paczki należały Mandy Cullen, Imelda Tierney, Julie – siostra Desa – i Rosie.

Od miesiący Rosie powoli stawała się moją własną sekretną północą magnetyczną. Nocami, leżąc w łóżku, czułem, jak przez ceglane ściany i brukowaną ulicę przyciąga mnie do siebie w najgłębszych fazach snu. Tamtego wieczoru znajdowałem się tuż przy niej i czułem tak silne przyciąganie, że ledwie mogłem oddychać – wszyscy siedzieliśmy pod ścianami, nogi miałem wyciągnięte przed siebie, tak blisko nóg Rosie, że gdybym poruszył się o parę cali, dotknęlibyśmy się łydkami. Nie musiałem na nią patrzeć; każdy jej ruch czułem w sobie, wiedziałem, kiedy zakłada włosy za ucho i kiedy przesuwają się, żeby słońce padało jej na twarz. A gdy już na nią spojrzałem, mózg mi stawał.

Ger wyciągnął się na podłodze i opowiadał dziewczynom dramatyczną, opartą na faktach historię, jak to sam jeden złapał żelazny dźwigar, który lada chwila spadłby na kogoś z wysokości trzeciego piętra. Wszystkim nam trochę kręciło się w głowach pod wpływem cydru, nikotyny i towarzystwa. Znaliśmy się od czasu, gdy nosiliśmy pieluchy, ale tego lata wszystko się zmieniało, i to szybciej, niż mogliśmy nadążyć. Julie miała smugi rózu na obu pulchnych policzkach, Rosie nowy srebrny wisiołek, który połyskiwał w słońcu, Bystrzakowi wreszcie skończyła się mutacja, a wszyscy zaczęliśmy używać dezodorantów.

– ...I wtedy ten gość mówi do mnie: „Synu, dzięki tobie wychodzę stąd na własnych nogach...”.

– Wiecie, czym mi tu załatuje? – zapytała Imelda, nie zwracając się do nikogo konkretnego. – Jajami. Pierwszej klasy.

– Jakbyś potrafiła rozpoznać – odrzekł Bystrzak, szczerząc się do niej.

– Możesz sobie pomarzyć. Jeżeli kiedyś rozpoznam zapach twoich, to się powieszę.

– On nie robi sobie jaj – powiedziałem do Imeldy. – Byłem tam, wszystko widziałem. Mówię wam, dziewczyny, ten człowiek jest autentycznym bohaterem.

– Akurat! Gówna prawda – wtrąciła się Julie, szturchając łok-

ciem Mandy. – Tylko popatrz na niego. Nie miałby siły, żeby złapać piłkę, a co dopiero dźwigar.

Ger napiął biceps.

– Podejdz tu i powtórz – odrzekł.

– Nieźle. – Imelda uniosła brew i strząsnęła popiół do pustej puszki. – Teraz pokaż nam sześciopak.

– Ty świntucho! – pisnęła Mandy.

– Sama jesteś świntucha – oświadczyła Rosie. – Sześciopak, czyli mięśnie brzucha. A ty myślałaś, że co?

– Gdzieś ty się nauczyła takich słów? – zapytał stanowczym tonem Des. – Sześciopak? Pierwsze słyszę.

– U zakonnic – wyjaśniła Rosie. – Pokazywały nam obrazki i w ogóle. No wiesz, na biologii.

Desa zatkało, ale po chwili zajarzył i rzucił w Rosie cukierkiem. Zgrabnie go złapała, włożyła do ust i zaśmiała się z Desa. Miała ochotę mu przyłożyć, ale nie potrafiłem wymyślić dobrego powodu.

Imelda uśmiechnęła się szeroko do Gera.

– No to jak? Pokażesz te mięśnie czy nie?

– Myślisz, że się nie odważę?

– No, tak myślę.

Ger puścił do nas oko. Następnie wstał, poruszył brwiami, patrząc na dziewczyny, i kokieteryjnie uniósł T-shirt, pokazując skrawek brzucha. Rozległy się okrzyki zachęty, dziewczyny zaczęły klaskać. Ger zdjął koszulkę, zamachał nią nad głową i rzucił w stronę dziewczyn, po czym przyjął pozę kulturysty.

Dziewczyny tak się zaśmiały, że nie mogły utrzymać rytmu klaskania. Zbiły się w rogu pokoju, głowa jednej na ramieniu drugiej, i trzymały się za brzuchy.

– Ależ z ciebie seksowna bestia... – wykrztusiła Imelda, ocierając łzy z oczu.

– O Boże, chyba dostałam przepukliny... – jęknęła Rosie.

– To żaden sześciopak, tylko wałki tłuszczu! – wydyszała Mandy. – Na klacie też, wyglądają jak cycki.

– Klata jest wspaniała – powiedział Ger z urazą. Wyszedł z pozy kulturysty i zaczął przyglądać się sobie. – Nie mam żadnych cycków. Chłopaki, widzicie jakieś cycki?

– Są rewelacyjne – oświadczyłem. – Podejdz do mnie, to je zmierzę i kupimy ci śliczny nowy biustonosz.

– Odpierdol się.

– Gdybym miał takie, przestałbym wychodzić z domu.

– Odpierdol się i zdychaj. Co jest nie tak?

– Czy one mają być takie sflaczałe? – dopytywała się Julie.

– Oddawaj! – zawołał Ger, machając na T-shirt w rękach Mandy.

– Jak wam się nie podoba moja klata, to się bujajcie.

Mandy machała zawieszoną na palcu koszulką i patrzyła na niego spod rzęs.

– Może wezmę sobie na pamiątkę.

– Rany Julek, ale cuchnie – powiedziała Imelda, wachlując się ręką. – Lepiej uważaj: moim zdaniem wystarczy dotknąć czegoś takiego, żeby zajść w ciążę.

Mandy zapiszczała i odrzuciła koszulkę Julie, a ta złapała ją i zapiszczała jeszcze głośniej. Ger próbował odzyskać T-shirt, ale Mandy schyliła się i przemknęła pod jego ramieniem, po czym podskoczyła, wołając: „Imelda, łap!”. Imelda zrobiła wyskok, złapała koszulkę, wyslizgnęła się Bystrzakowi, który objął ją ramieniem, i tylko śmignęły długie nogi i długie włosy, a już znalazła się za drzwiami, powiewając koszulką jak proporcem. Ger pognał z tupotem za nią, Des wyciągnął rękę, żeby pomóc mi wstać, ale Rosie siedziała oparta o ścianę, zanosząc się śmiechem, a ja nie zamierzałem się ruszyć, dopóki ona się nie podniesie. Julie obciągała wąską długą spódnice, biegnąc do wyjścia, Mandy rzuciła Rosie krzywe spojrzenie przez ramię i krzyknęła: „Hej, wy, poczekajcie na mnie!”, i nagle w pokoju zrobiło się cicho, zostałem tylko ja i Rosie, uśmiechaliśmy się do siebie nad rozsypanymi cukierkami, prawie pustymi butelkami po cydrze i smużkami dymu z pozostawionych papierosów.

Serce biło mi jak po długim biegu. Nie mogłem sobie przypomnieć,

kiedy ostatni raz byliśmy sam na sam. Głównowałem, jak tu pokazać jej, że nie planuję żadnych podchodów.

– Idziemy za nimi? – zapytałem.

– Mnie tu dobrze. Chyba że chcesz...?

– Nie, nie. Przeżyję, gdy nie wezmę do ręki koszulki Gera Brophy'ego.

– Powinien się cieszyć, jeśli w ogóle dostanie ją z powrotem. W jednym kawałku.

– Wytrzyma. Będzie miał okazję pochwalić się swoim sześciopakiem w drodze do domu. – Przechyliłem butelkę: zostało w niej kilka łyków cydru. – Masz ochotę?

Wyciągnęła rękę. Podałem jej butelkę, nasze palce niemal się zetknęły, i wziąłem drugą.

– Na zdrowie.

– *Sláinte.*

Lato czuło się już także wieczorami: minęła siódma, a niebo wciąż było czyste i błękitne, jasnozłociste światło wpadało przez otwarte okna i zalewało pokój. Dokoła nas cała Faithful Place szumiała jak ul, iskrzyła się od najróżniejszych historii, jakie sobie opowiadano. W domu obok Wariat Johnny Malone śpiewał do siebie wesołym, łamiącym się barytonem: *Where the Strawberry Beds sweep down to the Liffey, you 'U kiss away the worries from my brow... \**. Z dołu doleciał pisk zachwyconej Mandy, słysząc było tupot i wybuch śmiechu; jeszcze niżej, w suterenie, ktoś wrzasnął z bólu, na co Shay i jego kumple wydali szaleńcze okrzyki. Na ulicy dwóch młodziaków Sallie Hearne uczyło się jeździć na rowerze, ukradzionym, dogryzając jeden drugiemu: „Nie, ty ośle, musisz szybko pedałowac, bo się przewrócisz, nieważne, że na coś wjedziesz”; ktoś pogwizdywał, wracając z pracy do domu, wydawał radosne, wibrujące dźwięki. Zapach ryby z frytkami wlatywał przez okno, razem z jakimiś prze-mądrzałymi uwagami kosa siedzącego na dachu oraz głosami kobiet, które wymieniały się plotkami, zabierając pranie z ogrodów. Znałem każdy głos i każde trzaśnięcie drzwi, nawet zdecydowane szuranie

szczotką, gdy Mary Halley myła schody przed domem. Gdybym wyteżył słuch, rozpoznałbym głos każdej osoby, który wplatał się w to letnie wieczorne powietrze, i opowiedział wam każdą historię.

\* „Tam, gdzie Strawberry Beds ciągną się do rzeki Liffey, scałujesz zmartwienia z mego czoła...” (z piosenki *The Ferryman* autorstwa Pete'a St Johna).

– No, powiedz, jak to było z Gerem i tym dźwigarem – odezwała się Rosie.

– Nic nie powiem – odparłem ze śmiechem.

– Nie mnie chciał zaimponować, tylko Julie i Mandy. Nie wydam cię.

– Przysięgasz?

Uśmiechnęła się i palcem narysowała krzyżyk na sercu, na delikatnej białej skórze widocznej w rozpięciu koszuli.

– Przysięgam.

– Rzeczywiście złapał spadający dźwigar. Gdyby mu się nie udało, dźwigar uderzyłby Paddy'ego Fearona i Paddy nie wyszedłby stamtąd dzisiejszego wieczoru.

– Ale...?

– Ale dźwigar zsuwał się ze stosu na placu i uderzyłby Paddy'ego w duży palec u nogi, gdyby Ger się nie zorientował.

Rosie parsknęła śmiechem.

– Spryciarz. To dla niego typowe, wiesz? Gdy byliśmy mali, mieliśmy może osiem, dziewięć lat, Ger wmówił nam wszystkim, że ma cukrzycę i jeżeli nie będziemy dawać mu herbatników ze szkolnego lunchu, to umrze. W ogóle się nie zmienił, co?

Na dole Julie krzyknęła: „Puść mnie!”, ale takim tonem, jakby wcale tego nie chciała.

– Z tą różnicą, że teraz zależy mu na czymś więcej niż herbatnikach – zauważyłem.

– Tylko pogratulować. Zdrowie Gera. – Rosie uniosła butelkę.

– Dlaczego miałby nie chcieć zaimponować tobie tak jak innym? – zapytałem.

Rosie wzruszyła ramionami. Jej policzki leciutko się zaróżowiły.



- Może wie, że to by mnie nie obeszło.
- Myślałem, że Ger podoba się dziewczynom.

Znowu wzruszenie ramion.

- Nie jest w moim typie. Nie gustuję w postawnych blondasach.

Serce zabiło mi jeszcze szybciej. Próbowałem nakłonić telepatycznie Gera – który, trzeba przyznać, miał wobec mnie dług wdzięczności – żeby nie puszczał Julie i nie namawiał pozostałych do powrotu na piętro, przynajmniej nie przez godzinę albo i dwie, a może w ogóle. Po chwili powiedziałem do Rosie:

- Ładnie ci w tym naszyjniku.
- Mam go od niedawna. To ptak. Popatrz.

Odstawiła butelkę, podkurczyła stopy i usiadła na piętach, podsuwając mi wisiorek. Przesunąłem się po podłodze, na której smugami kładło się światło, i uklęknąłem twarzą do Rosie – tak blisko siebie nie byliśmy od lat.

Wisiorek przedstawiał ptaka z rozpostartymi skrzydłami, na których widać było maleńkie piórka wykonane z opalizującej masy perłowej. Gdy pochyliłem się nad nim, drżałem na całym ciele. Podrywałem już dziewczyny, wygadane i pewne siebie, żaden problem; ale wtedy sprzedałbym własną duszę za jakąś dowcipną nawijkę. W końcu powiedziałem jak ten debil: „Ładny”. Wyciągnąłem rękę w stronę wisiorka i dotknąłem palcem palca Rosie.

Oboje zamarliśmy. Z tak bliska widziałem, jak przy każdym szybkim uderzeniu serca unosi się delikatna biała skóra u podstawy szyi, i miałem ochotę przyłożyć do niej twarz, ugryźć ją, nie miałem pojęcia, co chcę zrobić, ale wiedziałem, że krew wytryśnie mi z żył, jeśli tego nie zrobię. Czułem zapach jej włosów, ulotny, cytrynowy, przyprawiający o zawrót głowy.

Właśnie to gwałtowne bicie serca dodało mi odwagi, by unieść wzrok i spojrzeć w oczy Rosie. Były ogromne, wąska zielona obwódka wokół czarnej źrenicy, a usta lekko rozchylone, jakbym ją zaskoczył. Puściła wisiorek. Żadne z nas nie mogło się poruszyć, nie oddychaliśmy.

Gdzieś brzęczały dzwonki rowerów, zaśmiewały się dziewczyny i Wariat Johnny Malone wciąż śpiewał: *I love you well today, and I'll love you more tomorrow...*\*. Wszystkie dźwięki rozplynęły się i wtopiły w to żółte letnie powietrze jak jedno przeciągłe bicie dzwonów.

\* „Tak bardzo kocham cię dzisiaj, a jutro będę cię kochał jeszcze bardziej” (z piosenki *The Ferryman*).

– Rosie – powiedziałem. – Rosie.

Wyciągnąłem do niej ręce, a ona położyła gorące dłonie na moich; gdy splotły się nasze palce i pociągnąłem ją ku sobie, nie mogłem uwierzyć, wprost nie mogłem uwierzyć w swoje szczęście.

• • •

Przez całą tę noc, gdy już zamknąłem drzwi i zostawiłem dom pod szesnastym pustym, szukałem fragmentów swojego miasta, które przetrwały. Wędrowałem ulicami o nazwach pochodzących jeszcze ze średniowiecza, Copper Alley, Fishamble Street i Blackpitts, gdzie pogrzebano ofiary czarnej śmierci. Szukałem ulic, gdzie wygładziły się kamienie brukowe i ścięniały od rdzy żelazne barierki. Wodziłem ręką po chłodnym kamiennym murze Trinity College. Przeciąłem miejsce, gdzie dziewięćset lat temu doprowadzono do miasta wodę ze źródła Świętego Patryka; informuje o tym tabliczka z zakamuflowanym napisem po irlandzku, którego w ogóle nikt nie czyta. Pomiąłem wzrokiem nowo wybudowane, byle jakie bloki mieszkalne i neonowe reklamy, przyprawiającą o mdłości uludę, która zaraz stanie się brązową papką jak zgniły owoc. One nic nie znaczą, są nieautentyczne. Za sto lat znikną, będą zastąpione czymś innym i zapomniane. Taka jest prawda gruzowisk: gdy uderzyć w miasto dostatecznie silnie, tania, harda fasada rozsypie się w mgnieniu oka; tylko stare przetrwa i będzie mogło trwać dalej. Uniosłem wzrok na delikatne, ozdobne kolumny i balustrady nad domami towarowymi i fast foodami przy Grafton Street. Oparłem się o poręcz Ha'penny Bridge nad Liffey, gdzie niegdyś płacono pół pensa, żeby dostać się na drugi

brzeg, patrzyłem w dal na dom celny, migoczące smugi światła i ciemne wody rzeki w padającym śniegu, i modliłem się, żebyśmy w jakiś sposób, zanim będzie za późno, znaleźli drogę do domu.

## PODZIĘKOWANIA

cOgromne podziękowania zechcą przyjąć zwyczajowi podejrzani i wielu innych: niezwykły Darley Anderson i jego zespół, przede wszystkim Zoë, Maddie, Kasia, Rosanna i Caroline, za to, że po wielekroć przeszli oczekiwania, jakie autor może mieć wobec agencji; Ciara Considine z Hachette Books Ireland, Sue Fletcher z Hodder & Stoughton oraz Kendra Harpster z Viking, trzy redaktorki, których żarliwość, umiejętności i ogromna przenikliwość co rusz zapierają mi dech w piersiach; Breda Purdue, Ruth Shern, Ciara Doorley, Peter McNulty i wszyscy pracownicy wydawnictwa Hachette Books Ireland; Swati Gamble, Katie Davison i wszyscy pracownicy wydawnictwa Hodder & Stoughton; Clare Ferraro, Ben Pétrone, Kate Lloyd i wszyscy pracownicy wydawnictwa Viking; Rachel Burd za kolejną wnikliwą korektę; Pete St John za piękne pieśni miłosne do Dublina i zgodę na ich cytowanie; Adrienne Murphy za to, że pamiętała McGonagle's choć przez mgłę; dr Fearghas O Cochlâin za fragmenty wymagające wiedzy medycznej; David Walsh za wyjaśnienia dotyczące procedur policyjnych i podzielenie się znajomością świata detektywów; Louise Lowe za znalezienie wspaniałego tytułu (i obsady) tego dramatu, przed tyloma laty; Ann-Marie Hardiman, Oonagh Montague, Catherine Farrell, Dee Roycroft, Vincenzo Latronico, Mary Kelly, Helena Burling, Stewart Roche, Cheryl Steckel i Fidelma Keogh za bezcenne przejawy serdeczności, życzliwości i wsparcia; David Ryan, *braccae time aperientur*; mój brat i bratowa, Alex French i Susan Collins, a także moi rodzice, Elena Hvostoff-Lombardi i David French, którym moja wdzięczność należy się z tylu powodów, że zabrakłoby tu miejsca na wyliczenie wszyst-

kich; i, jak zawsze, ostatni co do kolejności, lecz bynajmniej nie co do znaczenia, mój mąż, Anthony Breatnach.

## OD AUTORKI

Faithful Place istniała kiedyś naprawdę, ale znajdowała się po drugiej stronie rzeki Liffey, po stronie północnej, w gąszczu uliczek, które tworzyły dzielnicę domów publicznych, Monto, a nie po stronie południowej w Liberties – i zniknęła na długo przed wydarzeniami opisanymi w tej książce. Każdy zakątek Liberties ma własne wielowiekowe dzieje. Nie chciałam umniejszać ich znaczenia, odsuwając na bok prawdziwą historię ulicy i jej mieszkańców, by zrobić miejsce dla mojej fikcyjnej historii i jej bohaterów. Wobec tego zabawiłam się geografią Dublina: wskrzesiłam Faithful Place, przenieśliam na drugą stronę rzeki i dodałam tę książkę do dziesięcioleci niebagatelnej historii tej ulicy.

Za wszelkie nieścisłości, zamierzone czy niezamierzone, jak zawsze odpowiadam ja.